

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadczenia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena zł 24 000,-

a

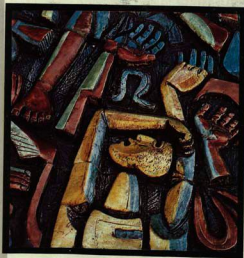
1-2

(51-52)

1993

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



AKCENT nr 1-2 (51-52) 1993

We śnie czy na jawie (poezja, proza, esej) • Ch.
Shmeruk o I. B. Singerze • Andy Warhol — auto-
biografia • D. Mostwin: Historia miłosna • Nie-
znane opowiadania A. Łuczeńczyka • Twórczość
religijna A. Kossowskiego

a

rok XIV
nr 1-2 (51-52)
1993

akcent

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

inaczej

a

rok XIV
nr 1-2 (51-52)
1993

akcent

literatura i sztuka

- Jan Brzechwa: *Andriej Zarecki* (17)
Henryk Sienkowski: *Wiersze* (47)
Andrzej Walicki: *Andrzej i jego świat (od dzieciństwa do powstania)* (52)
Piotr Chmiński: *Czy Julian może być showman? / Apokryf woli*
Wojciech Gąsienica (102)
Andrzej Kłopotowski: *Obywatel i ideały w literaturze w młodości*
1914 (114) *powieści znaną czy nieznaną*
Elżbieta Podgórska: *Wiersze / Wiersze i listy*
Czesław Miłosz: *Wiersze / Wiersze i listy* (114)
Anna Prus: *Wiersze / Wiersze i listy* (114)
Dariusz Mierwik: *Wiersze / Wiersze i listy* (114)
Andrzej S. Wójcik: *Wiersze / Wiersze i listy* (114)
Zdzisław Szczęsny: *Wiersze / Wiersze i listy* (114)
Jerzy Sikorski: *Wiersze / Wiersze i listy* (114)
Cezary Rębski: *Wiersze / Wiersze i listy* (114)

PRZEDKŁAD

Jan Brzechwa: *Wiersze* (17) — *Wiersze i listy* (10 wierszy)
Wiersze i listy (10 wierszy)

kwartalnik

Redakcja kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLSKI
KRZYSZTOF PACZUSKI
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Redaktor techniczny
Janusz Solecki

Korekta
Jasna Hurek

Sekretariat
Jadwiga Grzegorzczak

Czasopismo wydawane przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

Numer 1-2/1993 zrealizowano przy wsparciu ekonomicznym
Ministerstwa Kultury i Sztuki
oraz Rady Miejskiej Lublina

PL ISSN 0208-6220
NR INDEKSU 35207

Copyright 1993 by „Akcent”

SPIS TREŚCI

We śnie czy na jawie

- Urszula M. Benka: *opowiadania* / 7
Aneta Pierzchała: *Analogie między wypowiedzią snu a wypowiedzią poetycką* / 14
William Stafford: *wiersze* / 19
Bogumiła Truchlińska: *Światopogląd oniryczny poety. Rzecz o Edwardzie Siachurze* / 21
Bohdan Zadura: *Drżnię się, że do Pęca jedzie się przez Pęca* / 29
Andrzej Sosnowski: *wiersze* / 44
Jadwiga Mizńska, Sabina Magierska: *Zygmunt Freud jako myśliciel pogranicza* / 47
Adam Kulik: *Gra (fragment powieści)* / 57
Alfred Wierzbicki: *wiersze* / 64
Andrzej Łuczyński: *opowiadania* / 67

Jan Smółarz: *Andrzej Łuczyński* / 77
Henryk Kozak: *wiersze* / 89
Andy Warhol: *Filozofia Andy'ego Warhola (od A do B z powrotem)* / 92
Piotr Urbański: *Czy Judasz może być zbawiony? (Apokryf według Wacława Oszały)* / 108
Andrzej Ryszkiewicz: *Obrączki od Kuleczy to szczęście w małżeństwie* / 116
Elżbieta Podleśna: *wiersze* / 121
Chone Shmeruk: *Stosunki polsko-żydowskie w historycznych powieściach Isaaca Bashevisa Singera* / 124
Anna Frajlich: *wiersze* / 135
Danuta Mostwin: *Historia miłosa* / 138
Andrzej K. Waskiewicz: *Pisarz, instytucje, państwo — przyczynek do historii manipulacji politycznej* / 168
Zsófia Balla: *wiersze* / 181
Jerzy Sikora: *Chwilowo żyjemy. O śmierci w młodej poezji polskiej lat 1975-1985* / 185
Celeste Regal: *wiersze* / 193

PRZEKOJE

- Józef Fert: *Odłone z wosku — zamknięte w metaforsze (O wierszach Tadeusza Chabrowskiego)* / 196

Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Przygody i pasje Edwarda Balcerzana* / 199

Krzysztof Paczuski: *Niech będzie słyszane milczenie* / 202

Kazimierz Pospiszył: *Wojna i schizofrenia* / 205

Ryszard Dyoniziak: *Łudzie i kryzys cywilizacji* / 208

Tadeusz Polanowski: *Poeta życia i wieczności* / 210

Józef Fert: *Narodzinie światła w retorice alchemika* / 213

Teresa Zaniewska: *Powrót Witkacego* / 217

Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Księga ziemi, ciała i słowa* / 219

Tadeusz Sokołot: *Sznuka i wartości estetyczne* / 222

Zygmunt Mańkowski: *Polonia amerykańska wobec wojny 1939 r.* / 225

Grażyna Wiśniewska: *Słowo potrafi załknąć* / 227

Alina Kochańczyk: *Z Danutą Mostwin podróż do Ameryki* / 229

PLASTYKA

Lechosław Lameński: *Twórczość religijna Adama Kossowskiego* / 233

Anna Lipa: *Łubelczy Kolumbowie* / 240

TEATR

Marian Lewko: *Arnold Szyfman i jego teatr* / 255

NOTY

Krzysztof Paczuski: *Arkusz — to nie tak mało* / 260

Władysław Kucharski: *Józef Franciszek Białasiewicz (1912-1986)* / 262

Piotr Paweł Gach: *W Kamieniu Podolskim o historii (przeglądzie)* / 266

POLEMIKI I DOPOWIEDZENIA

Zygmunt Zieliński: *Dialog pod nozycami* / 272

URSZULA M. BENKA

KOT I SZCZUR

Na rynku przeraźliwie zagrzynał tramwaj, lecz nie dojrzałam tego mężczyzny w tłumie wysiadających. Uświadomiłam sobie powoli, że szukam wzrokiem postaci najbrzydszej, ubranej groteskowo w kusy sweter, jeszcze z czasów gdy chodził do szkoły, i w nieforemne spodnie wypchane na kolanach i tyłku. Postaci poruszającej się stale jakoby kołowało i starczo, choć był to przecież młody mężczyzna i wiele kobiet dopatrywało się w nim wdzięku. Bar, gdzie siedziałam, był o tej porze pusty; trzy senne kelnerki podobne do Mojr ciężko oparły się na szynkwasie, nad ich głowami widniała kartka „Piwa brak”. Patrzyłam na kartkę, na otaczający ją wianuszek wyrzutowanych kwiatków, ba, pomyślałam, brakuje jeszcze świeczki, złośliwie pomyślałam, lecz zaraz pociągnął mnie taki obraz: trzy Mojry zamarłe w wieczystego ognia. Mężczyzna, na którego już od godziny czekałam, siedział z pewnością w orzeźwiający mroku któregoś z licznych w tym mieście kościołów; pomimo wczesnej pory skwar wlewał się z ulicy do baru i przyznawałam mu rację, że wolał cierpieć w chłodzie gotyckiej nawy niż tu. Cierpiak, niedorozwój mej psychiki przeszkadzał mi pokochać go naprawdę. Stwierdził właściwie, a mnie brak wszelkiej psychiki, wszelkich głębszych warstw ducha, a nie nieswojo było temu zaprzeczać i chyba nawet wydało mi się, że tak jest o wiele dziwniej, o wiele bliżej moim prawdziwym tęsknotom; kochać nie mając psychiki! — Nie mając psychiki, a za to w pobliżu wiecznego ognia i Mojr, patrzących na mnie tak nieobecnie, a przecież nie wątpiał ani przez moment, że z niezmordowaną czujnością.

Miasto, gdzie żył, było do niego w jakiś sposób podobne i pokrewieństwo niegłogło znacznie głębiej niż jestem to w stanie pojąć, no ale fakt, że opisując miasto myślał o nim i tylko o nim. Ciągnęło się po jednej stronie rzeki, wpadał w nie most; po drugiej stronie były dąsy, pastwiska i kępy wierzb. Miasta nienawidziłam z całej duszy. Położone wysoko na skarpach było z dala widoczne i zawsze przylatczało mi ogromem swych murszających ruin. Miasto prowincjonalne i bez specjalnych tradycji, nawet w przeszłości, ale w zwyciężających miastach cień czasu przeszłego objawia się w kilku zaledwie szacownych budowach, są one odwieczne, restaurowane i komfortowo urządzone w środku — często w ogóle są tylko rekonstrukcjami. A tu zaginęła teraźniejszość, ruina panowała dziesiątki kilometrów, po prostu teraźniejszość była jak przezroczyta mgła i niczym nie przesłaniała otchłani wieków! Tak, ludzie tu

również byli nijacy, szara nuda i płaska skrzętność padały w majestatem zamykając rzekę. I chyba dlatego nie kończące się zgrzy cytuł, zamku, kościołów i ratuszowych wież, obramowane węzłem ruin spichrzów i gmachów klasztornych, obronnych murów i dogorywających na ich zakrętach pustych baszt, podkreślały śmierć i jałowość wszystkiego, cokolwiek mogło się tu wydarzyć, a w moim życiu wydarzyło się tu zbyt wiele, abym spokojnie mogła się zgodzić to odrzucić.

W ruinach dominowała rudawa cegła; jej suchy pył osiadał na bruku i oknach; po uśpiakach cegieł snuły się dzikie koty; ceglany pył nosił ślady myszy i szczurów, tu i ówdzie ciemniły żółcizna do łochów. Miasto mogło się śnić; wolałabym, aby się śniło. Bardzo często myślałam, że gdyby to po prostu był sen, tłumaczyłabym go sobie przez szereg następnych dni w moim pokoju w hotelu, każdy zapamiętany kształt, każdy odcisk pazura na ściegającym się w nieskończoność prochu. Posiadałyby swą materię sensu, swe odniesienia do innych też miejsc. W tym zaniedbanym mieście była tylko jedna kawiarnia, na rynku, by się skupić i spróbować choć trochę zrozumieć, potem czekać na tego mężczyźni, wspaniałe mu, kiedy cierpieć, no i samej odpocząć nareszcie. Męczyło mnie tu wszystko, idąc w wysokich szpilkach po wyboistym bruku, patrząc w okna zawarte głuchymi okiennicami, słuchając wycia wiatru pocieszałam się, że przecież i on nie znosił tego miasta, wymykał się nad brzeg rzeki: Towarzyszyłam mu w wielogodzinnych wędrówkach i zawsze cofałam się przed buntami. Nie chciałam się buntować, to naturalne: Woda w rzecze przewałała się niedoścignię, podmywając wysoką skarpe, szedł od niej ziąb. Białym wydawał się śmiejący, jałowy, zabójczy, właściwie samo myślenie o buncie to rodzaj zbrodni. Byłam zdolna do zbrodni, dlaczego nie? W tym mieście jednak wydawała się pozabawiona znaczenia, i może nawet prawnicy i policjanci nie zgadzałyby w niej nic prócz nudy.

Przyśladaliśmy czasem: on mi dawał koty za wzór. Potrafiły wyrzucić swą treść. Chciałam. Przychodziło mi to coraz ciężiej i trudniej w miarę jak płynął czas, szłam szczerząc kości, bo dokuczało mi pragnienie i w gardle miałam zbyt sucho na prawdziwy miłosny wrzask — nie przeczyłam, że był obowiązkami. Niebo było wciąż szare, nawet w pogodny dzień, zwał się głośno, i wiało urazą i wstrętem.

Przyjeżdżałam z daleka, po nocy spędzonej bezsenności w pociągu; z dworca biegłam na jego ciemną jaszczkę, upiśniętą uliczkę — brama domu, podobnie jak w całym sąsiedztwie, zaryglowana od środka, a za nią dopiero były drzwi z dzwonkiem. On wiedział, że przyjdę, kazał czekać aż wstanie rzetelny dzień, miały kolejne kwadransy, trwała cisza, zapomniałam gdzie jestem, a wtedy otwierało się jego okno wypięte farbą z framugi i, rzecz jasna, wyraz oczu miałam daleki od namiotności, żaden kocik krzyk w nich nie krzyk. Rozczarowany mężczyzna marszczył brwi, schodził nareszcie na dół, strzepywałam jaszczkę farbą z kolnierza, wstałam i podawałam mu rękę. Mężczyzna pragnął mnie bardzo, zaspokajał pragnienie do przodu — na kilka godzin byłam mu już niepotrzebna, szłam spać na stych, gdzie roło się łatem od pcheł, a nad łóżkiem wisiał mój wielki portret

w kształcie serca. Kładłam się byle jak, bo nie było luzienki, a on przy mnie, po czym budził i zabierał na kolejną przechadzkę.

Gdzieś dopiero po roku ośmielałam się zająć do kawiarni. Nie wiedziałam dokładnie, czemu chcę właśnie tu, mężczyzna cierpliwie tłumaczył, że uciekam od siebie, coż mogłam mu powiedzieć? — Ze zrzeczywistości dokoła zastąpiła mi najwymyślniejsze symbole i niepojętymi szparami przesyppawała się, jak w klepsydrze, do moich wierz. Mężczyzna czytał wiersz, mrużył oczy boleśnie, bo na kartkach gromadził się kurz, nawet tu, do kawiarni, szaro-rudawy kurz starych cegieł przenikał za łada podmuchem wiatru. Na powierzchni herbaty strącała się jego cienka warstewka i dotykając wargę starałam się nierzad odgadnąć, co też piję: resztki topornej późnogotyckiej fary, kolegium jezuitki, gipsowe usta anioła z portalu klasztoru bernardynów, gdzie roło się przecieć od takich rzek? Z rynku dobiegał zgrzyt tramwaju na spekalnej mijance, zgrzyt drzwi, niebieskie stoliki kawiarni pokryte spękanym laminatem, przy barze trzy kelnerki podobne do Moje — ciekawe, jak by zareagowały, gdyby poprosiły o herbatę z prochami archanioła?

Tak, wszyscy czują, że jestem obca. Od tyłu lat głąbiłam się nigdzie właściwie nie chcąc. Mówię, że nienawidzę, ale czy w ogóle można nienawidzić czegoś, za czym wcale się nie tęskni? Na swój sposób tęskniłam i koci wrzask błąsł mi kiedys w gardło na myśl, że przecież mogły go zdradzać, mam w hotelu ten pokój, a samotna kobieta w takim mieście jest nagminnie witana jak kobieta bezczna; mrużąc oczy uśmiechałam się do przechodniów. Strzegły Moje. Odpadały mi od stolika obcych mężczyzn. Nienormalny mężczyzna, który poszedł raz za mną aż do hotelu, stał zatem na przystanku tramwaju — mogłam wyjść, wiało go sobie, choćby w krzakach karłowatej wierzby nad rzeką. Znaleźliśmy porozumienie, jestem pewna, w hotelu nocą myślałam o nim i ręce błądziły mi po całym cieple, lecz jasne, że w świetle dnia udawałam, że wcale go nie znam. Mój mężczyzna był zresztą zazdrośny i był dumny, był skrajny, był nieobjęty. Gdy uświadamiałam sobie, że kelnerki w tym barze wduwały od młotów w już lat, jak tak siedzę, a mój cień szarzę po słupem przystanku na rynku, mój drugi cień w jakimś wnętrzu kościoła, (wszyscy się przecieć znali dokładnie), zakuje poploch i chciałyby zmikać. A po paru godzinach mój mężczyzna zatrzymał się też w pierwszej odległości naprzeciwko lokalu; udawał, że nie widzi mnie wcale, wychodziłam płacąc bardzo pośpiesznie i biegłam. Objęłam mnie wtedy, dostrajalam swój krok, oboje szliśmy tym jego starszym kosiowym krokiem w sklepioną bramę. Czasem mijała nas jego matka, uśmiechała się z zachwytem i jemu jąśniała też twarz, był śliczny jak jaleczko, mawiała, pokazując mi owinięte we wstążkę byleczkę i widelczyk, którymi jadł jak był maly, aja uśmiechałam się w zamyśleniu, które brała za jakąś potwarz i on mi musiał tłumaczyć wciąż na nowo o duszy, o wrażliwości na innych, tym bardziej jeśli chce wejść do rodziny i utrzymać tu zgodę przez długie lata.

Miał rację, bardzo trudno bywało mi się wczuć w kobietę tak zupełnie od mnie inną. Ale byłam zmęczona, bo krzywy bruk, za wysokie obcasy, wszędzie wyrwy, rozpadliny i nierozpoznane.

Rzaskam zresztą wszystkich, nie tylko ja. Była dla mnie uprzejma, pościwiała się chętnie dla syna. Straciła już jednego — mówiła — zna, co to łęk. Jak także się czuła strwożona, ledwie wysiadalam na dworcu. W tym mieście dworzec jest nowy, lecz bez cienia zachęty i zbędnego dla przybyłych komfortu. Miasto sobie wystarcza: tuż za stacją nie park, ale cmentarz, nie osłoniłony niczym, jakby jedyna żywa doprawdy tanka wśród ceglanych, zakurzonych ogromów. Ekspres mija ją z wyciem, przeskakując błyskawicznie przez most. Żelazny, o mocnych przędlach. W promieniu wielu mil nie ma innego mostu, nie ma wsi ani osad — plynie rzeka, podmywa i nadgrzyza gliniaste ściany, i opadają w topiel ciagle nowe i nowe rzędy stutków, maszkar, aniołów. Z drugiego brzegu rzeki brunatne cielsko miasta upodabnia się niekiedy do skał. Probowalam tu kiedyś kiedyś czas od początku, w upalny wieczór leżałam pod spichrzem i zachodziło czerwone słońce. Na te słońca odcinały się czarno sylwetki walczących niezmiernie zwierząt, szczerów i kotów, i w absolutnej ciszy nie mógł zgłaszać śmiertelny piask. Wlokłam się do hotelu, za mną oni, oni dwaj, potykając, nie chowalam nawet skrawionej żyłki. Jest jasne, że pusto na rynku, że ten człowiek jest modli gdzież za mną, żartwie modli.

STROMY BRZEG

Jestem głodna. Trudno tu coś poradzić, ale nie bój się, nie mam do ciebie żala, choć wcale nie jesteś bez winy. Po pierwsze, chciałabym uprzedzić tuż wyderki: że dekluję się głodem. Są rzeczy przyjemniejsze — pamiętam! Zmieniło się prawie wszystko, ale przecież nie mam amnezji. Chociaż głód z bliska dochodzi mnie niż kiedy odganiamy to widmo, a ono przyjmuje wciąż nowy kształt — zupełnie jak w bajkach o zamienianiu się w płomień czy w węże. Widno jest wciąż głodem dostarczać wkiechłych podniet wyobraźni. Potrafi spowić jak lepka mgła: żyje się wtedy we śnie i wszystkie sennie wiezi rozpełniając się z tępa zachłannością.

Tymczasem z bliska głód traci tę moc ekstrepi. Jest się zwyciężnie głodnym, myśli się o jedzeniu — wprawdzie nie tylko, ale już starczy byle skojaczenie i wraza fizyczny głód. Więc z bliska przeżywanie go jest mądzie, jest — ba — w całkowitym zasięgu i myśli, wiesz? — że człowiek tym bardziej się łęka, im mniejsze jest zagrożenie realne. Stąd już blisko do piekła, czyż nie? Ja myślę często o piekle, ale może nie jestem naprawdę głodna, tak do koka, gdzie pewnie jeszcze inaczej czuje się głód. Z pewnością mi przytakniesz, ale zamiasz swój stan eskalować, zajmaj się po prostu odczuwaniem ziemi. Jeśli można się zniżyć do ziemi, najprostiej płasko leżąc, doznanie pokrewieństwa oszalała jak dawka narkotyku.

Dzieje ludzkości to prawie dzieje głodu. Siedzę na trotuarze z kolanami podkurczonymi pod brode. Przede mną karika, że jestem głodna — nie więcej. Bez próśb o zapomogę, wyjaśnię ci jej oblicie. A ponieważ jestem kobietą piękną i — co gorsza — zadbaną, otrzymuję jednego tylko typu propozycję. Cóż, pod tym względem

odczuwam przesyt. Mogłabym położyć tu jeszcze książkę z mą fotografią na obwołucie i byłabym już zupełnie nieostowna.

Z początku miałam pewność, że powstrzymam się zawsze przed ostatecznym krokiem, którym jest uścisnąć na trotuarze wypisywasy kreślą na ziemi czy olówek na kawałku tektury: CHCĘ JEŚĆ — a wypisując te słowa użyłam linijki i grafionu, wcale nie drżały mi palce, znacznie bardziej nerwowo potrafiłam się zrywać, gdy dzwoniłeś do drzwi (mój głos natychmiast brzmiał martwo, jakby pękł, jakbym chciała się schronić w swoim własnym rozbić). No i kusił mnie właśnie głód. Jako rodzaj pustelni: ciebie nawet nie nęcał jej prog.

Któregoś razu wyczułam mi się słowa, które odwoływałam, ale ty je pamiętasz do dziś: że wolę umrzeć z głodu niż z tobą zostać. Zrobiłam na to minę jak bóstwo, które, by okazać swą moc, spełni nieopatrzoną modlitwę choćby kosztem końca swego kuku.

Jeśli przeznaczenie istnieje, to cały wszechświat (nie wiem czemu tego słowa nienawidziłeś?) musi się okazać logiczny, więc każda z jego molekuł i chwil dopełniała... czary mego głodu. Oto dar! Głód męczy i kiedy nie ma co jeść, przekonujemy się tylko o rozmiarze znużenia.

Wkolo barwne wystawy i światła reklam. Za rogiem jest sklep z wędlinami, usiadłam jednak tu. Nie wyglądam inaczej od pań mijających mnie w górce; z mego poziomu widać skazy obuwia a często i pończoch. Moje są idealnie całe, pachną perfumami Guerlin. Dostałam je jeszcze zimą, tak samo szpilki. Oczywiście, że mogłam włożyć coś zwyczajnego — że należało — że skutkiem braku woli wyglądam groteskowo jak na to miejsce. Problem w tym, że nie nie mam. Wyrzuciłam co gorsza garderobę w rosnącym rozdrażnieniu, że brzydka.

Nie zmienić też urody, chyba tylko kaleczyć sobie twarz. Powinam przynajmniej być smutna, zgazowana, gorzka, błagalnie patrzeć — rozbawiona może nie jestem, ale sam przynasz, że uwolnienie od ciebie jest już porządną gratką, a zresztą coś, najwyżej. To, że umrę, jest nieuniknione. Powiedzieć można, jedyna rzecz, co do której nie mam najmniejszej wątpliwości. Mogę odwracać myśl, żyć innymi sprawami, doświadczenie ogłocić świadomości że śmierci, a to zupełnie tak, jak czerpać ocean żyłości. Jeśli razi cię ascetyczny ton, bądź spokojny: właśnie miał wlosienicy mam te kilka cudownie pięknych rzeczy: zamznowe szpilki łagodnej losowości barwy, niekształtne linie nóg pod jedwabną siatką pończochy. I dookoła jest pięknie, niebo się powoli rozgwieżdża.

Sucho, ciepło, wygrzane płyty trotuaru. Jest coś wspólnego pomiędzy mną a czystym szarym chodnikiem na najświeższej alei świata. Może w poprzednim życiu byłam granitem, odłupał mnie, a następnie odrzucił ten ktoś, kto zauważył bezbłędnie mą rysę; że skazę osobowości, która teraz stworzyła koryto strumienia głodu. I w rezultacie znalazłam się w kamieniarskim warsztacie, by jednak zostały zużyte zdutniejsze moje części — może w odległych wiekach byłam zatem kamieniem w murze którejś ze świątyń i stąd metafizyczne inklinacje? Ty w poprzednim wcieleniu nie byłeś nigdy egiptotajcą twarzą twarzą blokiem granitu; z rysą czy bez. Adam w poprzednim życiu był błotem, garścią ziemi.

Ktoś rzucił mi pod nogi monetę, drobny grosz. Odwraca oczy. Czy trzeba się do niego uśmiechnąć, w ogóle: jak? Czy czuje, że między nami nie ma barier, nawet jeśli w przeszłości nie wspólnego miał ze skałą ni biotem. Leżałam w dwóch ramionach i przepadałam bez sensu nad nami nocą i dnie, lecz nawet wtedy nie było obojczy do końca: była wszędzie indziej omijając ów dziwny punkt — nas! Myślisz się, że to forma wyrzutu. Na poziomie ziemi chyba czas już oszczędzić sobie sądów.

Ktoś jeszcze spojrzał z niesmakiem. Hipokryta! Dlaczego siedzi miast ruszyć się najwyżej na jedno sto metrów, za róg? Tam dziewczyny są, być może, uczciwsze, mają bodaj odrobinkę pojęcia co robią. Przecież jasne, że na ich cie mam wiedzę niemożliwą w swojej nowej profesji, powołaniu, taktore, czy jakkolwiek to nazwać. W istocie. Moje wglębianie się w głód byłoby już absurdem, gdybym chciała głód zmierzyć liczbę nie zjedzonych kolacji, liczbę dni, kiedy za to smakowała jak nektar. Rozkosz pocią, chłodnych kropli na ciele, na języku i brodzie — zadzieralam głowę do góry pozwalając jej spływać wzdłuż szyi, pomiędzy piersi, na brzuch. Ścięta przestrzeń u góry miała wtedy sufit ze szkła, przeriezalo coś z zewnątrz, dykalo w kamieniu jakichś żył wrażliwszych od martwej reszty.

Patrzając już całkiem chłodno, brak mi doświadczenia. Rozmawiała się wena, umykając drobniutkimi szparkami, choć trzymałaś tak ciasno i żądałaś bym domyślała też oczy. Były zbyt natrączywe — i faktycznie, po co znów rozczarować? Męczył kogoś, wznosił mo piramidą jak babki z piasku. Tu na tej ziemi, w wyszłifowanym bruku odbijamy się delikatnie, co poucza, jak zębna bywa brutalność... Właśnie z dołu coraz mocniej odczuwam że druga mnie. W całkiem innym wymiarze, który przebił znaną przestrzeń, że nagle w jednej chwili znajdujemy się obie prawie o krok. Ona stoi pod ścianą i przez moment patrzy mi w oczy: poprawiając makijaż w lusterku — ktoś ją bierze pod ramię, znikają w restauracji... Zapomniałaś zupełnie, że przecież można tam sobie wejść. Słynie z wyboronych ostrzy. Ostrygi są cudowne, gdy ktoś wkłada ci je pieszczotliwie do ust.

Druga ja, która polyka z rąk przejażdżał w tym uroczym lokalku na rogu, czy czuje — choćby w szklanym blacie stolika? Jak natrętnie zaczynają ja śledzić? Intuicja mi mówi, że tak. I nawet przenika ją głód. Dotkliwe ssanie w żołądku na widok potraw. I jak spiesznie polyka ostrzygę, aby zdążyć ją zjeść, nim się jeszcze zamienimy miejscami, bo przestrzelenie tu tańczą jak pszczoły podczas gościa. Bo kiedy ja byłam nią, a ona mną, nasz kontakt przestał istnieć. I kiedy byłam kawałem pękniętego gdzieś w środku granitu, moze zjadła coś na mnie, skradzionego łakomie, moze w ogóle nieładzka, żarła ciało, bo położyło mnie na czys grób? Zresztą, moze dziewczyna uciekała na cmentarz przed męczyzną, który budził w niej strach.

Ostatnie, że i także próbowałaś ci wrzeszcze poruczyć i odeszłam na cmentarz, alga wyszadząc lipami, które kwity aktyw i w powietrzu brzytowały roze pszczoł. Nagrobki były całkiem podobne, tylko jeden odbijał od reszty. Polny kamień. Usiadłam, poczułam że ciepły. Litery zarosły mchem, zresztą ciężko mi czytać gotykem, myśli całkiem

rozprzeczły — nim zdołałam się skupić, odszukałaś mnie, co było, wystyd przynależ, podniecające. Już razem, przytuleni, szliśmy wąską uliczką i, pamiętam, ani razu nie obejrzałam się.

Wstąpiłam na lody licząc wspólnie z jednego kubka. Zapachniało z piekarni, zupełnie tak jak teraz tu pachnie. Jeśli bruk też wydzielił te woś? Zrozum, że jestem głodna, w mej sytuacji trudno chyba wymagać, bym myślała z finezją, bym nawet trzymała się wątku! Jak moge udowodnić, że jesteśmy jednością, tak bardzo niepodobne: ja tamta i ja, której obiecała? Ja nie jestem możliwa, a ona jest. Gorący chleb, wiatr znova powiem, a chleb bym jadła najchętniej tylko z solą — kubek wody, solniczka, dębowy stół. Lniany obrus — szorstki, mlecznobwały, bez ornamentów. Siegały ab do trawy, a nóż miałby trzonek ze srebra. Słońce by zachodziło, cały ogród leżałby na stromym stoku, w dole morze i skały kątane ciągle przez fale i wiatr. Dziewczyna za oknem uniósł do ust kieliszek — właśnie koloru wina byłoby słońce! Ty nie byłbyś obecny. Podniosłabym kromkę z jej płomiennym szaleństwem, zupełnie tak jak ona — o, patrz! — błyskałaby woda w kubku i w morzu?

Zamknęłam oczy — orzeźwił mnie nowy pieniąż: położył go ktoś delikatnie przede mną, jak gdyby składał coś niepojęcie kruchego i właściwie nie powinienam go dotknąć. Zachowałam tę monetę, położył tak samo cicho przy zdjęciu mego ojca, a on, gdyby tuł znowu przechodził, byłby także zdumiony, że mnie spotkał, nie widziałą od tylu lat. Dziwiłby się wszystkiemu, doprawdy. Te chociażby tu siedzę, nie w ogródku kawiarni: zawsze przeleż wymykałam się z domu do takich miejsc. Ojciec dałby mi rękę i podniósł łagodnie, i zaniósł do prawdziwego domu, jak we inie niedawno, przez błota, zaś matka nakryłaby stół i na obrusie postawiłaby naszą małą solniczkę i chleb. Patrzyłby zdziwieni na moje wiersze, na me obrazy, na mnie samą ubraną w szary jedwab, w zamyszowanych pantofelkach, widząc senność tych barw, i nie padłoby słowo, bo słowa są rzadkie w snach, bardzo rzadkie. Rodzice dziewczyny z kawiarni zabrałby ją w jeszcze głębszym milczeniu, lekka poprzecz rękę, z oczami przykniętymi w ułpnie. Krokami leciały, by nie potuła kieliszka, a ona miałaby jeszcze ostrzygę w ustach. Niebłaby ja tu najpiękniejszą alją świata, droga wlałaby się zagadkowo całą noc, lecz szłyby wypoczęci, bez bóla pomimo bosych stóp.

Może w poprzednim życiu już tędy przeszli: ja także mam wrażenie, że kiedyś tędy szłam, tylko to było dawno i w tych okolicach miasta nie było żadnych domów a tylko noc, i żelazne sztachety przy bramie. Cmentarz, jasne nagrobki i obły kamień. I inne miasto — drogi w mroku są do siebie podobne — lecz tu opadała na koniec wielką skarpą z kamieniołomem, a w otchłani na dale żalo morze; wiem na pewno, że podniecia przyspyłu.

Urszula M. Benka

ANETA PIERZCHAŁA

Analogie między wypowiedzią snu a wypowiedzią poetycką (rzecz napisana specjalnie dla Alicji powracającej z Krainy Czarów)

O ile trudno nie zgodzić się z tym, że poezja jest specyficznym sposobem wypowiedzi, o tyle sformułowanie „wypowiedź snu” może wydawać się dziwaczne, paradoksalne. Budowla zakłada istnienie budowniczego. Wypowiedź zdaje się informować o istnieniu osobowego nadawcy, kogoś, kto byłby podmiotem w stosunku do przedmiotu-znaku, pełnił rolę konstruktora. Bardzo silne jest w nas przekonanie o konieczności istnienia osobowego organizatora wypowiedzi.

„We nie podnie ulega dezintegracji. Granica podmioty „ja”, „nie-ja”, między tym co wewnątrz i tym co na zewnątrz podmioty zostaje zburzona. Doskonale ilustruje to sytuacja Alij, „o krainy czarów” – bohaterki jednego z dwóch (obok *Finnegan’s Wake*) Joyce’a arcydzieł, których myśl przewodnią jest analiza ludzkiego umysłu postrzępionego we śnie. Dzielawczy, niejasny, nie do końca zrozumiany w dziwnie rzeczywistych ujęciach, który rządzi się jakimiś tajemniczymi, nie patując na „światem”, który rządzi się jakimiś tajemniczymi siłami. Trudno jest Aliji odkrywać zasady konstrukcji osaczającej ją rzeczywistości, skoro nie wie czy jest jeszcze sobą czy już swoją koleżanką, albo jeśli obgaduje czym przepukając własne stopy aby posyłał tam dąk do siebie iś. Zjawisko dezorganizacji podmioty, z jakim mamy do czynienia w marzeniu sensnym jest, jak się wydaje, podstawowym powodem dla którego sformułowanie „wypowiadać sen” budzi zastrzeżenie. Sen bywa kopany z zaleśnieniem, śni się w sposób nieprzewidywalny, nie ma w nim żadnych trywialnych przekonań. Skojarzenie to zdaje się być logicznym następstwem przekonań, że wzrost energii podmioty jest wprost proporcjonalny do wzrostu energii podmioty. Dziecko które nie zasypia, ponieważ „duża we śnie ucieka jak pies w noc” (*Jung Archetypy* *Lymbol*). Iżelnie zapewne jakakolwiek nieurodno źródło tego jak, skoro myślenie pokrewiło się sennemu i snu znajduje wyraz w XX-wiecznej poezji.

Oczy napotkać nie imiem w snach
 śmierci królestwie jennym

(3)

*Obym już nie był bliżej
sennego królestwa śmierci*

(T.S. Elliot, *Lucifer sprouts new*)

Czy wobec tego możliwa jest organizacja w marzeniu sennym? Wyobraźmy sobie coś na kształt dziecięcego kalejdoskopu. Drobne, trójwymiarowe elementy znajdują się w ograniczonej przestrzeni. Każdy ruch powoduje ich przemierzanie. Ślasy tego ruchu jest być może przypadkowa, ale figury wprowadzone w drganie dopasowują się do siebie — tworzą przestrzenny obraz. Czy w tym wypadku same „składniki” nie są źródłem organizacji? Oczywiście są. To pojędny element swoją budową decyduje o kształcie tych, które do niego dołączy. Wydaje się, że z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia we śnie.

Istnienie możliwości organizacji wypowiedzi bez osobowego projektanta powoduje koncentrację naszej uwagi na niezwykłym, „samoporzadkującym się” materiale – znakach. Rzeczywistość marzenia sensnego „budują” wszystkie rodzaje znaków: obrazy, słowa i elementy będące „rodzajem przemikczenia znakowego w pełnym walorze semantycznym” (D. Daneł).

Również poezja, nastawiona jest na samą siebie, wytworzaną wznajęcych związków między słowami, wewnętrzną organizację przekazu. Fenomen funkcji poetyckiej języka dobrze ujęty został poprzez teoretyczną myśl Sławińskiego, mówiącą, że w poezji sam znak staje się główną informacją, informacją o swoim połączym. W poezji, jak pisał Sławiński, „*język jest nie narzędziem, lecz procesem*”¹. W poezji, jak uważa, jest coś, czego znamieną poetyki nowocześniejszej – *lyricism* posiada wystrzoną świadomość specyfiki języka (poetyckiego) jest taki rodzaj krańca, „świata”, który spręża depersonifikacji, dehumanizacji wypowiedzi. Przestrzeń i czas są zorganizowane w ten sposób, że podmiot pozbawiony zostaje własnych granic, poddany alienacji, jakiej co nie ulegamy w naszych snach. Poezja Baudelaire’a – czyż nie jest to, co pisał Sławiński, „*złoty wiek*”?² W poezji, jak uważa, jest coś, czego znamieną poetyki nowocześniejszej – *lyricism* posiada wystrzoną świadomość specyfiki języka (poetyckiego) jest taki rodzaj krańca, „świata”, który spręża depersonifikacji, dehumanizacji wypowiedzi. Przestrzeń i czas są zorganizowane w ten sposób, że podmiot pozbawiony zostaje własnych granic, poddany alienacji, jakiej co nie ulegamy w naszych snach. Poezja Baudelaire’a – czyż nie jest to, co pisał Sławiński, „*złoty wiek*”?²

Przykład konsekwentnego eliminowania treści z poezji, z wyłączenia tego, co należy do sfery ludzkich doznań i przerw, to poezja, która wszelkie nawiązki związków z realnym światem (A. Hutniakiewicz)

Wszystkie te oskarżenia prowadzą do wniosku, że w poezji, tak jak i w śnie, bohaterem jest nie osoba, ale znak. Rzeczywistość, o której snuje się opowieść we śnie i poezji nie podlega prawom poznania empirycznego – „znak i dyktant zostają oddalone od siebie tak daleko, jak to tylko możliwe” (Friedrich). Dziś radykalnemu zjawisku, jakim jest poezja, przysługująca połowa XIX wieku poezja została przywrócona. W poezji, jak i w śnie, „znaki” są swobodne w swym dziele, nie podlegają żadnym ograniczeniom. Z językiem poetyckim, pisał Novalis, jest podobnie jak z formułami matematycznymi, tworzą one swój własny świat, zabawiając się same ze sobą. Przykłady odwracania języka od rzeczywistości i specyficzne jego organizacje (o cechach operacji logiczno-matematycznych) odnajdujemy w kreujących świat snu książkach Lewisa Carrolla.

Przyjdźże wspominać o pogórku – przetrwała Krowka – mogłabyś mi opowiedzieć, jak to było, w tym świecie, w którym nazywałeś ten dom „świat” wyrażnie „rozciągniętym” –

„Świat”, „Widzę, że nikogo nie ma na drodze” – operacja logiczna: wyrażen przeczyczych używa się, jakby były prawdziwymi. (Przykład ostatni pojawia się w pracy Mallarmé’a *Język i abstrakcja*).

Konsekwencyjnym znakiem autonomicznego żywotu (wy-
powiedź snu i poezji) jest zgodna na fakt, że posiada on „pamięć”
związaną z jego własną strukturą. Może „interpretować sam siebie” oraz
„gawędzić” z innymi elementami. Być może ze znakiem jest tak,
jak z głosem, który w sobie zawiera, który uważa się za płaską, dostrzegając
tylko jeden z jego boków. W snie, w poezji znaki, uwalniając się od
naszego nieważnego spojrzenia, okazują w pełnym kształcie. Pro-
wulguje on swoją budowę nie tylko element, który puszcza do jednego,
znanego nam boku, ale również inne, zaskakujące elementy. Znak
staje się częścią życia, który nigdy nie udaloby się ułożyć z płaskich
„składowków”. Śnimy, czytamy wiersz i zostajemy oczarowani,
zadziwieni. Na krótko zapominamy o niechęci do wszystkiego, czego
sposób „ujawnić intencję”, co wytrąca z zagospodarowane
przebiegi, zamyka, ustala nowe relacje. W rzeczywistości
zostajemy „zręczystymi” w tym, co jest „wzrostem”. Wzrostowi,
w którym współistnieją rozkład i organizacja. Twórcze porządki
nie jest bowiem niemożliwe bez poprzedzającego je chaosu skłame-
niowych struktur.

Rozkład, mający miejsce w wypowiedzi snu pozwala na sięgnięcie „w głąb” znaku. Podobne zjawisko ma miejsce w poezji, która

przeciwstawia się procesowi formalizacji, demotywowi języka. Fónagy snując rozważania na temat specyfiki języka poetyckiego zauważa, że język ten cechuje ścisłość „sensu pierwotnego” i „sensu świadomości wyrażonej”. Daneł analizując budowę znaczeniową snu wyprowadza wniosek o jego dwuwarstwowości semantycznej. Myśl ta pokrywa się z twierdzeniem Freuda o współistnieniu w śnie treści jawnej i treści ukrytej. Tym samym zarówno we śnie jak i w poezji ma miejsce „plastyczne przedstawienie słowa”. Znak przestaje być „jednowymiarowy”, „odejrzany” zostaje na nowo, w całej swojej złożoności. Kiedy podczaś „obłąkaną herbatką” zapytano Alicję o stosunki, w jakich pozostaje z czasem, dziecko odpowiedziało: *Wiem, że muszę wyjechać czas podczaś muzyki. — Ach, to wyjaśnia całą sprawę — powiedziała Kapelusznik — nienawidziś on bicia. Ale gdybyś utrzymywała z nim przyjaźnię stosunki, uczyniłabyś z zegarem niemal wieloznacznego czegoś byś zaprzęgnęła. Anegdota ta jest możliwa do odczytania (i śmieszna) dziełem sensu, że sens jawny stał się sensem ukrytym i nie jest już obecny na poziomie świadomości wyrażonej. Anegdota wydobywa sens ukryty słowa.*

Podobne mechanizmy działają w poezji, gdzie obserwowujemy szczególne wyczerpanie na sens pierwotny słów. Wystarczy sięgnąć po wiersze Norwida, mistrza reaktywowania znaczeń doświadczeń, żeby uważała ta nie wydawała się gołosłowna. Fónagy trafnie zauważa, że „podczaś gdy mowa dąży do stwarzania jednostek semantycznych, za pomocą słów, często kojarzonych w użytkowaniu, poeta przeciwnie, dąży do rozbijania jednostki semantycznej słów, którymi się posługuje, aby wydobyć z nich nowy sens”. Tak powstają między innymi etymologiczne poetyckie, będące skutkiem nagłej anagnej. Daje ona świeżość i intensywność spostrzeżeniom, prowadząc do uświadomienia struktury nadrobniejszego elementu rozmownego całości. Efektem tej świadomości jest twórcza organizacja. Siła poezji i snu tkwi w niezwykłym dynamizmie rozkładu. Coś podobnego musiał mieć na myśli Novalis twierdząc, że z każdej poezji przewiecz się chaos.

Świadomość „przezieleni znaku” wpływa na sposób organizacji wypowiedzi. Dochodzi do spójnia elementów znanych, które wdrinane w różnorodnych związkach prowadzą do odkrycia nowej rzeczywistości. Na tym polega ekspansywność snu i poezji. W dużym uproszczeniu wygląda to tak, jak słowa-waliki z poematu, który recytował Alicja Humpty-Dumpty. Otóż, połamił dwóch słów — złączył je sobą tworząc trzecie słowo, które natychmiast zaczyna swój autonomiczny żywot. (Nie chcę w tej chwili poddawać analizie techniki sennej montażu. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na autonomiczność tworu powstającego na skutek zaistnienia określonych korelacji między elementami pozornie hermetycznymi). Funkcją poezji i snu jest „wywieść nieznane ze znanego jak czyni to analityk w znaczenia matematycznych” (Novalis). I w ten sposób, niepostrzeżenie, wchodzą na grunt teorii metafory — „skondensowanej formuły języka poetyckiego”. Metafory tworzą analogie, ustanawiają odpowiedniki, „są instrumentami demirgicznymi” — to książki snu i poezji.

Z faktem „przezieleni znaku”, charakterystycznym dla obu form wypowiedzi wiąże się jeszcze inne, interesujące zjawisko. Jest nim wieloznaczność, polifoniczność przekazu poezji i snu. Wielowymiarowość wypowiedzi marzenia sennego została już w pewnym sensie zapowiedziana wiedzy, kiedy nasza spojrzenie padło w głąb „dziecięcego kalejdoskopu”. Przestrzenność elementów sprawia, że jeden „składnik” może przywoływać inne — równocześnie. Każda cząstka niesie ze sobą wiele znaczeń, a przeciwstawie nie wykluczają się wzajemnie (zasada wyłącznego środka przestaje w tym przypadku obowiązywać). Daneł uważa, że „wartość semantyczna snu jest przeprzeżona znaczeniem — czyli właśnie znaczeniowo symul-

tańcizna”. Podobna uwaga dotyczy poezji — gdzie każdy element znaczy wielokrotnie, a wszystkie znaczenia są równocześnie. Przepiętnie znaczeniem snu i poezji wpływa na nieokreśloność, wieloznaczność tych form wypowiedzi. Elementarna wieloznaczność przekazu poetyckiego polega na tym, że „słowo gra swoją złożoną biografią. Swoją kształtującą się dopiero biografią uczestniczącą danego zespołu. I swoją dotychczasową biografią ukształtowaną w wielorakich sytuacjach komunikacyjnych” (Sławiński).

Analogiczne zjawisko ma miejsce w wypowiedzi marzenia sennego. Wypływa ono z faktu jej dwuwarstwowości znaczeniowej. Treść jawna snu jest, jak się wydaje, związana z konwencjonalnym wartościowaniem elementów. Istnienie treści ukrytej jest wynikiem związków stworzonych między tymi elementami w rzeczywistości marzenia sennego.

Z podobnymi, jak we śnie i w poezji, mechanizmami budowania wieloznacznego komunikatu mamy do czynienia w „wzrytkich” kalamburach: — *O, gonimymy i długi mnie los: Smutny i dług jak ta opowieść — powiedziała Myszk. — Ogon smutny i długi. Długi jak, ale dlaczego mówisz, że smutny? — zapytała Alicja. Wartość znaczeniowa słów i ich wartość brzmieniowa izolowały się — przestały tworzyć harmonijną całość ze zhierarchizowanymi elementami. Rozdzieliły się i każda „poszła swoją drogą”. Jednocześnie zachowana została pamięć o słowie. W efekcie wypowiedź ta tworzy zadziwiająca konstrukcję. Oto na pierwszy układ elementów zostały nałożone elementy przetworzowane.*

Analiza rozmowy Alicji z Myszką prowadzi do jeszcze jednego odkrycia, które wydaje się być bezpośrednio związane ze zjawiskiem wieloznaczności wypowiedzi. Otóż w dialogu tym czas biegnie naprzód i wstecz. Odpowiedź Alicji zamiast przystawać do komunikatu Myszki poddawała się wstecz, „na miejsce” wypowiedzi zwierzątki. Alicja — „własnym aktem mowy wydobywa ze słów partnera dialogu pewną warstwę znaczeniową, która zawarta była potencjalnie w jego wypowiedzi Myszki” (Daneł). Oczywiście, jest „to” okropnie zagmatwane, ale jak mówiła Królowa: *Są to skurki życia na wznak. Wszakim od tego początkowo kręci się w głowie.*

Poszukiwanie analogii między poezją a snem trafnie podsumowuje teoretyczna myśl Paula Valéry'ego dotycząca sposobu widzenia poetyckiego. Sposób ów polega na tym, że wszystkie możliwe przedmioty zwykłego świata, zewnętrznego czy wewnętrznego, wszystkie istoty, zdarzenia, uczucia i akty nie przestają pozostawać tym, czym są zazwyczaj, nawiązują wzajemne relacje nieokreślone, ale w każdym momencie odpowiadające nauce powszechnej prawdziwości (...). Odpowiadają sobie i kojarzą się w zapamiętany sposób nie zwykłym, zostają umiarkowane, zharmonizowane, jedne drugim, nadają rezonans i układają się w harmonijne odpowiedzi (...). Świat poetycki ujęty w taką definicję wykazuje analogię ze światem snów.

— *Wiem*

Aneta Piętrchala

Lewis Carroll: *Alicja w Królestwie Czarów*, tłum. Maciej Słomczyński, Warszawa 1972.

WILLIAM STAFFORD

Jak pisze

Rano leżę lekko podparty
jak Thomas Jefferson, kiedy spał
w Monticello. Potem przerywam pisanie i
odwracam wzrok jak Emily Dickinson, kiedy
myślała o karcie i musze.

Kiedy ktoś mi przeszkodzi, wracam
jak Pascal z owych nieskończonych przestrzeni,
ale bez tej pociechy, jaką niesie ze sobą
matematyka; tak więc, dziwnym sposobem,
świat wokół mnie staje się jeszcze straszniejszy.

Poza tym otacza mnie plonący świat
świętej Teresy i dzikie twarze, które obudził
Dante, kiedy zastąpił w owo ciemne posępne
jaskinie. Ale nad moim dachem nachyla się moje
własne żylwiwe niebo i słychać szmer chwili obecnej.

Niebo długo czekało na ten dzień.
Drzewa wygaśniały gałęzie,
rzeka z trudem dotarła do swego koryta.
I oto ja doprowadzam mój skromny rozum
nad brzeg oceanu i pozwalam mu myśleć.

Głowa opada zmęczona, kiedy myśli
spływają na papier, ważne dopiski
po chwili tracą znaczenie, jak fale,
Ocean i ja musimy wiele kamyków
znaleźć, obmyć i powyglądać.

„Co się stanie z tymi wszystkimi skalami?”
„Obroć się w piach.” „A potem?” Ręka przystaje.
Thomas Jefferson, Emily Dickinson,
Pascal, Dante — także wszyscy pauzują.
Niebo czeka. Pochyliam się i piszę.

Cienie

W miejscach takich jak Wyoming niektóre cienie
wykrawa się i nakleja na skamieninach
a góry kruszeją, kiedy przeciągają
przez nie obłoki. Słychać tykanie słoneca
odlupającego kanty białych kamieni.

Kolo fontanny na Main Street zobaczyłem
nasz cień. Nie pil, ale kiedy ja pilem,
czekał cierpliwie na cienie i wodzie.
Było dwoje ludzi i tylko jeden cień.
Spojrzałem w górę tak twardo, że przelatujący
ptak zostawił na niebie swój ślad.

Jest takie miejsce w powietrzu, gdzie
stał nasz stary dom.

Kiedyś pełzałem wśród idźbels trawy, aby
usłyszeć szmer ich cieni. Jeden cień
poruszył się, i była to ziemia w miejscu,
gdzie przechodził kret. Słyszałem szelest
małych łapek i futerka przeciskającego się przez
tunel, a nawet, jakimś sposobem, chrobot kreciego cienia.

W moich modlitwach pozwalałem, aby przeszłość
zaczęła się, a potem skryła za tarasniczą godziną,
w kościółkach, gdzie serca pompują kanzania
ze studzien wypełnionych cieniami.

Przekraczanie granic

Bywa, że tłumacz wychodzi z domu
i słucha jak strumienie przepływają granice
tam i z powrotem. Śsąc mietówkę
nagle odnajduje w niej jakiś
fantastyczny nieznaną smak,
smak ożywający owe zatarcie już w pamięci
języki przekleństw i wyzwisk,
które zgładziły miliony istnień traktując je krzyżem
jak toporem, półksiężcem jak nożem,
lub gwiazdą, która swą czerwienią wypaliła ziemię.

Ten fantastyczny nieznaną smak także się zaciera
leż przedtem jeszcze zwłeka na granicach,
aby tłumacz mógł deklonować się nim dyskretnie,
ciągnąc długi u obu stron i przez moment skupia w sobie
całą sferyczną gładkość wieczornego świata przed zachodem słońca.

Wakacje

Nachylam się, by nalać kawy i widzę:

Trzech Indian w prażącym słońcu —
nad wykopanym w żwirze grobem kłania się
podmuchowi przejeżdżającego pociągu —
Ktoś odszedł.

Pyl pokrył całą Niewadę.

Nalewam śmietanki.

Uwaga na marginesie

Z pejzaży najbardziej lubię równiny.

Życie najlepsze gdy jest monotonne.

Z ludzi najlepsi ci letni i bezbarwni.

Z kolorów wybieram brąz i szarość.

Moja żona, pełna życia dziewczyna z gór

pyta: „To czemu mnie wybrałeś?”

Skrótnie spuszczaam moje brązowe oczy —

Skądinąd ludzie podziwu ludnie nie pojmują najprostszycch rzeczy.

Wylew

Lewa strona jej świata przepada —

kąca reszta żywi się pamięcią

i świadomością: Są jeszcze dzieci.

Jej pastor schodząc po schodkach werandy

mówi: „Tak, dumni jesteśmy, że wraca do zdrowia.

Aha, do Galesburga zjechał jakiś kręgarz...”

Takie urodzinowe świeczki przystoją staruchom.

BOGUMIŁA TRUCHLIŃSKA

Światopogląd oniryczny poety Rzecz o Edwardzie Stachurze

O wyborze Edwarda Stachury (1937–1979), a raczej jego poezji, jako przedmiotu analizy i interpretacji onirycznych zadecydowała jego końcówka decyzja, jedyna i ostateczna. Nie wiem nawet, czy można traktować go jako kontekst pozaliteracki, u Stachury bowiem literatura i życie stanowią jedność. W psychice ludzkiej (iż pewna skłonność do „mogilnictwa”, stąd późniejsza fascynacja twórczością, której wcześniej nie doświadczył. Podobna, wzmolona fałd zainteresowania „przeżywała” np. Sylvia Plath. Biografia Stachury i rezonans społeczny, jaki wzbudziła ta poezja po śmierci swego twórcy, skłoniły mnie do bliższego z nią kontaktu. Także do postawienia może niedyskretnego pytania: czy u tego poety, który wybiera taki a nie inny model życia i formę odejścia sen, jest odgrywa jakąś ważniejszą rolę? Pytanie uzasadnione jest w potoczny światopoglądzie, identyfikującym sen ze śmiercią, ale również w postawie Stachury. „Poeta jak Niki”, jak nikt inny, mówił o sobie powiedziew słowami Słowackiego: „Ja, wędruję sen”.

Kategoria oniryczności jako kategoria interpretacyjna ma już swoją tradycję, może nawet nie nadużywana. Niemniej sądzę, że można ją wykorzystać przy ilustracji motyów literackich bądź przy rekonstrukcji światopoglądu poetyckiego, pozwala bowiem wskazać na pewne jego komponenty, sama zrazem stanowiąc ośrodek czegoś, co można nazwać światopoglądem onirycznym. Tenże odgrywał bardzo ważną rolę w twórczości poetów dóbr romantyzmu, pozwalał bowiem na przewyższenie dualizmu świata realnego i nadprzyrodzonego, wprowadzenie dystansu wobec rzeczywistości ziemskiej i na ucieczkę w wolność, która najpewniej realizowała się w dziedzinie snu. Światopogląd poetycki dotyczy świata przedstawionego i wcale nie musi (choćbyż może) korespondować z poglądem na świat konkretnego poety. W dużej mierze bywał jednak wyznaczany przez światopogląd danej epoki kulturalnej. Podobnie bywa z oniryzmem. Właściwie każda epoka ma swoją koncepcję literackiego snu. Na jej kartalowanie się wpływał zarówno świat naukowy, jak i artystyczne realizacje. W przypadku Stachury nuty egzystencjalne i postawa negacji sygnalizują „wpisanie” tej poezji w szersze konteksty kulturowe takie jak egzystencjalizm i kontrologia. Czy będzie to miało jakieś reperkusje w światopoglądzie onirycznym? — to drugie pytanie, które stawiam tekstem Stachury. W badaniach nad onirycznością stwierdza się często, że wielość i rozmaitość użycia danego słowa jest ważnym wskaźnikiem jego ideowej i poetyckiej rangi. Dane statystyczne mogą więc być pomocne przy badaniu zjawisk tak „nieuchwytnych” jak sen. Nie przedróżno wprawdzie systematycznych studiów nad obecnością i częstotliwością występowania słowa „sen” zarówno w mowie

¹ Por. M. Strykowski: *Twórcze niepokój codzienności*. Kiele 1985.

potocznej, jak i twórczości poetyckiej, niemniej poddano analizie twórczość poetów uważanych intuicyjnie za najbardziej zafascynowanych snem, m.in. Leśmiana, Czechowicz, Baczynski, Gajgo². Z pierwszej lektury utworów poetyckich Stachury wyniosłam wrażenie, iż jest on mało oniryczny. To odczucie postanowiłam skonfrontować z wynikami analizy statystycznej, której materiał stanowiły wiersze, poematy i piosenki (bez przekładów), w sumie 206 tekstów. Wiersze obejmowały 45 tekstów utwierdzonych w nich 9 razy obecną lekkskálną snu. W jednym z utworów zaczynającym się od słów „Przystępuję do ciebie – cała boga noc” stwierdzam również metaforyczną obecność snu. Mimo że słowo to nie jest tu użyte, z kontekstów znaczeniowych (jak i z ze związków frazeologicznych) wynika, iż chodzi o sen, gdy „ja” liryczna ma ochotę zapakować się w „puch bezpamiętny”. Podsumowując: na 206 tekstów Stachury słowa „sen” używa 37 razy, średnio więc co 5,5 tekstu. Faktycznie więc nie jest to zbyt częste użycie, a już na pewno nie można mówić o fascynacji. Częściej natomiast występuje motyw nocy (noc – czerń, czarne myśli), z rzadką wiązującą się ze snem, śniemieniem, może raczej z bezsennością.

Na podstawie obecności słowa „sen” w tekście można dokonać pewnej dość prostej typologii, która może mieć charakter próby np. analiz semantycznych. Obecność bezpośrednia wyraża się poprzez użycie wprost danego słowa (ewentualnie z nim związanymi bliskościami lekkskálnymi form), natomiast obecność pośrednia, ukryta, może przejawiać się w różny sposób, m.in. metaforyczny i konstrukcyjny. Przykładem tego ostatniego jest wiersz *Metamorfoza*, którego cała konstrukcja oparta jest na przebiegu snu, w utworze natomiast to słowo nie występuje. Znamienne jest także, iż wśród tak wielu utworów Stachury jest tylko jeden, mający „sen” w tytule (*Śpiewanie przez sen*). Wśród Wierszy obecność motywu i obecność lekkskálną snu odnajduje w następujących utworach: *Unierwienie*, *Śpiewanie przez sen*, *Przeżyłem noc właśnie... Ojciec*, *Sny twój skłaniam...*, *Flirta*. W *Poematach* na uwagę zasługują: *Pieśń*. *Odpywanie*, zwłaszcza jej druga część, zaczynająca się od słów *Przez sen pisałem wiersze ciępliwie i długo*, *Pieśń*: *Zajęcia z poematu Dużo ognia*. Dział *Piosenek* to teksty takie jak: *Piosenka dla robotnika pierwszej zmiany*, *Idź dalej*, *Ech*, *Opady mgły*, *wstaje nowy dzień*, *Biłogo bardzo sławili będą ten dzień*, *Bójka w Łd*, *Śmieszno*, *Piosenka szalonego lekkiego przybłędy oraz Wędrowną cycielkę ciocienka*. Nie oznacza to wcale, że sen w tych wierszach stanowi motyw naczelny, przynajmniej nie we wszystkich. Świąd też posługują się w dalszej części swojego szkicu terminem „wyprzedzić”, co oznacza również zdanie, równoważnik zdania, bądź wypowiedź dłuższą np. strofe.

Wśród różnych prób interpretacji snu z punktu widzenia poetyki można znaleźć nie tylko próby ussystematyzowania semantycznych pól motywu snu u poszczególnych twórców, ale i próby teoretycznego uogólnienia sposobów organizowania zjawisk sennych w tworzywie literackim. Są to zarazem sposoby wewnątrztekstowej egzystencji snu. Wyodrębnić się – jak dotychczas – trzy sposoby transponowania zjawisk sennych w tworzywie literackie³. Są to:

- 1) sen jako szczególnie umotwowana anegdota („historia w historii”),
- 2) sen jako model wizji poetyckiej,
- 3) sen jako temat wypowiedzi.

Ten schemat interpretacyjny odniosłam do twórczości Stachury. Wyniki moich analiz pod kątem organizacji materii poetyckiej,

przetwarzającej sen, prowadzą do wniosku, iż najczęściej jest stosowany przez Stachurę trzeci sposób. Są to: wiersz *Flirta* i piosenka *Idź dalej*. W pierwszym utworze „ja” poetyckie przedstawia swój sen – historię dziejącą się w 1917 roku. Wiersz ten posiada dwa plany. Pierwszy plan stanowi zapowiedź snu, drugi zaś – zdarzeniowy, ukazuje sen, ale jego treść stanowi reminiscencje wydarzeń, rozgrywających się jakby na jawie. Konwencja snu stanowi tu dla poety pewną formę askeracji, w sytuacji nietypowej wówczas oceny wydarzeń wspomnianego roku. Drugi utwór (*Idź dalej*) zawiera w sobie pierwiastki romantyczne: odwołania do tego kontekstu historyczno-literackiego sygnalizuje wprowadzenie postaci wróżbiarza (relacja podmiot literacki – wróżbiarz), wątek profetyczny, sceneria nocy, pojawienie się wizji ni to sennych, ni realnych, operujących motywem nocy, gąszczu, pożarów i zawieruchy. Sny są tu domeną wróżbiarzy, mających kontakty ze światem nadrealnym i pozaczasowym. Poprzez ich objaśnienie dokonuje się racjonalizacja (w sensie potoczny) przyszłości i losu. Wprowadzone do struktury wiersza elementy anegdoty – opowieści rozrywają jedność wypowiedzi „ja” poetyckiego.

Nie jest to jednak zbyt interesujący sposób przedstawiania snów, zaczerpnięty został bowiem z konwencji poetyk już minionych. Bardziej ciekawym przedstawia się sposób drugi, charakterystyczny zresztą dla praktyki literackiej XX wieku, a traktujący sen jako model wizji poetyckiej. W tym przypadku ośrodkim uwagi literackiej nie jest przynajmniej historia, lecz struktura samego marzenia sennego oraz przebieg procesu śnienia. Tu już nie ma opowieści snu ani jego objaśnienia, ale stawa się ekwiwalentem wizji i stanów sennych poprzez słowo poetyckie, konstrukcję, afabularność i inne środki przekazu. W tym ujęciu moim zdaniem mogą zaistnieć takie przypadki, gdzie słowo sen nie występuje w tekście ani razu, a całość jest skomponowana jako przebieg marzenia sennego, może być nawet jego odzwierciedleniem z całą jego nerealnością, pogłębieniem grozy i niekiedy emocji. Mogą nam być tu pomocne jakiegolwiek słowa, sugerujące związek ze snem, jak noc, przebudzenie, powodujące sytuację kontrastu itp. W każdym razie trzeba tu brać pod uwagę ogół możliwych kontekstów znaczeniowych, występujących w danym tekście. Myślę, że realizacją takiego sposobu organizacji literackiej utworu jest wiersz Stachury pt. *Metamorfoza*. Pozwolił sobie przytoczyć go jako przykład modelu ekwiwalentyzacji:

Góra
chmurę pękały czarne
coraz ciemniejsze
jakby komi frygajskich groźne tubuny
aż na grom
przeszył obłaz nie dokończony jeszcze
a model spadał
głową w dół
w płotno
i wrócił
w ciepłe jeszcze koturny
nagłego obniżenia
To był już ranek
a ty się śmiałaś do mnie z portretu

Mniej natomiast klarowna jest sytuacja w *Pieśni*: *Odpywanie*, w jej drugiej części rozpoczynającej się od słów: *Przez sen pisałem wiersze ciępliwie i długo*. W zasadzie jest to utwór, który mógłby stanowić przykład czwartego sposobu transponowania snów w two-

² Zs. A. Okopień-Sławińska: *Katy i poetyka*. „Teksty” 1973, nr 2, s. 18-19.

³ Tamże.

sen/jak sen" nie ma dodatkowego znaczenia. Ulotność, zwindność, zawadność — są to atrybuty rzeczywistości (wynikające z porównania ze snem), które nie pozwalają się w niej „zamocować”. Nietrwałość, wariabilność rzeczywistości to, w moim przekonaniu, te wyróżniki postawy ontologicznej podmiotu, z których wynika także koncepcja życia jako nieustalania n/wędrówki. Poetycki podmiot — to homo viator, wędrowiec, włóczęga, żeglarz, przybłąda wreszcie. Wskazują na to już same tytuły wierszy, w których występuje motyw snu np. *Wędrowka życie jest człowieka czy też Piosenka szalowego jakiegoś przybłądy*.

Sen jako wartość (można rzecz dodać, bo w nowszej aksjologii wyróżnia się dwójki rodzaj wartości) pojawia się w tych utworach, w których ma miejsce identyfikacja snu z twórczością, a w zasadzie, w których tematem snu jest tworzenie np. *Spiwaniem przez sen czy Przez sen pisalem wiersze dlugo i cierniwie (cz. II: Pielni: Odpływanie)*. Sen jest tu także formą samoświadomości „siebie samego”.

Wspominał już wcześniej o konstatacji niemożności porozumienia się nawet we śnie. Sen, snu, przebudzenie wiąże się u Stachury także z poczuciem samotności. Tak jest w wierszach *Uśniewanie, Olga*, czy zacytnającym się od słów *Przebyłem snu własnemu...*

*Przebyłem snu własnemu i nikt mnie nie wita
nikt mi nie mówi — bądź podzwoniony
bądź na śniadaniu tako na wieczery
a sen niech cię ma między tym a tamtym*

Te wiersze także wskazują, że nie możemy być panami swoich snów. Istnieje więc rozdźwięk między podmiotem poetyckim a podmiotem snu. Podmiotem śniącym jest tu ktoś, kto potrafi nam „obłuskiwać” snem, czasem demony, czasem tajemnicą Olga lub ktoś czy coś, co ma nas wladani. A może ten drugi, Inny w nas, nocne „ja”, które poeta obawiał się „zapisać”. W tych utworach, gdzie spotykamy się z rozziwem między „ja” poetyckim a podmiotem śnienia, zarysowuje się też ciekawe zjawisko w sposobie czy technice traktowania motywu snu. Stachura dokonuje tu materializacji bądź refleksji snu. Sen jawi się więc w niektórych utworach jako coś zewnętrznego wobec podmiotu i zarazem bytowego. Raz może być w czymś władani, innym razem to sam na kogoś w swą moc. Wyodrębłani w poezji Stachury trzy sposoby refleksji i zarazem sposoby przejawiania się tej „zewnętrzności”, obiektywizacji snu. Zilustrują je przytoczone wypowiedzi.

- 1) *Ci znowu w różowe paluszki biorą sen i Jaruga* (w cz. II)
- 2) *a sen niech cię ma między tym a tamtym* (Zobowy dalece)
- 3) *W sen zobaczę co tam śpiwają i modlą* (Przebyłem snu własnemu...)

Ta trzecia wypowiedź łączy się z czynnością „schodzenia” (w poprzedniej strofie) i sugeruje istnienie jakby odrębnej krainy snu, fantazji i twórczości (dalsze konteksty znaczeniowe). Różnice w tych trzech cytatach — egzystencjalnych ujęć refleksyjnych snu są przejawem i nie wymagają komentarza.

Spróbujmy teraz uporządkować poszczególne znaczenia snu i komponenty znaczeniowe, ujmując je w analizie semantycznej. Tak więc jej przebieg prowadzi mnie do wniosku, że u Stachury oprócz podstawowych opozycji snu — snania i snu — śnienia znajdujemy następujące znaczenia i zarazem waloryzacje snu: od-

pozyteczny, bezczynność, dobroczynność, udręka, konieczność, przekleństwo, zapowiedź losu, przyszluszo, cudza obecność, własna obecność u innych (w cudzych snach), podporządkowanie i zależność, dopełnienie bezładności egzystencji na jawie, samotność, niemożność porozumienia się, śmierć, uluda i ulotność wszystkiego, co istnieje — twórczość i ujawnienie dwiowości człowieka.

W tym ostatnim komponente docieramy do samego „jadra” światopoglądu onirycznego. Jest nim filozofia człowieka, zarysowana przez motywy snu. *Utwór Spiwaniem przez sen* (czyli wiersz o tworzeniu podczas snu) przynosi nam konstatację dwiowości człowieka. Podmiot liryczny ukazuje świadomość własnego rozczepienia na „ja” dzienne i „ja” nocne. „Ja” nocne jest zarazem podmiotem śnienia. *Jedną polowa nocna jest zawsze wyjąde autorytatywny sąd podmiotu lirycznego, godzące się ponieważ z tą dualnością. Dualizm Stachury sugerowałby nam ponowne odwołanie do tradycji romantyzmu, bo to w jego konwencji dokonało się po raz pierwszy usankcjonowanie wspomnianego dualności i w zasadzie to sfera snu była dziedziną wolności. U Stachury jest zaznaczony, jak sądzę, dystans wobec tej tradycji: wytworza się on poprzez próbę racjonalizacji zjawiska snu i jakby naukowego uchwycenia, zbadania i „oswojenia” tego drugiego „ja”. Każda strofa rozpoczyna się wierszem: *Zapisać siebie nocnego spróbuję* (w II strofie w miejsce „spróbuję” Stachura stawia zdecydowanie „zapisać”). Kojarzy nam się to bardziej z laboratoryjnym badawczym niż z procesami twórczymi (twórczość — zapis poetycki). Jednakże podmiot liryczny wyraźnie dystansuje się również od płaszczyzny informacyjno-poznawczej poprzez wypowiedź: „choć nie po to by wieści pobiegły”. Nie jest też celem próby uchwycenia „ja” nocnego wzbudzenie litości czy też uczynienie ten tarczy obronnej. Pobudkę stanowiłby chęć akceptacji tegoż nocnego „siebie” i próba zjednania go sobie: *w spokojności niech mi sprzyjały w piękności drugiej nocnej*.*

Wspominałam już raz romantyzm chociażby z powodu wprowadzenia motywu wróżbiarza (*Idź dalej*). Ta epoka zaczęła na dobre poetycką karierę oniryzmu. Stachura pasowałby nam także do tej konwencji. Jednakże jest to tylko pozorny trop. W przypadku zagadnienia snu Stachura jest wybitnie nieromantyczny. Jeśli są w jego twórczości jakieś odwołania do romantyzmu to albo jest to przypadek, niewiele wnoszące odwołanie, albo też świadczy o pewną ambivalencji poetyckiej, jakimś niedoczekiwaniem. Przeciwnie próbie wpisania Stachury i jego oniryzmu w krąg romantycznej tradycji świadczy najbardziej brak pojmowania snu jako sfery wolności człowieka.

Analiza semantyczna ujawniła około dwudziestu znaczeń powiązanych ze snem; wśród nich również znaczenie utracenia życia sen ze śmiercią, funkcjonujące też w języku potocznym. Motywy snu — śmierci nie występuje zbyt często w poezji Stachury, w każdym razie nie nie wskazuje na jego obsesyjność. Obecność motywu śmierci znacząca się jednakże w całej twórczości Stachury, ale sądzę, że śmierć nie jest ujmowana w niej wyłącznie w kategoriach unicestwienia. Stanowi bowiem punkt odniesienia dla życia, kontekst, poprzez który Stachura analizuje i przeżywa życie. Człowiek w ujęciu poety to wprawdzie Heideggerowski byt ku śmierci (*Żyjąc muskam śmierć co chwila*), ale ta świadomość, świadomość nieustannej możliwości nieistnienia, stanowi — paradoksalnie — źródło afirmacji życia:

*O śmierci wiedziałem i nie zapominałem
dalego śniadłem się czysto przestrzennie
i całym sercem prędko jeszcze błąćmy*

Przeglądam są jakimiś przedmiotami, które leżą na stoliku oprócz sztućców. Chyba wypadły ze sztućców, są to jakby hacce, gwintowane kawałki metalu, sprężynki, śruby. Wołam kelnerkę, wszystkie popowadają z rączek noży i widelców. Zbieram je do plastikowej torebki po kukurydźnianych prażynkach. Kelnerka nie jest nimi zainteresowana.

Moja matka je śniadanie lub kolację. Jestem u niej w domu. Na kanapie ma dwa duże plasteryk salami, widzę, że jej twarz ma identyczną barwę i fakturę jak salami. Wydaje mi się to zupełnie naturalne, zgodne z normą wieku.

Buź mi nie Dziśka, chce, żebym coś zrobił w kuchni. Wchodzę do kuchni, kuchnia gazowa odciągająca jest od ściany, wygląda na to, że Dziśka walczyła z prusakami. Bosa stopa przykleiła mi się do podłogi, nie mogę jej oderwać. Mówię, że jeśli nie wypije herbaty, nie obudzi się. — Przecież prosiłam cię, żebyś podłączył Kuchenkę do gazu — słyszę. — Inaczej nie da się zagotować wody.

21 grudnia 1991

Poranek w domu mamy; większe pokoje, dwuskrzydłowe drzwi. Wstałem i chodzę w samej górze do piżamy. Do pokoju wchodzi Edyta Paradowska; czuje gorączkę z powodu niekompletności swojego stroju, ale spostrzegam, że ona też jest tylko o bluzkę od piżamy i nie jest z tego powodu skrepowana. Jest oczywiście, że też nocowała tutaj. Jest perłaminowa blada, porcelanowo krucho i filigranowa. Zaczyna dzień od ćwiczeń jogistycznych; widać, że jest wegetarianką, nie wdziałem, że uprawia jogę. Staje na głowie, staram się na nią nie patrzeć, ale jednak ją widzę. Przez pokój przechodzi dziecko; jeszcze bardziej czuję niezręczność sytuacji, podejrzewam, że Edyta jest pierwszą obcą kobietą, którą dziecko widzi naga. Nie wiem, jak się zachowa, jednak przestępuje przez nią robiąc duży krok i przechodzi do kolejnego pokoju.

Na popołudnie mam przywieźć z Lublina kwiaty. Wiadom do autobusu przy dworcu przy ul. PCK, autobus jedzie dzwina trasą, nad Wisłą, wydaje mi się, że zamiast do Lublina jedzie do Warszawy. Pokonuje brawurą jakieś wysokie krzewniki; wydaje mi się, że ma zbyt niskie zawieszanie, żeby to było możliwe, a jednak. To, co wzięłem za Wisłę, to nowa droga w budowie, szeroka jak Wisła. Rozmawiam z kierowcą, którego znam.

Przez dziurkę od klucza zaglądam do swego dawnego dziecięcego pokoju w mieszkaniu mamy. Na mojej wersale, z której 10 lat temu zabrało ojca pogotowie, leży ciotka Marysia. Ona też tu nocowała. Na nogach ma buty. Dzwinię się mamie, że nie dopilnowała, żeby ciotka na noc jednak rozebrać. Mama tłumaczy, że ciotka chce tylko trochę odpocząć teraz — w nocy spała rozebrana.

Jeszcze raz jadę autobusem do Lublina; korzystając ze znajomości wiadłem do autobusu, zanim jeszcze podjechał na przystanek. Siedzę tuż za kierowcą. Do autobusu wsiadają żołnierze lub zomowcy z owczarkami. Owczarki są ogromne, mają puszystą sierść, nie mają kagańców. One wchodzi do autobusu pierwsze. Pierwszy pakuję się na siedzenie obok mnie, następny szczełka napierając na

niego, żeby się posunął do okna. Szczerzy kły. Boję się. Przewodniczy głosem przywołują psy do porządku. Kierowca mówi do mnie, że nie musi sprzedawać biletów. Od Markusowa autobus będzie jechał prawie pusty. Wiedzę z tego, że psy, żołnierze lub zomowcy jadą tylko do Markusowa.

30 grudnia 1991

Jest piątą po pierwszej. Wchodzę do kościoła Wniebowzięcia NMP na górce. Liczę na to, że jest już po wszystkich mszach i przez chwilę pobędę w pustym i cichym kościele. Okazuje się jednak, że kościół się niepostrzeżenie zapelnia; będzie msza dla dzieci i młodzieży. Słucham śpiewów i kazania; dziwi mnie, że dzieci słuchają słów i używają słów, których nie mogą zrozumieć, czuję się obco i czuję się, jakbym był świadkiem nadużycia. Formuje się dziecięca procesja, którą ksiądz prowadzi do parku. Procesja wchodzi po schodach do świątyni Sybilla i okręga ją parokrotnie. Dzieci są za niskie, niektóre niższe niż metalowa barierka, ksiądz idzie przodem, nie oglądając się za siebie. Boję się, że dzieci mogą pospadać, a jego nie to nie obchodzi.

Idę na wstłowski cmentarz na grób ojca; przechodzę przez szereg pokoiów z solidnymi drewnianymi drzwiami o kutych żelaznych klamkach; takie drzwi są również w Muzeum w Kazimierzu. Odnajduję pokój, w którym był grób ojca; w miejscu, gdzie powinien się znajdować, na szerokim łóżku leży jakiś człowiek. Na mój widok podnosi się i tłumaczy przepaszczony, że zachorował i z powodu braku miejsc został tutaj umieszczony. Rozumiem go, ktoś mu to doradził, czy ktoś wyraził na to zgodę, zresztą już wyzdrowiał. Zbiera pościel, w miarę jak zwija prześcieradła, odsłania się mogiła mego ojca. Przepokopuję ziemię, uważając by nie spadła poza betonowe obramowanie grobu na parkiet.

19 stycznia 1992

Jestem w redakcji „Twórczości”, która mieści się w jakiejś willi w Warszawie. Spóźniłem się, ktoś o mnie pisał, nie przeczytałem żadnych maszynopisów. Leżymy na kocu pod drzewem, pada deszcz, ale na nas nie pada. W pokoju redakcyjnym widzę, że Lisowski, który robił jakies spówozyczne zakupy, ma odernwaną kieszonkę dzinsów. Ktoś mu o tym mówi, ja widzę, że ma te dzinsy również całkiem rozzerwane na dupie. — Jeżeli tak to można nazwać — dodaje do wypowiedzi na temat kieszeni. Jakimis zupełnie prostym sposobem, jakby szło o zapieczone guziki, Lisowski doprowadza spódnie do porządku. Calfuje Renatę w podbiecie stopy, przepaszam ją za coś, wyrażam swoją sympatię i smutek. Stopa jest bosa, bardzo opalona albo w poróżnosc. Renata przypomina Japonkę.

Jadę do Żyrardowa, od tamtejszych weterynarzy biorę korektę książki ojca lub o ojcu, którą wydawcą jest Akademia Rolnicza. Czytam kilkadziesiąt posłowie, z którego wynika, że ta książka koncentruje się wyłącznie na stosunku mego ojca do pracy w ogródku. Przyjdzie może czas na opisanie jego działalności naukowej, jej znaczenie jest przeciw sprawie otwartą. Pierwszą część

korekty miała moja matka, idę z nią ulicą Zwycięstwa, a równocześnie w jej domu szukamy zawieszonych kartek. Myślę, że ta książka już za parę dni powinna się ukazać. (...)

Do książki dołączona jest kaseta video z filmem przedstawiającym ojca. Nie wiedzieliśmy o istnieniu tego zapisu. Matka jest wyraźnie ucieszona, ja oglądam ten zapis z daleka, stojąc w drzwiach. Ojciec jest w oliwkowej koszuli z krótkim rękawem, ma kolo pięćdziesiątki, jest jak żywy. Wcale jednak nie czuję radości, że ten zapis istnieje, dziwi mnie reakcja mamy, robi mi z tego smutną i zastanawiającą nam na dwaznaczność takich wynalazków jak fotografia, czy magnetyczny zapis dźwięku i obrazu.

28 kwietnia 1992

Powitanie nowego roku w pałacu Czartoryskich i w Świątyni Sybilli; masa ludzi, w tym również ze świata literackiego. Po przejściu z pałacu do świątyni, w której jest wiele sal recepcyjnych (przez bezlistny, lecz bezśnieżny również park) stoję w towarzystwie Henryka Berezę. Widzimy, jak spóźniony wchodzi profesor Błóski wraz z Tomaszem Burkiem. Spojęcie do tłumacze sobie spojenie pociągu z Krakowa; fakt, że nie zdążymy wierzchnich okryć, wydaje mi się już niewytłumaczalny inaczej niż poprzez chęć zademonstrowania przez nich wywyższości i lekceważenia wobec pozostałych uczestników spotkania. Przeszedłszy przez sale, popatrzywszy na ludzi, odważam się parę ukłonów, z linaćmi od potu twarzami wychodzą, jakby spełnili swój towarzyski obowiązek albo obywatelską powinność.

Z niezlicznych osobami w pustym mieszkaniu na ostatnim piętrze wieżowca; przed wyprowadzką lub przed wprowadzeniem się. Przerwy w dopływie wody i elektryczności.

Droga wodna, sześciopasmowa mocska autostrada, po której płyną z zawrotną szybkością statki, pociągi barek, najrozmaitsze rodzaje wodnych pojazdów, pomalowane jaskrawymi lakierami. Nasz statek ma co w rodzaju palankinu, na którym leży małe dziecko, które od czasu do czasu pada; chwytam je i układam z powrotem na planecie. Nieznane ładunki i ekwipunki, bandery, flagi konsorjów, towarzyszący naftowych, wodne czelozony. Zawrotna szybkość, od której kręci się w głowie. Dobijamy od strony łądu do brzegu Balatonu w Zamardu. Po prawej stronie letni dom Erzsébet Szenyjan. Jest nas kilkoro, idziemy w lewo w stronę gór. Mamy coś wysadzić lub kogoś zabić. Na równinie u stóp gór wychodzi nam naprzeciw przystojny, zbłązwany Anglik w kolonialnym stroju, w korkowym kapeluszu lub helmie na głowie. Za nim kompania honorowa lub kohorty Amazonki. Stoją w czerwobokach. Na szyjach mają błyszczące obroże. Dowodzący tych oddziałów dotykają różdżka obroży, uwalniając zapiskę. Amazonki wówczas jednocześnie odpinają zatrzask przy biustonoszach, odsłaniając prawe piersi. Na fotelu przed Anglikiem (imperialistą lub Bogiem) siedzi w dzinsowym stroju kobieta, która przypłynęła z nami lub w związku z którą przypłynęła. Od wyniku tej walki na wzrok, którą właśnie toczy z mężczyzną, zależą dalsze losy naszej misji.

9 czerwca 1992

Jadę pociągiem osobowym z Warszawy do Puław. István Kovács pyta, czy już minęliśmy Dęblin. Nie wiem, ale właśnie do niego dojeżdżamy. Na stacji zasłyszeliśmy wielkie zmiany, całe miasteczko się zmieniło, wypiętrzyło się na wzgórzach. Jest zadbane, sprawa wrażenie austriackiego kurortu. Pista pyta, czy nie mogliśmy przeprowadzić toru kolejowego głębiejnym wykopem lub tunelem. Świntuszy co na temat małych dzieci, małych piaszków małych chłopczyków.

Dochodzi północ, moja matka idzie do Peli Filipkowej na ulicę 3 Maja. Nie rozumiem, dlaczego wybiera się do niej o tej porze. Odprowadzam ją, a równocześnie jakimś z daleka śledzi ją wzrokiem. Widzę, jak przechodzi przez jezdnię przy ulicy Kollajtina, mijając jakichś pijaków, schodzi na dół ku Wiśle. Podziwiam jej odwagę i przychodzi mi na myśl, że wzięwszy pod uwagę jej wiek zachowała nadspodziewanie dużą urodę, co stanowi dodatkowe zagrożenie.

Trzymam w rękach plik fotografii w różnych formatach. Widzę te zdjęcia po raz pierwszy. Niektóre są kolorowe i bardzo duże, nie przypominam sobie, kiedy były robione, choć na wielu z nich jestem. Są to arcydzieła sztuki fotograficznej, konkurują z najlepszymi obrazami impresjonistów. Przyglądam się swemu portretowemu zdjęciu formatu A4, ze zdziwieniem widzę, że zdjęcie jest ruchome, coś mówi, ale ponieważ nie jest udźwiękowione, widzę tylko poruszenia swych ust i zmienia mimikę twarzy. Myślę, że byłem dość przystojny. Fotografia, czy też postać na niej, nieruchomieje. Nagle emulcja pokrywająca ją znika, trzymam postać, białą, wiotką i pomiatą kartkę papieru. Te zdjęcia matka dostała od cioci Peli.

11 czerwca 1992

O świcie idę ulicą Kickiego, kupuję, biorę ze straganu? dwie bułeczki gramkami, gryzę je. Wstępuję do sklepu, by kupić coś na śniadanie. Sklep jest zatłoczony, przepycham się do środka; chociaż jest siódma, widzę, że trwa przerwa śniadaniowa: kilka sprzedawczyń je jakieś włoskie salaki. Stoję w kolejce przy kiosku po gazety; trwając przyjeżdża towaru. Jakaś kobieta wypycha się bez kolejki, po krótkiej awanturze ktoś kupuje jej gazetę, gazeta kosztuje dwa złote. Ulicą Kickiego idę ulicą Brzeską, zachodzę do Witka Maja, Cieszy się z mojej wizyty i jakby się nie cieszy. Panuje między nami dziwne napięcie, jakby zawieszenie, jakby skrepowanie. Witek obejmuje mnie niezdedykowanym, trudno mi rozstrzygnąć, czy jest to gest przyjaźni, czy jakby nieco innej natury. Zapadam w krótką drzemkę, budzę się i spostrzegam na stole, przy którym drzemałem, kartkę z jego pismem. Jest to informacja, że postanowił wyjść. Odbieram to jako wyraz zerwania naszej przyjaźni. Na kartce jest adres ludzi, u których będzie — adres Jagi Kołtowej. Czytam raz jeszcze list do mnie, nawet nie jestem pewny, czy jest to list do mnie, nawet nie jestem pewny, czy to jest list aktualny, może leży na tym stole od kilku dni lub lat. Robię sobie kawę, kawa jest z Mikołajem Rabczukiem w tle, może jest wyciągnięta przez niego z torby, może jest przefiltrowana przez niego, może w jego filizancie lub kubeczku. Jest bardzo gęsta,

choć bardziej brązowobrunatna niż smolistoczarna. Mała srebrna byczka ukryta jest wewnątrz niej.

28 czerwca 1992

Z okna mojego mieszkania patrzę na dworzec kolejowy w Lublinie. Powiniennem do kogoś zadzwończyć, ale telefon nie działa. Obserwuję akcję policji, oczyszczającej przyległe ulice z samochodów. Policjanci po czterech przenoszą auta na niewidoczny z mojego okna plac. Wiele jednak się zaczęło, myślę. W pierwszej chwili sądzę, że również właściciele rowerów będą mieli kłopoty, jednak rowery policjanci jedynie układają ciasno jeden obok drugiego w stojakach; być może są to rowery policyjne lub rowery służb technicznych.

Odwolano pociąg o 9.40, idąc na dworzec mijalem pudełkowy wojskowy szpital amerykański, nowo ułożony. W związku z nową sytuacją wiem, że stracę lekcję angielskiego z Dorotą; myślę o całej czytance, którą będę musiał sam nadrobić. Gdy wchodzę na klatkę schodową mojego bloku, wiem, że akcja władz obyla również budynki mieszkalne. Sprzątaczkami krzątają się na korytarzach, na oknach postawiły kwiaty, schody wyłożone są starym dywanem z mojego balkonu, cała klatka schodowa została okratowana w trosce o bezpieczeństwo; między kratami a ścianami zamontowano drucianą siatkę o małych oczkach. By wejść na schody trzeba się przez nie przecisnąć. W okresie zimy ma to zabezpieczyć dom przed inwazją żajcy. Pierwszy raz w życiu czuję panicką klaustrofobię. Rozmawiam ze sprzątaczkami i sąsiadami. Krzyczę, czy ktoś kiedyś widział tu bodaj jednego żajkę. Mówię, że nie wytrzymam tych krat, albo się uduszę, albo zwiariuję. Czy jest jakiś sposób — pytam — żeby uniknąć przynajmniej tych siatek? Sprząteczka mówi, że jeśli na petycji do władz podpiszą się wszyscy mieszkańcy, może to coś pomoże. Siedzieli są gotowi podpisać taką petycję. Czuję, jak dlawi mnie wściekłość i śmieśność, myślę o totalitaryzmie komunistycznym i o tym, jak straszliwie daliśmy się nabrać.

Zza ściany dobiega mnie rozmowa. Ktoś przyszedł do mojego teciśca, znam głos tego człowieka, ale nie mogę go rozpoznać. Kojarzy mi się z głosem Kiszczaka, ale dopiero po dłuższej chwili uprzytomniam sobie, że to głos doktora Skowrońskiego. Mówi o obowiązkowym wymianie lekarskich zaświadczeń; jest to konsekwencja oświadczenia amerykańskiego sekretarza obrony, z którego wynikało, że koszty leczenia kadry pochodzenia semickiego są wielokrotnie wyższe niż reszty. Nie wiem, czy zarządzenie władz dotyczy jedynie wojska czy wszystkich obywateli.

Patrzę na ulicę, na której stoi samochód chłodnia. Bija się przed nim metrzymi w japońskich strojach. Walka ma charakter rytualny. Być może nie patrzę na ulicę a na ekran telewizora. Rozsuwają się boczne drzwi samochodu. Do samochodu wchodzi dwie nagie kobiety.

Piszę tekst do radia, zdziw się, że jest to tekst nie dla Alki Kaminskiej a dla Jacka Dąbły. Jest to recenzja tomiku Zosi Luchowskiej. Zamiast jej nazwiska stale podaję jakieś inne nazwisko, nie mogę ustrzec się tego błędu.

10 sierpnia 1992

Dozika odwiedza mnie do szpitala w piątek po południu. Jest sobota i wiem, że i tak nic mi nie będą robili do poniedziałku. Zostawiłem w domu gości, między innymi Irenę Stasiakową. Postanawiam wyknąć się ze szpitala, wracam do domu przy Wojska Polskiego. Jestem w małym pokoju, bez góry od piżamy. Irena mówi coś miłego na temat mojego torasu.

Wracam do szpitala, przemakamy się koło recepcji. Pamiętam dobrze wysturowanie swojego pokoju, dwuosobowego, z bardzo wąskimi łózkami, umebelowanego nie szpitalnie, a hotelowo. Wchodzę, lecz zamiast w pokoju znajduję się na korytarzu, z którego otwartymi drzwiami widzę garderobę pielęgniarek. Półnagie dziewczyny mają się przed szafkami z łustrami. Wychodzą, błakam się po parterze. Stary człowiek tłumaczy mi, że pokoje szpitalne są na pierwszym piętrze. Przypominam sobie, że za chwilę ma się odbyć finałowa walka w zapasach między Czesławem Miłoszem a jakimś greckim poetą. Nie wzięłem z domu tranzytorowego radia; myślę, że idąc po to nie pójdę. Tym razem postanawiam nie ukrywać się przed recepcjonistką. Na parterze trwa obchód, młody doktorzek wpija kieliszek koniaku. Recepcjonistka widząc mnie mówi, że oczywiście, może wyjść. Zostałem i tak już skreślony. Nie martwi mnie to zbytnio, ból nad prawą pachwiną dawno już mi przeszedł, ale czuję się obrażony. Interwencja u doktora nie pomaga. Plan obłożenia łóżek mamy wykonany w stu procentach — mówi. — Nie się nie da zrobić — stwierdza zdecydowanie i arogancko. — Ewentualnie doktor Juszkiewiczowa mogłaby podjąć decyzję, ale tylko w odniesieniu do ilizy wojskowej.

16 sierpnia 1992

Podróżuję między Rzeszowem, Łukowem i Lublinem pociągami, autobusami i pociągami, na peronie stacji w Łukowie szukam połączeń do Lublina. Jest tylko jeden pociąg dziennie, nie wiadomo, czy już odjechał, czy też nie odjedzie w związku ze strajkiem kolejarzy. Wychodzę za miasto, by na przystanku PKS do wysiadania zobaczyć połączenia autobusowe, rozkład jazdy jest rozmyty. Ktoś, bodaj Witke Okniński, mówi mi, że autobus z Łukowa przejeżdża do Lublina koło trzeciej, myślę, że wówczas na wół do piątej byłbym w Puławach, o ile zjadłbym na pociąg o 15.20.

Szykuję się do podróży powrotnej z wakacji; pakuję do bagażnika samochodu roczniki „Życia Literackiego”, każdy z nich ma wielkość skrzynki na jabłka, a jest dużo cięższy. Przzychodzi mi na myśl, że są mi przecież zupełnie niepotrzebne, jeśli kiedykolwiek bym do nich zjrzął to tylko w czasie następnych wakacji; jeśli gospodarze się zgodzą, zostawię je tutaj. Znacznie uprości to procedurę wyjazdu z Łukowa, a ich samobój będzie dużo mniej obciążony. W kawiarni (w Łukowie) piję herbatę. Szukam pieniędzy; kiedy wyścigam się z portmonetką, między krzesłem, na którym siedzę, a krzesłem, na którym siedzi przy sąsiednim stołiku stara kobieta, dostrzegam banknot pięćdziesięciotysięczny. Nie jestem pewny, czy wypada z moją portmonetką, czy zgubiła go tamta kobieta. Pytam ją o to, a ona

przynajmniej się do banknotu. Banknot jest zielony. Okazuje się, że owinięte weń były dwa banknoty po milione. Świadczenie zdarzenia mówią, że w tej sytuacji kobieta powinna zapłacić za moją herbatę. Ja jednak już uregulowałem rachunek. Płacilem plastikowymi żetonami o niewielkich nominalach, których miałem bardzo dużo. Kelnerka prosiła, bym wybrał takie, żeby nie musiała wydawać reszty.

Jadę rowerem, którym choć kogoś dogonię, wyjeżdżam w podziemne przejście, cięszę się, że droga prowadzi w dół, rower osiąga dużą szybkość, okazuje się jednak, że dalej są prowadzące w górę schody, po których muszę nieść rower.

Jestem w wielopokojowym mieszkaniu. Gaśnie światło. W paru pokojach go nie ma, jednak w dwóch się pali. W jednym z nich oglądam miecz koszykówki Polska — Niemcy, jego pierwszych kilka minut.

17 sierpnia 1992

Na pustawej stacji nowojorskiego metra mężczyzna biegnie za ruszającym pociągami, tracąc przytomność uderza wyciągniętymi w górę rękami w drzwi wagonu, musiał trafić na awaryjny przycisk, drzwi się otwierają, pada bezwładnie twarzą na podłogę jadącego coraz szybciej wagonu, jakby został wessany przez pod powietrze. Po jakimś czasie widzę go idącego z kimś po peronie, mówi do tego kogoś: — Nie będziemy bawić bękartów pana Boga.

Z Witoldem Majem, który nie ma brody, jest bez okularów i chwilami zmienia się w Andrzeja Piniasza, palę wszystkie swoje rękopisy, maszynopisy i książki. Mój towarzysz nie usiłuje mnie powstrzymać. To, co robię, jest w jakimś sensie nieuchronne, choć nie ma w tym nic z nerwowości i dramatyzmów gestu. Przez chwilę myślę o tym, by zatrzymać parę ostatnich wierszy i jakąś cienką drukowaną broszurkę. Otrząsam się z tej przejściowej słabości. Z Izą Bronikowską wychodzę z Liceum Czarzyńskiego. Gdzieś mamy razem iść. Ona wstępuje do domu chleba przy 22 Lipca. Kupuje trzy małe kawałki chleba trzech gatunków. Powstaje kwestia drobnych, znajduję 750 złotych i jej daję.

18 sierpnia 1992

Patrzę na dochodzące pod las pole pomidorów. Do tego skraju zbliża się człowiek, który jest profesorem. Jest to mój ojciec. Jeśli dojdzie do końca tego pola, pobije rekord długości pracy w jednym miejscu. Ktoś mu to jednak uniemożliwia.

Widzę moją matkę stojącą nago przed lustrem; kształt jej ramion kogoś mi przypomina. Jest opalona równomiernie, jakby opalała się też nago. Ma czterdzieści parę lat.

Utrzymuję w tajemnicy przed wszystkimi śmierć ojca na pomidorowym polu. W domu mojej matki odbywa się jakaś świąteczna uroczystość, coś jakby mniejsze święta Bożego Narodzenia. Trzeba przynieść coś z piwnicy. W piwnicy leży ciało ojca. Jeśli wezmę ze sobą Leszka, tajemnica się wyda. Czuję lęk przed pójściem do piwnicy samemu.

Przechodzę przez wschodnią część dziedzińca pałacu Czarzys-

kich. Po prawej stronie stoi kompania honorowa, którą dowodzi Żurawski, naprzeciw niej zgrupowanie mieszkańców miasta. Ktoś z tych grup ma ruszyć pierwsza. Żurawski ma pretensje, że cywile nie ruszają pierwsi. — Wojsko ma pierwszeństwo — tłumaczy Alicja Bobrowska, przeskoka Towarzystwa Przyjaciół Pałacu. Wiem, że jest to uroczystość inaugurująca nowy rok kulturalno-oświatowy. Działę się trochę, że nie zostanę na nią zaproszony, trafiam na dziedzińce przypadkiem.

W sali gotyckiej pałacu Czarzyńskiego, która jest częścią akademika, trwa wieczór sylwestrowy. Nie ma zabawy, studentki śpią w śpiworach. Są to przeważnie Ukrainki, z którymi bardzo dobrze mi się rozmawia. Jestem w trochę sentymentalnym nastroju jak to pod koniec roku, ale mam świadomość, że całe życie jest jeszcze przede mną i tym razem wiem, jak nim pokierować.

19 sierpnia 1992

W jednej z klas Liceum im. A.J. Czarzyńskiego na pierwszym piętrze, przylegającej do pracowni chemicznej, nastawiam aparat do podjęcia bimbru: jest to aparat uosowocześniony, w którym proces destylacji nie wymaga podgrzewania. Wchodzę do pustej klasy, płyn kapie przez rurkę; dzwię się, że nie czuć żadnego zapachu, boję się o niedostateczną moc turku. Postanawiam jednak gdzieś urządzenie schować. Wydaję mi się odpowiednie do tego tylko bieliźniarki w szafach mojej matki. Po przełożeniu gdzieś indziej pościeli i bieliźni trzeba tylko wyjąć dziesięć jej polki.

Oglądam mecz hokejowy, hokejści w związku ze zmianą klimatu na Ziemi zaczynają się wtapiać w lód. Zapadają się w kaszę, w lodową breję, a wreszcie pływają w wodzie. Nasza drużyna przegrywa kolejny mecz, sprawodawca meczu wykrzykuje coś o nadzieli i woli walki do końca; właśnie polski zawodnik otrzymał karę dziesięć minut.

20 sierpnia 1992

W przytulnym mroku poduszka leży z kimś w łóżku. Dotykamy się, dwa ślepych szesnast. O poranku ktoś wchodzi do pokoju z pytaniami, czy chcemy herbatę czy kawę: jest to pensjonat ze śniadaniem — sympatia, z jaką jesteśmy traktowani nie dziwi mnie, ale umyje. Tej nocy nie przejrzałam na oczy.

Na osiedlowym parkingu przy Batalionów Chłopskich zatrzymuje się wielki TRW. Kobieta, która jest moją żoną, podchodzi do niego, po chwili odwraca się, pokazując rybę, mówi, że to uleja, kupi trzy kilo tych ryb.

21 sierpnia 1992

Siedzę w fotelu w kamienicy Celejowskiej. Wróciłem przed chwilą z zagranicy, przyszedłem przed ósmą i drzemie. Wchodzi Żurawski, witamy się, mam świadomość, że od wielu miesięcy nie podpisałem ani razu listy obywateli. Męczy mnie możliwość, że w każdej chwili może się pojawić ten temat. Żurawski podaje mi sętkę korespondencji, jaka wpłynęła podczas mojej nieobecności. Są to wszystkie utwory

młodych prozaików. Właściwie cieszyć się, że jest tego tak dużo; znacznia to moja pozycja w Muzeum. Żurawski mówi coś o odpowiedziach, które autorom wysyłał w moim zastępstwie Kowarski; boję się, że nie czuje on ducha nowej prozy. Postanawiam zejść z oczu Żurawskiemu, przez małą salę na pierwszy piętrze, gdzie pani Zosia Wilczyńska sprzedaje bilety, zastanawia starsza barbanka bierze ode mnie banknot, następuje cała seria nieporozumień — ona nie wie, który banknot był czyj, nie wie, ile kosztuje kawa. Doszła już do kwoty 60 tysięcy. Próbuje wprowadzić w to jakiś porządek, tym bardziej, że mam w portemonetce więcej pieniędzy rumuńskich niż polskich. Mówię, że kawa może kosztować około 6 tysięcy, a teraz już ani ona ani ja nie wiemy, ile razy i ile za nią zapłacim.

W kawiarni trwa promocja jakiegosiego tłumaczonego z angielskiego podręcznika wychowania seksualnego dla dzieci. Prezentowane są ozałdzy z wynikami badania opinii publicznej w grupie dzieci do lat trzech. Bardzo duże wykresy, z których nie rozumiem, poza tym, że szanse prozy współczesnej w „Czytelniku” spadły do zera.

Mój pobyt za granicą wiązał się z olimpiadą. Podczas podróży powrotno dowiedziałem się, że już w dzień po zakończeniu igrzysk rozgrywane były pierwsze maratony. Radio podaje informacje o świetnej postawie polskich maratończyków, ale żadnego konkretnego. Równie dobrze może to być czwarte lub piąte miejsce, co jakiś medal. Wskicam się na tak politykę informacyjną.

Wchodzę do palarni przy szkole nauczyeliemskim w Liceum Czarotowskiego. Pytam Mirka Olszowskiego, znałby wyniki maratony. Mirka mówi mi, że powinna być jeszcze transmisja w której telewizji satelitarnej. Wyprowadza mnie z palarni na punkt widokowy, gdzie stoi telewizor. Wlaza go, dziwi mnie pewność, z jaką porusza się po szkole. Nie ma retransmisji bieżącej, ale z doniesień agencji i komentarzy dyktano, że Polacy zajęli drugie i trzecie miejsce. Nie bardzo wiem, dlaczego ten brawo medal oceniamy jest jako większe osiągnięcie niż srebrny.

23 sierpnia 1992

Jadę z Bogusławem do Wielunia. Bogusław ma wapiłownię, czy zapytnie wrócić na czas. Pyta mnie, gdzie jest Wieluń. Dziwi mnie to pytanie. Nie wie, gdzie jest Wieluń? Jeden z największych ośrodków przemysłowych województwa poznańskiego — wypowiadam tę formułkę i natychmiast opadają mi wapiłownię, czy to już poznańskie, czy może jeszcze łódzkie. Asfaltowa szosa biegnie w tunelu z drzew siłowych. Nie zsiadając z motocykla zrywamy znad swych głów owoco, Bogusław odwraca się i daje mi siłko lub durszłak, do którego zrywam siłki na dalszą drogę. Znając niepokój Bogusława, czy zjadłbym na czas wrócić, zdziwię się, że przeciąga nasz popas.

Po drodze zajezdźmy do Jagody Hunek. Zajmuje dwa duże pokoje, które są jednocześnie ogromnym ogrodem warzywnym, kocietem i starym dworem szlacheczkim w trakcie remontu. W centrum jednego stoi jak ołtarz telewizor, po bokach dwa posłania.

Jagoda przeprosza nas, że musi włączyć telewizor; chce żeby zasnęła jej córka, a nauczona jest zasypiać przy telewizorze. Mówię, że ja też zasypiam przy telewizorze, to bardzo wygodne i skuteczne. Przy starym, okrągłym stole siedzimy, czekając aż zaśnie dziecko Jagody. Trzymam pod stołem rękę Jagody, a w tym uścisku jest cała moja sympatia dla świata. Zastanawiam się nad kunstsem dawnych budowniczych stołów, konstrukcją tego mebla zapewnia pełną dyskrecję, nie wiem, dlaczego wyszły one z użytku. — Czyż się martwisz — pytam Jagodę — czemu jesteś taka smutna? Tak jak dwór czy kościół jest w trakcie remontu, również ogród wymaga uporządkowania. Dzidka mówi, że zaraz go skopiemy. Wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale w jej głosie brzmi absolutna pewność. Biorę łopatę i wybieram grządkę pod ścianą. Zastanawia mnie, że grządki mają kształt mogił; gdy zagłębiam łopatę w ziemię, okazuje się że jest to czysty piach, pod nim kamienista posadzka. Zdaje się, że jest to piach zwieziony w związku z remontem.

Bogusław opowiada o swojej rozmowie z kobietą pracującą w NIK-u. Powiedział jej, że zostawia redakcję. (...) Opowieść Bogusława zamienia się w dramatyczny spektakl. Zwraca się do kobiety per „pani Joanno”, nagle przechodzi pełen uniesień na formę „Asico”, wygłasza pochwałę jej oczu, które „są tak piękne jak okrutne, lewe piękniejsze od prawego, prawe piękniejsze od lewego, jeszcze bardziej piękne niż okrutne, jeszcze okrutniejsze niż piękne”. Mówiąc o wyjeździe do Wielunia wspomina o książce, którą wydaje i to tym, że będzie ona sukcesem; mówiąc o Andrzeju Łuczyńskim (to jego książka) używa określenia „nasz wielki uczeń”.

Schodzę z gór do położonej wśród sosnowych starych lasów miejscowości. Wyprowadzam jakichś ludzi i w tym momencie ktoś z nich robi reszcie zdjęcie, obejmując również mnie. Jestem obok kilkunastego, dziewięcioletniego chłopca, niewypierzonego maminsynka. Chce to zdjęcie powtórzyć, chłopiec prosi mnie, żebym dał się jeszcze raz sfotografować. Mówię, że już, przez przypadek znalazłem się z nim na zdjęciu. Nalega, wspierany przez ojca. Staje do fotografii. Chłopiec pyta, czy mógłby jutro przynieść mi te fotografie. Mówię, że jutro już mnie tu nie będzie. Jadę z szefem do Wielunia, a nie mam prawa jazdy na motocykl, więc jestem od niego uzależniony. — Tak bardzo chcesz, żebym miał to zdjęcie? — Bardzo. — Mieszkał stąd o parę kroków — mówię. — Dam ci wizytówkę, będziesz mógł mi przysłać je pocztą. Idziemy. Chłopiec mówi, że nazajutrz odebrać się w tej okolicy strzelania z moździerzy; wszyscy wykorzystują je do trzepania dywanów, przybývają tu z dywanami nawet ludzie z daleka; wieśca się je, a huk i drgania powietrza robią wszystko, co trzeba. — Można też nazierać sobie wspaniałych mosiężnych husek — mówi chłopiec. — Szkoda, że moje dziecko jest już takie duże — mówię do chłopca i opowiadam o kolekcjonerskich pajach dziecka, które zaczęły się od zbierania pustych losów różnych loterii.

23 sierpnia 1992

Wchodzę do sali widowiskowej Domu Chemika. Nie mam pieniędzy i ten stan nieposiadania jest szalenie dotkliwy. Sala jest

wypełniona ludźmi. Ania Grądział informuje ich, że różni sponsorzy przekazali pewne kwoty na minioną edycję konkursu recytatorskiego, podcas której z braku fundusów nie zaplacono mi honorarium za pracę w jury i bardzo się cieszy, że teraz może to zostać naprawione. Ja też się cieszę, że forsa spada mi jak manna z nieba. „Jednak mając na uwadze następną edycję konkursu liczy się z możliwością, że pan Bohdan zdecyduje być może inaczej i zechce wesprzeć tę cenną inicjatywę”. Ogarnia mnie wściekłość, czuję, że jestem postawiony pod ścianą i nie mam żadnej szansy manewru. Wychodzę na scenę i mówię do mikrofonu, że ponieważ mam poważne i uzasadnione obawy, czy nie zostanę wyeliminowany ze składu jury następnego konkursu, pieniądze należne mi z poprzedniego przeznaczam na prywatną nagrodę, którą sam, jednoosobowo, w swoim własnym imieniu przyznaję.

26 sierpnia 1992

Uczestniczę w jakiejś wycieczce pisarsko-redakcyjnej na Wybrzeże, jest to Toruń, Bydgoszcz i Gdańsk. Boday w Toruniu załatwiamy nagrania poetyckie w trakcie spaceru z reprezentantem powinnymi płytowej i aktorom. Dochodzimy do wniosku, że autorzy powinni czytać tylko po jednym wierszu, resztę powinien czytać ktoś inny. Waldek wpada na pomysł, że można by również nagrać nasze rozmowy. Bez słów porozumiewam się z Iza, że ja będę czytał jej wiersze, w tym samym czasie Waldek zaczyna proponować to aktorowi. Daję mu rozpacze i znaki, żeby nie gmatwał sprawy, ale on nie nie rozumie.

Wycieczka i pi w miejskiej noclegowni, którą jest jakby więzieniem. Przechodzę przez pokoje księgowych, księgowi są również uczestnikami wycieczki. Wycieczka jest plynna, patroluję jej — jest jej kierownikiem — Sadowski. Przeglądamy się regatom na natchnionych kankalach policja i inkasuje grzywny po 80 tysięcy złotych. Mimo że nie ma nigdzie zakazu pelenia, kobiety plać bez szemrania. Zastanawiam się, czy ja też zostanę ukarany grzywną, trzymam w dłoni papieros, ale go jeszcze nie zapalę.

Z wycieczką docieram do Warszawy i tutaj się gubię. Usiłuję przenoćować w gmachu prokuratury, okazuje się, że jest to żydowski dom studencki, wszystkie łóżka są w nim zajęte, co widzę przez szklane ściany, przedrżmuję się w małym kwadratowym przedpokoju. Trafiam na jakiejś spotkaniu z udziałem Wegnera, jest to dalej Warszawa, lecz zarazem Gdańsk i muzeum. Ich obecność wiąże się ze Świątami Złotem Młodzieży Religijnej, który odbywa się w Warszawie. Honory domu pełni na spotkaniu muzealny woźny, on przedstawia gości. Jeden z gości przedstawia się sam — jest węgierskim poetą, mówi nienaganna polszczyzną. Witam się z nim. — En lengyel kőltő vagyok — mówię po węgiersku, podaję nazwisko. Trudno mi się zorientować, czy je kojarzy, zastanawiam się, czy zna Kovácsa, Kovács mi nigdy o nim nie mówił. Woźny z dzbanka nalewa czerwone wino; kto ma ochotę na białe, może poczekać. Białe wino jest w butelce, woźny ją otwiera, rozlewa wino do musz-

tarówek. Kilka mustardówek niosę na koniec stołu, gdzie siedzę, Lisowski też czekał na białe wino.

Idę ulicami Warszawy; na Miodowej widzę przed sobą dziewczynę, która podbiega i przewraca się, jakby uszło z niej powietrze. Podnoszę ją, jest jakby E. O. tylko w lepszym tempie. To podbieganie na jednym wydechu, po którym flaczę jak nadmuchana przektuta lalka, jest techniką medytacyjną — dziewczyna mówi, że jest w tej formie.

Szukam dalej wycieczki, mikrobusu lub autobusu, a może Toyoty Sadowskiego. Ktoś się dziwi takiej niebywałej trasie — z Gdańska jechać do Warszawy przez Poznań? Jestem na Woli, przechynam się poboczem przez procesję, która zdążyła na cmentarz Powązkowski, idę pod prąd, procesja wypelnia całą arterię, trawniki i chodniki, przypiera mnie do jakichś plotów i rusztowań. Pod baldachimem szerokości całej jeczni kroczę otoczony przez kilkadziesiąt osób prymas Glomp niosący monstrancję. Uświadamiam sobie, że nie muszę szukać wycieczki; wycieczka wyruszyła z Warszawy i w Warszawie się rozwijała; resztę podróży mam przecież odbyć sam, pociągami, zostaje mi tylko przepchać się na czas do śródmieścia. (...)

Idę znowo od Góry Pulawskiej w stronę Klikawy. Szosa zasypana jest śniegiem, mkną po niej z ogromną szybkością ciężarówki jadące w kierunku Radomia. Staczają się z góry wzniciący tumany śniegu, który zasypuje natychmiast koleiny. Mijam stojącego przy lewej stronie sędzi i majsterkującego przy fiacie teścia. Patrzę na ślady na śniegu — linie poziome, równoległe, jakby odcinające szezele drabiny; obok duże ślady bosych stóp. — To ślady wilkołaka — mówi do mnie teść i dodaje, że nie ma gryzbów. Jednak idę do lasu szukając ich, choć też wydaje mi się mało prawdopodobne by mogły wyrosnąć i nie zmarnąć wśród takiej ostrej zimy.

2 września 1992

Odwiedzam w Bostonie ks. Andrzeja Wierciskiego, wynajmuję tu jakieś mieszkanie, szare i zamglone, ze starymi meblami o nieczytelnych konturach i interferujących ze przestrzenią krawędziach. Andrzej pokazuje mi komputer, na którym pracuję; komputer ma szklaną obudowę jak akwarium; to, co jest wewnątrz — wrze, gotuje się — nie mam wątpliwości, że to mózg Andrzeja lub jego przyjaciela, z którym mieszkam (...). Czuję się nieweso.

10 września 1992

Trwają przygotowania do zjazdu koleżeńszego naszej klasy po trzydziestu latach od zdania matury. Zjazd ma się odbyć w Klementowicach i Leszek Pitura pokazuje nam plan tej miejscowości. Klementowice zbudowane są na planie koła. Leszek pokazuje pas otaczający śródmieście, zaznaczony specjalnym kolorem. To otulają — mówi, a ja dziwię się, czemu wymawia to jakby z angielska, strefa ochronna centrum, do której nie można wjeżdżać samochodami, tak to ostatnio uchwalił magistrat. Znaczenie skomplikuje to organizację naszego spotkania, Leszek nie wie, czy nie należało by

ANORZEJ SOSNOWSKI

Na bocznym torze, na jałowym brzegu

I przyszedł anonim: na jałowym biegu,
w szalkach dni, bocznymi łozach nocy —
jakby życie naprawdę było wystrzałem
do biegu — gotowi — start przez masyw centralny
A przecież szalony drogowoskar księżyc,
lustrzany monokl na ciemnej galie nieba
już dawno zaszedł krwawą mgiełką
w centralnej łaźni dziecięci i winny krok
kreśli w końcu trasę ucieczki. Lecz mężczy
przemiana materii. Smuci defilada
uczucia na starym szlaku biorącego szepcem
sprężystość niby cudownie lekką nieznaną
przysięgą tylko bezimienną rozkoszy.
Bo czy nie kochaliśmy jak ten facet w barze,
który nóż wyciągnął z teczki i uniósł do ciosu,
ale zasnął z klingą nad głową zapalając
uśmiechy kelnerek? Nie tak łatwo
wymigać się od nudy w mgnienu
frajdy i bólu, przelotnych zadziśnień
do pierwszj krwi i do przedostatniej, choćby tęcza
płonęła na ekranach powiek, róża
rosła w czyichś szarych oczach.

I tylko to? Szlifując bruk i tańcząc — przepaść
jak kamień ze światem w kątku
wachlarza, motyla na ostrzu morza?
Robiliśmy wokół siebie próżnię tak luksusową,
że nieśli ludzie szli na dno i piękne dziewczyny
opowiadały jak muszle z brzegu Martwego Morza,
że znów padł los i życie spełzło na niczym
pośród szampańskich słów klasycznych niby krople
z drugim echem o podłogę wodoczelnej
komory, ta zwieszana krzątająca
na powierzchni myśli jakby anioł
wędrował po pokładach wraku
i dotykał przedmiotów z bezdennym zdziwieniem
słuchając katalogu już nie z tej planety:

zardzewiały spinacz na dnie szklanki z piwem
jest twoim parasolem na stole w prosekroitor
i obrazem historii, którą cedzisz przez zęby
patrzając na wiotki zwierczak chwilowego słonca.
I nigdy już poeta — kruchy i skomplikowany
jak obłężnica machina — nie będzie górował
nad czernią pod blankami bytu. Ale żeby
kruszą szkło. Oczy śmieją się do słonca.

Proszę, nie zaprzeczaj

Kto chce być Linneusem w samym sercu słonca
Kogo interesuje postać w rozbiłysku pochodni
Zwłoka pośród nagrobków z kontraktami nazw?
Po cieleśnej ofierze dowody tożsamości
Po pięknej orgii inwentaryzacja straci!
Po nocy w kasynie aktywa i pasywa?
Po dobrej śmierci żmudne smartwachowanie?
Po utonięciu szukanie kołczyka w pościeli?
Po grach bez granic wojny i chorągiewki?
Po rozwiązywaniu tańcu zapisków w skotabuchu?
Księgi wieczyste na ruchomych piaskach
Albo księgi wodne na pustyniach mórz?

Piosenka dla Europy

Tęcza? Nikt jej nie widział od czterdziestu lat,
co znaczy "koniec świata", albo coś w tym stylu.
Nie wchodzi do schronu. Kiedy najdosłowniej
miłość jest magią, która dzieli życie
przez rozkosz i stratę — jak syrena
przecina pamięć przed nalołem wspomnień —
jesteśmy w Niemczech na granicy z Francją.
Narasta sen o wojnie kontynentów.
Nocą polugie fabryki, luny, dysonanse
a styl tej historii jest tak nieuchwytny,
że wierz trzęba pchnąć tym torem, potem tamty, by trafił
do rąk nieznanego adresata.

Tak nigdy nie było. Tak naprawdę było.
Będziesz nim? Dziwna szachdka — szmaragd
na twojej szli i cienie na oczach — uśmiech
czy opaska żaloby po słowie, które zginęło?
Szmaragd, żebyś nie zapatrzyła się
w siebie na śmierć? Żeby wiersz podszedł
cię jak cień i przesłonił oczy, ten
wiersz — cień rzucony naprawdę z głębi

try, odprysku światła, szklanej kropki kończącej rozmowę rozbitych lusterek

Bądź nią po wszystkim i w ciszy *all clear*.
Nie byliśmy okrutni wdając się tak lekko
w to ciemne życie bez jednego słowa
kiedy upełniaś grunt spod moich stóp i niebo
zaniósł się śniegiem? Miłość
nie jest tym słowem, ani żadnym innym.
Wiersz je wypowiada jak wojnę błyskawicą.

Andrzej Sosnowski

Książki nadesłane

Labelle d'œuvres philosophiques. Tome 1: Cinq regards sur l'œuvre de Włodek i redaktor Jędrzejko
Miszka i Tadeusz Sokół. Polska Towarzystwo Filozoficzne, Lublin 1992, s. 223.

Pamięci głosu. O nieznanym Aleksandrze Wale. Studia pod redakcją Wojciecha Ligęzy
Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 1992, s. 151.

Dariusz Paweł: Poezja Stanisława Barańczaka. Regaly i konteksty. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1992, s. 200. Seria: Z prac Zakładu Teorii Literatury Uniwersytetu Śląskiego.

Jerzy Popiechalski: Kazania 1982–1984. Wstęp i opracowanie ks. Jan Sochoń, Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1992, s. 173.

Günter Grass – Doctor Honoris Causa Universitatis Studiorum Miciwiciensis
Pomianin. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 1991, s. 100. Seria: Doktorzy Honoris Causa, nr 13.

Edward Otenski: Emigracja polska w latach 1933–1939. Wydawnictwo Instytutu Studiów Politycznych PAN w Warszawie, Oficyna Wydawnicza Johna i Johna w Lublinie, 1993, s. 658.

Anserordenliche Befriedigungsaktion 1940. Akcja AB na ziemiach polskich. Materiały z sesji naukowej. Wstęp i redakcja naukowa Zygmunt Mańkowski, Zakład Historii Najnowszej UMCS, Olsztyn. Konferencja Badania Złoty Przekaz Narodowi Polakom – Instytut Pamięci Narodowej w Lublinie, Warszawa 1992, s. 189.

Opis naszych pieśni. Pieśni patriotyczne. Wybór i opracowanie Marzena Straszewska. Wydawnictwo „Prometeusz” – Komorów, Wydawnictwo „Polihymnia” – Lublin, 1992, s. 116 (20 ark. wydawniczych) zawiera 200 ponumerowanych pieśni.

Dramat i teatr religijny w Polsce. Redakcja Irena Śliwka i Wojciech Kaczmarek. Wydawnictwa Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1991, s. 467. Seria: Religijne tradycje literatury polskiej, pod redakcją Stefana Sawickiego, t. 2.

Od Herberta do Herberta. Nagroda „Widmo” 1958–1989. Opracowanie i przedmowa Stefana Kosowskiego. Scriptum Tadeusz Nowakowski. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1993, s. 423.

JADWIGA MIZIŃSKA
SABINA MAGIERSKA

Zygmunt Freud jako myśliciel pogranicza

*Die Österreich ist eine kleine Welt,
In der die ganze ihre Probe stellt.*
Hebel

Zygmunt Freud był myślicielem wieńskim przełomu XIX i XX stulecia. To stwierdzenie, będąc zwykłą konstatacją faktu, stanowi zarazem kluczem do interpretacji jego teorii. Krytycy, nieprzychylni psychoanalizie, wytkali jej często uroszczenia do występowania w funkcji naukowej koncepcji człowieka, zwłaszcza zaś w roli psychoterapii, mającej przywracać zachwianą równowagę psychiczną. W ślad za K.R. Popperem ironizowali „medice, cura te ipse”. Złożliwość tego rodzaju nie może odnosić się do twórcy psychoanalizy. Z. Freud bowiem stanowił przykład myśliciela, który swoje „wynalazki” sprawdzał w pierwszym rzędzie na sobie samym. Pod tym względem można go zestawiać z filozofami tej miary co Sokrates i Kartezjusz. Każdy z nich, na swój sposób, dokonywał wiewseki na własnym umyśle, własnej psychice i dopiero po przejściu serii prób na swojej osobie odważał się zalecać innym metodę gwarantowaną osobistym doświadczeniem.

Rzecz jasna, taka gwarancja, w której stawką jest intelektualna biografia, czy wprost życie – jak w przypadku Sokratesa – budząc nasz szacunek nie może jednak zniechęcać do krytycyzmu. Również psychoanaliza Freuda nie może być dla jej badacza tabu. Problem jedynie w tym, jakie narzędzia i jaki tryb są najbardziej stosowne do takiej krytyki, która z jednej strony nie popadała w bałwochwaltwo, z drugiej wszakże – nie kończyła się lekceważeniem i pogardliwym wzruszeniem ramion.

W naszym przekonaniu, psychoanaliza doskonale nadaje się do przeprowadzenia na niej operacji s o c j o a n a l i z y. Główną ideą socjologii wiedzy, która zaleca taką procedurę, jest oświecenie „tekstu” teorii naukowej w „kontekście” historycznym i kulturowym, z jakiego się ona wyłoniła. Trzeba więc rozporządzić o przypisanie analitycznej koncepcji do czasu i miejsca, tak jak to czynią historycy sztuki w odniesieniu do dzieł muzyki, literatury, malarstwa, rzeźby, a archeologowie – w odniesieniu do wykopalisk i szczątków kultury materialnej.

Prześlanką takiej metody relacjonowania, czyli opisywania również każdego wytworu ludzkiej myśli „metryką urodzenia” jest przeświadczenie, iż myślenie świadome, w tym także najwyższy jego gatunek – teoretyczne – jest współdeterminowane stylem myślowym danej epoki, jej mentalnymi nawykami, paradygmatem teoretycznym. Są to formalne czynniki świadomości, które – nie będąc używanymi przez podmiot – w znacznym stopniu przesądzą o selekcyonowaniu materiału doświadczenia, doborze i ujęciu treści poddanych refleksji.

Dociekając tych „kategorii oglądu” nakładanych podmiotowo przez kulturę jest równoznaczne z rekonstrukcją k t o , k i e d y i gdzie poznawał rzeczywistość z wyznaczonego tytu

współrzednymi punktu widzenia. Odtworzenie kategorii „jak” poznania pozwala na właściwe zrozumienie i głębszą interpretację „co” wiedzy.

II

Freud był myślicielem wiedeńskiego przełomu XIX i XX stulecia. Teza: nasza brzm: Twórcą psychoanalizy jest myślicielem pogranicza epoki i pogranicza kultury: Czasoprzestrzeń kulturowa, jaka wyznaczył mu los, znalazła ewidentnie odzwierciedlenie w jego koncepcji. Mówiąc ścisłej, psychoanaliza stanowi mapę kulturową monarchii austro-węgierskiej, przeniesioną do wnętrza ludzkiej psychiki. Zaprojektowana przez Freuda trójczłonowa i trójwarstwowa struktura osobowości jest interoryzacyjną strukturą otoczenia społeczno-kulturowego c.k. monarchii, a w szczególności Wiednia jako jej administracyjnego, politycznego i kulturowego centrum.

Tego rodzaju przeniesienie zewnętrzności do wnętrza i projektowanie zawartości umysłu na zewnątrz świata, nie jest czymś zastrzeżonym dla badanej tu teorii. J. Piaget w swojej epistemologii genetycznej prezentuje mechanizm poznawania świata przez jednostkę jako sekwencję następujących po sobie i wzajemnie uwarunkowanych etapów: asymilacji, akomodacji i adaptacji. Wolno — jak sądzimy — zapożycować następującą analogię: Również w zakresie poznania teoretycznego ma zastosowanie epistemologia kulturowa, która nakazywałaby patrzeć na ewolucję historycznej myśli (i wiedzy naukowej oraz filozoficznej) jako na powtarzający się tryadyczny cykl. Według niego najpierw następuje asymilacja zmienionego środowiska socio-kulturowego do dawnych schematów mentalnych, potem — akomodacja, przystosowanie zachowania do tak rozpoznanego otoczenia, a na koniec — zrównoważenie struktur świadomości i struktur rzeczywistości w postaci adaptacji. Naturalnie, każda osiągnięta w ten sposób harmonia wkrótce ulega zachwianiu wskutek kolejnych zmian obu stron układu: umysłu i świata.

W chwili swego powstawania teoria Freuda lokowała się na szczeblu asymilacji jako próba objęcia umysłem niesłyszanie złożonego i zróżnicowanego, a przez to chaotycznego świata imperium, w którego sztucznych ramach znalazły się narody, rasy i kultury o zgola odmiennej genealogii i stopniu cywilizacyjnego rozwoju. Aby wprowadzić w ów chaos jakis rodzaj porządku, trzeba było go zredukować do minimalnej ilości elementów oraz ustalić między nimi względnie proste relacje.

Najbardziej rzucającym się w oczy rysem monarchii austro-węgierskiej za panowania Franciszka Józefa była niewspółmierność kultur zamkniętych w obszarze wytyczonym przez sztuczne, polityczne narzucone granice. Choćby rzetelny historyk mógłby wymienić całą ich długą listę podkreślając odrębność i unikalność każdej z nich, przecież owa mnogość daje się sprowadzić do dwubiegowej opozycji.

Na jednym biegunie, w naszym z konieczności uproszczonym schemacie, lokować się będą prymitywne kultury plemienne, na drugim, przeciwnym — wysocy zorganizowane i oświecone kultury racjonalne. Pierwsze — oparte na naturalnych węzłach krwi i szlaku, drugie — mające organizację nowego typu — państwa, które ściąga zbiorowości o różnym pochodzeniu i łączy je we wspólnotę typu ekonomicznego i politycznego.

Problem imperium Franciszka Józefa, podobnie zresztą, jak każdego innego imperium, staje się kwestia metod zestrojenia niehomogenicznych składników w możliwie homogeniczną całość.

Jest to problem panowania, sprawowania efektywnej władzy nad przypadkowymi zbiorowiskiem niedopasowanymi do siebie elementów roziadanych od wewnątrz zasadniczymi sprzecznociami.

Najprostszym wyjściem w takiej sytuacji mogłoby się wydawać oczekiwanie posłuszeństwa za pomocą siły, przemoey fizycznej. Istotnie, metoda wywierania presji i przymusu przez reprezentantów „oświeconej władzy” na narody pozostające w stanie „dzikości” została wyprobowana w początkach panowania cesarza. Trzeba było jednak wkrótce od niej odstąpić, jako że groziła katastrofą: wybuchem silnym burdziej nieokreślonych, im silniej represjonowano: Z obawy przed totalnym rozpadem monarchii należało szukać łagodniejszych form sprawowania władzy. Pod koniec XIX wieku faktycznie został wypracowany pewien domow viwendi między niewspółmiernymi i wzajemnie nieprzetłumaczalnymi kulturami. Taki mianowicie, który umożliwiał mniej więcej bezkonfliktowe współistnienie tych kultur bez uciekania się do przemoey.

III

Nim dokonamy rekonstrukcji tego pokojowego mechanizmu równoważenia sprzeczności, zestawimy i porównamy dwa modele kultury, którym przyszło koegzystować na obszarze imperium.

Rozpoznamy od „kultury trybalskiej” (Popper), które w oczach etnolodzy dyspozycyjnego jawiły się jako dzikie. Narody i grupy odroczone w rodzaju ludów bałkańskich, słowiańskich, górskich karpaccich prowadziły tryb życia pomażanki. Na rozległych terytoriach rozproszeni byli ludzie zajmujący się uprawą ziemi, pasterstwem, prymitywnym handlem, nierazkąd rozbijniwstwem. Każda z takich, różniących się też między sobą, grup wyróżnionych na zasadzie przynależności etnicznej pozostawała zamknięta w naturalnych granicach obyczaju, religii, języka, stylu życia. Organizacje współwzajemne w obrębie takich wspólnot zapewniały głównie zbiorowa pamięć sakralnych wartości przekazywanych przez ustną tradycję. Taki trybalski wzorec kulturowy wykazuje wybitną stabilność; sztywność i konserwatywność. Kultury plemienne — w terminologii Poppera — kultury zamknięte. Nie są one w stanie wchłaniać niczego, co pochodzi z innej kultury. Na wszelką inność reagują bądź ignorowaniem jej, bądź — znacznie częściej — wrogością. Nie znają negocjacji, a jedynie zaczępną lub obronną walkę.

Ludy na tym szczeblu rozwoju cechuje ogromna witalność pozabawiona wszelako refleksyjności. W swym postępowaniu kierują się one irracjonalnością — odruchami zbiorowej sympatii albo wrogości. Siłą kietnającą w jakimś stopniu takta żywiołowa irracjonalność są systemy religijne oraz niepisane kodeksy obyczajowe. Jedne i drugie są równie odporne na wszystko, co od nich odmienne; represyjne wobec swoich, nietolerancyjne względem obcych.

„Kultury państwowe” „przeciwstawione „trybalskiej” to takie, które w swej historii zdążyły przejść doświadczenie organizowania się i funkcjonowania już nie według wzorca przynależności do rodu czy plemienia, ale — do wspólnoty administracyjnej. Tym samym dysponują one jednym stopniem swobody więcej, aniżeli kultury oparte na naturalnych węzłach pokrewieństwa. Mogą i potrafią łączyć się w różne konstelacje, zależnie od sytuacji historycznej. Stabilność i sztywność nie stanowią dla nich wartości samej w sobie, którą należy bronić za cenę życia. Dzięki doświadczeniu dynamiki i mobilności oraz płynących z nich pozytywnych efektów w postaci doboru cywilizacyjnych doceniania one rolę względnego otwierania się na cudze wpływy. Ekspansywność terytorialna — możliwa dzięki postępowi technicznemu — prócz korzyści materialnych pociąga za sobą ekspansywność poznawczą. Inni tery niekoniecznie jawią się

jako wrogowie, których należy zniszczyć. Można ich przeciw wykorzystać, przy okazji tolerując ich odmienność. Noleńs wolens obcywać z poddymi, skolonizowanymi kulturami prowadzi do pojawienia się pewnego dystansu do rodzimej kultury. Okazuje się, iż jest ona tylko jedną z wielu alternatywnych, wszelkiew ciagle uznaje się za „wyzna”.

Administrowanie na rozległych terenach wymaga przemysłowej organizacji, wymuszając racjonalność co najmniej instrumentalną. Racjonalność też staje się z czasem rozpoznawczym znakiem kultury Zachodu, która sytuuje się wobec kultury Wschodu jako typ mentalności noszącej Austriacy, traktujący sami siebie (i traktowani przez innych) jako przedstawicieli kultury wysokiej, wzorcowej, godnej naśladowania. Był to „naród wybrany” w tym sensie, że powołano do przewodzenia pozostałym, mniej oświeconym i cywilizowanym – zresztą w imię takie i ich dobra.

Szczegółowym uzasadnieniem dla sprawowania takiej misji była maksyma Habshburgów „alii bella gerant, tu Austria felix nube”. Podczas gdy inni wojują orężem, Austriacy powiększają obszar swoich wpływów w drodze „miłości” – małżeństw dynastycznych. Kultura Zachodu, do której zalicza się austriacka, przeszła ponadto przez wznoszące doświadczenia Oświecenia. W ślad za ideologią i kultem rozumności poszły działania praktyczne: upowszechnienie oświaty i szkolnictwa. Oświecenie też ze swym krytycyzmem do emocji, a także – wiary religijnej, zaszczepiło w umysłach pewną dozę sceptycyzmu, autoceptycyzmu oraz tolerancji dla religii odmiennych od własnej. „Rozum” i „racjonalność” jako wytyczki kultury Zachodu nakłaniały do powiększania instytutu, namigstności, emocij poprzez poddanie ich dyscyplinie. Tłumienie i opatowywanie irracjonalności u siebie dopuszczano je tym bardziej w „dzikich”. Ale niekiedy nie już poprzez represję fizyczną; raczej na drodze edukacji i wychowywania w instytutach militarnych i oświatowych zorganizowanych zresztą na kształt paramilitarnych.

IV

Historia sprawiła, iż imperium Franciszka Józefa stało się kotłem, w którym zebrała się mieszanina narodów o zgoła różnych kulturach i stopniu cywilizacji. Odpychanie się tych ściśniętych w jednym naczyniu elementów rodziło potężne siły grożące rozterowaniem się ścian. A jednak, jakby wbrew naturze, owa wybuchowa mieszanina nie eksplodowała – przetrwała i trwała nad podziw długo. Pod koniec panowania Franciszka Józefa, w interesującym nas okresie końca XIX wieku, mimo partykularnych konfliktów i napięć, monarchia uchodziła za wzór wspólnoty narodów, za „Austrię felix”.

Narzuca się pytanie: jak to było możliwe, iż „nienaturalny” twór państwowy zdołał poskromić „naturalne” tendencje odrębności i pojednania różnic, na porządek nie do pogodzenia. Musiał o tym zadecydować jakiś szczególny moment, pewien katalizator, który pozwolił na syntezę pierwiastków wywołujących bez ich unicestwienia. Najkrótsza odpowiedź na to pytanie brzmi: to był Wiedeń. Wiedeń rozumiany dosłownie jako stolica monarchii, centrum władzy politycznej i administracyjnej. A także: Wiedeń pojmowany symbolicznie jako ośrodek hipotetyczny, będący stożem dwóch typów kultury: Wschodu i Zachodu, które w postaci pierwotnej zdawały się być radykalnie przeciwstawne i antagonistyczne.

Jeśli chodzi o pierwszą z wymienionych funkcji: funkcję ośrodka sterowania politycznego i administracyjnego zawiadywania państwem, spełniał ją pałac cesarski, Hofburg. Tam cesarz wraz z otoczeniem „ekspertów” rozstrzygał gr polityczną mającą na celu

utrzymanie w ryzach partykularnych interesów poszczególnych narodów i podporządkowanie ich nadrzędnemu „dobru” – trwaniu monarchii. Już w tym zakresie można dostrzec przenikanie się dwóch pierwiastków: rodem z dwóch kultur. Bez wątpienia: rzeczywiste sprawowanie władzy opierało się na tradycji państwa oświeceniowego, które odwołując się do rozumu i tolerancji zastępowało metody bezwzględnej przemocy – metodami perswazyjnymi. Łagodności istniejące antagonizmy i zapobiegając przyszłym, profilaktycznie wychowywać sobie świadomych obywateli. Na czoło instytutu realizujących te dalekowszyczne plany wysunęły się: Kościół, szkoła i armia. Każdy miszkaniec imperium poddawany był przez nich obróbce na pożądaną wzór lojalnego poddanego Cesarza. Doskonałe funkcjonowała polityka „Peitsche und Zuckerbrot” – kija i marchewki. Zagrożenie „kijem” było przy tym pomniejszane aspiracjami do „marchewki” – szansą na zrobienie kariery urzędniczej, wojskowej, politycznej. Równocześnie dwór cesarski urzędniczo, wojskowo, politycznie, orientując w postaci nienaturalnej hierarchii, sztywnego ceremonialu, monumentalizmu czy wybuchających funkcji reprezentacyjnych. Ponad wszystkim unosił się wszakże tron Najjaśniejszego Pana, ojcowskiego władcy pozbawionego surowości, laskawego i opiekuńczego.

W cieniu takiej „młkiej” polityki rozgrywała się z powodzeniem kultura Wiednia. Chociaż nie było to najprawdopodobniej wyjątkowo spekulacyjnym zamiarem, Wiedeń faktycznie spełniał rolę forum, otwartej sceny, na której stykali się i spotykali przybywze ze wszystkich stron monarchii, przedstawiciele różnych kultur. Tak jak Austria – w wierszu Hebbła – stanowiła model wszechświata, podobnie Wiedeń stał się modelem monarchii, Austrii w mikroskali. Znaleźć w nim można było wszystko, co występowało w granicach imperium. Ponadto miało miejsce odprężenie i wielobieżność całej Europy, wabiąc ich niepowtarzalną atmosferą. Właśnie w Wiedniu dokonano się szczytów stopnia kultury Wschodu i Zachodu w nową, trzecią oryginalną jakość.

Urzeczywistniał ją „ludzie – p o m o s t y”. Był to specyficzny – jak by to powiedział E. Fromm – typ osobowości społecznej, którego atrybutem stała się tendencja do godzenia i asymilowania sprzeczności po to, by w następnej przetrwać w pewną naukę, już homogeniczną całość. Nie było to dziełem przypadku: ponieważ z punktu widzenia interesu państwa hermetyczność różnych kultur była nie do przyjęcia, a jednocześnie – odrzucono ich unifikację poprzez niszczenie różnic; sytuacja wygenerowała zapotrzebowanie na „kulturowych negocjatorów”. Pod przywódczym okiem domu poszukiwano im przesłanie do jakiegoś optimum kulturowego wspólnoty; mieszaniny różnorodnej lecz już niewybuchowej. To, co okazało się pożądaną i dobre dla społeczeństwa i państwa: styła życia i twory „ludzi-pomostów”, nie obawiało się dla nich bez kosztów własnych. Już za wysiłek godzenia sprzeczności, a czasem – krótkowzroczny był fakt i bystry dalekości tych osób i wynikające z niego k o m p l e k s y.

Mowa tu na razie o kompleksach nie w tym znaczeniu, jakie ma na uwadze psychoterapia, odnoszącą to zjawisko do konkretnych osób i poszukującą ich źródeł w stumilionowych przeżyciach z dzieciństwa. Chcemy bowiem podkreślić, iż to w rzeczywistości obiektywnej, w osobistym społocie sprzecznych przeżyć i kulturowych kryły się przyczyny powodujące narażanie ludzi na ciągłe straszenie i frustrujące doświadczenia. Mianowicie egzystowanie na styku różnych wzorów kulturowych oznaczało mniej lub bardziej uświadomianą potrzebę opowiedzenia się po stronie jednego z nich. A wybór był nielaty, ponieważ angażował czynniki racjonalne i irracjonalne. Z jednej strony – tradycja i dziedzictwo języka, obyczaj, religii

nakazywały wierność kulturze ojczystej; z drugiej — przyciągając oddziaływał wzorce kultury wyższej. Był to trudny dylemat, zwłaszcza dla mieszkańców krajów przylatujących do Austrii. Albowiem wymagał decyzji i deklaracji bądź wierności dla swoich, a tym samym rezygnacji z aspiracji i ambigii, bądź — na odwrót — wtopienia się w kulturę wzorową kosztem poczucia zdrady. Zresztą z bagażu rodzimej tradycji nigdy do końca nie udawało się wyzволć. Tak więc funkcjonowanie na pograniczu Wschodu i Zachodu z natury stwarzało sytuację traumatyzującą i kryzysową. Kryzys dyktował się na tym, że istniała konieczność wyboru albo albo, a jednocześnie każdy wariant prowadził do dramatu utraty poczucia tożsamości.

Jednakże wszelki kryzys, również i ten, zawiera w sobie perspektywę dwójakiego zakończenia. Negatywnego, gdy dochodzi do zafiksowania się, utraty w osobowości ostrego dysonansu, przeniesionego z otoczenia kulturowego do wewnątrz psychiki. Pozytywnego, o ile się uda przezwyciężyć dezintegrację i skonstruować jakieś mechanizmy samoobrony. Wiedni można uznać za doskonały symptom i zarazem przykład tego, w jaki sposób oryginalna, nowa kultura może sobie radzić z trudnościami powstającymi wskutek zderzenia wyjątkowych, niewspółmiernych kultur rzekomo skazanych na nierozwiązywalny konflikt.

V

Do nazwania „wynałazku”, za pomocą którego Wiedeń uporał się z kompleksem „ludzi-hybryd”, „ludzi-pomostów”, najlepiej pasuje pojęcie zaczerpnięte także ze słownictwa psychoanalizy — pojęcie *sublimacji*. Ale, ponieważ stosujemy je do kultury a nie do jednostki, musi ono (podobnie jak termin „kompleks”) również nieco zmienić swój sens.

Kultura Wiednia, zarówno materialna jak i duchowa, stanowi właśnie wcielenie zobiektywizowanego w dziełach efektu tak rozumianej sublimacji. Dzięki swej otwartości, nie represyjności i tolerancji miasto ściągало do siebie mieszkańców różnych prowincji i pozwalało im bez większych przeszkód na aklimatyzację. Stali obywatele Wiednia nie wykazywali ksenofobii, jak że czuli się w nim zaszczepieni i pewni swego. W ten sposób stolica pełniła jak gdyby rolę głównej rzeki, która zbiera wody z wielu różnych, pomniejszych, pozwalając im się zlewać i mieszać.

Co uderza w obrazie Wiednia przełomu stuleci, to fakt, iż można — jak w mikrokosmosie — znaleźć rzeczywistość wszystko, co występuje w makrokosmosie, w imperium. Ilustracją takiej różnorodności i pluralizmu jest choćby sytuacja intelektualna. W Wiedniu tego okresu współwystępują obok siebie orientacje tak odległe, jak te, które wcielały się w neopozytywizm, fenomenologię, empirio-krytycyzm czy psychoanalizę. Gdzie indziej i kiedy indziej zapewne musiałyby one walczyć ze sobą o lepsze... Klimat Austrii nie zmusza do takiej konkurencji na śmierć i życie. Mieszcza się na jednym obszarze wybitni artyści i myśliciele tak od siebie różni jak Mach, Brentano, Husserl, Wittgenstein, Freud, Musil, Wagner, Schiele... Każdy z nich zdaje się mówić co innego w innym języku i każdy znajduje audytorium.

Ale równocześnie, oprócz respektowania zasady neutralnej koegzystencji, w Wiedniu dokonuje się mniej jawna praca syntetyzowania kultury. Przebiega ona za pośrednictwem i na terenie sztuki. To właśnie bowiem sztuka posiada tajemnicę wyrażania z odmiennych pierwiastków pewnego stopu, który posiada nowe jakości, a których nie można wywiesić z ich jakości pierwotnych.

Sztuka Wiednia dokonała takiego dzieła przetopienia kultury

Zachodu i kultury Wschodu, gdzie różnice trudne do uzgodnienia na poziomie praktyki czy polityki pojechały się ze sobą pod postacią muzyki, malarstwa, literatury, poezji, architektury. Stało się to za sprawą tego cudownego instrumentu, którym dysponuje sztuka wszelkich czasów: dzięki językowi symboli. Język symboli zwykle przeciwstawia się językowi dyskursywnemu. Podczas gdy dyskurs domaga się precyzyjnego ustalania znaczeń, koniecznego dla werbalizowania myśli, symbol jest ze swej istoty wieloznaczny, nieodkorelowany, pozostawiający swobodę interpretacji. Komunikacja na poziomie dyskursywnym pomiędzy odmiennymi kulturami jest wyjątkowo trudna, gdyż wymaga negocjowania wspólnych znaczeń, w przypadku kultur różnych jest tak daleko jak te, które obejmowała c.k. monarchia — prawie niemożliwa. Musiałby bowiem przy tym być obecny neutralny negocjator, ktoś, kto dokonywałby translacji bez osobistego zaangażowania. Sztuka i jej specyficzne środki wyrazu spełniały taką rolę bez wyrzekania się momentu emocjonalnego. Przeciwnie, wykorzystując fakt, iż na pewnym poziomie nieświadomianego, przedwerbalnego doświadczenia wszyscy ludzie są do siebie podobni, apelowała do owego minimum wspólnoty. Pokazywała przy tym naczynie, iż odmienności, egzystyka, a nawet obojętne mogą fascynować, a nie tylko drażnić i odpychać. Sublimacja i przetwarzanie różnic, ekspresja ich oryginalnych spłotów w formie dzieł sztuki czczących kunszt i piękno przyczyniała się do utraty stylu i nastroju Wiednia. Skłonność do agresji, frustracji przybyszów z zewnątrz rozkładowały się w atmosferze zabawy. Surowość racjonalizmu i fanatyzm irracjonalizmu rozmywały się w klimacie sztuki modernistycznej, fantazyjnej, wyidealizowanej, choć skazanej rysem znudzenia i dekadencji wyprzedzenia. Rzecz by można, iż piękno zastąpiło tu spór o to, czyja „prawda” jest lepsza.

VI

W świetle powyżej nakreślonej kulturowej mapy „Cekania”, jak ironicznie, ale i żartobliwie nazywa c.k. monarchię Musil, bez trudu można odnaleźć jej odpowiednik w strukturze psychiki zarysowanej przez Z. Freuda. Id — będzie tu reprezentantem w psychice indywidualnej „stanu dzikości” właściwego kulturom plemiennym. Podobnie jak one Id stanowi uosobienie żywiołowej energii, domagającej się za wszelką cenę ujęcia. Jest siedzącą bestią, co witalne, motorem napędowym dzwignięcia życia czynią. Lecz jest ono anarchiczne, nie znające kierunku ani porządku. Jedynym celem jest ekspansja i rozkładanie. Jako siła biologiczna, społeczna i kulturowa może być groźna. Ponieważ jego „własciciel” — człowiek egzystuje wśród innych identycznie wyposażonych ludzi, musi pojawić się instancja odpowiedzialna za koordynowanie wzajemnie zagrażających sobie sił popędowych. W koncepcji Freuda tą instancją jest *Superego*. Aczkolwiek autor „*Kultury jako dzieła sztuki*” wywodził tę warstwę psychiki z kultury w ogólności (konstruowanej z naturą), w istocie *Superego* należy interpretować jako metaforę kultury określonego rodzaju, a mianowicie, racjonalnego i oświeconego Zachodu. W naszym odczytaniu, to co twórca psychoanalizy uważał w człowieku za konflikt komponentu biologicznego z komponentem społecznym i kulturowym faktycznie stanowiło metaforę konfliktu dwóch kultur zorganizowanych według różnych wzorów. Id byłoby więc zinterioryzowanym odzwiedmielnym dynamizmem, ale niewyciułyzowanej kultury Wschodu, „nieobyczajną” z punktu widzenia Zachodu reprezentowaną poprzez *Superego*. Atrybutem *Superego* jest zaś tendencja do represyjnego dyscyplinowania tego, co jawi się jako dziki, „niekulturowy”. Fakt, iż Freud

choć ciągle jeszcze symbolicznymi i metaforycznymi środkami, wypowiedział to Musil w *Człowieku bez właściwości*. Jego bohaterowie intymnie obok siebie, choć bliźniaczo nawzajem podobni, pozostają sobie obcy. Żyją w samotności i umierają bądź popadają w szaleństwo z samotności. Najbardziej może spektakularnym objawem pustki jaka powstaje, gdy zanikają wyraźne różnice, jest groteskowa „Akcja Równoległa”. Elita intelektualna i artystyczna Wiednia postanawia uczynić coś wielkiego i wzniosłego, co mogłoby porwać i zjednoczyć wszystkich, ale... nie może spaść na pomyśl, co też to mogłoby być.

Solidarność Narcyzów jest tak samo nieprawdopodobna, jak ich cierpiących braci spod znaku Edypa. Ludzie-pomosty są skazani albo na nieznośne napięcie powodowane rozdarcie między obcą i swoją kulturą, albo — na równie zabójczy spokój, kiedy już ostatecznie zamkna się w swoim własnym świecie. Futurystyczne odkrycie fenomenu narcyzmu — to przeczcucie tragedii wieku XX, który uczynił swoje sakrum z totalności; unifikacji i anonimowości „ludzi bez właściwości”. Pogodzeni ze sobą, pozbawieni poczucia dramatyzmu, odczuci fascynacji różnorodnością i innością, stanowili wymarzony materiał dla demagogicznych wodzów. Wódz, będąc hiperbolizacją Narcyza, nie znającego normalnych więzi z innym, pociągał za sobą masy. I ustanowił społeczeństwo ludzkich atomów, w którym każdy jest wymienny z każdym. Bowiem człowiek bez właściwości to już prawie tyle samo, co właściwość bez człowieka. Zuniforimizowana forma ostatecznie staje się obojętna na treść.

Superego zbliżając się zbyt blisko do Id zwalnia Ego z jego trudnych obowiązków. Kultura totalitarna powołuje się na biologię bez najmniejszej żenady. Jakikolwiek różnice — bo one jednak pozostają — zostaną sprowadzone do nierówności ras. Taka kultura staje się „źródłem cierpienia”, ale takich, których nawet nie potrafił wyobrazić sobie Freud pisząc swoją rozprawę i upominając się o prawa dla popędów.

Jadwiga Mizińska

Sabina Magierska

Książki nadesłane

Państwowy Instytut Wydawniczy

Leslie P. Hartley. *Posłaniec*. Przekłady Ryszarda Grabowskiego. Wyd. 2. Ss. 318. Serie: KIX.

Władimir Jowinicz. *Moskwa 2042*. Przekłady Henryka Bromilowskiego. Ss. 341.

Krzysztof Pomian. *Europa i jej nory*. Przekłady Małgorzata Szpakowska. Ss. 217. Serie: Biblioteka Myśli Wypokreśnion.

ADAM W. KULIK

GRA

fragment powieści

Boli. Odechodzę. Płasnienie na peryferiach dzikiego nurtu. Pora na popióły? Nie wiem czy zostanie nam popiół, który wiatr, którym ktokolwiek chciałby palce, nie wiem czy ważne, naprawdę ważne — najbardziej sensowne wydaje się obwieśnianie ziemi i wypiek chleba, reszta jest tak względna. Spalilo się gniazdo. W którym się nie urodziłem i w którym nie urodziła się moje dzieci, ale ze względu na chroniczny brak tradycji nazywam je tak. Przebywałem tam przed wielkimi wtajemniczeniami i dlatego szczepiliwie. Nadpalone świadectwa szkolne, fotografie, pamiętniki nabrały cieńszego wymiaru, brałem je z uśmiechem jeszcze nie wierząc. Później, grzebiąc w spalonych i mokrych jeszcze książkach płakałem w sobie. Odechodzę czy czas zostawia? Pozwalam się zostawiać?

Bydło wieszona na rzęzi, w mrozie, odkrytych samochodami, świnie pożerając w rzęzi jelita poprzedniczek sprzed dziesięciu minut, byki wiszące na tasiemce produkcyjnej za tylną nogę aż do śmierci, do zdechnięcia, by mójś należeć się przekrwiło — 10, 20 minut, zawody trw. obywatelskie, przekraczanie normy, plany, zrywianie kwiatów... Nawet śmierć, człowieka, życie.

Czas pytań — jakby był kiedykolwiek inny. Wykrzesać upór, wysmaczać się wolą, wyznaczyć przecieć i muszę, steruj racjonalnie organizmem, nadmierna eksploatacja, żeby nie zniszczyć, systematycznego wysiłku, jak zamierałem, nie skłócić wcześniej, staje — uciśk pod ciążką od góry aż do zawirowania, wymioty, nie skórzec wcześniej!

Jestem zmęczony bardziej niż wiem, belkot i zabierają znowu: babrzenie w trzewiach zwierząt, z sielkier w ręce, czerwone, pasowe kielichy, drzwonczki lilowe, intensywnie niebieskie, chłodny nagi, w puszystym zajęczym futerku, grubo wcześniej — 8, 9 lat, zabija robi kielbasy, że i chodzi po trawie pod słońcem, pod niebem, wszystko logiczne. Opala się, czyta gazety, do książek na pewno nie. Choć blyk myśli o terminie wyzwolenia, zakodowana w podświadomości klęska na pół bezwładnie. Nie tyle cierpienie przeraża, co wiedza o doświadczeniu w każdej chwili i niemożności odrzucenia, można, ale za jaką cenę. Przyjdzie chwila, kiedy cena nie wyda się wygórowana i transakcja będzie korzystna. Czuje: zmęczenie, radość, ochotę, gorączkowe, tłumione oczekiwanie, pewność, żądz działania.

Dlaczego poruszanie się w Młynie jeszcze boli, przecież ma rąkę ziarnka piasku. Pewnie przez błotniste resztki co czepiają się

rękawów, marzenia o czystym, idealnym słupku kryształu. Nieprawda, jestem egoistą bo MMZ, we dwoje w lesie. Błękity szal, fioletowe wrzószy, zielen i błękit jeziora, dził! Na drzewo! Do wody w jezioro, on za, błękitne spienione brzyzi i kół rozchożdzące, płynię do mnie! Głębci! Płynię! Tuż-tuż! Pod, sapie, szablę i za tylnę. Wciągni! Walczy twardo, kosmate racice, zawraca. Z siłą pod powierzchnię! Odwra! I! Za daleko jeszcze raz. Z trudem w górę, już walka o życie. Kosmaty ryj jak człowiek. Do brzegu. Nie. Zostać. Bez sił nie dopłynę, kłębawisko — walczy. Tuż obok brzegu powierzchnia gładka. Zmęczony spokojnie na piasku, ręce na piersi, dzika kółczyse woda, żal.

Cudownie żyć w przestrzeni, ciągle tej samej, choćć z ziemi, w powietrzu, kapać się w wodzie, spytakć ludzi, krążyć między przedmiotami. Magicznie żyć w czym żyli sprzed czterech tysięcy. Wszystko trwa nadal, tylko my, żywi istniejemy w czasie, krążymy po ulicach, mówimy nadając strumieniowi dźwięków formę, odchodzimy i miejsce zajmują dzieci — w tej przestrzeni, na tej ziemi, w powietrzu, spytakując się, dotykając przedmiotów. Cudownie ale bez wiedzy o sobie, nawet bez instynktów. Tylko trwać, nie więcej. Nadszedł czas na wielką metamorfozę?

21 kwietnia

Jestem zadowolony: przed chwilą odbijałem graczami z plastiku żelazną piłeczkę, przegrałem ale jestem zadowolony. Przyszła myśl, która nie znalazłaby mnie w innych okolicznościach.

22 kwietnia

Samochody, pociągi, Nieskończone linie przecinają przestrzeń. W słowach i ciszy, zjagotom silnika wypływają się miasta i miasteczka pachnące żupą ogórkową i dobrymi koletami, dymem z węgla. Opuścza się zjeżdżając z góry przez most nad rzeką, zawieszona na moment, wchłaniają je linie i półkółła w zieleń lasów i śpiewy skowronka. Zrucić wszystko, zostać maszynistą, kierownicą, posiadać przestrzeń, być w niej. Czysty, nagi. Uchwycić siebie na moment, to przeciw wszystko. Ziemia: zapach dzikiego bzu, trawy, beztroska dzieciństwa, śpiew ptaków, ogień, woda, maszyny, mgła, domy, słońce, chleb, nieustępliwość myśli, kamień, muzyka, ludzie, zwierzęta. Co jest jeszcze? Więc mimo wszystko pragnę za cenę spokoju życia: gdzieś nad brzegiem. To by znaczyło: przestałem wierzyć w ludzi i ich świat! Zaraz trzeba będzie dojść do definicji pojęcia alienacja. Naprawdę chciałbym tak istnieć! Komplex woda, mania wielkości, godzę się przeciw na ludzi i pracę, nie w takim wymiarze ale w ogóle tak! Naprawdę wiem czego chcę? Nie powinienem wdawać się w podobne dyskusje, tym bardziej z sobą, nigdy nie zdję na samo dno — myśli są nie do przebicia. Cukrowa wata. Matowe słońce. Pewnik: jeszcze chęć. Pozostaje więc taszczyć opasłe wody. Młyn potrzebuję karmy — nie ważne kto dostarcza, aby się tylko młóło. Zewnętrznie najbardziej zrzuca się w oczy, ruch, on wydaje się sensem. W gruncie rzeczy nikt nie wie o co chodzi: teoretycznie ustalone najważniejsze, najgłębsze sprawy wcale takimi nie są, w przeciwnym wypadku jak należałoby wytłumaczyć cały ten bajzel? Słowa nie określają rzeczywistości nie dlatego, że nie

są w stanie, na pewno nie są ale i w samym odniesieniu człowieka do słów w zaródku tkwi kłamstwo. Realia: chroniczny brak tzw. pieniędzy, skutek: taszczenie warów. Morze, „morze”, czy jest naprawdę coś takiego jak morze? Obawiam się, że jeszcze czas jakiś będę musiał jeść chleb z chrzmem, pić kawę na przykład z makiem, herbastę, jakiś żupka, iedę. Peregrynacje, owo stanie w kacie i oglądanie szpetnych, zapylanych masek — pozycja jaka jest, kto stoi wie. Zajężdża filozofia, tym wielu okaleca pewien stan nanieśli myślowych. Bardziej ogólnie nie potrafię. „Taniec Arlekinów”, dobry tytuł. Skoro spotkałem pięciu ludzi, skoro układy odnieśli — niewiedzialnie, szerokie aleje przywiodły ich do mnie. Moje ich wina, że nie były dostatecznie szerokie, lub moje zarozumialstwo, a może to po prostu dwunożne pajaki! Nie, to nie samotność, nie teraz, ani użalanie, pielęgnowanie siebie za wszelką cenę: z dnia na dzień staje się coraz bardziej byle jaki. Samotność: wyizolowanie osobnika z gatunku — bezpośrednie lub pośrednie, przy zapewnieniu względnych możliwości przetrwania, życia w grupie — to oczywiście, świat ludzi musi się różnić od świata zwierząt. Nikt się tobą nie interesuje, możesz jednak istnieć, zapewnił życie minimum, dostajesz jakieś pieniądze za jakąś pracę, możesz je wydać w sklepie, w knajpie, twój mały wybór. Nawet można się przyzwyczaić: robić to tamto, wieczorem piwko, dziewczynki, na kolację jajecznicę, kieliszczek przed snem. Ale zdraża się, że pozorna neutralność świata zmusza do podjęcia decyzji, wtedy komentarze: młody, zdolny był, a jaki przystojny, mógłby, uch ile mógłby, no trochę dziwak, lekarz mówił o frustracji, wariat, normalny człowiek nigdy by tego!

Tak, tak, w mordęczkę napłuc... Mam czas, może czekać długo, aż z całym spokojem powiem sobie: znalazłem. Będzie to decyzja dorosłego człowieka oparta na przesłankach racjonalnych. I nie ze strachu, z niewiedzy, nie że głupi.

— poszedłbym na grób Wielkiego Sprośnika z gitarą i pograł mimo że uderzył, że nie umiem i grałbym właściwie nie jemu, byłoby przyjęte wiem, komentarze — zwirowałem, puste myśli o Lil, matce i Kamili, beznadziejnie, powiedziałbym: słuchaj, jest ciepło, dojrzejają czereśnie, twoja żona płakała długo po tobie, podpatrywałaby żeby się uczyć, płakała mimo że nosiła w sobie wspomnienie pierwszej miłości, jeszcze sprzed ciebie, myślę, że nie kochała cię wielką miłością choć może się mylić, ale płakała, wiedząc, pachnie wilgocią ziemia o czym już nie wiem, i właściwie nie zostało po tobie nie, nawet nie wiem czy naprawdę byłś, choć pamiętam głos matowy, sposób mówienia przez nos, głoskanie kota były byles

— myśl jest przejawem doskonałości, idealnej konstrukcji organizmu, którego nie mogę pojąć, z trudnością i zdziwieniem, że strachem chwytam działanie — zewnętrzny znak procesów zachodzących głęboko, nie wiem dlaczego istnieje w ten sposób i jako taki, dlaczego zmysł analizy reaguje na niektóre bodźce (może na wszystkie, ale nie wiem czy na wszystkie) jestem świadomy pojmowania tylko części zewnętrznych przejawów istnienia, reszta jest niepoznawalna mimo całej psychy i dumy, mógłbym bezustannie powtarzać dlaczego jak zaprogramowana lalka a brzmiałoby jak najszersza muzyka.

Zapadam się zapadam się zapa. Zapadnia. Brązowa z bierwion. W podłodze. Nagle otwiera leć w zakładzie fryzjerskim? Woda pod płynę. Uciekałem — wiem. Przed kim. Uciekałem! Odkryta się i zakryła na zawiasach. Woda. Szaro. Tunel. Boję się. Prześwietla światło tunel. Pod górę i z góry. Jaskinia zamknięta ścianą. Z wody! Na pewno ogromne ośmiornice, kalamarze. Ściana z wody pionowa. Jakby. Pionowa. Wyraźnie! W głębi promienie słoneczne i ciała nurkujących z zewnątrz. Białe pęcherzyki, czekoladowe jasne ciała w luk i z powrotem do góry. Nie widzą. Nie wiedzą! Ciemne gardło dziesięć metrów ciemnego pierścienia i do tamtych! Dużo powietrza w płuca nurkiem. Czują się boję się czają. Walka z macakami, oślisze zielone wstrętne. Pochłoną, przytrzymają, uduśzą koniec. Zimno. Odpocząć. Muszę wyjść! Niedaleko metrów kalamarz! Do. I promień. Z głodu, pójść z. Bez względu na. Nie ma innego wyj. Na wszystko. Czujny jak macaki. Czujny do czujny na pochwyty — rzut ciałem! Zaskoczyle! Uda się! Posiedzę... Pos nabrać świadomości że już. Mam. Strach, nie mam. Niech to szlag!

Chciałbyś mieć ze mną dziecko?
Chciałbym.
Na pewno?
Dlaczego marudziś?
A dlaczego nie mamy?
Przecież niedawno wzięliśmy ślub, bo co zaraz dziecko.
Bo nie chcesz.
Dobrze wiesz, że chcę.
Akurat.

Sluchaj, bo nigdy nie skończymy tego nonsensu, mieszkamy bez przysady na norze, lada dzień mogą nas wyrzucić, gdyby przyszło dziecko albo rzuciłabyś pracę albo znalazła niankę, bo moja pensja nie starczy na utrzymanie trojga, jasne?

Jesteś mężczyzną, dorosłym człowiekiem, skończyłeś studia...
Weź mój dyplom, poświęć nim po mieście, może ktoś zechce sobie podtrześć!

Czy to moja wina, że nie potrafię nas utrzymać? Myślisz, że mężczyźni łatwo żyć ze świadomością tego? Jeszcze skurwysyn poucz: na Węgrzech 40 procent dochodów ludności pochodzi z prac dodatkowych. Po co myśleć, żyć, zapierałaś po 15 godzin na dobę feudalny robołu. Czerwoni książęta muszą mieszkać w pałacach, latać samolotami do paryskich fryzjerów i samolotami sprowadzać holenderskie masło. Utrzymywać tabuny policji pilnującej porządku, ich porządku!

Ochodzisz ode mnie. Czuję.
Zajmij się kolarą.
Pisz, zjadziesz daleko.
Nawet jeżeli to niewiele warte, wolę pisać niż krasie.
Gdybyś zmienił zdanie, kupilibyśmy samochód.
Dowieziemy do sześćdziesiątki... pod trawkę! Mają metodę na staruchów, wystarczy nie dać jeść.

Zrób kolację.

Jajecznicza czy konserwa rybna?

Oszaleć, znów!

Razem chodziliśmy po sklepach, sam kupowałem.

Niech krew zaśnie!

Rób jak Gandhi. Podobno kto mało je, długo żyje.

...

Wyjedźmy stąd, to zgnie miasto, mieszkani nie dostaniemy, nie ma co się ludzi, jeśli nie ma co. Jedźmy na południe. Dość mam spania na połowym łóżku, to już rok! Urządźmy się, chcę mieć dziecko.

Ja też, bardzo.

Mówią, będę mieć troje, czworo.

Nie słuchaj bzdu.

Nie jestem drewnem!

Książem wygodnie mówić z perspektywy dobrej kuchni i przestronnych mieszkań. Wychowanie dziecka kosztuje kilkadziesiąt tysięcy, milion, skąd wziąć te pieniądze. Zaczynamy od zera, jak we wspólnotę pierwotną.

Myślisz tylko o papierach.

Chcę być pisarzem i będę nim. To co więcej niż śniadanie — praca — obiad — ciuchy — sklepy — kolacja — telewizor — spać i tak wkoło.

Przerażasz mnie. Doszło do tego, że się ciebie boję.

Czekam, kiedy zaczniesz krzyczeć, pouczasz, ponaglać. Biorąc książkę uświadamiam sobie, że wmusili ją we mnie, że wzięłam nie z własnej woli.

Trąd toczy ziemię. Nigdy nie chciałeś być pisarzem polskim, czuję się mieszkańcem Ziemi, tak dojrzał świat i ja w nim. Wszystko z wyjątkiem człowieka skurczyło się, dlaczego miałbym sztucznie zawęzić perspektywę widzenia?

Naród cierpi. Konsekwentnie utrzymuje wewnętrzną wolność, tożsamość kulturową od kilkadziesiąt lat, czy to wielkość! Dla Prusów Fryderyk może być wielki, dla nas jest pospolitym szlachetnym i grabieżcą, wielkość Piotra Wielkiego także wyrosła na dorzynie Rzeszy polskiej. Testament tego pana obowiązuję i dziś półtora miliona Polaków. Rozciągnijcie 40 lat temu do min i lagrow Syberii. Zbrodniarze szlagają do robotników, dzieci...

Już nie mówię, że za pracę powinniśmy dostać tyle, żeby normalnie żyć. Przez 40 lat nie potrafili wyprodukować papieru toaletowego, żeby każdy miał coś z czego podtrześć. Przypadek? Kiedy wszystko odbywa się na rozkaz? Sytuacja byłaby czysta, gdyby powiedzieli wprost: chodź nam o rzywie, nie myl z rygowaniami, tak wygodne, że tylko kręć, kręć i reprezentować! Wory pieniędzy, kilkadziesiąt kobiet, kilkadziesiąt samochodów, kilkadziesiąt pałaców, roje służby, co dać, no co dać? Upajać się, zawładnąć jednym narodem, kilkoma, kilkunastoma, decydować o życiu i śmierci całych zbiorowisk, Tatarów krymskich przecież nie ma. Komu się nie podobą, 50 gramów ołowiu w leń. Dziesiątki tysięcy ludzi zesłanych za parę kałeson na łebka, bogobojni towarzysze wstępują do nowych związków.

wstałeś kiedyś Chryste
z ikony
i poszedłeś ze mną
zamieszkać
w nie zamalowanej desce

Podróż do Czarnolasu

nie wysłaliśmy jeszcze
poza teoriez Arystotelesa
szuka nasładowe życie
osiąga mistrzostwo w szkicach

5
pisze, ponieważ chce zasłużyć
na podziw
i lubi dać komuś rzecz drobną
w której o siebie walczy sumienie

6
zaczynać od rysunków i piosenek
od prostego dochodzić do prostoty

most nad przepaścią
ulać etruskiej ceramiki

7
wiersze
bywają pamiętnikiem
albo kreacją
najprawdziwsze
gdy jak niewierny Tomasz
dotykam ran i rozpoznaję życie
obecne i nowe
po siedmiu dniach dzień ósmy

Alfred M. Wierzbicki

ANDRZEJ ŁUCZENCZYK

PRZYWÓDCY

— W łeb go, bykał
— Kopać, biele
— Pędził jak kula. Trzymetrowymi susami, bity, kopany ze wszystkich stron. Dopadł wrzeczcie swojego kąta. W ostatniej już chwili ktoś uderzył go jeszcze w kark, ktoś inny mocno kopnął. Zbito go to z nóg, poleciał w ten swój kąt jak dźwięk w przerwie przez bark.
— Dostał, skurwielu
— Uch, jak mocno!
— Leżał na boku ciężko dysząc.
— Ech, wy...
— Milcz, cholero!
— Krzyczeli, wyrażali pięciami i tupali.
— Zabić by cię było mało!
— Toteż właśnie ciągle żyje!
Nie odzywał się. Usiadł i oparł się plecami o ścianę. Obmacywał ciało i krzywił się lekko. Krzyki powoli cichły. Wkrótce opadło i podniecenie. Zaczęło się krzyczeć i przed katem, w którym siedział, rozpalono ognisko i zawieszono na trójnogu kocioł z kaszą. Wszyscy usiedli wokół z miską w jednej ręce, z łyżką w drugiej.
— Jutro ty masz dyżur — zwrócił się mieszkający kaszę do siedzącego w kącie.
— Tak, pamiętam — odrzekł tamten.
— Ciesz się, byku.
— Dajesz bez bicia.
— Mam was w dupie.
— Zamknij mordę.
Jutro on gotował i nadanie, obiad i kolację. Nie uderzył go ani nie kopnął nikt. Nie potrafił nawet. Tak zresztą było zawsze, kiedy miał dyżur. Ale wymyślał sobie nie przestawano. Bez wyrażania pięciami, beznamienicie, wymyślano sobie ciągle.

W pozostałe dni bito go zawsze czerzy raz. Przy wyjściu do pracy, kiedy przychodzono na obiad, po obiedzie (kiedy wychodzono do pracy) i przy powrocie. Mieszał w kącie najdalszym wyjścia i wychodząc musiał przebiegać przez środek bijącego go szpalera. Na dworze już go nie bito, goniono go tylko jak najdalej wyjścia, na sam koniec pracujących, tak, że wracając musiał zostawić uszczegółony już szpaler, postród którego musiał przebiegać.

Pewnego wieczoru zbito go szczególnie mocno. Długo leżał

w swoim kącie, zanim podźwignął się i usiadł. Wolno toczył wokół wrokiem. Zawszą widział wyrażające pięści i szła nieustające przekleństwa.

- Dość, motłochu ... — wychryplął wreszcie.
- Zamknij mordę, sukinyśnu!
- Zabić, zabić!
- Wyleź z kąta, to zobaczysz!

Opierając się o ścianę wstał. Zatoczył się, ale wstał.

- Jeszcze żyjesz?!
- Wyleź, wyleź!
- Milczcie! — krzyknął nagle — Milczcie, wyl...
- Zabić, zabić!
- Milczcie! ... Dość już tego! Koniec z wami! Bez was — nie ma mnie, beze mnie — nie ma was! Popamiętajcie człowieka!...

— Popamiętasz ludzi! ...

— Precz z tej sali! Nikt z was tu nie pozostanie!

Wyrwał zza pasa nóż i wznosił go w górę. Prawie natychmiast po tamtej stronie błysnęły noże, a o sklepienie uderzył potężny wrzask. Stojący w kącie krzyknął urywanie jeszcze coś z całej siły wbił go sobie w serce.

Jakby w połowie urwał się wrzask. Wolno, jakby bezwładnie opadły ręce z nożami. — Ooooh!... — I cisza, po chwili dopiero rozbita beładnym, niegłośnym gwarem.

— Spokój! — odezwał się nagle przywódca. — Spokój. Urządził nas ten skurwiel przepięknie, ale nie mu z tego. W kóło wszyscy! Musimy zaprowadzić porządek i wybrać jego następcę.

- Patrzcie, powiększa się!
- Kto?
- Co?
- On!

Leżący trup powiększał się coraz bardziej. Już prawie nie mieścił się w kącie, w którym leżał.

- Patrzcie, patrzcie...
- Co się dzieje?
- Coraz większy...

Stojący najbliżsi musieli się już cofać. W ich zrzuconych półgłosem uwagach było coraz więcej gorączkowego podniecenia.

— Pamiętacie? Pamiętacie, co powiedział? Żaden z nas ma tu nie zostać...

- Mam odepść?
- My?
- My — przed nim!
- Nie pójdziemy!
- Ani kroku!

Krzyknęli coraz głośniej, nie przestając cofać się przed naporem coraz bardziej powiększającego się trupa. Naraz wszyscy ucichli. Patrzyli na przywódcę. Ten rozejrzał się, zdziwiony nagłą ciszą. Zobaczył utkwnię w sobie spojrzenia. Drgnął. Zbladł i cofnął się.

— Na co czekasz, przywódco?

- Co wy...
- Połpięz się i rób co trzeba.
- Ty! przywódco.
- Staw mu czoła — napierał na przywódcę już wszyscy.
- Zaczekajcie ... — odezwał się ten drżący głosem. — Czego wy chcecie?...

— Niby nie wiesz?

— Szybiej, szybciej, czasu szkoda.

Cofał się przed napierającym tłumem. Wreszcie nie było już gdzie się cofać; oparł się plecami o olbrzymiego już teraz trupa.

- Nie, nie tutaj.
- Przygniłoby cię.
- Wyląd na śródek.
- No a wy? Co będzie z wami?...
- My pójdziemy sobie stąd.
- Gdzie pójdziemy? Bez przywódcy?!
- Będzie inny.
- Dość gadania! Chodź na śródek!
- Nie...
- Jak to — nie?
- Przecież musisz to zrobić.
- Nie...
- Szybiej!
- Nie!

Porwano go za ręce i ciągnięto na śródek sali przemocą. Wyrwał się, krzyzał i błagał. Na śródku sali zrzucono go na posadzkę. Próbował chwycić otaczających go za nogi, całować je. Z początku odpychano go, później zaczęto odrzucać kopniakami.

- Szybiej, szybciej!
- Nie ma noża! Zgubił gdzieś!
- Dać mu nóż!

Przyniesiony i podany nóż odrzucił precz i chciał się zerwać, ale kilkanaście rąk przyniotło go z powrotem. Nie podano mu noża po raz drugi. Jeden z przytrzymujących podniósł wysoko swój i wbił go przywódcy między łopatki. Uderzył jeszcze dwa razy.

— Uff ... Nareszcie.

— Wychodźmy.

— Zaczekajmy. Zobaczymy, jak to będzie...

Czekali. Ale nie następowo nic, prócz nieustannego powiększania się trupa leżącego w kącie. Trup przywódcy nie powiększał się. Naraz ten, który zabił, zaklął i doskoczył do trupa leżącego na śródku sali. Zaczął go kopać i deptać, nie przestając przy tym ani na chwilę kląć.

— Samozwaniec! ...

Z groźnym okrzykiem zawodu poderwała się i reszta. Przepychano się do trupa, każdy chciał kopnąć choć raz.

— Samozwaniec!

— Jakim on tam był przywódcą?

— No to kto nim tutaj jest?!

Zatrzymali się wół ruchu. Zaczęli patrzeć na siebie i rozglądać się.

— Ty nim jesteś — powiedział nagle jeden, wskazując na tego, który zabił i pierwszy krzyknął „samozwaniec”! — Właśnie ty. Ty nam prawdę objawiłeś...

— Tak, ty właśnie.

— Ale ja...

— Szybciej!

— Ale ja...

Kilkunastu doskoczyło do niego z nożami i pchnęło go nimi. Wszyscy odpadli. Ale nie na długo, trup zabitego przed chwilą również się nie powiekszał.

— I nie on! — krzyknął ktoś rozderganym głosem.

— Tak masz rację... — i nad jego głowę błysnęły noże.

Po krótkim oczekiwaniu znów popatrzyli na siebie i zaczęli się rozglądać. Nagle przy wyjściu powstało zamieszanie; ktoś niepostrzeżenie chciał wyknąć się z pieczary, ale dostrzeżono go i wciągnięto z powrotem.

— Uciec chciał!

— Podły tchórz!

— Zabie tchórz!

— Zabie tchórz!

— Nie! Czekać! Tak nie można!

— A dlaczego?

— Bo nie można! A jak to on jest przywódca? Czy przywódca ma być tchórzem?!

— Nie!

— Przeglądaj!

Krzyżeli coraz głośniej, nie przestając rozglądać się po sobie. Krzyk stał się coraz jeszcze potężniejszy i wszyscy rzucili się do wyjścia. Obalano się, deptano i tratowano, wokół leżało pełno porzuconych noży.

OCZAROWANIE

Pokonując oniemiałymi pchniętami ciężkie drzwi i stanęłam oko w oko z rosnym, barczystym sierżantem. Stał nieruchomo, w lekkim rozroku, z założonymi rękami i zdawało się, że obejmuje mnie całego swym miękkim, ciepłym spojrzeniem. — Dzień dobry — odezwałam się półgłosem. — Otrzymałam na dzisiaj wezwanie do panów...

Sklonił lekko głowę, a jego twarz opromieniła łagodny uśmiech. — O, proszę — pokazałam wezwanie. — To gdzieś tam? — wskazałam na widzące w górę schody — czy gdzieś tu? — rozjeździłam się po dęgim, załamującym się po obu krawcach korytarzu, na którym stałśmy.

Zerknął dyskretnie na okazane mu wezwanie i momentalnie przemiótł wzrok na mnie.

— To pan — wyszeptał ze wzruszeniem. — To właśnie pan...

Zaskoczony, nie wiedziałem co odpowiedzieć, ale sierżant i tak nie pozwoliłby mi dojść do słowa: — Jak najuprzejmiej proszę pana

o chwilczkę cierpliwości — kłaniał się z szacunkiem i rozdygotanymi rękami wykręcał numer na tarczy telefonu. Rzucił w słuchawkę jedno tylko jakieś dziwne słowo, którego sensu zupełnie nie zrozumiałem i znów złożył mi pełen szacunku ukłon: — Miałem właśnie zaszczyt powiadomić pewne osoby o pańskim przybyciu...

A mnie wydawało się, że przez któreś z pięter przelatuje właśnie mały huragan; trzaskanie drzwiami, tupot, zduszone okrzyki... Wszystko uciło równie nagle jak się zaczęło, spojrzałam więc pytająco na sierżanta, ale ten dalej stał z zadartą głową, wyraźnie podekscytowany tamtym nagłym hałasem.

— Czyżby stało się coś złego? — zapytałam z niepokojem.

— Ależ skądże! — zaczął mnie gorączkowo uspokajać, a jego głos drżał z uniesienia i emocji. — To, widzi pan...

Mówił dalej, ale jego słowa nie docierały już do mnie. Z załomą korytarza wyloniła się i szła w naszym kierunku dziewczyna. Piękna, przeliczna dziewczyna w długiej, błękitnej sukni z głębokim dekoltem i rozcięciami po obu stronach sięgającym bioder. Była już o kilka kroków, widziałem jej jakby przymglone oczy i wilgotne, lekko rozchylone usta.

— Witam pana — odezwała się melodyjnym, matowym głosem. — Witam pana jak najserdeczniej zwracając w imieniu własnym, jak i w imieniu wszystkich naszych pracowników. Proszę — skłoniła lekko głowę i wytwornym gestem wskazała mi kierunek, z którego przybyła. — Czekamy na pana z największą niecierpliwością.

Śła nieco z przodu, co kilka kroków odwracając głowę i obrzucając mnie tym swoim jakby przymglonym spojrzeniem. Skreśliłszy w załom korytarza, przeszliśmy jeszcze kilka kroków i stanęliśmy przed monumentalnymi, marmurowymi schodami.

— Proszę — wskazała ręką dziewczyna i zaczęła wstąpić na schody. Szedłem tuż przy niej, prawie lekko napawał mnie czarny, lśniący marmur i masywne, srebrowe poręcze szerokości wygodnych ław. Dziewczyna nadal co kilka kroków odwracała głowę i spoglądała na mnie, a w jej jakby przymglonym spojrzeniu pojawiała się coraz więcej figlarnych błysków. Milczenie stawało się coraz bardziej uciążliwe, wiedziałem, że muszę, muszę zagadać, choćby cokolwiek.

— Te schody... — zacząłem i musiałem kilkakrotnie odskazywać, aby przemówić dziewczyna przystanąła, przysunęła się do mnie i swym rozjaśniającym, palącym już teraz spojrzeniem sięgnęła mi aż do dna duszy.

— Tak, słucham?... — wyszeptała z podnieceniem.

— Te schody... — brnąłem odważnie dalej — to... to po prostu coś wspaniałego!

— Ach... Tak, tak... — odśpinała się nieco i wydawała być jakby lekko czymś zawiedzona. Ale zaraz rozjaśniła się cała w uśmiechu i ujęwszy mnie jakby od niechcenia pod ramię, sama już poprowadziła mnie dalej. Przeszliśmy tak jeszcze kilka stopni i stanęliśmy na korytarzu, którego ściany wyłożone były syberyjskim cedrem, podłogę pokrywał puszysty, sięgający kostek dywan... Jesteśmy na miejscu — powiedziała dziewczyna, a w jej oczach znów

pojawiły się figlarne błyski. Przysunęła się do mnie zupełnie blisko i zdjęła mi z kołnierza niewidzialny puszek: — Jesteśmy na miejscu — powtórzyła. — Na pewno jest pan głodny, że pan razem ze mną śniadanie?

— Ja... dziękuję bardzo... to znaczy... jadłem już śniadanie. — Zdjęła mi z kołnierza jeszcze jeden niewidzialny puszek i delikatnie przylgła mi włosy: — Wygląda pan na zmęczonego, na pewno chętnie by się pan wykąpał?

— Ja... tak... oczywiście... to znaczy, może innym razem...

Wtedy zarzuciła mi ręce na szyję i przyknuwszy oczy wyszeptwała gorączkowo:

— Kochany głupek, czyżbyś nie miał ochoty absolutnie na nie? Potem pluskaliśmy się z rozkoszą w obryzki, wykładane błękitnymi kafelkami wannie — basenie, a po kąpielach, z niespotykanym apetytem zjadłem obficie, wyśmienite śniadanie. Zaraz też opuściliśmy gościnny, wspaniały apartament i znalazłem się z powrotem na korytarzu. Mimo zapowiedzi Julii-Isabelli, że wszystko będzie w jak najlepszym porządku, odczuwałem lekki niepokój; upłynęły już wszakże trzy godziny od czasu, w jakim miałem się stawić w oznaczonym pokoju. Średłem więc teraz dość spiesznie korytarzem, bacznie przylgając się numerom na mijanych drzwiach. Kłami u wszystkich drzwi były złote, wydane w dodatku drogi kamieniami. Coś te kamienie niewątpliwie oznaczały; miałem drzwi, w kłamiach niektórych były trzy rubiny, w niektórych cztery, a jeszcze w niektórych tkwiło po jednym lub dwa brylanty. Drzwi, przed którymi się wściekałem zatrzymałem, miały osadzone w kłame z trębry. Już wyciągałem rękę, aby zapukać, gdy wtem drzwi otworzyły się szeroko i ze środka dobiegli chóralny, radosny okrzyk: — Prosimy!

Było ich w pokoju trzech i wszystkich trzech rozpięła po prostu obryzmy radość. Przestępowali z nogi na nogę, zacierali ręce i nie mogli powstrzymać nerwowego chichotu. Mnie też udało się przyłożyć na twarz coś w rodzaju niezmienne wyludowego uśmiechu, kiedy tak stałem na środku pokoju nie mogąc pozbyć się przykrego uczucia zażenowania.

— Nareszcie, nareszcie!... cieszyli się jak dzieci, prawie obchodząc mnie wokół. Wreszcie jeden z nich podniósł do góry rękę i łamiącym się, rozdzierającym ze szczęścia głosem zacytował:

— Przyjaciecie! Pozwólcie mi powiedzieć kilka słów i wybaczyć, jeśli nie będę one zbyt śladne. To wzruszenie, wzruszenie... No bo jak ja to! Tak długo oczekiwania chwila, po tylekroć przeżywania i to nareszcie... Tak i wreszcie! Pozwólcie mi zatem, że jak najserdeczniej powitam pana i w naszym imieniu, i w imieniu wszystkich pracowników naszej Służby. Witamy pana! Wybaczyć mi, proszę, że nie ponadto nie potrafię i nie umiem powiedzieć.

Sklonił energicznie głowę i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką:

— Pozwoli pan, że się przedstawię, Józio jestem...

— Stasia... — z wyciągniętą ręką czekał już drugi...

— Aluś... — zbliżył się nieśmiało trzeci, wycierając ukradkiem kąciki oczu...

— A dla... — podniósł znów rękę Józio, zniżając konfidencjonalnie głos — no, powiedzmy... sanacji naszych stosunków towarzyskich pragnąbyśmy jeszcze dodać, że wszyscy trzej jesteśmy poręcznikami — zakończył z czującym uśmiechem.

Pozostali również w tym momencie przeszli mi takie same uśmiechy, a Aluś dodatkowo mrugnął łobuzersko prawym okiem.

— No to... proszę, niechże pan usiądzie — zakrzętnął się troskliwie Józio.

Zrazu prawie cały zapadłem się w obłrzy my obłąk obłąk w hotel. Spuściłem wzrok pod pieczęciotwój spojrzeń Józio, Stasia i Alusia i, sadowując się delikatnie na samym brzęku, machinalnie przesunąłem rękę po kieszeni.

— Cry... — jakże trudno było mi wydobyć głos! — czy można zapalić?

— Alez naturalnie! — poderwali się wszyscy trzej, a najszybszy był Józio:

— Camela?

— Chesterfielda?

— Cygarko może?

To Aluś. Wydobył cygaro już nie ze szkatulki, ale z dość sporej skrzynki (heban inkrustowany kością słoniową i wspaniałymi okazami perel) i przysunąłszy mi do ucha, delikatnie nacisnął; usłyszałem nikły trzask.

— Prawdziwa hawana — dodał kusząco.

— Ja... — wyjąkałem — dziękuję... Pał sporty...

Prawie że zwinęli się ze śmiechu. Trzymali się za brzuchy, lry ściekali im ciurkiem po policzkach. Ilekroć próbowali coś powiedzieć, ogarniał ich nowy, jeszcze silniejszy atak śmiechu. Wreszcie Stasiu, łapiąc z najwyższym trudem oddech, zdołał wykrzusić:

— Ekscentryk z pana, panie Andrzeju...

Uspokoił się wreszcie powoli. Ramionami ich wstrząsał jeszcze co jakiś czas dreszcz, a Aluś drżał lekko cały:

— Genialne! Wprost niesamowite! — popiskiwał. — Wschodząca gwiazda literatury pali sporty... Och, och...

Sięgnął do skrzynki, wydobył stamtąd dość spór gilotynkę (złota podstawa i konstrukcja, w podstawie szmaragd wielkości dziesięciolotki, platynowy nóż) i zabierał się do obcięcia cygara.

Podarunek od Grisy? — wyjaśnił z radością, widząc moje zaciekawienie. — Od radzieckiego towarzysza i przyjaciela. Coś wspaniałego! — rozczuli się. — Proszę tylko popatrzeć...

Z piętyrkiem ułożył cygaro, naciął szmaragd, platynowy nóż szczerknął i koniuszek cygara potoczył się do jakby ze złotej pajęczyny pliczonego koszyczka.

— Widział pan? Widział pan? — śmiał się z rozbawieniem i klasał w dłonie. — Jakże to wszystko przemysłane...

Czynili wszystko, aby mnie rozruszać i ośmielić:

— A wie pan — czuli się do mnie Józio — wie pan, dlaczego go powroczyć kosmosu major Hermaszewski miał spuchnięte ręce? Bo ilekroć próbował czegoś dotknąć, Klimiuk bił go po łapach: nie trogaj! nie twój!...

— Z powrotem rozsiadałem się w fotelu coraz wygodniej, a sypiące się z ich strony jak z rękawa docwipcy kwitowałem coraz swobodniejszym śmiechem.

— No to... — zatarł naraz ręce Józiu i spojrzał na Stasia i Alusia — zorganizujemy coś, prawda?

— Najwyższy czas! — odkryknęli ochoczo i nim się zorientowałem, na stoliku pojawiła się talia kart.

— Poker, panie Andrzeju!

— Patrzyłem zniechęconym wzrokiem na talie piątników, a oni, widząc moje oszołomienie, znów zaśmiewali się do lez.

— Informacje mamy bezbłędne! — wykrzyknął z zachwytem Alus.

— Ciska, która po tych słowach nagle zapadła, zdawała się porażać nas wszystkich nieczym jakimś najobleśniejszym wrzask.

— Informacje... — bąknął Józiu.

— No cóż... — ledwie dosłyszalnie wyszeptał Stasiu.

— Zbieramy je... — chlupnął Alus.

— Pewne informacje...

— O pewnych osobach...

Ozywiali się coraz bardziej:

— Zbieramy je po to...

— Aby...

— Aby — Józiu wyglądał teraz jak młody bóg — aby później, w rozmowie z tą osobą, nie strzelić żadnej, nawet najmniejszej nawet gafy!

Przylączylem się i ja do okłasków Stasia i Alusia, i też, tak jak oni zacząłem gorączkowo przelecać w myśli pieniądze, jakie posiadałem.

Stasiu wstał, podszedł do stojącego w rogu biurka (mahoni, jak i wszystkie meble w pokoju), otworzył szufladę, wyjął spory pakiet i wrócił z powrotem.

— Mam propozycję — zwracał się przede wszystkim do mnie.

— Aby nikt nie czuł się za bardzo przegrany, każdy przystąpi do gry z jednakową sumą pieniędzy. Kto przegra wszystko — odpada. Prawda, że tak będzie najłepiej? Proszę więc uprzejmie, po dziesięć tysięcy... — rzucił od niechcenia, kładąc przed każdym z nas grubych plik studolarowych banknotów.

— Ale przecież... — wyjąkałem — przecież...

— Tylko bez skrupułów! — oburzyli się. — To po prostu symboliczna, chwilowa pożyczka...

Karta szła mi wymiennie, a już szczególnie z rożnami Alusia; za każdym razem poker z ręki Józiu i Stasiu odbardzał mnie natomiast królewskimi karetami z asem na obstawę. Czy to z ręki, czy przy kupnie, układ, jaki od nich dostawałem, pozostawał bez zmian.

— Wspaniale, znakomicie! — cieszyli się, przebijając bez opamiętania. — Cóż za niespotykane szczęście!

Jeszcze kilka rożnów i czterdziestych tysięcy dolarów piętrzyło się przede mną na bezładnej kupce.

— Jakże mam miło!

— Nawet pan sobie nie wyobraża!

— Szczęście zaiste niespotykane!

— Widzi pan? — klepał mnie po ramieniu Józiu — szybko i bez szarpiących nerwów oczekiwań.

— Proszę? — Oszołomiony, nieomal półprzymoty, nie byłem w stanie kojarzyć wszystkiego, co się teraz wokół mnie działo.

— No... Ma pan zupełnie zrozumiała słabość do zielonych, prawda? Przecież chyba tylko z tego powodu publikuje pan na Zachodzie? A czy to potrzebne? Dla tych kilkudziesięciu dolarów zadawać się z tymi tam... — twarz jego przybrała teraz twardy, kamienny wyraz.

— To już przeszło! — bagatelizował sprawę Stasiu przy aprobacie Alusia. — Jesteśmy przekonani, że gdy pan znowu zapotrzebuje — wskazał na stos banknotów — natychmiast zorganizujemy nową, podobną partykę. Ręce, że szczęście dopisze panu znowu...

— Panowie... — udało mi się wykrztusić po chwili. — Pozwólcie mi, że...

— Niechże pan da spokój! — zaprotestowali nieomal ze zgorznięciem.

— Ależ ja... Czy pozwolicie, panowie, że przynajmniej dokładnie opiszę całe to nasze dzisiejsze spotkanie?

— I... i co? — ozywili się.

— Opiszę i opublikuję. Pozwólą mi panowie?

Wpadli wprost w euforię.

— Tylko — troszczyli się chwilami — czy ludzie aby w to wszystko uwierzą?

— Rozmowa zesła powoli na literaturę, film, teatr, muzykę.

— A właśnie! — wykrzyknął nagle Alus. — Mam reżyserskie nagranie „Tańca szkieletów” Saint-Saënsa. Zaraz przesłuchamy, będzie pan zachwycony!

Nawet najdrobniejszy ich informację były wprost niewiarygodnie prawdziwe. Alus położył na stole japoński magnetofon, wcisnął klawisz, lecz zamiast wibrujących, szarpających dźwięków ciszę pokoju przerwał tubalny, twardy głos:

— Towarzysze kapusie! Chwila obecna...

Nagle atak rozzdzierającego kaszlu z trzech piersi zagłuszył słowa, zanim jeszcze Alus chwycił oburącz magnetofon, wyłączył go i schował do szuflady. W skupieniu oglądałem sobie paznokcie, nie chcąc widzieć przerażonych, utkwionych we mnie spojrzeń. Kiedy po jakimś czasie ucielił wrzeszcze ten nagły, zbiorowy atak kaszlu, Józiu nie pozwolił już Alusiowi wrócić do rozmowy o sztuce. Spojrzał na zegarek, wstał i urczyście oznajmił:

— Panowie, oczekują już nas z obiadem!

— Sala Rycerska? — podniósł się Stasiu.

— Oczywiście.

Długo, prawie cztery godziny trwała wspaniała urota. Zaczęło mi się wydawać, że wszyscy czterej znamy się od dzieciństwa i że wspólnie przeżywalimy swoje najpiękniejsze chwile. Pora roztania zbliżała się jednak nieubłagalnie. Wróciłmiś niespiesznie do pokoju i tu okazało się, że oczekuje mnie jeszcze jedna niespodzianka. Już na

samym początku zauważyłem stojący na biurku w rogu pokoju jakiś przedmiot wielkości głowy, przykryty białym brokatem. Teraz Józio podszedł do biurka, wziął delikatnie ów przedmiot (wyglądało, że musi być niejako ciężki) i z pietyzmem ustawił go na stole. Zacierając ręce, zacerwieniony ze wzruszenia zwrócił się do mnie:

— A to... od nas dla pana... drobny upominek z okazji naszego dzisiejszego spotkania...

Ruchem magika zdjął brokatową materię i oczom moim ukazało się szczerzołote, właśnie wielkości głowy popiersie Feliksa Dzierżyńskiego.

— Gdy postawi je pan sobie na telewizorze... — wzruszenie nie pozwoliło Alusiovi dokończyć.

Wyręczono mi jeszcze elegancką, czarną torbę z wężową skóry, na której, na tle purpurowo wchodzącego słońca, wyłoczony był złoty napis: „Service of Safety”; powkladałem w nią to wszystko, czym dzisiaj obdarzył mnie laskawy i szczerdy los, i odprowadzany przez Józia, Stasia i Alusia ruszyłem do wyjścia. Wychodziłem innymi drzwiami niż tutaj wszedłem, wyjaśniono mi, że tamto wejście służy „czwajnym glinom”.

Kiedy doszedłem do ulicy i obejrzałem się już po raz ostatni, zobaczyłem jak Józio i Stasio podtrzymują szlochającego Alusia i białymi chusteczkami, którymi mi dotychczas powiewali, wycierają mu nos, kroskowie oczy i nos. Westchnąłem ciężko i wolno ruszyłem przed siebie.

Andrzej Łuczeńczyk

Przeznoszące teksty Andrzeja Łuczeńczyka odnalazł w spójnicie po piśmie Jan Smolarz.

Książki nadesłane

Norbertinum. Wydawnictwo — Drukarnia — Księgarnia. Lublin

Tomasz Mickiewicz: *Wybór w gospodarkę. Wprowadzenie do analizy ekonomicznej*. Ss. 214, nakład 500 egz.

Andrzej Józef Misur: *Pogranicze. Poezje. Wybór i postawie Marian Janusz Kawalko*. Ss. 72, nakład 500 egz.

Antoni J. Nowak: *Kabieru — kapłanem*. Ss. 73, nakład 3000 egz.

Jadwiga Skibińska-Podbielska: *Aferizmy*. Ilustracje Bogna Podbielska. Ss. 87, nakład 1000 egz.

JAN SMOLARZ

ANDRZEJ ŁUCZEŃCZYK

W dniu 13 sierpnia 1991r. nad grobem Andrzeja Łuczeńczyka wybitny krytyk Henryk Berezę powiedział: W początku wiatrowiczenia i z obowiązku wobec prawdy mówię nad grobem Andrzeja Łuczeńczyka, ktoś, zwrócił w zawiąty, układ przybył przed czterdziestu pięciu laty, ktoś, z kogo ziemia lubelska może być tak dumna, jak jest dumna z Bolesława Leśmiana i Józefa Czechowicza.

Nie to, kim Andrzej Łuczeńczyk był na co dzień. On był w wszystkim taki, jaki mógł i musiał być, będąc w każdym dniu swojego istnienia narzędziem słowa i panem tajemnicy.

Andrzej Łuczeńczyk — zdarzenie w prozie polskiej ostatniej dekady, jest dopiero do opisanja. Zasygnalizowała go wprawdzie recepcja archizytelnica, głównie krytyczna, ale wiele jeszcze realiów wymaga lepszego rozpoznanja. Nasza garść informacji to zaledwie próba pierwszego kroku: merytyka gawiska, inwentaryzacja faktów, nieco refleksji. Jesteśmy mu to winni, gdyż ten „książę z ducha” był człowiekiem z tej ziemi.

Tajemnica

Świat był tajemnicą, życie jest tajemnicą, człowiek jest tajemnicą. Odkrywanie i opanowywanie tajemnic dokonuje się w procesie poznania. Jest wielkim aktem ludzkiego optymizmu. Lecz próby bywają nieraz aktami rozpaczki, klasycznego dramatu. Tarany filozofii, logiki i psychologii giną w kosmosie tajemnicy.

Andrzej Łuczeńczyk — znana jest w głównych punktach chronologia i geografia jego życia (zob. biogram). Kochał się w apokaliptyczną wojnę. W jej chaosie, niewolniczej pracy w Turyni, niedaleko miasta Gotha, w wsi Aschara narodziło się życie. To była pierwsza tajemnica. Był rok 1958. Incydent szkolny. Szpital. To była druga tajemnica. Dalej tajemnicę szereg się powiększał: tajemnica tożsamości, zagadka przestrzeni i czasu, słowa i przypadku, dobra i zła. I tajemnica śmierci.

Ku słowu

Zainteresowanie słowem jako narzędziem kreacji tkwiło w owej bolesnej przyszydzie szkolno-koleżeńskiejskiej. Wyrastało ono m.in. na podłożu lektury, edukacji kulturalnej. Z pisarskich wypowiedzi wynika, że dokonywało się to w procesie nauki szkolnej (Licium Ogólnoszkolące im. S. Staszica w Lublinie i polonistka Małgorzata Szewczyk) oraz kształcenia, wychowania równoległego (radio, prasa, a w niej artykuły Andrzeja Kijowskiego o literaturze). Przyszły pisarz „gustował” w prozie amerykańskiej, poznał nasz malarz realizm

¹ Andrzej Łuczeńczyk: *Gwizdy i księżyc*. Wstęp Henryk Berezę. Wyd. 2, Katowice 1992, s. 21.

² Andrzej Łuczeńczyk: *Jestem znikąd? Rozmowa z...* Rozm. Ireneusz J. Kamiński. „Kamena” 1987, nr 25, s. 6.



YR0181 Andrzej Łuczenyik (z lewej) w wieku ok. 4 lat z bratem młodszym, w tle widoczny jest dom rodziców.

(Andrzej Brycht, Ireneusz Iredyński, Marek Nowakowski, Edward Stachura). Wśród swoich literackich nauczycieli wymieniał A. Camusa, A. Czechowa, F. Dostojewskiego, W. Faulknera, H. Melville'a. Pierwszą próbą, zrodzoną z fascynacji literaturą i słowem, było napisanie innej wersji zakończenia słuchowiska radiowego³. Debiut publikacyjny nastąpił w czerwcu 1969 r. trzema wierszami w miesięczniku pracy twórczej „Radar”. W listopadzie tego roku zadebiutował w lubelskiej „Kamieniu” jako prozaik opowiadaniem pt. *Wznieście⁴*. W następnym roku ukazały się kolejne opowiadania. W 1975 r. cztery opowiadania wydrukowała paryska „Kultura”, trzy zostały zamieszczone w zbiorze opowiadań *Na widnokręgu* (Lublin). Przed debiutem książkowym miał już Łuczenyik kilkanaście publikacji swoich opowiadań w „Kamieniu”, paryskiej „Kulturze”, londyńskiej „Oficynie Poetów”, „Odgłosach” i dwóch wydawnictwach zbiorowych. Publikacje w wydawnictwach emigracyjnych stały się przyczyną odmowy wydania pierwszego zbioru opowiadań przez Wydawnictwo Lubelskie. Ostatecznie stał się Łuczenyik autorem wydawanym przez „Czytelnika”, a głównie „Iskry”, druko-

wanym przez „Twórczość” oraz m. in. „Akcent”, „Kulturę”, „Regiony” i „Życie Literackie”. Były to okoliczności korzystne, w szczególności sprzyjały promocji ze strony Henryka Beresty i przyjaźnia pomóc redaktorska Marii Jentys.

Wśród 32 publikacji, które ukazały się za życia autora, znajdują się 4 książki, 25 tekstów w prasie i 3 w wydawnictwach zbiorowych. Ogłosił Łuczenyik 3 mikroopowiadania, 26 opowiadań i obrazek dramatyczny. Opowiadanie *Wilk* ukazało się również w tłumaczeniach na język niemiecki i słowacki. Czterokrotnie drukowane były opowiadania: *Dereś* i *Lyżka*, trzykrotnie — *Pilkarze* i *Wznieście*, dwukrotnie — 8 innych opowiadań. Utwory te powstały w ciągu dwudziestolecia 1969-1989 (zob. bibliografia). Według zachowanej rękopiśmiennej notatki pisarza w 1969 r. napisał on dwa opowiadania: *Wznieście* (sierpień) i *Pociąg powrocie* (grudzień); w 1970 r. cztery opowiadania: *Lyżka* (marzec), *Ciemna woda* (maj, czerwiec), *Pilkarze* (lipiec), *Bohater* (grudzień); w 1971 r. — trzy: *Świniołże* (styczeń), *Dereś*, *Przywódcy* (listopad); w 1972 r. — sześć: *Słonce* (lut), *Gina Lolobrigida* (czerwiec), *Na sygnale*, *Szyrzy* i *Mosty* (lipiec), *Pierwsza zmiana* (grudzień). Następnie powstały opowiadania: *Kosynierzy*, *Chrzest*, *Co tydzień w niedzielę*, *Synowie*, *Zwyczące polodzieńce*. Pozostałe opowiadania zostały napisane po 1973 roku. Mistrz powstał prawdopodobnie w 1976 r. opowiadania zawarte w zbiorze *Kiedy otwierają się drzwi* powstały przed 1983 r. W wymienionym roku został ukończony *Gwiezdny księżyc*, w 1985 r. — *Źródło*, w 1989 r. (25 IV) — *Wyzwanie*. Wśród nieditów znajdują się m. in. opowiadania: *Kosynierzy*, *Niedzielne radio*, *Oczarowanie*, *Przywódcy*, scenariusz filmu telewizyjnego *Wstąpienie*, materiały do scenariusza na podstawie *Źródła* i tłumaczenia wierszy S. Jesienina. Praca nad scenariuszami trwała co najmniej od 1987 r.

Jako pisarz Łuczenyik dojrzał do coraz poważniejszych prób. Nie licząc próbki wierszowania, z powodzeniem „przetestował” swoje możliwości w gatunku literackim zwanym opowiadaniem, dochodząc do form pogranicznych między tym gatunkiem a powieścią. Lecz jego ambicje obejmowały również dramaty, co sygnalizowały wypowiedzi pisarza, a potwierdzają próby scenariuszowe.

Swoje utwory publikował pod dokumentalnym imieniem i nazwiskiem, ale rękopisy podpisywał nierzadko pseudonimem: Andrzej Kos lub po prostu Andrzej.

Przejęcie czy odrzucenie?

Recepcja krytyczna twórczości Łuczenyika rozpoczęła się w 1983 r., g. kilkanaście lat po debiucie prasowym. Utwory debiutanckiego tomiku *Przez puste ulice* zostały przyjęte przez krytykę selektywnie. Największe zainteresowanie „wzbudziły te, które przekonywały o dawiegnastowiecznej tradycji gatunku i zapowiadały oryginalny styl i poetycką dążeń twórczości pisarza (*Ciemna woda* i opowiadanie tytułowe)⁵. Ich autora uznano za (...) nazwisko obiecujące więcej niż zwykłyłny się spodziewać od większości początkujących prozaików⁶.

Podwołano liczbę recenzji kolejnego zbioru pt. *Kiedy otwierają się drzwi* świadczyła o wzrastającym zainteresowaniu twórczością

³ Płazęk zapomniał się m. in. ze spiskami polimietna A. Łuczenyika znajdującą się u matki pisarza. Walentyna Łuczenyik, w Ludwinie A. Łuczenyik podpisał utwór z telewizji na słownictwo *Gry* w czasie i *Comet* wody. W piśmie scenarzysty współpracował z nim m.in. Janusz Kubik z Łodzi. W 1991 r. z propozycją napisania krótkiego słuchowiska zwracał się do A. Łuczenyika kierownik Teatru Polskiego Radia, Paweł Musakowicz.

⁴ Maria Jentys: *Ciemna woda*, „Regiony” 1983, nr 4, s. 129.

⁵ Tadeusz Olkiewicz: *Debiutami poznajemy*, „Tygodnik Kulturowy” 1983, nr 32, s. 12.

⁶ Andrzej Łuczenyik: *Autor, Autor! Czy... rozmowa* Michał Markowski, „Kultura” 1989, nr 17, s. 10.

⁷ W liście prawdopodobnie do Marii Bochezy-Rudnickiej z dnia 4 IV 1978 r. napisał Łuczenyik: *Mogę przetrwać jako powiadacz, że to właśnie Pani woda „odczyta”*

Luczeńczyka. Najwcześniej, przed wydrukowaniem zbioru, po lekturze jego maszynopisu, zrecenzował go H. Berza. Syntezytycznie przedstawił on swój „sposób myślenia” na temat twórczości Luczeńczyka. W jego centrum znajduje się problem śmierci¹⁰.

W 1986 r. ukazały się dwie kolejne książki Luczeńczyka, mikro-powieści *Gwiedźny księżyc* i *Źródło*. Ugruntowały one opinie o ich autorze jako jednym z najwybitniejszych przedstawicieli nowej prozy polskiej¹¹, czego dowodem były m. in. prestiżowe nagrody. H. Berza bohaterem mikropowieści Luczeńczyka (oprócz wymienionych) dotyczyło to także *Wyzwania* przynajmniej częściowo ostateczne, boskie¹². Inną porządkową interpretacją sformułował Bohdan Żadara, mianowicie potraktowanie utworów Luczeńczyka nie jako tekstów literatury wysokiej, lecz popularnej – jako utwory kryminalne, przygodowe itp.¹³

Recepta archetypizująca książki Luczeńczyka na pewno była względnie licząca od czytelnika. Około trzydziestu publicystów ogłosiło około czterdziestu recenzji i omówień twórczości autora *Gwiedźny księżyc*. Natomiast łączny nakład książek tego pisarza, wydanych za jego życia nie przekraczał 30 tys. egz. Ogólnie było to odbiór pozytywny, nierzad nawet bardzo. Do wyjątków należały opinie zdecydowanie negatywne¹⁴. Dlatego ambivalentnie potraktujemy wypowiedź Jerzego Lisowskiego na promocji serii Nowa Proza Polska w Klubie Książka w Warszawie w dniu 23 V 1992 r.¹⁵ Intrzygujące jest stwierdzenie o kilkunastu odmowych wydanicznych publikacji utworów Luczeńczyka. Istotą sprawy jest, aby Andrzej Luczeńczyk zaistniał w naszej literaturze, ponieważ twórczość jego na to zasługuje.

W awangardzie czy w arriergardzie?

Andrzej Luczeńczyk był wiązany z formacją prozaików „rewolucji artystycznej”. Za jej głównego ideologa uchodził Henryk Berza. Według niego *Rewolucja artystyczna w prozie polskiej* na tym głównie polegała, że *marzynie piękno normy zastępuje się w niej żywym pięknem tworzenia w języku*.

Wszystkie przemiany formalne w prozie (klawidzka fabuły, jej rozkwit, zanik akcji, jej wybijalność, przemiany form podawczych, wielogłosowość narracyjna) są pochodną zmiany stosunku do języka, którego przerwano, który się prawiło do życia, który w jego formach takich jakuk żył się przetwarzało, wprowadzało się transformację do literatury¹⁶. Osiągnięcia tego nurtu polskiej prozy polegały m.in. na wykorzystywaniu żywych języków etnicznie zróżnicowanych środowisk chłopskich. (...) języki

żywe we wszystkich swoich postaciach przerwały tany i wstępnego do literatury, czyniąc z niej językowy żywioł¹⁷.

W dyskusji poświęconej młodej literaturze polskiej z udziałem m. in. Sławomira Lubickiego, Andrzeja Luczeńczyka, Bogdana Owczarka i Marka Soltysika sformułowano tezę o zmianie pokoleń, która rozpoczęła się w połowie lat siedemdziesiątych.¹⁸ Pojawili się wówczas: Ryszard Schubert, Janusz Anderman, Andrzej Pastuszek, Włodzisław Pańszewski, Andrzej Luczeńczyk, Eustachy Ryśki, Roman Wysocki, Michał Markowski, Andrzej Tuziak, Krystyna Sakowicz, Sławomir Siewak, Sławomir Lubicki i in. Debuty i debiutujące drugiej połowy lat siedemdziesiątych i lat osiemdziesiątych charakteryzowała liczność, rozproszenie, bezprogramowość, duże zróżnicowanie (wiekowe i artystyczne), poszukiwanie warsztatowe (w tym w zakresie języka), próba uwzględnienia zmienionej sytuacji (współpoglądowej, kulturowej i informacyjnej) czytelnika. Zakwestionowane zostały tradycyjne wzorce wartości, człowiek – zdegradowany. Towarzyszyła temu świadomość zmiany społecznej kondycji pisarza i literatury, ich deprecjacji.

W czasie dyskusji Luczeńczyk oświadczył: *Mnie nie obchodzi, czy ja piszę w awangardzie, czy w arriergardzie¹⁹* i zacytował słowa Horsta Krügera: *Ne nalety piyat sztuki, po co istnieje. Ona po prostu jest i odzwierciedla trochę bółu i piękna, i kłó i nadziei świata. Sądzę, że literatura powinna wrócić do takiego pojmosowania świata²⁰*. Wyraża to ich akceptację dla sztuki i jej funkcji. Sprawy formy są tak oczywiste, że są objęte. O nich ostrzegają osobowość twórczą, twórcze medium poddane działaniu wielu różnorodnych sił.

Od Wyzwania do Wyzwania

Żadne ananasy²¹ nie są w stanie zmienić fundamentalnego faktu, że literatura podmiotowo zawsze, przedmiotowo najczęściej dotyczy zachowań ludzkich, także wtedy, kiedy jest ona studium ludzkiej śmierci. Chociaż, przynajmniej, że to przypadek szczególny, krańcowy. Pole elektromagnetyczne literatury rozciąga się między człowiekiem a światem, wszechświatem – znanym i domniemanym, rzeczywistym i wymyślnym. Wszystko, co w literaturze najbardziej liryczne i co tragiczne zrodziło się z tych relacji. Również dla świata przedstawionego w utworach Luczeńczyka nadrzędne są zachowania ludzkie. W szczególności dotyczy to opowiadań i obrazków debiutanckiego tomu *Prz. przez ułamek* (1982)²², napisanych w konwencji realizacyjno-naturalistycznej. Tematycznie wiąże się one z charakterystycznymi sytuacjami społecznymi: pracą, konfliktami środowiskowymi, obyczajowością rodzinną i wiezienną, obroną wolności, godności i nadziei, problemami moralnymi i egzystencjalnymi, w tym akceptacji i odrzucenia jednostki. Ten ostatni motyw jest głównym wątkiem opowiadań *Pikarke* i *Ciemna woda*. W pierwszym z nich siedmioletni chłopiec za cenę ofiary, zdrady i cierpienia dąży do akceptacji przez grupę młodośnianych pikarzy. W *Ciemnej wodzie* bohater opowiadania, Tomasz Bur, zostaje osądzony za nieprzeżegnięcie przyjętej normy. Postrzymujemy się od ratowania dwóch tonących, ponieważ swoim wyborem musiałby jednego z nich

¹⁰ Henryk Berza: *Odwaga. Czytane w martyrologii*, „Twórczość” 1984, nr 4, s.155. Zob. też: Sławomir Tadeusz Rykowski: *Wzrost i młodość prozy*, Łódź 1987, s.189-190; Jerzy Łukowski: *Jedyną księżyc*, „Odra” 1987, nr 7/8, s.103; Miłkowski Tomasz: *Decyzje i środki*, „Kultura” 1986, nr 50, s.11.

¹¹ Berza Henryk: *Sprawy i sprawy*, „Czytanie w martyrologii” „Twórczość” 1984, nr 5, s.155; Tenże: *Luczeńczycki. Czytanie w martyrologii*, „Twórczość” 1985, nr 6, s.137; Tenże: *Bezniewność. Czytanie w martyrologii*, „Twórczość” 1990, nr 8, s.140.

¹² Bohdan Żadara: *Jedyną księżyc*, „Kultura” 1986, nr 103; Luczeńczyk Andrzej: *O niedrogiem Andrzej Luczeńczyku*, „Kierunki” 1989, nr 24, s.149-152.

¹³ Krzysztof Mętrak: *Ze stu lat do dziś*, „Express Wieczorny” 1986, nr 202, s.5; Magda Nawrocka: *Sometime doświadczenie świata*, „Nowe Książki” 1987 nr 9.16.

¹⁴ Jerzy Lisowski: *Nowa Proza Polska*, „Twórczość” 1992, nr 7/8, s.200-201; *Najwybitniejsi tacy prozaściści* decyduje ich publikacji trzech lat temu – J.S. chłubił i chwalił: *opisane wyśmienite brzojsze rzeczy* niż książkę, kilkunastu innych wydanicznych i wiele piękną, może zainicjować [recenzja]. Zmarły w ubiegłym roku Andrzej Luczeńczyk wciąż nie zaistniał w naszej literaturze.

¹⁵ Henryk Berza: *Bóg rzeczy*, *Szkice literackie*, Warszawa 1982, s.14.

¹⁶ Tamże, s.21.

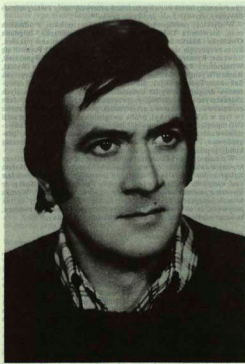
¹⁷ „*Rewolucja literacka*” czy *zmiana pokoleń*?, „Miesięcznik Literacki” 1987, nr 2, s.110-129.

¹⁸ Tamże, s.120.

¹⁹ Tamże.

²⁰ Henryk Berza: *Sposób myślenia*, [T. I.] *O prozie polskiej*, Warszawa 1989, s.540.

²¹ We recenzji wydanego X. G. autorstwa zestawu utworów obejmował 10 utworów, w tym opowiadania: *Jane polskie*, *Kosmetyczka*, *Przywidy*, *Synowie*, *Wyzwanie*. Debut skrytykował Luczeńczyka obejmował sawierze z pierwowzoru książki twórczości.



Andrzej Luczyczka (przed 1982 r.)

świadczenie skazad na śmierć. W opowiadaniu *Deret* zabicie konia przez wozaka jest substytutem konfliktu między „obcymi” ze wsi a „panami z miasta”. W *Lyżce* emeryt broni własnej godności przed posądzeniem o kradzież, w *Pociągach powrotnych* żołnierze od-wlekaniem konfrontacji z tragiczną rzeczywistością chroni złudę nadziei. Przemiany społeczno-obyczajowe na wsi i pośród wsi w mieście (wraz z ich negatywnymi skutkami) w wyniku upowszechnienia oświaty i kultury, industrializacji i urbanizacji sygnalizują opowiadania: *Światła coraz bliżej*, *Co tydzień w niedzielę*, *Pierwsza zmiana*. W drugim zbiorze opowiadań pt. *Kiedy otwierają się drzwi* (1985) dominującym motywem jest śmierć: rzeczywista, jak w opowiadaniach *Gra w szachy* i *Błyski*, lub potencjalna, jak w *Noctym tramwaju*, *Jasnych pokojach* i opowiadaniu tytułowym. Jest ona także w różny sposób obecna w ostatnich opublikowanych za życia pisarza opowiadaniach: *Córeczka* (1986), *Powrót*, *Dzieci armii* (1988).

Gwiezdny ksiąg, *Źródło* (1986) i *Wyzwanie* (1990) stanowią tryptyk mikroopowiadań, który łączy ideowe elementy literatury wysokiej, zaś różnicuje formą zacierpniętą z arsenału środków literatury popularnej. Na ich przykładzie możemy stwierdzić jak w utworach Luczyczki jednostkowe przemienia się w powszechne, zdarzenia i motywy w idee i symbole.

Realizm prozy Luczyczki jest szczególny. W niektórych utworach ogranicza się do warstwy słowno-brzmieniowej, gdyż warstwa znaczeniowa zdań podlega już reglamentacji (informacje formułowane ze stanowiska postaci lub podmiotu literackiego, lakoniczny, zdania urwane, równoważniki zdań, napomnienia itp.). Niedookreślenie semantycznej tekstu wspomaga generalizacja lub uniwersalizacja postaci oraz takich elementów struktury utworów jak czas i przestrzeń. Postacie Luczyczki rzadko znany z imienia i nazwiska. Są w ogóle nie nazwane, określone według płci (mężczyzna, kobieta), wieku (stary, młody), wyglądu fizycznego (niski mężczyzna, mężczyzna o ostrej twarzy), ubioru (mężczyzna w wiatrówce, mężczyzna w szarej marynarce), zawodu (lekarz, pielęgniarka), innych kryteriów (Inteligentny Fred, Pierwszy, Nienumerowany, Słońce, Maj, Lipiec, Grudzień). Najczęściej akcja utworów rozgrywa się w niewiadomym historycznie czasie i w nieokreślonym geograficznie miejscu. Na dodatek brak komentarza autorskiego, „anonimowość” fragmentów kwestii dialogowych, atmosfera tajemniczości, nie raz także grozy, aluzji, m.in. sugerujące kontakty z siłami pozarzejskimi (*Błyski*) czy wręcz nadprzyrodzonymi (*Wyzwanie*), powodują mitologizację utworów Luczyczki. Odrębnienie wzmianka uschematyzowanie świata przedstawionego, postaci, sytuacji narracyjnych. W tym celu wykorzystuje pisarz również archetypy (np. zwycięzcy i krwawego władcy, zbrodni doskonałej), obrazy archetypowe, symbole i repliki (kalki). Efekty artystyczne osiąga nie tylko dzięki swoistej, indywidualnej ich „adaptacji”, realizacji, ale też rewizji — dopisywaniu skazujących poity.

Komunikatywność i nośność podawczą zapewniają utworom Luczyczki względnie łatwy, współczesny język, funkcjonalny, ekspresywny styl, rzeczowa, uszczegółowiona, logicznie i artystycznie usystematyzowana narracja, znane czytelnikom formy, gatunki literatury popularnej: opowiadania, obrazka, opowieści z dreszczykiem, thrillerów, powieści przygodowej i kryminalnej, baśni, komiks. W budowaniu akcji, nastroju i niespodzianki stosują retardację. Większość utworów cechuje epizodyczność, zaś niektóre z nich są po prostu obrazkami, etiudami filmowymi. Dramaturgiczność, sceniczność, widowiskowość wielu utworów Luczyczki jest uderzająca. Są to niemal gotowe scenariusze. Symultaniczność *Wyzwania*, tego zaskakalowanego komiks, w którym nałożone zostały różne plany, ciąg zdarzeń, w tym biblijny z drogą krzyżową Jezusa (od skazania go w trybunum Pilata do złożenia w grobie na Golgocie) i współczesny z akcją prowokatorską młocodawców projektu ustawy o powszechnym szczepieniu wszystkich ludzi, jest rodem z filmów science fiction, w którym malarz w grupie dwunastu komandosów lotniarzy przypomina uczestników gwiezdnych wojen, i to w pastiszowej, sparodiowanej postaci.

Zależnie od potrzeb zróżnicowana została narracja. Obok wypowiedzi w pierwszej osobie rzadko spotykamy wypowiedzi w trzeciej osobie, mowę niezależną i pozornie zależną, monolog wewnętrzny, strumień świadomości. Najczęściej jest to opowiadanie uocznajające. Wręcz relikwioty element w utworach Luczyczki stanowi opis. W niektórych opowiadaniach brak go zupełnie, niewiele go także w mikroopowiadaniach. Epickość została odwołana na przez szczególny typy kolokwialność: lakoniczną, zagadkową, wyciszoną.

Język postaci zindywidualizowany bywa sporadycznie, a jeśli już — to lektykalnie, stylizacyjnie. W funkcji ekspresyjnej, na ogół z umiarem; używa autor wyrazów dotychczas w obszczykach. Posługuje się wspólną polszczyzną przeważnie i jej potoczny kształcie, funkcjonalnie, kunstownie. Oryginalność języka autora *Błysków* tkwi w gramatyce i składni jego prozy (elipsy), w jej walorze stylizacyjnym. W dialogach stosuje oszczędny styl języka mówionego.

Przestrzegając przeważnie klasycznych reguł w traktowaniu czasu i motywacji przyczynowo-skutkowej, semantycznie i kompozycyjnie wykorzystuje asocjacje, repetycje i kalki (m.in. w opowiadaniach *Włk, Błyski, Kiedy otwierają się drzwi, Tak zupełnie zwyczajnie*). Wywomnym tego przykładem jest swoista konkatenaacja w prologu w narracji dotyczącej głównych postaci *Źródła*, Jerzego Karwata i Adama Ś. co niektórych krytyków wprowadziło w rozterkę czy to jedna, czy dwie postaci²¹. Ze strony recenzentki *Źródła* spotkał Łuczeńczyka zarzut, że (...) jest artystą śmiertelnie poważnym²². Przy starszanniejszej lekturze tekstów autora Co tydzień w niedzielę, *Chrzta, Pierwszej zmiany, Włka, Tak zupełnie zwyczajnie* nie może się on wybronić. Kreacja świata przedstawionego w jego utworach jest groteskowa, ironiczna, krytyczna. *Zadara* się, że w tym odhumanizowanym, mechanistycznie skonstruowanym i traktowanym świecie rozgrywa się tragifarsa. Utworem, w którym najpełniej ujawniły się cechy pisarstwa Łuczeńczyka jest *Wyzwanie. Motel „Głob”* jest miejscem realizacji groteskowej, lecz zbrodniczej manipulacji politycznej, wydrętwionej przez Niemierowanego i Pierwszego, w wyniku której skazani na śmierć zakładnicy z Jego udziałem przechodzą drogę krzyżową. Walor satyryczny i groteskowy łączy się m.in. z bojownikami i komandosami oraz bezpośrednim przekazem siebie telewizyjnej „Tyłko u nas” i spółki z o.o. „Nadzieja”.

Twórczość Łuczeńczyka może być wzięcznym polem analizy teoretycznoliterackich, w tym, w kategoriach gramatyki narracyjnej, na trzecim poziomie analizy, tj. struktury głębożej jego najważniejszych tekstów: ugięwanie schematów zdarzeniowych, aktantów i relacji zachodzących między nimi. Interesująca jest także interpretacja aktualizująca *Gwiesdnego księcia* i *Wyzwania*. Szczegółowe zagadnienie stanowi intertekstualność utworów Łuczeńczyka, na co zwracać już uwagę Henryk Berez²³.

Twórczość Łuczeńczyka jest rozspacziwym poszukiwaniem dobra²⁴. Celowi temu służą tropienie złu. Największym złem, które może uczynić człowieka, jest bezpośrednie lub pośrednie powodowanie śmierci. Twórczość tego pisarza przeważnie przedstawia świat i ludzi wobec zagrożenia śmiercią, obecności śmierci, zadawania śmierci. W *Ciemnej wodzie* bohater odbiera sobie prawo dokonania wyboru skazując jednego z tonących na śmierć, nawet za cenę uratowania drugiego z nich. W *Gwiesdnym księciu* zanegował osobiste władzy jako czynnik śmierci, w *Źródle* zwraca uwagę m.in. na przypadkowość i bezsens śmierci, w *Dzielnicy* anten protestuje przeciw banalizowaniu śmierci. *Wyzwanie* jest próbą ocena dobra za ofiarę drogi krzyżowej. W *Mistrzu* (w szerokiej interpretacji) śmierć Jezusa ocala dobro świata; alternatywa byłoby budowanie skażonej ziemi potęgi ziemskiej.

²¹ Bohdan *Zadara*, op. cit., s.108; Łuczeńczyka A. *Jedzicie ziemię!* ..., op. cit., s.6.

²² Magda Nawrocka, op. cit., s.16.

²³ Henryk Berez: *Bezmiejskość*, op. cit., s.139-140. Zob. też: Ryszard Nycz: *Interdyscyplinarny (i) zakresy. Teksty, gatunki, history*; w: *Między lokalami. Interdyscyplinarny jako problem poetyki literackiej*; Studia poln. red. J. Ziemińska, J. Świątkiewicz, W. Boleskiego, Warszawa 1992 s.12.

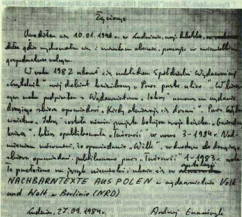
²⁴ Andrzej Łuczeńczyka: *Wyzwanie... Twórczość* 1990, nr 1 s.9. On mówi: *Przez, płomień przekroczyć w rozpaczy dobro*.

W twórczości autora *Nocego tramwaju* znamy również przykłady „tęsknienia” myśli o śmierci (*Jaśnie pokoje*), „tęsknienia” zadawania śmierci, także w aspekcie podmiotowo-przedmiotowym, śmierci indywidualnej i zbiorowej. Z natury rzeczy jest to akt indywidualny, dlatego „eksperymenty” pisariska Łuczeńczyka uwzględniają głównie mniej lub bardziej osamotnione jednostki, w jakiś sposób wyobcowane ze zbiorowości. Począwszy od *Ciemnej wody* fabuły większości utworów przenika konflikt jednostka — zbiorowość, problem o romantycznie powrończeniu literackiej, ale także egzystencjalnej. W takim rozumieniu prawie cała twórczość Łuczeńczyka jawi się jako moralitet uniwersalny, transcendentnej wymowie, wcielenie aktualne pytanie: (...) nie wiem, kiedy sobie na to odpowiem, ale kiedyś odpowiem. Dotrzemy aż do dnia stworzenia i pójdziemy po ten jakiś dzień ostatni!... Tak kończy się *Wyzwanie* Andrzeja Łuczeńczyka.

Biogram

ANDRZEJ ŁUCZĘNCZYK urodził się 10 stycznia 1946 r. (właściwie 10 grudnia 1945r.) w wsi Ludwin, koło Łęcznej, jako syn Walerii Łuczeńczyka (nazwisko ojca: Bronisław Młynarczyk). W latach 1952-1958 uczęszczał do klasy Szkoły Podstawowej w Ludwinie, zaś klasę siódmą w r. szk. 1959/60 w Bytowie, w woj. kosiński. Od 1960 do 1962 r. uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego im. S. Staszica w Lublinie. Maturę uzyskał w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących Zaochem w Lublinie, w styczniu 1978 r. W maju 1979 r. ożenił się z Katarzyną Szczepaniaką, z którą miał troje dzieci: córki — Paulinę i Weronikę oraz syna

²⁵ Tamże, s.62.



Faksimile autobioru Andrzeja Łuczeńczyka.

- Erbe Małgorzata: *W kręgu słońca*. Książki. „Tygodnik Kulturalny” 1987, nr 9, s.12; *Oczekiwanie. Nowa proza lubelska*. „Kurier Lubelski” 1987, nr 36, s.4; Mykowski Waldemar: *Fotografia śmierci*. „Okolice” 1987, nr 7/8, s.134-136; Nawrocka Magda: *Nieumiarowa cięta litość*. „Nowe Książki” 1987, nr 9, s.15-16; portr.: Zadura Bohdan: *Jedźcie szukać. Książka misja*. „Twórczość” 1987, nr 4, s.108-109; 26. *Cieczka*. [Opow.] „Twórczość” 1986, nr 10, s.7-23; 27. *Drzeci areny*. [Opow.] „Twórczość” 1988, nr 11, s.8-20; 28. *Mistrz*. [Obrucek dramatyczny] „Kultura” 1988 nr 13 s.8-9 II; 29. *Okno*. [Opow.] „Regiony” 1988, nr 1/4, s.44-61; 30. *Pawieł*. [Opow.] „Twórczość” 1988, nr 11, s.20-31; 31. *Vik. Prełot*. Mirosław Janek, „Revue svetovej literatury” [Bratislava] 1988, s.161-178; 32. *Wyznane*. [Mikropowisł] „Twórczość” 1990, nr 1, s.5-62; Rec. Berezka Henryk: *Benjaminovič. Czytane w maczynie*. „Twórczość” 1990, nr 8, s.139-141; 33. *Książki*. „Gazeta w Lublinie Weekend” 1991, nr 1, s.III II; 34. *Gwieździa książka*. [Andrzej Luczeczka; wstęp Henryk Berezka, II, s.40] Status Edgredius. — [Wyd.2] — Katowice: Akap, 1992 (Łódź: Łódz. Zakł. Graf.) — 106, [2] s.; 21 cm. — [Nowa Proza Polska, II]. Rada Rod. serii. Henryk Berezka [i in.] prog. graf. Mieczysław Radomski. — Na skrzydłach s i okł. inf. biograf. i portr. Opaska: „Książka dla konsekre”

Wyprowadzenie ogólne

Wyprowadzenie „rewolucja literacka” czy zmiana pokoleń? [Dyskusja porównawcza młodej literatury polskiej z udziałem Anny Bukowickiej, Antoniego Chojnackiego, Mieczysława Dąbrowskiego, Sławomira Lubickiego, Andrzeja Luczeczki, Bogdana Owczarka, Marka Sołtysika, Leszka Żulińskiego]. „Miesięcznik Literacki” 1987, nr 2/3, s.110-129.

Wydawca: Kamikami Ireneusz [Jan]. *Jedźcie szukać! Rozmowa z Andrzejem Luczeczka*. Rozm.: — „Kamena” 1987, nr 25, s.16, portr.; Markowski Michał: *Antoni. Antoni Z. Andrzejem Luczeczka* rozmowa. — „Kultura” 1989, nr 17, s.10. **Ogólne**. Lukowski Stanisław [Andrzej]. *Siedem opowiadań*. Z kępskiej polki „Kuriera”. „Kurier Lubelski” 1986, nr 134, s.3; Błażewski Tadeusz: *Rysunek: czej o młodej prozie*. — Wyd.1 — Łódź: Kraj. Ag. Wydawnicza, Oddział. — s.189-190; Kowalski Piotr: *Samotne doświadczenie świata*. „Regiony” 1987, nr 2/4, s.149-152; Zadura Bohdan: *Jedźcie szukać. Książka misja*. „Twórczość” 1987, nr 4, s.105-109; Pakulski Marek: *Czytanie literatury. O niedzieli Andrzeja Luczeczki „Kierunki”* 1989, nr 24, s.11 portr.; Berezka Henryk: *Wyznane. (Nad grobem Andrzeja Luczeczki)*. „Twórczość” 1991, nr 11/12, s.189-190; Fronszyk Zdzisław: *Włodzimierz. Zegnań Andrzeja*. „Gazeta w Lublinie Weekend” 1991, nr 12, s.III II; Kamikami Ireneusz [Jan]. *Andrzej Luczeczka. „Kamena”* 1991, nr 3, s.53 portr.; „Gazeta Wyborcza” 1991, nr 186, s.1, „Twórczość” 1991, nr 9, s.2 okł.; Linowski Jerzy: *Nowa Proza Polska*. „Twórczość” 1991 nr 7/8, s.200-203.

Informacje o nagrodach. „Argumenty” 1991 nr 28 s.14, „Kamena” 1986, nr 13, s.11; „Kierunki” 1986, nr 32, s.15; „Kultura” 1986, nr 31, s.2; „Nowe Książki” 1986, nr 7/8, s.187; „Przegląd Książek” i Wydawnictwa” 1986, nr 10, s.2; „Radar” 1986, nr 37, s.14; „Stranada Ludu” 1986, nr 146, s.12; „Trybuna Ludu” 1986, nr 20, s.5; „Życie i Gazetka” 1986, nr 28, s.15, nr 31, s.15; „Nowe Książki” 1987, nr 4, s.156; „Tygodnik Kulturalny” 1987, nr 26, s.13; „Gromada Rolnik Polska” 1989, nr 155/156, s.9; „Twórczość” 1990, nr 8, s.137.

Jan Smolarek

opowiada o swojej ostatniej, przetrwałej, samotnej golonim do Ziemi Świętej wspomina dzieciństwo

HENRYK J. KOZAK

Gwieździa książka

pamięci Andrzeja Luczeczki

jest czerwień rano sierpień tuż po nocnej burzy w powietrzu unosi się jeszcze zimny, zapach błyskawic, pochylone latarnie świecą prosto w oczy ciemnych bram nocny tramwaj utknął na środku skrzyżowania motornicy nagle zmarli na zawal

ulice są niczry czytamy swoją książkę gwieździa książka wspomina noc nad jeziorem polana pełna księżyców zwiartany bieg między sosnami ku światłom po drugiej stronie roziskrzonych wody doznayowa zabawę i smukłą ukraińkę Wałę która śpiewa gdzie jesteś gwieździa książka gdzie jesteś teraz gdzie jesteś teraz odpowiedź

nad jeziorem orzechowym świat

najpierw ujrzałem gaj brzozywo jeziro dwa zrywające się do lotu białe labędzie rozkloszyszą łódki przy południowym brzegu i wylaniające się z mgły i oczerutu ogrynane czerwcowe słonice

usłyszałem wiatr budził się z trudem z krótkiej nocnej drzemki w głębi lasu pobrzmiwał utwór opiewający o miłości i piśni koncert i otwierało się niebo lecz wciąż nie wiedziałam gdzie kim i skąd jestem która godzina rok ile mam lat i czy to już mój pierwszy nadziesią czy to tylko czarny śnieg świat

Włódawa, czerwiec 91

Henryk J. Kozak

monolog gastarbeitera

Byłem pomyślnie nocy stróżem tragarzem
w Haife dzwigałem złom i pomarańcze
pracowałem u Heinricha Martina Dawida
Heinrich chciał płacić wódką
Martin oddał policy
a Dawid zaniem przegnał
czule mówił do mnie
mój ty polisz czazy

niekiedy miałem ochotę wyrwać mi język
i wrzucić do pieca
ale kochałem ludzi
i potrzebowałem pieniędzy
na rozwód
powrót do kraju
i drugi

wieczorami chodziłem nad morze
zimny wiatr znał wody
przynosił zapach wiosennej burzy
bżów z Podlasia
i łaki

widziałem falujące na wietrze zboża
na świętym wzgórzach w Jaffo
do świtu modliłem się do Jahwe
o pieniądze na powrót i szczęście

pojechałem jednak dalej a potem
jeszcze dalej
poznałem wiele portów byłem głodny
nocowałem na plażach pod zimnymi gwiazdami,
ścigano mnie
kryłem się w zakamarkach dworców i świątyni
uciekałem przed samym sobą

teraz jestem pięć tysięcy kilometrów
i 953 dni od ciebie
odarty ze złudzeń bez powrotnego biletu
zaczyna się jesień
idę fródeńską drogą piaszczystą cichą
jakby z obrazów Chelmonskiego
lecz
nie do domu na skraju sosnowego lasu

zobaczyć miejsca

Jest lenie sobotnie popołudnie lipiec
dalekie przedmieście Brukseli przyjacieli

opowiada o swojej ostatniej podróży
do Ziemi Świętej wspomina dzieciństwo
podlaskie blade mówi jak bardzo pragnął
zobaczyć miejsca które pamiętają Chrystusa
usiąść w wieczerniku przejść krzyżową drogę
pokazuje fotografie różnego rodzaju książki
spójrz mowi odwracam się powoli widzę siebie
z drewnianym krzyżem na plecach i
wystyczałam na szyi wóroł kłoseczącego się zysa
nie tam — niecierpliwie się patrz tutaj
oto stoje na szczywie Oliwnej Góry a to
The Wailing Wall ściana placu w głębi
złocista kopuła meczetu a ten człowiek
ubrany na czarno z podniesionymi do góry
rękami to ja na chwilę przed rozstrzelaniem
otwieram oczy jestem pusto i cicho
w górę wiatr obok i uciekający samolot
a więc znów się spóźniłem przedzieram na pół
nieważny już bilet na życie a zresztą i tak
nikt by nie wyszedł po mnie na lotnisko

Bruksela, lipiec 1990

prośba

Modliłem się przed cudownym obrazem Czarnej Madonny.
Wklepałem w podłogę przed grobem Jej syna
w zaułkach Betlejem Jerycha i Nazaretu
szukałem jego śladów
wychwalałem Boga w świątyniach Paryża i Rzymu
a moja matka
modliła się w drewnianym kościele w Stintuku
miejscowości której
nie ma chyba nawet
na niebiańskiej mapie

lecz to ona
a nie ja
zasłużyła na miejsce w twoim orszaku
odszukaj ją Panie
Henryk J. Kozak

ANDY WARHOL

Filozofia Andy'ego Warhola (od A do B i z powrotem)

I. Miłość (dogrzewanie)

W pewnym okresie życia, w późnych latach pięćdziesiątych, zauważyłem, że zaczynają na mnie przechodzić problemy znajomych. Jeden z moich przyjaciół zapłacił za w bezadzierny związek z mężatką, inny wyznał, że jest homoseksualista, pewna kobieta, którą uwielbiałem, zaczęła wykazywać wyraźne objawy schizofrenii. Ja sam nigdy nie sądziłem, że mam jakies problemy, bo nigdy nie próbowałem nazwać ich po imieniu, wtedy jednak zaczęło mnie ogarniać wrażenie, że problemy przyjaciół przechodzą na mnie jak zarazki.

Postanowiłem poddać się leczeniu psychiatrycznemu, bo tak robiło wielu moich znajomych. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie wyraźnie zdefiniować moje własne problemy — to znaczy, jeśli rzeczywiście jakieś mam — niż zastępczo uczestniczyć w problemach przyjaciół.

W dzieciństwie, rok po roku, przeszedłem trzy załamania nerwowe: pierwsze, gdy miałem osiem lat, drugie — dziewięć, trzecie — dziesięć. Był to taniec świętego Wita i ataki zawsze zaczynały się w pierwszy dzień letnich wakacji. Nie wiem, co to mogło oznaczać. Potem spędziłem lato na słuchaniu radia, leżąc w łóżku z moją lalką, Charlie McCarthy, i z nie powojnynymi lalkami do wycinania porokładanymi na kółdźce i pod poduszka.

Mój ojciec ciągle wyjeżdżał służbowo do kopalni węgla, więc rzadko go widywałem. Matka, naj lepiej jak potrafiła, czytała mi z silnym czeskim akcentem książki. Zawsze, gdy skończyła czytać Dicka Tracy, mówiłem "Dziękuję, mamo", nawet jeśli nie rozumiałem ani słowa. Za każdą pomalowaną stronę w książce do kolorowania dostawałem od niej batonik Hersheya.

Z czasów szkoły średniej dokładnie pamiętam tutaj długą drogę do szkoły przez czeskie getto pełne wążycych na sznurach chustek na głowę i roboczych kombinizonów. Mieszkaliśmy w McKeesport w Pensylwanii. Nie byłem szczególnie popularny wśród rówieśników, ale miałem kilku fajnych przyjaciół. Nie udało mi się jednak do nikogo naprawdę zbliżyć, chociaż chyba zażęłał mi na tym, bo gdy widziałem, jak koledzy opowiadali sobie o swoich problemach, czułem się wyobcowany. Mnie nikt się nie zwierzał — chyba nie byłem typem osoby, która prowokuje do zwierzeń. Codziennie przechodziłymi przez most, pod którym leżały zużyte przetrawiaty. Zawsze zastanawiałem się na głos, co to takiego, i wszyscy się ze mnie śmiali.

Któręś lat pracowałem w domu towarowym dla wspaniałego człowieka o nazwisku Vollmer. Przeglądałem egzemplarze „Vogue”, „Harper’s Bazaar” i europejskich żurnali. Dostawałem coś około pięćdziesięciu centów za godzinę. Moja praca polegała na szukaniu „pomysłów”. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek znalazł jakiś pomysł, albo żebym sam coś wymyślił. Uważałem pana Vollmera za swojego idola, bo pochodził z Nowego Jorku i wydawało mi się, że to ogromnie eksktywające. Ale nigdy nie przychodziło mi do głowy, że sam mógłbym tam pojechać.

Jednak gdy miałem osiemnaście lat, jeden z kolegów zapakał mnie do tory na zakupy od Krogera i zabrał do Nowego Jorku. Nadal chciałem być blisko z ludźmi. Zawsze, gdy wynajmowałem z kimś pokój, miałem nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi i będziemy się dzielić swoimi problemami, ale potem okazywało się, że moim współmieszkańcom chodziło tylko o jedną więcej osobę do płacenia czynszu. Przez jakiś czas mieszkalem w suterenie na rogu 103 Ulicy i Manhattan Avenue z siedemnastoma różnymi osobami i ani jedna z tych siedemnastu osób nigdy nie podzieliła się za mną żadnym problemem. Wszystkie to byli młodzi i zdolni ludzie, którzy tworzyli coś w rodzaju komuny artystycznej, więc jestem pewien, że mieli masę problemów, ale ja nigdy o żadnym nie usłyszałem. Ciągłe zdarzały się kłótnie w kuchni o to, kto kupił który kawałek salami, ale nie poza tym. W tamtych czasach pracowałem przez cały dzień, więc i tak nie miałbym czasu wysłuchiwać opowieści o cudzych problemach, nawet gdyby ktoś chciał mi o nich opowiadać. Mimo to czułem się wyobcowany i urażony.

Przez cały dzień chodziłem po mieście w poszukiwaniu pracy, a wieczorami robiłem w domu zamówione rysunki. Tak wyglądało moje życie w latach pięćdziesiątych: pocztówki z podrzwaniami, akwarele i od czasu do czasu wieczór poezji w kawiarń.

Z takich czasów, oprócz długich godzin spędzanych na pracy, naj lepiej pamiętam karaluchę. Roilo się od nich we wszystkich wynajmowanych przez mnie mieszkaniach. Nigdy nie zapomnę upokarzającej sceny, jaka miała miejsce, gdy przyniosłem teczkę swoich prac do biura Carmel Snow z „Harper’s Bazaar”. Kiedy otworzyłem teczkę, wypel z niej karaluch i pomaszerał w dół po nodze od stopy. Carmel Snow tak się nade mną rozżaliła, że dała mi pracę.

Miałem niezliczoną ilość współmieszkańców. Do dzisiaj, prawie każdego wieczoru, gdy gdzieś wychodzę w Nowym Jorku, napotykam jakiegoś dawnego współmieszkańca, który nieodmiennie zaczyna wyjaśniać towarzyszącej mi osobie: — Mieszkałem kiedyś z Andym. Zawsze wtedy robię się blade — to znaczy, jestem bledszy. Po kilku takich scenach osoba, z którą przyszedłem, nie może pojąć, jak to możliwe, żebym mieszkał z tyloma ludźmi, zwłaszcza, że teraz wszyscy znają mnie wyłącznie jako samotnika. Z kolei ludzie, którzy znali mnie w latach sześćdziesiątych jako etatowego uczestnika przyjęć wydawanych przez mass media i pamiętają, że zwykle ciągnąłem za sobą ogon złożony co najmniej z sześciu osób, mogą się zastanawiać, na jakiej podstawie nazywam siebie samotnikiem.

Może więc powinienem wyjaśnić, co mam na myśli i dlaczego uważałem, że tak jest naprawdę. Przez całe życie, ilekroć czułem się towarzysko nastawiony i szukałem serdecznych przyjaciół, nie mogłem ich znaleźć; byłem więc samotny właśnie wtedy, gdy najbardziej potrzebowałem przyjaciół. Kiedy tylko dochodziłem do wniosku, że wolę być samotny i nie chcę, żeby ktośkolwiek zwracał mi się ze swoich problemów, najrozmaitsi ludzie, których nigdy wcześniej nie widziałem na oczy, zaczynali się za mną uganianie i opowiadali rzeczy, jakich właśnie nie chciałem mi się słuchać. Zawsze, kiedy postanawiałem zostać duchowym samotnikiem, zdobywałem to, co można nazwać „światem”.

Wszystko dostaje się wtedy, gdy już przestaje nam na tym zależeć. Odkryłem, że jest to absolutny pewnik.

Kiedy poczułem, że zaczynałem się zarażać problemami przyjaciół, poszedłem do psychiatry w Greenwich Village i opowiedziałem mu wszystko o sobie, o całym moim życiu, o tym, że nie mam własnych problemów i że przechodzą na mnie problemy przyjaciół. On zaś obiecał, że zadzwoni do mnie umówimy się na następną seję, żeby jeszcze trochę porozmawiać, ale nigdy nie zadzwonił. Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że z jego strony było to bardzo nieprofesjonalne zachowanie: obiecać, że zadzwoni i nie zadzwonić. Wracając od psychiatry wstąpiłem do Macy's i, ni stąd ni zowąd, kupiłem sobie pierwszy telewizor, dziesiętnastocalowy, czarno-biały RCA. Przytnięnośm do domu, do mieszkania, które wynajmowałem sam, na Wschodniej 75 Ulicy pod numerem EI i natychmiast zapomniałem o psychiatrze. Telewizor był włączony cały czas, szczególnie wtedy, gdy ludzie opowiadali mi o swoich problemach, i okazało się, iż telewizja odwraca uwagę tak dobrze, że problemy, o których mi opowiadano przestają mieć na mnie wpływ. To było trochę jak czary.

Moje mieszkanie znajdowało się nad lokalem o nazwie Shirley's Pin-Up Bar. Czasem przychodziła tam Mabel Mercer, żeby się rozewnać i śpiewała „You're So Adorable”. Nawet wtedy faktiwi telewizja nadawała zupełnie nową perspektywę. Budynek był pięciopiętrowy, bez windy. Na początku znajdowałem mieszkanie na pierwszym piętrze. Potem, gdy zwindniło się drugie piętro, zająłem je również, więc miałem teraz dwa piętra, chociaż nie sąsiadujące ze sobą. Ale gdy już kupiłem sobie telewizor, coraz więcej czasu spędzałem na piętrze z telewizorem.

Gdy już ostatecznie postanowiłem zostać samotnikiem, w ciągu następnych lat stawałem się coraz bardziej popularny i okazywało się, że wciąż przybywa mi przyjaciół. Sprawy zawodowe układały się dobrze. Miałem własne studio, pracowało dla mnie kilka osób i wytworzył się taki układ, że ci ludzie faktycznie zamieszkałi w mojej pracowni. W tamtych czasach wszystko było zmienne i na luzie. Dzień i noc w studio przebywał tuł ludzi. Przyjaciele przyjaciół, od okrago puszczano płyty Marii Callas. Wszędzie było pełno luster i folii aluminiowej.

Działło się to już po moim manifestie pop-artu, więc miałem dużo pracy, masę płócien do naciągnięcia. Pracowałem od dziesiątej rano

do dziesiątej wieczorem. Zwykle przychodziłem do pracy rano i na noc szedłem do domu, ale gdy wracałem następnego dnia, zastawałem w pracowni tych samych ludzi, których zostawiłem tam wieczorem, i zabawa trwała na całego, z Marią i lustrami.

Wtedy właśnie przekonałem się, jakiego ludzkiego potrafić mieć świat. Na przykład jedno dziewczyna wprowadziła się do windy i ruszyła się stamtąd dopiero po tygodniu, gdy inni przestali jej donosić coś. Nie miałem pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Wydawało mi się, że skoro płacę czynsz, to jest to w jakiś sposób moje miejsce, ale nie pytaicie, o co w tym wszystkim chodziło, bo nigdy nie udało mi się tego rozgryźć.

Lokalizacja była świetna — 47 Ulica przy Trzeciej Alei. Widać było stamtąd wszystkie demonstracje maszerujących na wieść w stronę budynków ONZ. Kiedyś 47 Ulicą przejeżdżał papież w drodze do Katedry Św. Patryka. Chruszczow też raz tędy przejeżdżał. Była to porządna, szeroka ulica. Do studia, chyba po to, żeby obejrzeć nieustającą imprezę, zaczęli przychodzić sławni ludzie — Kerouac, Ginsberg, Fonda i Hopper, Barnett Newman, Judy Garland, Rolling Stones. W części strychu zaczęli próbować Velvet Underground i niedługo potem zrobiliśmy razem program oparty na łączeniu mediów, z którym w 1963 roku przejechalimy cały kraj. Mieliśmy wrażenie, że obserwujemy początek wszystkiego.

Kontrkultura, subkultura, pop, supergwiazdy, narkotyki, światła, dyskoteki — wszystko, co uważa się za „młodzieżowe i na czasie” — prawdopodobnie zaczęło się właśnie wtedy. Zawsze gdzieś była jakaś impreza: jeśli nie w piwnicy, to na dachu. Jeśli nie w metrze, to w autobusie; jeśli nie było żadnej imprezy na promie, to była przy Statui Wolności. Ludzie przez cały czas chodzili wyjęciously ubrani. „All Tomorrow's Parties” to tytuł piosenki, którą The Velvet Underground wykonywali w dyskotece DOM, w czasach, gdy Lower East Side zaczynała dopiero strząsać z siebie staszy dzielnicy imigrantów i wchodziła na fale. „W co ma się ubrać biedna dziewczyna? Na wszystkie jutrzejsze przyjęcia...” Naprawdę podobala mi się ta piosenka. Velvetci ją grali, a Nico śpiewała.

W tamtych czasach wszystko było ekstrawaganckie. Tylko bogaci mogli sobie pozwolić na ciuchy pop z takich butików jak Paraphernalia czy od takich projektantów jak Tiger Morse. Tęgie szła do Kleina i Maya, kupowała sukienkę za dwa dolary, odrywała wstążki i kwiatki, wstawiała ją do swojego sklepu i sprzedawała za czterysta dolarów. Miała także sposób na dodatki. Malowała jakiejś mazaje na rzeczach kupionych u Woolwortha i sprzedawała to za pięćdziesiąt dolarów. Posiadała niezwykły dar: natychmiast potrafiła wyczuć, która z osób wchodzących do jej sklepu rzeczywiście ma zamiar coś kupić. Widziałem kiedyś, jak po sekundzie przegadania się dobrze ubranie, atrakcyjnej kobiecie powiedziała: — Przykro mi, ale nie tu pani nie kupi. Zawsze wiedziała. Kupowała wszystko, co blyszczało. To właśnie ona wymyśliła sukienkę-żarówkę z wstępnymi w środek bateriami.

W latach sześćdziesiątych wszyscy interesowali się wszystkim. Po części była to zasługa narkotyków. Naraz wszyscy stali się sobie

równi — debiutanci i szoferzy, kelnerki i gubernatorzy. Moja znajoma o imieniu Ingrid wymyśliła sobie nowe nazwisko, bardzo odpowiednie do swojej nowej kariery w szeroko pojętym show biznesie. Nazwała się „Ingrid Superstar”. Jestem pewien, że to ona wymyśliła to słowo. W każdym razie, jeśli ktoś ma jakieś wycinki z prasy, w których słowo „superstar” użyte jest wcześniej, bardzo proszę, żeby mi je pokazał. Im więcej chodziliśmy na przyjęcia, tym częściej to nazwisko, Ingrid Superstar pojawiało się w gazetach i słowo „superstar” zaczęło robić karierę w mediach. Ingrid dzwoniła do mnie kilka tygodni temu. Pracuję teraz przy maszynie do szycia. Ale jej nazwisko wciąż jest używane. Prawda, że to wydaje się niewiarygodne?

W latach sześćdziesiątych wszyscy zaczęli się interesować wszystkim.

W latach siedemdziesiątych wszyscy zaczęli wszystkich porzucać. Lata sześćdziesiąte były zagracone. Lata siedemdziesiąte są bardzo puste.

Gdy kupiłem sobie pierwszy telewizor, przestały mnie tak bardzo interesować bliskie związki z innymi ludźmi. Wiele razy zrzucono mnie tak boleśnie, jak tylko można zranić kogoś głęboko zaangażowanego, więc chyba bardzo się angażowałem w przyjaźnie w czasach, gdy nikt jeszcze nie słyszał o „pop-arcie”, „eksperymentalnych filmach” czy „supergwiazdach”.

Tak oto w końcu lat pięćdziesiątych zaczął się mój romans z telewizorem, który trwa do dzisiaj. Teraz zdarza mi się zabawać w wypalini z czterema telewizorami jednocześnie. Ale nie ożeniłem się aż do roku 1964, kiedy to kupiłem sobie pierwszy magnetofon. Moją żonę, Mę magnetofon i ja jesteśmy małżeństwem już od dziesięciu lat. Gdy mówię „my”, mam na myśli swój magnetofon i siebie. Wielu ludzi tego nie rozumie.

Kupno magnetofonu faktycznie zakończyło moje życie uczuciowe, jakie by ono nie było, ale pożałowałem że bez żony. Od tej pory nie miałem już żadnych problemów, bo problem oznaczał po prostu nagranie dobrej taśmy, a gdy problem zmienia się w dobrą taśmę, przestaje być problemem. Z ciekawych problemów wynikały ciekawe tematy. Wszyscy o tym wiedzieli i popisywali się przed magnetofonem. Nikt nie potrafił rozróżnić, które problemy są prawdziwe, a które wyolbrzymione ze względu na taśmę. A co najgorsze, ludzie, którzy opowiadali mi o swoich problemach, sami nie wiedzieli, czy rzeczywiście je mają, czy tylko odgrywać.

Wydaje mi się, że w latach sześćdziesiątych ludzie zapomnieli, czym powinny być uczucia. I nie sądzę, żeby sobie o tym kiedykolwiek przypomnieli. Myślę, że gdy raz spojrzysz na uczucia pod pewnym kątem, to potem już nigdy nie można uważać ich za prawdziwe. Mnie więcej coś takiego przytrafiło się i mnie.

Naprawdę nie wiem, czy kiedykolwiek byłem zdolny do miłości, ale po latach sześćdziesiątych nigdy już nie myślałem tymi kategoriami.

Mogę jednak przyznać, że niektórzy ludzie mnie fascynowali. Pewna osoba w latach sześćdziesiątych zafascynowała mnie bardziej niż ktokolwiek inny, kogo znałem w życiu. Fascynacja, jaką odczuwałem, prawdopodobnie była bardzo bliska pewnego rodzaju miłości.

6. Praca

Jeszcze zanim zostałem postrzelony, zawsze podejrzewałem, że świat, w którym żyję, jest trochę nieprawdzy — miałem wrażenie, że nie przeżywam swojego życia, tylko oglądam je w telewizji. Mówi się czasem, że akcja w filmach jest nierzeczywista, ale tak naprawdę, nierzeczywiste jest to, co przydarza się w życiu. W filmach uczucia wyglądają na prawdziwe i silne, a gdy coś wydarza się naprawdę, ma się wrażenie, jakby się oglądało telewizję — nie czuje się zupełnie nic.

Wtedy, gdy zostałem postrzelony, poczułem bez żadnych wątpliwości, że oglądam telewizję, i ta pewność nigdy mnie już nie opuściła. Kanaly się zmieniają, ale przez cały czas jest to telewizja. Gdy naprawdę jest się w coś zaangażowanym, przeważnie myśli się wtedy o czymś innym. Gdy coś się przydarza, fantazjuje się o innych rzeczach. Obuźdłem się w jakimś miejscu — nie wiedziałem, że jestem w szpitalu, ani że Bobby Kennedy został postrzelony w dzień po mnie — dotarła do mnie fantastyczna wiadomość, że tysiące ludzi modli się nieustannie w Katedrze Św. Patrika, a potem usłyszałem nazwisko „Kennedy” — i znów znalazłem się w świecie telewizji, bo wtedy uświadomiłem sobie, aha, a więc jestem ranny.

Postrzelono mnie w miejscu pracy: w Przedsiębiorstwie Andy'ego Warhola. W tym czasie, w 1968 roku, Przedsiębiorstwo Andy'ego Warhola składało się z kilku osób pracujących dla mnie mniej więcej regularnie, z mnóstwa ludzi, których można określić jako wolnych strzelców, zatrudnionych przy poszczególnych zleceniach, i z tłumu „supergwiazd” czy „megagwiazd”, czy jakby nie inaczej tych wszystkich osób, których niewątpliwie mają wielki talent, tylko, że trudno dokładnie sprecozować na czym ten talent polega, a jeszcze trudniej zrobić na nim pieniądze. To był wówczas „personel” Przedsiębiorstwa Andy'ego Warhola. Ktoś, kto przeprowadzał ze mną wywiad, wypytywał mnie, jak zarządzam biurem, a ja uśmiewałem wytłumaczyć, że tak naprawdę to nie ja zarządzam biurem, tylko biuro zarządza mną. Używałem przy tym wielu wyrażen w rodzaju „wyjść na swoje”, więc ten człowiek zupełnie nie rozumiał, o co mi chodzi.

Przez cały czas, gdy leżałem w szpitalu, mój personel pracował, i w ten sposób zdałem sobie sprawę, że jestem właścicielem kinetycznego biznesu, który kręci się beze mnie. Uświadomienie sobie tego sprawiło mi przyjemność, bo w tym czasie doszedłem do przekonania, że „biznes” to najlepszy rodzaj sztuki.

Sztuka biznesu jest kolejnym szczeblem po Sztuce. Rozpocząłem karierę jako artysta komercyjny, a chciałem ją zakończyć jako artysta biznesu. Zająłem się sztuką biznesu, gdy przeszedłem już przez zajmowanie się „Sztuką” czy jak by tego nie nazwać. Chciałem zostać Biznesmenem Sztuki albo Artystą Biznesu. Dobrej biznes jest

najbardziej fascynującym rodzajem sztuki. W epoce hippisowskiej pojęcie biznesu było w pogardzie — mówiło się „Pieniądże są złem” i „Praca jest złem” — ale robienie pieniędzy jest sztuką i praca jest sztuką, a największą sztuką jest dobry biznes.

Na początku nie wszystko w Przedsiębiorstwie Andy'ego Warhola było dobrze zorganizowane. Przeszliśmy ze świata sztuki w świat biznesu po podpisaniu z pewnym kinem umowy, że będziemy dostarczać jeden film tygodniowo. To skomercjalizowało naszą produkcję filmową; w miejsce krótkich filmów zaczęliśmy robić pełnometrażowe i fabularne. Nauczyliśmy się co nieco o dystrybucji i wkrótce sami zaczęliśmy rozprowadzać nasze filmy, okazało się to jednak za trudne. Nie spodziewałem się, że nasze filmy staną się filmami komercyjnymi. Wystarczyło mi, że sztuka włączyła się w strumień komercjalizmu, wyszła w świat. Dostawałem zawrotu głowy widząc nasz film na tablicach reklamowych w prawdziwym świecie, zamiast w świecie sztuki. Sztuka biznesowa. Biznes sztuki. Biznes Sztuki Biznesu.

Lubię używać do pracy resztek, wytwarzać coś z odpadków. Zawsze sądziłem, że rzeczy, które się wyrzuca i które wszyscy uważają za bezużyteczne, potencjalnie są bardzo ciekawe. Przypomniało to przerob surowców wtórnych. Zawsze wierzyłem, że w odpadkach kryje się mnóstwo humoru. Gdy oglądał stary film Esther Williams ze sceną, w której setka dziewcząt zsekawuje z huśtawek, zastanawiam się nad tym, jak wyglądały próby i ile razy trzeba było powtarzać ujęcie, gdy choćby jedną dziewczynę zabrakło odwagi, by zsekawać we właściwym momencie, i wyobrażam sobie tę dziewczynę, jak została sama na huśtawce. Ten fragment taśmy znalazł się na podłodze montażywni jako odpadek — został wycięty — i dziewczyna też stała się odpadem — prawdopodobnie straciła pracę — i cała ta scena jest o wiele zabawniejsza od właściwej, w której wyszkoło o huśtawki jest gwiazdą wyciętego fragmentu.

Nie twierdzę, iż gust szerokiej publiczności jest tak zły, że odpadki po nim są dobre, myślę, że to odpadki są prawdopodobnie złe, ale można je użyć do zrobienia czegoś dobrego albo przynajmniej interesującego, i w ten sposób ograniczyć marnotrawstwo. Przerabiam się powtórnie pracę i przerabiam się powtórnie ludzi, zaś prowadzona w ten sposób działalność staje się produktem ubocznym innych rodzajów działalności, czy też, w zasadzie, produkcji bezpośrednio konkurencyjnej. Jest to więc bardzo oszczędna metoda postępowania. Jest to także najzabawniejsza metoda, bo jak wspominałem, odpadki są śmieczne same w sobie.

Życie w Nowym Jorku urabia ludzi w taki sposób, że chcą tego, czego nikt inny nie chce — wszelkich odpadków. Konkurencja jest ogromna i jedyną szansą na zdobywie czegośkolwiek staje się zmiana gustu, tak, by docenić to, czego inni nie chcą. Na przykład w piękny słoneczny dzień na ulicach panuje taki tłok, że spoza ludzkich ciał nie widać nawet Parku Centralnego. Ale bardzo wcześnie rano w niedzielę, gdy pada deszcz i pogoda jest okropna, gdy nikomu nie chce

się wstawać, a nawet, gdy ktoś już wstanie, to nie chce mu się wychodzić, można wyjść z domu i spacerować, gdzie się tylko zapragnie i mieć wszystkie ulice tylko dla siebie, i jest wspaniale.

Gdy nie mieliśmy pieniędzy na robienie filmów fabularnych, które wymagają mnóstwa cięć, powtórzeń i temu podobnych rzeczy, próbowałem uprościć proces tworzenia filmów. W filmach, które wtedy kręciłem, wykorzystywałem każdy kawałek taśmy, bo tak było taniej, a poza tym łatwiej i zabawniej. Dlatego nie zostawiałem nam żadne odpadki. Później, w 1969 roku, zaczęliśmy montować taśmę, ale nawet w swoich własnych filmach, najbardziej lubię te ujęcia, które zostały wycięte. Odrzucone fragmenty są wspaniałe. Przechowywuję wszystkie skrupulatnie.

Odechodzę od swojej filozofii używania resztek tylko w dwóch przypadkach, gdy dotyczy to: 1) mojego kota, 2) jedzenia.

Wiem, że po kota powinienem pójść nad staw, ale zamiast tego po prostu go kupiłem. To był przypadek. Zobaczyłem go, zakochałem się w nim i kupiłem, więc powodem odstąpienia od mojego stylu było uczucie.

Muszę się także przyznać, że nie znoszę zjadania resztek. Jedzenie jest moją wielką ekstrawagancją. Naprawdę sobie dogadam, ale nadrabiam to w ten sposób, że skrupulatnie przechowywuję wszystkie resztki jedzenia i przynoszę je do biura albo zostawiam na ulicy, gdzie ktoś może z nich jeszcze skorzystać. Sumienie nie pozwala mi niczego wyrzucić, nawet, jeśli czegoś nie chce. Jak mówiłem, naprawdę sobie dogadam, gdy chodzi o jedzenie i dlatego moje resztki często są znakomite — kot mojego fryzjera jadł pasztet przynajmniej dwa razy w tygodniu. Najczęściej jest to mięso, bo zwykle kupuję duży kawał mięsa i przyrządzam je na obiad, ale gdy już jest gotowe, zalamuję się i jem to, na co miałem chęć w pierwszej kolejności — chleb z dżemem. Sam siebie oszukuję, przyrządzając białko na obiad; tak naprawdę, zawsze mam ochotę tylko na cukier. Inne rzeczy jadam jedynie dla zachowania pozorów, to znaczy, gdy się zaprasza na obiad książniczkę, nie można zacząć od zamówienia ciastka, choćby się miało na nie nie wiem jaki apetyt. Ludzie uważają, że powinno się jadać białko, więc je się białko dla swojego spokoju. Gdyby ktoś się uparł i zamówił ciastko, w końcu musiałby się tłumaczyć, dlaczego ma ochotę na ciastko i wykladać całą filozofię jedzenia ciastka na obiad, a to byłoby za duży kłopot. Zamawia się więc baraniec i zapomina, czego się naprawdę chciało.

Moje pierwsze nagranie powstało w 1964 roku. Próbuje sobie właśnie przypomnieć dokładne okoliczności, co nagrywałem. Pamiętam, kogo nagrałem, ale nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego w tym dniu miałem ze sobą magnetofon, ani nawet dlaczego go kupiłem. Zaczęło się chyba od tego, że chciałem napisać książkę. Jeden z moich przyjaciół przysłał mi kartkę z wiadomością, że wszyscy nasi znajomi piszą książki, więc ja też postanowiłem coś napisać, żeby nie zostać w tyle. Dlatego kupiłem magnetofon i przez cały dzień nagrywałem Ondine, najbardziej interesującą osobą spośród wszystkich moich ówczesnych znajomych. Spotykalem

wtedy wielu ludzi, którzy wytrzymywali całymi tygodniami bez snu, i ogromnie mnie oni intrygowali. „Ci ludzie mają tyle wyobraźni!” — myślałem. „Muszę się dowiedzieć, jak oni to robią, skąd mają tyle wyobraźni i sił twórczych; usta im się nie zamykają, nieustannie są czymś zajęci, zawsze pełni energii...” Jak to się dzieje, że wcale się nie kładą i nie są zmęczeni?” W ten sposób bardzo szybko minęły cztery dni. Postanowiłem nie kłaść się spać i przez cały dzień i całą noc nagrywać Ondine, najbardziej energiczną i rozmowną z nich wszystkich. Po jakimś czasie jednak poczułem się zmęczony i musiałem odłożyć na kilka dni dogrywanie reszty z zaplanowanych dwudziestu czterech godzin. Moja powieść „A”, była więc właściwie oszustwem, bo reklamowaliśmy ją jako zapis kolejnych dwudziestu czterech godzin, a w rzeczywistości była nagrywana przy kilku okazjach. Zużyłem na nią dwadzieścia taśm, bo nagrywałem na małych kasetach. I właśnie wtedy do studia przyszło kilkoro młodych ludzi, którzy zapytali, czy nie znalazłoby się dla nich jakiegoś zajęcia. Poprosiłem ich, żeby sporządzili maszynopis mojej powieści. Spisywanie jednego dnia zajęło im półtora roku! Teraz wydaje mi się to nieprawdopodobne, bo wiem, że gdyby mi o tym jakiegokolwiek pojęcie, wystarczylby im tydzień. Chwilami patrzyłem na nich z podziwem, gdyż udało im się wzbudzić we mnie przekonanie, że pisanie na maszynie jest najpowolniejszą i najbardziej mozolną pracą na świecie. Teraz zdaje sobie sprawę, że miałem maszynistów z odrzutu, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Może po prostu sprawiło im przyjemność przebywanie w towarzystwie osób, które kręciły się po studiu.

Ci wszyscy, którzy nigdy nie kładli się spać, nieustannie obwieszczała: „Och, to już mój dwudziety dzień i czuję się świetnie!” Tego także nie mogłem zrozumieć i myślałem wtedy: „Może nadaszeli czas, żeby zrobić film o kimś, kto śpi przez całą noc.” Ale miałem wtedy kamerę, która pracowała tylko przez trzy minuty, więc co trzy minuty musiałem zmieniać film, żeby nakręcić następne trzy minuty. Przy projekcji zwoiniłem przewijanie taśmy, żeby nadrobić za każde trzy minuty stracone na zmianę filmu, i wysiwiałem ją w zwołnionym tempie, żeby pokazać także to, czego nie nakręciłem.

Wydaje mi się, że dość szeroko rozumiem pojęcie „pracy”, bo uważam, że samo istnienie wymaga wkładania wiele wysiłku w coś, co nie zawsze ma się ochotę robić. Narodziny człowieka są jak porwanie, a potem zostaje się sprzedany w niewolę. Ludzie pracują nieustannie przez całe życie. Maszyna nigdy się nie zatrzymuje. Nawet podczas snu.

(...)

Drugą w kolejności najcięższą pracą po życiu jest seks. Oczywiście nie dla wszystkich jest to praca, bo niektórzy potrzebują gimnastyki i mają dosyć energii na seks, który w dodatku dodaje im sił. Niektórzy ludzie czerpią energię z seksu, inni ją przy tym tracą. Przekonałem się, że dla mnie jest to bardzo ciężka praca. Ale jeśli ktoś ma czas i potrzebuje gimnastyki — powinien to robić. W każdym przypadku jednak można by sobie zaoszczędzić wiele kłopotu

sprawdząc najpierw, czy od seksu przybysza nam energii, czy ubywa. Jak powiedziałem, mnie ubywa energii. Ale rozumiem ludzi, których głównym zajęciem jest poszukiwanie energii.

Dla osoby atrakcyjnej unikanie seksu jest równie ciężką pracą, co dla osoby nieatrakcyjnej poszukiwanie seksu, więc najlepiej byłoby, gdyby to właśnie atrakcyjne osoby czerpały energię z seksu, a nieatrakcyjne ją traciły, bo wtedy dążenia ludzi zgadzałyby się z kierunkiem, w którym popychają ich inni.

Oprócz uprawiania seksu, samo posiadanie temperamentu seksualnego też jest ciężką pracą. Zastanawiam się, co jest najtrudniejsze: 1) mężczyźni być mężczyzną, 2) mężczyźni być kobietą, 3) kobiecie być kobietą czy 4) kobiecie być mężczyzną. Nie potrafił tego rozstrzygnąć, ale z obserwacji wszystkich czterech typów wynika, że mężczyźni, którzy próbują być kobietami, sądzą, iż pracują najciężiej. Pracują na dwa etaty, bo wszystko muszą robić podwójnie, muszą myśleć o gołeniu i niegołeniu, o strojeniu się i niestrojeniu, kupowaniu ubrań męskich i kobiecych. Wydaje mi się, że bycie inną płcią jest interesujące, ale bycie własną płcią też może fascynować.

Pewien mój znajomy utrafił w sedno stwierdzając: „Ozbieli ludzie najlepiej radzą sobie w życiu.” Takie osoby nie mają bowiem typowych problemów emocjonalnych, które są przyczyną zahamowań i sprawiają, że ktoś nie radzi sobie w życiu. Gdy miałem niewiele ponad dwadzieścia lat, wkrótce po skończeniu szkoły, odkryłem, że nie jestem na tyle ozbieli, by problemy nie mogły odciągnąć mnie od pracy.

Sądziłem, że młodzi ludzie mają więcej problemów niż starzy i miałem nadzieję, że uda mi się dożyć późnego wieku, kiedy nie będę miał już żadnych zmartwień. Potem rozjrziałem się dokoła i zauważyłem, że ci, którzy wyglądają młodo, mają młode problemy, a ci, którzy wyglądają staro — stare. „Stare” problemy wydawały mi się łatwiejsze do zniesienia niż „młode”, toteż postanowiłem poświęcić, żeby nikt nie wiedział ile mam lat i żeby wyglądać na mniej niż wszyscy sądził, że mam. Siwe włosy przyniosłyby mi wiele korzyści: 1) miałbym stare problemy, łatwiejsze do zniesienia niż młode, 2) wszyscy byłby poruszeni moim młodzieńczym wyglądem i 3) zdzieliby to ze mnie obowiązek zachowywania się młodo — mógłbym od czasu do czasu pozwolić sobie na zachowanie ekscentryczne lub niedołężne i nikt by na to nie zwrócił uwagi z powodu siwych włosów. Gdy ma się siwe włosy, każdy ruch, jaki człowiek wykonuje, nie wygląda po prostu na zwyczajną aktywność, tylko sprawia wrażenie „młodzieńczego” i „prężnego”. To tak, jakby się zyskiwało nowy talent. Toteż w wieku dwudziestu trzech czy czterech lat przeferabowałem sobie włosy na siwo.

Cecha, której poszukuję u swoich współpracowników, to pewne niezrozumienie tego, co próbuję robić. Nie mówię o zupełnym niezrozumieniu, tylko o pomniejszych nieporozumieniach tu i ówdzie. Gdy ktoś nie rozumie do końca, czego się od niego oczekuje,

albo nie dostasz, co się do niego mówi, albo gdy taśma jest kiepskiej jakości, albo gdy ta osoba zaczyna ujawniać swe fantazje, wówczas to, co powstaje, często podoba mi się bardziej niż mój pierwotny zamysł. Dobre rezultaty osiąga się także dając to, co zrobiła pierwsza osoba, która cię nie zrozumiała, komuś innemu i każąc mu poprawić to tak, jak jego zdaniem ty chciałbyś to widzieć. Gdyby nie było żadnych nieporozumień i wszyscy robiliby dokładnie to, co się im kaže, stawali by się jedynie przeobrażeniami cudzych pomysłów, co po jakimś czasie staje się bardzo nudne. Natomiast, gdy ludzie, z którymi się pracuje, nie rozumiają cię do końca, zamiast transmisji powstają transmucje, na dłuższą metę o wiele bardziej interesujące. Lubię, gdy ludzie, którzy ze mną pracują, mają własne pomysły, bo wtedy mnie nie nudzą, ale lubię też, gdy są na tyle podobni do mnie, by mi dotrzymać towarzysztwa. Lubię być pośrodku, ale nie lubię czuć się stłamszony. (...)

Najlepsze w tym kraju jest to, że Ameryka zapoczątkowała tradycję, w myśl której najbogatsi nabywcy kupują zasadniczo te same produkty, co najbiedniejsi. Gdy oglądasz telewizję i widzisz tam Coca-Colę, to wiesz, że prezydent pije colę, Liz Taylor pije colę, i pomyśl tylko, ty też możesz pić colę. Coca-Cola to Coca-Cola i za żadne pieniądze nie kupi się lepszej coli od tej, którą pije włóczęga na rogu. Wszystkie Coca-Cole są takie same i wszystkie są dobre. Wie o tym Liz Taylor, wie o tym prezydent, wie o tym włóczęga i ty też o tym wiesz.

W Europie rody panujące i arystokracja jadają o wiele lepiej niż chłopi — jedni i drudzy jedli zupełnie co innego. Kuropatwy albo owsianka, każda klasa społeczna trzymała się swego pożywienia. Ale jestem pewien, że gdy królowa Elżbieta przjechała do Ameryki i prezydent Eisenhower kupił jej hot doga, to wiedział, że królowa nie mogłaby sobie zamówić do pałacu Buckingham lepszego niż ten, który on jej kupił za mniej więcej dwadzieścia centów. Królowa nie dostalaby lepszego ani za dolara, ani za dziesięć dolarów, ani za sto tysięcy. Mogła dostać hot doga za dwadzieścia centów, tak jak wszyscy inni.

Wydaje mi czasem, że najbogatsi ludzie, ci, którym naprawdę się powiodło i żyją na najwyższej stopie, mają coś, czego inni nie mają, że muszą mieć lepsze rzeczy, bo mają więcej pieniędzy. A jednak piją tę samą colę i jedzą te same hot dogi, i noszą te same ubrania z ILGWU, i oglądają te same programy w telewizji i te same filmy. Bogaci nie mogą obejrzeć głupszej rzeczy „Prawdy i konsekwencji” ani bardziej mroźnego krew w żyłach wry „Egzorcyści”. Każdy może się bać tak samo i mieć takie same kosmary. Właśnie to jest charakterystyczne dla Ameryki.

Idea Ameryki jest wspaniała dlatego, że im bardziej coś jest egalitarne, tym bardziej jest amerykańskie. Chociaż w wielu miejscach sławne osoby traktowane są w szczególny sposób, nie jest to prawdziwie amerykańskie. Któregoś dnia przydarzyło mi się coś naprawdę amerykańskiego. Wybrałem się na aukcję do domu Parke Berneta i nie wpuszczono mnie do środka, bo miałem ze sobą psa.

Byłem umówiony z przyjacielem, więc musiałem zacząć w holu, żeby mu powiedzieć, iż odmówiono mi wstępu. Czekać w holu rozdawałem autografy. To była stuprocentowo amerykańska sytuacja.

(Skoro już przy tym jestem, zdarza się, że w przypadku słynnych osób „szczególne traktowanie” działa na odwrót. Czasami ludzie traktują mnie źle, dlatego, że jestem Andym Warholem.)

(...)

Zastanawiałem się kiedyś nad tym, co trzeba teraz robić w Ameryce, żeby odnieść sukces. Wcześniej wystarczyło być odpowiedzialnym i nosić dobry garnitur. Gdy rozglądam się dokoła, wydaje mi się, że teraz trzeba robić to samo, tylko bez dobrego garnituru. Sądzę, że tylko o to chodzi. Myśl jak bogaty. Wyglądać jak biedny.

10. Atmosfera

(...) Uważam, że powinno się mieszkają w jednym pokoju. W jednym pustym pokoju, gdzie znajdowałoby się tylko łóżko, tacla i walizka. Wszystko można robić z łóżka albo na łóżku — jeść, spać, myśleć, gimnastykować się, palić — a obok byłaby jeszcze łazienka i telefon.

W każdym razie każda czynność nabiera uroku, gdy wykonuje się ją w łóżku. Nawet obieranie kartofli.

Przestrzeń walizki jest niezwykle pojemna. Walizki, która zawiera wszystko, czego człowiek potrzebuje:

Jedną lyżkę
Jeden widelec
Jeden talerz
Jedną filiżankę
Jedną koszulę
Jedną zmianę bielizny
Jedną skarpetkę
Jeden but
Jedną walizkę i jeden pusty pokój. Znakomite. Doskonałe.

Mieszkanie w jednym pokoju uwalnia od wielu zmartwień. Niestety, pozostają nadal podstawowe zmartwienia:

Czy światło jest włączone, czy nie?
Czy woda jest zakrzepła?
Czy papierosy są zgaszone?
Czy tylnie drzwi są zamknięte?
Czy winda działa?
Kto siedzi na moich kolanach?

Wielu ludzi śpią teraz w przestrzeniach o kształcie piramidy, bo uważają, że dzięki temu zachowują młodość i energię oraz powstrzymują proces starzenia. Ja się o to nie martwię, bo mam swoje skrzydła. Jednak ja także uważam kształt piramidy za doskonały, bo nie trzeba myśleć o suficie. Każdy chciałby mieć dach nad głową, więc dlaczego ściany nie miałyby być równocześnie dachem — dzięki

temu ubywa jedna rzecz, o której trzeba myśleć, jedna powierzchnia, na którą trzeba patrzeć, którą trzeba czyścić i malować. Indianie, którzy mieszkali w tipi, mieli dobry pomysł. Niezły mógłby być także stózek, tyle że kształt koka wyklucza krawędzie i trudno byłoby znaleźć okrągły zlew. Natomiast przestrzeń ograniczona piramidą na podstawie trójkąta równobocznego podobna mi się nawet bardziej niż piramida na podstawie kwadratu, bo przy trójkątnej podstawie z rzeczy, o jakich człowiek musi myśleć, ubywa jedna ściana i jeden kąt, z którego trzeba wycierać kurz.

Moje idealne miasto miało by jedną długą Główną Ulicę, bez żadnych przecznicy ani bocznych zaułków, które blokują ruch. Tylko jedna długa, jednokierunkowa ulica, a przy jej jednym końcu wysoki, pionowy budynek, w którym wszyscy mieszkaliby z:

Jedną windą
Jednym strażnikiem przy drzwiach
Jedną skrzynką pocztową
Jedną pralką
Jednym koszem na śmieci
Jednym drzewem przed wejściem
Jednym kinem po sąsiedztwu.

Ulica Główna byłaby bardzo szeroka i gdyby się chciało zrobić komuś przyjemność, wystarczyłoby powiedzieć: — Widziałem cię dzisiaj na Głównej.

Wlewałoby się benzynę do samochodu i jechało w poprzek ulicy. Moje idealne miasto byłoby zupełnie nowe. Żadnych zabytków. Wszystkie budynki byłyby nowe. Stare budynki stwarzają nienaturalną przestrzeń. Budynki powinno się stawiać tak, żeby wystarczały na krótko. Uważam, że należy się pozbywać tych, które mają ponad dziesięć lat. Stawiałbym nowe budynki co czterdzieści lat. Ludzie mieliby zajęcie przy budowaniu i rozbieraniu i woda nie byłaby zardzewiała od starych rur.

Rzym we Włoszech jest przykładem na to, co się dzieje, gdy budynki w mieście stoją zbyt długo.

Rzym jest nazywany Wiecznym Miastem, bo wszystko tam jest bardzo stare, a mimo to jeszcze stoi. Mówi się „Nie od razu Rzym zbudowano”. Ja uważam, że może powinno się go było zbudować od razu, bo im szybciej się coś buduje, tym krócej to stoi, a im krócej stoi, tym szybciej ludzie znów dostają pracę przy budowaniu czegoś nowego. Wytwarzanie na nowo niezbędnych rzeczy dostarcza ludziom zajęcia. Powszechnie uważa się, że niezbędne rzeczy to jedzenie, dach nad głową i ubranie. We Włoszech wytwarza się masę jedzenia i masę ubrań, ale to dopiero dwie trzecie niezbędnych rzeczy. Pozostała jedna trzecia to dach nad głową — którego we Włoszech się nie robi, bo już jest. Toteż w Rzymie doszło do tego, że kobiety wyładowały w kuchniach, gdzie wytwarzają całe jedzenie i w fabrykach, gdzie wytwarzają wszystkie ubrania, a mężczyźni nie robią nic, bo budynki już stoją i nie rozpuszają się! Zbudowano je od razu zbyt porządnie i od tamtego czasu nie zrobiono nic, żeby zaradzić tej sytuacji. Dlatego na ulicach Rzymu we Włoszech o każdej porze dnia i nocy widzi się tylu mężczyzn.

Najlepszą, najbardziej prowizoryczną metodą budowania, o jakiej słyszałem, jest budowanie ze światła. „Architekturę światłą” często wykorzystywali faszyści. Przy pomocy światła można wznieść nieskończenie wielkie budowle, a gdy nie są już potrzebne, wystarczy wyłączyć światło i wszystko znika. Hitler zarządził bardzo pilnie potrzebował budynków, z których mogłyby wygłaszać przemówienia, więc jego architekt wznosił takie budowle-iluzje, zbudowane wyłącznie z efektów świetlnych i zajmujące olbrzymie przestrzenie.

Wydaje mi się, że w hologramach tkwią eksystujące możliwości. Dzięki nim każdy będzie mógł wreszcie wybrać sobie odpowiednią atmosferę. Jeśli ktoś zapragnie się znaleźć na przyjęciu oglądającym w telewizji, będzie mógł to zrobić przy pomocy hologramu. Można będzie mieć u siebie w domu trójwymiarowe przyjęcie, udawać, że jest się tam naprawdę i wejść między ludzi. Można będzie nawet wypożyczyć przyjęcie z dowolnie wybraną sławną osobą, która chciałaby się zobaczyć i usiąść obok niej.

Lubię być właściwą rzeczą w niewłaściwej przestrzeni i niewłaściwą rzeczą we właściwej przestrzeni, ale gdy już się ją dokonać jednego lub drugiego, ludzie stawiają cię pod ostrzałem reflektorów, albo plują na ciebie, albo źle o tobie piszą, albo fotografują, albo mówią, że usiłujesz zrobić karierę. Przeważnie jednak warto być właściwą rzeczą na niewłaściwym miejscu albo niewłaściwą rzeczą na właściwym miejscu, bo zawsze wtedy zdarza się coś zabawnego. Możecie mi wierzyć, bo cała moja kariera polegała na byciu właściwą rzeczą na niewłaściwym miejscu i niewłaściwą rzeczą na właściwym miejscu. To jedyne, na czym naprawdę się znam.

(...)

W Nowym Jorku przez cały czas trzeba sprzątać, a gdy się skończy jest zaledwie nie-brudno. W Europie ludzie poświęcają bardzo dużo czasu na sprzątanie, ale gdy skończy, jest czysto a nie tylko nie-brudno. Wydaje mi się, że w Europie jest także łatwiej o rozrywkę. Wystarczy otworzyć drzwi do ogrodu i jeśli na powietrzu, pośród kwiatów i drzew. Nowy Jork jest zabawny, ale większość rzeczy po prostu się tu nie udaje. W Europie nawet picie herbaty na podwórku za domem może być wspaniałym przeżyciem, a w Nowym Jorku wszystko jest skomplikowane — jeśli restauracja jest dobra, to jedzenie jest kiepskie, jeśli jedzenie jest dobre, oświetlenie może być kiepskie, a jeśli oświetlenie jest dobre, klimatyzacja bywa kiepska.

(...)

Obecnie moja ulubioną atmosferą jest atmosfera lotnisk. Mogłbym ją uznać za idealną, gdyby nie myśł o samolotach, które wzbijają się w powietrze i leca. Lotniska i samoloty mają moje ulubione jedzenie, moje ulubione łazienki, moje ulubione pastylki migotowe Life Savers, moje ulubione rozrywki, mój ulubiony sposób komunikacji za pomocą głośnika, moje ulubione taśmociągi do przenoszenia bagażu, moje ulubione kolory i grafiki, najlepszy system kontroli bezpieczeństwa, najlepsze widoki, najlepsze per-

fumerie, najlepszy personel i najlepszy optymizm. Uwielbiam to, że nie trzeba myśleć dokąd się leci, bo ktoś inny o tym myśli, ale nie potrafie przezwyciężyć zwirowanego uczucia, jakie mnie ogarnia, gdy wyglądam przez okno, widzę chmury i wiem, że naprawdę jestem w górze. Wszystko w tej atmosferze jest wspaniałe, mam tylko zastrzeżenia do samego pomysłu latania. Chyba nie jestem osobą stworzoną do latania, ale ponieważ zdany jestem na połączenia lotnicze, muszę prowadzić życie w powietrzu. Fakt, że nie znoszę latać, sprawia mnie w zakłopotanie, bo bardzo lubię być nowoczesny, ale rekompensuję to sobie uwielbieniem dla lotnisk i samolotów.

Najlepsza atmosfera ze wszystkich, które znam, to atmosfera filmu, bo jest trójwymiarowa fizycznie, a dwuwymiarowa emocjonalnie.

przełożyła Alina Pożarowszczyk

ANDY WARHOL urodził się w Forest City w Pensylwanii jako Andrew Warhola, syn czeskich emigrantów, górnika i robotnika budowlanego Ondreja Warholi oraz jego żony Julii. Źródła podają różne daty jego urodzenia, najprawdopodobniej jednak było to 6 czerwca 1928 roku. Po ukończeniu studiów w Carnegie Institute of Technology w Pittsburghu przeniósł się do Nowego Jorku i zmienił nazwisko na Andy Warhol. Z wykształcenie był grafikiem reklamowym i w tym zawodzie rozpoczął karierę. W latach pięćdziesiątych wykonywał dekoracje do wystaw aktywnych, ilustracje do książek i decreta dla luksusowych pism ilustrowanych — „Glamour”, „Vogue”, „Harper's Bazaar”. W 1954 roku odbyła się jego pierwsza wystawa indywidualna, a w latach 1956 i 1957 roku otrzymał dwie prestiżowe nagrody w dziedzinie grafiki reklamowej — Thirty Fifth Art Directors' Annual Club Award i Art Directors' Club Medal. Obecnie uważa się, że w latach pięćdziesiątych Warhol był jednym z reprezentantów wczesnej fazy pop-artu, określanej jako pre-pop.

W latach sześćdziesiątych eksperymentował z różnymi środkami wyrazu: malował obrazy w stylu abstrakcyjnego impażjonizmu. Zaczął wykorzystywać formę komiku oraz znaki towarowe. W tym okresie powstały słynne obrazy przedstawiające butelkę coca-coli i puszki z zupą Campbella. Zaczął także fotografować i w połowie lat sześćdziesiątych odnalazł swoją charakterystyczną technikę pracy: fotografie przetwarzaną przy pomocy silodruku. Tak powstały prace przedstawiające banknoty dolarowe i portrety gwiazd Hollywooda.

Warhol zgromadził wokół siebie grupę młodych, eksperymentujących artystów znaną jako „Factory”. Siedzibą grupy był początkowo opuszczony magazyn przy 87 Ulicy po wschodniej stronie Manhattanu, a potem budynek przy Wschodniej 47. Wraz z asystentem Gerardem Malanga zaczął produkować pierwsze filmy: „Sleep” (6 godzin), „Empire” (8 godzin). Pierwszym z nich, który odniósł komercyjny sukces był „The Chelsea Girls” z 1966 roku. Później, gdy nadszła nad produkcję filmów przejął Paul Morrissey, stały się one nieco bardziej konwencjonalne. Z czasów Morrissey'a pochodzą m.in. „Flash” (1968) i „Trash” (1969).

Równocześnie z kamerą, Warhola zafascynował magnetofon; jego współpracownicy wspominają, że nagrywał dosłownie wszystko, fragmenty rozmów, balas uliczne, szmery i dźwięki. Powieść „A”, która ukazała się w 1974 roku, powstała jako rejestracja na taśmie magnetofonowej jednej doby.

Pierwszą opublikowaną przez Warhola książką był napisany wspólnie z Gerardem Malanga dziennik (1974). Kolejne to: *The Andy Warhol — Gerard Malanga Monster Issue* (1975), *The Philosophy of Andy Warhol* (1975) i *POPism. The Warhol 60's* (1980). Pośmiertnie ukazała się jeszcze *Andy Warhol's Party Book* firmowana nazwiskami Warhola i Pat Hackett. Od 1969 roku Warhol wydawał magazyn „Interview”.

W 1968 roku Andy Warhol został niebezpiecznie postrzelony przez Valerie Solanas.

jedyną członkinię SCUM — Society For Cutting Up Men (Towarzystwa na Rzecz Wykastrowania Mężczyzn). Przetrwał ten zamach. Zmarł dziewiętnastu lat później, 22 lutego 1987 roku, na skutek powikłań po operacji woreczka żółciowego. W chwili śmierci był już kontrowersyjnym kłajskiem, współtwórcą pop-artu i legendą nowojorskiego świata — nie tylko artystycznego.

Prezentowane fragmenty pochodzą z wydanej przez Harcourt Brao Jovanovich w 1975 roku książki *The Philosophy of Andy Warhol*. Warhol opowiada w niej w dowcipny sposób o miłości, sławie, pracy, pieniądzu, jedzeniu, Ameryce, a przede wszystkim o sobie w barzeliwych latach sześćdziesiątych.



Adam Kosowski: XIII Stacja Drogi Krzyżowej w Aylesford, ok. 1981

PIOTR URBAŃSKI

Czy Judasz może być zbawiony? (Apokryf według Wacława Oszajcy)

Powiedz, Judaszu, czy jesteś na pewno potępiony? To ważne, to zależy na całym problem łań, predestynacji i wolności, sądu i zbawienia; wszystkie te pytania należą do najgłębszym stopnia zależą od trybu twórczego życia i śmierci — pisał w słynnym *Liście do Judasza* kard. Roger Etcheberry¹. Problem Judasza — mówi o tym Zbigniew Jarzębowski² — stanowi swoiste wyzwanie dla współczesnej literatury. Postać ta ma być jednym z paradymatów, pozwalających opisać człowieka, jego kondycję, wyrazić podstawowe sądy o jego egzystencji. A więc z jednej strony „judaszowości”, z drugiej zaś niewierność i zdrada miałyby być wpisane w ludzką naturę... Ow „archetypowy” charakter postaci Judasza pozostawia jednak na boku. Zajmiemy się kwestią stricte teologiczną, tyle że zapisaną nie językiem traktatu, ale poezji (choć przez teologa...).

Wydaje się, że problemu nie ma sensu stawiać jako pytania o winę Judasza — to, że w dół Jezusa na śmierć jest faktem. Istotne jest to, czy po imię swej winy Judasz może być nie potępiony, zbawiony? Czy słowa Jezusa zapisane przez Ewangelistów: „Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził.” (Mk 14,21 par. Mt 26,24) są jednoznacznym wyrokiem wiecznego potępienia? Zastanawiający jest też fakt, że najbardziej negatywny wizerunek dwunastego apostoła przedstawia subtelny teolog-poeta, umiłowany uczeń Jezusa, ostatni(!) z Ewangelistów — Jan.

Ocalenie Judasza, niezgodna na jego potępienie, jest obecna już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Na przykład tak skądinąd bezkompromisowy Orygenes nie mógł widzieć w Iskariocie tylko zła czy opętania. Stąd w dziele *Przeciw Celsovi* tak pisał: jest rzecz oczywista, iż nadek Jezusa potępiła spowodował jego duszę zdrętwiałą, której zdrętwienie nie porzucił całkowicie i nie poddał. Również zdaniem „Zgrzeszonym wydawasz krew niewinną” — były słowami człowieka, który wyznaje swą zbrodnię. Zauważ, jak wielką wzbudził w sobie skruchę i żal za grzechy, że nie mogąc już dłużej żyć, porzucił pieniądze w świątyni i powiedział: *Sam więc wymierzysz sobie karę, dowodząc tym uczynkiem, jak wielką moc miałas Jezusa wobec Judasza — grzesznika, złodzieja i zdradcy, który nie miał odrzucić tego, czego nauczył się od Jezusa*.³ W innym miejscu Orygenes pogłębił tę interpretację samobójstwa Judasza i stwierdził, że ów popełnił ją aby jego dusza odłączyła się od ciała wyszła naprzeciw duszy Jezusowej blagając ją o miłosierdzie.⁴ Judasz więc — dodaje homilia wielkanocna

przypisywana św. Janowi Chryzostomowi — po drugiej stronie grobu, „z którego zająśniało przebaczenie”, spotkał Jezusa⁵.

Współczesna egzegza, analizując dokładnie Janową Ewangelię, stara się wycofać z niej nie tylko to, co dane jest wprost, ale i to, co domaga się interpretacji. Zwraca więc uwagę na fakt iż Judasz umierał w tym samym czasie, gdy dokonywała się Ofiara Krzyża. Nie jest to przypadek, ale znak, iż Chrystus „włączył ucznia w pełnię swojej ofiary za zbawienie świata.”⁶ Lektura Ewangelii nie pozwala jednoznacznie określić, co było przyczyną wydania Jezusa; zawiedzione nadzieje mesjańsko-polityczne, chciwość, pogłębiająca się (zawiniona) acedia⁷, fatalizm czy determinizm historii zbawienia. Co więcej, postawa Jezusa do Judasza nie jest wcale nieufna czy wroga. Dostrzeż z nią można coś wręcz przeciwnego — „tajemniczą intymność”⁸. Wreszcie pamiętajmy o tym, iż Judasz był uczestnikiem Ostatniej Wieczery i pierwszej Eucharystii. Zaś według niektórych (tak to przedstawiała niekiedy np. średniowieczna ikonografia) została mu już ofiarowana moc sprawowania sakramentów.

Postać Judasza dość często pojawia się w poezji Wacława Oszajcy. Najważniejszy tekst poświęcony tej postaci to obszerny cykl *Nazywaj umiłowanego z tomu Mnie się nie lekaj*, będący przedmiotem tych rozważań. W tomach wcześniejszych Judasz pojawił się w szelciw wierszach, mających charakter epigramatu, często dodziadanego zapisu myśli. Występują w nich motywy, które stana się ważne w *Nazywajki*: stłuczony alabastrów flakonik (cierń), błogosławiona wina (jakbyś jedynie ty nie miał udziału w powszechnym błogosławieństwie winy Juda), niecierpliwość (pamięć) czy wreszcie możliwość ocalenia Judasza (kiedy był wszystkim). Pozwala to czytać cykl w kontekście wcześniejszych utworów i śledzić zmianę, jaka dokonuje się w postrzeganiu „problemu Judasza”.

Proces ocalania Judasza rozpoczyna Oszajca już od sfer języka, od najbardziej podmiotowej jego części — imienia. Otóż nieprzypadkowo posługuje się formą *Juda*, a nie *Judasz*. Ta druga jest bowiem obciążona w polskiej tradycji językowej pojarzonymi konotacjami. W Biblii występuje kilka osób o tym imieniu (np. Juda Machabeusz, apostoł Juda-Tadeusz, niekiedy identyfikowany z autorem jednego z listów powszechnych, Juda „brat Judasza” — Mk 6,3). Jednakże w naszych przekładach⁹ forma *Judasz* jest zarezerwowana dla Iskarioty. Reguły tej nie podważa jednokrotne użycie jej — również w znaczeniu negatywnym — w odniesieniu do pseudo-mesjaszy, o którym wspomina rabbi Gamaliel w Dz 5,37. Leksałkany wybór Oszajcy słuszy więc znieśieniu twórczego obciążenia sensem twórczego form *Judasz*. Zbawienie Judasza (a zbawienie — podstawowa kategoria biblijna — to najogólniej ujmując „subiektywne egzystencjalne ocalenie i spełnienie życia”¹⁰) będzie się dokonywało

¹ W. Hryniewicz: *Tajemnica Kaina i Aba. Rozważania teologiczne*, „Więś”, 1985, nr 10-12, s. 132.

² Tamże, s. 131.

³ S. Kowalski: *Współczesna „Życie i Myśl”*, 1957, nr 1.

⁴ W. Hryniewicz, op. cit., s. 128.

⁵ *Knaja, kiedy się wyznacza... pamięć z tomu z głębi ciemności* (Lublin 1981) oraz *Cień, Juda, Halleluia* z tomu *Legenda o domu* (Lublin 1984). Cykl *Nazywaj umiłowanego* (Juda, Miłość, Przedmiotem rozumna, Nutszyk umiłowanego, Spółkobiercy, Kantonie, Świadectwo, On jednak przetrwał, Ofiara zastępcza, Mnie się nie lekaj) pochodzi z tomu *Mnie się nie lekaj* (Lublin 1989). Wszystkie cytaty wierszy Wacława Oszajcy według powyższych wydań.

⁶ Tak jest w przekładach J. Wujka, S. Kowalskiego, E. Dąbrowskiego, w Biblii Tysięcznej, w Biblii Bydgoskiej i Złagranym Tłumaczeniu Biblijnym (nowy przekład od 1975 r.). Błogosławienie wzmiana Biblii Gdańska z 1604 r. na podobnie trójkrotnie formy *Judasz* i *Juda*.

⁷ R. Rahner, H. Vorgrimmer: *Myślenie słowne teologiczne*, przeł. T. Mieszkowski, P. Pachciarek, Warszawa 1987, hasło: „Zbawienie”, kol 564. Por. też hasło „Zbawienie” w *Słowniku teologii biblijnej*, dzieło zbiorowe, red. naczelny: N. Leon-Dufour, przeł. i oprac. bp K. Romanik, Poznań-Warszawa 1985, s. 1113-1123.

¹ R. Etcheberry: *List do Judasza*, Przeł. J.S., „Więś”, 1981, nr 2, s. 86. Otekście tym siał B. Bednarek, *Apokryfy judaszowski* (Jahle de Vorige — Borges — Kad. Etcheberry), „Literatura Ludowa”, z. 3, s. 23-25.

² Zob. Z. Jarzębowski: *Judasz nie może odejść — próba interpretacji nowego ujęcia postaci Judasza w dramacie J. Trybickiego „Zęzaj Judasza”* (w druku).

³ Orygenes: *Przeciw Celsovi*, przeł. S. Kalinowski, Warszawa 1946, ks. II, 11, s. 96.

⁴ Daniel-Rops: *Dzieje Chrystusa*, Przeł. Z. Starowieyska-Morsiniowa, Warszawa 1987, s. 367.

również przez szczególną konstrukcję utworu. Naszynek umiłowano wyrasta z doświadczenia pozaletteralnego — z dynamiki *Wciwczek duchownych* chłw. Ignacego Loyoli. Ich poetycki zapis poprzedza analizowany cykl¹². Ze struktury medytacji, jaka proponuje św. Ignacy, Oszajca przejmując we wszystkim konstrukcję umieszczania podmiotu w środku rzeczywistości historycznej, której dotyczy rozmyślanie, uczynienie go uczestnikiem wydarzenia (jakim znalazł się tam obecny? — pisze Loyola¹³). W strukturze *Wciwczek* Męka Chrystusa, której epizodem jest nie Judasza, umieszczona jest w tygodniu trzecim. Ignacy zabiera *Patrzeć, zwracać uwagę* (kontemplować, to mówią owy) a wchodzić *w siebie, pożytek z tego jakki wyciągnąć*¹⁴. Jedną z wartości, jakie proponują *Wciwczeka*, jest dialog (resp. rozmowa). Jest to przede wszystkim dialog człowieka z Bogiem, ale także dialog z bohaterami uboecznymi wydarzeń. Jest on możliwy, ponieważ realny jest dialog stworzenia ze Stwórcą: *W dzień ja mu wierzę gdyż on jest tym kimś nie milczy — pisze Oszajca* w wierszu *Kolekiewca*. Dialogu nie wolno odmówić nawet Judaszowi, bowiem byłoby to równoznaczne z potępieniem, z odmówieniem prawa do istnienia. Podjęcie dialogu z Drugim (w kontekście filozofii spotkania) jest obowiązkiem. *Być listą dramatyczną* — pisze Józef Tischner — *to wierzyć — prawdziwie czy nieprawdźwie — że szuka lub aczenie jest w rękach człowieka*¹⁵. Dramatyczne otwarcie się na Drugiego ma zresztą charakter transcendentny. *Nie ma Ja bez Ty i Ty bez Ja*. Znaczący nie tylko, że ja i ty oddajemy się wzajemnie, jak lastra, stojąc na przeciwnych brzegach rzeki, ale i to, że Ty jesteś mnie, a ja Ci w Tobie. Jesteś częścią dzieł mojego Ja, a Ja jestem częścią dzieł Twojego Ty. Mimo tego przenikania jesteśmy sobą. *Sobą do końca*¹⁶. Spotkanie to jest tajemnicą. Jeśli tak, czy potępienie jest możliwe? Czy może komas odmówić prawa do istnienia, zawyrokować, iż żyje on istnieniem bezprawnym? Tak właśnie można by sformułować podstawowe problemy cyklu *Naszynek umiłowano*. Ocalenie Judasza dokonuje się (czy też — musi się dokonać?) przez słowo — dialog. Ale jest to dialog dość szczególny, daleko wykraczający poza relację Ja — Ty. Poeta — Judasz¹⁷. Niewątpliwie podmiot liryczny — mający tu zresztą często kompetencje „podmiotu utworu” (w rozumieniu Aleksandra Okopieńskiego-Sławinskiego)¹⁸ — jest tożsamy z Poetą, skoro powołuje się na refleksje zawarte w poprzednich tomach Wacława Oszajcy, a nawet prowadzi i nami polemikę. I tak na przykład w wierszu *Świadek* czytamy: *onędy kazał miś tylko tak do biskupa Rzymu za murzając kapłanka* (słuch Morszem Galilejskim), *gdzie Piotr otrzymał władzę kluczy idźnij niczego nieś nie żanę*. Natomiast w tomie

Łagodność domu w wierszu *Kaciół prymata Oszajca* pisał: *Na Wątkanie barka Rybaka z Gullit / napłynęła rybami płażami rolinami / a nawet swyżymi / wyszły ze zła / tutaj / mała cienia kapłanka / że zgrzybiałymi od wody ścianami / w której od stuleci dojrzący / kamienie serca*.

Rozpoznanie innych „głosów”, różnych od głosu Poety i Judasza, przede wszystkim delimitacja ich wypowiedzi, nie jest zadaniem łatwym. W cyklu nie ma „didaktykalności” informujących nas o podmiotach poszczególnych fragmentów. Więcej, dialog z Judaszem toczy się raz w czasie wiosennego miesiąca Nisan, raz w czasie współczesnym autorowi. Czy jest to więc ten sam Judasz? Czy jest on tą samą postacią przed, jak i po swej śmierci (bo i w takiej sytuacji się pojawia)? Opisany zabieg — zniesienie dystansu czasowego między podmiotem a historią, którą staje się on uczestnikiem (resp. uosobieniem się w niej), jest wywiedziony właśnie z poetyki Ignacego Loyoli. Dlatego też powiązanie poszczególnych utworów cyklu wynika się zwykłym porządkom logicznemu (np. potęgowanie napięcia, ciąg przyczynowo-skutkowy). Co prawda, zostaje zachowana podstawowa zasada konstruowania cyklu, a więc poszczególnie jego ognia uzyskuje pełne znaczenie dopiero w powiązaniu z innymi: lektura kolejnych utworów odsłania kryte znaczenia poprzedzających, zaś wcześniejsze zapowiadają motywy, które pojawiają się w następnych.

Poszczególne fragmenty czy ognia cyklu należy traktować jako samodzielne medytacje (owe słynne ignacjankie powtórki tego samego rozmyślania), jako zapisy świadomości w bardzo różnych etapach doświadczenia wewnętrznego. Stąd wynika antrytato, powiązanie *Naszynek umiłowano*: prawda o Judaszu nie zostaje zapisana przy pomocy uporządkowanego (np. przez zasadę gradacji czy wynikania) zbioru argumentów, ale w formie luźnych — prowadzących ze sobą polemik — głosów i obrazów poetyckich.

Spróbujmy rozstrzygnąć głosy w poszczególnych utworach i określić charakter ich polifonii. Sytuacja jest najbardziej skomplikowana w rozpoczynającym cykl wierszu *Juda*. Już czytając pierwszy jego strofoid, stajemy wobec pytania „Kto mówi?” Judasz (na to wskazywałby nawet tytuł) czy Szatan: *powód przesłać te twoje przenie / rzucić ich pod wiatr / zobaczysz ile plew / ile kół / ile ziaren kłótek jak kłosa*. A więc — jak w Janowej Apokalipsie — diabeł jest tym, który oskarża ludzi wobec Boga (zob. Łk 22,31-32; Ap 12,10; por. Hi 1,9n,24n; Za 3,1). Jeżeli zaś to są słowa Judy, jest to umieszczony w tekście w bardzo mocnym miejscu znak, iż pozostał on w kręgu złu — szuka winy nie w sobie, ale w innych¹⁹. Strofoidy 2-9 są próbą samookreślenia się Judy wobec Jezusa, pokazują zarówno ich integralność, jak i całkowitą innosć (np. *Ignędo* / *ciebie / jak było do samolotu / wderzanie się ciebie jak włócznia / tanczyłem przed tobą jak obłędnie / a ty / nogi nie cofnęły / boku nie zakryły / czasu ani słowa nie skłapili / przeciwnie*). Monolog ten jest przerywany przez głos-oskarżyciela: *Juda milcz (...)* milcz. Następuje zerwanie dialogu, odmowa prawa do niego, a — jak wiemy — jest ona równoznaczna z potępieniem. Juda jednak może mówić wbrew zakazowi („Ja jednak będę mówił”), gdyż mówienie to jest wsparcie modlitwy i realizującym się w *Naszyńskim* dialogiem Judy i Jezusa. Juda więc zwraca się do „braci” i przedstawia im swoją relację o wydarzeniach Piętnastego Piątku. Zawarte są w niej bardzo istotne słowa, dotyczące Losu apostoła, np. świadomości, iż był on już zbawiony — wyrwany z ręki „Innego” — Szatana, jeszcze przed wydaniem Jezusa: *oswem*

¹² Cykl *Ignacjanki wciwczeka duchowne* (Ostał mowy. Hopsio. Zawrzytzenie ogosy. Dobry Fawer. Czwarty trzecie. Kolekiewca. Ocy Czarlowy w pędzie. Śięcie obłędnie. Konwio) jest owsem mistycznym rekolekcji, jakie odbył W. Oszajca w styczniu 1987 r. w nowicjacie Towarzystwa Jezusowego w Kaluzi.

¹³ Św. Ignacy, Loyola. *Pisma wybrane*. Komentarz. Oprac. M. Bednarski i inni. Kraków 1968. „*Wciwczeka Duchowne*”, nr 114, s. 125.

¹⁴ Tamże, nr 115, s. 125.

¹⁵ J. Tischner, *Filozofia dramatu*. Wprowadzenie. Paris 1990, s. 13.

¹⁶ Tamże, s. 18.

¹⁷ Por. J. Ziomek, *Autobiografizm jako hipoteza konceptualna* („Treny” Jana Kochanowskiego), cyt. *Biografia — geograf — kultura literacka*, pod red. J. Ziomek i J. Świątkowskiego. Warszawa 1975. Autor twierdzi, że „konceptualna koncepcja arcydzieła jest podporządkowana problemowi poety. Treny są objawem znaczącej praktyki osobowości Poety, postawionego wobec niebezpieczeństwa, jakie spotkało wosły Poety (s. 55). Podobnie cykl Oszajcy można rozpatrywać jako tekst o poecie i jego mocy. Owe autobiografizm jest tu także przebieg „hipotezy konceptualnej” — bez niego niejasne stałyby się np. związki autora z Ignacjanizmem. Stąd, podobnie jak J. Ziomek, decydują się mówić o bohaterze lirycznym. Naszynek umiłowano jako o Poecie.

¹⁸ Zob. A. Okopieński-Sławinski: *Relacje osobowe w literackiej komunikacji (w) Problemy teorii literatury*. Seria II, Wrocław 1987.

¹⁹ Por. zachowanie Adama po grzechu pierworodnym. „To łwa zerwała jaskółka, nie ja”. Pierwszym zajęciem człowieka upadłego jest zrzućcie odpowiedzialności za złe na innych.

I ten inny / sądził że ma czuwać w swojej rzece / i tak było / gdyż tak powinno było być / do czasu / na mnie wchodząc przed innym.
 Końcówce fragmenty Judy (strofoidy 25-33) są najbardziej skomplikowane. Przyjrzyjmy się dwóm pierwszym:

Judo
 zmiadziłem cię jak alabastrowy flakonik
 rozlałem jak masłę perłopławia
 i nie znalazłem czego szukałem
 ani olejku narodowego ani pereł

Judo
 Jesteś tylko przeklętym imieniem
 tak jest Azazel.

Czy te dwa strofoidy należą do jednego podmiotu? Kto je ponadto wypowiada? Możliwe są trzy odpowiedzi. (1) Mówi Szatan, a więc mamy do czynienia ze znanym z psychomachii *temptatio diaboli ad desperatio*²⁰, w czym Nieprzyjacieli może nie posługiwać nawet Biblią. (2) Mówi Jezus-Sędzia, by uświadomić Judzie jego bezwartościowość, zło; musi odmówić mu prawa do istnienia, gdyż ich spotkanie było próbą, w której Juda zawiodł. (3) Jest to głos człowieka potępiającego. Nie można go jednak utożsamiać z Poetą. Byleż może występuje on w imieniu innych „braci”, którym Juda czynił wyrzanie. Jest to ten, który wczelnie odmówił mu prawa do dialogu. Podobnie jest w wierszu *Kuczenie*. Jego podmiotem może więc być (1) Szatan, znów podejmujący *temptatio diaboli ad desperatio*. Stąd pojawia się tu — jedyny raz w cyklu — słowo „zadrda” na określenie czynu Judasza. Poeta nie używa go, zaś sam Juda neguje to określenie: *sprzedałem ci / wydałem / ale nie zdradziłem! (Spakobiercy?)*. Końcówce słowa: *ciast się / wzeźdźdli do grona walczących o rai* mają więc charakter ironiczny. (2) Jezus daje Judzie nadzieję. To kuczenie jest tylko próbą (a więc jest to słowo użyte podobnie jak w sformułowaniu: „Po tych wypadkach / kusii Bóg Abrahama...” Rdz 22.1 w przekładzie Jakuba Wujka, co nowsze tłumaczenia oddają jako „wystawił na próbę”). W tym wariancie niejasne jest jednak użycie słowa „karczmą” („popatrz jak pija w mojej karczmie!”). Możliwe, iż jest to nawiązanie do wiersza *Ostrąży kupa z tomu z głębi cienia (inc. we trzech siedzą w kępie / nad kufkami piwa / smutni apostołowie / którym zabito Ewangelię)*, stąd potwierdzałyby się trzecia, ostatnia możliwość: (3) Mówi to Poeta, odczuwający wspólnotę z Judą, widzący, iż został on skrzywdzony przez świat (*Zrobił na tobie interes / mógłbyś mogłoś światu / nawet zapłacić za krew / zdradę / wrócić do ich sakiewek*). Warto również zastanowić się, czy owa „karczma” nie jest „niszka” realizacją znanego toposu „świat jako niepewna gospoda”²¹. W wierszu Kuczenie również nie jest oczywiste, czy jest tu jeden podmiot, czy też każdy z 5 strofoidów stanowi samodzielny głos. Zauważona w obu omawianych utworach trojaka możliwość interpretacji tworzy w strukturze poetyckiej pewne napięcie. Wszystkie to interpretacje są jednakowo uprawnione, możemy się więc spodziewać, że kolejne ogniwa cyklu pozwolą nam rozwiązać ten problem (wynika to ze wspomnianych zasady konstrukcyjnej cyklu). Tak jednak się nie dzieje, pomimo coraz bardziej jednoznacznych prób ocena Judasza.

W przypadku innych utworów z cyklu *Naszyjnik umiłowano* kwestia podmiotu mówiącego nie jest już tak złożona. *Młodość* to zapis stanu świadomości Judy oraz wypowiedź Poety skierowana do apostoła, wyrażająca ich wspólnotę. Podobnym monologiem jest *Ostatnia rozmowa*. W niej najwyraźniej dokonuje się zintegrowanie czasu Judy — chwili przed jego samobójstwem — z czasem Poety. Jest on także podmiotem wierszy *Juda przyjeżdża ostatni* (skierowany do Eklezjastesa), *Spakobiercy* (zakochany sławie), jakiego Juda wypowie na Sądzie Ostatecznym), autorefleksyjnego *Świadek*, *Ofiary zastępczej* i *Mnie się nie lękaj*.

Co w takim razie począć z wszystkimi innymi głosami, poza głosem Judy i Poety? Czy należy je traktować jako samodzielne głosy-podmioty, „podsluchane”? I dopuszczane przez Poetę? Czy też — są one maskami Poety, w których tkwi jednoczesna chęć i zbawienia, i potępienia Judasza? Głosy te byłyby wówczas głosami wewnętrznymi, ponieważ to, co mają one do powiedzenia wykracza (pozytywnie bądź negatywnie) poza to, co Poeta chce i może powiedzieć „wprost”. Czy jednak taki sąd ułatwi nam odpowiedź na pytanie, kto mówi w *Naszyjniku umiłowano*? Czyli — kto zbawia Judasza? Ze umiłowaniem jest to przez sytuację dialogu, nie podlega dyskusji. Powstałe więc pytanie o charakter tego dialogu. Przede wszystkim — jest to dialog antysokratski. Zasada „przekonaj i daj się przekonać”²² jest tu zupełnie nie na miejscu. Dialog sokratski w istocie neguje przecież podmiotowość charakteru jego uczestników. Liczy się w nim „prawda”, a nie podmioty: Ja i Ty. Dialogowy cykl *Naszyjnik umiłowano* brakuje nawet bezpośrednich powiązań gramatyczno-strukturalnych między poszczególnymi kwestiami. Nie mają one charakteru pytań i odpowiedzi, nie są replikami. Pytanie jest właściwie jedno, przedstawione tylko implicit: Czy Judasz może być zbawiony? Kolejne próby odpowiedzi są rozpisanie na głosy, których najmniejszej części delimitacyjne stanowią poszczególne strofy. A jednak — jest to dialog w sensie jakiegoś tematu nadaje szeroko rozumianą filozofia dialogu (resp. dyalogu, spotkania): dialog Poety z Judaszem. To Poeta może zbawić Judę — przez spotkanie, dialog z nim, a wydarzenie to jest u samych swych podstaw ocalającą. Spotkanie (mówiąc za Emanuele Levinasem i Józefem Tischnerem) jest epifanią twarzy Drugiego. *Twarz* pisze Tischner — *mówi: „nie zabijesz”; „nie zamedużysz”*. Ale także — dodajmy — nie potępiaś mnie, nie odmówisz mi prawa do istnienia, nie staniesz się tym, który sprawi, iż będę istniał stłumionym nieuprawnionym — przeklętym. *Nakaz ów — czytamy dalej — czy może wezwanie, ma w sobie coś absolutnego. Słowo „absolutny” pochodzi od absolvere — rozwiązywać. To, co absolutne, rozwiązuje więc w tym światem, a zawiązuje je i innym, w którym ten świat ma mwe usprawiedliwienie*.²³ Tak, jak uweznienie Pilata łączy w mocy Mistra, tak uwolnienie, zbawienie Judy jest w rękach — w słowie Poety. Pisał Andrzej Drazwiec: *Małgorzata sama uwolniła Friede, jak Mistrz sam Pilata: oboje muszą się jedynie dowiedzieć o mocy, jaką posiadają, i oboje przerywają aktami swych wolnych wyborów determinizm winy i kary (...)* Rzucony ku Pilatowi okrzyk Mistrza: „Jesteś wolny” dotyka również jego samego; wszystko, co tamte i należy do ludzkiej kondycji, aż po podziwne i najbardziej definitywne sferu mity — jest otwarte i podległe ludzkiemu wyborowi.²⁴

Ocalenia dokonuje więc Poeta — on ma moc zbawić Judasza. Owa moc jest mu uświadamiana w procesie medytacji. Poeta jest przecież

²⁰ Zob. M. Władarski: *Ans moriendo w literaturze staropolskiej XV i XVI w.* Kraków 1987, s. 31-33.

²¹ Zob. S. Gressenski: *Wspiercy w niepewnej gospodzie mieszkamy. Poetyka i filozofia Piętni IV w. „Fragmenty” Jana Kochanowskiego, „Pamiętnik Literacki”, 1979, z. 1.*

²² Zob. E. Czaplewicz: *Wprowadzenie do pragmatyki teorii dialogu (w: Dialog w literaturze, pod red. E. Czaplewicza i E. Kasperkiego, Warszawa 1978, s. 28 i passim).*

²³ Zob. Tischner, op. cit., s. 35, por. s. 256.

²⁴ A. Drazwiec: *Mistrz i diabeł. O Michale Bułhakowie*, Kraków 1990, s. 307.

ANDRZEJ RYSZKIEWICZ

Obrączki od Kuleczy to szczęście w małżeństwie (kartki z nie napisanego pamiętnika)

Różne reklamowe hasła, spotykane w młodości na każdym kroku, tak mocno wryły się w pamięć, że jeszcze teraz, po pięćdziesięciu latach, nie mogę ich od siebie odegnąć. CUKIER KRZEPI, RADION SAM PIERZE, PASTA KIWIBUTOŻYWI, KAWA HAG CHRONI SERCE. A już szczególnie OBRĄCZKI OD KULECZY TO SZCZĘŚCIE W MAŁŻEŃSTWIE. Bo kiedyś, w tych bardzo rzadkich, wieczornych chwilach, kiedy się bawilem koło Taty w jego gabinecie, zapytałem, czy rodzice mieli obrączki od Kuleczy. Ojciec smutno popatrzył na mnie (to przez owo spojrzenie zapadła mi w pamięć ta scena) i odpowiadał, a pamiętam każde słowo: „Nie wiem, czy już wtedy istniał Kulecza, ale chyba tak, bo nasze małżeństwo było wprawdzie, niestety, bardzo krótkie, ale też i bardzo szczęśliwe”.

Był rok 1944 i wojna już wyraźnie zbliżała się do końca. Poznań to mogliśmy w naszym obozie (w dzielnicy przedmiejskiej Berlina Alt-Gliniec) po pewnym rozprężeniu. Już dawniej groźny szef obozu tak nie szalał, już w niedziele bramy były otwarte i odwiedzali nas ludzie z innych obozów, już — po zdjęciu obowiązkowej, żółto-fioletowej litery P (= Pole) — chłopcy wychodzili na częściowo zombardowane miasto. Zwykle pozostawałem jednak w mojej szubie (tj. izbie), trochę dlatego, że tłumaczyłem właśnie jakąś głupią książkę, szlufając mój niemiecki i próbując zachować potoczność polszczyzny, ale także i dlatego, że miewałem odwiedziny pacjentów.

Trudno to bowiem uwierzyć, ale w Berlinie zostałem „nadszaniarzem”. Stało się to za sprawą dra Rolf'a Pregelwicza, jednego z niezbyt licznych dobrych i przyzwolonych Niemców, z jakimi los mnie w tych latach zetknął, ale to cała historia i trzeba ją będzie opowiedzieć innym razem. Otóż byłem szaniarzem o prawach lekarza (miałem wszystkie pieczątki dra Pregelwicza i działałem w jego imieniu) i ogromnie lubiłem te moje obowiązki. W ogóle taką mam już dzwina, ale szczęśliwą naturę, że się przywiązuje do tego, co robię i obowiązek staje się zawsze z czasem przyjemnością. Więc lubiłem leczyć tych moich chorych, starać się dla nich o wszystko, czego potrzebowali, a co można było uzyskać, kierować ich do szpitala, popyślać na badania specjalistyczne. Urządźmiem izbę chorych, dbałem o nich, pielęgnowałem ich także w nocy, a równocześnie

czytałem niemieckie podręczniki, radziłem się mojego doktora. Pacjenci byli ludźmi najróżniejszej narodowości i wieku, bo w naszym łazni mieliśmy mężczyzn przynależnych aż do kilkunastu grup narodowych.

Te moje starania często dawały dobre rezultaty, więc w obozach, a nawet wśród Niemców, cieszyłem się pewnym niewielkim rozgłosem. Szef obozu patrzył na to zyczliwie, a już szczególnie wówczas, gdy oddałem przysługę jego owczarkowi, który wprawdzie potrafił być groźny, ale — ze złamaną nogą, bardzo cierpiący — okazał się zwierciadłem mądrym i serdecznym. W każdym razie dla mnie, jedynej osoby w obozie, która się go nie bała, a jeszcze w okolicznościach, gdy chciałem mu przynieść ulgę, z czego sobie oczywiście zdawałem sprawę.

Więc w niedzielę siedziałem w moim baraku, gdzie odszukała mnie jakaś oblachana i dosyć rozłana, więc zupełnie nieatrakcyjna, ale bardzo smutna kobieta. Był czas ciepłej jesieni, ostatniej czasu wojny. Babina nazywała się, jeśli nie przekreżam nazwiska (bo do chłopskich nie mam pamięci) p. Nalep. Opowiadała mi historię swoją i swego 14-letniego syna. Wywieziono ich oboje na roboty, ale syn próbował uciec, złapano go i zamknięto w obozie koncentracyjnym. Ona pracowała nadal i siedziała na miejscu, niedaleko syna, czekając nań bezustannie. Kiedyś zawiadomiono ją, że go może odebrać. Leżał z dużą, uporczywą gorączką, która utrzymywała się od dawna. Był bardzo wyniszczony chorobą i obozem. Na czoło miał bliznę po uderzeniu, które musiało strząsnąć kość czołową, bo pozostało nieregularne zakłócenie. Chłopak nie chciał mówić, w każdym razie nie można było z nim porozmawiać, tylko czasami wydobywał się z niego niezrozumiały bełkot.

Zrozpaczona matka uzyskla to, że w jej obozie lekarz, jakiś podobno Francuz, zbadał chłopca i odwiózł do szpitala. Stwierdzono tam grzeliżne zapalenie opon mózgowych, uznano wypadek za beznadziejny, więc nie zatrzymano go w szpitalu, a także i ten Francuz odmówił jakiegos szczególnego leczenia, bo przewidywał szybką, nieodwołalną śmierć chłopca, której jego zdaniem nie zatagać nie może.

W tym stanie rzeczy pani Nalepowa błagała mnie i zaklinała na wszystko, bym się jej synem zajął. Jeszcze tej samej niedzieli leżał już w naszej izbie chorych. Mimo święta, pod wieczór, zadzwoniłem do mojego doktora. Przyjęła żona, a głos miała jakby nabrzmiały łezami. Powiedziała, że „Pregelwicz”, jak go koledyzy nazywali, wyjechał i nie wiadomo kiedy wróci. Pewnie powołano go na front, w każdym razie już więcej o nim nie słyszałem. Po wojnie, ani w RFN, ani w NRD takiego lekarza nie było. Zostałem więc sam z moim ciężko chorującym młodym pacjentem, zdany tylko na siebie, bez możliwości skierowania go do szpitala.

Wtedy ja, młody lekarz, który nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać, ale to nigdy nie powstrzymywało mnie od działania. Pomyślałem, że będę mu dawal rzeczy środki zapisywane gruzlikom, ale cały wysiłek skierowałem na ogólne wzmocnienie organizmu, a przede wszystkim na walkę z gorączką.

I to równocześnie — lekarstwami, jak i metodami naturalnymi, takimi jak zimne kompresy, przecieranie chłodną wodą, wietrzenie itd. Byłem przy nim dzień i noc, sam przenosiłem się do tego pseudoszpitalika. Wkrótce wszyscy już wiedzieli o umierającym chłopcu, nasz kucharz, Włoch (był przed wojną szefem kuchni na jakimś transatlantyku) wybierał dla niego, a także przyrządzał specjalnie, jakies stosunkowo pożywe i lekkostrawne kaszki, z miastka chłopcę przynosiło podkradane z miejsca pracy pojedyncze jarzyny, garstki platków czy ryżu, a raz nawet dostałem ciekawość wyciśniętą tubkę skondensowanego mleka. Walka o życie młodego Nalepa stawała się właściwie sprawą i ambicją całego obozu. Nalep nie chciał początkowo nic jeść, tylko pił wodę, lub niby-herbatkę. Ale do tych stosunkowo lepszych wiktualów jakby się przekonał, wprawdzie musiałem go karmić, ale przynajmniej przestał wypływać.

To było pierwsze małe zwycięstwo. Kiedy w drugą, czy trzecią niedzielę przyszła, jak zwykle zapłakana, matka — dała sobie mówić, że jej syn ma jakby trochę życia w oczach. Powoli, zupełnie niespodziewanie, drgnęła gorączka, już czasami spadała o parę kresek poniżej przekłętą granicę 39°. Zupelnie oszalałem, już niczym i nikim innym nie chciałem się zajmować, tylko Nalepem. A on wyraźnie, po trochu, wracał do życia. Matka zalewała się co tydzień łzami, ale już ze szczęścia. Chłopak zaczął chętnie jadać te papoty jarzynowo-platkowe, które Włoch mu szykował, a ja wlewalem do ust. Gorączka ocyfowała koło 38°, chłopak podnosił głowę, ożywał się na widok matki, miał już troszkę sił (albo przynajmniej tak mi się wydawało).

Tymczasem wojska alianckie zbliżyły się do Berlina, już w styczniu-lutym 1945 r. toczyły walki na odległychszych przedmieściach. Z zaopatrzeniem było coraz gorzej, o jarzyny coraz trudniej, platki trzeba było zastąpić paskudną kaszą, zupełnie nie mogłem uzyskać innego cukru, niż te trocinki, które przynosiła matka chłopaka. Aż tu, pewnie w marcu, gdy łagodnie nadchodziła wiosna, której niedzieli matka się nie zjawiła. Kiedy to samo powtórzyło się za tydzień — zrozumiałem, że albo linia frontu odciąga ją od nas, albo też stało się coś groźniejszego. Byłem jednak pewien, że jeśli tylko żyje, to do nas przybiegnie.

Równoległe do narastania coraz większych trudności z pożywieniem i lekarstwami, jakby na przekór wszystkiemu, Nalep wracał do zdrowia. Gorączka spadała do 37° z małymi kreskami, apetyt wzrastał, sam już dawał sobie radę z zatlaniem swych potrzeb fizjologicznych, sam się trochę mył. Rozpocząłem z nim proste ćwiczenia ruchowe, żeby poruszyć mięśnie. Rozumiał proste polecenia, był więc z nim bardzo ograniczony kontakt. Nie mówił wprawdzie i mógł jeszcze tylko chwilę ledwo ustać opierając się na ramieniu, ale i tak postęp był ogromny.

W kwietniu walki przesuwały się do centrum Berlina, z obozu zniknęli funkcjonariusze niemieccy, szeroko otwarta brama chłopcę rozprzerzbił się po mieście, znosząc do obozu wszelakie dobra, nawet solone pokcie słoniny i worki maki z rozbitych magazynów wojskowych. Musiałem bardzo ostrożnie wzbogacać kuchnię Nalepa, który miał coraz większy apetyt i któremu po trochu wracały siły.

Z obozu zaczęto grupkami znikać, kierując się do domów, ale nie było jeszcze żadnej komunikacji i nie wiedzieliśmy prawie nic, co się dzieje w ojezyznach. Żadnych gazet ani radia w obozie nie było, wiadomości przynoszono z wędrówek do miasta. Zawili się też Rosjanie i zaczęli popędać wszystkich, by obóz opuszczać.

Coraz wyraźniej ryłował się problem, co zrobić z chłopakiem. Zostawię go samego absolutnie nie było można, bez w drogę do Polski nie wchodziło, oczywiście, w rachubę. Byłem w rozterze, tym więcej, że nie wiedziałem o tym chorym nic — gdzie jest matka? (Jeśli w ogóle żyje), skąd z kraju pochodzi, czy ma jakąś rodzinę? Wśród tych niepokojów, jak grom spadała na nas matka. Pani Nalep poywała się któregoś dnia objędną jedzeniem, wpadła jak bomba do izby, w której mieszkał syn — i rozszalała się tak, że żadnym sposobem nie można jej było uspokoić ani czegokolwiek się dowiedzieć.

Zostawiłem ich sam na sam, kategorycznie zabraniając karmienia go czymkolwiek. Już trochę tak się czulem, jak gdybym miał w stosunku do chłopaka jakieś prawa, bo już go trochę uważałem za swojego syna, bardzo się do niego przywiązałem. Ale w końcu matka się uspokoiła, wytłumaczyłem jej jak mi powoli, pod kontrolą termometru, stopniowo chłodzić coraz lepiej w małych porcjach karmić i jak uczyć go chodzić. Poinformowałem też, że p. Nalepowa musi być bezustannie z synem (co mogłem sobie darować), że powinna pozostać w naszym obozie, póki nie znajdzie się sposób na transport do Polski. Zęgałem się z obójgiem (wtedy powiedział, że pobecezałem się jak magazy) i uprzedzałem, że nazajutrz rano ide w drogę. Wówczas pani Nalepowa wysuwała kawałek złotego łańcuszka i mimo oporów i napominań — wzięła mi go. Powiedziała przy tym: „Niech pan z tym zrobi obrączki ślubne (ani mi wówczas w głowie powstała myśl o ślubie, też pomyśl). Będziemy się obójgi modlili, żeby pan był szczęśliwy”.

Z tym się rozstaliśmy.

W roku 1946 (tak mi się zdaje, a może był to jeszcze rok 1945?) pracowałem na Pradze, a mieszkalem w ruinach warszawskich. Szeło się mostem pontonowym, ruchomym, na łódkach, z obu stron oddzielone liniami pasy dla pieszych, ądrokiem — jedznią. Szedłem w stronę Pragi, gdy nagłe, na moście, ale z drugiej strony, zauważyłem obójgi Nalepów. Szli, matka trzymała go za rękę. Krzyknąłem, spostrzegł mnie, ona coś chłopcu tłumaczyła (czyżby ją zrozumiał?), machali rękami, pokazywaliśmy sobie jak zrobić, żeby się spotkali, ale to wszystko trwało tylko chwilę, bo nas przedchońdo nieparali, a halas był niemożliwy. Ani wtedy, ani już nigdy potem nie spotkałem tej szczęśliwej matki, tak ciężko porażonego nieuleczalną chorobą chłopca.

Niedługo potem, przechodząc Alejami Jerozolimskimi, między tym, co było niedgdy Marszałkowską, a tym co udawało ulicę Kruczą, zobaczyłem nad odgruzowanym pomieszczeniem sklepowym w jakichś wypalonych ścianach domu — trochę koślawa wy-

malowany sztyl: „Obrączki od Kuleszy to szczęście w małżeństwie”. Rozczuliłem się; wracało życie.

Panu Kuleszy zapowiedziałem, żeby mam obrączki zrobić z tego łańcuszka, po przepięciu, żeby niczego nie dodawał. Przecież solennie, a był przecież jednym z tych, na których można polegać, właścicielem poważnej pracowni. Zresztą — mam oczywisty dowód jego sumienności: już 44 lata służą nam, stale przynosząc szczęście, nasze ubożuchne, wązkie, kochane obrączki, pamiątka po obozie, pani Nalepowej, jej nieszczerpym dziecku i po godnym warszawskim rzemieślniku.

Andrzej Ryszkiewicz

PRZEWODNICZĄCY LUBELSKIEGO SEJMIKU SAMORZĄDOWEGO

SEJMICA LUBELSKA UL. SPOKOJNA 1
AL. POLSKIEGO 100, 20-001 LUBLIN
TEL. 022 25 10 00, 25 10 01, 25 10 02, 25 10 03, 25 10 04, 25 10 05, 25 10 06, 25 10 07, 25 10 08, 25 10 09, 25 10 10, 25 10 11, 25 10 12, 25 10 13, 25 10 14, 25 10 15, 25 10 16, 25 10 17, 25 10 18, 25 10 19, 25 10 20, 25 10 21, 25 10 22, 25 10 23, 25 10 24, 25 10 25, 25 10 26, 25 10 27, 25 10 28, 25 10 29, 25 10 30, 25 10 31, 25 10 32, 25 10 33, 25 10 34, 25 10 35, 25 10 36, 25 10 37, 25 10 38, 25 10 39, 25 10 40, 25 10 41, 25 10 42, 25 10 43, 25 10 44, 25 10 45, 25 10 46, 25 10 47, 25 10 48, 25 10 49, 25 10 50, 25 10 51, 25 10 52, 25 10 53, 25 10 54, 25 10 55, 25 10 56, 25 10 57, 25 10 58, 25 10 59, 25 10 60, 25 10 61, 25 10 62, 25 10 63, 25 10 64, 25 10 65, 25 10 66, 25 10 67, 25 10 68, 25 10 69, 25 10 70, 25 10 71, 25 10 72, 25 10 73, 25 10 74, 25 10 75, 25 10 76, 25 10 77, 25 10 78, 25 10 79, 25 10 80, 25 10 81, 25 10 82, 25 10 83, 25 10 84, 25 10 85, 25 10 86, 25 10 87, 25 10 88, 25 10 89, 25 10 90, 25 10 91, 25 10 92, 25 10 93, 25 10 94, 25 10 95, 25 10 96, 25 10 97, 25 10 98, 25 10 99, 25 10 100

Lublin, 1993.05.07



Stanowowy Pan
Dorota Wólczyńska
Redaktor Maciej Kwaśniewski
"AKCENT"

Kwartalnik "AKCENT" od kilkunastu lat przynosi czytelnikom w całym kraju najcenniejszą literaturę i sztukę. Publikując dzieła twórców mieszkających na Lubelszczyźnie, (w tym także doświadczeni) w kontekście interesujących problemów kultury polskiej i światowej "AKCENT" stworzył murale z naszego regionu możliwości szerokiego zainteresowania.

W numerze zeszłego Kwartalnika "AKCENT", a także w związku z ukazaniem się 50 numeru Lubelski Sejmik Samorządowy życzy dalszych sukcesów w redagowaniu pisma.

Z poważaniem

Krzysztof Wójcikowski
Hubert Wojciechowski

ELŻBIETA PODLEŚNA

Krzyżowi

głodujący na śnieżnej pustyni
parzy stopy okrążając cudze ogniska
w zimnych palcach przesuwają w skupieniu sznurę cichą
tajemnicze imiona bół

głodującemu na sytej pustyni
w sklepieniu żeber tłucze się wiotki opłatek
czarka nocy jest pusta
z podciętych żył nieba nie spływa już objawienie

głodującemu na tłocznej pustyni
chleb nam posmak gliny i ciężar kamienia
półkłe anioły o podartych skrzydłach
nie zdążył na czas
by pochwycić nad ziemią podeprzeć
i nie masz królestwa
dla którego warto by paść na kolana

głodujący na tłumnej pustyni
nawet diabła wita przyjaźniem
był postać pomrukać pod nosem
zagadał po ludzku

Magdalena

pamiętnik o niej nocą
parną zdyszana krótką

wzywa zrybnym oddechem
w podróż
traktami krwi ku zastawkom bólu
ku wilgotnym zatokom w których
drzemną głodne zwierzęta

kładzie na niej jarzmo miękkiej ręki
prowadzi na płaskowyż skóry
nasyca kołysze do snu

rano

zaylasz ją w świat bocznymi schodami
nie znasz jej imion
nie rozpoznasz w tłumie

* * *

nocą która jaśniała
bóg przyszedł pożegnać się ze mną

wypiewuj odtąd antyfony z ciszą
responsoria bez odpowiedzi
polifonie na głos opuszczony

stawiaj już beze mnie
zamki z wieżami do pustego nieba
mosty na jednym brzegu
znak zapytania zanim zaczniesz zdanie

nocą która nastala
bóg niktący kołysał mnie długo
jakbym to ja była umierająca

Pokusa

zgodi się na ciemność
przecież to akasmit
i kłęk wnelny
do twarzy ulegle

zgodi się na ciemność
przecież cisza jej gry
nie ma równie pośród
klarnetów wiośli gwizdu wodnych ptaków

zgodi się na ciemność
przecież czerń jej ramion
objęnie mocniej
niż tamte ramiona

zgodi się na ciemność nawet
jeśli już po słońcu
po smudze jasnej
po ostatnich gwiazdach

* * *

nagle

dotykiem ręki
stwarza się świat

pulsując słonych źródeł w skroniach
rwący nurt oddechu
ciepły deszcz na piasek skóry

w za wąskich tętnicach

biją skrzydłami ptaki
z ciemnego grot wymykają się
płowe zwierzęta głosu

nagle

gasi się świat
cofnięciem ryki

Elżbieta Podleśna

Książki nadesłane

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział w Poznaniu

Informator o pracownikach i twórcach literatury w Stowarzyszeniu Pisarzy
Polskich. Opracował i wstępem poprzedził Sergiusz Siemka-Wachowiak. Sk. 120,
nakład 1000 egz. Seria: Biblioteka Kroniki Wielkopolski.

Else Lasker-Schüler: *Balloady hebrajskie i inne wiersze*. Wybór, wstęp i interpretacja
Eugeniusz Wachowiak. Sk. 86, nakład 1000 egz.

Else Lasker-Schüler: *Poczęcie Lyrki*. Wybór i przekład Eugeniusz Wachowiak. Wstęp
Stefan H. Krauszewski. Sk. 204. Teksty w języku polskim i niemieckim.

Między pustymi liniami. Wybór i układ wierszy: autorzy. Sk. 112, nakład 1000 egz.

Ewa Napiór: *Ziemia ukradzioną Bogu. Wiersze*. Sk. 64, nakład 500 egz.

Stanisław Neumert: *Koń śpiwca rozczyłszy grzywą*. Pracownia Literacka, Pł. Sk. 38,
nakład 500 egz.

Andrzej Ogrodowczyk: *Jabłuszko ziemi*. Sk. 45, nakład 500 egz.

Aleksander Rogalski: *Przygoda z modnością*. W języku Tomasz Manna. Wpew-
nienia. Sk. 59, nakład 600 egz.

Stosunki polsko-żydowskie w historycznych powieściach Isaaca Bashevisa Singera

Kałądy, kto rozpatrzyłby stosunki między Żydami i Polakami w powieściach Bashevisa Singera opisujących losy żydowski w Europie Wschodniej przed holocaustem, dojdzie prawdopodobnie do kilku zaskakujących wniosków. Postaciami występującymi w większości tych utworów są niemal wyłącznie Żydzi ukazani we własnym środowisku. Postacie nieżydowskie mają, generalnie rzecz biorąc, znaczenie marginalne — ich działania nie wychodzą poza granice stereotypowych kontaktów z zamkniętym, żydowskim światem.

Powyższa charakterystyka twórczości Singera¹ nie dotyczy jego powieści historycznych — z wyjątkiem jednej, prezentującej dokładnie przeciwną tendencję. Powieści te przekraczają zamkniętą sferę żydowską, obejmując środowiska nieżydowskie i dotycząc często nietypowych kontaktów wzajemnych Żydów i Polaków. Spotykamy w nich ponadto przykłady przechodzenia z jednej społeczności do drugiej, z judaizmu na chrześcijaństwo i odwrotnie², opisane z intensywnością nie spotykaną we wcześniejszej literaturze żydowskiej³.

Pod tymi względami, historyczne powieści Singera odbiegają z pewnością od jego pozostałych utworów i potwierdzają celowy zamiar pisarza, który chce stworzyć szereg zdarzeń dla postaci i kontaktów pomijanych w innych utworach lub traktowanych tam jedynie w sposób incydentalny.

Singer napisał ponad trzydzieści powieści, łącznie z tymi, które nie zostały przetłumaczone na język angielski lub które nie ukazały się w formie książkowej w żadnym języku⁴. Dzielił się one na dwie

kategorie. Jedną obejmują utwory, w których świat przedstawiony osadzony jest w nieodległej przeszłości, częściowo bądź całkowicie korespondujący z biografią Singera. Tak więc na przykład, akcja *Rodziny Muskatów* rozpoczyna się w pozostającej pod rosyjską władzą w Warszawie, przed lub około 1904 — roku urodzin Singera. Ale fabuła tej powieści dotyczy głównie Warszawy międzywojennej; okresu, który w znacznym stopniu pokrywa się z biograficznym doświadczeniem autora⁵. Można nawet zarzyknąć twierdzenie, że czynnik autobiograficzny wyraźnie zdominował szereg powieści tej kategorii⁶.

I właśnie to stanowi zasadniczą różnicę pomiędzy omówionym rodzajem powieści a dziełami historycznymi Singera. W tych ostatnich, opisywany świat sytuowany jest wyłącznie w odległej przeszłości, poprzedzającej żywcem doświadczenia autora. Na razie, anglojęzyczni czytelnicy Singera mogą zapoznać się tylko z następującymi powieściami (w kolejności publikacji ich angielskich tłumaczeń w formie książkowej): *Satan in Goray* (*Sztan w Goraju*, 1955), *The Slave* (*Niewolnik*, 1960), *The Manor* (*Dwór i Spuścizna*, 1967-1968; w jidysz tylko w „Forverts”, 1953-1955) *The King of the Fields* (*Król Pola*, 1988; w jidysz tylko w „Forverts” 1980). Stali czytelnicy dziennika „Forverts” znają ponadto trzy powieści historyczne, które były publikowane w odcinkach (Singer publikował w „Forverts” regularnie od 1935): *Grzeszny Mejasz* (1935-1936), *Marzeciel* (1970-1971), *Osiem dni Pesach* (1985-1986).

W swych siedmiu powieściach historycznych pisarz ogranicza się tylko do ziem polskich i ich tysiącletnich dziejów, choć okres doświadczeń jest jedynie w wyselekcjonowanych odcinkach czasu. Z punktu widzenia porządku chronologicznego, który nie pokrywa się z kolejnością powstawania utworów, Singer zaczyna od wieku X, kiedy do Polski zaczęło przenikać chrześcijaństwo. Jest to tem powieści historycznej *Król Pola*, która została opublikowana w odcinkach w 1960 roku, a powstała prawdopodobnie niewiele wcześniej. Z X wieku Singer przenosi się do XVII, poświęcając mu trzy powieści: *Niewolnik*, który traktuje o latach bezpośrednio po rzezi Chmielnickiego i sięga czasów sabatyzmu; *Sztana w Goraju*, który dotyczy nieco późniejszego okresu — sabatyzmowi po konwergencji Sabataja Cwi — oraz nieukończoną, ostatnią powieść historyczną *Osiem dni Pesach*. Wiekiowi XVIII poświęca jest powieść *Grzeszny Mejasz*, która opisuje dzieje Jakuba Franka i jego zwolników w czasach przed i po konwergencji. Wydarzenia w *Marzecielu* obejmują dużą część wieku XIX do roku 1860, podczas gdy we *Dworze i Spuściznie* zamykają się one w okresie od powstania 1863 roku do końca wieku.

Jeśli pominiemy powieść *Sztana w Goraju*, która została napisana i opublikowana w czasie, gdy pisarz przebywał jeszcze w Polsce, i które postacie poruszają się wyłącznie w środowisku żydowskim, sześć pozostałych powieści historycznych napisal Singer już po swym wyjeździe do USA. We wszystkich tych utworach zaprezentowane zostały szeroko postacie nie-Żydów oraz ich społeczności, łącznie z ukazaniem relacji istniejących między Żydami a Polakami. Dalsze nasze rozważania dotyczyć będą korpusu historycznego ze szczególnym uwzględnieniem tych powieści, których nie ma żadnych anglojęzycznych i które nie ukazały się w formie książkowej nawet w jidysz. Tak obszerny temat trudno ująć w granicach jednego

¹ Dla zorientowania się w eszkalizacji pisarstwa Singera w języku jidysz i w tłumaczeniach na angielski zob. Chone Shmeruk, *Historia literatury żydowskiej*, zarys. Wrocław — Kraków, 1992, s. 96-103.

² Takie „przejścia” z judaizmu na chrześcijaństwo omawiane są w szczególności w powieści (w języku jidysz) M. Burzyna *Goyl* (*Względnie*). Zob. mój artykuł wspomniany w przyp. 3.

³ O wcześniejszych utworach w jidysz w tym względzie: C. Shmeruk, *Jews and Poles in Yiddish Literature in Poland Between the Two World Wars*, „Polin”, 1 (1986), s.176-195; C. Shmeruk, *Responses to Antisemitism in Poland 1912-1936. A Case Study of the Novels of Michel Burzyna*, *Living with Antisemitism: Modern Jewish Responses*, red. Jehuda Reinharz, University of New England, Hanover and London, 1987, s.275-295.

⁴ Zob. opracowanie wspomniane w przyp. 1. Jego ostatnią powieść *Der zed* (*Tajemnica*), publikowana była w odcinkach w tygodniku „Forverts” w latach 1986-1987. Pierwszy odcinek ukazał się 1 sierpnia 1987. Należy podkreślić, że korpus dzieł Singera tłumaczonych na język angielski obejmuje tylko część jego leżących publikacji w języku jidysz, które ukazywały się głównie w dzienniku (obecnie w tygodniku) „Forverts” i różnych literackich periodykach w jidysz. Sąd wynikać oczywiście ograniczenia anglojęzycznej krytyki jego dzieł, która jest oparta zwykle tylko na angielskich tłumaczeniach. Podkreślenie że zasadniczą wadę owej krytyki (która raziż zob. mój wstęp w języku angielskim w: I. Bashevis Singer, *The Mirror and Other Stories* (jidysz), The Margalit, The Hebrew University, Jerusalem, 1975, s.V-XXCV) i mojej recenzji publikacji D. Millera, *Bibliography of Isaac Bashevis Singer, 1924-1949* „Judaica Librarianship” (1984), N. 2, s.64-66 oraz wstępu do zbioru *Recovering the Canon. Essays on Isaac Bashevis Singer*, red. D. Miller, E.J. Brill, Leiden 1986, s. IX-XXI.

⁵ Na temat tej powieści zob. artykuły Susan S. Slotnick i Hany Wirtz-Nesher w zbiorze *Recovering*, op.cit. s. 24-49.

⁶ Na temat autobiograficznego korpusu I.B. Singera zob. C. Shmeruk, *Bashevis Singer — In Search of His Autobiography*, „The Jewish Quarterly”, Vol. 29 (1981/82), N. 4 (1983), s. 28-36.

artykułu, niemniej jednak spróbuję wskazać niektóre z głównych motywów literackich obecnych w obrazach stosunków polsk-żydowskich, ze szczególnym podkreśleniem jednego z nich: motywu zachowań ekstremalnych, który powraca ciągle we wszystkich omawianych tu powieściach.

Podobnie jak literatura w języku hebrajskim i jidysz, Singer często i swobodnie wykorzystuje zakorzenie i szeroko rozpowszechnione stereotypy dotyczące wzajemnego odnośnienia się do siebie Żydów i Polaków¹². Ich wyrażeniemi są niekiedy postacie portretowane jako osoby ulegające popularnym w ich kręgach opiniom. Nie widzą one konieczności sprawdzenia czy słowne cechy składające się na owe stereotypy rzeczywiście występują u jednostek i grup przestrzeganych jako całość. Nawet anonimowy wszechwładny narrator Singera oburzca niekiedy Polaków (jako zbiorowość) bólem stereotypów. Ową specję singerowskiego narratora anonimowego wymaga jeszcze zbadać. Ostatecznie jednak Singer nie różni się w tym względzie od swych poprzedników, którzy często korzystali z podobnych schematów¹³.

Istotniejsza w twórczości Singera jest jednak paralela strukturalna, jaka explicit lub implicit zestawia ze sobą i kontrastuje żydowskie i polskie postacie oraz grupy społeczne. Zarówno Żydzi jak i Polacy mają w tym przypadku możliwość wyrażania swoich opinii w sposób bezpośredni i otwarty; niemniej jednak większość zdarzeń i postaci w obrębie struktury paralelnej prezentowana jest w izolacji. Pomiędzy tymi dwoma głównymi światami nie ma istotnych kontaktów; środowiska te pozostają zamknięte, obce, a niekiedy – w sposób jawny – wrogie.

Choćby taka struktura literacka jest odbiciem powszechnie znanej rzeczywistości historycznej, bowiem niemal do czasów współczesnych Żydzi w Polsce stanowili odrębny świat, do dla pełnej konstruowanej powieści stwarza ona jedynie ograniczone możliwości i może wydawać się raczej nienaturalną. W swę istocie nie jest twórczym konceptem. Wydaje się prawdopodobnym, iż właśnie to przewidywanie skłoniło Singera do rozwinęcia i szerokiego upoświecenia motywu przechodzenia z jednego środowiska na drugiego – w obu kierunkach. Przed odczytaniem przez Polskę niepodległości przejście takie wiązało się z nieuniknionym chrztem dla Żyda, dla Polaka zaś z konwersją. Dopiero po tw. emancypacji Żydów możliwe było określanie swę tożsamości jedynie w kategoriach narodowych i politycznych, co stało się alternatywą dla tych Żydów, którzy oświecili przejść na stronę polską nie przyjmując przy tym chrześcijaństwa.¹⁴ Motyw tego typu stwarza wiele różnych okazji do otwartej prezentacji bezpośrednich i niejako „prawdziwych” stosunków między Polakami i Żydami. Daje jednocześnie możliwość określenia istoty tych stosunków, zniekształconej zazwyczaj przez stereotypy.

Wspomnieć należy, iż przedstawione tu trzy tryby postępowania: uciekanie się do stereotypów, użycie struktury paralelnej oraz motyw

przechodzenia do innej wiary – nie muszą pojawiać się w jakiegokolwiek omawianych tu powieści w czystej i wyizolowanej formie. W rzeczywistości sytuacja przedstawia się odwrotnie: w historycznych powieściach Singera odnajdujemy wiele interesujących kombinacji wszystkich trzech trybów, chociaż nie zawsze eksponowanych z jednakową intensywnością.

Zagadnienie to zilustrujemy na przykładzie powieści napisanych w Ameryce. Tym razem zachowamy kolejność publikacji, a nie porządek historyczny sądząc, że pomoże to rozpoznać pewne ewolucje w stosowaniu owych trzech trybów postępowania w dziełach Singera.

W roku 1935 pisarz opisał Polskę i przybył do Nowego Jorku. Pierwsza powieść, jaka krótko potem ukazała się w odcinkach w wydawanym w języku jidysz dzienniku „Forverts”, był *Grzeszny Mesjasz*. Tytuł określa ów utwór jako powieść „historyczną”. Zarazem była to pierwsza powieść Singera, która wprowadzała polskie postacie oraz opisywała szczegółowo wzajemne relacje i kontakty Polaków i Żydów. Postacie i relacje tworzą zasadniczy zrab fabuły tej powieści, jako że dotyczy ona osoby Jakuba Franka i ruchu, któremu dał on początek. Większość „gotowych” postaci reprezentująca obie strony, wraz ze specyfiką łączących je kontaktów, autor zaczerpnął z opracowań historycznych, jakie zgłębił pisząc swę powieść¹⁵. Singer w pełni zdaje sobie sprawę ze znaczenia tego okresu dla historii Żydów w Polsce. Wyrażił to jasno i dobitnie, mówiąc: *Wydało się, że mur, który przez dwa tysiące lat dzielił Żydów i nie-Żydów, lada chwila runie!*¹⁶. W swę powieści nie rozważa tej kwestii. Uwagę jego zajmuje Frank oraz otaczający go ludźle, ich poglądy, droga, która doprowadza ich do konwersji i późniejsze wydarzenia. Mimo wszystko nie ulega wątpliwości, że najbardziej interesują Singera frankistowskie poglądy na temat seksu oraz ich praktyczne konsekwencje.

W opinii samego Singera nie jest to jego najlepsza powieść, nazwał ją nawet literacką pomyłką¹⁷. W *Grzeszonym Mesjaszu* nie odnajdujemy takich jakichkolwiek rozwiązań historycznych czy literackich. Niemniej jednak jest to pierwszy utwór Singera, w którym korzysta on z możliwości prezentowania stosunków panujących między Żydami i Polakami, co w późniejszych powieściach zostaje zastosowane na szerszą skalę. Po raz pierwszy widzimy tu Żydów opuszczających swę środowisko, próbujących, odnaleźć drogę do społeczności polskiej i ważne w niej miejsce. Niemal pewnym jest, iż owa możliwość przejścia z jednej społeczności do drugiej – na co przykładów dostarczała Singerowi historia – stała się od czasu powstania *Grzesznego Mesjasza* schematem powielanym w jego późniejszych powieściach historycznych. Zanalizowane stanowiąca, jakie Singer prezentuje wobec poruszanych kwestii, wymaga starannego zbadania olbrzymiej ilości materiałów źródłowych, których dostarczyli pisarzowi publikacje historyczne. Mimo to chciałbym wskazać na wyraźnie dostrzegany w tej powieści paradoks. Jak powszechnie wiadomo, posądzano frankistów o nieszczerść w przyjmowaniu chrześcijaństwa i zarazem o knowanie wrogich działań, o zamykanie się w obrębie własnej grupy i podboju wyłącznie współzawalców. Na przekór faktom (znany każdemu historykowi!)¹⁸, które posłużyły za podstawę tej powieści, opinie

¹² Pisarz zacytował A. Kraushar, Frank i frankist policy, 1726-1816, Kraków 1905; M. Balaban, *Lesider hatemaah hafranki* i tony, Tel Aviv 1934-1935, który ukazał się na krótko zanim zaczął pisać swoją powieść.

¹³ „Forverts”, 4 grudnia 1935.

¹⁴ I. Warszawski (= I.B. Singer) *Pan der alter on a major theme*, „Forverts” 27 listopada 1964 r. Jest to jedna spośród autobiograficznych relacji I.B. Singera nie publikowana nigdy w wydaniu książkowym.

¹⁵ Zob. np. Stefan Kieriewski, *Polish Society and the Jewish Problem in the Nineteenth Century*, s.72, w ośrodkach zbiorze wspomnień w przyp. 9.

¹ Zob. prace wspomniane w przyp. 3, s.81 prace Magdaleny Opalskiej, *The Jewish Tarsan-Keeper and His Tarsan in the Nineteenth Century*, Polish Literature, Jerusalem 1986 (Prace Ośrodka Badań Historii i Kultury Żydów Polskich).

² I. Bartal, *The Poles and the Arevah: Polish – Jewish Relations as Portrayed in Modern Jewish Literature, 1880-1914*, „The Polish Review”, Vol. 32, N°4, s.357-369.

³ Julius Goldberg, *Żydzi i konwersji w „Złotym wieku”*, Warszawa, 1936, s.14-15, 24-25, 30-31, 34-35, 38-39, 42-43, 46-47, 50-51, 54-55, 58-59, 62-63, 66-67, 69-70, 73-74, 77-78, 81-82, 85-86, 89-90, 93-94, 97-98, 101-102, 105-106, 109-110, 113-114, 117-118, 121-122, 125-126, 129-130, 133-134, 137-138, 141-142, 145-146, 149-150, 153-154, 157-158, 161-162, 165-166, 169-170, 173-174, 177-178, 181-182, 185-186, 189-190, 193-194, 197-198, 201-202, 205-206, 209-210, 213-214, 217-218, 221-222, 225-226, 229-230, 233-234, 237-238, 241-242, 245-246, 249-250, 253-254, 257-258, 261-262, 265-266, 269-270, 273-274, 277-278, 281-282, 285-286, 289-290, 293-294, 297-298, 301-302, 305-306, 309-310, 313-314, 317-318, 321-322, 325-326, 329-330, 333-334, 337-338, 341-342, 345-346, 349-350, 353-354, 357-358, 361-362, 365-366, 369-370, 373-374, 377-378, 381-382, 385-386, 389-390, 393-394, 397-398, 401-402, 405-406, 409-410, 413-414, 417-418, 421-422, 425-426, 429-430, 433-434, 437-438, 441-442, 445-446, 449-450, 453-454, 457-458, 461-462, 465-466, 469-470, 473-474, 477-478, 481-482, 485-486, 489-490, 493-494, 497-498, 501-502, 505-506, 509-510, 513-514, 517-518, 521-522, 525-526, 529-530, 533-534, 537-538, 541-542, 545-546, 549-550, 553-554, 557-558, 561-562, 565-566, 569-570, 573-574, 577-578, 581-582, 585-586, 589-590, 593-594, 597-598, 601-602, 605-606, 609-610, 613-614, 617-618, 621-622, 625-626, 629-630, 633-634, 637-638, 641-642, 645-646, 649-650, 653-654, 657-658, 661-662, 665-666, 669-670, 673-674, 677-678, 681-682, 685-686, 689-690, 693-694, 697-698, 701-702, 705-706, 709-710, 713-714, 717-718, 721-722, 725-726, 729-730, 733-734, 737-738, 741-742, 745-746, 749-750, 753-754, 757-758, 761-762, 765-766, 769-770, 773-774, 777-778, 781-782, 785-786, 789-790, 793-794, 797-798, 801-802, 805-806, 809-810, 813-814, 817-818, 821-822, 825-826, 829-830, 833-834, 837-838, 841-842, 845-846, 849-850, 853-854, 857-858, 861-862, 865-866, 869-870, 873-874, 877-878, 881-882, 885-886, 889-890, 893-894, 897-898, 901-902, 905-906, 909-910, 913-914, 917-918, 921-922, 925-926, 929-930, 933-934, 937-938, 941-942, 945-946, 949-950, 953-954, 957-958, 961-962, 965-966, 969-970, 973-974, 977-978, 981-982, 985-986, 989-990, 993-994, 997-1000.

⁴ Niemniej jednak dyskusje między zasygnalizowanymi Żydami polskimi w okresie międzywojennym na temat konwersji były dość ciche. Ukazywały się w publikacjach „Złotocenne”, szczególnie w tygodniku „Złotocenne” (1931-1933).

takie zbliżają się do stereotypowego odrzucania konwertytów. Interesując jest, że Singer, który w tytule nie uznawał prawdziwości zarzutów stawianych frankistom, w swej powieści zajmuje zgoła odmiennie stanowisko. Przyjmuje bowiem pogląd, że chrzest zostal narzucano frankistom, że poddawali się oni zdaniami kiej wbrew własnej woli i, oczywiście, bez entuzjazmu. W swej nowej powieści konwertytami byli jakoby obcy, stąd, jak to określa Singer, „konwertytami było smutno pomiędzy gojami”.¹³ Opisuje on szczególnie rodzinę pewnego frankisty, który podziubił Polkę. Nie jest to szczególnie małżeństwo i przysparza bytemu Żydowi wielu cierpień. Inny frankista, lecz na łoku śmierci, odpycha krzyż i prosi, by go pochowano w talemie.¹⁴

Ewidenty, według Singera, jest fakt, iż frankiści, a przynajmniej ich pierwsze pokolenie, nie mieli szans na kulturalną integrację ze społecznością polską, zaś powodem tego była utrwalona wcześniej fobia wobec konwertytów. Singer daje coraz częściej przykłady tęsknoty frankistów do kultury, którą opuszcili. Uczerni frankiści, którzy posługiwali się Talmudem, by zbijać argumenty polemizujących Żydów, teraz, w nowych warunkach, zaprzęgni znow nad nim przesadycając, jak za dawnych czasów.¹⁵

Należy wątpić, czy Singer znalazł w swych źródłach tego typu aluzje. Jak już powiedzieliśmy, sprawa wymaga szczegółowych badań. Jeśli natomiast opisy te nie są oparte na świadectwach historycznych, to trudno orzec, czy stanowią one rezultat wnikliwego wglądu psychologicznego, czy też potoczego mniemania żydowskiego zakładającego, że odstępa odczuje na koniec łaz i zaprzęgni powrócić do dawnej społeczności i do swych korzeni.¹⁶ Zajmiemy się tą kwestią później.

Porzucenie na długi czas powieści historycznych spowodowane zostało prawdopodobnie przeciwdziałaniem Singera, iż *Grzeszny Mezasz* był utworem nieudanym. Następnie prób zmierzania się z tym rodzajem powieści podjął prawie dwadzieścia lat później we *Dworze* (w wersji polskiej i angielskiej dwa tomy: *Dwór i Świątynia*). Strukturalna zasada paralelizmu została zastosowana w tej powieści w całej rozciągłości. Na przestrzeni całego dzieła, w paralelną zależność, prezentowane są dzieje dwóch rodzin: polskiego hrabiego Jampolskiego i Żyda, Kalmana Jakobięgo. W swej znakomitej większości książka zbudowana jest z rozdziałów funkcjonujących jako odrębne jednostki, w których losy jednej rodziny omawiane są niemal bez nawiązywania do drugiej, paralelnie. Można więc nasuwać czytelnikowi pytanie, czy te odrębne wątki, które w zakresie stosunków polsko-żydowskich wydają się być dość wiernym odzwierciedleniem historycznej rzeczywistości, nie mogłyby zostać rozdzielone na dwie powieści: „polską” i „żydowską”. Taki podział nie stwarzałby większych trudności, pomimo tradycyjnych zależności ekonomicznych istniejących pomiędzy polskim ziemiannym i owym Żydem oraz pomimo konwencji orki Jakobięgo i jej słuuba z Lucjanem, synem Jampolskiego. Obecność dwóch różnych rodzin, a zatem i równoległe bieżących linii wątków, wyraźnie ekspozuje omawianą na zasadę strukturalną.

Poza tym układem, w powieści istnieją partie „niezależne”, które prezentują konwertytów nie spowinowawczonych z Jakobim: bankiera Wallenberg i Olę, wdowę po rosyjskim doktore. Są to także Żydzi dyktansujący się — bez poddawania się konwersji — wobec swego

środowiska rodzinnego i przyjmujący sposób życia właściwy społeczności polskich gojów, np. Arziel Babad i jego siostra. Losy tych postaci, żyjących na marginesie swej rodzinnej społeczności, nie zaś w społeczności ku której ciążą, raz jeszcze dowodzą siły paralelnej struktury dzieła, jakkolwiek w tej powieści nie wydaje się ona być naturalną. Wszystkich konwertytów przedstawiono jako społecznie nieintegrowanych z Polakami. Miriam Liba aż do swej własnej śmierci nie zostaje zaakceptowana przez rodzinę Jampolskich. Odrzuca ona przez własną rodzinę i — jak się okazuje — własną rodzinę nową, żyjąc w przeraźliwej samotności. Z drugiej zaś strony, Wallenberg i Olga ukazani zostali głównie przez pryzmat ich stosunków z Żydami i konwertytami. Czy zatem zamiarem Singera było przedstawienie różnego natężenia alienacji w pierwszym pokoleniu konwertytów? Bez względu na to, jaki powód skłonił go do przyznania im marginalnego miejsca w fabule, *Dwór* jest powieścią, która koncentruje się na zasadzie paralelizmu wprowadza ów motyw przechodzenia z jednej wiary do drugiej, jaki widzieliśmy już w *Grzeszonym Mezaszu*. Należy tu jednak wskazać nową postać, sportretowaną u osobie bankiera Wallenberga, konwertyty, który utrzymuje ścisłe kontakty z Żydami, mimo deklarowanej przez siebie idei całkowitej asymilacji z Polakami. Wallenberg¹⁷ nie wypiera się żydowskiej przeszłości i podejmuje konkretne działania dla dobra swych byłych braci, którzy zachowali wiarę. Arziel, jego siostra i syn, jakkolwiek nie będący konwertytami, pozornie tylko ułomnili się z wzięw swego pochodzenia. Również oni nie potrafią odnaleźć własnej drogi i ułożyli sobie życia poza społecznością żydowską. Arziel i jego syn kończą poszukiwania swej tożsamości w Palestynie. Jest to dobitnym i jednocześnie symbolicznym wyrazem ich dezorientacji.

Generalnie rzecz biorąc, konstrukcję *Dworu* wyznacza wspomniana zasada paralelizmu, natomiast *Niewolnik*, kolejna historyczna powieść Singera, koncentruje się na motywie przechodzenia na judaizm. W centrum uwagi narratorka poostają dwie izolowane postaci: Żyd Jakub i Polka Wanda-Sara. Część pierwsza — Jakuba zmuszonego przemocą do opuszczenia swego religijnego i narodowego środowiska, część druga — Wandę-Sarę, która — ogarnięta namigną miłością do Jakuba — dobrowolnie opuszcza swoją społeczność i staje się Żydówką. Pierwsza część powieści prezentuje te dwie postaci obok siebie z uwzględnieniem wszystkich istniejących pomiędzy nimi różnic, w izolacji od ich rodzin i ich środowisk. W części drugiej Singer umieszcza konwertytkę Sarę jedynie na pozór wewnątrz żydowskiej społeczności — takiej jak, według autorki, wyglądała ona w wieku XVII.

Pomimo wszystkich istotnych różnic, trudno się tu powstrzymać od porównań z sytuacją frankistów żyjących po konwersji wśród Polaków. Wanda nie może zintegrować się w sposób naturalny ze społecznością żydowską. Jako że konwersje na judaizm były prawie zabronione, mogłaby spróbować niebezpiecznie na siebie sama, męża i Żydów w ogóle. W tej sytuacji Singer doszedł do wniosku, że najlepiej będzie udawać Wandzie niemiec. Takie rozwiązanie ogranicza jej kontakty ze społecznością żydowską i eliminuje kwestię

¹³ „Forwerts”, 5 lutego 1936 r.

¹⁴ „Forwerts”, 22 stycznia 1936 r.

¹⁵ „Forwerts”, 18 lutego 1936 r.

¹⁶ Przypuszczam tego typu wyraził w sposób bardzo dobitny G. Kanowicz w powieści *Naz rubinami* (Moskwa 1985).

¹⁷ Nawiązko Wallenberg wywołuje asocjacje dwiema z nawiązkiem Hipolita Wodberg, mianowicie warszawskiego filantropa i zaliczającego do siebie Wodbergów w Warszawie, który nie był jednak konwertytą. Wallenberg w powieści jest postacią zbudowaną z kilku historycznych prototypów spośród warszawskich filantropów pochodzenia żydowskiego. Między innymi należy do nich i oskarżony o „Bilec” — być konwertytą był bardzo czynnym wiewid Żydom i sam sfundował w latach 1905-1910 XIX wieku ekspedycję naukową dla badania stanu ludności żydowskiej. O nim R. Koldczyński, *Jan Słoch (1835-1902). Szkic do portretu „Arła polskiego kół”*. Warszawa, PTN 1983.

akceptacji przelotki bądź jej odrzucenie w obrębie żydowskiego społeczeństwa. Zaważamy, iż powieść ta przedstawia kilka epizodycznych postaci żydowskich kobiet, które podczas rzezi Chmielnickich zostały zmuszone do zmiany wiary. Bez względu na to, jak daleko odeszły od judaizmu, wracają one do swoich wykorzystując pierwszą nadarzającą się okazję, co Singer uważa za rzecz oczywistą. Podobnie, w kulminacyjnym momencie ciężkiego porodu Wandy-Sary, ujawnia się jej konflikt tożsamości z siłą, której nie jest w stanie pokonać. Powieść oddaje to za pomocą bardzo ekspresyjnego obrazu, w którym uważana za niemą kobieta, umiera w agonii i jęczy i woła o pomoc na przemian po polsku, swym ojczystym języku, i w jidysz.

Ukazaliśmy tutaj drugą stronę problemu dotyczącego frankistów-konwertytów i doświadczenie przez ich pierwsze pokolenie trudności adaptacyjne. W istocie, głębokie ubolewanie i powszechne zakorzenienie nawiązy obecnie były po obu stronach i nie mogło zmienić tego w sposób znaczący.

Wszelkie możliwe wersje motywu przejścia na inną wiarę prezentuje *Marzyciel* — najbardziej pouczająca powieść Singera, która ukazała się tylko w odcinkach w „Forwerts” w latach 1970-1971. Zasluguje ona na szczególne omówienie, mimo że nie jest szeroko znana. Jest to powieść z kilku powodów niezwykła. Występuje w formie pamiętników, które — zgodnie z deklaracją ich pierwszoo- sobowego, fikcyjnego autora — pierwotnie zostały spisane po polsku. Tekst w jidysz jest przedstawiony zatem jako tłumaczenie z języka polskiego.²⁰ Te niezwykła, unikalna nawet w twórczości Singera sytuacja lingwistyczna ujawniają liczne zmiany w tekście powieści.

Tuvia Jerachmiejel Alter Ben Zion Cohen, autor pamiętników, mający w trakcie ich pisania 74 lata, urodził się w roku 1812 w żydowskim Lublinie, w tradycyjnej, bardzo pobożnej rodzinie. Swoją pamiętnik napisał jako katolik — Adam Stanisław Kordecki. W miedzyczasie był protestantem konwertytą — Peterem Morrissonem I — jako Boruch Lewin — praktykującym Żydem. Za czasów swej młodości w Lublinie zaprzyjaźnił się z rodziną z sąsiedztwem: ojcem i córką, Jenit, kryptofrankistami, którzy nie przeszli na chrześcijaństwo. Tuvia wyruszył do Warszawy z listem od głowy rodziny polecającym go przywódcy frankistów, konwertycie. Zanim jednak doszło do spotkania i z warszawskim frankistą, Tuvia poznał protestanckiego misjonarza, który nawrócił go na chrześcijaństwo. Stał się teraz Peterem Morrissonem i poślubił córkę misjonarza. Po krótkim czasie zniechęcając swą nową rodzinę i z otrzymanym w Lublinie listem polecającym zwrócić się do Mieczysława Majewskiego, jednego z czołowych frankistów w Warszawie.

Zgodnie z narracją, spotkanie miało miejsce na początku roku 1830, na krótko przed powstaniem. Majewski to zagorzały polski patriota jednocześnie werny członek seki. Jest krewnym polskiego wieszczki narodowego, Adama Mickiewicza,²¹ ponadto — jako wnuk Elizy Szora i Lejba Krysa, dwóch historycznych postaci, bliskich Jakubowi Frankowi jeszcze przed konwersją — Majewski szczyty się swym żydowsko-frankistowskim rodowodem. Zainspirowany prze-

zeń autor pamiętnika przyłącza się do pozostałych członków warszawskiej seki. Aby polubić bogatą katoliczkę, wdowę Teresę Kordecką, zostaje on — bynajmniej nie ze względów materialnych — katolikiem i przynajmniej nawiąkuje jako własne. Tak więc większa część powieści, będącej eksplikacyjnym wyznaniem Tuiw-Petera-Stanisława, wypełnia opis jego związków utrzymywanych jednocześnie z wieloma frankistami, bądź z kobietami zupełnie nie związanymi z sekta.

Singer w swobodny sposób uzupełnia swą płodną wyobraźnię njęsane z historycznego punktu widzenia dowody ciągłości istnienia tej seki i więzi łączących warszawskich frankistów po śmierci Jakuba Franka (1791) oraz jego córki Ewy (1816), aż do lat osiemdziesiątych XIX wieku. Pamiętników nie nieprzypadkowo prezentowany jest jako spisany w latach osiemdziesiątych, wtedy właśnie bowiem ożyło w Warszawie wielkie zainteresowanie frankistami: ponownie kwestionowano szczerść ich konwersji i chęć utwierdzenia się ze społeczeństwem polskim.²²

W jedną z moich publikacji próbowałem wykazać, że pomimo iż *Marzyciel* jest powieścią historyczną i w sposób oczywisty osadzoną w przeszłości, jej nacisk spoczywa na eksperyj jednego z wielu motywu literackich Singera — motywu poligamii. Powtarzające się w wielu jego powieściach stosunki utrzymywane jednocześnie z kilkoma kobietami, Singer nazwał „cierpieniami poligamicznego Wetera”.²³ Motyw taki nie mógł być, rzecz jasna, podjęty w obrębie tradycyjnego świata żydowskiego; ruch frankistowski jednak, przez swe odstępstwo i antynomię, umożliwił jego prezentację w ramach historycznej wiarygodności. Właśnie w *Marzycielu* ów motyw poligamicznego Wetera wykorzystany został nępnie. Szeroko eksponowany jest również ze zrozumiałych względów motyw przechodzenia z jednej społeczności narodowo-religijnej do drugiej, jako że stwarza on specyficzne możliwości i daje sposobność ogładu nowej społeczności od wewnątrz. Czyż trzeba zatem się dziwić, że w pewnym momencie Tuiw-Peter-Stanisław zateńszi za starym, żydowskim życiem? Ze w swoim podwójnym — czy potrójnym — życiu będzie uświadał odciskać spokój umysłu przez powrót do tradycyjnej, żydowskiej egzystencji? Tuiwa, żonaty z katoliczką Teresą i utrzymujący stosunki z dwiema frankistkami, polubił córkę chasydzkiego cadyka, Dwóję. Przed Dwóją i jej rodziną z powodzeniem gra rolę pobożnego i dobrze prosperującego kupca żydowskiego o nazwisku Boruch Lewin. Darzy swoją żonę szczerą miłością i znajduje we wspólnym życiu spokój i stabilność klasycznej, tradycyjnej rodziny żydowskiej, co stanowi jaskrawe przeciwieństwo życia, jakie prowadzi jak chasydzianki konwertyta; życia, które poza rozczarowaniem nie przyniosło mu niczego.

Początkowo, jakby zalążkowo stadium tego rozczarowania, tendencję do skruchy i chęć powrotu do judaizmu spotkaliśmy już w powieści o frankistach, w *Grzeszonym Majeszku*. Zagadnienie to jest stałym elementem omawianego motywu i powraca ciągle na różne sposoby, choć nie zawsze z jednakową siłą.

Problem wierności faktom w historycznych powieściach Singera wymaga głębszej analizy. Tutaj poczynić możemy jedynie kilka uwag opartych na ogólnych wrażeniach. Jako młody człowiek, Singer wkładał wiele wysiłku w przygotowania mające na celu dostarczenie rzetelnego historycznego tła swych powieści. Jest to wyraźnie widoczne na przykład w *Grzeszonym Majeszku*, do którego kilka rozdziałów stanowi po prostu streszczenie ogólnie znanych dokumentów.²⁴

²⁰ Jacob Shatzky, *Alexander Kraushar's Road to Total Assimilation*, „Yivo Annual” 7 (1935), 97-108.

²¹ Zob. mój artykuł wspomniany w przypisie 6 i cytat na stronie 28 tej publikacji.

²² Na przykład odcinki tej powieści w „Forwerts” d. 10 i 11 grudnia 1935 r. ze stronami 145-147 hebrajskiej książki Babarsza wspomnianą w przypisie 11.

Singer sam przyznaje we wspomnieniach, iż przed napisaniem *Dwora* czytał polsko-żydowski, „Izraelitę” i hebrajską „Hafirę”, pisma, które ukazywały się w czasie objętych akcją powieści.²¹ Kontakt z materiałami dostarczającymi dla historycznym powieściom Singera zdaje się zmniejszać w miarę upływu lat, kiedy pisarz zaczyna polegać bardziej na własnych przeżyciach i pamięci, i to nawet w tych wypadkach, kiedy bez trudu można było sprawdzić i skorygować opisywane realia. Jego ostatnia powieść idzie po tym wzgleąd najdalej. *Króla Polan* traktuje o mało znanym okresie historycznym, ubogim w pozwalające go zgłębić źródła. Podczas rozmowy (w czerwcu 1982 r.) Singer poinformował mnie, iż w zakresie szczegółów dla *Króla Polan* korzystał ze znanej powieści J.I. Krasszewskiego *Stara baśń*, opatrzonej przypisami oraz posiadającej słowniczek. Ogólne informacje na temat społeczności prymitywnej i jej „obyczajów” zaczerpnął z książki S.C. Goona, szczególnie z *The Hunting People (Plemiona łowieckie)*.²² W istocie jednak historyczna weryfikacja szczegółów przeniesionych z tych źródeł do powieści jest niemożliwa. Niewykluczone iż było to powodem, dla którego Singer wybrał ten własny okres.

W *Króla Polan* Singer zajmuje się kulturą pogańską w Polsce przed i krótko po przyjęciu przez kraj chrześcijaństwa. Powieść szczegółowo prezentuje obóz Polan, bychym słowich, zmuszonych do opuszczenia lasów i pracy na roli. W znacznej części fabuły występuje Ben-Dosa, żydowski niewolnik schwytany przez „Kanańczyków”.²³ Jego krajem rodzinnym jest Babilon, tam też żyją jego żona i dzieci. Pracuje jako szewc, ale jednocześnie oświeca mieszkańców obozu, którzy dzięki niemu zaczęli się czytać i pisać, i od niego po raz pierwszy usłyszeli o wierze w Jedynego Boga.

Konstrukcja *Króla Polan* jest przykładem struktury paralelnej: ów Żyd, izolowany przez swą wiarę i tryb życia, przeciwstawiony zostaje licznej społeczności pogańskiej, w obrębie której przyszu mu życie. Ukazane w dalszej części początki chrześcijaństwa dodatkowo komplikują stosunki pomiędzy Ben-Dosą i mieszkańcami obozu Polan, a jednocześnie rozwijają możliwości występowania paralelizmów. Stateczność Ben-Dosa i jego poświęcenie wobec pokus ciała skontrastowana jest z zaprzętawianą szczegółowo w powieści całkowitą swobodą seksualną panującą w obozie Polan. Bliski przyjaciel Ben-Dosa, Cybula, dość znacząca postać zarówno w obozie jak i w fabule powieści, utrzymuje stosunki seksualne z wdową i jej córką, a ponadto marzy o wypłacie w własną córkę. Z kolei wdowa sypia z wieloma różnymi mężczyznami. Na te przedstawione z tak wielką intensywnością rozpazania seksualnego wstrząsliwiość Ben-Dosa nabiera siły totalnego kontrastu.

Tylko jedna kobieta — nie Polka, ale niewolnica tatarska — godzi się przyjąć wiarę Ben-Dosy i zostaje kandydatką do konwersji. Mimo iż nie jest to wyraźnie zapowiadane, uciatnia ona model przejęcia na judaizm analogiczny do konwersji Wydm-Sary z *Niewolnicy*. Tym sposobem podkreślony został fakt, iż nikt z tubylców nie jest gotów na przyjęcie wiary Ben-Dosy — a dzieje się to w czasie, gdy wdzienność, jaką cieszy się on z tytułu świadczenia Polanom usług przewyższa swą siłą wpojone im powozców pierwszych kontaktów z chrześcijaństwem oskarżenie zarzucające Żydom zabiegi Chrystusa.

Pomimo przyjęcia chrześcijaństwa w wierze Polan nadal dominuje pogaństwo, co prowadzi do próby złożenia tatarskiej niewolnicy w ofierze złasom duchowi. Ben-Dosa ratuje jej życie, ale obojętne są ciężko ranni i muszą uciekać przed gniewem Polan, rozjusznym profanacją ich obrzędów.

We wszystkim to tę powieści jawi się w jasnym, niedwuznacznym świetle i nie zawsze można być pewnym, po której stronie są sympatie apomimowego narratora. Wszak Bóg Ben-Dosy nie uchronił go przed niewolą ze strony ludzi, a poza tym fakt, iż tak prawy człowiek domnie wielkich niesprawiedliw, musi stawiać pod znakiem zapytania skuteczność jego wiary. Ciężar zakazów oraz cierpienia, których doświadcza z powodu swej wiary Ben-Dosa, wydają się być porównawione suno i dlatego nie ma właściwie powodu, aby poświęcić swoje życie; dotyczy to zresztą także doświadczeń nie związanych z seksem. Absolutna konieczność dotyczy tylko śmierci, rozumanej jako najwyższy bóg, którym bez oporów trzeba ale we właściwym czasie. Mając w sobie coś z obiektywnego testu parafraza pomiędzy judaizmem a pogaństwem u zarania chrześcijaństwa w Polsce jest istotnie ciekawa i wymagałaby dalszych, szczegółowych rozważań.

Poza tym warto zauważyć, że Ben-Dosa, uciekając za siebie polskich gospodarzy, przeklina ich „episkopskim plagami”.²⁴ Mieszkawcy obozu, przeciwnie, zachowują o nim dobre wspomnienia: Ben-Dosa odrzodzi i pewnością nigdy tu nie powróci, ale zapomnieć go nie było łatwo. Każdy u siebie mówił to samo: zniknął ciałem, ale pozostał duchem.²⁵

Jeśli wylanijacą się stąd konkluzje — wyrażając jednocześnie rozdzielenie i związek — przyjmijmy za podsumowanie stosunków polsko-żydowskich w X wieku, wówczas stasie przed nami z całą mocą problem wiarygodności tego dzieła jako historycznej relacji prezentującej pierwsze spotkanie Żyda i Polaka. W związku z tym pojawia się wiele innych pytań. Czy tej powieści o X wieku nie należy odczytywać jako prefiguracji zdarzeń wieku XX? Nie ma przecież historycznych dowodów potwierdzających żydowską klawę czy pamięć o żydowskim duchu w Polsce w wieku X, bowiem wówczas nie było tu Żydów. Istotnego znaczenia nabiera to jedynie wówczas, gdy spojrzymy na daleką przeszłość przez pryzmat holocaustu. Spożerzenie takie celowo rezygnuje z historycznej ściślności, wbrew różnym zabiegom stosowanym przez Singera a zmierzającym ku wyraźnemu osądzeniu fabuły w wiarygodnych realiach.

Musimy postawić i inne zasadnicze pytanie: czy tylko w przypadku *Króla Polan* ratowanie czasów współczesnych na przeszłość jest istotniejsze od historycznej ściślności? A skoro historyczne powieści Singera są odbiciem świata współczesnego i czasów dopiero co minionych, co wówczas przedstawiają zaprzętawiane w nich stosunki polsko-żydowskie? Czy Singer rekonstruuje pewien stan rzeczy przeszłości, czy też przedstawia nam werse współczesnych wydarzeń i opinii? Na czym opiera swą wiedzę o stosunkach panujących między Żydami a Polakami? Faktem jest, że tematu tego pisarz unika w większości utworów — także w obszernym, autobiograficznym korpuse swiej twórczości, gdzie czas opisanego świata obejmuje kilka ostatnich pokoleń i pokrywa się z osobistym doświadczeniem pisarza. Czy nie kwestionuje to nieempirycznie niejako przekazu o odległym okresie historycznym?

Nie sposób odpowiedzieć jednoznacznie i wyczerpująco na postawione tu pytania. Mam nadzieję, że ta prezentacja zżbu „his-

²¹ *Fun der alter un najer heym*, „Forverts”, 30 kwietnia 1965.

²² Na temat terminu „Kanańczyk” w odniesieniu do średnio-wiecznych terytoriów słowiańskich zob.: M. Weinreich, *Yiddish, Kanak, Slave: The Basic Relationship*, *For Roman Jakobson*, The Hague 1956, s. 622-632; R. Jacobson i M. Halle, *The Term Canaan in Medieval Hebrew*, *For Max Weinreich On His Seventieth Birthday*, The Hague 1964, s. 147-172. Angielski przekład ukazał się w 1981 r.: *The King of the Field*, Ferrar, Straus and Groun, New York. Zob. także M. Adamczyk-Garbowska, „Nasze” *Stare baśń*, „Tygodnik Powszechny”, 1983, nr 16, s. 6.

²³ „Forverts”, 17 grudnia 1980 r.

²⁴ „Forverts”, 27 listopada 1980 r.

²⁵ O problemie zasygnalizowany w powieściach I.B. Singera, zob. mój artykuł w: *The Jewish Quarterly* (wspomniany w przypisie 6) i A. S. Grooman: *The Hidden Singer: Ruben Singer, Lost in America and the Problem of Veracity*, „Twentieth Century Literature”, 20 (1964), s. 30-43.

torycznej" twórczości Singera i jej problemów zaowocuje dalszymi badaniami w tej dziedzinie. Udzielił one wielu odpowiedzi, ale też niewątpliwie przysporzą nowych pytań.

Chone Shmeruk
przełożył z jez. angielskiego Mirosław Wójcik

Jest to zmieniona wersja rozprawy zaprezentowanej na międzynarodowej konferencji poświęconej Polakom i Żydom, Columbia University, marzec 1983. Oryginał, hebrajska wersja ukazała się w „Yehudit Zmanenu”, Vol. 2, 1985, s.61-70. W tłumaczeniu angielskim: „The Polish Review”, Vol. 32, N° 4, 1987, s.401-413. Wersję angielską przełożył na język polski p. Mirosław Wójcik, za co składam mu serdeczne podziękowanie. Obecna polska wersja tej pracy jest poprawiona i uzupełniona. Nie mogłem jednak uwzględnić w niej tych prac dotyczących tematu, o których istnieniu mogę aktualnie tylko wspomnieć.

Monika Adamczyk, *Poloka i Polacy w powieściach I.B. Singera „Akcent”*, nr 1, 1980, s. 125-129.

Krzysztof Teodor Topolitz, *Poloka Isaaca Singera*, „Polityka”, nr 24 (1415), 16 VI 1984.

Thomas S. Gladsky, *The Polish Side of Singer's Fiction*, „Studies in American Jewish Literature”, Vol. 5, 1980, s. 4-14.



Adam Kossovskij: *Jezus naucza w świątyni* (fragment). Kaplica św. Józefa w Aylesford.

ANNA FRAJLICH

Limeryk

Imię tylko ciwry gawuńki asoków,
kóre w wypadku śmiercielnego zagrożenia głodem
dzielił się pokarmem z obcym osobnikiem.

Tylko hieny szypnasy
ludzie
drapieżne nietoperze
dzielił się swoim łupem
i wspomagają w wypadku
ciepła krew
ciepley chleb
świeży orzech
przed śmiercią głodową ustrzeż
— tylko ludzie i hieny
szypnasy i nietoperze.

sierpień 1990 r.

Przebudzenie

Kocham ciebie godzinę
ostatnią snu porannego
już zsuwa się z nocy zasłona
szpaki się nawołują
drogi ruszyły już w drogę
a ja w twój szepot otulona
tobie wciąż powierzona
jakby nie urodzona
nie pamiętam nie słyszę
w śnie twoim się kołyszę
aż nie upilnowana
wymykasz mi się z rana
dzień nagi i ja wstaję naga.

marzec 1992

Wylew

Kruche i połączone naczynie
z całym wszechświatem
wylewa się w nim i przelewa
kłębi się od nadmiaru.

Lustro
co bieгло kiedyś
po szerokiach dziedzińcach
straskane leży przy drodze
a w każdym jego odłamku
puszystość pączków klonowych
bezmiaś się nieba odbija.
Skrzydło piąka migocze
w tysiącu kawałkach naraz.
Co było połączone
nie jest już połączone
co kruche było i całe
stało się pokruszone.

marzec 1992

Z dziennika lektury

Spokojnie mogą sarny
po górach Etrurii skakać
bo sił już nie mam
i brak mi ochoty
Diana na zawsze w lesie
a ja w tych komnatach.
Animula blandula, vagula!
duszyczko wędrująca
— pisał imperator.

czerwiec 1992

Ogrody i domy

Pewnie więc tu jest mój dom
bo gdzie jeszcze będę mogła
tak bezkarnie w dziupli zaglądać
prosto z mojego okna
w okno znajomych szpaków
może i one widzą białe okrągły abażur
a przecież lampa w oknie
to najpewniejszy ze znaków.
Pewnie tu jest mój dom
a nie tam
gdzie moja prababka
zmarła śmiercią zwyczajną
pięłą chwasty w ogrodzie
i pewnie nie tam jest mój dom
gdzie wszyscy inni umarli
a po ich śmierciach śladu

nie ma w niczyjej pamięci
i nie pod górami Uralu
gdzie mama na polu przy kuźni
tak się skryła za krzakami
że strach ten do dzisiaj czuje
a ona tylko rękoma wybierała kartofle.
W żadnym już z dawnych ogrodów
nie rosną nasze jabłonie
a z drzwi warszawskiego mieszkania
czyjaś obłądź ścieram
i dotąd zetrzeć nie mogę.
Węc chyba tu
gdzie nad drzwiami
nie strzeże mnie stara mezuza
choć ja jej nie strzegę
i tu gdzie po liściach poznaję
że słońce w zatokę schodzi
chyba tu
gdzie w doniczce
wykoper za oknem wystrzela
w moim przenośnym ogrodzie.

czerwiec 1992

Anna Frąckiewicz

Książki nadesłane

Redakcja Wydawnictw

Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

Katolicki Uniwersytet Lubelski. Wybrane zapiski z dziejów Urzędów. Praca zbiorowa pod redakcją Gracyny Karłowicz, ks. Marka Zabajkiewicza, ks. Zygmunta Żelazskiego. Ś. 440, nakład 1500 egz.

Walter Jackson Ong. Ochroneń i gminienność. Słowo podane technologii. Przełożył i wstępem opatrzył Józef Japola. Ś. 220, nakład 1500 egz.

„Metafizyczne” w literaturze współczesnej. Materiały z II Tygodnia Polonistów. Pod redakcją Agaty Koss. Ś. 158, nakład 700 egz.

Lustra
na ścianie kłódy
na ścianach doładowała
straszakami leży przy drzwiach
a w korytarzu jest odłamek
i na podłodze podłoga z kamienia

DANUTA MOSTWYN

I
I

Historia miłosna

W starym notiesie wyszukałem jej adres. Wtedy zacząłem liście: dziesięć lat, dwadzieścia, trzydzieści. Trzydzieści pięć lat! Po moim wyjeździe z Londynu pisałyśmy do siebie. Raz na rok, na Boże Narodzenie. Przez kilka lat. Później ja chyba przestałem pisać. Praca i życie w Stanach wciąga. Zresztą ani on, ani ja nie mieliśmy wielkiej inklinacji do pisania. Gadanie w cztery oczy, o, to co innego. Ale pisałem! O czym mieliśmy pisać? Gdyby nie wojna, nasze ścieżki nigdy by się nie skrzyżowały. Zresztą on zawsze był tajemniczy, jakby nie chciał czegoś wypowiedzieć do końca, albo ja nie byłem tym, któremu on mógłby się zwierzyć. Istniała jakaś granica, poza którą nie chciałem mieć dopuszczać. Może nie mógł? Był przecież zawsze lojalny, przyjacielski. Lubiełem go, więcej, miałem do niego słabość, jego wady wprowadzały mnie w dobry humor. Na jego wybuchy złości odpowiadałem śmiechem, umiałem go rozbroić, ulagodzić.

Myślałem teraz o nim. Pozostał niezmienną dekoracją tamtych lat: młodzieńczych przgydów, walk na pustyni. Wydawało mi się, że to tylko ja posuwam się po linii czasu, a on trwa, zachowany w mojej pamięci, młody, pełen zachwytu fantazji.

Sprawdziłem numer telefonu. Połączyłem się. W słuchawce przeszedł angielski: „Hallo?” To on.

— Max! — ucieszyłem się.

Rozpoznał mnie natychmiast. Czas, jak w płomieniu zapalki, spłonął, opadł, byliśmy z sobą, jak dawniej, wzruszeni powrotem samych siebie. Przypływ dalekiej fali niósł obrazy.

— Cześć stary! No i co, żyjesz?

— Żyje, przyjeżdżę do Londynu.

— Najwyższy czas.

— Trzydzieści pięć lat.

— Zatrzymasz się u mnie?

— Można?

— Co się pytasz? Kiedy przyjeżdżasz? — Mówił z lekką zadyską, ochryple, pokazywał.

— We wtorek.

— Dobrze. Będę na lotnisku.

— Max, co u ciebie? Ożeniłeś się?

— Mam trzech synów.

— A żona?

— Rozwiódłem się.

— Dlaczego?

— He...he...he, no co, miałem baby dość. Pogadamy. Napijemy się. Powiem ci.

Po odprawie paszportowej, po przejściu przez komorę celną przecinałem się do poczekalni. Wśród oczekujących za bariera szukałem oczami Maxa. Wydawało mi się, że może go nie rozpoznam: w tym tłoku, poprzek kurz lat zmieniający kształt, twarz,

spojrzenie. Ale rozpoznałem go w jednej chwili i on też mnie zobaczył, uchwycił mi się oczami. Był ten sam, a jednak inny. Jak? Nie wiem: nie utył. Był zawsze postawny, dobrze, atletycznie zbudowany, ale jakby stracił sprężystość i lekkość ruchów i te łatwości poderwania się. Na głowie miał dziwaczne czapkę z daszkiem, która go przypłaszczała. Zawsze był dumny ze swoich włosów: ciemnych, dodających mu uroku. I nagle ten brak zakończenia głowy umiował mu młodość. Patrzył na mnie, uniósł ramie w górę i skrzywił usta w wesołym, ironicznym uśmiechu. W tym skrzywieniu wrócił dawny Max. Tylko, czyżby zmatował? Bo nie łnił już, jakby zgasił w nim światło.

Przeciskał mi się do siebie poprzez tłum i on widząc mnie, rozpoznając, myślał pewnie tak samo: inny a ten sam. Jak inny? W czym innym? Staliśmy na wprost siebie, dwa lustra. Czas przeszedł i czas teraz żyje. Wybuchliśmy śmiechem, ale ocy mieliśmy wilgotne. Naokoło nas tłok, krzyk megafonów ogłaszających przyloty i odloty samolotów.

— Chodź — powiedział. Podniósł moją walizkę.

— Ale ja poniosę.

— Zostaw! Dawaj to. Idziemy do garażu. Tędy, do windy. Niesamowita jazda. Przeszło trzy godziny jechałem na lotnisko. Skończyło tamany, nie umię ułęgować ruchem. Powinni wykluczyć samochody z centrum. I słowo daje, ci Anglijcy nie umię jeździć. Otworzył drzwi samochodu.

— Właż, jak ci się podoba wóz?

Był to piękny, lśniący mercedes. Kiwałem głową w aprobację.

— Wspaniały, ale to straszne pieniądze.

— A co ty myślał? He...he...he...

Myślałem: musi mi się dobrze powodzić. Jechał szybko, wybierał boczne ulice. Wymyślał przy tym głośno na zły przykład innych kierowców, że ustawione światła kierunkowe. Spod plaskięj czapki z daszkiem sterowały kosmyki posiwiałych włosów.

— Rozwiódłeś się? — spytałem się. — Dlaczego?

— Wywrzuciłem babę do cholery. Na diabła mi to! Nie chce jej znać.

— A dzieci?

— Chłopiaki są z matką, ale do mnie przychodzą. Chłopiaki, uważasz, są za mną.

— To kiedy się rozwiodłeś?

— Czekaj! W gorący wózek kapany! Napijemy się, powiem ci. A nie uwierzyś? No to już. Już jesteśmy. To jest mój dom.

— Który? Ten?

— No ten. A co, nie podoba ci się? Ja ci mówię, staro, to jest fantastyczny dom. Trzeba trochę podmalować, o tu, otynkować. Kupiec sam przyjdzie do rąkci.

— Nie, nie, bardzo ładny... bardzo... tylko przez chwilę nie widzieliśmy, że róża...

— No, róża. Ja ogrodnik nie jestem. Zetnie się róża i po krzyku.

Podszedłem bliżej, położyłem rękę na furtce. Odkroczyła. Opadła, trzymała się tylko na jednym zawieszce.

— Zostaw tę furtkę! Nie podnoś, niech leży. Trzeba naprawić, cholera, człowiek nie ma czasu. Mówiłem do Jawa, ale gdzie tam! Oni, rozumiesz, tylko pałają.

Spojrzałem na dom: był w ostatnim stanie zaniedbania. Jak opuszczona sierota skarżył się wilgotnymi oczołami okien. Zdęczałe różki ogrodnika rozrosły się w histerycznym tańcu, ich chude lodygi, nogi wielkich pajaków czołowały kogo by uchwycić. Po obu stronach drogi prowadzącej ku schodom rozszalały się chwasty, chwastiska, powoje, bluszcze, lopiany. Zagubione kwiaty, zdeptytane walcami w miejsce motlochom, wychylały tu i ówdzie zmar-

niale pomarańczowe korony, ale nie wiadomo było czy to kwitnące zielsko, czy reszki nagietek, albo jakiś kwiat szlachetny posadzony tkiwłą ręką, pielęgnowany z nadzieją, że wzrośnie, rozkwitnie, otuli węgieć do domu.

— Otwieraj drzwi, klucz pod słomianką! Ja już wnoszę twoją walizkę.

Na schodach, na słomiance, przed drzwiami drzemali warstwy nie zamiatanych od dawna zeszłych pili, suchych badyli, skrawki papierów. Podniosłem słomiankę i chmura kurzu uderzyła mnie w twarz.

— Nie tak! Nie tak! — Max stał za mną — podłożył trzeba rękę i już! Po co podnosisz całą słomiankę. Tyko się zakurzysz.

Otworzyłem drzwi. Ciemno, wilgotny odor papierosów. Myślałem: gdzie on mieszkał? Co tam — pocieszałem się — w gorzyszych warunkach byliśmy na pustyni, człowiek spał pod gołym niebem, albo pod namiotami, a nieraz w brudzie, w zaplonej pościeli.

— Gdzie tu jest kontakt?

— Tu, tu... nie widzisz?

Mdle, podsuflitowe światło w wąskim hoku. Na wprost schody wiodły na piętro, na ścianie zatłoczony ubraniami wieżak.

— Będziecie spał na górze. Ale przedtem idź tu, na prawo, do pokoju. Zaraz wnieś twoją bagaż. No i po co tyle tego dzwigasz? Tu są tylko piżama, szczeretka do zębów, zmiana koszali. A ty, te bambette. Zapalisz?

— Ja nie palę.

— O rany! Co z ciebie ta Ameryka zrobiła. Nie palisz, czekasz się ze wszystkim, na tydzień przywozić kufer ciężki jak diabl.

— To książki.

— Po co tyle książek?

— To są różne broszury potrzebne na zebrania, na zjazd.

— Zawsze byłeś rozpolitykowany. Ale nie taki picuś glancuś. Przyznaj się, żona cię tak urobiła. Co?

— Bzdury płociasz, Max.

— Ja ci mówię, ty mnie słuchaj. Babę trzeba krótko, bo ci wlezie na głowę. A napijesz się?

— Napiję.

— No! Pierwsze mądre słowo. Zaraz wszystko uszykuję. Kupilem ci lososia. Lubisz, co?

— Lubie.

— A wódkę z cytryną?

— Dawaj z cytryną.

— Już się robi. Łazienka na górze, a potem idź tu, do pokoju, rozgość się.

Wytarte, podarty zielony dywan-smata pokrywał schody i korytarz. Z korytarza wszedłem na prawo, do living-roomu. Był to obszerny pokój z oknem wychodzącym na ulicę. Wszędzie: na kominku, na stoliku zarcuconym papierami, popielniczką przepelnioną niedopałkami papierosów. Zaduch dymu papierosowego. Umieblowanie tworzyły stare fotele o zbitych do szczeru siedzeniach. Jeden z nich, grat par excellence, miał bardzo wysoki oparcie. Przyglądałem mu się, kiedy Max wrzucił do pokoju niosąc dwie szklanki wódki z pływającymi w nich platkami cytryny.

— Widzisz ten fotel — powiedział — na tym fotelu siedział Napoleon.

Spojrzałem na niego bardzo poważny i jeszcze zupełnie niezwy.

— Który Napoleon?

— Napoleon Bonaparte. Nie ma się co śmiać.

Patrzyłem na stare fotelisko. Wytarte skórzane oparcie, na nim wydłaczane niebieskie ornamenty: girlanda kwiatów, na girlandzie przysiadły odwrócone od siebie dwie papugi.

— Nasze kawalerskie! Dobra taka wódka z cytryną, co? No widzisz! Włóż z tym fotelem to było tak. Matka Justyna, a to była jedzą! Jedzą jakiej świat nie widział.

— Kto, Justyna? Twoja żona?

— Justyna nie lepsza, ale matka przeszła wszystko. Włóż to byłby prezent ślubny dla nas. Ten fotel. To arystokracja, oni to mieli w rodzinie.

— Max, ty w to wierzysz?

— Jak pragnę zdrowia. Na tym fotelu siedział Napoleon. Matka Justyny to było złe ścierwo. Popuła całe małżeństwo, ale ten fotel to prawda. A spojrz na portret króla Jerzego.

Zza zakurzonej foteli fotografii spoglądał na mnie cukierkowato wykolorowany Jerzy VI.

— No ten! Ten, a zobacz podpis. Kupilem to fantastycznie tanio! O taki podpis, proszę ciebie, to się zabijają!

Podszedłem bliżej do fotografii, poprawiłem okulary.

— Tak, jest podpis. Może i oryginalny.

— Co ty bzdurzysz! Oryginalny, jak ci to mówię. Sam król własnoręcznie podpisał.

Był to tandetny oleodruk w wąskiej, niegdyś pozłacanej ramce. Teraz farba luzczyła się, a w prawym rogu w góry i lewym u dołu szkło było popękane. George VI wyglądał uderzająco, jakby zmuszony do pozorowania. Był w mundurze, cała lewa pierś pokrywała ordery.

— Widzisz podpis? — denerwował się Max.

— Widzę: George Rex, 1947.

— No! — triumfował.

Odwróciłem się. Twarz Maxa była czerwona, nieco nabrzmiała, jego blade niebieskie oczy błyszczały. Ale chociaż kolor i zarys twarzy zmienił czas, był to ten sam Max o nonszalanckim uroku, zawsze uwodząco i czarująco, wpadający z uśmiechem w szal wściekłości. U wiela, a i u mnie, potrafił wzbudzić słabość aprobującą jego dziwactwa. Stary satyr — myślałem — kupił to za szesć pensów w antykwaracie. Wiedziałem, że błądzą. Ale on sam wierzył. Potrafił wzbudzić się ku tej sferze, w której kłamstwa przestają być obciążone negatywną oceną, a stają się fantazją przywołującą na uchylenie od prawdy. Skoro raz coś powiedział — wierzył w to co mówił: Unosił się. Sam siebie rozpalal, sam siebie tworzył.

— Siadaj! Napijesz się jeszcze wódki! No, co to jest! Jeden kieliszek! Co się z ciebie zrobiło! Człowieku! Wódka ci nie zaszkodzi. Wierz mi. I to, co bzdurzą o papierosach: Całe życie palłem. I w porządku.

— Za dużo palisz.

— Nie gadaj, Czerekaj, przyniosę jeszcze wódki.

Usiadłem na kanapie. Max w kuchni szczywał nowe porcje wódki z cytryną. Rozglądałem się. Znajdowałem się w krainie kurzu, nieskoordynowanego, kakaofonii rzeczy pobieranych w tanich antykwaratach: Dysonasem wysokiego krzesła-tronu, na którym siedział Napoleon i nowoczesnej, o strasznych przypnach, kanapy. Na ścianach przepiękne prowizoryczne plakaty z jakimiś europejskimi zwodnikami. Stółki zarzucone gratami, nieporządne, pełne papierów i przeladowanych popielniczek biurko. Na szafie bukiet papierowych kwiatów. Wszystko wydaje się dźwięczące, piszące, skrzeczące na setki osobnych melodii. Po prawej stronie okna, zasłoniętego przetrzta franką, portret: głowa młodej kobiety. Twarz moon, trójkątna, gesta, rudawa czupryna. Włosy młoci obrastające czoło. Patrzy czujnie, badawczo. Portret wydaje się nie należeć do dysharmonii

pokoju. Oczy kobiety są ciemne, spojrzenie skoncentrowane. W wyrazie twarzy determinacja. To pewnie będzie to jego żona, Justyna, — myślałem — ale jeśli nie rozwiódł... to dlaczego ten portret?

— Max wszedł do pokoju. Odsunął papiery ze stołka, postawił przede mną szklankę. Milczał. Wydawało mi się, że nad czymś się zastanawiał.

— To ty nie zapaliś? — zapytał.

— Nie. Mówiłem ci. Przestaliśmy, skródziło mi w Stanach...

— Powiem ci, to wszystko babki wymyśli, bzdury. Dochodzi do tego, że ludzom zabronia palić w restauracjach, w autobusach. Co się nie wyprawia! No, a słuchaj... przecież Isia... Isia nie paliła.

— Isia?

— Nie pamiętasz jej? To było jeszcze zanim wyjechałaś do Ameryki.

— Pamiętam. Myślałem, że się z nią ożenił. I co?

— Umarła — szepnął, przekrzywił głowę, zaciągnął się papierosem. — Isia nie paliła.

— Nie wiedziałem. Wydawało mi się, że chcieliście się pobrać...

— Widzisz, jak ona chciała, to ja mówię: a, jeszcze poczekałmy, a jak ja chciałem, mówię: trzeba się pobrać, to wtedy ona jeszcze nie, jeszcze zaczęłaśmy. Ale właściwie, to wtedy nie miałem pieniędzy. I tak jakos.

Na ustach miał cichynisz uśmiešek, wydawało mi się, że przygryzła, tchnęła od niego rozpaczliwą goręcy prawdy.

— A ten portret, to twoja żona?

— No tak, Justyna.

— Węc jednak...

— Nie jednak... Nie pomiędzy nami nie ma. Wy rzuciliem babę. Z chłopakami idę czasem pomagać. O dzieci mi chodzi, rozumiesz?

— Ale o co poszło?

— Chodził do kuchni, jęsz coś. Powiem ci.

Kreślił mi się w głowie, byłem zmęczony po podróży, siedział za Maxem ciemnowym korytarzem do kuchni. Było tu jeszcze jasno. W porównaniu do chaszczki, zarastających aż pod samo okno, frontowy ogródek wydawał się wypielęgnowanym ogrodem wersalskim.

Był to rodzaj breakfast-room, pokoju śniadaniowego, z małą, przylegającą do pokoju kuchenką. Było zimno i wilgotnie, rozpoznałem odór grzybów czepiającego się często londyńskich budowl.

Już włączyłem ogrzewanie — powiedział — zaraz będzie ciepło i potem będzie mógł się wykapać. No to co jęsz? Chleb mao, lososia, a jutro Justyna zaprasza cię na obiad.

— Nie nie rozumiem. Przecież ja jestem twoim przyjacielem i ona chce mnie przyjąć?

— Co ma chcieć? Karamaj jej. Myślał, że kto jej kupił ten dom, w którym teraz mieszka? Ja! Ja ja przyjechał, jak tu przyjechała i jęczała, że w ciąży.

— W ciąży? Z kim? Z tobą?

— A skądże! Przerywałyśmy mi. Cholernie niecierpliwy. Narwany. W tym to się nie zmieniał. A pamiętasz, jak ci ponosiło, jak przejeżdżałeś przez pola minowe?

— Jak dziś to pamiętam.

— He...he...he. A ja, pamiętasz, jak wziąłem tego skurwysyna kapitana, co to zrobił ten kawał, jak się z nim przejechałem po minach? Skupał się ze strachu, jęczał, a ja — a masz ty to skurwysyna, masz, za to żeś się zęcał...

— Białą wyszedł z wozu, trząśnął się, ale mu zadawał!

— No! To byłby czasy! Czekał, czekał, telefon... Zaraz wracam. Był już pod gazem. Ten jego kroczek taneczny, lekkie przyga-

biecie, nucił z cicha jakąś melodyjkę hiszpańską, papieros w rękę. Zakaszał. Słyszałem rozmowę prowadzoną w przedpokoju. Była zbyt głośna, abym jej nie słyszał. Dochodziło do mnie nawet terkotanie w słuchawce. Był to widocznie jakiś kumpel Maxa, z któregoś z barów kombatanów, lotników czy marynarzy. Max miał zawsze pełno takich znajomości.

— Słuchaj, pieś — nalegał — no, słuchaj, muszę się z tobą zobaczyć! Umówię się na obiad. No, słuchaj, pier, ja muszę z tobą pogadać. Wimm. Wimm. gdzie mieszkaś? Interesy? Interesy? Interesy?

Wyszedłem z breakfast-roomu do kuchni. Tu głos Maxa nie dochodził tak wyraźnie. A w kuchence — pobojowisko. Malutka, z jednym, wysoko umieszczonym oknem, szczątek firanki niedys białego koloru, zarosnięty brudem złew, przepelziony kubel do śmieci. Wszędzie niedopałki, resztki zepsutego jedzenia. A nad tym wszystkim galopująca pod sufit para z imbryka, który Max widocznie postawił na ogniu i zapomniiał zdjąć. W tym obrzędzie pogrzebienia i zaniedbania szaleństwo burzącego imbryka nadawało kuchni cechy surrealistyczne. Odstawiłem imbryk, wyłączyłem gaz. Patrzyłem na kuchnię.

— No i co się gapisz? — Max stał za mną. Kawalerskiej gospodarki nie widziałeś? A mnie tak dobrze. Nikt mi tu nosa nie wsadza. Nikt mi nie porządkuje, nie wydziawa. Sam jestem, pan u siebie. Ty wiesz, ja ci piekielna jędzę piętnaście lat miałem na karku!

— Kogo?

— No, matkę Justyny. Te starą chorą. I cały czas słyszałem: za chłama wyszła! Rzuć tego chłama! Szakale! Rozwiódź się z tym brutaltem. Chami! Chami! Chami! Wiedzieli! Babzyl! Zakazany! No chodź stąd, siadaj przy stole, napij się. Ja ci zaraz nosię zakąskę. Bo ty bez zakąski: to nie, nie! Zapomniałeś, jak żeś rum sam złopał z gasiora? Uch! Ale cię odmień! Co te baby mogły! Kubel też wyrzucić, jak ci przeskadza. No już! W porządku! Siadaj tam, nosię wódkę.

Na stole stare gazety i spodeczki przepielzione niedopałkami. Max odsunął to wszystko szybkim ruchem ramienia i postawił dwa talerzyki. Usiadłem. Obok popielniczki leżał tandetyny korkociąg. Była to drewniana figurka rozbawionego człowieka z korkociągiem w kształcie penisu.

Max wrócił balansując dwoma szklankami i zapakowanymi w workowany papier palnikami lososia. Losos był świeży, apetyczny i natychmiast do niego przysiadłem. Max pogwizdywał zadowolony. Twarz miał czerwona. Oczy błyszczące, był w świetnym humorze. I ja też zaczynałem odczuwać szampańskie działanie alkoholu. Rozpiąłem kołnierzyk, rozluźniłem krawat, rozparłem się na trzeszczącym krześle. Breakfast-room pokoszony się, zapadający mrok przysiadł mi dookoła uroku: stara komoda-kredens wydawała się antykiem, sztuczne kwiaty w zakurzonej wazonie zaczęły pulnować żywą barwą. Chwasty w ogródku przybrały romantyczne kształty południowych roślin. Przez chwilę nawet wydawało mi się, że za oknem rozciąga się pustynia, kwitną wysokie kaktusy, a cienie drzew to przedchadzający się przed namiątną wartownią. Czas był wstąpić. Trucielem poczucie rzeczywistości.

Max był rozmarzony. Podpisywał jakieś hiszpańskie tango, którego słów nie mogłem uchwycić.

— W mojej rodzinie, uważasz, wszyscy chłali od małego.

Spojrzał na mnie. Skinałem mu głowę, na ustach miałem błogi, nie znaczący uśmiešek, przyglądaliśmy na wszystko.

— Ja proszę ciebie, miałem piętnaście lat, kiedy zacząłem chład. Ten, co to telefonował, wiesz...

— Ahu...

— To fantastycznie bogaty facet. Tak, Polak. Wzieli się. Babka, fantastyczna kobieta, cholernie mądra, oszałała na jego punkcie. Angielka. W jej rodzinie sami lordowie, I on otóż teraz z samymi lordami. Mają tu fantastyczny dom. Forasy kapie dosłownie. A ona... powiem ci, ma do mnie słabość. Babka fantastyczna... fantastyczna...

— Zapaliś? A prawda... No to czego nie pijesz? Pij! Wiesz, dlaczego się piję? Żeby nie myśleć o tym, że się pije. Mój stary to zawsze powtarzał. Sz trzy rzeczy w życiu najważniejsze: baby, cięć i co na sobie, to znaczy: ubrać się. Wzrósłoby inne do cholery.

— Max, słuchaj, gdzie ty pracujesz?

— Powiem ci. Wolno go. Mam warsztat.

— Jak?

— Co ci mam opowiadać? Pójdźcieś, zobaczysz. No, robie reklamy, na dworcach kolei, kolejkach. Mam swoje chody. Ale nalać się, nie nalać się trzeba. Co ty myślisz!

Nie nalałem, nigdy nie dowiedziałem się, naprawdę z czego się utrzymuje. Opowiadał, że jeździ do Moskwy, że ma tam zamówienia na reklamy. Od czasu do czasu wręcał nazwiska jakichś lordów, ludzi wysoko upławianych. Wszyscy darzyli go zaufaniem, sympatią, mało to było jego przyjaciół.

Shuchałem pół marząc, pół drżąc, zanurzony w tym rozkoszonym dolecie par niente nierobstwa i ostatecznej beczynności. Przytakiwałem wierząc-nie wierząc w nadzwyczajne interesy, które tylko kiedyś udało się przeprowadzić, w jego podboje dam z najwyższych eszelonów angielskiej society, które ulegały jego czarowi. Mówił o młodych „babkach”, które przyjeżdżały z Polski, o tym, jak on je ratował wydobywając z nieuludzkich warunków i jak one go ubóstwiają, jak gotowe są na każde jego skinięcie.

— Fantastyczna... fantastyczna — powtarzał. Dolewał sobie wódki, weiskał sok z cytryny do szklanki, zapalał papierosa. Pokój szary był od dymu, za oknem gesta, wilgotna, jesienna noc angielska. Nieporuszoną na krześle myślałem o Maxie łagodnie, z wzrastającą sympatią i tym smutkiem towarzyszącym utracie rzeczy i spraw, których nie wróca, ani których naprawdę nie można. Czy przeszedł zdarzenia — myślałem — rzeczywiście nie się zmienia? Czy może zdarzenia z przeszłości uzyskać mogą nowe znaczenie w układzie zmienionym przez czas? Stary, pocniwy Max. Zastarzał się, ale niewiele zmienił, pozostał takim samym nieszkodliwym błagiem, jak w latach swojej młodości. Jest częścią mojej historii. Tam, w Kairze, w Luxorze, przy piramidach, na pustyni znalazłem go lepiej. Wiedziałem z czego żyje. W wojsku wszystko było jasne. Nigdy nie miał dość pieniędzy: byłem starszy rangą i pensja wystarczała mi. Nieraz pojechałem mu i nie upominałem się o zwrot. Byliśmy przyjaciółmi. Lubilem mu pomagać dyskretnie. Był mi za to wdzięczny. Dlaczego jedzie do Londynu odwiedzać jego adreś? Widocznie myślałem o nim cały czas, ale jaka inercja nie porwała mi działać. A... mam czas — myślałem — mam czas. Kiedyś się spotkam. A teraz jakby już czas się skurczył. Ten sam czas, którego ani on, ani ja nie mierzylimy w okresie naszej pełnej przygód młodości.

— Hej! — zawołał — obudź się! Nie nie słuchasz, co mówię.

— Przeproszam cię — odpowiedziałem — zamyśliłem się i ta wódka, nie jestem...

— A... od wódki się odzwyczailiś? Patr, ja mogę chlać i trzymam fason. A jak się już położę, to śpię do rana. Żadnych snów. Żadnych... nie chce mieć snów. I nie mam. No więc, pytales o Justynę i dlaczego rozwodzi?

— Powiedziałeś: wyrzuciłem ją!

— O nie, nie, nie ja pierwszy! Ona chciała. Ten babzyl, jej matka,

ta stręcytelka popchnęła ją do tego lorda. Uprowadzała: babziarz, pijak, niepół. Przecież ja go znałem! Gdzie tam! „Zostaw tego chama” — skrzeczała. — Chama, niby uważasz, mnie, tego bura, ordynusa, grubianina, tego chama Ślaza. Podjudzała! ty naleyszy do lepszego życia! He...he... he, lepszego życia. No i... rozwód.

— Kiedy to było?

— Chłopcy byli mali, Jan miał siedem, a Łukasz cztery lata. Bal się, plakał.

— I co?

— Wzięła dzieci, pojechała z nim do Afryki. Suka. Mnie oskarżyła w sądzie, że pijak, biję ją.

— Bilesi ją?

— Jak pragnę zdrowia... kłamstwo. Krzyczałem, to fakt. Awantury były. Ale zrozum! Ta jedza, ta jej matka zatrzymała mi życie. Trzeba było z miejsca, jak tylko przyjechała, za kudły i z powrotem do PRL-u. Bo gdyby to jeszcze była matka... ale ta diabla zostawiła dziecko samo w 39 roku, małą taką dziewięcioletnią dziewczynkę samą zostawiła i uciekła za granicę. Justyna mi opowiadała.

— A po co pojechała do tej Afryki?

— Nie, matka nie pojechała. Tylko Justyna, ten gacek i dzieci. A czy ja wiem, po co ją ciągnął? Ten Anglik to był, proszę ciębie, stuknięty. Co tam się działo. Takie mordobicie odchodziło, że hej! Opowiadała mi. Wróciła po roku. Po niczym roku. Na kolanach tu, przede mną, w jej kuchni. Rzycała, błagała: przebac, ratuj. Była w ciąży.

— Wstał. Chodził po pokoju. Z kuchni przyniósł butelkę.

— Czesz?

— Nie.

— To ja dokonczę.

— Przyjałeś ja wtedy?

— Przyjałem.

— A dziecko?

— Zapieniowałem się. Urodził się Eryk.

— Ale to nie twój syn.

— No nie mój, ale... dziwne, ja go najwięcej kocham.

— Adoptowałeś go?

— Nie. Ma ojca Anglika. Ale on do mnie, jak do ojca. Zdolny taki. Nadzwyczajny chłopak. Chodzi spać. Oczy mi się zaczynają kleić. Ja się kapie rano. Pokieciłem ci w spinieli. To... czekać! — Odcierci się, wyszedł z pokoju. Powlokłem się na górę. W spinieli zimnica. Wilgotny, przenikliwy, angielski chłód. Wsunąłem się między łóżkowe przeszcierała. Dygotałem. Wstałem i nałożyłem na siebie szlafrok i sweter. Próbowałem się rozgrzać.

— Do diabła, do diabła — myślałem — w co on się wpakował! Zaczęła nadąca drobny, leniw deszcz, od czasu do czasu wiatr szarpał szymbami, dzwonił. Zasnąłem dopiero nad ranem. Obudził mnie Max. Był odświeżony, ogolony. Pałł papierosa.

— Ubiaraj się — powiedział — zrobilem herbatę. Justyna telefonowała, chce przyjechać tu przed pracą. Chciała ci poznać.

— Przed jaką pracą? — pytałem nieprzytomny jeszcze, nie wiedząc gdzie jestem.

— Przed wizytą u pacjentów. Justyna jest lekarzem. Nie mówłem ci?

W jego twarzy gładko wygolonej, odświeżonej ranną kąpielą zgasł płomień wczorajszego dramatu. Tylko codzienna zwykłość człowieka śpiącego do pracy. Czyżyła rana, którą był może, wbrew samemu sobie odsonni, nie bolała! A może załana światłem dnia straciła fioletową barwę, zbladła, aż do bólesci siniej, śmiertelnie objętą?

Uciucha już wczorajszą nawalnicę. Jedynie pochylene barków

i głowy przypomniało mi wieczorną jego sylwetkę: ruch nacierającego bawła, dwa rogi groźnie gotowe w niszczycielskim galopie. Teraz spokój. Widzieliśmy już po pierwszym drinku: wódka z cytryną. Cóż więc jest prawdą? Czy dramat beznadziejności wobec miotających się szatanów i aniołów, które w dzikim tańcu pasji i chuci rozrywają żądze człowieka? Czy prawdą jest podrażniona alkoholem wyobraźnia stwarzająca ze zwykłej egzystencji dramat niezwykłości?

Max patrzył na mnie, uśmiechał się.

— Ja, proszę ciębie, spiesz się, muszę załatwić pewien interes. Ale wieczorem będę, a ty gdzie?

— Mam zebranie.

— Zbawiacie ojczyznę? Co? — warknął, burząc się.

— Usadłem na łóżku, spojrzałem na zegarek.

— Mam tam być o godzinie... — powiedział, nie dokończając.

— Powiem ci, frajer jesteś. Co ci z tych kryzy, orderów? Będzie chory, będzie ci czego potrzeba, pies z kulawą nogą na ciebie nie spojrzy. Wiele ci dala ta ojczyzna? Zawsze kto silniejszy, u władzy. I kto rzadzi? Sam wiesz najlepiej. E... ja to moich chłopaków tak wychowałem: ojczyzna gdzie jesteś? Gdzie ci lepij. Ty mówileś wieczór, dlaczego nie uczylem ich polskiego? A po prostu cholera! No, to ja się. Justyna tu przyjdzie, to z nią trochę pomów.

— Chcesz się z nią pogodzić? O tym mam mówić? Chcesz?

— Ani mi to w głowie! Teraz, kiedy ty wyjedziesz, jedna babka się tu sprowadzi. Dwadzieścia pięć lat. Fantastyczna babka. Zaproponuj jej, żeby się wyprowadziła z tego hotelu i zamieszkała u mnie. Niczego więcej nie chce, tylko towarzysztwa. Niech zostanie w domu dwa, trzy wieczory. Będzie chciała przysiąc do łóżka — to dobrze. Nie, to nie. Wysocka, jak ja. Fantastyczne usposobienie. Wypijemy dwie butelki wina i bawimy się. Ja siusiam ze śmiechu. Fantastyczna... fantastyczna.

Śmiał się. Siwe klaki nad uszami, pochylał się nieco ku przodowi. Bawił, tylko dodał mu kopyta, rozkopie ziemię, pusieli się cwałem. To ta wódka daje mu tyle energii.

— He... he... — trząsał się ze śmiechu. — Ja miałbym godzić się z Justyną. Zamieszkac z nią. Nagły! Tu mi włosy na dłoni wyrosną. A ta babka fantastyczna. Jak pragnę zdrowia, szaleje za mną.

— Idź — zawołałem. — Idź stara malpo, bo jak cię trzasnę!

Wybiegł z pokoju, dyssałem jego śmiech. A potem śmiech i kaszeli. Zamykając drzwi i przez uchylone okno wciągnął motor.

Wyobrażałem ja sobie nieco inaczej, chociaż przeciw portret oddawał podobieństwo twarzy z czołem niskim zarosniętym gęstą czupryną rudawych włosów. Ze swego przeszłości wypadu do Afryki, nieprzemysłowego malarstwa z angielskim lordem, wydawało mi się, będzie bardziej kobieca, wiośna, trochę rozstrzępana i bezbronna. Nie miała klucza do domu. Otworzył. Weszła spokojnie, bezpośrednia, ciężko zbudowana i skromnie ubrana kobieta w wieku około pięćdziesiątki. W jej ruchach, w całej postaci wyczuwało się zmęczenie i jednocześnie podziwliwy niepokój. Była bardzo opanova. Powiedziała, że cierpi się z mego przyjazdu; chciała dawno poznać przyjaciela Mana. Będzie tylko krótko, musi odwiedzić wielu pacjentów, czas jest trudny, wszędzie grypa, ona sama dopiero niedawno wyszła z zaziębienia, ale prosi dziś wieczór do siebie na kolację: poznam chłopców, będziemy mogli dużo pomówić.

Wiedziałem, że nie czuła się dobrze w tym domu, nie u siebie. Przešla z korytarza do kuchni, odsłoniła firankę i spojrzała na ogródek. Westchnęła.

— Tu było tak czysto, miałam tyle kwiatów. A teraz nora lisia. Lis

tu mieszka w tym śmietniku. — Usiadła przy stole, położyła przed sobą torbę. Spojrzała na mnie.

— Jaka szkoda — powiedziałem — że nie możecie się pogodzić.

Przez chwilę nie odzywała się. Oczy miała brązowo-bure z zielonymi ognikami źrenic. Oczy kota; otwarte szeroko, a jednocześnie zamknięte na zieloną klamrę. Nieprzeniknione. W jej zaokrąglonych ramionach, ostroźnym przyczajeniu, podziwliwość, wyczuwałem kocią przenośność. Latwość skoku i odskoku. Ale nie była to filuterna, wdzięczna kotka. Nie. To była duża samica przemysłowego kocura-zbika. Drapieżna. Uważna, mająca się na baczności.

— Proponowałam mu tyle razy: zamieszkajmy razem, ty, ja i chłopcy... ale on nie niemożliwy. Awanturczy, brutalny. Zaczęło się od tego, że nie mógł się porozumieć z moją matką. Nie zgodził się. Na każdym kroku walki. A kiedy pojechałam do Afryki, ożenił się z taką dwudziestoletnią Marysią. A ona rozwiedziona już była w Polsce. Przez niego ta dziewczyna stała się alkoholiczką. Ten dom był czysty!... A teraz! Marysia cały czas była w tym domu. Pełno pustych butelek. Po dwóch latach się rozwiedli. Myślała, że Max jest bardzo bogaty, bo on tak się lubi rzucić, imponować. Wysłała potem drugi raz za nią. Ilepki. Wróciłam z Afryki... dowiedział się, że on się ożenił... Ja do tej Afryki... uciekłam.

Czułem się zaambarasowany. Widzimy się po raz pierwszy i od razu te zwierzenia. Jak on ja poznał? Dlaczego się z nią ożenił? Justyna spojrzała na zegarek. Wstała.

— Muszę już jechać. Mam pełno pacjentów.

Odprowadziłam ją do drzwi. Odwróciła się jeszcze. Prędkim spojrzeniem obiegła korytarz.

— Cały dom zadymiony. Pali bez uniarkowania. Tego domu nikt nie kupi. Czy Max mówi o Łukaszu?

— Nie. Nie mówił. Czy coś się stało?

— Znow „overdraft”. Był list z banku... Ach, no nie, do widzenia.

Wieczorem pojechałam z Maxem do domu Justyny.

— Słuchaj no — mówił — ty się nie masz co krepować. Ja jej ten dom kupiłem, dla niej i dla chłopaków. Ja płacę. A niech baba gotuje. Jechał, jak zwykle, bocznymi uliczkami. Czapka wciniała na czoło. Z taśmy magnetofonowej sączyła się cicha, namietna hiszpańska melodia. Max odwrócił słowem „croonera”.

„All I need is the air that I breathe

And to love you...”

Wjeżdżaliśmy w czarną zielen krzaków przedmieścia. Domy były tu rzadsze, w ogrodach. Kamienne płoty, pagórki i zakosy, labirynty małych alejek.

Przy mieście przy Maxa — skoncentrowany, atakował przestrzeń, zdobywał ciemność wieczornego wieczoru. Nucił.

— Max, słuchaj, dlaczego ożenił się z Justyną?

— Co ty takie pytała! Człowiek robi głupstwa. Byłem idiotą! Zamroczyło mnie.

— Ale coś chyba musiało być między wami. Zaczęło się w niej?

— Daj spokój! Jedną tylko myślą miałam z sobą.

— Isie!

Znow zaczął podpiepiewać. Romantycznie kołysał się w tak melodi.

„Making love with you
Has left me seeful, warm and tried...”

W półmroku samochodu siewi klaki wystające spod czapki. Czy to ten sam hoży chłopak opalony na ciemnonoraz, w furacze, sączący chłodny napój przy stoliku na tarasie kawiarni w Karlsruhe? Czy to ten sam Max uduchający spojrzeniem dziewczęta? Właściwie, to nigdy nie

poznałem go do głębi. Maxe rozmowy nie dotyczyły metafizycznych nianów istnienia. Max wiedział dużo. Był bystry i inteligentny. Nie posiadał jednak tej dyscypliny myślenia, która jest wynikiem systematycznych długich studiów. Nie był też filozofem. Wyczuwałem jednak, że poza pozorami szorstkości, agresji, nieraz brutalnej, władzę paśi imponowania, fanfanady, samochwalstwa, chętności do niczego, popisowania się znajomością w wielkim świecie, poza tą skomplikowaną zasłoną, ten „grand boulevardier” był i pozostał niepewnym siebie chłopcem, spragnionym ciepła i miłości kobiecej, która nie jest seksem, a czułością i utuleniem, tej miłości, której doświadczył tak niewiele.

Wiedziałem o nim mało. O rodzinie swojej mówił niechętnie. Był jedynym z sześciorga dzieci zamotanego kupca-restauratora na Śląsku. Jako najstarszemu wiele mu było wolno. W domu podporządkowanym kulturze niemieckiej, zakres życia matki Maxa obejmował kuchnię, kociółki i dzieci. Matka niewiele miała dla niego czasu. Kochał ją, czcił, podziwiał z daleka. Współczuł jej, ale jej nie znał. Imponował mu ojciec. To był wór, który nasiłdował. Miał pieniądze, umiał pić, leżył na kociółki i zakony. Hulal. Umarł tak; jak żył. Na schodach swego domu wypił duszkiem butelkę koniaku i padł. Max lubił o tym opowiadać. Chwalił się. Chociaż Max był zdolny, nauka szła mu opornie. Miał pieniądze, tracił czas na bombleki i dziewczyny. Nie wiadomo, czy skończył rok politechniki. Wojna wyrzuciła go poza granice Polski. Dlaczego? Nigdy się nie dowiedziałem. Służył w artylerii i w lotnictwie. Był odważny i przyjaźliwy. Mogłem na nim polegać, ale prawdziwego Maxa nie znałem.

— Jesteśmy — powiedział. Zatrzymaliśmy się przed cottage'm z dachem malowniczo zalanym. Łagodne łuki okiennych wykuszów, ołowiane szybki, ogród podpyłyjący aż pod drzwi. Angielskie ciepło i zaszłościado, spokój przyczmowanego na przystani jachtu. Łagodne, rozmarzone kołysanie.

Max spojrzał na mnie.

— No?

— Pięknie.

— A widzisz, widzisz! — groził mi palcem jak niegrzecznemu dziecku — Nie mówię ci? To jest, proszę cię, fantastyczny dom! Fantajga! A dzielnicą Milionerska. Ja jej to kupilem! Wyobraź sobie, że to kosztowało!

Trudno mi było rozstrząsać się po dziecinie, ale znając Maxa należało zachwyt podzielić co najmniej przez dziesięć. Dzielnica była ogrodowa, dostatnia.

Drzwi otworzył nam szczerpy, wysoki chłopiec. Czarne, nieporządne włosy opadały mu do ramion. Uśmiechnął się. Jego postać i twarz poza okularami była twarzą młodego Anglika. Miał pewnie około dwudziestu lat. Z całej postawy, pochylecia w naszym kierunku, wyciągnięcia ręki promieniowania opowiana, angielska uprzejmość.

— Mój najstarszy syn, Jan — powiedział Max.

Jan skłonił się. Przez niewielki hall weszliśmy do living roomu. Wygodne, angielskie meble, kilka obrazów, kwiaty, dostatnia precyzyjność, a w porównaniu z domem Maxa luksus ładu i czystości. Max zacierał ręce. Pochylił się, szczywał się.

— Sprzeczka się napiliśmy? — zaatakował mnie.

— Daj — powiedziałem.

— Już się robi! — Rozesiał się. Wbiegł niemal po kilku schodkach prowadzących do dalszej części domu. Jan stał niegrzecznie. Wysocki, wyżył od ojca. Czulem, że ma ochotę cymać.

— Co studiujesz? — spytałem wiedząc, że zahaczam go tym samym pytaniem, którym mnie w młodości zanudzało nowe poznani starsi panowie.

— Jestem na drugim roku architektury.

Chciałem pytać dalej, ale zatrzymał mnie spojrzeniem zza okularów, poważnym i chłodnym. Wydał mi się dużo starszy i jakby obarczony jakimś ciężarem. Smutny.

— Pan przejechał ze Stanów?

Skinelem głową.

— Chciałbym wyjechać z Anglii — powiedział.

— Do Stanów?

— Jeszcze nie wiem. Wyjechać z Anglii. Skończy studia i wyjechać. Australia, może Japonia, a może Stany albo Ameryka Południowa. Ale nie tu.

— Dlaczego nie tu?

Chciał coś powiedzieć, ale przerwało mu wrzaskliwe nawoływanie Maxa.

— Gruba baba, e... gruba baba, gruba Kaika!

— Excuse me — powiedział i wyszedł z pokąju. Słyszałem jego przyciszony głos:

— Mother is in the bathroom, she will ready very soon.

Max wszedł na tacy szklanki. Twarz mu szczerwiała i białe było, że już próbował wdłki z cytryną.

— No i dlaczego nie siądziesz? Siadaj tu na kanapie, widzisz ten portret?

Usiadłem. Czulem się fatalnie skrepowany, a jednocześnie blaźństwo tej sytuacji zaczynało mnie intrzygać. Na wprost kanapy, w ciepłych, rzeźbionych ramach: portret kobiety, Gole ramińska, długa szyja odchylona teatralnym gestem, portret XIX-wiecznej diwy. Z fosforujących błysków zielonokawy oczu przemawiała władza pewność siebie dojrzałej kobiety. Poprzez półprzysłniete powieki Max chłonał ciepło brzośkowiniętych i luzarowo-błękitych barw portretu. Popijałem drinka, patrzyłem na niego zdumiony.

— Wiesz kto jest? — podniósł rękę, wskazał palcem na portret.

— Babka Justyna. Była primadonną opery berlińskiej.

Myślałem: zwiariował, czuje dumę z powodu babki swojej eks-zony. Gdzie ja jestem? W jakim dziwnym tygłu pomieszanych uczuć? Nienawidzi teściowej, no to rozumieć, pogardza żoną, ale wiesz ja portret u siebie w domu. A teraz czuję go nienawna babka Justyna.

— Czy wiesz — przysunął się bliżej do mnie, tak, że omal nie zakrztusił się dymem jego papierosa — Czy wiesz? — powiedział tajemniczo — że Justyna jest wnuczką Bismarcka?

— Co mi jeszcze powiesz?

— No nie wiesz, cholera, nie wiesz! No to nie. A jak ci się Jan podoba?

— Przemiły chłopak. Tylko tak na swój wiek, smutny.

— Widzisz — Max odstawił szklankę, spowaźniał — on jest z naszej rodziny najśliczniejszy. Bo mówię ci, Łukasz miał ten szok, mental breakdown. Co myśnisz przesił!

— A teraz?

— No... płacę za psychiatrę. Ale czy on ci pomoże? Chodź na obiad.

Jadaliśmy niecierli, wybita boziera, stół owalny, nakryty obrusem, zastawiony porcelaną. Widąc było, że Justyna chciała mieć przyjać godnie i wiedziałem, że poprzez to przyjęcie pragnęła zrobić przyjemność Maxowi. Gdzie więc błąkała się jeszcze jakaś nitka sympatii, przywiązania pomimo wszystko, a może tylko pragnienie powrotu do dawnych marzeń z pierwszego okresu ich współżycia, chęć naprawienia tego, co tylekroć naprawiane psuło się, wymykało im z rąk, aby raz jeszcze zwozić iluzę zacynienia od początku. Wiedziałem, jak Max wciągnięty w magiczny rytuał naprawiania, przeobrażał się i jak w roli rodzinno-goscinnej pomagał w kuchni,

kroili chleb, mięso, zachwalał zdolności kulinarne Justyny. Stawał się dawnym Maxem, którego polubiliśmy, z którym związała mnie przyjaźń. Myślałem: pogodzą się i może ja im w tym pomogę, pomówię z Maxem. Przecież mają troje dzieci. A oni sami nie młodzią, będą coraz bardziej sobie potrzebni. Justynie też już pewnie wywierzają z głowy wypadki do Afryki czy inne kontynty. Przyglądałem się jej. Podniecona nastrojem Maxa, promieniała. Mimo tuszy poruszała się lekko, chociaż daleko jej było do gracji i finezyny urody babki z portretu. Wsiady miała krótkie, silny kark, gęste rudawo-kasztanowate włosy zwierzchnie, niskie czoło spod którego mocne, ciemne spojrzenie dużyh oczu. Ale było to spojrzenie, z którego niewiele mogłem wyczytać, bo jakby za zasłona opanowania, ukryte poza narzuconą masej sobie maską spójności. Pomimo przepracowanego dnia, długich jazd samochodem, wyciż po domach pacjentów (tu jeszcze lekarze odwiedzają chorych w domach), wydawała się nie zmęczona.

— Siadaj! — zapraszał Max — kolacja gotowa. — Spojrzal na Justynę. — A gdzie chłopaki?

Wzruszyła ramionami.
— Wolalam. O. Eryk już schodzi. Ale prosił, że że później, przyszedł do niego kolega, idą razem na wieczorek. Pozwoliłam.

Wysoki, jak wyciągnięty pręt młodego drzewa, wiotki i delikatny z jasną głową cherubinka, najmłodszy Eryk, czternastoletni, skłonił się przede mną.

— How do you do, sir.
Zadziwił mnie ton jego głosu: dziewczęcy, śpiewny, jak u chłopców już dojrziałych, nie był jeszcze przed okresem mutacji. Eryk wydął mi się dorosły, poważny, a ten głos jakby wszystkiemu przeczył. Uśmiechnął się, podszedł do Maxa.

— Daddy, may I be excused?

Max skinął głową, spoglądał na chłopca z czułością. A kiedy Eryk podszedł, zbliżył się do mnie, pochylił, jakby zwierzał mi sekret:

— Ten chłopak ma przed sobą fantastyczną przyszłość. Cudowny głos. Dam ci taśmę, usłyszysz, jak on śpiewa. Dwa razy w tygodniu wożę go na lekcje. Fantastycznie. Dolać ci wódki? Nie? No to pójdź.

Wychylił swoją szklankę. Dolał sobie wódki, zapalił papierosa.

— Za dużo palisz, Max.

— O znów, znów te amerykańskie wymysły. Palenie nikomu jeszcze nie zaszkodziło!

— Co ty opowiadasz? Wiesz przecież, co wykazują badania.

— Ty mnie z paleniem zostaw! Ja się rozchoruję, jak przestane palić.

Twarz mu nagle szczerwieniała, stęzła, w oczach chmury. Spojrzal na wychodzącą z kuchni Justynę. Warknął:

— Dlaczego oni nie przychodzą?

Justyna opasana fartuchem weszła do połowy schodów prowadzących do sypialni na piętrze. Zawołała:

— Luke! Jani! Dinner's ready!

Jan zjawiał się od razu. Spokojny, aż flegmatyczny. Inteligentne spojrzenie spoza okularów. Przywitał się, usiadł, zamknął. Staralem się nawiązać rozmowę. Odpowiadał krótko, uprzejmie, uciniał. Siedzenie z nami przy stole wytrąciło go z czegoś, nad czym się teraz zastanawiał, co być może rozważał, że spraw dużo ważniejszych niż rozmowa z przyjacielem ojca.

— Ja już zaraz podaję — powiedziała Justyna — nie czekajmy na niego. Zjedzmy spokojnie.

— Łukaszu! — huknął Max. — Natychmiast na obiad.

Justyna przyskoczyła oczy, szepnęła:

— Wczoraj po dwóch nocech nieobecności w domu wrócił, radio na całą parę, wypił pół butelki mojego najlepszego wina i wymyślał.

— Zamknij się, durna babo — syknął Max. — Mówię, że ma przyjeść, to przyjdzie... chociażby...

Łukasz zszedł bezszelestnie po schodach, jak kot. Był najładniejszym z trzech braci. W dużych, brunatnych oczach sennie rozmarzenie. Wydął mi się zalawie uczepiony naszej rzeczywistości, sżywał w sobie tylko dostępnych sferach. Przywitał się, usiadł i natychmiast wyłaczył się, usiekił w jakieś koliste wirowanie.

— Zdecydowałeś się — powiedział Max. Widziałem, jak rozżarzały się czerwone błyski w jego oczach, jak wściekłość, wbrew samemu sobie zaczynała go ogarniać, podpyliwać mu do gardła.

Łukasz spuścił głowę, proste czarne włosy opadły mu na twarz.

— Kazałeś na siebie czekać — Max zapalił papierosa.

— Ale chociaż przy jedzeniu nie pal — powiedziała Justyna.

— Milcz, gruba babo!

Max — położyłem mu rękę na ramieniu — Max. Proszę cię...

— Zostaw — powiedział. — Wiem, co robię.

Justyna wyszła do kuchni, wróciła niosąc półmisek z pieczeni.

Nakładła na talerze. Łukasz podniósł głowę, jego młokie usta, które latały mogły wykrzywić pasę rozpaczy i okrucieństwa, drżały lekko. Przetrzął czoło wzierchdomi. Poczułem się niewygodnie, wplątany w jakiś koszmarny wbrew me racy. Pokoły kół się jak okret, który za chwilę porwany szaleń ryczącą kowalski rumie w otchłań.

— Cóż żeś zrobił z tym ciekłem? — Max pochylał się w stronę Łukasza. — What did you do with the check? — Oczy Maxa palały, były oczami nacierającego bawola.

Łukasz milczał. Ręka z widełem, na którym kawalem krwistego mięsa, znieruchomiła w połowie drogi do talerza do asy. Odłożył widelec. Nagłym ruchem odsunął krzesło. Wbiegł po schodach. Trząsnięcie drzwi. Justyna zakryła twarz rękami, płakała.

— Nie rycz — huknął Max. — Nie rycz, tyrał! Jedł.

Dolał sobie wódki, wychylił jednym haustem.

— Cholera — powiedział. — To jest kolacja w naszym domu.

Justyna uniosła się. Nos jej szczerwieniał, spuchł, wytarła oczy chusteczką, spojrzała na Maxa.

— ... więc te listy leżały dwa dni nie otwarte — mówiła spokojnie, równym, beznamiętnym głosem — wiedziałam, że z banku... otworzyłam. Pokazałam mu. A on ryknął wściekle: „Ostatni raz mówię, że nie wolno cudzych listów otwierać!“ Sprzątaaczka uciekla przerażona. Pokazuję mu list, mówię... — zamilkła nagle.

Max uniósł się za stołem, zduszonego, niskim głosem wycedził:

— Bo po co żeś głupia babo otwierała cudze listy?

— Jak to ty? też na mnie! Pokazałam Łukaszkowi list z banku. To był „overdraft“! I zapłaciłam dwieście funtów. Mówię do niego: dwieście funtów zapłacila. A on na to: „And so you should“.

Ostrożnie, bezszelestnie Jan wysunął się z pokoju. Zniknął. Max milczał, wydawał się odwręty albo zupełnie pijany. Było mi duszno, gorąco, wydawało się, dom się kółszę, zaczynała mnie boleć głowa. Chciałem powiedzieć Maxowi, że późno, że może powinniśmy już wracać.

Zorientowałem się, że Justyna mówi do mnie. Była podniecona, gestykulowała, przechyliłem się w jej kierunku. — ... po tylu latach zbuntowała się. Gotuję, piorę, zyskuje, a oni na mnie. Ubliżają mi. Mam tego dość! Ja jestem stworzona na to, żeby mieć dom spokojny, gotować, wychowywać dzieci. Tylko jak jęde do pacjentów, to zapominam o wszystkim. Niebie Maxa ale on jest brutalny, bez finczy. Od dawną, mówię to otwarcie, łożko nas nie łączyło...

Max podniósł głowę:

— Co ta durna baba plecie? Ej, durna Kaśka dawaj kawę, muszę prowadzić samochód.

Justyna podniosła się i wyszła do kuchni. Max spojrzał na mnie: — A ty mi bzdurysz o jakimś poszerzeniu, wzbogaceniu kulturalnym? Po jaką cholere! Człowieku! — rąbnął nagle pięścią w stół. — Ja ich nie mogę nauczyć odpowiedzialności! Odpowiedzialności! Rozumiesz?

— Nie demerwuj się Max. To młody chłopiec. Ty też w jego wieku...
— Nie, nie do tego stopnia...
— Wyrośnię z tego...
— Może...

Z przetrwonionego kieliszka czerwone wino sączyło się na obrus. Gęsty dym grył oczy, gardło. Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość Maxa. Wtedy, w latach czterdziestych był inny. A może to tylko czas i odległość retuszują półzabraną obrazę? Może tak za światem, który nie wrócił, przetwarza surowe doświadczenia w urokliwe pasma jedwabiu? Wrażliwa i zachłanna jest nasza pamięć. Domaga się holdów i aureoli. W coraz wyższe stroimy ją koturny unikając otwartego spojrzenia twarzą w twarz. To tylko zdarzenia najbliższe traktujemy ostro stosując do nich osobne kryteria analizy. Być może, z odległości inaczej spojrzę na przyszłe spotkanie z Maxem. Zostanie ciepło przyjaźni, serdeczność położoną na ramieniu dłoni, to co niewypowiedziane, a wycytane tylko w oczach. Zostanie Max zawiadaczający, nieco szalony, zwalczający w sposób sobie tylko właściwy demony czające na drodze jego przeznaczenia.

— Justyna, — zawolał — dajesz te kawę?
Wesza posłusznie niosąc filiżanki z kawą. Skrzywiła się:
— Co za dym! I wszyscy, Jan, Łukasz kopieć nieśliosiernie. Tylko Eryk...

Max roześmiał się. Zakaszlał. Poklepał mnie po ramieniu.
— Jutro odwiozę cie do lotniska. Nic się nie bój. Górzę byłem zalany i prowadźłem. A najważniejsze: dojechałem. Tylko widział, trzeba boczynami ułizkami, żeby policja nie złapała. Ta moja czapka z daszkiem uważasz, coś się tak nad nią wydziwiał...
— Co ty z tym wydziwianiem! Piałem tylko... bardzo mi się podobała...

— No dobra! Więc widzą taką czapkę: myślą robotnicar wraca z pracy. Robotnik, to swój. Trochę tam nie tego... nierówno, ale dojeżdża. Dowiodz, nie się nie bój.

Następnego dnia rano obudził mnie: śmiechy, wykąpany, ogolony i już po wódce z cytryną.

— Ubiaraj się — powiedział — bo to że dwie godziny jazdy. Tarasują te drogi, wszystko pcha się samochodami. Inaczej to trzeba by było urządzić, i ci angielscy kierowcy... Zniósł moją walkę narzekając, że wózę ze sobą kamienie. Usadowił się za kierownicą, wcisnął na czoło swoją robotnicarską czapkę i włączył magnetofon. Ciepła, hiszpańska muzyka wypełniła wnętrze. Max wtęrował śpiewakowi: „All I need is the air that I breathe and to love you...”

— Kiedy tu przyjeżdżasz? — spytał i nie czekając na odpowiedź — Przyjeżdżaj! U mnie zawsze masz miejsce.

II

Zobaczyłem go znów jesienią 88 roku. Po prawie czterdziestu latach po krajem otrzymałem wizę do Polski. Zdecydowałem się lecieć przez Londyn. Nakreśliłem numer telefonu Maxa. W moim podnieceniu wyjażdem nie zorientowałem się, że jest już dobrze po północy, a w Anglii dochodzi dopiero 6 rano.

W słuchawce jego gardłowe „Hello!”

— Max — zawolałem — przepraszam, że tak wcześnie.
— Any time — powiedział. — Stało się co? Przyjeżdżasz?

— Jada do Polski.

— Dali ci wizę?

— Wyobraź sobie...

— To leć lat ci trzymali?

— Prawie czterdzieści...

— A to dranie... niech ich! Kiedy tu przyjeżdżasz?

— Można na kilka dni do ciebie?

— No co się pytasz! Klucze będzie pod słomianką. Bo ja mam, uważasz, teraz pewne zamówienia i muszę wyjeżdżać na cały dzień z Londynu.

— Co robisz?

— Pogadamy.

— A co u ciebie? Pogodziłeś się z Justyną?

— Zwirowałeś! Niech mnie Bóg broni. Znalazła sobie gacha...

— Jak to?

— Przyjeżdżaj, napijemy się, porozmawiamy.

— A chłopcy?

— Chłopaki są u mnie.

— A Łukasz?

— Łukasz... powiem ci. Kiedy będziesz?

Ustalilem z nim datę przyjazdu. „Klucze będzie pod słomianką” — powtórzył. Prosił, aby się rozgościł, wszystko będzie dla mnie gotowe. Po całonocnym locie w duchowie i ścisku (im nowocześniejszy samolot, tym siedzenia są się węższe, wygodnie w Heathrow. Rozległa, gładka przestrzeń lotniska faluje bezosobowym półpiechem. Jestem jednym z małych pyłków ludzkich, które unoszą pasy transmisyjne w dół, w górę, kierowany strzałkami i znakami, szeregowany w kolejkę, obcy wśród obcych. Sam. Za tafiłami okien szare, smętne angielskie niebo. Ale jest jeszcze bardzo wcześnie, pocieszam się, że może się rozgościł.

Max mieszka na południu Londynu. Z lotniska muszę się dostać na stację „Victoria”, stamtąd „undergroundem” do węża Earl’s Court, gdzie przesiada do lokalnej kolejki. Prowadzony znakami, posuwam się tunelem z obszaru lotniska w kierunku stacji kolejki. Mijają mnie milczący ludzie. Spojrzenia zwrócone przed siebie, niewiedzące, zapalone w głąb własnych myśli. Mijają tylko reklamy na ścianach. W rogu betonowego korytarza sedzisz okrytych. Przed nim — koszyczek na dątki. Muzyka gubi się w szumie nadjeżdżających kolejek.

Zapamiętałem Londyn z czasu wojny. Zachowałem dla tego miasta sentyment. Ale to nie był nastrój tego samego Londynu, ani z lat czterdziestych, ani później, z lat pięćdziesiątych. Nawet w ostatnich trzech latach coś się zmieniło. Z „Victori” dojechałem do „Earl’s Court”. Na peronie papiery, brudno. Tłum czekających. Poranny tłum pracującego Londynu. Milczące, chmurne napięcie. Przysiadzenie. Zmęczenie. W tłumie tym, każdy jest ciężką osobą. A jednak jakieś niewidoczne spoidea, korzenie rozgałęzione w trzech wieściach miasta łączą, wiążą pojedynczość w przyległą do siebie masę. Rejestruję podobne u wszystkich zaciecie ust, nieruchomość twarzy, w których jakby uparta, a jednocześnie ukrywana złowść. Czyżby niechcący do dnia, który dopiero się zaczyna? Brak zaufania do dnia, które nadchodzi?

Pomiędzy tłumem widzę czasem mundur pracownika „undergroundu”. Spod czapki wilgotne ciemne hinduskie oczy. W budkach z gazetami i słodyczkami — Hindusi. Sprzątaacz na peronie kolejni — Hindusi. Otyłe kobiety w nieporządnym sari i grubych sandałach na bosych nogach niosą, ciągną za rękę daleci o ogromnych oczach i jedwabnych rękawach. Wydaje się, jakby tysiące brunatnych, pachących motyli o blyszczących, wypukłych oczach spadło nagle na Londyn.

Czekam na swój pociąg. Obserwuję tablicę świetlną, która powinna zaanonsować przyjazd. Drazgi grzają, wiatr szepie i mży. Wilgotno. Wiatr hula po peronie. Preenka. Na tablicy pokazuje się nareście nazwa mego pociągu. Tlum zruca się nerwowo, napiera w milczeniu, wyczekuje przyjazny tuł przy szynach. Stłumiony mikrofonem głos kierownika ruchu. Z góry, z swego bociącego gniazda, obserwuje stację. Szum. Zgrzyt hamulców. Pół wehdoze, a pół wpychają mnie do wagonu. Niespodziewanie znajduję wolne miejsce w końcu przedziału, przy drzwiach.

Szarpnięcie, zgrzyt, kołysanie. Pociąg rusza. Nikt nie mówi. Ludzie poddają się kołysaniu wagonu. Reklamy krzyczą ze ścian: namawiają natrętnie, zachęcają, umiagają się do pasażerów, stwarzają złudzenie intymności. Brud podłogi, okna pod warstwą sadzy i kurzu. Kto napisał, że Anglia jest ogrodzonym wieśm iu? To Amerykanin Ralph Waldo Emerson, filozof, poeta i historyk. Przyszło 140 lat temu wyprawą żaglowcem z Bostonu do Liverpoolu. To on twierdził, że prawdziwy filozof i prawdziwy poeta nie różnią się. Piękno, które jest prawdą, a prawda, która jest pięknem jest celem obydwoh.

Wyleźdźmy z tunelu na powierzchnię. Angielskie niebo koloru popiołu. Widzuję szczy, na stromej ścianie wykopu — dzikie róże porastające chwastami. Kolczaste krzaki, na których zawisły strzepy papierów. Nie ma tu „pół wyczesanych i ugładzonych, jakby nie pługiem a dotknięciem olówka”, tych pół, które oczarował Emerson. Czy Londyn jest Anglią? Czy też Anglia to tylko angielska prowincja, a ten molocho, to że bóstwo ognia, nienasycony tyran o tysiącach odizolowanych odnóg, gdzie legnie się nuda i przestępstwo, a samotność pełni się w rozsypanych się murach stawianych przed stuleciem, jest tylko symptomem naszych czasów, objawem patologii chorego świata? Emerson widział Londyna muzeów, sal koncertowych, bogatych hoteli, czujących ogrodów. Tu, w czerwcu 1848 roku jadı obiad ze schorowanym, uciążonym wyprawą do Anglii Chopinem. W tym mieście na zawase pozostała skarga słabającego Fryderyka: „Jaz ledwo żyję... bliżej mi do trumny...”

Spoglądam na twarze ludzi w wagonie: zamknięte, spięte, zmęczone. Znamie naszych czasów czy charakter angielski? Emerson pisał, że Anglię są „morose” — ponury, niechętni do nawiązywania kontaktu. Więc czyżby ludzie zmienili się tak mało? A ja jednak pamiętam innych Anglików podczas wojny: odważnych, pomocnych, nawet entuzjastycznych, delikatnych, niecierpliwych, wspaniałych. Czyżby stracili ten element wiązacy, który łączy ich z naszymi nieszczęściami?

Przejeżdżamy Tamizę. Ciemna woda rzeki wydaje się gęsta. Migają rządy domeczków z ceglannymi kominiarni. Wsiadamy na jednej z tych małych stacyjek nawleczonych, jak tanie piociorki, na czerwona linie „undergroundu”. Stacja nieprzełomiona, zamiatana wiatrem. Śwąd smarów i spalin. Wiskający się do czu kura. Zapach mydła. Dwie kondygnacje betonowych schodów prowadzą na ulicę. Kontroler-Hindus sprawdza mój bilet. Stacja kolegijski jest w centrum handlowym: sklep kolonialny, piekarnia, rzeźnik, apteka, rybnarz. Tuż przy wyjściu z kolejki — kioski z gazetami i wiankami kwiatów w zielonych kubbach. Rozplanowanie drożnicy, motowozów i sklepów powtarza się. To nieuliczny wzór osiedli podmiejskich Londynu. Przy kiosku skrzęciem na lewo. Stwierdzam, że mogę głęboko oddychać. Mimo późnej jesieni w ogródkach przed domami krzewy kwitnących róż. Wehłania mnie płatnina wąskich alejek z przylepionymi do nich domkami. Jest tu zaszklone, rozdzienne, ładnie. Inaczej jest w Stanach. Tam szerokość, rozmach nieba i dróg, kaskady drzew w nutach, jesiennych barwach cynobru, złota i wino. Tu, barwa i wód rosy, a ściśnięcie, które jest ograniczeniem, przypomina, że kraj ten

jest wyspa, gdzie każda piędź ziemi przetworzyła, ugładziła i wzięła we władzę panowanie rąk człowieka. Tam jeszcze dzikość, nieokreślone szaleństwo przyrody wynikające ze spod kontroli. Tu już wszystko wymierzone, ustalone, poddane sobie, zamknięte. Sprzedam adres: 1305 Rosemary Street. Staję przed domem: nie są nie zmienilo. Taką samą rudera.

Zdżiracle krzaki róż, furtka na jednym zawiasie, szal chwastów. Podgrzeliwio sprząłem na słomiankę. Dotknąłem jej ostrożnie. Poruszone plusnę na mnie jak żęłczy kot wiskieła chmara kurza. Ale kluczył był. Poczuły klucze położony ręką Maxa. Z halla zionęło wilgotną zimnicą. Widocznie oszczędzał na opale. W breakfast-roomie kot próbował zdżiracle tapetę. Może poczuli odwiezania domu? Płaty wilgotnego papieru zwisały w smętnym oczekiwaniu. Opróczek za oknem chwilał się sobiepańsko. Zlew był pełen nie pomyślnych szklank i talerzy. Przepeliony kubek na śmieci zerkał lobuszersko. Otworzyłłem drzwi: zszkła i losos.

Umylem się, zjadłem chleb z lososiem, rozpakałem walizkę i postanowiłem pojednać do miasta. Tylko — zwałęm — połozę się na kilka minut, na male pół godzinki... Otuliłem się kocem, kapa, narzućłem na to sweter, przyknałem oczy. Obudził mnie Max.

Wstawał! Pojeżdżym do knajpy!
Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Za oknem było szaro...
— Do jakie knajpy?
— Ja do złej nie chodzę. Włoska knajpa. Fantazja! Właściciel jest moim przyjacięlem.

Zerwałem się z łózka.
— Paskierł! Przespalem cały dzień!
Max śmiał się.
— Chcesz sprzyrceka? Postawi ci na nogi!

Dawał!
Ruszył łazecznym krokiem, nieco pochylony, Pogwidywał... Kiedy szedłem na dół siedział już w foteli w swoim living-roomie, patrzył na TV, palił i popijał wódkę z cytryną. Fotel Napoleona królował na swoim miejscu. Wisiała też fotografia Jerzego VI, ale portret Justyny zniknął.

Max podał mi szklankę.
— Wypili, zobaczmy „News” i jędzemy.
— Max, jak się czujesz?
— Zmierzniłem, co?
— Trochę.
— Operowali mnie.
— Nie pisałeś.
— Co to o takich rzecząc pisałeś? No, mam raka. Ale nie jest źle. Niegrzeczny. Z tym można żyć. Twarz miał czarna. W oczach gasły zaczepne ogniki. Posiwałem. Rece mu drżały, zdusił papierosa w popielnicę i natychmiast zapalił nowego.
— Max, chyba nie powinieneś...
— Słuchaj no, palilem i palić będę. Przestane palić — koniec ze mną.

— A co o Justynie?
— Podrwał się. Była tu? Była?
— Nie. Zeszła nie wiem. Spalem.
— Ona teraz lata do gacha. Wyleźdź z nim na jakieś wyspy.
— To nie pogodziłście się?
— Nigdy! Na mój pogrzeb niech nie przychodzi! Ona, rozumiesz, ma teraz duże kłopoty z Łukaszem. Nie może to nie obchodzić! Nie! Zaperzył się, oczy mu ściemniały. Pobiegł do kuchni i wrócił z napelnioną szklanką.
— Max, spokojnie. Ale Łukasz to przecieć twój syn.
— Jej odpowiedzialność? Suka! Zostawiła dziecko!

— Kogo sobie znalazła? Przecież ona... ile ma lat?
 — Co tu lata znaczyć!
 — Kto to jest? Kto? Znasz go?
 Przygłębiam mu się. Podrażniony chodził po pokoju. Przysnął nagłe, burknął.
 — Co się tak patrzyz? Kto? Kto? — przedrzeźniał. — Ubięraj się. Jedziemy do knajpy. Napijemy się, zjemy, powiem ci.

Pojechaliśmy na Hammersmith. Jest tam mała restauracyjka wsmięta przytulnie w ciastną, ślepa uliczkę. Ciemno, tylko światło nad drzwiami. Tu może trafić dobiego zorientowany Londyńczyk. Albo Max. Na zewnątrz — właściwie nie. Ale pełną drzwí i to pchnąć w sposób umiejętny — zaraz półmózek uorkuliny i zapachy: gorgonzoli i parmigiano, majeranku i oregano, delikatny czosnek i smażonej oliwy. Przytulniona włoska muzyka. I włoskie ciepło. Łagodna, ogarniająca atmosfera, która nadaje rozmowom intymność sceniczną. Głos modułuje się, cisza do szeptu, zwierzenia płyną jak strofy wierszy, wino upokaja i koi. Życie, różowy balonik kołysze się w hipnotyzującym tańcu.

Długi, biały fartuch, koszuła z ciemną muszką, głowa wylakierowana na polysk hebanu, niewielkie oczy — dwie czarne oliwki, to kumpel Maxa, Luciano, właściciel restauracji. Kelnerzy z serwetkami przesuwanymi przez ramię tańczą wokół stołków, ale nas prowadzi sam wielki Luciano do zarcherowanego miejsca. Podaje karty. Uśmiechy, poklepywanie po ramieniu i teraz przyciszone naradzenie się. Wino bianco? Wino rosso?

— Cogniac. A potem wino rosso?
 — Antipasti?
 — Co proponujesz Luciano?
 — Trota in Carpione, Carciofi Ripieni, Mellanzane alla Siciliana.

This is very good.

— Mellanzane?
 — Si.
 — Dawaj!
 — Zuppa?
 — Nie będziemy jedli zupy.
 — OK! No zuppa. OK. Scallopine al Marsala con Funghi?
 — O! To dobre. Daj Veal Scalops z pieczarkami i w winie.
 — OK. Scallopine al Marsala con Funghi. OK.
 Luciano poklepał Maxa po ramieniu, chciał odejść. Max przytrzymał go za fartuch. Szepnął: „Nie przyjeżdżaj!”

Włoch wzruszył ramionami. Czarno-biały, niewielki, z ukośnym wzniesionymi łukami brwi, grymas uś półplacizwy, półkpiący, wydał się „Pagliaccio” na scenie iskrzącej się coraz bardziej zabłoconej tawerny. Za chwilę odpisując swoją arę, odejście klanające się w pas.
 — I co? — nalegał dyszącym szepetem Max. — Nie pisze? Nie mówi kiedy...

Luciano kręcił przeczącą głową.

— Ale ty pojeździsz?
 — Si... si... si... in summer.
 — Zobaczyć dzieci?

— Si.
 Odpłynął, z korytarza słychać było jego głos, melodyjny, włoski tenor, zamawiał potrawy. Max przechrzył się ku mnie, widziałem, że był w doskonałym humorze. Oczekiwanie na drinki, perspektywa dobrego wina, ceremonialny nakładania potraw na ogrzane talerze, biel serwet, lekkie, ale coraz głośniejszy gwar rozmów, wóń włoskich przypraw, przyjemny zapach dobrego alkoholu, rozmarzająca włoska muzyka sącząca się z ukrytych w ścianach głośników, cała ta atmosfera stworzona na krótko iluzji życia, rozrzucała go.

— Mój stary młak rączę — powiedział — zjeść, ubrać się i baby... tylko, że z babami he...he...he. Widziałeś tego Luciano...

— No tak, to twój kumpel, właściciel restauracji.

— Powiedziałem... coś w tym stylu. Ja tu widział, czuję się trochę zobowiązany. Ja go zapoznałem z tą Malgosią...

— Z jaką żndw Malgosią?

— Taka jedna babka, była moją lokatorką.

— Zaczynam rozumieć Justynę.

— No...no...ty już z zostaw, ja ci potem o niej powiem, to ci włosy staną na głowie... Ta Malgosią zamieszkała u mnie, wynajęła pokój, to wszystko. Pewnego dnia tu ją zaprowadziłem, chciała jakąś pracę, znalazłem trochę Luciano. Zatrudnił ją jako kelnerkę. Po kilku tygodniach Luciano mówił do mnie: „Będę się żenił.” Krzywe:

„Zwariowałem?” On nie — kocha się. Człowiek się wkopał zupełnie. Kupił mieszkanie, nowy samochód. Ze cztery lata był razem. Dwoje dzieci im się urodziło. Ładne dzieci. On za tymi dziećmi, mówię ci, zupełnie wariował. No i pewnego dnia, proszę ciebie, zabrała wszystkie pieniądze z banku, dzieci w samochodzie do FRL-u. Chłop został bez pieniędzy, bez samochodu. W rozpaczy. Przyleciał do mnie, placze. Telefonuje do niej, tam, do jej matki. Nie. Nie przyjeżdże. Tak mu zadala bobu. A myślisz, że ona jedna?

— Dlaczego, powiedz.

— Pytasz się? Dlaczego? Polaczek! He... he... he...

Luciano przyniósł koniak. Postawił przed nami talerzyk z cieniu-kimi platkami proszutu i kawalkami soczystego melona, włoski puszysty chleb i masło.

Spojrzeli na siebie z Maxem. Rozemnieli się.

— See you later — powiedział Włoch. — Bon appetit!

— Grazie, Luciano.

Max napelniał kieliszki. Rozsiadł się wygodnie na kanapie.

— O, to jest życie. Tak powinien człowiek żyć.

Smarował chleb z masłem, jadłem proszutu, popijałem koniakiem.

— A co z Justyną? — spytałem.

Powoli mi powiedział ci. A z tym Luciano... ostrzegalem. Radziłem: zamieszkać z nią. Ale nie żen się. Widziałem, porządny chłop, baba go wykończy. On nie i nie, zakochał się. Rozumiesz? No i co? Wykonczyła go. Teraz do Polski jedzie, dzieci odwiedza. I płaci.

Takie to, rozumiesz, Polaczki — megierki.

Ty też się kochałeś.

Nie odpowiedział. Dolał sobie koniaku. Wypił jednym haustem. Nie patrzył na mnie. Bębnił palcami po serwecie. Zrobiło mi się przykro. Uzarłam go.

— Max... — szepnąłem.

— Czekaj! — przybrał mi. Ton jego głosu stał się inny: ochryply, niski. — To się chyba zdarza tylko raz w życiu. Boże... jak ja ja kochałem. — Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem. To było na dancingu. W Biabym Orle, Sylwester, zabawa karnawałowa. Wiesz, wszystko zbłądło. Ludzie jakby znikli. Tylko ona. I ona też od razu szła ku mnie. Ty jej nie pamiętasz, pokaż ci fotografie. To nie była jakaś klasyczna piękność. Ale... urok... taka delikatna... cytałem, zlamie mi się w rękach... i nikt nie był dla mnie takli... a, to tu mówię.

— Dlaczego się nie ożeniłeś?

Poderwał się, wycedził burkliwe:

— Z czego? Z czego miałem ją utrzymać? To były lata czterdzieste, niepewność. Ona wtedy przyjechała z Polski i nie chciała wrócić. Nie znała angielskiego. A ja tylko tak, dorywczo: tu kupiłem, tam sprzedałem. Nie miałem mieszkania. Umiebowany pokój mieliśmy razem z jednym byłym lotnikiem.

— Więc co z nią?
— Wyszła za mąż. Wyjechała do Stanów.
— I wtedy się skończyło?
— O nie. Wtedy właśnie się zaczęło: rozeszła się, nie mogła żyć bez mnie. Wróciła.
— Wróciła?
— Dość! — wyprostował się. — Nie mogę teraz o tym mówić. Teraz posłuchaj o Justynie.
Kelner podchodził z wózkiem, na którym były zamówione Mellanzane alla Siciliana. Luciano kręcił się teraz przy innych stolikach. Najważniejszym aktem było samo podanie: z owalnych, posrebrzanych półmisek przybranych puszystą salată miody Włoch, jak sztukmistrz zrzęcznie i z wdziękiem, przekładał potrawę na nasze talerze. Były to smażone w oliwie kabačky zaprawione wódką pikantną. Wino ciemne, ciepkie i chłodne przewiałło rubinowo przez szkła kieliszków. Smakowało jedzenie wchłonięło nas. Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu. Max podniósł kieliszek, zbliżył do swojego kieliszka. Wypiliśmy.
— Za takie samo spotkanie w następnym roku.
— Za twoje zdrowie — powiedziałem — i za stare czasy.
— Za stare czasy.
— Za stary świat, który zdera erozja.
— I zebra, he...he...he...
— Za marzenia, które diabli biorą.
Piliśmy.
Max zawołał kelnera, zamówił drugą butelkę.
— Wiesz — powiedział — ona właściwie nie miała domu. Nie miała prawdziwej rodziny.
— Kto?
— No, Justyna. Ta jej matka, sekunika, trzy razy się rozwiodła. A to było jedyne dziecko. Ojciec... mówiła mi, ojciec zginął w Katyniu... Ale ta matka, kiedy, zostawiła małe dziecko, no, zostawiła Justynę i wyjechała za granicę. Później, jak przyjechała tu, a Justyna tak czekała, tak czekała, bo wiesz wybaczyła jej wszystko i tylko wybaczająca sobie, jak ją matka powita...
— Nie rozumiem, kiedy ją ta matka zostawiła?
— W czasie wojny. Justyna sama się wychowywała. U obcych. Potem jakoś się spotkały. A potem Justyna wyjechała do Anglii, tak zaraz po Gomulce.
— I tu nostryfikowała medycynę?
— No tak. A że nie miała pieniędzy, to zaczęła pracować jako barmanka.
— To tak ją poznałem. W barze.
— Zarządzałem wtedy tym barem. Zależała ode mnie.
— Rozumiem.
— Nie nie rozumiesz i wcale nie o to chodzi.
— Ty jej jednak bronisz.
— Związałaś! — zaprzeczył się. Zawsze był pobudliwy, prodkis, ale teraz o byle co wybuchal. Ten stan uwarunkowania zwiększył się od mojej ostatniej bytności w Londynie.
— Przecież Max był chory — tłumaczyłem sobie — był operowany, sam powiedział, że ma rak.
— Przecież było to niego poprzez stół.
— Max... mówilem uspokajające — Max... wolnego... sam przecież chciał...
— Wyprostował się, opłany, starał się rozemścić. Zawołał za przyjującym się pomiędzy stolikami Luciano:
— Dajesz Scallopine? Ej, Luciano, Luciano...
— Włoch rozemścił się. Odkrzyknął:
— Uno momento.

Max dopił wino z kieliszka, dołal mnie i sobie.
— Wiesz, u mnie to była rodzina. Ojciec to był ojciec, matka na swoim miejscu. Dla mnie nie miała wiele czasu, bo pięćrodo młodszych. Ale stary mnie kochał. Rozpuszczał. Byłem do niego podobny. He...he...he... Jak był, taki byłem... baby lubił, popić... ale rozumiesz, był odpowiedziałny. I to ja mam po nim. Więc wyobraź sobie, Justyna wraca z tej Afryki. W ciążę. Chłopak mi oje okropny stan. Przysięgałem sobie, że jakby przysła, wróciła, wyrzucę na zbyty leń. Klepała przede mną, całowała po rękach, rzywała. Ale chłopaków było mi żal. Moje dzieci. Kupilem ubrania, posłałem do najlepszej szkoły, kupilem tamten dom. Eryka przyjałem jak swego. Myślałem czasem: może się zejdzie. Ale powiem ci: nie miałem do niej serca. A teraz, nie uwierzysz, co ona teraz zrobiła.
— Mówił, znalazła sobie kogoś.
— Jedzie z gachem na jakieś wyspy. Mówi: zmęczona. Musi odpocząć.
— Kto to jest?
— Daj spokój, nie chce nawet mówić.
— Tyłe już powiedziałeś. Więc kto? Polak?
— Nie.
— Anglik?
— No, Anglik.
Kelner podchodził z wózkiem. Zakryte półmiski, ale zapach ziół i korzeni był urzekający. Max pociągnął nosem, uśmiechnął się. Kelner zmienił talerze, zdjął pokrywę z półmisek. Znowu balansował zrzęcznie, nakładł, doładował, tancerzy.
— Więcej wina — powiedział Max.
— Si, seniore.
Max celebrował ucztę. Rozpromieniony. Dopytywał, czy mi smakuje. — Dobrze, co? To jest najlepsza knajpa w Londynie. Fantastyka, fantastyka! Tylko mało kto o niej wie. Luciano nie chce za wiele gości. Tych, co przychodzą, to ma. Grandy nie wpuszcza.
— A wiesz, kto to jest? — spojrzał na mnie zaczepnie.
— Kto?
— No, ten gach Justyny?
— Nie powiedziałeś. Jakis lekarz, jej kolega?
— A gdzie tam! Tak mi nie cholera bierze na jej babę.
— No powiedz.
— Przecież się, szepnął niskim basem, jakby zawstydzony:
— Rzeźnik.
Nie odpowiadałem. Wiedziałem, że gdyby nie wino, tawerna Luciano, ten nastrój intymny, nigdy by mi się nie przyznał. I wiedziałem, że cierpię, że duma jego została obrażona.
— A ty po znasz?
— Pewnie. Przez lata kupowaliśmy u niego mięso.
— O, do diabła.
— No widzisz. Waruję za niego.
— Ale jak to...
— Jej pacjent. Leczy go. Tamtego lorda, co z nim uciekała do Afryki, też leczyła. A temu, temu rzeźnikowi, imponuje. Lekkarka. Niedawno odwołał i chce się żenić.
— Z Justyną.
— Tak, mówiła, chce się żenić.
— Co za sytuacja...
— No widzisz, widzisz.
Wracałiliczy bocznymi jakimiś wycieczkami się w nieskończoność. Max w czapce naciągającej na czoło, rozmazarzony albo tylko zamysłony podpisywałymi. Rzeczna, hiszpańska melodia szczyła się z taśmą magnetofonu.
— Kiedy wróciła z tej Ameryki — powiedział — była już bardzo chora...

— Kto? — szepnąłem. — Isia? — *Isia, zadowolona z nowego wyglądu.*

— Isia. Nie chciała nikogo, tylko mnie. I nawet wiedząc, że ona... planowaliśmy pobierzenie się. Ale... Kiedy ją znalazłem na rękach do samochodu, do szpitala, nie czułem żadnego ciężaru, taka była lekka.

A potem... kiedy już było po wszystkim, kiedy wróciłem do domu, rzeźalem, ja nie płacząc, ale wtedy... Wszystko straciłem sens, wszystkie projekty, tylko nie myśleć... zapasę się w śnieg.

Milezałem, nie patrzyłem na niego.

— Jutro — powiedział — muszę na trzy dni wyjechać. Pod Birmingham. Mam tam zamówienia.

— Pojutrze odlataję.

— Już? Wiesz, to jednak człowiek jest na pustyni. Niby ludzie naokoło, a sam jesteś jak koleś. Cieszę się, żeśmy pogadali. Przyjeżdżaj! A jak wyjeżdżasz, klucz pod słomiankę.

Znowu milczeliśmy. A wiem, myśleliśmy o tym samym. Może zahwał, że powiedział mi tak wiele. Może zły był na siebie, że przynależ, że te, które kochał, odezwały. I sam został. Tylko odciśnięcie ślóg na ścieżkach jego ścieżczenia trwają nie przyspane piaskiem.

— Wiesz — powiedział — dom sprzedaję. I pojedę sobie naokoło świata. A po co mam oszczędzać? Jedno mam tylko marzenie. Chłapnę pod Zakopane! Takie głupie marzenie pod koniec życia. Człowieku! Jak tam jest pięknie! Siedzieć tylko i patrzeć. Bimberek może być albo wyborowa. I nic nie chcę więcej. Siedzieć tak i patrzeć na te góry.

Dopiero po roku odezwałem się do niego. To chyba było z okazji świąt. Nie lubię pisać kartek. Człowiek zapomniał, nie wiadomo, za co się najlepiej zapać. Nakreśliłem numer telefonu Maxa. Ucieszył się! Jest!

— Przyjeżdżasz? — spytał.

— Nie. Może w przyszłym roku. Jak się czujesz Max?

— Żyje.

— A Justyna?

— Nie wspominał mi tej baby, nie chcę jej widzieć na oczy.

— A rzeźnik?

— Wyszła za niego.

— A jednak...

— Co jednak? Już go wykańcza. Rzeźnik chory. Ledwo ciągnie.

— Co mu jest?

— Słuchaj no, czyja jestem jego lekarzem? Pytaj Justynę. To ty po telefonujesz ze Stanów do Anglii? Co mnie, cholera, do rzeźnika? A baby, mówię, znać nie chce! Przyjdzie jeszcze, to wyrazie. Już mnie nie ubłaga. Pytasz o chłopaków. Jan skończył studia, wyjechał do Brazylii, teraz ma jechać do Chin. No... wyjechał. Pojadę tam może do niego. Eryk śpiewa, też wyjechał, do Szwecji. A Łukasz... pisze wiersze.

— I z tego żyje?

— Jedna babka... a powiem ci, jak przyjeżdżasz. Jego życie, niech robi, co chce. To kiedy ty będziesz?

— Zatelefonuję.

— Śpiesz się, bo... no nic... przyjeżdżaj.

Tę jesienią wypadła mi podróż do Polski. Postanowiłem lecieć przez Londyn i przy okazji spotkać się z Maxem. Cieszyłem się na to spotkanie: stara malpa — myślałem — stary kumpel. Pójdziemy sobie do Luciano na dobrą kolację. Pogadamy.

Nakreśliłem numer telefonu Maxa. Nikt nie odpowiadał. Była godzina siódma rano. Czas, w którym najlepiej można go była

osiągnąć. Próbowałem następnego dnia. Telefonowałem kilkakrotnie. Nie było odpowiadzi. Zaniepokoiłem się. Ale widocznie wyjechał — tłumaczył sobie. — Może nawet do swego syna, do Chin. Napisałem list. Jeśli list wróci... W liście podałem datę przyjazdu i uprzedzałem, kiedy będę telefonował.

Czas, jak zwykle przed wyjazdem, biegł w szaleńczym tempie. Niemal na kilka dni przed odlotem zatelefonowałem do Maxa. Telefon odebrała kobieta. To nie był głos Justyny, chociaż obciążony polskim akcentem. Widocznie jedna z jego babek, albo...

— Czy mógłbym mówić z Maxem?

— Nie ma go. Nie mieszka tu.

— Telefonuję ze Stanów — podałem swoje nazwisko — czy Max sprzedał dom?

— Nie, nie. Ja jestem lokatorką, ale tymczasową. Max mieszka u Justyny.

— Gdzie?

— U Justyny. Ale powiedział mi, że pan przyjeżdża. Klucz będzie pod słomianką.

Wyglądaliśmy z dwugodzinny opóźnieniem. Niskie, ołowiane angielskie niebo. Deszcz. Chłódno. Na lotnisku tłok większy niż dwa lata temu. Fala ludzka napiera. Wśród Hindusi: kioski, urzędni. Czasem twarz Murzyna, czasem Arabi w czarnych chustkach i z olśnieniem do połowy twarzy. Kowbojskie, szerokokoronne kapelusze. Zawoje czarne i zawoje białe. Brody o wszystkich wymiarach i kształtach. Lysiny. Rozszochrane, spadające do ramion włosy młodych mężczyzn w rozchełpanych kurtkach. Fauna ludzka. Odór potu, smażonych kartofli i przypalonego tłuszczu. Podniecenie, przepychanie. Czasem twarz Anglika: błada, cierpliwie i wielokrotnie spokojna. Sorry, sorry, I am terrible sorry.

Kolejka podziemna na „Earl's Court”. Stamtąd przesiadać do domu Maxa. Ogarnia mnie zmęczenie. Zасыпам w koleje. Omal nie przejechałem stacji. Chwytał walizki i wyskakiuję w ostatniej chwili. Znam drogę. Rozpoznaję zakręty alejek, domy i ogródki. Ale róże w ogródkach zarwane; ich delikatne główki obwisły. Idę, wlokę się pod górę. Co jest? Nie widzę domu Maxa. Przecież tam. Zabił się. Staje nagle. Na szczyty schodów — Max. Ale dom! Co to za dom?

— Max — wołam — odmałowałeś dom!

— Właż — mruczy. — Dwie godziny czekam na ciebie!

— I ogród! Uporządkowałeś ogród! Niesłychane!

— Co się tak dzwisi? Co to jest do wydzwiania?

— Chwileczkę, niech się przyjrzy.

Wzruszył ramionami. Coś się w nim zmieniło. Byłby? Spowaźniał?

Postarzał się?

Patrzyłem na dom i obserwowałem Maxa. Dom, jak twarz dziesięć, pokaleczona tradycjami i powleczone warstwą smarku i pudru. Wymalowany, odizolowany, ale przyjeżdżać, stare przelazera przez farbę. To zresztą to dom londyński. Trzeba by zderzyć wszystko i zamyć od nowa. Ale każdy podmalowuje.

A Max? Czapka nasunięta na czoło. Ponury. Twarz ceglana i wysunęty bardziej ku przodowi niż odcinający się siana bładością do policzków. Nos wiek jakby się powiększył i zbladł. A Max? Max przyszedł.

— Gdzie tyś samochód?

— Mercedes? Sprzedałem.

— I dom na sprzedaż?

— Dom też.

Uporządkowanym ogrodem, po nowych schodach, po czystej słomiance do odmalowanego korytarza. Korytarz przejrzysty, ale stara wilgoć. Zimno. Chłodną po domu owiewała. Sprzątnięte, ułożone, zadbane. Za oknem brakfast-roomu przyszytymi ogródek

— dawne królestwo lisa. Zlew wymyty, wypróżnione kubło. Max stawia szklanki na stole.

— Napij się?

— Chętnie. Max, co tu się stało?

Wracza z kuchni, butelka w jednej ręce, w drugiej papieros.

— Widzisz co się stało, odmalowało dom?

Jest niecierpliwy, jakby bał się następnego pytania. Nie pytam. Milczymy. Dopiero po drugiej kolejce mówię:

— Zaprząsam cię na lunch. Do Luciano.

— Luciano dziś zamknięty. Zresztą wyjechał do Polski. Odwiedzisz dzieci.

— No to gdzie? Gdzie chcesz?

— Może być u Dakowskiego.

— Na South Kensington. Dobra. Jedźmy.

— Czekaj, w gorącej wodzie kąpany.

— Bo wiesz, jesteś jakiś dziwny. Może ja ci przeskadam? Głupio się czuję.

— Zwartowałeś? Cieszą się, że jesteś. Ja, proszę cię, byłem ciężko chory. Przez kilka miesięcy. Dopiero niedawno z tego wyszedłem.

— Co ci było?

— Ciężkie zapalenie płuc, zapalenie stawów na tle artretycznym. I... Justyna się mną opiekowała.

— A rzeźnik?

— Rzeźnik umarł. Jeszcze kilka miesięcy przed moją chorobą.

— Co mu się stało?

— Rak prostaty.

— Co ty powiesz! To małżeństwo krótko trwało.

— No widzisz! Nie mówilem! Ja wiedziałem, do czego to zmierzał! Oczy mu się zawięczyły. Uśmiech przełamiał twarz. Dolał sobie wódki.

— A Justyna?

— A, jak to ona. Ryczała. Gdyby nie moja choroba...

— Wiedział, że się tak zajęła.

— Ujęła mnie tym. Ale inne by się też znalazły. Jest tu jedna babka, ale co tam...

Patrykalem, jak się rozprzegnął, prostował, uśmiechał się, zawiadzał, jak w nim ruszają ostrym pędem rozleniwione strumyki krwi i raz jeszcze rozkwita buźniczość niepokonanej energii.

— Jak się tak śmiesz, to zaraz ci widzę na tym polu minowym.

— He...he...he... Ale powiem ci, że czasem wolalbym to pole minowe niż...

...uniósł ramię niechcącym gestem, zatoczył koło miny tylko wiadomym spraw i rzeczy — nie takie tu życie. Śledziłem ruch jego ręki, wydawało mi się, że nie tylko ja mu się przyglądam, że cały ten dom w szmince farb, gipsowych tła i tapety pochyla się, słucha, nagminie gesty i spojrzenia, aby dolożyć je do archiwum lat, przejawstwionych tu przeżył. Bo tu tylko zostają i z tym domem się rozpadają. Ale teraz dom przywracamy do łask i odrzućmy obojętność, radości i rozpaczy, pochyla się, otacza blisko, poduchuchuje. I wydaje się, zaczyna pulsować osobnym życiem: fosforyzują ślady na schodach i podłogach pokoi i lamentuje ciężki bezdźwięczny śmiech zagubiony w siatkach pajęczyn pod sufitem.

— To ty już tu nie mieszkasz?

— Nie. Wyprawdziłem się do Justyny.

— Pogodziłaś się?

— Bo ja wiem? Powiem ci.

— A chłopcy?

— Jan w Chinach. Erik śpiewa gdzieś w Finlandii, Łukasz... pisze wiersze...

— Jest z tobą?

— Nie. Mieszka z jedną... no, córką lorda. Fantastycznie bogaci ludzie...

— Żeni się?

— Słuchaj, ja się w te sprawy nie wtrącam. Ty masz różne wybujałe ambicje. Po cholera! Moja filozofia taka: baby, najęść się dobrze i ubrać. Chłopcom daję wolną rękę. Najważniejsze, uczyłem, żeby byli miedzy narodowi. A wiesz, że ja jestem zaproszony na śniadanie z Wojtyły?

— Z papierzem? Jedziesz do Rzymu?

— Pojadę, ale pod warunkiem, że spotkam się z nim osobiście. Mój kumpel jeden ma to załatwić. On z papierzem jest bardzo blisko. Bo ja na jakiej audyencji — to nie! Osobiste spotkanie — proszę bardzo.

Wpatrywał się we mnie badawczo. Staralem się ukryć śmiech, nie mogłem.

— Nie wierzysz?

— Ale, wierzę! Wierzę! Kogo to ten biedny papier nie przyjmie. Cały świat do niego leci.

— Słuchaj no, nie żartuj sobie. Ze mną, uważasz, jest zupełnie inna sprawa. Ten mój kumpel, on jest w Polsce, to z Wojtyłą znają się od lat, on tam do niego stale jeździ. Więc telefonował, że aranżuje specjalne śniadanie: tylko my trzej.

— Rozumiem.

— No widzisz. He... he... he. A teraz, powiem ci, mam pewien projekt. Fantastyczny.

— Tak?

— Chcę wydać książkę.

— Co za książka?

— Zbieram litografie starych pociągów. To, proszę cię, będzie fantastyczna rzecz. Fantastyczna!

— Jedziemy?

— Czekaj! Słuchaj, ja chciałem się ciębie o coś zapytać. Jak przyjacielu, to jest... takie trochę dziwne pytanie... rzecz przekraczająca granice...

— Spójrz na mnie. Pokręcił głową. Rozumiem się.

— Nie, nie tutaj. To musi być nastrój. Może, jak pojedziemy na obiad, może tam.

— Proszę cię bardzo, możesz pytać i tu, i tam. Co za granice?

— O! Ty to już byś od razu wszystko chciał wiedzieć. Przyjdzie stosowna pora, spytam. Ubrzyż mi się, Pojedziemy kolejką.

Wysiedliśmy na „South Kensington”. Stacja „undergroundu” ruchliwa, tłoczna, lepkie ciepło, spaliny, miz deszcz. W tej szarżynie — śpiew kwiatów. Płamy barw na mokrym asfalcie: gladioli, goździki, róże, kalie i lilie, małe orchidee, poezja śnieżnej bieli i gorącej purpury, fiolety i ametysty, błady róż i głębokie odcienie koralu. Stoiszko z kwiatami w spalinalach autobusów i samochodów pod niebem koloru popiołu. Neon reklam tańczący na mokrym chodniku. Przeciskam się za Maxem.

— Widzisz — odwraca się do mnie — widzisz, co się tu wyrabia. Autobus zatrasował całą ulicę. Ci, w samochodach postoją tu sobie z godziną. Ja ci powiem, dobrze, że sprzedadłem mercedesa. Nie umięgla, powtarzam, nie umięgla jeździć. No i gdzie idziesz? Przeszedł. Nie widzisz? To już tu.

Odkłone drzwi i wystawa. To samo miejsce na rogu. Firma Dakowskiego przetrzymała wszystko. Zmienił się właściciel, pozmięniały rzady, przesuwały granice, upadły mury, skruszyły się doktryny, a on jak byk tasi. Sprzedaje napoleoński i szary zawiązy z kaszą i sosem grzybowym. Kelerki, chociaż inne pokolenie — też z kaszą i sosem grzybowym. Parter i piwnica, w głębi kontuar, przy kasie kumpel Maxa. „Co słychać?” „Stara bida.” „Czytales

kogo wybrali do rządu? „To jest po prostu kandydaci”. „To dlaczego nie kandydowali?” „Akurat by mnie dopuścili!”

Max wzruszył ramionami, roześmiał się: He... he... he...
Kasjer chudy, o długiej twarzy pochylił się nad przetrwanymi rozmową rachunkami. W niewielkim lokalu wszystkie stoliki były zajęte. Dym i gęstawa plątających się rozmów w przetrwanych językach: francuski i rosyjski, włoski i szwedzki. Dominowali polski, angielski był w mniejszości. Ciekawe, wychylające się ku nowym gościom twarze starych kombatanów. Przyglądali się nam. Oceniali, szukali w zakamarkach pamięci: kto? jakiej formacji? Od czasu do czasu Max klamał się. Rozporzaster zapalił polskich gazet. Półdopite filizanki kawy, szklanki po herbacie. Od lat przychodzili tu i miejscy spotkać stało się międzynarodową restauracją. Niechętnie spoglądali na obcych. Intruzi.

— Pchaj się na dół — szepnął Max — mówię ci, na dół będzie puisto.

Gruchanie kelnerek, nawolwanie gości:
— Panno Asiu, panno Asiu... Jeszcze jedna herbata.
— Już chwileczkę! Już koleżanka podaje.
Ciasnymi schodkami zesłaliśmy do dolnego lokalu. Intymny półmrok, puisto, swojskie kuchenne zapachy kapusty i grzybów, gotowanych kartofli. W długiej salce stoliki nakryte do obiadu. Były jeszcze wczelnie, obiadowi goście gawiali się około szorstki. Max zajął stół w rogu, jak najdalej od wejścia. Rozsiadł się i wypatrywał kelnerki. Przyszła ciepło uśmiechnięta. Minispódniczka, zalotny fartuszek, oczy w obiegach czarnej szminki, karminowe wargi i gryzka sięgająca poza brwi.

— Dobry wieczór panom — podała nam menu — czy można coś do picia?

— Czwartkę na początek — Max ujął ster rozmowy.
— Czwarteczkę, proszę bardzo, a co na zakąskę?
— A co tam macie?
— Może być śledzik w śmietanie.
— Niech będzie.
— Dwa razy śledzik w śmietanie.
— A ja potem — wtrąciłem się — proszę pierożki z mięsem.
Kelnerka zalała rękę.

— Och, nie ma pierożków z mięsem, proszę pana. Ale mogą być białoruskie. Wspaniałe.
— Dobre.
— I co jeszcze?
— Dwa razy zrazy z kaszą.
— Zrazy z kaszą. Proszę bardzo.
Uśmiechnęła się, odwróciła. Max zerknął na jej nogi w czarnych pończochach.

— Widzisz — powiedział — założę się z tobą, że jest tu nie dużej jak sześć miesięcy. Każda po przyjeździe robiuje kelnerstwą. U Dukowskiego, w Ognisku, u Lotników, w POSK-u, u Marynarzy. Byle się zaczęło. Zarobić coś, wrócić. A najchętniej, zostać.

— Trudno mi się dziwić.
— Tak, tak... wszystko z daleka wydaje się rajem. Ale powiem ci, wiele z tych dziewcząt się marnuje.
— A w Polsce to nie?

— No tak... tak...
Kelnerka przyniosła wodę i zakąski. Max nalał, przepiłymi. Przy większym stole, blisko drzwi, zasiadło kilka osób. Max pochylał się w moją stronę, szeptał:
— Słuchaj no, chciałem się ciebie o coś spytać. Tak szerzej jak przyjechała.

Drgnąłem. Nowy ton w jego głosie zdziwił mnie. Ani słowa niedawnej fanfaronady. Uchwyciłem jakby przeblysł światła zapalającego się w głębi, bo wydalo mi się, jakby po raz pierwszy do naszego powojennego spotkania stał się sobą. Czyżby kłęska pojednania z Justyną, bo przecież była to kłęska i upokorzenie, zmieniła go? Śmiał się, pozował, udawał, ale wiedziałem, że to tylko gra, że cień udręki wbiła się w najtajniejsze kryjówki jestestwa. Co go łaczyło przez tyle lat z Justyną? Czy była to potrzeba bliskości silniejsza od nienawiści i odrzucenia? Czy ich zwłanie, które nigdy nie było tkliwiością, ale potrzebą zadawania bólu, nie ukolem, a nieustannym rozdrapywaniem ran, można także nazwać miłością?

— Pytaj — powiedziałem — wiesz, że jeśli tylko będę mógł...
— Ja wiem, wiem... Słuchaj, chciałem się ciebie spytać, ale odpowiedź ucciwie, czy myślisz, że tamtej stronie coś jest?

— Po jakiej stronie? W Polsce? Myślisz o konspiracji? O podziemiu?

— O cholera! — Uderzył się rozpostartą dłonią z głową. — Mówię do ciebie, a ty tylko jedno. W Polsce... W Polsce — sztydził.

— Wieg gdzie?
— Po drugiej stronie, rozumiesz, po śmierci.
— Dlaczego? Co ci...
— Pytam. Odpowiedz.
— Nie wiem.
— No tak. Ja też nie wiem. Ale czy miałeś kiedyś jakieś znaki? Czy ktoś...

— Znaki? Tak. Miałem przeczuć w czasie wojny. Czulem, że coś mi grozi, coś się stanie i że ktoś, coś... przestrzega mnie. Bardzo silne przeczuć. Sprawdziły się.

— A czy ci się ktoś po śmierci pokazał?
— We śnie!
— No, powiedzmy we śnie.
— Tak, nierz miarłem takie sny.
— A... jak nie spałeś?
— Na jawie!
— Tak!
— Chyba nie. Nie, nie takiego nie pamiętam.
— Powiem ci, co mi się zdarzyło. Może ty mi to jakoś wytłumaczysz. Zachodzę w głowę... Zwirowałem! Ale nie. Myślę trzeźwo. Wico to było tak... Czekał, niech ta kelnerka przyniesie drugą czwartkę.

Przywołał kelnerkę. Znow wskoczył w swoją dawną pozę.
— Jeszcze czwartkę. Jak pani na imię?
— Jadwiga. Czwarteczka dla panów, proszę bardzo. Śledzik?
— Proszę i śledzika, panno Jadziu. Dawno tu pani jest?
— Cztery miesiące.
— A nie mówiłem! — roześmiał się.

Kelnerka wróciła z butelką i nowymi porcjami śledzika. Max nalał kieliszki. Wypil jeden, napelniał sobie drugi.

— Dlaczego nie pijesz?
— Wypiję, nie bój się.

Spoznáwał. Bębnił palcami po stole. Wydawało mi się, wahał się. Nie nalegał.

— To, co ci powiem — zniżył głos do szeptu — to nie żadna fantazja. Ty mi uwierzysz. Wiem. Rozchorowałem się w kwietniu. Pogoda była paskudna. No i to odwieżdżanie domu! Stale otwarte okna, przeciągi. Ledwie malarze skończyli, wzięło mnie. Co ja mówię: wzięło. Położyło. Gorączka, że się utrzymał na nogach nie mogłem. Stawy popuchnięte, bóle jak cholera. Kaszel mnie rozrywał. Położyłem się. Chłopaków nie było. Z Justyną zerwałem na amen. Przyszła kiedyś,

ryczała po swoim rzeźniku, wywalilem babę. Ale myślę: co robię? Telefonuję do Justyny, mówię: przyslij lekarza. Mówi: sama przyjdę. Ja do niej: ani się waz. Wyrzucę. Lekarza tylko przyslij, trzeba mnie

leże, trzęsie mnie febra. Wszystko mi już jedno, co się stanie. Po pewnym czasie, proszę ciebie, słysz takie stapanie po schodach. Myślę: Justyna przyszła. Miała klucze, bo Jan jej zostawił. Podnoszę głowę, patrzę, wyobraź sobie kto?

— Złodziej?

— Ale skąd! Oj ty! Złodziej! Patrzę, proszę ciebie, kto stoi przy mnie! Isia. W swoim długim szlafroku, stoi, patrzy na mnie. Nie odrywa się. Zdębiałem. Mówię: Isiu, skąd ty tutaj? Nie odpowiada. Siadła na łóżku, wzięła mnie za rękę. Ot tak, jakby badała puls. Czulem jej dotknięcie. Zamknąłem oczy, otworzyłem. Była. Nie nic zmieniona. Taka, jak ja widziałem po raz ostatni. Znow zamknąłem oczy, a jak otworzyłem, patrzę: Justyna. Kępi się koło łóżka, przygotowuje strzykawkę. — Idź stąd — mówię. — Idź babo, nie chcę twojej pomocy. Ona nie. Widzę tylko: rzyce. Dała mi zastrzyk, zmieniła prześcieradło, natarła. Potem mówi: „Na krótko tylko wyjdę i wrócę. Będę tu przez całą noc nad tobą czuwała.” Jak tylko wyszła, znow Isia. Siedzi na brzegu łóżka, trzyma mnie za rękę, patrzy.

— Pytasz się — powiedziałem — dlaczego...

— Czekaj! To nie koniec! Bo gdyby tylko raz... no to może być przywidenie, sen, gorączka. Ale to się powtórzyło, powtarza.

— Jak to, powtarza?

— Ona, rozumiesz, Isia, przychodzi też do domu Justyny. Ja mam naturalnie osobny pokój. I wiesz, rozmawiamy.

— Ona też mówi?

— Niewiele. Ale czasem mówi. Ona zawsze wołała słuchać.

— A czy mówi, skąd przychodzi?

— Nie pytam się. Boję się, że się przestraszy, odejdzie.

— Justyna wie o niej?

— Skąd! Ty jesteś pierwszy. Więc co myślisz?

— Ja ci wierzę.

— Wiedziałem.

— Wierz ci, że ja widziałem...

— Ale dlaczego... dlaczego?

Zastanawiałem się. Słowa są zbyt małe, zbyt zmieścić ogrom doznań, udźwignąć ich ciężar. Patrzył na mnie, wyczeekiwał, jakby od mojego wytłumaczenia zależało jakieś spełnienie.

— Widział ją... przyszła do ciebie, bo była ci potrzebna.

Nie byłem zadowolony z mego wytłumaczenia, ale Max podchwycił je natychmiast.

— Masz rację — szepnął. — To mnie uratowało.

Wracaliśmy w melancholijnym nastroju. Szumiało mi w głowie, ale przyjemnie. Czerwone i zielone węże neonów przeginały się w surrealistycznym tańcu na mokrych jezdniach i chodnikach.

— Pamiętasz jak spacerowaliśmy tu w mundurach?

— No pewnie.

— A pamiętasz jak cała Anglia kochała Polaków?

— Ale zabrakło nas na paradzie zwycięstwa.

— I na pomnikach też.

— A my, wariaty, na każde skinienie!

Teraz, Max, młodzież w Polsce jest inna. Już by tak nie polecieli bić się na wszystkich frontach.

— I służnie.

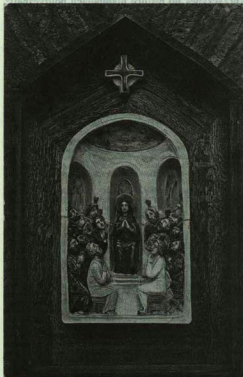
— Inne czasy, inne pokolenie. My też, mój kochany...

— A mnie, wiesz, zaprosiła jedna moja przyjaciółka na ślub swojej

córki. Wielka gala. Sami lordowie. I muszę wypożyczyć frak. Inaczej tam nie można, tylko we fraku. Bo tam, człowieku, będzie najlepsze society. Fantastyka... fantastyka.

Bank Lane, styczeń-luty 1993

Danuta Mostwin



Adam Kosowski: *Zesłanie Ducha św. na Apostołów* (ceramika), kapliczka w Aylesford.

ANDRZEJ K. WĄSKIEWICZ

PISARZ, INSTYTUCJE, PAŃSTWO (przyczynek do historii manipulacji politycznej)*

1 System „kultury upadstwowionej” skutecznie mógł funkcjonować wówczas, gdy wszystkie ogniwa łańcucha podlegały kierownictwu z jednego centrum. Tak jednak, by kierowanie to nie oznaczało każdorazowej ingerencji centrum w ogniwa pośrednie. Mówiąc stylem epoki — szło raczej o kierowanie polityczne niż administracyjne. Impulsy płynące z centrum winny być odbierane (i realizowane) przez wszystkie ogniwa. W przypadku literatury — ogniwem podstawowym, bezpośrednio wykonawczym, jest pisarz. Oto jeden z wielu przykładów:

W numerze 5 „Nowych Drog” z września 1943 roku czytaliśmy, że wykonanie Planu Trzyletniego w górnictwie uzależnione jest od rozwiązania trzech następujących zagadnień:

- a) siły robotczej — to jest dopływu nowych kadr,
- b) mieszkań robotniczych — to znaczy budownictwa osiedli,
- c) renowacji i mechanizacji urządzeń i sprzętu kopalnianego — czyli zastosowania zdobyczy nowej techniki.

To impuls. A to rezultat:

„Sebor-Ryński opisał, jak te zagadnienia rozwiązywało w kopalni „Anna Weronika”.¹

Ten prosty układ: impuls — reakcja w praktyce posiadał liczne ogniwa symulujące, pilnujące, powiadamiające, zarówno prawomylności jak i poprawności wykonania. Dzieło, jeszcze w toku pisania, mogło być poddane osądowi kolegów na zebraniu sekcji ZLP. Mogło być w fragmentach drukowane w prasie. Autor mógł być czytany na spotkaniach autorskich, także w środowisku, które opisywał. W momencie, gdy zostało napisane, podlegało ocenie redaktorów i recenzentów wydawnictwa. W szczególnych przypadkach mógł także interwiewować organ zrzeszający wydawnictwa. Na etapie druku podlegało ocenowaniu. Po wydrukowaniu — osądowi krytyków i czytelników.

Każdy z opisywanych tu etapów mógł posiadać dalsze, boczne odgałęzienia. Decyzja GUK PPIW mogła, w przypadkach spornych, być konsultowana przez organa prasowe. Prasowe dyskusje mogły być inicjowane (lub wygaszane) przez centrum kierownicze. W okresie późniejszym decyzja centrum mogła być oprotestowana przez interwencyjną komórkę ZLP. W momencie konsultacji wydawnictwa z zego organem nadzadzającym dzieło mogło być zakwalifikowane do którejś z masowych serii, z czym wiązał się system centralnych zakupów dla bibliotek, a także akcje propagandowe.

* Publikowany tu tekst jest fragmentem obszerniejszej rozprawy zajmującej się zasadami mecenatu literackiego państwa. Opisywany tu okres, skrywający lat czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych. Rozdziały dotyczące lat 1939-1948 ukazywały się w „Autografie” 1990 nr 4 i 5-6. Podtytuł pochodzi od redakcji.

¹ G. Lasota: *Następca. Szkice. Recenzje. Połemiki*. Warszawa 1943, w pln (w.) G. Lasota: *Kierunek literacki. Szkice. Recenzje. Połemiki*. Warszawa 1943, s. 53.

Intencjonalnie działania każdego z tych ogniw miały jeden cel: dokonanie dzieła. Na różnych planach i poziomach. Sebor-Ryński zastosował w „Dziś i Jutro” stylizację gwarową co, zdaniem fachowców utrudniało dostrzeżenie dzieła do czytelnika, wykrył to autorowi i w drugim wydaniu poczynił on „około 800 słownych poprawek”.² Czasem jednak nawet znakomity autor nie stanął na wysokości zadania.

Talent Newerłego nie pozwala mu ominąć przejawów walki klasowej. Newerły widzi walkę, ale nie potrafi jej jeszcze właściwie przedstawić, właściwie zinterpretować. Tak napisał krytyk w prasowej recenzji *Archipelagu ludzi odyńskich*, w książkowym wydaniu szkiców mógł już dodać przypis: W nowym wydaniu Newerły poczynił poprawki, zmierzające do usunięcia omawianych błędów.³

Impuls nie musiał być koniecznie formułowany przez centrum, mógł wyjść od odbiorców. W konkursie-ankiecie „Świata Młodych” załączono *O takiej książce marzę*, w wydawnictwie skierował:

Bohaterem takiej książki powinien być produkujący robotnik-racjonalizator. W książce takiej powinna być przedstawiona walka człowieka w celu podniesienia wydajności pracy. Bohater powieści winien być twardy i nieugięty. Konkretnym tematem może być książka o górniku Piotrowskim.⁴

Ważne było, aby — niezależnie skąd wypływały — dyrektywy te były wrażliwe na niebezpieczeństwo. Przywołamy więc opinię z kręgów wydawczych:

Oczywiście, prawda jest, że maglowaliśmy (...) autorów straszliwie nując każde słowo i szukając wszędzie „należytego wydźwięku”. (...) W najlepszej dzieci (...) przekonałem Ewę Szulburg-Zarembinę, żeby książkę dla dzieci pod tytułem „Golebie” zakończyła obrazem krematorium. Ale jednocześnie ogromną pracę wkładaliśmy w przygotowanie do druku debiutu Bohdana Hamery. Na przykład *Płewu* (...) Popieraliśmy każdy debiut zawierający choć krzyszy talentu. Mówiło się nawet, że rolę socjalistycznego wydawcy jest odnawianie odrobiny kruszców w bryle węgla.⁵

Nie sposób nie odnieść w tym realizacji dążenia do „przebudowy” i „wychowania”. Powiedziałbym, że pisarz był wprawdzie inżynierem dusz, ale i tak mógł iść rolę pełnić winien przebudować swoją świadomość, musi więc być wychowany.

2

W 1950 roku powołano Centralną Komisję Wydawniczą. Koor-dynowała ona plany wydawnicze, ale także wydawała koncesje. Po utworzeniu w 1951 Centralnego Urzędu Wydawnictwa, bez zgody centralnego dyspozytora nie mogła ukazać się żadna książka. Praktycznie nie funkcjonowały już wydawnictwa prywatne. W 1949 roku rozpoczął działalność Instytut Wydawniczy „Pax” funkcjonujący w ramach Spółki Wydawniczej „Pax”. Wydawcy także tygodnik „Dziś i Jutro” i dziennik „Słowo Powszechne”. Był to ośrodek skupiający „katolików społecznie postępowych” deklarujących dążenie do włączenia się w nurt przebudowy.

Na rok 1949 przypada początek nowej fazy w rozwoju życia kulturalnego, które zostało poddane kierownictwu i partyniarnemu i cenzorskiej kontroli ze strony instytucji i urzędów państwowych.⁶ W praktyce

² Ibidem, s. 64.

³ G. Lasota: *Literatura dla dzieci i młodzieży*, w zbiorze cyt., s. 133.

⁴ Ibidem, s. 141.

⁵ H. Zatorska: *Spotaż imię ciemne. Wspomnienia* ciąg dalszy. Kraków 1985, s. 243-244.

⁶ B. Fijałkowski: *Polityka i literatura (1948-1959)*. Warszawa 1985, s. 95. Z tej książki przywołujemy część danych faktograficznych.

oznacza to, iż wytworzone zostało jednolite centrum decyzyjne i cały system transmisji. Szczeciński IV Zjazd ZZLP (20-23 I 1949) poprzedzony był naradą partijnych literatów w KC PZPR (14 I 1949), gdzie podstawowy programowy referat wygłosił Jakub Berman. Decyzja o weryfikacji członków ZZLP została podjęta przez Wydział Kultury KC, zatwierdzona przez Biuro Organizacji KC, realizowana zaś przez zarząd ZLP. Tworzenie Kół Młodych było realizacją wytycznych uchwały IV Plenum KC PZPR... Nie będzie błędem, gdy powiemy, iż kierunek obrad szczecińskiego Zjazdu ZZLP wraz z jego główną tezą: proklamowaniem monoteistyczności, został zaprogramowany na naradzie z 14 stycznia.

Równolegle z tymi, programowymi, decyzjami organa państwowe podejmowały decyzje organizacyjne. W styczniu 1949 utworzono w MKiS Komisję Zasiłków, Subwencji i Stypendiów, 18 II 1949 roku przy Komitecie Ministrów do Spraw Kultury utworzono Komisję Popierania Twórczości Naukowej i Artystycznej, 30 IV 1949 roku podjęto uchwałę w sprawie Państwowych Nagród Artystycznych.

V Walny Zjazd (czerwiec 1950) podjął decyzję o wyłączeniu z oceny dorobku twórczego prac wydawanych przez wydawnictwa nieliterackie (wówczas działy kultury, „Caritas”, „Lige Morską”, etc.). Wprowadzono też zasadę weryfikacji członków co pięć lat (z wyłączeniem uznanych przez ZG ZLP za zasłużonych).

W marcu 1950 roku przestały wychodzić „Odrodzenie” i „Kufniczka”, w ich miejsce powołano „Nową Kulturę”, w 1950 zawieszono także katowicką „Odrę”, od 1949 do 1952 nie ukazywała się „Kamena”, w 1950 roku redakcję „Twórczości” przeniesioną do Warszawy objął Adam Ważyk, „Twórczość” (w latach 1950-1956) i „Nowa Kultura” (w latach 1952-1956) były organami ZLP.

Wszystkie te instytucje w latach 1949-1952 realizowały linię nakreśloną na naradzie z 14 stycznia 1949, rytmico zresztą podobnym koncepcjami wystąpił na II Plenum KC (20-21 IV 1949) Bolesław Bierut. Szło tu, najogólniej rzecz ujmując, o realizację realizmu socjalistycznego połączoną z walką z „nurtem kontrrewolucyjnym”, „prądem do przyciągnięcia do polityki partii reprezentantów” i „głębokim drobniomieszczańskim”. Walka o realizm socjalistyczny” uznany za jedną metodę twórczą; porwała walczyć odrębnie podkres 1949-1952. Temu celowi podporządkowane zostały środki. Po pierwsze – praktyczne zmobilizowanie przez państwo działalności wydawniczej. Jej koncentracja w dużych, wyspecjalizowanych i podległych decyzyjnemu centrum oficynach. Po drugie – stworzenie układu, w którym jednym łączącym się centrum kulturalnym jest stolica kraju. Ośrodki wojewódzkie połączone zostały nawet z wąskiej sieci instytucji literackich, które zbudowały w okresie tuż powojennym. Bez Warszawy nie mogły funkcjonować. W istocie pozostawało im realizowanie nakazów płynących z centrum.

Ten układ posiadał także swój analogon w zakresie twórczości artystycznej. Jakkolwiek nie zabrzmiało zabawnie, powiedzmy, iż obsejsą tego podkresu był perfekcjonizm. Osiągany nie przez mnożenie dzieł, ale zbliżone do ideału opracowanie. Większość wypowiedzi krytycznych w dyskusji o socrealizmie (ale także o konkretnych dziełach) skupia się na wychwytywaniu „niekorrekcyjnych” (niekiedy takich, która mogłaby ucieleśniać ideał. Wbrew deklaracjom o opiece nad młodymi, o potrzebie nowych sił, debiuty były wówczas rzadkie. Nie przekraczały liczby kilku – kilkunastu rocznie. Success, jeśli stał się udziałem debiutanta, był dyskutowany niemal natychmiast. Wznowienia, kolejne książki, nagrody literackie. Jeśli dodamy do tego całe obszary zjawisk skazane na nieistnienie,

przymusową nieaktywność sporej grupy pisarzy, zjawiska z definicji uznane za drugorzędne uzyskamy sytuację, w której krytyk mógł opisać literaturę okresu posługując się kilkudziesięcioma nazwiskami. Lista frekwencyjna wszystkich nazwisk przywoływanych w dyskusjach nie przekroczyłaby zapewne stu. Objętę, czy nazwiska to weryfikacja (jak wówczas sądzono), czy amputacja wartości (czyż w istocie ta operacja była), jej efektem był układ hierarchiczny, kanon.

System ten był tak spójny, iż zakwestionowanie go w jakimkolwiek punkcie burzyło koherencję. Na gruncie teorii – przełomowe znaczenie miały dyskusje nad pracą Józefa Stalina o językoznawstwie (polskie wydanie 1951), zdęła ona bowiem kwalifikację ideologiczną w wyznaczaniu stylu. Umożliwilo to (na razie tylko umiarkowało) zupełnie inną konstrukcję tradycji, rozstrząsało stary kanon wartości aprobowanych. Znalezione podobnie spektakularnych symptomów przemiana w zakresie polityki kulturalnej jest o wiele trudniejsze. Z jednej bowiem strony, w tym okresie mamy do czynienia z tworzeniem nowych ośrodków skupienia (w 1951 powstaje „Życie Literackie”), z drugiej z kontynuowaniem polityki represji wobec ośrodków uznanych za opozycyjne (w 1953 przestaje się ukazywać „Tygodnik Powszechny”). Nowy typ transmisji polityki partii miała stanowić Rada Kultury i Sztuki utworzona w 1952 roku, jej organem był powołany w tym samym roku „Przegląd Kulturalny”. Jest osobliwym paradoksem, iż przeciwwyższony na gruncie teorii orszkowskij socrealizm powracał, jak postulat, na specjalnej sesji Rady (10-11 IV 1953); zebrania Komisji Krytyki przy ZLP (9 II 1953). Na obu postulowano zastrzeżenie kryteriów ideologicznych, ale także usprawienie pracy działów krytyki pism literackich, konsultowanie ich obsady ze związkami twórczymi, odrzucenie metod administracyjnych w kierowaniu sprawami kultury, etc.

Pierwszy wyraźniejszy symptom zmian zwykło się wiązać z XI Sesją Rady Kultury i Sztuki (15-16 IV 1954), co jest o tyle prawdziwie, iż oficjalnie zadeklarowano tu prawo twórcy do wyboru środków wyrazu, doboru tematów; co ipso zresztą znawczo było z monoteistycznej. Zbyt mało, jak się zdaje, dostrzega się inne czynniki tej przemiany, wiążące się w dużej mierze z problematyką polityczną co socjologiczną. W połowie lat pięćdziesiątych wchodziło w życie nowe pokolenie twórców urodzonych w drugiej połowie lat dwudziestych i pierwszej trzydziestych, nie zaangażowanych ani w walkę zbrojną, ani w spory lat czterdziestych. Ich organem stał się dodatek do „Sztandaru Młodych” zatytułowany „Przedpole”, później przekształcony – „Po prostu”. Z drugiej strony lokalne ośrodki twórcze, coraz liczniejsze, dążyły do wytworzenia własnych ośrodków opiniotwórczych. W warunkach centralizacji i pełnej kontroli istniały jedynie potencjalnie, ich realna siła ujmowała się wówczas, gdy zyskiwały możliwość działania.

Spórów twórczych się wówczas ośrodków niektóre tylko uzyskały prawo istnienia. W lutym 1955 roku Stefan Kisielewski złożył w Wydziale Kultury KC PZPR propozycję powołania pisma „miejscowych klerków”. W zasadzie stojących na gruncie Frontu Narodowego, wśród współpracowników mieli być pisarze zbliżeni do „Tygodnika Powszechnego”, ale także marksisti i członkowie partii; propozycja została odrzucona zarówno przez Wydział Kultury i Nauki KC jak i POP ZLP.⁷ Argumentacja Kisielewskiego

⁷ Por. akw: Zerst „w trzydziestu szóstą rocznicę Księgi „Tryz Stalinia o języku i metodologii badań literackich” — studium w piątym rozdziale i czterech dołączonych „Antolog” 1989, nr 2, s. 66-71.

⁸ B. Fijałkowski, op. cit., s. 285.

należę, sądzimy, określę jako opęję państwową i przeciwstawić ją opęji ideologicznej, charakterystycznej dla poprzedniego podokresu. To zbliża okres 1953-1959 do lat tuż powojennych. Różnice wynikają tylko z odmienności politycznych, co ekonomicznych. Z odmienności infrastruktury kulturalnej.

Nienaruszona została zasada politycznego kierownictwa. Stąd wniosek Kielewskiego kierowany jest nie do organu administracyjnego (np. Ministerstwa Kultury), ale partyjnego. Tylko tam powzięta decyzja ma szanse realizacji.

Decyzja ta może mieć, jak w tym przypadku, charakter jednostkowy, może jednak tworzyć ramy dla działań pokrewnych, stwarzając precedensy. W grudniu 1954 roku w Wydziale Kultury KC dokonano analizy sytuacji w środowiskach literackich Wrocławia, Łodzi i Szczecina. Równocześnie przeprowadzono rozmowy z tamtejszymi literatami. Praktycznym efektem było powołanie w 1955 roku czasopisma „Łódź Literacka”, niemal równocześnie powstały „Mazury Warmia” i „Pomorz” (Bydgoszcz).

Z perspektyw, którą tu stosujemy, wydarzenia października 1956 wywołują lawinowy bieg procesów toczących się już wcześniej. Widoczne jest to w publikacjach wówczas tekstach, najwęższe z nich ukazały się przed tą datą. Proces tworzenia nowych ośrodków opiniotwórczych przebiegał podobnie. Na rok 1956 przypada jednak ich główna fala, wyraźnie wygasająca po roku 1957. W 1956 powstają czasopisma społeczno-kulturalne w Poznaniu („Tygodnik Zachodni”), Wrocławiu („Nowe Sygnały”), Opolu („Odra”), Szczecinie („Ziemia i Morze”), Katowicach („Przemiany”). Na przełomie lat 1956/1957 powstaje większość wydawnictw regionalnych: Poznańskie (1956), Morskie (1957), Łódzkie (1957), Lubelskie (1957) jako Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza), uśmiedzinie się „Śląsk” (1957), Ossolineum uruchamia dział literatury współczesnej. W 1956 roku „Tygodnik Powszechny” ukazuje się pod poprzednią, sprzed przejścia przez „Pax”, redakcją, zostaje zniesiony „Znak”; od 1958 roku ukazuje się „Wieź”.

Wszystkie te instytucje powstawały poza Warszawą. Jako, powiedzmy tak, efekty dążeń decentralizacyjnych. W Warszawie dokonują się zmiany zespołów redakcyjnych, w 1956 powstaje „Dialog”, „Opinie” zostają zlikwidowane po dwu numerach, „Europa” nigdy się nie ukazała...

3. Wzrost sił

Nowym elementem układu są młodzi. Nie jako przedmioty opieki, obiekt oddziaływania wychowawczego, ale jako samodzielna grupa (grupy) opiniodawcza. Zmiana w stosunku do wcześniejszych lat pięćdziesiątych, gdy młodzi „przysześci” okazali się narzuty pojętymi uczniami „kuźniczan”, zasada się na tym, iż zyskali oni własne, oddzielające na opinie ośrodki skupienia. Prawym trybikiem czasopism. Wzorem było tu „Po prostu”, które w październiku 1955 roku zostało przekształcone w tygodnik studentów i młodej inteligencji. Podobne pisma powstawały w Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku, Lublinie, Częstochowie, Warszawie. W Krakowie ukazywała się artystyczna „Zebra” (początkowo tak „Czarno na Białym”). Wydawcą były z reguły organizacje młodzieżowe – ZMP (potem organizacje, które powstały po jego rozwiązaniu) i ZSP. Ściśle związane były z równoległe powstającymi klubami, teatrami studenckimi, grupami literackimi. Szczególny przypadek stanowiła „Współczesność” będąca w pierwszym okresie wydawnictwem prywatnym, publikowanym z funduszy składowych.

Odmienność tych ośrodków miała swe źródło w różnym statusie ich twórców (byli nimi bądź studenci, bądź niedawni absolwenci)

i w odmiennych źródłach finansowania (także: statusie). Nie były to instytucje zawodowe będące podstawowym źródłem utrzymania ludzi tu pracujących. Zawieranie samorządnie tworzących się zespołów odbywało się na szczeblu RO ZSP, bądź co najwyżej Komisyj Kultury RN. Grupy poetyckie nie były zależne od ZLP, teatryki studenckie w niewielkim tylko stopniu (poprzez ewentualne dotacje) mogły być stwarzane przez ministerstwo.

Wyracowane wcześniej mechanizmy transmisji decyzji centrum okazały się nieskuteczne. Można było wprawdzie likwidować co bardziej aktywne ośrodki (w czwartku 1957 roku decyzją Sekretariatu KC KPZR, zawieszono, a następnie zlikwidowano „Po prostu”), o wiele trudniej byłoby zahłokować wyrażające się mechanizmy kultury samostworzonej. Budować system instytucji kulturalnych wbrew tym mechanizmom, które ona sama wyracała.

Postawienie nowych ośrodków opiniotwórczych i instytucji kulturalnych traktowało się jako wyzwanie na kierownictwie centrum możliwości tworzenia centrów lokalnych, wojewódzkich.

W momencie jednak, gdy powstawała, stwarzając się od pewien wzorec, do którego przymierzają się inne ośrodki, w ich zaś ramach zaczynają działać mechanizmy zbliżone do tych, które funkcjonują w centrum. Sprzeczne interesy centrum i centrów lokalnych wymuszają na tym pierwszym poważne ustępstwa. Metoda „ręcznego sterowania” można likwidować pojedyncze instytucje, która jednak – przez odniesienia do „wzorca” – jest widoczna i w części czy później zostanie wypełniona. Albo też zacząć działać „instytucje zastępcze”.

Po roku 1956 wojewódzkie centrum kulturalne to: teatr, filharmonia (lub orkiestra symfoniczna), gazeta i czasopismo społeczno-kulturalne, wydawnictwo książkowe, rozgłośnia radiowa, ale także – w większych – ośrodek telewizyjny, wyższa uczelnia – wymieniamy tylko te, które mogą interesować pisarza jako potencjalne źródła zarobkowania. Do tego standardu należą także związki twórców. Brak któregoś z tych elementów odczuwany jest jako luka, którą należy wypełnić.

Skoło instytucje te funkcjonują, wytworzą grupy nastawione do nich opozycyjnie. Nieprzypadkowo w danych, jak Wrocław czy Poznań, ośrodkach powstałe po 1956 grupy literackie deklarowały sprzeciw wobec „starych”, wytworzących własne instytucje. To, że w efekcie ze „starych”, „Nowych Sygnałów” i „młodych”, „Wybójców” powstała w 1959 roku „Odra” jest wynikiem decyzji administracyjnej.

Funkcje wzorotwórcze instytucji „październikowych” okazały się trwałe niż one same. Przetwały do roku 1980.

4

Nie sposób nie dostrzec, gdy porównuje się opisywane tu sytuacje, pewną osobowości. W latach 1945-1948 można było dość wyraźnie oddzielić, co w opaciach pisarskich było opęją państwową, co zaś w nich „własne”. W latach 1949-1955, praktycznie rzecz biorąc, w grę wchodziły jedynie opęcie ideologiczne (= partyjne), polaryzacja po 1956 roku była, tak to można dziś widzieć, walką o odzyskanie prymatu opęci ideologicznej (nie związanej już z metodą twórczą). Po 1960 nastąpiło ich utożsamienie, co w praktyce oznaczało osłabienie rangi wyborów ideologicznych na rzecz zamocnienia, nazwijmy to tak, wyborów respektujących reguły operacyjne. Być pisarzem partyjnym oznaczało nie tyle wyznawanie określonej ideologii, co respektowanie polityki, uczestniczenie w jej realizowaniu. Tak liczne manifestacyjne wystąpienia z partii mają wówczas z reguły charakter protestu przeciw decyzjom administracyjnym (casus „Europy”). Jest to, oczywiście, efekt scalenia tego „co partyjne” i tego „co państwowe”. Kres polityki zapoczątkowanej w latach czterdziestych

można odnieść łatwo, wyznacza ją przemówienie Władysława Gomułka na XIII Plenum KC PZPR (4 VI 1963). Nie idzie tu nawet o rezygnację z „recepty, w jaki sposób trzeba pisać książki”, ale o pełne utracenie funkcji partii i państwa; partyjne jest to, co jest państwowym i to z punktu widzenia raczej bieżących niż finalnych celów.

Osobliwość druga jest trudniej dostrzegalna, widzi się ją dopiero wówczas, gdy bada się status formalnoprawny poszczególnych instytucji, systemy finansowania, zależności, wzajemnych powiązań, etc. Stwierdzimy wówczas, iż mimo istnienia wyspecjalizowanych, podporządkowanych państwu instytucji, część — w różnych okresach różna — działała, która winny obsługiwać, rozrywać się poza ich zasięgiem. Także — poza zasięgiem ich państwowych organów nadzorczych. Oznacza to, iż instytucje te nie są zdolne obsługiwać wszystkich zainteresowanych, z czasem ilość tych odstępów od reguły przerażała się w nową jakość, tworzą się alternatywne — wobec zaprogramowanych — systemy. W latach pięćdziesiątych były to czasopiisma „studentów i młodej inteligencji”, w sześćdziesiątych — także cały system wydawnictw ukazujących się nakładem organizacji młodzieżowych, towarzyszących kulturalnych, ogniw administracji terenowej, potem zakładów pracy. Dotyczy to także organizacji. Rozpad kół młodych ZLP w połowie lat pięćdziesiątych spowodował najpierw wykształcenie się systemu — tyleż opozycyjnego co komplementarnego — grup poetyckich, potem — organizacji sponsorowanych przez ruch młodzieżowy (KKMP, koło ZMS, grupy ZSP). Z reguły obsługiwały one klientów młodzieżową. Po przekroczeniu pewnego progu ich uczestnicy wchodzili w strukturę kultury państwowej.⁹

Z natury rzeczy są to działy zorientowane pozarynkowo. U ich genery (widac) to wyrażać, gdy idzie o na przykład przemiany funkcji konkursów literackich¹⁰ leży dążenie wychowawcze¹¹; preferencje pewnych tematów i tuję, bądź „stymulujące”; idzie wówczas o aktywizowanie pisarzy (bądź kandydatów na pisarzy) mieszkających na jakimś terenie (np. województwa). Wszystkie jednak ewoluowały w kierunku swobodnej polityki opiekuńczej.

Osobliwość trzecia to powolne zanikanie sporów o charakterze ideowym. Warunkiem istnienia jest to, co nazywamy tu opcją państwową, ale poza jej obszarem nie istnieją już znaki wyborów, które pozwalają np. różnicować wytwory powstałe z kręgu ruchu ZSP, ZMW czy ZRP; wyraźnie oddzielać wytwory powstałe w grupie ideowo-wychowawczych organizacji młodzieżowych i np. społecznego kręgu kulturalnego.

Szybką lat pięćdziesiątych to okres, w którym utrzymują się — z coraz większym trudem — formy centralnego sterowania. Łatwo do utrzymania, gdy większość instytucji kulturalnych zlokalizowana była w Warszawie, trudniejsze — gdy powstawały silne ośrodki wojewódzkie. Gdy, powiedzmy i to, ilość twórców przekroczyła granicę, w której problemy ich środowisk można było rozwiązać w drodze jednostkowych, indywidualnych decyzji. Jeśli dla okresu po 1949 roku charakterystyczne były działania premiujące (por. blyskawicze kariery liderów socrealizmu), to — działania represyjne polegające na „wylączaniu” poszczególnych dziedzin (czasu Cmentarzy Hłaski, Zatrzymanego do wyjaśnienia Wygodzkiego), osób, bądź całych obszarów tematycznych (zaostrezenie cenzury wobec literatury „rozrachunkowej” po 1959 roku), ale i także na utrzymywaniu chwiejnych regulacji prawnych. Po wdrożeniu *złotych* ZLP (grudzień 1958 roku) Sekretariat KC PZPR podjął uchwałę, która — prócz

oceny (negatywnej) sytuacji w Związku — ustala, iż dysponentem Funduszu Literackiego jest minister kultury, ministerstwo także stanowi zasady subwencjonowania Związku i jego oddziałów. Szczególną rolę pełniły w tym zakresie przepisy emerytalne. Pisarze, nie posiadali innych uprawnień (wynikających np. z pracy zawodowej), korzystali z reguły z rent specjalnych, przyznawanych „z tytułu szczególnych zasług”, miały one charakter uznaniowy i mogły być cofnięte. W zasadzie bez rozstrzygnięcia pozostała sprawa nowelizacji konwencji autorskiej.

Szczególnym sposobem sterowania sprawami środowiska był system dwuwładzy w ZLP. Organami wybieralnymi były zarządy (główny, oddziałowy). Listy kandydatów do nich ustalały z reguły zarządy ustępujące wspólnie z PZP. Przy czym obowiązywała tu dyscyplina partyjna. W 1959 roku przed wyborami delegatów Oddziału Warszawskiego zwołano zebranie POP, na którym zobowiązano członków partii do głosowania na wszystkich członków partii umiarkowanych na liście, postawiając im wolną wolę w głosowaniu na bezpartyjnych.¹²

W wyniku tych wyborów delegatami zostało 21 pisarzy partyjnych (na 47 ogółem), w kraju na ogólną liczbę 78 delegatów 32 było członkami partii. Upartystwienie Związku wyniosło w tym okresie 30 procent.

To władnie w efekcie tych wyborów ukształtowała się trzecia — po „zawodowej” z pierwszych lat powojennych, „ideologicznej” z okresu prezury Kruczkowskiego — formula ZLP: „partnerska”.

5

Nie sposób nie zauważyć, iż układ ten był rodzajem złażającej fikcji. Dawał się znakomicie analizować, gdy pisarzy traktowało się jako grupę opiniotwórczą, ich partnera zaś widziało się w reprezentantach kierowniczego centrum. Wówczas — wszystko rozgrywało się na osi: Krakowskie Przedmieście — Nowy Świat, ZG ZLP — Ministerstwo Kultury — KC PZPR, z odgałęzieniami w kierunku Foksal (kawiarnia PIW), Wileńska (kawiarnia „Czytelnia”), Mysia (GUK PPIW). Jest zapewne do napisania historia (pasjonująca) tych sporów, lokalnych skandali, gry na najwyższych szczeblach elity władzy i elity opiniotwórczych. Gdy jednak schodziło się na niższe poziomy tej gry, partnerstwo okazywało się w istocie stosunkiem podległości. W Słupsku np. wywiał się *spór między miejscowym środowiskiem literackim i dyrektorem Biblioteki Wojewódzkiej, który wykorzystując swoje stanowisko i wpływ przekształcił w Jędrzejowie teatr białki pisarzy słupkich we wszystkich podległych mu placówkach bibliotecznych*.¹³

To, że w efekcie tych sporów dokonana się w słupskim oddziale fronda, że potem zmieniono decyzję, jest tu mało istotne. Istotne jest, że na poziomie lokalnym wystarczyło wstrzymać dotację (chłodziło tu tył), o zakup książek, co finansowały spożycia autorskich, by skutecznie zdestabilizować układ. Decyzja może tu zapasć na dość niskim szczeblu władzy.

Pozornością partnerstwa polegała na tym przede wszystkim, iż „strona pisarska” była w pełni zależna od „strony rządzącej”. Ta jednak w swych decyzjach nie była absolutnie wolna. Granicę jej wolności wyznaczała przyjęta koncepcja państwa, w której „troska o kulturę” była jedną z funkcji konstytucyjnych, tej rangi co, powiedzmy, obronność, oświata, służba zdrowia, „prawo do kul-

⁹ Por. A. K. Waskiewicz, *Formy obecności „nieobecnego pokolenia”*, Łódź 1978.

¹⁰ Por. *Ibidem*; rozdział Konsum.

¹¹ B. Filipkowska, *op. cit.*, s. 495-496.

¹² A. Szczygiński, *XXI Wyborcy Zjazd Delegatów ZLP*, „Wiadomości. Informator Związku Literatów Polskich” 1981, nr 1 s. 11.

tury" miało te rangę co, uwzględniwszy należne proporcje, "prawo do pracy". Nieprzypadkowo wyliczamy to dziedziny, w których rachunek ekonomiczny znajduje się przed rachunkiem kosztów społecznych.

Przypadek słupki ukazuje iną jeszcze cechę tego układu. Tamtejszy oddział ZLP powstał po reformie administracyjnej, w wyniku podziału dawnego oddziału kosińskiego. Posiadanie środowiska pisarskiego w dawnym, sprzed reformy, układzie mieściło się w standardzie, było — przywołajmy termin z epoki — świadectwem "awansu kulturalnego". W przypadku województw zachodnich posiadało dodatkowe znaczenie — aspekt polityczny — stanowiło dowód na zorganizowanie kulturalnego Ziem Odzyskanych, ich kulturalnego awansu w stosunku do stanu sprzed 1945 roku. Stąd tyle wysiłku włożono w organizację oddziałów ZLP w Opolu czy Zielonej Górze, ale — z tego punktu widzenia — istnienie zorganizowanego środowiska pisarskiego w Białymostku nie posiadało już tej rangi. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych układ ten przestał istnieć: po pierwsze osłabieniu uległ aspekt polityczny, po drugie — zmienił się standard kultury wojewódzkiej. "Przymus kulturowy" dotyczył innych sfer (niezbędny był np. lokalny tygodnik, ale niekoniecznie teatr).

Upraszczając, do grania absurd, powiedzielibyśmy, iż prymarną cechą tego układu jest to, iż pisarz funkcjonuje przede wszystkim jako szczególnego rodzaju autorytet (polityczny, społeczny, moralny), dopiero potem jako producent towaru funkcjonującego na rynku. Autorytet ten nie jest w sposób konieczny związany z rangą twórczości, posiada się go przez sam fakt bycia pisarzem. Wzorcowe deklaracji (protestu) z lat sześćdziesiątych brzmi: „my, pisarze policy, zebrani w... (nazwa) popieramy... (protestujemy...)”. W tym wzorcu mieści się rezolucja z 1957 roku potępiająca zamknięcie „Po prostu”. Nie mieści się natomiast „list 34” z 1968. Jest to bowiem opinia indywidualnych osób, nie zaś „środowiska” (czy jego reprezentantów). Dlatego był takim wstrząsem. I dlatego odpowiedź nań nie była rezolucja ZG czy oddziałów, ale imienne protesty (ich, pouczająca skądinąd, listę publikowało „Życie Literackie”).

Powiedzmy tak: jest to układ, w którym państwo (jego organa kierownicze) godzi się na fakt, iż środowisko literackie jest z natury rzeczy środowiskiem opiniotwórczym, gotowe jest roznosić gady na parosól ochronny, w zamian za to żąda respektowania swych (i reguły etapowych) racji. Środowisko zaś, godząc się na funkcjonowanie wewnątrz struktur państwowych żąda respektowania swych interesów środowiskowych (= zawodowych), względnie przynajmniej respektowania swobodnego mechanizmu kulturów. Tak należy widzieć walkę o autonomię, o liberalizację cenzury, likwidację list proskrypcyjnych. Na planie zawodowym: spory o konwencję autorską (i stawki wydawnicze), o ustawową regulację (obligatoryjną, nie uznaniową) praw emerytalnych (uchwalono ją w 1974 roku). Szczegółowe znaczenie — z tej perspektywy — miała o przyznaniu ZLP prawa do dysponowania funduszami pochodzącymi z opłat wydawnictw za dzieła, do których wysłała prasa autorskie (Fundusz Literacki).

Z punktu widzenia środowiska idealny byłby układ, w którym państwo dawaloby możliwie wysokie subside, nie interesując się ich wykorzystaniem. Gdy zarówno organizacja pisarska, jak i jej członkowie byłby finansowo niezależni (ale z funduszy państwa). Z punktu widzenia kierowniczego centrum układ taki byłby wrzaskiem niemożliwym. O wiele lepszą jest sytuacja, w której subside są wprawdzie stosunkowo wysokie, ale pozostają w dyspozycji organów państwowych i są w pełni przez nie kontrolowane. Gdy — dodajmy i to — dotyczy przede wszystkim instytucji i osób, w drugiej dopiero kolejności — wytworów. Subwencjonowany jest pisarz, potem dopiero jego książki.

Walka tych sprzecznych interesów determinowała życie literackie. Osobliwie — żadna ze stron tego sporu nie kwestionowała zasadności układu. Spierano się o koszty, jakie ponosiła każda ze stron, spierano się o ewentualnie systemowe zasady gry; fundamentalna zasada miała pozostać niewzruszona.

Wśród wielu postulatów ostatniego przed likwidacją ZLP (28-29 XII 1980) znalazł się następujący:

„ZLP winien otrzymać niezbędne środki finansowe na funkcjonowanie jego ogółu, na działalność socjalną, stypendialną itp., przy zagwarantowaniu pełnej samorządności jego decyzji w tych kwestiach. Decyzje te nie będą uzgadniane z Ministerstwem Kultury i Sztuki, ani też kontrolowane merytorycznie z czynie trwania roku budżetowego.”

Inne wnioski dotyczyły części uprawnień MKiS w zakresie wymiany organizacyjnej, prawa dobierania swych przedstawicieli do organów przedstawicielskich (w tym także organów doradczych administracji państwowej), wśród licznych załączek dla ZG ZLP — m. in. prawa pisarza do mieszkania, zmiki godzin dla pisarzy-nauczycieli, konsultowania z ZLP „poszczególnych stanowisk redakcyjnych”.

Jeśli przynajmniej sygnalizowany tu sposób myślenia, moim zdaniem, stwierdzić, iż — z punktu widzenia centrum — każda decyzja, normująca w sposób obligatoryjny prawa pisarzy i ich organizacji, oznaczała rezygnację z instrumentów sterujących. Stąd takie znaczenie miała ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym twórców i ich rodzin. Jej uchwalenie czyniło finansowo niezależną dużą grupę pisarzy. W tym także — tych o dużej i łączącym się dorobku, więc opinio tworzących. Podobna, regulująca prawa statusu ZLP, czyniła by i organizacji samodzielny ośrodek podległy (przynajmniej potencjalnie) struktur politycznym, w dużej mierze jednak niezależny od impulsów płynących od organów administracyjnych. Jest to model zrealizowany w byłym ZSR i — z różnymi modyfikacjami — w pozostałych państwach bloku. Tam wszakże wystarczało kierownictwo polityczne.

W ZLP, w modelu partnerskim, względnie równowagę między interesami obu stron układu zapewniały subtelne, pozostawione regulacje „wyciągowe”. Te np., że prezesem był pisarz bezpartyjny, ale którymś z wiceprezesów (lub kilku) — partyjny; że w organach kierowniczych zasiadać będą członkowie stronnictw sojuszniczych; w zarządzie — reprezentanci poszczególnych frakcji związkowych i grup interesu (powiedzy poetą, ale także publicystą). Ze najważniejszych decyzji konsultowane będą z POP PZPR, a także kołem ZSL i Klubem Pisarzy „Krag”. Innymi słowy — na gruncie organizacji pisarskiej przeniesienie będą te reguły, które rządziły życiem politycznym, z respektowaniem zasady klucza partyjnego jako naczelnej. Funkcjonujące w ramach struktur państwowych ZLP był zarówno przedmiotem jak i podmiotem gry politycznej. Jej reguły dawały się opisać. O wiele trudniejsza do weryfikacji jest zasadność podstawy. Czy środowisko (i tworzący go pisarze) posiada autorytet z nadania państwa, czy jest on jego immanentną cechą? Czy wewnątrz środowiskowe hierarchie i hierarchie oficjalne są weryfikowalne? Czy przypadały i one nie funkcjonują jako pochodnia gry sił? W jakim stopniu cały funkcjonujący układ funduje się na „prawdzie”, w jakim zaś — na podrywanym przez obie strony — „fikcji”?

6

Nie dysponujemy pełnymi danymi dotyczącymi zarobków pisarzy w analizowanym okresie. Na zjeździe w 1954 roku Leon Kruczkowski obliczał, iż stawka za tom prozy wymagającej półtora-dwuletniej

¹³ Uchwała XXI Zjazdu ZLP, „Wiadomości. Informator Związku Literatów Polskich” 1981, m. 1, s. 11.

Redakcja: 31.1.

pracy wynosi w stosunku miesięcznym, przy zastosowaniu najwyższej stawki, od 1200 do 1600 zł. Biorąc pod uwagę ówczesne zarobki nie było to mało. Można dodatkowo przyjąć, iż książki promujące, mające kilka wydań, przynosiły pisarzom nieczyś dochód pozwalający ówczesnym liderom utrzymać się w średnio-górnym pałupie dochodów. Ankietę z 1964 roku nie zawiera danych dotyczących wysokości dochodów, jedynie ich ocenę. Tylko 15,8% pisarzy deklaruje, że z pracy literackiej uzyskują dochody pozwalające na pokrycie bieżących wydatków, aż 67% stwierdza, że nie. Równocześnie aż 55,5% wykonywało inną pracę zawodową (10,3% to reńsici i emeryci). Tylko połowa pisarzy posiadała w tym czasie pokój do pracy. Statystyczny autor tego okresu opublikował osiem książek (w tym 1/3 ponad dziesięć; 3,5% ponad trzydzieści). Ponad 2/3 pisarzy odbyło spotkanie autorskie (25% do 10 rocznie, a 7,6% – 31 i więcej). Nimal wszyscy pisarze otrzymywali nagrody pozakonkursowe (26,4% regionalne; 5,5% państwowe; 8,6% ministerialne). 32,1% pisarzy zostało odznaczonych odznaczeniami państwowymi (w 1929 – 13,1%). Z pomocy stypendialnej i zasiłków korzystało 41,3% (83% z nich ze stypendiów ZLP). Wśród pisarzy pracujących zawodowo największą grupę tworzyli pracownicy gazet i czasopiśm (21,7%), w szkolnictwie wyższym i instytucjach naukowych pracowało 13%, w radiu i TV – 11%, w szkołach – 5,6%, w wydawnictwach 6,7%, w administracji – 3,5%, z pracy fizycznej utrzymywali się 2,1%, z praktyki lekarskiej 1%.¹² Dodajmy, że w ankiecie przeprowadzonej w 1977 roku wśród członków oddziału warszawskiego 5% oceniło swe warunki materialne jako bardzo dobre (zarobki powyżej 20 tys. miesięcznie), 35% jako dobre (powyżej 10 tys.), 50% jako średnie (5-10 tys.) i ok. 10% jako złe.¹³

Jelli przyjmujemy, iż tylko niespełna 16% pisarzy utrzymywało się z pracy literackiej, ale aż 41,3% otrzymywało stypendia, ok. 63% odbywało spotkania autorskie, prawie wszyscy zaś otrzymali jakieś nagrody (w tym konkursowe) otrzymamy jedną z wersji obrazu tego, co nazywamy tu świadczeniem na osobę, nie dzieło. Jeśli przeanalizujemy strukturę zatrudnienia i, uwzględniając odmienności obyczajów politycznych, porównamy ją z danymi z 1929 roku otrzymamy obraz potencjalnej niezależności. Dowodzący do danych o pracy w prasie, wydawnictwach, radiu i TV dane o zatrudnieniu w filmie (2,1%), placówkach kulturalnych (2,1%) otrzymamy liczbę 43,6% pracujących pisarzy (ok. 1/4 ogółnej liczby członków) zatrudnionych w instytucjach kierowanych przez Wydział Kultury i Bioru Pracy KC. W tym w placówkach „pierwszej linii frontu ideologicznego”. Jeszcze ciekawsz byłoby porównanie liczby pisarzy oceniających swą sytuację materialną jako dobrą z liczbą pisarzy odznaczonych i nagrodzonych.

W ankiecie z 1964 roku jest także pytanie o pracę społeczną; tego typu działalność deklaruje aż 90% pisarzy lubelskich, 77,6% z ziem zachodnich, 71,4% z Gdanską i Bydgoską; ale tylko 44,2 z Warszawy. Pytanie to, jak można sądzić, dotyczy aktywności w innych, pozarządowych organizacjach. Ale także udziału w różnych szczeblach elity władzy. Tu nie dysponujemy wynikami szczegółowych badań. Na podstawie jednak zbadania ponad tysiąca biografii możemy stwierdzić, iż – najogólniej rzecz biorąc – pokrywałyby się one z danymi ankietowymi, z podobnym różnicowaniem terytorialnym. Przy czym pojęcie „elity władzy” rozumiemy szeroko. Włączamy tu pisarzy pełniących funkcje sekretarzy i kierowników wydziałów KC, ministrów i dyrektorów departamentów, posłów, ale także instytucji – wykonawczych i przedstawicielskich – szczebla wojewódzkiego i niższych; organów partyjnych, administracyjnych,

organizacji społecznych i młodzieżowych. Kryterium jest pełnienie funkcji. Tak pojęty udział w elitach władzy dotyczy co najmniej połowy pisarzy, oczywiście nie w tym samym okresie.

Pisarz jako wytwórcza i pisarz jako autorytet to role, które w warunkach gospodarki centralnie sterowanej wzajem się warunkowały. Nawet, gdy przestały funkcjonować centralne plany wydawnicze, pozostała dystrybucja papieru i mocy przerobowych. Niemal do końca lat osiemdziesiątych powoływanie i zamykanie czasopiśm zależało od decyzji najwyższych władz partyjnych i państwowych. W tym sensie istniało też – jakkolwiek jego rola ulegała zmianom – jednolite centrum kierownicze.

Niezależnie od tego, jaki stosunek do tego centrum dekladował pisarz zależał by – pośrednio i bezpośrednio – od jego decyzji. Bezpośrednio, bo mógł być wyłączony z obiegu literackiego (takie wielkie fale zakazów publikacji notujemy w 1968, 1976, 1981 roku), objęty zakazem publikacji i omówień innych niż krytyczne; a więc praktycznie skazany na nieistnienie. Pośrednio, bowiem zakres obecności jego dzieła zależał nie tylko od potencjalnego rynku, ale i od aktualnych założeń polityki kulturalnej (jedne tematy należało „nagłaśniać”, inne zaś „wyciszać”), a także od przydziałów papieru. Nie idzie tu nawet o spektakularne przykłady „ręcznego sterowania”, jak np. zakaz omówień – po krótkim okresie nagłaśniania *Głupiej sprawy* S. R. Dobrowolskiego, zakazy omówień niektórych książek Machulca, wycofań z księgarń książek już ocenianych, etc. Nawet nie o zakres ingerencji i zapisów cenzorskich.

Mówimy tu o mechanizmie, który wytworza się, gdy w dwu ogniwach produkcji książki – dostępności papieru i poligrafii – występują chroniczne braki; gdy w dodatku element pierwszy podlega centralnemu rozdzielaniu. Plan wydawniczy każdej z firm przykrawany jest do puli papieru, która spodziewa się otrzymać. Nakłady książek nierynkowych ustalane są wówczas w wysokości spodziewanych zamówień, rynkowych – w takiej, na jaką pozwalają przydziały. Nie to wystarczy, ale – powiedzmy, czterdziści, który podnieść je do realnej wysokości, mogłoby się zdarzyć, iż kilka książek pochłonęłyby cały przydział. Ale w warunkach ograniczeń – z jednej strony cenzorskich, z drugiej zaś – dewizowych – nie potrafimy orzec, czy czytelnictwo tych książek nie ma charakteru zastępczego. Czy np. polski kryminal sprzedawał się równie dobrze, gdyby konkurował z kryminałem angielskim? Jak wyglądałoby czytelnictwo literatury „rozrachunkowej”, gdyby funkcjonowała równoległe z książkami określania jako „antykomunistyczne”? Albo – powiedzmy, gdyby wraz z tzw. literaturą gęrosz wchodziły na rynek opracowania faktograficzne i reportażowe dotyczące tych samych wydarzeń?

Mechanizm, który blokuje pełne nasycenie rynku książkami kupownymi działa równocześnie na korzyść literatury quasirynkowej. Tak określami te pozycje „literatury społecznie zaangażowanej”, które przejmują konwenie literatury popularnej. Można podejrzewać (tygrysiem zastępczym) o omawiając wcześnie lata pięćdziesiąte, iż są one czytane zastępczo – jako „kryminal”, „obyczajowa”, „erotyka”, niezależnie od swych zaprogramowanych jako prymarne setów. Różnica między nimi a „zaangażowanymi kryminałem” (zarówno w wersji „wspiegowskiej”, jak i „milicyjnej”) polega na tym, że intencjonalnie jest to praca wykostralistyczna.

Dla tej kategorii literatury stworzono całą szereg form stymulacyjnych jej powstawanie i recepcję. Przede wszystkim konkursy. Na powieść o integracji ziem zachodnich, górniczą, o pracy etc., z licznymi wariantami, najchętniej ukrętkowanymi lokalnie. Promoci służył system nagród – od lokalnych, wojewódzkich, po nagrody ministerialne, instytucji i urzędów centralnych (np. CRZZ). One też stanowiły znaczącą część produkcji spirofiliowych terytorialnie wydawnictw wojewódzkich. Do lat siedemdziesiątych z tą

¹² Dane na: A. Skitkiński: *Pisarz polski w dwóch dekadach*, Warszawa 1966.
¹³ L. M. Bartelski: *Zgody z tradycją*, „Informator ZG ZLP” 1989, nr 1, s. 13.

literaturą powiązany był cały system stypendiów, ryczałtów terenowych, znaczna część konkursów miała charakter wadialny.

Można przyjąć, iż suma dochodów uzyskanych z nierynkowej pozycji należącej do tej kategorii (stypendium, wadium, nagroda konkursowa, nagroda wojewódzka lub centralna + honorarium) równoważyła dochody osiągalne ze średniokładowej pozycji rynkowej. Inna wszakże była pozycja ich producentów.

Nie sposób nie zauważyć, że ludzie przywoływane w tym tekście dane, iż pożywa pisarza w mniejszym stopniu zależało od weryfikowania przez krytykę poczynionych (choćbytnie czy to na rynek objawy masowej czy czy konsumentów literatury wykoartystycznej, czy też w krągach przypadkach – rynek eli intelektualnych, w większym od tego, co – rozszerzając poprzednie sformułowanie – nazwalibymy prestiżem. Im wyższy był prestiż, tym mniej przeszkadził mi pisarz do przezwyciężenia, by tego dzieła dotarło do odbiorcy. Tym bardziej mogli liczyć na wznowienie, zakwalifikowania książki do którejś z popularnych serii, bądź nawet klatki szkolnych. Gra o prestiż była, bo być musiała, zorientowana wertykalnie. Miałam szczerze, im punktem docelowym była warstwa le-

Nie przesadzamy tu wagi indywidualnych decyzji autorów, a nawet tego, czy poszczególne nurty (powieść produkcyjna, literatura pracy, „powieść dyrektorska”) były programowane w swej genezie (raczej nie były), czy w pewnej fazie swego rozwoju. Ważne jest, iż funkcjonowały jako produkt (np. literatura o integracji ziem zachodnich w latach sześćdziesiątych), bądź narzędzie polityki państwa (np. powieść piastowska). Wyprowadza w latach sześćdziesiątych narzędzia stymulacji literatury były również, jeśli nie bardziej skuteczne, jak te z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Nie przesadzamy tu wagi indywidualnych decyzji autorów, a nawet tego, czy poszczególne nurty (powieść produkcyjna, literatura pracy, „powieść dyrektorska”) były programowane w swej genezie (raczej nie były), czy w pewnej fazie swego rozwoju. Ważne jest, iż funkcjonowały jako produkt (np. literatura o integracji ziem zachodnich w latach sześćdziesiątych), bądź narzędzie polityki państwa (np. powieść piastowska). Wyprowadza w latach sześćdziesiątych narzędzia stymulacji literatury były również, jeśli nie bardziej skuteczne, jak te z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Przez analogię do funkcjonowania pisarskiego zrzeszenia moglibyśmy układ ten nazwać partnerskim; wymuszał on bowiem pożądane reakcje pisarskie przez odpowiednie zaprogramowanie narzędzi stymulujących. Ustalał niepisane, ale respektowane przez obie strony reguły gry. Represje spotykały tylko tych, którzy je przekroczyli.

Powidliwiec, że, iż w warunkach zawieszenia praw rynku i istnienia kierowniczego centrum zdołnego wyemulować na podległych sobie instytucjach zaprogramowane działania, mógł się podległy swoisty „rynek wewnętrzny”; zespół działań zdołnych utrzymać w stanie chwiejnej równowagi „kierownice” środowiskami twórczymi i ich względna „samosterośność”. Produkcje autorytetów i użyczenie ich w pożądanym celach. Wskutek tego, co się dzisiaj sądzi, był to mechanizm w dużej mierze samosterośny; korektur („ręczne sterowanie”) wymagał tylko w momentach niewaligicznych.

Andrzej K. Waśkiewicz

1940

137 Jest do napisania historia literatury polskiej widzianej od strony jej reakcji na klęskowe wydarzenia, od bitew „o węgiel”, „o handel”, „o kolektywizację”, po walkę z odchYLENIEM, prawicowo-nacjonalistycznym „przebiegiem”, próby biskupa Kiermiera, „zripiego w mundurach”, tu reakcje były szybkie, „przeciwnie” w „złoty wiek” „wiosna szesnastowiecznych „walka o NTU” (normy techniczne uzasadnione) na mił literaturę i dokumentację o wiele skromniejszą, marzec 1968 zrodził tylko niejedną dzieła obnażając „prawdziwe oblicze”. Po roku 1970 jest to już tendencja zanikająca; z czasem też pogłębia się rozdział między „prawdą obiektywną” a wymowa dzieła.

ZSOFIA BALLA

ZSÓFIA BALLA

Czarny Adwent

Czarny Adwent, czarny,
czarny jak dno morza,
plonie smołą, plonie świecą,
czarny wieniec niesie zorza.

Na ulicach Temesvaru
tkwią plutony.

dłoń palcami
trzyma ziemi się. Już wolno.
Jeśli żołnierz nie chciał strzelać,
własny przebił go kolega,
kula, bagnet, wóz pancerny,
helikopter jest szarańczą,
kłąwą trupów czas naznacza,
trzask z przeciwa się przetacza
graszk, krzyk rozrywa pierś!
— słyszysz, bądamy, bądamy z nim!

Czarny Adwent, płonie świeca, do ognia liczy niedziele, czwarta będzie Narodzeniem — czy zostanie coś ze świata?

Naródź się wreszcie, miły Panie!

Łecz jutro Adwent jeszcze czarny.

Dźwięk syren, dzwonów, tnie przestrzeń,
pochyl swą głowę, nim ustanie.

Dziś tak jak przed Ukrzyżowaniem
niebýt i śmierć króluje jeszcze.

Kolecznyk, 19 grudnia 1940

Pewnemu organiście

Przyjdzie czas, wszystko zapomnisz.
Spierz się w tobie lodowa krawiec tego,
co było.

Poprzez szklą szyb twoich oczu
błkitnie deszcz lat nowych płynie.
Skrzydła organów kiedyś cię uniosą,
zatoczą krag, by spaść.
I spod stóp twoich przydeptana fraza
podniesie się, de profundis
podjemij ją wiatr.

Salve

Wasi noszą waszych.
Uraturcie tych, których noszą,
których zabierają spośród was.
Uraturcie uciekających,
wyswabadzających się, ginących.
Uraturcie wóz i konia,
okna i lampy.
Uraturcie tych, co chwytają kamienie z bruku,
uraturcie garbiących się pod majdanem,
łódz, firankę i siekiere.
Uraturcie bramę, lawkę i flagę.
Uraturcie książki w półki zrzucone,
perły, ostatni fragment twarzy.
Uraturcie pęd, co ma odwagę wyjść z ziemi.

Uraturcie od takich jak wy
tych, którzy pochodzą spośród was, uraturcie
od halabardników tych, którzy są wzięci na listę,
uraturcie od tego, co wybudowaliście, uraturcie
tych, co sami się oszukując zostali im podrzuceni,
uraturcie od późniejszej pokuty. Uraturcie zawczasu od kary
dla tych kamiennych dziesięciu przykazań;
uraturcie od wzięci niemych,
uraturcie od mowy bezwiednych,
uraturcie wycie od rozkwitnięcia,
śmiech od rechotania, uraturcie zmarłych,
paznokcie, rowy, kolana, treny sukni. Uraturcie
ten samolot.
Salve animam meam.

Lot nurkowy

Uważaj, byś się nie walał
w chaotycznym locie o te wojenne
wystające lata! Ogrom stopni czasu
obstawia cię teraz jak na zawodach kruszków — po co
do lat dwudziestych się zniżać? Popatrz

jak piękny jest ten rok osiemdziesiąty ósmy,
patrzaj wstecz, z siedemdziesiątych:
o te modele samochodów, lata,
jak pestki wiśni, oni przez chłodne, nowe
dekrety obdarci, w oknach czekolady,
wiatry łagodne, lecz na innych drogach
i deszcz na wzgórzach już nie wzbija kurzu;
pod niepoznawalnymi kolorami oczu
nowe zęby, idealnie równe;
pamiętasz, jak tam się kochają,
ten mężczyzna i ta kobieta?
W tym roku się miną
i dotknie ich pamięć
przeszłego czasu; czy jeszcze pamiętasz
to pożądanie? Popatrz, jak teraz szukają
oparcia, idąc, opędzając się od
złych i dobrych przeżyć. Tępy
kaczy błysk, wschodnioeuropejskie popołudnie
rzucane na sterzą dni —

Czy chciałbyś nas tak zobaczyć
jak my ich widzimy? Wszystko jedno
czy tu jesteśmy czy tam. Przeplata
nasze życie ten lot z cynową bawelną;
pod nami tylko równy szlak, lód,
poplamiony olejem w tył zwrot. To, co nadchodzi,
nakłada się na teraźniejszość;
w dziewięćdziesiątym ósmym — pamiętasz? —
zemdlesz widząc tyle cierpień.

Nieźle się rąbniesz,
taki będzie koniec!
Dopóki nie spadniemy, teraz także,
trzymam cię w ramionach.

Uzonka

Pergamin nieba, las zielonorozi
kościannymi szumi piórami.
Myszołów w górze krąży i po niebie czarno
pisze Pana linijczymi znakami.

Pewne światło, sukienka wlatuje,
głosem czołgu gazeta chrzęści.
A wieczorem iskra z paleniska
wzleci,
uśnie w gwieżdny zamieci.

Przed księżycem chmury, nietoperze

Niedziele nasze pod cynku warstwą
owinie szarym smakiem metalowym
wielę o Polakach: pomyśliśmy ciężko

i zapłacemy, gdzie znów się podziela
kochanka nasza, wolność, co powietrza
i morza pieśń by w nasze serce wiała,

spód zimy niesie nas w wodach płodowych
twórcą, by z bytu i z czasu żelazem
do pilnowania zbudzonych nas stworzyć.

Na księżyc próżno chmury napływają,
co gaszą wiarę, światło zasłaniając,
Prawda dojrzej naby ciężkie wino.

13 grudnia 1981

przełożył Bohdan Zadurka

Książki nadesłane

Poezyj

Urszula Jaros: *Act pokornia być mogłam*. Wydawnictwo Adalbert, Lublin 1992, ss. 72, nakład 500 egz.

Maciej Cisło: *Było jutro będzie wieczór*. Wydawnictwo Prądziwiat, Warszawa 1993, ss. 61.

Ryszard Filibrand: *Przebudzenie*. Kociński Kantor Wydawniczy, Tczew 1991, ss. 71, nakład 500 egz.

Ignacy Ignat Gasiński: *W nauce barwnie. Wybór i posłowie Longin J. Okoń*. Oficyna Poetów, Łódź 1993, ss. 64.

Longin Jan Okoń: *Polak burzyna. Wybór i posłowia Marta J. Paziak*. Oficyna Poetów, Lublin 1993, ss. 64.

Longin Jan Okoń: *Kamień i nadzieja*. Wydawnictwo Literackie „Sztuka”, Warszawa 1992, ss. 53.

Marian Stanisław Hermaszewski: *Z rękawem w garści*. Nakład własny, Lublin 1993, ss. 52.

Ewa Mazur: *Wspomnienia i przypowieści*. Grafika Halina Wierzbowska-Andruszewska. Oficyna Graficzna Wojewódzkiego Domu Kultury, Lublin 1992, ss. 71.

Józef Krupnicki: *Z pokłobów serca*. Wydawnictwo Literackie „Parnas”, Poznań 1992, ss. 59.

Krzysztof Smoczyński: *I światło w godzinie wstę*. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1991, ss. 73.

Magdalena Sacha: *Pierwsze oddechanie*. Nakład własny, Olstyn — Warszawa 1992, ss. 53.

Jerzy Binkowski: *Głosy z pustyni*. Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, Białystok 1993, ss. 59.

Jerzy Binkowski: *Wypalenie Boga*. Ilustrował Ryszard Strumień. Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, Białystok 1992, ss. 47. (Tom zapartopiony jest w posłowie Waldemira Smuszaka pt. *Polzeczka modliwy*.)

Sauropodowa snobka. *Wiaruszka* kujej. Wybór, opracowanie i posłowie ka. Jan Sochoń. Wstęp Stefan Sawicki. Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1992, ss. 368, nakład 5000 egz.

JERZY SIKORA

„CHWILOWO ŻYJEMY” o śmierci w młodej poezji polskiej lat 75-85*

jak my żyjemy żegnając się wiecznością
(H.M. Rilke: *Epizody doświadczenia*)

Problemy metafizyczne, czy ograniczając zakres — sprawy ostateczne, są wyraźnie obecne w młodej poezji polskiej. Używam sformułowania „sprawy ostateczne”, a nie „rzeczy ostateczne”, bowiem to drugie ujęcie jest zbyt przeszarżowane. Coraz rzadziej funkcjonuje ono w nowej teologii, a tzw. teologia egzystencjalna wykreśliła je ze swego słownika¹. Zakres semantyczny pojęcia „sprawy ostateczne” jest niezwykle rozległy. Mieści się w nim sposób widzenia świata, zaprzetywanie na istotę bytu, na to, co absolutne, transcendentne; przede wszystkim sprawa śmierci i wieczności. Spośród takiego repertuaru spraw ostatecznych, w niniejszym szkicu zwrócę zasadniczą uwagę na problem śmierci.

Zjawisko śmierci, „tak rozpaczliwie niezrozumiałe” (Eliade), wciąż zaprzęta umysły ludzkie. Czym jest śmierć dla człowieka? Jest to problem nie do zgłębienia. Chodzi tu o tajemnicę człowieka (...). Jesteśmy bardzo daleko od prawdziwej metafizyki zarówno śmierci, jak i życia².

Dla czegoś tematyka śmierci jest tak wyraźnie obecna w twórczości młodych poetów?

Przypuszczam, że przynajmniej z dwóch powodów. Powód pierwszy — związany z wiekiem. Młody człowiek staje po stronie vitalności i tym bardziej rodzi się w nim protest przeciw unicestwieniu. Powód drugi — związany z kontekstem historycznym i społecznym. Poeci, których twórczość tu przywołuję, zostali „zarazieli śmiercią” przede wszystkim poprzez przeżycie wydarzeń grudniowych 1970 roku oraz stanu wojennego. Wprawdzie nie reżetnili się aż tak wyraźnie i bezpośrednio ze śmiercią biologiczną, jednak dokonali się spustoszenie w ich psychicznej, sferze duchowej i systemie wartości.

Młoda poezja 1975-1985 echuje katastrofizm. Nie był on obcy również „pokoleniu 68”, lecz miał wtedy trochę inne oblicze — nie był tak totalny. Istniały jeszcze wówczas silniejsze więzi społeczne, natomiast z czasem zaczęły się one coraz bardziej rozpadnąć, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku. Rozpadał się przy tym zaczął świat wartości. Osłabienie odniesień horyzontalnych potęgowało katastrofizm, a jednocześnie nasilało

* Szkic jest fragmentem większej całości. Zawarty w tytule cytat pochodzi z wiersza *Wysoko pod niebem barwnie świdły* Jana Polkowickiego. Przez młodą poezję rozumem twórczość poetów debiutujących od 1975 roku (włącznie). Użyta kategoria młodzieńca oznacza zarówno wiek biograficzny, jak i „staz autorski”. Bóg pod tom autorów, notm i adresem, najbardziej reprezentatywnych. Są to: Maciej Cisło, Tomasz Jastrun, Bronisław Maj, Grzegorz Mieląg, Antoni Pawlak i Jan Polkowski.

Dotykając prof. Krzysztofa Dybalskiego za cenne uwagi.

¹ Zob. R.E. Ruggen: *Światłość i tajemnica. Z problematyki teologii egzystencjalnej*, Katowice 1986.

² P. L. Landsberg: *O sprawach ostatecznych*, przeł. B. Kaszmiereczy, Warszawa 1967, s. 9.

uwagę ku zapatrywaniom wertykalnym, ku dramatycznym pytaniom o sprawy ostateczne. Tak już często jest, że sytuacja zagubienia i niepewności sprzyja pytaniom religijnym — chociażby o nasze przetrwanie, los.

W młodej polskiej poezji mamy panowanie wspólnych, jak i wzajemnie wykluczających się zapatrywań na problem śmierci. Skosunek do śmierci, jej koncepcja, są funkcją stosunku do życia oraz filozoficznej i światopoglądowej orientacji autorów. Wiekoszko wierszy traktuje o życiu i śmierci mówi o nie o śmierci. To tylko pozorny paradoks, bowiem śmierć jest integralnie sprzężona z życiem. Żądaniem Borksa zapominanie o śmierci rodzi zapominanie o istnieniu. *Rozpamiętywanie naszej śmierci jest natomiast czynnością, w której życie zaczyna nabierać blasku. Kto zna śmierć, zna i życie. I to zdanie można odwrócić: kto zapomina o śmierci, zapomina również o życiu³.*

Liczne uwarunki poetyckie wykorzystują dyalektykę życie — śmierć. Wpisane są w nie rozmaite widze świata oraz egzystencjalne i eschatologiczne uwikłania. Śmierć jest rzeczywistością tak przebogata, że nie sposób pisać o niej jako o czymś jednorodnym, jedno-wymiarowym. W młodej poezji mamy do czynienia z „wieloma śmierciami”, nie tylko z tą, która stoi u kresu przydzielonego nam czasu — najczęstszą w wieku starszym. Potocznie sądzi się, że taka śmierć jest normalna, zwyczajna, a więc mało atrakcyjna do artystycznego artykułowania. Możemy odnaleźć dywagacje na temat śmierci „poszczególnej” — ludzkiego indywiduum i „powzechnej” — w szerszym wymiarze (kosmicznej); biologicznej i duchowej (wynikającej z kryzysu ludzkich wartości, kryzysu współczesnego świata). Pole semantyczne pojęcia „śmierć” jest rozległe ze względu na różne formy doświadczenia śmierci. Pewne dalsze konotacje tego pojęcia są w jakimś sensie ujęciem metaforycznym. Młodzi poeci dopatrują się w śmierci nie tylko końca życiowej drogi, czy też pogwałcenia praw istnienia, ale traktują ją jako zadanie stawiane wyobraźni i intuicji, co ma związek z tendencją estetyzacji zjawiska.

Zauważamy mało ujęć motywu śmierci w językowej i myślowej strukturze ponadosobistych, omijających sferę bezpośredniego lęku o własną egzystencję. Śmierć nie jest abstrakcyjna i anonimowa, ale rzeczywista i pewna, niemożliwa do usunięcia ani do zrozumienia. „... mówię za Jasperssem — sytuacja graniczna. A sytuacji granicznych nie da się przekroczyć poznawczo (...), sąjak mór, o który uderzamy, o który się rozkładamy. Nie potrafimy ich zmienić, lecz jedynie nawiązywać, nie mogąc ich wywieść i wyjaśnić przez odniesienie do czego innego⁴”.

Bohater literatury ma ogromne trudności z wszelką próbą wywieliczenia i pojmywania śmierci.

*Obracając w myślnach jak wiridarka
w łapkach
Ten twarzą łodził śmierć
(...) nie mogłem go rozszyfrzyć*

(Jastrun: Dqb. WP 87)

³ L. Borko: *Istnienie wywołane. Rozważania teologiczne. Misterium morit*. Oświecenie w edycji ostatniej wydanej, przeł. B. Babicki, Warszawa 1985, s. 135.

⁴ K. Jaspers: *Sytuacje graniczne*, przeł. A. Stanisława, w: R. Rudnicki: *Jaspers*. Warszawa 1978, s. 118.

Przy cytowaniu utworów poetyckich podaję nazwisko autora (lub je opuszczam, gdy z kontekstu wiadomo o jakimś poecie chodzi), nazw wiersza (w skrócie) wraz ze stroną. W odniesieniu do pończogowych tomów stosuję następujące skróty:

PJ — M. Cicho: *Plaszczyk języka*, Warszawa 1979.

OSS — M. Cicho: *Odciski są sprzączki*, Warszawa 1982.

BU — T. Jastrun: *Bez uprawnień*, Warszawa 1978.

Śmierć jest rzeczywistością z jednej strony tak wszechobecną, a z drugiej strony wymykającą się wszelkim określeniom i definicjom, że poeci zazwyczaj nie są w stanie zmieścić „śmiertelnych” przemysłów w opo-wojonych konwencjach wiersza. Sięgają więc po symbol lub alegorię.

U niektórych autorów (zwłaszcza u Macieja Cisiły) tragizm śmierci jest łagodzony ucieczką w lingwistyczną zabawę. Rzeczywistości śmierci nie sposób poznać z przyswojenia jej nazwy, która jest tylko czymś w rodzaju zewnętrznego opakowania. Mamy do czynienia z nieprecyzyjnością odniesienia nazwy do desygnatu. Prawdziwy sens ukrywa się głębiej. Cisiło w wierszu *Wysokie napięcie pisze. Dotknięcie grozi śmiercią!* Śmierć jest dotknięciem (OSS 43). I wcale nie jest to ani dła poety, ani dła czytelnika miarodajna definicja śmierci, ale jedynie impuls do głębszego zastanowienia się nad nią. *A z prac napiętsza — śmierć, powie w utworze Za każdym zaakrogrowanym dziełem (OSS 65)*, ukazuje śmierć jako zjawisko skomplikowane i złożone. Obnaża i kompromituje płytkość i nieadekwatność — zwłaszcza potocznych — powiedzeń i określeń śmierci: *Bezzuch o śmierci Sen to bezzuch (Bezzuch, PJ 24)*.

2

Tajemnica śmierci jest w dużej mierze tajemnicą czasu. Czas rzadzi się bowiem prawami przemijania. I może w refleksjach nad przemianami poeci najczęściej piszą o sprawach ostatecznych.

„Czy mam prawo do przeszukiwania czasu” — takie pytanie stawia bohater litery w jednym z wierszy Bronisława Maja. Chodzi tu chociażby o paradoks wielu możliwości i tylko jednej drogi wybranej. Linearność czasu zniewala, powoduje niemożność bycia w danej chwili w kilku miejscach jednocześnie: *To miejsce! odhiera mnie! całej ogromnej rzeczi! miejsce (Musiał: T. miejsce, PSZ 67)*. Natomiast przeszłość staje się czymś, co minęło bezpowrotnie, zwłaszcza wtedy, gdy zapominamy o nadaniu naszemu życiu właściwych treści i sensu:

*Już nigdy (wielu to mija)
wszystko (to mija), wszystko w tej chwili,
w której (zapominali żyć)
(Polkowski: Cola 209, EZT 56)*

W kontekście powyższych cytatów możemy powiedzieć za św. Augustynem, że człowiek jest istotą bytującą w kleszczach czasu. Czas dokonany jest czasem skończonym i zamkniętym — czymś, czego już nie ma, co minęło bezpowrotnie i nigdy nie ożyje. Bohater wierszy Jastruna nie może zatrzymać czasu, powrócić do tego wszystkiego, co już było. Jego życie zmierza więc nieuchronnie ku śmierci, która „może stać się w każdej chwili”. W każdej chwili świat wali się w gruz. Każda chwila ulega w momencie swych narodzin. U Jastruna zakres semantyczny słowa „czas” jest mniej więcej tożsamy ze znaczeniem leksemu „śmierć”, równa się destrukcji i unicestwieniu. Nie sposób wyzwoili się z osaczenia czasem, uciec. Próby ucieczki kończą się porażką. Bohater żyje śledząc czas wyznaczony na umieranie. Ma przed sobą nieustanną perspektywę śmierci jako biologicznego rozkładu:

WP — T. Jastrun: *Wzrost polski*, Kraków 1988.

ZSM — B. Maj: *Zagłada Świętego Miasta*, Londyn 1986.

PSZ — G. Musiał: *Przeklęty światłocień*, Warszawa 1986.

BW — A. Pawlak: *Artykuły wojenne*, Warszawa 1983.

CIG — A. Pawlak: *Czy jesteś polski*, Warszawa 1981.

W — A. Pawlak: *xxx! Wierze*, Bydgoszcz 1984.

EZT — J. Polkowski: *Elepie z Tymowskich Gór i inne wiersze*, Kraków 1990.

Czekają na nas oddziały onkologiczne
I balagan umierania
Czekają zasłochzone cmentarze
I bezładny pośpiech pogrzebów
Czeka na nas długi rozkład
Gnicie ciała i wyzychanie
(Cela, BU 25)

zjawisk jest naprawdę jedynym, które może całkowicie łączyć obie wartości przeciwne; dobro i zło. Rozświetla raj. Pałi w piekle. Jest rozkoszą i torturą. Jest kacią i apokaliptą¹⁰. U Polkowskiego symbolika ognia odgrywa istotną rolę (jeden z tomików nosi nawet tytuł *Ogień*). Miedzy innymi wiąże się ona z ideą przemijania i niestałości świata.

Młodzi poeci mają skłonność do upowszechniania śmierci. Zadowolili się ona również w przyrodzie. Musiał przedstawia proces rozpadu i zniszczenia zachodzący w i krajobrazie, i w człowieku. Zamieranie przyrody wiatwie ludzką śmierć w poezji Jastruna. Najczęściej opisywana pora roku to jesień, wywołująca refleksje nad przemijaniem. Atrybuty natury: żółknięcie kaskanowców, wczesniejszy zachód słońca — służą do wyeksponowania zjawiska przemijania. Badanie natury pozwala na odkrycie, że podlega ona skazaniu destrukcją i skończoności podobnie jak człowiek. Śmierć w przyrodzie — będąc jednym z elementów cyklicznego trwania — poprzedza odrodzenie. Trudno natomiast kategorycznie orzec, że jest śmiercią człowieka jest podobnie (Maj): *xxx Gdy opisywał mi ten park ...* ZSM 19).

Dla Polkowskiego śmierć — charakteryzowana bardzo często jako pustka czy nicność — jest czymś wszechobecnym także w dziejach kultury (zarówno materialnej jak i duchowej):

Ale nicość może także przebywać w najdoskonalszych
katedrach w Châtres lub Beauvais, słodko jak jęczmień
w zdaniach filozofów, wyciekając spod twarzy Rembrandta.
(xxx Nawet na obwie... EZTG 92)

Nie jest to jednak śmierć zdecydowanie związana z destrukcją. Ma rażę Jan Błński twierdząc, że dla autora *Ognia* śmierć staje się jedną z jego „ojczyzn” — punktów stałych¹¹.

Polkowski i Cisło nadają śmierci znaczenie aktywne. Uboecnia się w nią koncentracja istnienności życia, zwłaszcza na płaszczyźnie poznania i woli. Jest to pogląd zbliżony z zaprzatowaniami Borosa przedstawianymi w jego znanym książce „Mysterium mori”¹². W momencie śmierci człowiek staje oko w oko z tym wszystkim, czego pragnął i czego istnienia we wszystkich cząstkowych aktach swego poznania przeczuwał. Następuje tu szczytowa koncentracja i kondensacja wszystkich duchowych sił.

W *Sekcie* do poematu Cisło wyraża pragnienie:

Ziemio, chcę mieć wszystkie ciała
twojego kosmosu, jak w śmierci się ma myśli drzew,
chmur i kamieni
(„Poezja” 1980, nr 6, s. 77)

A więc w momencie śmierci następuje jakby intensyfikacja istnienia czy też poznania. Zwiększa się przez moment jakas aktywność poznawcza. Śmierć ma w sobie coś z oświecenia, zawiera przy tym elementy piękna i strachu.

U Polkowskiego śmierć jest rzeczywistością, w której człowiek doznaje chwilowego zwielokrotnienia sił poznawczych, a przede wszystkim duchowych. Ponadto wyeksponowana zostaje rola przeczuca (*Oddychaj głęboko, EZTG 36*).

¹⁰ G. Bachelard, dz. cyt., s. 29.

¹¹ J. Błński: *Język wiatwie użyty. O poezji Jana Polkowskiego*, „Res Publica” 1987, nr 3, s. 108-114.

¹² L. Boros, dz. cyt., s. 164-168.

3. *Śmierć* (tutaj są opisywane śmierci) „Śmierć” (tutaj są opisywane śmierci)

W opisie śmierci młodzi poeci starają się unikać wyeksploatowanej symboliki, odrzucać patos, przedstawiać śmierć w sposób oryginalny, nowy i różnorodny.

Są utwory podejmujące wprost tę problematykę, dostrzegająca już w warstwie leksykalnej. W debiutanckim tomiku Jastruna p. *Bez uprzedwień* dominuje słowo „śmierć” (będące słowem-kluczem) wraz z pokrewnymi konotacjami. Jednak w wielu utworach, zwłaszcza Maj, Polkowskiego i Musiala, problem śmierci potraktowany został w sposób bardzo subtelny, liryczny. *Śmierć jest zbyt intymna* by ją podkreślać kabaretowym okrzykiem — powie Pawlak w *Litce* do zyna (BW 13). Wiersze przesycone są tajemniczym przeczuśm śmierci, jej magią. W obrazowaniu występują nierzadkie elementy sentymentalne. Dochodzi do głosu nuta elegia, ton nostalgiczny. Śmierć bywa wszak fascynująca:

przydziana w zalone
szatki workowc zaplata wspiera się
o pień

(Musiał: *xxx Ja wiem...*, PSZ 61)

Upersonifikowana śmierć, często o zabarwieniu ironicznym i groteskowym, ma w sobie coś z kokietery, erotycznego pobawu, wdzięku. Jest piękna, dekoracyjna. Nie narzuca się, wyzyskuje, kusi i wabi:

obserwuje nas pilnie
z pokoju w którym
zgasiła światło
w jej oczach
czai się lekka tęsknota
kiedys przyjdzie i po nas

(Pawlak: *xxx wiec tak wygląda śmierć...*, W 15)

Czy jest śmierć? — zastanawia się Musiał. Jak ją opisać, określić? *Tworzą... a może przepaść... niewidzialna nie?* A może *próżnia czyś* (Otcłan, PSZ 61). Zjawia się nieoczekiwanie w wielu odmianach kszatach. Jest nieustannym zagrożeniem, niepewnością.

Czai się w jakimś nieokreślonym: „świat rozpuszcza się” (Maj), „świat? My? (Nie istniejący)?” (Polkowski). Śmierć jako coś niesumionego i tajemniczego wisi w powietrzu. Śmierć obecność zaznacza nie nagłym, głośnym wtrąceniem w ludzkie życie, lecz przychodzi powoli, po cichu. Oto przykłady z poezji Musiala: *kupiec Stein* wyszedł w milczeniu i nie powrócił, *ślepy grajek* (...), *coraz bardziej snuł* a *może umierał* tak nie wiem, *śmierć* *pragnę* *lepszych manier* *coraz ciszej wchodzi* *się nie zostawiając* *leż* (wszystkie cytaty z PSZ).

Nie zamyślił wiatwie w wierszach Musiala czy Maj, krzykliwego buntu przeciw śmierci, wadzenia się z nią. Ci poeci rezygnują z przesadnie ekspresyjnych obrazów. Mamy do czynienia z czymś w rodzaju podglądania śmierci, nieustannego tropienia przejawów jej obecności w świecie.

Częstym bohaterem młodej poezji jest człowiek samotny, zagubiony, zmagaający się z trudną do określenia śmiercią. Nasuwa się tutaj pewne podobieństwo do sytuacji bohatera *Zamku* Franza Kafki. Jego poczynania zmierzające w kierunku wnikienia w tajemnicę istnienia „mogą pozostać na podwórzu głębokie ślady w śniegu, ale nie ponadto”¹³. „Przecież K” jest niczym, wprost liście bierze, gdy się

¹³ F. Kafka: *Zamek*, przeł. K. Radziwiłł, K. Truchanowski, Warszawa 1973, s. 140.

przyjrzymy jego sytuacji"¹⁴. Podobnie beznadziejne są trudy podejmowane przez bohatera młodej poezji w celu zwalczania piętrzących się przeszkód w dążeniu do zdefiniowania śmierci.

Dokąd zmierza człowiek i świat? Czy śmierć jest kresem wszelkiego bytu? Czy mimo trudności poznawczych, nieraz mimo zwątpienia, możemy przynajmniej przeczuwać istnienie życia wiecznego? To dylematy trudne do rozstrzygnięcia.

W jednym ze swoich wierszy Bronisław Maj pisze:

*Ktokolwiek wiedziałby coś o losie proszony jest.
Nie wiem, nie wierzę, że ktokolwiek
wie.*

(XXX Māhāt... ZSM 35)

Mamy więc do czynienia ze sceptycyzmem. Już Oswald Spengler orzekł, że sceptycyzm jest ostatnim możliwym i godnym naszych czasów stanowiskiem filozoficznym¹⁵. Czyżby miał rację?

Jerzy Sikora

¹⁴ Tarnic, s 354.

¹² O. Spengler: *Człowiek i technika*. (w:) A. Kołakowski: *Spengler*. Warszawa 1981, s. 274.



KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI
REKTOR

AL. BACLAWSCHIE NR 14. 20-200 LINDEN. SEE PHOTO FOR THE NAME.

Lab. _____ Lett. date 20.05.1993

1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025, 2026, 2027, 2028, 2029, 2030, 2031, 2032, 2033, 2034, 2035, 2036, 2037, 2038, 2039, 2040, 2041, 2042, 2043, 2044, 2045, 2046, 2047, 2048, 2049, 2050, 2051, 2052, 2053, 2054, 2055, 2056, 2057, 2058, 2059, 2060, 2061, 2062, 2063, 2064, 2065, 2066, 2067, 2068, 2069, 2070, 2071, 2072, 2073, 2074, 2075, 2076, 2077, 2078, 2079, 2080, 2081, 2082, 2083, 2084, 2085, 2086, 2087, 2088, 2089, 2090, 2091, 2092, 2093, 2094, 2095, 2096, 2097, 2098, 2099, 2100, 2101, 2102, 2103, 2104, 2105, 2106, 2107, 2108, 2109, 2110, 2111, 2112, 2113, 2114, 2115, 2116, 2117, 2118, 2119, 2120, 2121, 2122, 2123, 2124, 2125, 2126, 2127, 2128, 2129, 2130, 2131, 2132, 2133, 2134, 2135, 2136, 2137, 2138, 2139, 2140, 2141, 2142, 2143, 2144, 2145, 2146, 2147, 2148, 2149, 2150, 2151, 2152, 2153, 2154, 2155, 2156, 2157, 2158, 2159, 2160, 2161, 2162, 2163, 2164, 2165, 2166, 2167, 2168, 2169, 2170, 2171, 2172, 2173, 2174, 2175, 2176, 2177, 2178, 2179, 2180, 2181, 2182, 2183, 2184, 2185, 2186, 2187, 2188, 2189, 2190, 2191, 2192, 2193, 2194, 2195, 2196, 2197, 2198, 2199, 2200, 2201, 2202, 2203, 2204, 2205, 2206, 2207, 2208, 2209, 2210, 2211, 2212, 2213, 2214, 2215, 2216, 2217, 2218, 2219, 2220, 2221, 2222, 2223, 2224, 2225, 2226, 2227, 2228, 2229, 2230, 2231, 2232, 2233, 2234, 2235, 2236, 2237, 2238, 2239, 2240, 2241, 2242, 2243, 2244, 2245, 2246, 2247, 2248, 2249, 2250, 2251, 2252, 2253, 2254, 2255, 2256, 2257, 2258, 2259, 2260, 2261, 2262, 2263, 2264, 2265, 2266, 2267, 2268, 2269, 2270, 2271, 2272, 2273, 2274, 2275, 2276, 2277, 2278, 2279, 2280, 2281, 2282, 2283, 2284, 2285, 2286, 2287, 2288, 2289, 2290, 2291, 2292, 2293, 2294, 2295, 2296, 2297, 2298, 2299, 2300, 2301, 2302, 2303, 2304, 2305, 2306, 2307, 2308, 2309, 2310, 2311, 2312, 2313, 2314, 2315, 2316, 2317, 2318, 2319, 2320, 2321, 2322, 2323, 2324, 2325, 2326, 2327, 2328, 2329, 2330, 2331, 2332, 2333, 2334, 2335, 2336, 2337, 2338, 2339, 2340, 2341, 2342, 2343, 2344, 2345, 2346, 2347, 2348, 2349, 2350, 2351, 2352, 2353, 2354, 2355, 2356, 2357, 2358, 2359, 2360, 2361, 2362, 2363, 2364, 2365, 2366, 2367, 2368, 2369, 2370, 2371, 2372, 2373, 2374, 2375, 2376, 2377, 2378, 2379, 2380, 2381, 2382, 2383, 2384, 2385, 2386, 2387, 2388, 2389, 2390, 2391, 2392, 2393, 2394, 2395, 2396, 2397, 2398, 2399, 2400, 2401, 2402, 2403, 2404, 2405, 2406, 2407, 2408, 2409, 2410, 2411, 2412, 2413, 2414, 2415, 2416, 2417, 2418, 2419, 2420, 2421, 2422, 2423, 2424, 2425, 2426, 2427, 2428, 2429, 2430, 2431, 2432, 2433, 2434, 2435, 2436, 2437, 2438, 2439, 2440, 2441, 2442, 2443, 2444, 2445, 2446, 2447, 2448, 2449, 2450, 2451, 2452, 2453, 2454, 2455, 2456, 2457, 2458, 2459, 2460, 2461, 2462, 2463, 2464, 2465, 2466, 2467, 2468, 2469, 2470, 2471, 2472, 2473, 2474, 2475, 2476, 2477, 2478, 2479, 2480, 2481, 2482, 2483, 2484, 2485, 2486, 2487, 2488, 2489, 2490, 2491, 2492, 2493, 2494, 2495, 2496, 2497, 2498, 2499, 2500, 2501, 2502, 2503, 2504, 2505, 2506, 2507, 2508, 2509, 2510, 2511, 2512, 2513, 2514, 2515, 2516, 2517, 2518, 2519, 2520, 2521, 2522, 2523, 2524, 2525, 2526, 2527, 2528, 2529, 2530, 2531, 2532, 2533, 2534, 2535, 2536, 2537, 2538, 2539, 2540, 2541, 2542, 2543, 2544, 2545, 2546, 2547, 2548, 2549, 2550, 2551, 2552, 2553, 2554, 2555, 2556, 2557, 2558, 2559, 2560, 2561, 2562, 2563, 2564, 2565, 2566, 2567, 2568, 2569, 2570, 2571, 2572, 2573, 2574, 2575, 2576, 2577, 2578, 2579, 2580, 2581, 2582, 2583, 2584, 2585, 2586, 2587, 2588, 2589, 2590, 2591, 2592, 2593, 2594, 2595, 2596, 2597, 2598, 2599, 2600, 2601, 2602, 2603, 2604, 2605, 2606, 2607, 2608, 2609, 2610, 2611, 2612, 2613, 2614, 2615, 2616, 2617, 2618, 2619, 2620, 2621, 2622, 2623, 2624, 2625, 2626, 2627, 2628, 2629, 2630, 2631, 2632, 2633, 2634, 2635, 2636, 2637, 2638, 2639, 2640, 2641, 2642, 2643, 2644, 2645, 2646, 2647, 2648, 2649, 2650, 2651, 2652, 2653, 2654, 2655, 2656, 2657, 2658, 2659, 2660, 2661, 2662, 2663, 2664, 2665, 2666, 2667, 2668, 2669, 2670, 2671, 2672, 2673, 26

Pan Bogusław Wróblewski
Redaktor Miesięcy
Kwartalnika "ZEMSTO"

Staschewy Pasiel Redaktorge.

Pięćdziesiąty numer AKCENTU, to świadectwo stałej już obecności piśmi, które w regionie lubelskim - w przepięsłych moich dzwonnach lat istnienia - zdobyło stałe grono wiktorych czytelników. Wystarczy spojrzeć na pierwsze numery AKCENTU, by stwierdzić, jakie, jakiegoś trudności wymagało w latach czterdziestych zachowanie miłośników literatury, promowanie młodych twórców - w tym także siennego grona leśnych piór - Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Masze środowisko z ogromną sympatią przyglądało kolejne samy pisma, stałowięcego z każdym rokiem znaczący wkład dla kultury narodowej, a zwłaszcza także dla sprawy łączenia ludzi dobrej woli, dla których ważne są wartości ogólnoludzkie.

Z okazji wydania jubileuszowego numeru pisma, Panu Redaktorowi i całej Zespołowi Redakcyjnemu AECENTU przesyłam serdeczne gratulacje i życzenia na kolejne lata twórczości.

7 wyrazami powołania
Janusz Winiarski
 Rektor
 Ex. prof. dr hab. Stanisław Winiarski

CELESTE REGAL (RYGIEL)

Jego Wysokość Dogmat

Jego Wysokość Dogmat stoi u bram prawdy i sprawiedliwości
strzegąc cnoty i pogody dzievic.

Za dnia jest wspaniałym księciem pustostlowia,
zaś w nocy zakleja dzieciom usta,
krzycząc „idź tędy, idź tędy
To jedyna droga”.

Mam dość tego jednego prawdziwego kościoła i partyjnej linii tak bombastycznie ograniczonej tak zupełnie pozbawionej sensu, że nie toleruje najmniejszych odchyśleń. Mężczyźni toną w pogoni za czystością podczas gdy ciekłe jak owieczki przechodzą niezauważone i zlekceważone.

Chcielibyście zapędzić nas wszystkich do ciasnej zagrody,
zabrać nam wolność słowa i myśli i oblec
u nudny szary utyliarny ornat
władzą koronę królów.
Widziamy wiele rewolucji

pogoń za siłą zaczyna się zawsze tak samo
młodzi muzułmanie zawsze się starzeją,
a św. Franciszek był mazzgiem!

Nie ma żadnego św. Mikołaja
ale wciąż mogą ukryć się
w tej dziewiczej puszczy.
Jej bram strzeże smok Zenu

on zna wiele języków
lecz zachowuje prawo
do własnego, zlepionego
ze strzępów i kawałków
tamtych innych.

Bierze, co mu potrzeba i zostawia resztę — uznaje ważność każdej osoby.

24

mam 24 lata
i dzisiaj wypruto
mi wnętrzości.

niezniecznie nie działało
dziecko jest
w kuble
mam 24 lata
i mężczyźni który
jest ze mną
nie obchodzi
czy żyje
czy nie
mam 24 lata
i z tego miejsca
życie wygląda tak zimno
tak okrutnie, tak bez sensu
i mam 24 lata.

Dlaczego nie chcę być poetką

Stara kobieta z góry klinie mnie w środku nocy.
To ta cholerna temponówka do obłoków i wierz, który recytuje
zakłócają jej spokój.
Jestem niżej i podziwiam piękno mojej samotności,
pragnę ułożyć się w otwartą muszlę, żeby wszyscy widzieli.
To nauczyciele polskiego łania mi serce
i dają marchewkę, żebyś dała bawiła się sama.
To słodkie młode kudlate stworzenie stoi tu — smukłe i miłe —
zapraszając mnie cząbrowymi, błagalnymi oczkami.
Nie potrafię dłużej w bezruchu
w przeciwieństwie do większości ciał ziemskich, wyposażonych
w upartą wolę
pozostawania na miejscu.
Nie znam żadnych rymów, żadnej poezji, żadnych technik
Mam talent do gadulstwa, obrażania siebie i innych w związkach
ze mną.
Interesują mnie tylko dwie kobiety.
Jedna jest boginią, którą mężczyźni lubią posiadać, lecz są na
nią ślepi
więc schroniła się pod kocem starożytności;
druga przeskakuje kryków bogi.
Obu nie będzie odmówiony dostęp do ich własnych danych,
ryją jak potrafią żeby je znaleźć i stanąć twarzą w twarz.
Wszystkie inne zostawiam jak tyle kaloszy na poboczu drogi.
Są niepraktyczne w podróży.

Nie ma żadnych rewolucji.

Zmarły w 1981 na wzrost poziomu życia.

Buntują się tylko ci, którzy są tego głodni, a kiedy tak wielu
je, ich celem jest stłumienie krzyków tęsknoty.

Płonący na stosie codziennie są mijani (już to widzieliśmy)
wskutek zmniejszonej stopy zainteresowania.
Z jednej strony to źle, z drugiej strony to dobrze;
to wszystko wyprzedaż, powiedział mi pewien ropuch (wiesz, to
jego jedyna
prawda).
Na nic nie przydam się światu.
Im potrzebny jest masaż, są tacy zmęczeni.
Cień w boku po prostu jest
NAZBYT DOTKLIWI!

przełożyła Natalia Jurak

CELESTE REGAL (RYGIEL) wychowywała się w przemysłowej dzielnicy New
Jersey wśród polskich i irlandzkich emigrantów. Studiowała sztuki piękne w Kalifor-
nii i Nowym Jorku. Pracowała jako projektantka grafiki i studiowała pianino w
Cornell University. Obecnie pracuje na University of Minnesota, studiując
równocześnie architekturę.

przekroje

JOZEF FERT

ODLANE Z WOSKU – ZAMKNIĘTE W METAFORZE (O wierszach Tadeusza Chabrowskiego)

Milosi jest nieprzemijająca. Proroczo? – Przemiłnie, Jężyku! – Zawsze. Wiedza. – Przepadnie w mroku, jak woda, jak światło, jak powietrze. (I. Kor 13,8)

Użyłem fragmentu aryleńskiego listu. Pawał do Koryntian nie tylko dlatego, że jest jednym z najpotężniejszych hymnów miłości, a mówić o niej, mam właśnie, leć i pobożnie niezaprzędać dla mnie samego jąsić, może symbolicznie? Mowa będzie o wydanej niedawno książce *Panny z wosku* Tadeusza Chabrowskiego – tomiu wierszy stanowiących drugie ogniwo serii „Biblioteka Akcentu”, która – między innymi – w kolejnej odsłonie zbliży się ku źródłowi światła: Europie. Tom pierwszy „Biblioteki” zawierał utwory bardo Włodzimierza Włodzimierza Włodzimierza. Oczywiście, uważając się każdym następnym tomiu, „Biblioteki”, niezależnie z jakiego punktu Globa, z jakiej kultury zostanie podniesiony. Mówię z nowohabryjskiego?

Zanim wobec samego poety zadane: „Chapau! zaś!” – chciałbym kilka cępych słów powiedzieć o książce jako o szmaru kultury, a ściślej – o jej wierszach artysty grafika, redaktora, wydawcy i jego współpracowników. Wacymy oni uczestniczyć w rzeczy pięknej – od do z. Dawno nie widziałem tak adanego tomiu współczesnej poezji: wyszukany format (wzorem, choć kostnowy, bo wymagający specjalnego obcinania arkuszy), piękna płaszczyzna kart, na których w przynajmniej współczesnej kęstystości wiersze i graficzne studia kłobocici wypracowane przez Zofię Kopeł-Szule (nh) jej subtelna mowa kładząca na aurę liryzmu przeświecająca już z okładki tomiu. Różnorodność typograficzna odznaczająca się harmonia smaku i schludnej sztywności. Dnieli temu już dojrzałe bogactwo i nieustraszenie piękna. Dobrze słowo należy się Oficynie Wydawniczej Norberta Wojciechowskiego, który książka Chabrowskiego dobiła liczby jubileuszowej „Norbertinum” – to 25 tyłu do chwały dla Wydawcy i Wydawnictwa. Zauważmy, że od początku istnienia (i), mniej więcej od trzech lat Wojciechowski nie obawia się absolutnych „afektywów”, czyli tomików poezji. Należało się Norbertowi coś tak adanego, jak te *Panny z wosku*, choć nie sadzę, abyś udało mu się utrzymać na takim poziomie estetycznym poetyki niż tej Oficyny. Na tak całego długi już (może jeszcze!) niktogo nie stał. Myślę więc z żalem, że *Panny z wosku* pozostała niepowtarzalnym ewenementem na lubelskiej scenie wydawniczej. Ale między nadzieją, że się myli.

Rzecz o *Pannach z wosku* piszę się dla „Akcentu”, nie wypada więc wychwalać redukcji książki – i zarzucić serię – a równocześnie monologicznie „Akcentu” – Bogusława Wróblewskiego. Podobny się więc słowami samego Chabrowskiego z dedykacją: „Serdeczne podziękowania za bezinteresowną pomoc p. Annie Bernat i p. Bogusławowi Wróblewskiemu składa autor.” Ostatni wiersz tomiu ofiarowany został osobie ukrytej pod inicjałami A. B. Nie trudno się domyślić, o kogo tu chodzi.

Pannom z wosku towarzyszą istotne z punktu biograficznego – a może i dla interpretacji metafizycznej podjęta tych wierszy nieobcość – wprowadzenia i dopełnienia redakcyjne na wstępie („Zamiast wstępu”) *Antena wstępnego* Krytycy Kofy – mozaika pytań, jak rachunek sumienia dla czytelnika (7), poety (7) przed wejściem w potok poezji. Na końcu białym poety pióra Anny Bernat i dopełnienie Bogusława Wróblewskiego o proveniencji natchnień oraz charak-

terze tematycznym zbioru. Te swagi edytorskie stanowią dobre oparcie dla czytelnika, który po raz pierwszy zetknie się z Chabrowskim, acz poeta to mocno już zakorzeniony poprzez książki własne, udział w poetyckich antologiach, poprzez publikacje prasowe itp. Poeta szczepiliwe zauważył, nagradzany, ceniony. Doskonale się składa, że w mieście tak przenikniętym kulturą kresową, w mieście pogranicza tak wyczułym, nie bez udziału „Akcentu”, na wartości różnorodności – mógł się pokłonić słowu przemienić polski poeta od lat (od 1961 roku) mieszkający w Ameryce. Zakońców wypada, że książka Chabrowskiego nie będzie zbyt wieloletnia na tysiącu kęstystych. Nihy – jak i to z poezją – nakład wystarczyć autorowi i wydawcy chyba tu na prezydent. No cóż, poezja to luksus, i choćby nawet bez niego nie dało się niczego żyć, pozostanie darem nieba, cudem, który nie zdarza się codziennie.

Uroda *Pann z wosku* jako świadectwa wydawniczego współżar z wysokim poziomem wierszy zebranych w tej książce. Dominują – jeśli chodzi o temat – erotyki, ale przebiega się również inne: samokrytyczne poetyckie (ja i świat, personalnego i personalnego wymiaru rzeczy), problem wiary religijnej, problem realności. Patronka tych wierszy, wieloimienna Ewa (którą prawnymu zmieniając się tu zresztą nicustannie), raz po raz wstępuje – oddaje głos – rzeczom równie intensywnie (może nawet niekiedy bardziej od niej intensywniej) przeżywanym i wyrażanym tajemnicy indywidualnego intymna, rozkwiata, owocowania – gorący miłoci do rzyzy świata tego (przez ogrody, obłoków na niebie, zab na mikradach przy niebie, żywych głębi nad głową...), Ciekawe, że woi w tematyce; ani w jejzaju poetyckim nie zauważa się niechającego w końcu problemu emigracji: ten poeta pozostał ciągle „u siebie” – w bezimiennym, syntetycznym krajoznajstwie ideału doznawane, zapamiętane raz na zawsze: może nad Wisłą, nad Wartą, Pilicą... w każdym razie nie nad Hudsonem, Connecticut, Missisipi. Potwierdza się znów Miłoszowska (miłoszowska) prawda, że poeta ojczysty ma – jak maskę – tylko to głowa, rodzona, i Chabrowski jest jej werny.

Wracając do dominanty tematycznej, mam ochotę sformułować ją nieco prawnie, bo poprawnie to wiersze – i ich z e n g i r z e z e przeżanie (z udziałem wydawców) – szczególnie głośno popychany w stronę paradoksu: poeta kocha tylko siebie; siebie! jeśli jest po to, by go podziwiać. I jeśli trafnie odgadnie myśl jego, nią się rozjaśni, światła, to może dostąpił taki wężerza w niemierności kłopotliwym wiersza. Tak więc, owszem, erotyka, ale nie tylko ona i nawet nie jako solo z iewarzynami oskierzy, lecz raczej jako jedna z melodii, jedna z ważnych instrumentów, nie dźwiś alików, w dominującym temacie p i k s a s.

A więc tematy: ja poeta, moja wiara, moja Ewa (wieloimienna, nieokreślona, ale zawsze godna żarliwej kontemplacji kłobocności), moja ironia i rozmyślanie katejozskomych... Jeszcze kilka stichów: w tym soku nie może nawet martwić o ich pełń liczb, a zresztą, po co? – to tematy współczesna, ostentacyjnie relacje doświ-

Mimo przywiązania do nieodpowiednio, wiersz zasadzie, by nie podchodzić do blisko centrum metafory, mam ochotę rozwarzać zagadkę tytułu tej książki; ba – przezwaniem, że w głębi tej metafory tkwi intencja programowa i zarazem przekład interpretacyjny! Zdaże się, pani Zofia Kopeł-Szule już tę drogę przebiegła: ma przecho-dzić wodząc ostrzem obłoków po nerwach metafory i porwałaję wyobraźni oddać się w na wpat z czytelnikiem kłoboc. *Panny z wosku*: upamiętnienie na bytują straż życia gorące krople – leż, żywych, gwiazdek materii. Zastępnaję wiersze, maski i wpływaj nymy jęszne liście od żródeł ku ujściu. Zostaje samotny kochanek zapętrzony w potok zdarzeń, myśli, masek... może stać też dramatyczny ton?

*Chciałbym oddać ci siebie tak daleko
tębiu adanego ciębia nie mógł oddać*

(...)

Zbłądziłem siebie z nie intencją powierzchni

*Widując moim wierszem trudem
moję nagrodę za nieistnienie*

(dokońc)

W niejednym wierszu snuje się wątek ucieczki – choć może nie aż tak radykalnie sformułowany, jak wytr – ucieczka się, zataracia za sobą wszelkich śladów intymna: siebie za poecie niepokoję eskapizm...

Skoro poprzez tżyb zioru dotkaliśmy wnętrza wiersza, to już postawmy mole i krok następnym w stronę metafory, bo cały dramat wokół tego centrum się obraca, Pasa Metafora Chabrowski dzionę się jej kłusami. Niekiedy asocjuje pokonają, jak wysoko naszedł w jej służbie; co kilka przykładów „od twegoś silnieku szybkoje dojrzewają grądku dym” (s.12), „akryj się w tym wierszu” (14), „wkończymy razem w rozpalony kraw naszej niołko” (20), „rozważam na mizi z grząz w ogrodzie na twoj tenia” (25), „od tygodni na ziarnkach piasku odnawiam twoje inie” (38), „jak marna upadłaś do ogrodu moich tpiaków” (40), „chcę żeby zaroło się od ciebie we mnie” (43), „gdy pojawię się znova we łbie będę przegony” (47), „ocul Boga który ciągle mnie myśla” (53). Dokonalem tych preparacji nie bez nastawień eksperymentalistich: coś metafory — jak się spodziwiałem — dawały się stosunkowo łatwo wyłukiwać z mniej ery bardziej szalonej substancji wiersza i — mimo wszystko — potrafiła wciąż egzystować jako wycochione jązwa. Owszem, utraciły blask, moję i cenę, ale ciągle mają do zaofiarowania sporo treści. Moję się myśle, że — ażeby mi się — je Chabrowskiowa strukturalna koherencja, ale zatańcie ukiepią rzeczy o wiele ważniejsze od spójności; łatwo to zauważyć na przykładzie wiersza *Początek lewicy*. Inicjalna fraza

Wzrocz na obłoku nad moim domem
grahym podłom napiałem twoje inie

— rozwinęta zostaje w cały ciąg zdarzeń metaforycznych, aż do zakniętego w metaforyczności finisu

Najlepiej, jak na odwrocie chmury
podłotisz się warkocem

Mam wrażenie, że poeta niekiedy upada w pułapki, które sam zastawia i że bardzo lubi te swoje „upadki”. Krytyknieł wchodzić w ten Labirynt spotyka jednak nie rozjaśnionego głodnego Minotaura, lecz... pułkę. Raz po raz te uwidzenia metafory obijają się kabalistycznymi gestami, w których nawet małe interpunkcyjne coś znaczą (lub przedstawią), jak w cytowanym wierszu (i jeszcze w kilku innych). To mi się wydaje manifestem, natęża paucyjną na zdrowych skośnych niołach. Ale moję się myśle! Moję wystarczająco udzi się po rozgrzeaniu do klasatora Poezji Lingwistycznej, moję pogorzi o wyjaśnienie archaizm Postmodernizmu! Nie będę jednak zbyt łatwo wyzywał się moich wątpliwości, bo przecież Pasa, z wosku napierawo się je podobają; tyle w nich piękna autentyczności, własnego, nie potrącanego o cudze naschnienia, woelenia, stereotypy... no, zobaczmy, poduchajmy wiersza do *Aby*:

Przez sen
jak przyłożony na chmurze antioł,
porwałem zapach twojg aniołowej korozi,
białe i niebiańskie na niej misty;
rozczepne na podłotce wlosy,
perłowy kłw w czasie ostatnich wakacji
przywołem ci z Paryża,
ciepły miarowy oddech
i od kosterki do kosterki spragnione pieszczot
cielo.

Myślę, że poeta sam wie doskonale, gdzie jest najprawdziwiej.

Wierzę w miłość do ostatniej kropki poezji,
myśli plisane napręde na papierze
do pakowania; zapamiętany zapach (...)

(s. 27)

Pora więc na kolejne potwierdzenie: poezja Chabrowskiego w tych mojących jest najmocniejsza, w których właśnie — w zgodzie z deklaracją wyrażoną w wierszu *Wierzę* — ufa zmysłom, sensualistycznej wrażliwości przeniefrowanej przez artystyczny zmysł

słowa i z ich zdobyczy buduje metaforykę sensualistycznego „ja”. Tam zaś, gdzie oddziela poimanie od doznania i przyzwidnia komię abstrakcji, moję i bywa porwana do strła, ale przetrwać być porwijano; no bo jak mam uczestniczyć w jej tajnych mistach? Bywa tuł tak, że zabiorczy zmysł abstrakcji porpcha poety ku czystej formie (czystej grze przypadków, żonglując słowem), ale potwiera Chabrowski naprawdę wiersz tylko zmysłom, więc w takich sytuacjach wiersz sięga dramatycznej nęklebienia, dezintegracji intencji i kształtu, forma pęka, ulatuje dach porzucając spowienierzone ciało metafory... W tych dramatach odnajduje oczywiście prawdę, ale — niestety — jest to już tylko prawda proskrotyjna: tu się rozgrywa współczesna walka o słowo...

Na szczęście nie świadectwa dramatycznych zmagnię z pokusami poetyckich formalizmów, strukturalizmów, dekonekcyjizmów... nadają ton tym wierszom — i czytelnym doświadczeniom. Pierwszeństwo sensualnej prawdy, która oparła świat zmysłowy lub z nim spókrzewieniu i pozwala go nie tyle poznać, co doznać, odczuć poezją. Wierzę w to, że poeta moję prawdę — własną, doświadczoną, świadczącą, choć moję i metaforycznie ubła, a estetycznie brutalną.

Chcę żeby zaroło się od ciebie we mnie
twoje lewe oko było
moim prawym, tężym w przeliku
czuł jak polyszak winię

Żeby wszystkie słowa, które szepciem
wypowiadasz dotykały moich warg
i żeby twój oddech
był moim oddechem.

(s. 46)

Niech więc trwa ta zmysłowa fascynacja. Niech się rodzi wiersze z żywego źródła życia.

Spoglądam na ciebie od wczoraj, jesteś coraz
bardziej radoma; od twegoś umienu
zbychle dojrzewają grądku dym,
przebiegają się w zapachach kwiaty;
natury i rólta pierznie na mecie;
jaskółki zatańczą coraz śmielej kręgi;
nad lasem obłok tuńczy z obłokiem
jak na wesoło nowo odkrytej planety,
nawet kłkicze samonyj prorok na niebie
przeprowadzi lepszą pogodę,
naszym lebiecie sadzonym w ogrodem

Tadeusz Chabrowski: *Pasy z wosku*, Rybniki i projekt okładki Zofia Kępcz-Szłach, wybie i nota o autorze Antoni Rerut, sennat wstępu — Krystyna Kofa, nakład Bogusław Wroblewski, Wydawnictwo Nerburian, Lublin 1992, nakład 2000 egz. w 56. Wskazano „Almest”, 12.

SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK

PRZYGODY I PASJE EDWARDA BALCERZANA

Cdowiekiem książkowym Adam Ważyk nazwał Borgesa. Balcerzan w felietonie *Przygody człowieka książkowego* („Arkusz” 1991, nr 1) powiada: *Od paru wieków* niekorzystnie godzinę się na przechrzestianiu „lcyonowego” — „książkowemu”. To przecież niekorzystnie! Gdy odkładam książkę na bok, by nakarmić ogrodnów kety (młoty drżki, a naprzysiężone), albo gdy muszę wsiągnąć na drągę piętro rozkładany akumulatorki lub

się ze słowami Balcerzana: *Nie fantazjować, nie rozszyfrowywać, nie upiększać.* A przecież myśliły się ten, kto by *mielił*, i owe zabawy kępął pomyślnie interpretator (s. 97). Wspominam o tym jako o rzeczy niezmiennej i istotnej w czasach upadku sztuki interpretacji, która jeśli nie zanika, to jednak mocno się trawizuje.

Na koniec chciałbym od „przygód szczególnych” wrócić raz jeszcze do „przygód ogólnych”, do mojej najgłośniejszej przygody. Książka Balcerzana „*daje znaki*”, niepasła do gier cyfrowych, do wydrówek pokładami drukarni, podziurymi. To tam między innymi spotykamy wspomniane, frapujące pytania-tematy. I nie tylko pytania same; także ważne diagnozy. Wśród przypadków pierwszy odżyła do głosu rozprawa Jurja Lotmana O modelującym znaczeniu „końca” i „początku” w przekształcaniu artystycznych. Powolny temu Balcerzanowski znakowi, przeczytałam początek i zakończyłam Przygodę człowieka książkowego i zostałam nagrodzona przygodą najgłośniejszą. Na początku Balcerzan pisał: *Polskie dwadzieściolecie międzywojenne uświadomiło sobie własną odjętość. Lub może naderżało powidniecie; tworzyło nową własną odjętość.* W ichydam studiów formowania się niepodległego bytu Drajle Rzeczypospolitej publiczny literacki obwieszczała nową erę kultury. Początek odzyskał suwerenności uścisną narodu miał być u nas prawdziwym początkiem XX wieku. (...) «*Nova era* — jak z właściwym twójemu stylowi patosem nazywał okres Półki Napoleończyk Jan Napomien Miller — miała również przecieć koniec własnego tonienia. Przecieć, które spogrywało się w latach trzydziestych. Powidniecie by mocha (pożądzie) w strzale wyobrotu myślowego; i to dwadzieściolecie w którym momencie już wiewiał, że nie przesława dłużej niż dwadzieściolecie kółka lat, a więc, że jest dwadzieściolecie właśnie. A na końcu dodaje: „Granica między pojęciem zrodzonym przed grudniem 1981 roku a pojęciem tworzącym upan — jest w istocie granicą folkloru wojennego. W wieloletnich pojęciu niewiele się zmieniło. Jeszcze z sobą i granicę nosimy, jeszcze wyznaczamy, wkrótce zniknie. Stanie się tak, jak w wierze Brunona Jasińskiego: «Zakończymy po stopniach i sznurkach się drzewce!; Wszystko omiesza się razem — to co przed i co po...» (s. 71 i 136).

Edward Balcerzan: *Przypadek człowieka książkowego* (Opinie i rozprawy), Wydawnictwo PEN, Warszawa 1990, ss. 133, ed. 5.

KRZYSZTOF PACZUSKI

„NIECH BĘDZIE SŁYSZANE MILCZENIE”

Gdy ktoś myśli o Bogu, świecie i człowieku — zwłaszcza, kiedy jest filozofem lub poetą — dostępuje czasami laski: chce ułanie prawdy, a jednocześnie konieczność, aby dążyć jej świadomości. Prawda zawsze przybywa do samotnego lub cierpiącego. Jest grzeczna, dlatego trwała do wyprzedzenia.

Gdy chce się przekazać coś naprawdę istotnego, pojawia się bezsilność, mierzęk i wątpliwości. Dziecko reaguje wtedy płaczem, człowiek zagubiony w świecie — krzykiem, filozof lub poeta musi się bronić milczeniem. Właśnie milczenie jest najtrudniejsze.

Genialna sztuka, boskie piękno krajobrazu odbiera nam często mowę, ale podobne zjawisko towarzyszy ludzkiemu doświadczeniu się, choroby, śmierci... Nie każdemu udaje się wprowadzić porządek do własnej wstępnego świata. Taka właśnie próba podejmuje w swoim debiutanckim tomie poezji Alfred Marek Wierzbicki.

Mamy w tej książce do czytania ze swoistym dziennikiem podróży: Paryż, Florencia, Sewajka, Alpy, Praga, Dubrownik... Oglądamy obrazy góły i przełęcz, podziwiamy Notre Dame oraz płaszczyznę Czapkiewicza, Paula Klee, van Gougha i Caravagga, a także rzęby Rodina. Ale przecież nie jest to opowieść wlagabundy, obłoty świata, turysty — piękności. To wyznania człowieka:

(...) *duś was dom,
a dla mnie podróz.*
(EB i Jarosław)

Trasa wydrówki są duszą i myśli pielgrzymy — wyprawa ku drugiemu człowiekowi i powrót do siebie, do labiryntu własnej wrażliwości.

Gdy widać w telewizji umierających z głodu,
sceny tortur i strzały na ulicy
i nie rozumiam, jak gniew i pogorzenie
zaplątniętym w mnie, czystym Daniego.

W polowie drogi życia zabłądził się w lesie
słaba senologia, ślad wyprawa tylko laska.
Przeżył trzeba przez rzeczy ostateczne,
teżby los człowieka stał się prawdziwie ludzkiem.

(Dane)

Piękno obliczonych wzgłędów Vermontu nie łagodzi bolesnych wspomnień z przeszłości, gdzie odnajduje się swoją rodzinną bezdomność, a przewrotną logiką tej historii — starożytne fatum:

Na wzgórzach Vermontu śmierć taki jak w Rosji.
Pewnego dnia ich sąsiad odległym o dwie mile
został Solentem. Wdawał go na pozostawienie.
Czekając wystarczający powód, żeby przeczytać jego książki.
Niepodziwiany strach wstąpił w ich umysł.
Jaki w klasycznej tragedii osiągnęli przez los.

(Vermont)

Rozrachunek z przeszłością wyznacza pocie konieczności opowiedzenia o tym, co się stało od czasu, kiedy miażdżał:

(...) Potem był jeszcze jeden grudzień
kiedy
strzelano. Powidnieciem był się przyzwyczajony.
(Próbę historyczną)

Trzęsienie ziemi. Zapadają się domy,
zwłoki ludzi i bydła. Narzuwany to
kłęski i katastroficzny, a to upokorzenie,
i krótki mój, że dopiero kłótnia.
(Apokalipsa)

Rozpaczliwe poszukiwanie sensu świata prowadzi do odnalezienia Boga:

Ukryte się po ciemnej
stronie doskonałego świata.
(Po ciemnej stronie)

Podróż i tuluśka są przeznaczeniem artysty, człowieka samotnego, kapłana. Próba odpowiedzi na ostateczne pytania nie jest jednak możliwa. Poezja staje się kompromisem między świadomością istnienia, a zachwytem nad jego ułotnym czaresm.

coraz więcej pytań ze strzałką kłosa
coraz więcej niewiedzy
kiedy coraz bardziej przezwyciężam
sens egzystencji (...)

(Coraz więcej)

To na co czekamy tu w węzle
nie ma jeszcze krzyża znanego dla oczu
ani podobieństwa w przetrwaniu
i ludzkiego słowa w języku (...)

(...) Narodziny podrzygnięty świat w łosieniu,
czytnie go na nowo iącą ciępienia i piękna.
(Od m. la)

Kiedy się wiele przemysli, kiedy „coraz więcej pytań ze strzałą bóla” — przychodzi wątpliwość.

Wszystko czego doświadczamy w życiu, czego jesteśmy świadkami, w czym uczestniczymy, choćby podobnie, pełne jest cudu i nadziei, ale wspaniałe ciału się ochłodzi, której nie pokona modlitwa ani talizman. Wiary nie zawsze wystarcza, aby znieść tragedię Ormian, śmieć, zbrodnię, niesprawiedliwość czy bezsilność chorych na AIDS.

(...) Gdy wygnasz bar, czyniony
jestes węgłem nauce prośby na niebie,
wierzyły, że Bóg nasze chce całego świata.

Trzeba wrocić do siebie. Być może jeszcze świat jest fałszywy. Być może jest jakiś wyłudzenie, dlatego Chrystus nie chciał rozmawiać z Herodem, a Jeremiaś pragnął umrzeć. Tam właśnie pojawia się odpowiedź:

Wobec miłości i śmierci szukam siebie
i kiedy przeglądam swoją twarz,
nie umiem powiedzieć — oto człowiek
— dopóki nie wypowiedzi: Ty jesteś mną.
(Piosenka z teatru)

Poezja A.M. Wierzbickiego to poszukiwanie prawd ostatecznych, to zmaganie się z żywiołem zachwytu nad światem, człowiekiem i jego dziełem oraz bezsilnością wobec nierozumiałych praw kosmosu, historii i ludzkiej egzystencji. „Jestem pokreślonym zapiskem nieograbionej mowy” — stwierdza poeta. To, co nieśie ze sobą poezja, dopełnia się o sens ostateczny. „Wysejdzaj” wiersz i frangę, abyś odpowiedział sensu jawy”. Sztuka sama w sobie nie przynosi rozwiązania. Całkowicie być wódt pytań, w kaledonoidę myśli i obrazów.

Pozostaje cisza. Jej nie trzeba zgłębiać. Ona zgłębia nas. Wypchnia przestrzeń między człowiekiem a Bogiem:

kiedy odwołuję do miłości kocham
i kiedy przestaje wierzyć wierze.

To nie paradoks — to magiczne kocio istnienia. Kiedy poeta milczy, wtedy mówi najwięcej. Zamysł podzielenia się ze światem jego tajemnicą — to początek poezji. Wreszcie spływa ukłucie:

niech prowadzi tylko jedno słowo
pełne jak milczenie

„Jak ciemność w ciemności” A. M. Wierzbickiego to jedna z najdostrzeczniejszych książek poetyckich, jakie udało mi się ostatnio przeczytać. Obok błądzącego i lirycznego piękna przynosi ona ze sobą mądrość i odpowiedzialność, której brakuje narzeczaj wierszom młodych twórców. Nie daje jednoznacznych odpowiedzi, a raczej uwalnia przykrość o obcości świata i wewnętrznego cierpienia, otwiera i kieruje tu tym sferom ponownie przemysłanej egzystencji, o których na co dzień się nie pomyśla.

Lektura tej książki pozwala odkrywać utraconą siłą, ale nakazuje jednocześnie ciszy wobec słyszanych prawd, które czynią z nas niewolników docennego świata. Szczołoty, spokojny głos poety pomaga zweryfikować świat i swoją w nim obecność. Wypowiada słowa wiary i wątpliwości.

A jeśli słowa nieomówione, niech będzie
styczne milczenie.

(Słowa z Chw)

Alfred Marek Wierzbicki: *jak ciemność w ciemności*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1991, ss. 78.

KAZIMIERZ POSPISZYŁ

WOJNA I SCHIZOFRENIA

Wartym odnotowania faktem jest wydanie w języku angielskim zbioru prac Victora Tauska, który wywarł na rozwój psychoanalizy wielki wpływ nie tylko swymi pracami naukowymi, lecz także nad wybitnym życiem, zakończonym samobójczą śmiercią, wynikłą zarówno z narzuty silnego związku z mistrzem, czyli Z. Freudem (odgrywającym dla pierwszych „wynawców” psychoanalizy rolę autentyzującego „guru”), jak i z bardzo nierównowagowanym stosunkiem do kobiet, wyrażającym się w serii niefortunnych związków miłosnych.

Samobójstwo Tauska wywołało szok u wielu członków Wiedeńskiego Towarzystwa Psychoanalizy (o czym świadczą chociażby intensywne wymiany listów i w nich zawarte na temat tego wydarzenia komentarze). Stało się ono także bezpośrednią przyczyną powstania tematu „Jakszy i melancholii” przez samego Freuda.

Tausk urodził się, podobnie jak Freud, na terytorium byłej Czechosłowacji, ale w 23 lata podjął od mistrza, czyli w 1879 roku. W roku 1900 ożenił się z Martą Frisch, z którą miał dwóch synów. W roku 1902 otrzymał doktorat z prawa. W 1905 roku, skutkiem złego potrącenia z żoną, a także romansu z tancerką, Leą Rosen przeprowadzona została separacja, a dwa lata później rozwód. W wyniku komplikacji życia osobistego, leczył się w 1907 roku w prywatnym szpitalnym sanatorium Abwehrer w Rlinie z powodu „zaburzenia nerwowego”. Medyczna diagnoza tam wystawiona mówiła, że „pacjent posiada wrodzone skłonności psychopatologiczne”.

W roku 1908 Tausk powraca do Wiednia, gdzie w wieku 29 lat rozpoczyna studia medyczne. Niepłnna rok po zapoznaniu się na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Wiedeńskiego z przynajmniej do Wiedeńskiego Towarzystwa Psychoanalizy, w którym od początku swego uczestnictwa odgrywa aktywną rolę, występując referaty i komentarze do licznych teorii ogłaszanych przez innych członków Towarzystwa.

W latach 1912-1913 prowadzi romans z eklektyczną Rojanką Lou Andreas-Salome, która przejechała do Wiednia „uczyć się psychoanalizy u samego Freuda” (ze którym również nawiązała bardzo bliskie więzi przyjacielskie). Po skończeniu studiów psychiatrycznych w 1914 roku Tausk otrzymuje powołanie do wojska i stanowisko psychiatry wojennego. Swą służbę rozpoczyna w grudniu 1915 roku w Lublinie (znajdującym się wówczas w rękach Austriaków), gdzie pozostaje ponad rok. Przechyła tu wielki zawód miłosny: oświadcza się bowiem nie mniej jego biografowi z nazwiska dziennikarce, która przyjmuje jego oświadczenie, ale zdradza go i to z jednym z jego pacjentów.

Powrót w Lublinie przyniósł Tauskowi nie tylko to rozczarowanie, lecz także zmianę jako wężę i psychoanalizy i humanista. M. in. swą konsekwentną postawą jako bieżący sądu wojennego uratował od śmierci młodego chłopca, Fritz Weissa, który odmówił strzelania do jeńców wojennych. W swej opowieści Tausk stwierdza, że „nie można karać ludzi kierujących się najwyższymi zasadami cywilizowanego życia”. Po latach syn Tauska spotkał tego męczyzny w Południowej Ameryce i stwierdził z zaskakującą, że w jego saloniku na honorowym miejscu wisi portret ojca.

Z Lublina Tausk przeniesiony zostaje do Belgradu, gdzie przeżywa kolejny romans z przedstawicielką miejscowej krytyki, młodą i piękną wdową Koss Larić. Przygoda zaczęła się bardzo romantycznie, wykiwała bowiem autentyczną rykoszeta Tauska; zobaczył on mianowicie na jednej z głównych ulic Belgradu piękny (i elegantny) kobietę „a towarzyszy” — prowadzoną przez dwóch austriackich żołnierzy, jako offer otrzymał ów konwój i zapytał o przyczynę tej osobliwej eskorty, dowiedział się, że prowadzona przez nich dame publicznie krytykowała Austriaków okupujących jej kraj.

Tausk nakazał jej zwolnienie i w rewanżu został zaproszony do rezydencji Lazarević, gdzie pozostał na dłużej jako jej oficjalny przyjaciel. Z kobietą tą planował małżeństwo. Dzięki swym znajomościom Lazarević załatwiła mu stanowisko profesora i kierownika Kliniki psychiatrycznej w Belgradzie (w gr wchodził także Zagrzeb). Jednak ostatecznie nie doszło do małżeństwa, ani do objęcia posady, Tausk powrócił

do Wiednia, gdzie zamierzał ubiegać się o stanowisko prywatnego docenta, czego jednak nie uczynił. Wdał się natomiast w nowy romans, tym razem z lekarką, dr Ilse Zimmermann, której zrobił małżeństwo.

W roku 1918 chciała rozpocząć praktykę psychoanalityczną zgłasza się do Freuda i prosi go o przyjęcie na listę pacjentów, bowiem według reguł zawodowych każdy praktykujący psychoanalizę musi sam poddawać się psychoanalizie. Freud odmawia proponując mu seanse z Heleną Deutsch, która pracowała wówczas w klinice kierowanej przez jedynego noblistę z dziedziny psychiatrii prof. Juliana von Jaurega (dożyłaby tam nie wielkie wysokiego stanowiska, zjechała oddając kobieco!).

Po kilku miesiącach Freud, w czasie jednego z posiedzeń psychoanalitycznych z Deutsch jako swą pacjentką, stawia ultimatum: albo przerwie ona psychoanalizę z Tauskiem, albo on przestanie ją przyjmować jako pacjentkę, ponieważ — jak stwierdził — „jest zbyt żywo zainteresowana swym pacjentem”. W wyniku takiego postawienia sprawy Deutsch przerwała posiedzenia psychoanalityczne z Tauskiem.

W kilka tygodni później ten zaręcza się z Hilde Loevi, a w miesiąc potem popełnia samobójstwo. W liście pożegnalnym do Freuda, swe samobójstwo określa jako „najbardziej zdrowy czyn w swym pozbawianym sukcesów życiu”, prosząc go jednocześnie o opiekę nad narzeczoną, która „jest najdroższą kobietą ze wszystkich” (s. 108). Ktoś kiedykolwiek wkroczył w moje życie? (s. 109).

W kilka dni po śmierci Tauska Freud przyjął jego starszego syna, Marcina, na krótką rozmowę „pompidy pacjentami”. W chłodny sposób odtwarcił się do niego, nie bez pewnego rodzaju złości, że otrzymał list polegalny od jego ojca, którego jednak nie ma prawa zatrzymać. Połeci więc chłopcu udać się do jego kórki Armij, która stała się tu mu zwrócić razem z innymi materiałami, które należały do Tauska. Tak się stało i tak.

Sarowicz reakcją Freuda na wiadomość o samobójczej śmierci Tauska wyznikała być może, z wyrzutu sumienia ojca psychoanalizy, a także z faktu, że wielu jego przyjaciół, bardziej lub mniej otwarcie, mówiło o jego poważnym udziale w załamaniu psychicznym W. Tauska.

Nie do odparcia jest argument, że gdyby Helena Deutsch nie przerwała gwałtownie posiedzenie psychoanalitycznych (co uczyniła – jak pamiętamy – na żądanie Prezesa), nie doszłoby do tak gwałtownego kryzysu psychicznego.

Śmierć Tauska utwierdziła Z. Freud'a w jego mniemaniu, które później rozwinął w swych pracach i powtarzał przy okazji licznych komentarzy na temat tego tragicznego zdarzenia, że każdy, kto popiełnia samobójstwo, daje tym dowód, iż niepotrzebnie oszacował bezskutecznie zabić kogoś innego.

Z dokładniejszych analiz zapisów z rozmów oraz komentarzy wypowiadających przez Freuda wynika, że tym „kimś” – kogo nie udało się zabić Tasowski był właśnie on sam. Podjętanie takie brzo osłonek przedstawił już wcześniej naszemu krajowi hollywoodzianin Dr. Ludwikowi Jakowski podczas rozmowy, w czasie której L. Jakowski prosił go, by zgodził się jednak wycofać Tasuka na listę swoich pacjentów. Freud odważając powiedział: „nie mogę tego uczynić, ponieważ robi on wszystko, aby mnie szkodzić”.

Angielskie wydanie zbioru rozpraw Victora Tauska przygotował i opatrł obszernym wstępem Paul Roazen, Amerykanin specjalizujący się w historii psychanalizy, autor m. in. *Brother Animal* — książki o Tausku i Freudzie, która po raz pierwszy ukazała się w 1969 roku.

Ze wstępu dowiadujemy się, że obecnemu wzrostowi popularności pierwszej postaci psychoanalizy towarzyszy wzrost zainteresowania pierwszymi jego współpracownikami, którzy także wnieśli duży wkład w rozwój tej gałęzi wiedzy. Świadczą o tym edycje prac wczesnych psychoanalityków we wszystkich krajach zachodnich, pra-

Tauska np. ukazały się po włosku, francusku, szwedzku i hiszpańsku, a w Niemczech wydano nawet warianty jego próby twórczości literackiej.

Rozacz słusznie podkreśla, że był już czas najwyższy, aby udostępnić prace Tauska także i w języku angielskim, który — jak powszechnie wiadomo — zdominował po wojnie piśmiennictwo psychiatryczne i psychologiczne.

W omawianym zbiorze zamieszczonych jest dwanaście najważniejszych prac Tauska według kolejności ich ukazywania się. To bardzo dobre rozwiązanie, ponieważ stanowią one bardzo plastyczną ilustrację kolejnych etapów rozwoju psychoanalizy.

Jako pierwsza zamieszczona została praca o onanizmie, którą Tausk przedstawił najpierw w ramach zebrań naukowych Wiedeńskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego w 1912 r. — *Sexualität, War und Schizophrenie*. Praca ta wноси istotny wkład w przeformułowanie pierwotnej koncepcji Z. Freuda na temat seksualnej etiologii nerwicy, w kierunku znacznego poszerzenia tej teorii.

Drugą pracą jest przypisywany w rok później referat Tauska o roli kompensacji jako motywu wyprzedzającego represję, w której autor dowodzi w sposób przekonujący (nawet samego Freuda), że zapominamy, tzn. repressjonujemy, nie tylko fakty związane z niedozwoloną przyjemnością natury seksualnej, lecz przede wszystkim informację nieprzyjemną.

Kolejna praca pochodzi z tego samego roku co poprzednia. Jest nią *Przyczynki do nekrologów dziecięcych*. Jej osobiwość (którą dziś uważalibyśmy za „naruszenie dóbr osobistych”) stanowi przedstawienie w niej bez osłonek zachowania się i marzeń sennych dwóch synów samego autora.

O rok późniejsza (1914) rozprawa *Filozofia i psychoanaliza oraz psychoanalityczna filozofia* z kolei bardzo się Freudowi nie podobała, głównie dlatego, że nie została w niej „dostatecznie jasno uwypuklona doniosłość myśli psychoanalitycznej”.

W *Psychologii deliriumu alkoholowego* Tausk stara się, zgodnie z panującymi wówczas tendencjami w tzw. psychiatrii uniwersyteckiej (w stosunku do której Freud był w opozycji), a także w nawiązaniu do teorii mistrza na temat psychoz jako „nerwic nacistycznych”, poszerzyć niektóre pomysły dotyczące tzw. psychoz alkoholowych, utrzymując, że stanowią one widoczne pole dla badań psychiatrycznych.

Jako sztyry zamieszczono w książce referat wygłoszony przez Tauska na Drugiej Konferencji Oficerów Medycznych, która odbyła się w styczniu 1915 roku w Lublinie. Dotyczy on diagnostycznych wskazówek rozpoznawania tzw. nerwów wojennych. Myśli zawarte w tym wystąpieniu stały się później kością niezgody pomiędzy Tauskiem a Freudem, jak się bowiem okazało, prezentowany w tej pracy materiał kliniczny „wbrał” autor w teorie Z. Frouda, siebie zaś, z uniawkową dyskrecją lecz dość jednoznacznie, przedstawiał jako odkrywcę „nowej psychozy” czyli psychozy wojennej.

Kolejna praca dotyczy także zagadnień związanych z toczącą się wtedy wojną, w której – jak pamiętamy – Tausk uczestniczył jako psychiatra wojakowy. W rozprawie *O psychologii dezertersów wojennych* autor z autentycznym talentem literackim opisuje bieżącość sytuacji młodego, na ogół nie wykorzystanego chłopca, narazającego swoje życie w obcym dla siebie kraju w imię celów, których najrzadziej nie rozumie.

Ósmy artykuł uchodził za polemiczny wobec teorii wybitnego niemieckiego psychoanalityka, twórcy Berlińskiego Instytutu Psychoanalizy, Karla Abraham'a na temat przedwczesnego wytrysku nasienia. Pomimo że na dobrą sprawę niewiele tu polemiki ze stanowiskiem K. Abraham'a (raczej mamy tu do czynienia z powtórzeniem i ilustracją jego poglądów) Freud wchodził za rolę arbitra między Abrahamem i Tauskiem, przyznał rację pierwszemu z nich, w liście zaś do L. Andress-Salomé pisał, że „praca Tauska odnosnie oceny poglądów Abraham'a nie jest w rzeczy samej wybitna”.

Dziwiątą pozycję zamieszczoną w omawianej książce stanowi rozprawa poświęcona rozwojowi pierwszych stadiów schizofrenii. Jest to najlepsza praca naukowa Tauska, prezentująca nader oryginalną i ciekawą wersję poglądów dotyczących genety schizofrenii, której — zgodnie z pierwotną koncepcją psychoanalizy — autor uważa za „perwiole paranoidyczne”.

Pisząc na temat mechanizmów powstawania schizofrenii Tausk kładzie nacisk na działanie „schizofrenicznych mechanizmów” tkwiących zarówno we „wrodzonym narcyzmie”, bez którego jednostka nie mogłaby żyć, jak i na występowanie „narcyzmu

¹ W tych czasach do radzicielki należały jeszcze kafejki zawodowe kobiet-lekarek, a do zupełnie wygaśniętych należało powierzenie kobietom funkcji kierowniczych. Zajęcie zrenouveau przez Helenę Deutsch to zapowiadane stanowisko w dawnej klinice, wynikało nie tylko z talentów organizacyjnych posiadanej autorki. Psycholog kobiet także i z braku w owym czasie odpowiednio kwalifikowanych mężczyzn; większość z nich została zmuszona do emigracji.

Warto może jeszcze odnotować, że szef oddziału męskiego dr Otto Frenzel — jako męczyzna — zryczałtował stypendium akademickie. Najpierw po otrzymaniu profesury został kierownikiem Kliniki Psychiatrycznej w Pradze, a następnie i von Bismarck wrócił do Wiednia jako jego sukcesor.

² L. Jakiś należał do ścisłego kręgu współpracowników Frrada, był także aktywnym propagatorem psychoanalizy w Polsce oraz tłumaczem prac Z. Frrada na język polski.

immanentnie tkwiącego w każdej kulturze". Oba te źródła generujące rozwój cech narysowanych w pewnych układach, które Tausk nazywa "masowymi wpływami" (chodzi oczywiście o wtórne wpływy powodują wykształcenie się cech schizofrenii. Zaskaga Tauska — wielokrotnie podkreślała przez Freud — było konsekwentne wykazanie łącznych podłożuś pomiędzy "myśleniem schizofrenicznym" a "myśleniem normalnym" przebiegającym w określonych, niekierujących dla człowieka okolicznościach. Dzięki takiemu spojrzeniu studiów nad schizofrenią weszły w nową fazę.

Ostatnie trzy prace Tauska zamieszczone w omawianym zbiorze to krótkie przyczynki i komentarze. *Broni jako apolityczny przedmiot* w uformowanej formie reakcji jednego ze znanych autorów powieści (dłoty młoty romans z grupy farmaceutów) na faktyczne kwalifikacje jednego dramaturga. Pozostałe dwie to przyczynki do książki Freud'a, pierwsza stanowi rozwinięcie niektórych wątków przedmiotowych w *Interpretacji marzeń senów*, natomiast druga — zagadnienie ukazywanych w *Psychopatologii życia codziennego*.

Na zakończenie musimy podać, że *Sexuality, War and Schizophrenia* jest książką, która może zainteresować nie tylko historyka myśli psychiatrycznej i psychologicznej, a tym samym, oczywiście historię kultury, ale także każdego, kto pragnie szerzej poznać do społeczne i klimat psychiczne czasów, w których rodziła się psychoanaliza. Jest to chyba szczególnie ważne obecnie, kiedy (jak już wspominaliśmy wcześniej) przeżywamy renesans zainteresowania pracami pierwszych psychoanalityków.

Victor Tausk: *Sexuality, War and Schizophrenia*. Collected Psychoanalytic Papers. New Brunswick 1981. Transaction Publishers, s. 236.

RYSZARD DYONIZIAK

„LUDZIE I KRYSZY CYWILIZACJI”

Pod tym tytułem Krzysztof Jarosław Broń, pracownik naukowy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, opublikował zbiór — jak to określił — „zrębów antropologicznych”.

Mimo niewielkiej objętości książki Autor podejmuje w niej wiele ważkich problemów jak np. apologetyka sztuki, psychologia kryzysu, granice autoekscytacji, mł i historia Polski w Europie z czasów reformacji, nacjonalizm i granice władzy autor stawia pytanie: „Czy nadchodzi epoka dyskursu?”

O każdym z tych tematów można by napisać osobną książkę, dlatego zapewniam Autora określonej rozbawiania jako skłóce, a więc właściwie zarządy danej problematyki i to przeznaczone nie dla wiośnego kręgu specjalistów lecz dla wychozawców, działaczy oświatowych, dla członków ciał rządzących a także bardziej zaawansowanych studentów.

Kryzys? J. Broń uprawia antropologię kultury, a więc jego sposób patrzenia na poszczególne problemy ma charakter nie moralizacyjny, normatywny, lecz empiryczny, porównawczy z uwzględnieniem syntetycznej wiodory o społeczeństwach ludzkich zdominowanych przez władzę w inną typ kultury. Stąd też przykłady z różnych dziedzin, z różnych epok, irod i doświadczeń historycznych. To wszystko powoduje, że prace Autora obfituje w obserwacje zarówno historyczne jak bieżące, diagnozy optymistyczne i pesymistyczne, aktualne i już przysię, ale w sumie interesujące jako pomysły interpretacyjne czy hipotezy.

Podjęciem wiele kwestii Autor nie mógł, rzecz prosta, stawiać jakiejś jednoję przewidywania, nie mógł formułować ogólnego przesłania. Myślę jednak, że można otworzyć jakby trzy główne, mimo adziatem wątki przewodnie zainteresowania Autora. Chodzi o antropolog kultury może interesować się dowolnym społeczeństwami i kulturami — K.J. Broń zainteresowany jest przeobrażaniem społeczno-kulturowymi Polski i jej kultury. Po drugie Autor ma się chłodziym

registratorom takich czy innych zmian w systemie politycznym czy w kulturze, lecz badaczem zaskuteczności a lepra przywołania i lepra przywołania w ramach szerzej wspólnoty europejskiej i świecie, analizę owej narsalności patry na poszczególne kwestie nie z porządku jakiejś partii czy instytucji, lecz z porządku humanisty, który uwzględnia szerze aspekty dyskusyjnych spraw.

Stąd też w pracy tej między innymi wiele sformułowań kontrowersyjnych od potocznych mniemań. Moim adziatem jest to wyraźna zależała tej pracy. Humanista bowiem, w odróżnieniu np. od fizyka, nie musi formułować wyłącznie takich stwierdzeń, które matematycznie się sprawdzają, lecz także stwierdzenia przewlekające do przemyślenia na nowo jakiegoś zagadnienia. Na przykład zauważa: *Władza, jest dyskursy w dzisiejszej perspektywie są powoznym zagrożeniem. Władza to jednak również, że to krążąca mięt mogą przynieść korzyści rozwiązań* (str. 109). Albo: *Katze narodziła się sprawiedliwość społecznej — to faktycznie funkcjonującej w porządkowym mniemaniu, a nie tylko zawartą w kodeksach prawa — godzi otworzyć w całości trybunał społecznej* (str. 100). To niepośpie nie rozumie nas zresztą i nie przewlekają zaskuteczności interesów naszych obywateli, protestowali np. przeciw wydaniu przez władze polskie władcom amerykańskim cudzoziemca — Bogatina, bo to jakoby naruszało „prawa obywatelskie”? Nie dopuszczając jakby do siebie myśli wypowiedzianej wyżej przez Autora renowowanej pracy.

W niezwykły ważnym skłóce pt. *Granice władzy* Autor rozważa zakres możliwości działania władzy tak, by była równocześnie skuteczna i aprobowana przez daną społeczność. Kryzys? J. Broń nie rozpatruje tradycji kwestii jak zwyciężył mafię we Włoszech, aby równocześnie zachować demokratyczny system polityczny. (Problem ten, w mniejszej skali występuje u nas w postaci wielu form przestępczości dokonywanych przez cudzoziemców i Polaków, zwłaszcza w sferze handlu, bankowości czy w administracji państwowej). Z jednej strony zauważa, że *przemoc radzi przetrwać, powstaje siennowici i zapowiadanie odwołujące się w nie mających końca społecznych rewolucjach* (str. 91). Czy jednak przemoc stowarzyszenia przez stałą (nieдавно zamordowano dwóch szefów) ma nie być zwalczana przy pomocy państwowej przemocy? Jak się wydaje odpowiedzi zależy od tego, w jakim stopniu władza jest akceptowana przez daną społeczność oraz czy stosowana przez władze środki do realizacji tych celów są sprzeczne z tradycją polityczną (str. 94). Odnosząc wątpli, chyba trafnie sformułowana przez Autora: *Granice władzy politycznej* wyznaczają więc równocześnie: system etniczności organizacji społecznej, system kontroli społecznej (albo właśnie działający we Włoszech — R.D.) oraz system wychowania, w którym przekazywana jest tradycja danej kultury (str. 96). W tym kontekście istotne dla trwałości systemu politycznego jest czy dany ustój w praktyce zapewnia realizację zasad. Propozycja reprezentacji interesów paaszych grup społecznych winna odpowiadać ich społecznemu znaczeniu (str. 93). W rzeczywistości, jak wiemy, zasada ta jest częściowo naruszona, co podważa trwałość danego systemu politycznego.

W skłóce *Psychologia kryzysu* Autor podejmuje ciągle aktualny problem, jak zachowuje się jednostka w sytuacji zalazania się poczucia własnej wartości oraz sensu swojego działania i istnienia. W nawiązaniu do Znanieckiego, Fromma i Mannheim'a, a więc nie tylko pracowników nauki, ale również myślicieli, Krzysztof J. Broń stara się wyjaśnić, dlaczego tak powszechnie akceptowany był w Niemczech faszyzm. Wbrew pseudoteoriom, że Hitler po prostu silnie swej partii i państwu narodził nacjonalizm, faszyzm, lub że powodzenie tego ruchu wynikało (w interpretacji psychoanalitycznej Reicha) z wyzwolenia się od represyjnej instytucji rodziny w Niemczech, która uniemożliwiała zaspokajanie potrzeb seksualnych w kulturowo akceptowany sposób.

Autor uważa, że ludzdom żyjącej bez nadziei, prący i szacunku dla siebie bierzemy napropowiadany porządek społeczny, który dawał perspektywę realizacji własnych oczekiwań kulturalnych (*duśna praca*), odbudowywał niarę w siebie (*szczęście rana*) i wskazywał winnych, dając alieje tendencjom samouniżania (*Zdrój*). To mogło rodzić nawet pewien optymizm i bezkrytyczne poddanie się władowi systemu (str. 28). Naturalnie to nie tłumaczy wszystkiego (dlaczego w innych krajach takich jak Polska czy Francja, gdzie również miliony ludzi żyli bez nadziei i sensu życia, faszyzm się nie przyjął), ale stanowi wartą rozważań hipotezę. (Przy okazji: Autor nawiązuje do typologii Znanieckiego przy klasyfikacji) osobowości społecznej i wyraża, iż „nie zboczenie”. Doświadczenie tak to tłumaczy niektórzy z angielskimi, ale uwzględniając

nasza (tradycyjnie językowa) lepiej byłoby mówić o „nonkonformistach” lub „ludziach o osobowości innowacyjnej”; pójdzie to bowiem mogłoby obejmować zarówno jednostki o cechach przesapanych, jak też jednostki wybitne w sferze np. nauki czy sztuki.)

Trudno tu ustosunkować się do wszystkich szkiców i dyskutować o poszczególnych diagnozach czy stwierdzeniach, wymagałoby to obszernego studium. Ważne jest, że ukazała się publikacja o sprawach wielkiej wagi dla społeczeństwa, jego etyki, ale także także krytycznych interesujących się społecznymi mechanizmami. Autor nawiązuje w niej do znaczących nazwisk i opowiada o humanizacji światowej, wnosi wiele własnych interesujących pomysłów i przemyśleń.

Krzysztof J. Bunt: *Ludzie i kryzys cywilizacji. Szkice antropologiczne*. Wyd. Norbertum, Łódź 1982, ss. 113.

TADEUSZ POLANOWSKI

POETA ŻYCIA I WIECZNOŚCI

Cyprian Norwid, żyjący na przełomie dwóch epok, był „obywatelstwem” dwóch ojczyzn; wczelnie osierocony miał świadomość podwójnego „materiału” — ziemskiego i niebieskiego. Był poetą o wyjątkowo trudnym, znaczącym „fatum” — kontakcie ze światem i ludźmi. Mając pozamykane w znaczący miedzy różne drzwie „w siebie”, uwewnętrzniał życie odkrywając nowe projekcje ku wieczności — nieznane lub zapomniane przez współczesnych.

Świadomość, że człowiekowi żyjącemu pod koniec XX wieku, Norwid ma wciąż wiele do powiedzenia ujawniała się na miniego „Współczesność Norwida” zorganizowanej na KUL — 31 maja 1992 r. Zarzysowy się na niej dwa podjęcia do poetę. Pierwsze — wydobywające mroczną siłą osobowości Norwida, kładące się z tym co ziemskie — ujął ew. ks. prof. Tadeusz Sześciński. Drugi sposób odczytania — akcentujący oblicze tego twórcy związanego z przeobrażeniem, miłością i Niebem — zaproponował krytyk literatury prof. dr Stefan Sawicki.

Tadeusz Sześciński nawiązał do Norwida, który narzeka, okrzykując ludzi, wyrzucając przykłady niesprawiedliwości w świecie, jak na przykład w wierszu *Ciel ty Atomeń zrobił, Sokratesie*. Stefan Sawicki natomiast wskazał na jaśniejsze oblicze autora *Przemienienia*, który pragnie przenieść spadającą na niego niesprawiedliwość i cierpienie oraz wnika w tajemnicę Krzyża.

Według tego dychofornicznego rozróżnienia można by pokusić się o szeregowanie pojawiających ostatnio prac o Norwidzie. Po jednej stronie znalazłby się ten, kto weryfikując fakty potwierdzające życiowego pocha poetę, po drugiej prace ukazujące duchową biografie artysty, jego statek wzrastanie w wiarę, nadzieję i miłość. W tym drugim nurcie sytuacja się kłóci Efraim i Jędrzej Puzyna, która wyznała: *Tęskni Norwid, poeta, który „stał w ciemności, by wydrzeć jej światło”*, odczytując ją do najfajniej nie do niedawna, wtedy jednak dalecy jesteśmy od pocho ich odczytania („Typydyk Porozumienia”, 1984 nr 46).

Temu pełniejszemu odczytowi siły załozony i redagowany przez Stefana Sawickiego rocznik „Studia Norwidiana”, wydawany na KUL (siódmy numer ukazał się z datą 1989 r.), jedynie u nas czasopiśmie poświęcone twórczości jednego pisarza.

Stefan Sawicki, od wielu lat uważany interpretator Norwida, wydał ostatnio wybór religijnych wierszy poetę, wydawnictwo jego chrześcijańskie oblicze. W obszernym wprowadzeniu zatytułowanym *Nie są nasze — piękni nasze* Sawicki sygnalizuje własne motywy, zagadnienia i sposoby prawnawiania poetę. Wskazuje na sens cierpienia, na „wiązaną wczelnie świadomością” i „chrześcijaństwo różnie obecne”, przybliża także metody Norwidowego patrzenia na szczegóły w kontekście całosci oraz docierania do prawd pierwotnych. Podkreśla charakterystyczny dla poetę sposób mówienia o rzeczywistości w jej dwuwymiarowym (ziemskim i niebieskim) istnieniu przy użyciu „antynomii i paradoksów” oraz „apareczek”, czyli „właści i form”.

W twórczości Norwida można wyróżnić trzy postojony, na których sobota się podmiot liryczny. Pierwszy to postojony pychy wywołujący nieakceptację i obrażenie,

drugi — płaszczyzna refleksji i głębszego poznania siebie, trzeci zaś to postojony pokory, który umożliwia pogodzenie i otwarcie się na trudną rzeczywistość. Na tym trzecim postojony podmiot zaczyna odczuwać swą dziejową beznadzieję, acy się widzieć i korzystać z ojkowskiej wzmocnocy.

Postojony pychy zawase obecny w postawach człowieka Norwida — z upływem lat ulegał tonowaniu i pojawiał się jedynie na zasadzie wybuchu emocji, pierwszej reakcji, czynio ludzkiego odruchu.

Płaszczyzna głębszego widzenia siebie, swej zbuntowanej natury też ulega podobnej przemianie. Dla jej zilustrowania można przywołać wiersz z roku 1855 *Ty wiesz do piętni pokornej nie wolać i zacytować drugą strofę:*

*Bo ja z przeklętych jestem tego świata,
Ja bywam domowy i hardy,
A miłość moja, bracie, dwakroćdziesiąt,
Od światła do wzgardy.*

Świadomość „przekleństwa” i wyotrzoną wiedzą o upadłej naturze stwarza możliwość potrzebego narogawania poprzez: 1) bunt, zmrozenie woli na dno na innych i rezygnację z życia; 2) świadomość własnych braków, niezadowolenie z rzeczywistości przy zawiązaniu jednakże reakcji negatywnej i 3) przez akceptację sytuacji cierpienia, i pierwszy wybór mogą być łączone z postawą religijną, natomiast postępowaniem w pełni chrześcijańskim jest tylko ten trzeci. Norwid w wierszu *Ty wiesz do piętni pokornej nie wolać* wybiera drugą postawę. Nie walczy nie bierze swego losu, lecz przyjmuje postojony wyniosłości, milczenia i takiego smutku, „że aż Boga smutno”. Profesor Sawicki, między innymi ze względu na te zawięzności — choć religijna — postawę podmiotowi, nie walczył tego wiersza do wyboru kulawkiujące dno te liryki, których bohater akceptuje swą sytuację, przyjmuje ją lub przynajmniej subtelnie przeżyje dzięki wierze w to, że Bóg dopuścił, przewidział.

Trzeci postojon funkcjonowania człowieka Norwida, charakterystyczny się postojony pokory, to płaszczyzna rozważań stricte chrześcijańskich. Pycha opiera się na przeświadczeniu o sile i aile, pokora — na widzeniu własnych błędów i słabości. Ciekawie tylko religijny, żyje nase według łódzich nakazów (1), ale pocha bości, choćby był Jego pastorem i prowadził z Nim hande wyznani — nie ustawienie porównuje się z drugim człowiekiem. Ktoś, kto żyje przede wszystkim z wiary, widzi własne kruchości, nią się jednakże nie przełamuje, jest praktykowany o Jezusowym niegłoszeniu się jego słabości; wierzy w miłość, która przez swe wybaczenie, pomoc i dobroć dźwiga z upadków i skutecznie leczy zranione serce człowieka.

Wielkie Stefan Sawicki chętnie mówi o poecie trzeciego — chrześcijańskiego — poroście; takie oblicze artysty Słowa rozpoznać i popularizację jako szczególne nie cenne. Do swojego wiochy Wierzy włącza te liryki poetę, w których podmiot w szczególny sposób widzi swoję egzystencjalną rzeczywistość, ogólnie ją akceptuje, wbrania się jednakże przed ostatecznym rozstrzygnięciem, up, kto szury Jezusowi, choć Bóg kocha ip. Te kryteria kwalifikacji od strony negatywnej zobaczył można na przykładzie wiersza *Poczekaj brzożary polityczny...* o którym Zofia Trosjanowiczowa napisała, że *selekcja do swego sporej grupy wierszy Norwida Januśa, a nasew ostentacyjnie dydaktycznych* („Studia Norwidiana” T. 5-6, s. 101). W wierszu ten mowa jest o życiu z Bogiem, o Ewangelii i mocodawstwie. Świat przedstawiony nasycony postojon skrajności, ale to zagrozenie, mimo że wyznaczone, pozostało Półwierzchnym, „dydaktycznym” i nieprawdowym z punktu widzenia chrześcijańskiego. Zawięza w sobie bowiem nie do końca przewidywaną wiarę uproszczoną podziału na to, co dobre i złe, światło i przesłanie. Sam Norwid na przykład występuje przeciwko tak uproszczonemu obrazowi ludu w wierszu *Sojuszom* — zamieszczonym w wyborze. Tylko ktoś o bardzo zwięzonym spojrzeniu widzi rzeczywistość świata w takich manichejskich i cenionych w socrealizmie kategoriach.

Własciwe zbawienia można zaobserwować przykłady, jak z grzechu Bóg wyprowadza dobo i jak to, co wydaje się światu, upadło ulegając kuszom szatana. Dla zorientowania w charakterze stwora przysługuje trzy cytaty z *Poczekaj brzożary polityczny...*

[illegible]

Może najbardziej dostrzec, choć i trudno w tym czuć pojęć Pankacego jest jego otwartość na teksty kultury – swoista kulokulturalność. Reminiscencje, archetypy, prefiguracje, symbole... sztuka autoru *Narodził się w zapięzachu* dach swobodą wędrować poprzez wiaty i kraje, poprzez miły i warty, długi i postaci – to, co nazywamy inteligencją i wrażliwością Euryka. Wskazytke te są sukcesie estetycznym i intelektualnym, a przede wszystkim, jedyną formą – ekono-socjalną miary wiedzy. Podogrzewał postać, która nie ma czasu na wyobraźnię, w upartym dążeniu w głąb, znaną estakipmą. Ale to chyba nie jest. To przecież surowiec kultury jest funkcjonalizowany, zinstrumen-talizowany, a nawet bywa ubezwłasnowolniony; to nie tylko potęgowana odkrywa kolejny kamień Trol, to łanczy chrońka rozkłada życie ciało uplatane w byt i bycia w tradycje, to przykład. W wierszu *Holubieniec Pankaci* podał czołowej interpretacji autorstwa epiki biblijnej, *Stofianca zarzucił* przez Żydów, jak i chrześcijańską *chrytę*.

Betalis obciążona mocnym ramieniem
drży z rozkoszy i bólu, z gwałtu i zachwytu.
Zmierza zbrodnią i przemocą bandażuje ziemię.
Gaj rozbrzmiewa litanii skowytów.

W namiocie wodza cichnie oliwny kandelabr,
i rzemieńskich szablów bolesne skrzyżnięcie.
Zrzuciła suknię. Jak słodko umierać.
Za całą noc miłości tylko śmierć, nic więcej.

A teraz zajrzymy do Biblii: zwycięska Judyta po powrocie do oczyszczonego miasta Betulii pokazuje obłężonym rodakom głowę Holofernaesa, a równocześnie zapewnia ich o swej czystości; oto fragment 13 rozdziału *Księgi według wybitniejszego młodzijszego przekładu Jajka* (ww. 18-21): „i zabił ręką swoją nieprzyjaciela ludu swego” (tę noc...) „ręką niewieścianą zabił [go] Pan Bóg nasz. A żywie sam Bóg, że mnie strzegł Anioł Jego i stał idący; i tam mieszkać, i stał nad ziemią, i stał nad ziemią. I nie dopuścił Pan spławić mnie, szubienicę swoją, ale bez zmiany grzechu przywrócił mnie wam radującą się w zwycięstwie Jego...”

Sapienti sat! Nie inaczej obchodzi się poeta z innymi przekazami tradycji — to są impulsy własnych, oryginalnych reinterpretacji lub kreacji. I nikt, kto nie chce zgryźć się z małodusznością, nie podniesie kamienia na poetę... Rzecz nauki jest dochodzić prawdy naukowej właściwymi dla niej drogami, rzecz poety jest odkrywanie piękna prawdy artystycznej.

Nie inaczej jest też w nawiązaniach do wielopiętrowych, archetypicznych tekstów, jak np. w *Marsjancu*:

*Sztuka nie przezwycięża kaźni — kaźń pieści zna dłuższe.
Lecz jeśli Bog, co łatwo nastroił tę śmierć,
łatwiej, niech Marjusz przemieni się w muszlę.
Muszla tę pieść przeklętą wyplacze z zasklebia.*

Pamiętamy ciągle Marjaszka z wiersza *Apollō i Marjasz* — Paczuli nawiązał twódczo (a nie tylko w tym wierszu) do Herbertowego dyskursu, poddał go na nowo refleksji, zironizował, przetworzył; i zbliżył się do przysłowia: „Sztuka nie przetrwa nigdy — nigdy pięknie ma dłuższe”. A więc nie tak: „ars longa, vita brevis”! I nie tak

czy z wyjątkiem Maryjki
nie powstanie z czasem
nowa gąsienica
szlaki — powiedzmy —
(Błogosławiony, Andrija Marciuk)

W retoryce Paczkowskiego, w jego żłźierni wolno rosną kryształy i wolno obracają się w działa sztuki. Oczywiście, nie wszystkie. Za problem pracowni artysty Natura jak wilk koczując i czeka na uchylenie drzwi. Uchyła je poeta (zobaczcie w wierszu *Tręgocini* — w którym marzenia o utraceniu raju niewinności), szczególnie mocno w przywołanym kilkakrotnie cyklu koniowym, ale nam nadzieję, że owo odważne otwarcie na Naturę nie posunie się aż tam, gdzie tylko płacz i chrzest miłośniczych koni. Chociaż... kto wie?

*Noc taka jest topielcem zapieczonym w trzcinach,
Lada chwila nurt rzeki porwie i powlecze
wrażli wspomnień — rozmiękle szarości Łabłna.
Samotnością tak trudno z miłości wyleczyć.*

Krytyka Pacuński: *Narodowy zwyczaj i inne wiersze*. Wybór i skład wierszy: Andrzej Niewiadomski. Przygotowanie do druku Grzegorz Filip. Wydawca: Stowarzyszenie Literackie „Kresy”, Lublin 1992, s. 40. Biblioteka „Kresów”, t. 2. Książka wydana przy pomocy finansowej Wydziału Kultury Urzędu Mińskiego w Lublinie i Wydziału Kultury Województwa w Lublinie.

TERESA ZANIEWSKA

POWRÓT WITKACEGO

Stanisław Ignacy Witkiewicz, który dawno już przekroczył granice swego czasu i miejsca pozostaje postacią nieustannie zajmującą uwagę historyków literatury, filozofów, teoretyków sztuki i kultury. Wiele osób pochwili jego życia oraz twórczości badacz krajowi (m.in. Anna Milińska, Małgorzata Szpakowska, Jan Błosiński, Tomasz Burek, Jan Brudnicki) i zagranicami (Daniel C. Gerould). Jednak wiedza o człowieku, który wyprzedził własną epokę przewidyując totalitaryzm i kryzys europejskiej kultury wciąż nie jest pełna.

Z tego też względu za bardziej cenną należy uznać najnowszą książkę poświęconą „wariatowi z Krupówek” autorstwa Joanny Siedleckiej pt. *Mohanna Witkac*. Praca ta odbiega konwencją i stylem od dotychczasowych rozpraw o Witkacym za co — z pewnością — wdzięcznych pozostaje autorce wielu czytelników.

Napiętna o Włochów książkę reporterka ma o nim w ogóle jeszcze coś do powiedzenia? Czy byłam na przykład hadze, którzy znal go i pamięją, lecz nigdy o nim nie mówili, a ich relacje warto oświ? Czy były „domestyczne” kobiety, klientki „Firmy Porozowej”? Przypadek, przełom nurek znowelizacji, „zastaw wrogowej”? Czy są jeszcze resztki jego fałszu – chociażby prześlony Zakopec – odchodzący coraz bardziej w niepamięć?

Bez wątpienia próba napisania książki reporterskiej wypadła pozytywnie, czego dowodem *Makabry Wólka*, którego lekturze oddaje się z zapartym ichm i chłodem pokoleń czytelników. Dziadkowie czytają często kwiatki z politowaniem głową nad „zmarnowanym” synem *Włodkiem Stanisławem Wólkiewiczem*, z sentymentem wspominają atmosferę przedwojennego Zakopanego oraz epokę należąca już do przeszłości; wnukiowie z ciekawością i uśmiechem próbują przeniknąć tajemnice życia i śmierci „geniusza” nekanaego od młodości obsejami oraz koszmarnym lękiem przed obłędem.

piórkami interesują podobnie, jak czarownica Iwana ciekawia Żar-Piak, a pastuszków kwiat paproci, zakwitającej w świętojańskiej noc. Przypadki życia owych żarogów – artystów – obok tajemnie warstwowo mają dużą wartość nie tylko cennych, bo życiowych wskazówek, lecz również sprężają samopoznania i leżą daleko, pomagają ostrzeżyć w sens sztuki. Ze ciekawicy są piórkami jest według Ogrodowczyka dziełem sztuki, przekształconym się na własnej skórze, czytając dyskutowany mi utwór *Początek*.

Są nieporadzi

jak aniołowie ze szczytami upatynymi w wieżach wypusku

(...)

Nieraz słuchaj w próśnię, ale i tak nie zabijają jej ciży

(...)

Cofają się w cieni kości z Morza Śródziemnego, w cieni krain

cieni krwi

(...)

W zmęznej dolinie powieki, w ciży bez skóry

nasłuchują różny krai, nie z tego świata

W Nie wszysko zostało składowane dziełami sztuki okazują się także – wymieniam w porządku wierszy w tomiku – Tadeusz Żakowski, Aleksander Jawiczew, Andrzej Wajda i Roman Chojnacki, nie o chodni tu o dialog z ich twórczością, lecz o przypadku przegladający się w *Borgesie* *Księgi metafor*, lecz o interpretację żywych osób potrakowanych w życiu w kwiaty paproci. To samo odnosi się do najnowszego cyklu wierszy, który Władysław Miłozin, *Samobójstwa Franciszka Karla*, *Jak umierał Antoni Czerwinski* i do teksta *Nowy Jork, anioł i Lechów* (*Arkusz* 1992, nr 6). W porządku rzeczywistości, jak na mieszkanka Śródziemnomorza przystało, wszystko jest poezją, czyli wiersz, malowidło czy symbolika cięszą się u Ogrodowczyka tą samą wyrazistą realnością, co dworzec kolejowy, pokój z zabawkami albo kot na kanapie. Dziełami sztuki są jednak najpiękniejsze ludzkie.

Kulturowe reminiscencje współczesna ich, podcałówek obrazów czy metafor, i znaczenie pierwotnowspółczesne poje przybiega z reguły nadawom życiowym, wpisany w przypadki biografii ukazane na modelę przypowieściowo, nie hagiograficznie. Biografie stają się przypowieściami, gdy udział w nich ma historia wewnętrzną, a także gdy podlega jej wewnętrzna walka o kształt człowieka. Wina i kara, wina i wapienie, bunt i zachęty, dobro i zło nie są anonimowe, przeciwnie, mają spozycowaczone konkretnie.

Leż w *Jabłuska Ziemi* najpiękniejszym dziełem sztuki jest *Człowiek-Bóg*, „Jeśz szan wzięty sandał”, a biografia ziemna krasa traktowana jest właśnie jak przypowieść, nie zaś jak hagiograficzna legenda. Ślad wiele wierszy może zakłócić – sposobem epoki, punktem widzenia, przesłaniem. Ciekawe wydaje mi się na przykład Ogrodowczykowski pojcie Boga, obywateli i ich życiu chwilałami zachodząc na postać Jena, bo Absolut ma tu także być sinistrowy, inny. Bóg, co rzadkie w literaturze polskiej, u Ogrodowczyka jest Demurgim, jako żywiłowa, numinotyczna, budzącą w człowieku poczucie fascynacji i zarazem trendem taki Bóg unosi się nad światem Leimiana i *Psalmodii* Tadeusza Nowaka. „Nieporównalność, faldia tajemnicy”, „Arwawie słowo”, „żywa blyskawka”, „ogień leżący na dzie ziemi”. Te wiersze podobają jakby z niepokojącej litanią czy apoteozą, która w *Nieprzewidywalnym* wsmoła się jak niebu wrona napażająca i wprost adorując Intencję, a teraz stała się jednocznością z bez wychnienia powonając próbą dociecia sensu męki i śmierci Chrystusa, przybliżenia prezent cierpiącego ciała, zejścia w głąb ziemi, życia we wnętrzu świąt i zmartwychwstania (powiew tej tajemnicy dociecia sięgdzi innymi bohaterami wiersza *Języc z Armaty*). *Jeżaz* z *Nazaretu* przychodzi do świata i do wierszy Ogrodowczyka, jako Zwycięzca: na to, by „domoniam apłoty szary” „dłabł zionął tak pany”, by „serce Boga” zabło w „dłanku maku”. Kiedy zwyciężył łowy, historię, narodził „Świat” (*Jak zwycięża ziarno maku*). Ale przede wszystkim przychodzi jako Człowiek, który uczucia fascynacji i trendem obraca w dojrzały miazgło, życie przemienia w przypowieść, a człowieka w dzieło sztuki w dzieło sztuczawiały, jak przechodził.

Wiatr ma tutaj srebrzystą barwę

I kładzie smutek człowieka tak samo

Pierci, jak polecie wierzby.

Z odosłania wiatu, jak wietle kololiciu

Przewożąc krzyżem obłady

Ala to, co ja widzę, jest bliższe:

Przy brzegu rybaczy, zapach świętego drewna, dymu,

Płaską w opłaz rybę.

Thane szczytne płamienie złosa się z mową

Tej cześci ziemi, i pewno nie ułyszeł.

W wiesze, Jego słow

„Marie na cni do uśpienia”

(Borges)

Świat tych wierszy jest rzeczywistością ścierających się bez ustanku żywiołów, co daje wrażenie niepokoju, napięcia, które nachodzący prawie w każdej strofie *Jabłuska Ziemi* żywioł Boga i żywioł ludzkiego serca, żywioł Natury i żywioł wiecznej biblioteki Kultury. Widąc szczerą, prawie mistyczną wrażliwość poety na mace naturalne, czasami demoniczne, dwuznaczne, tajemne i nocne: „Nocą pękła ziemia i wstędy anioł wychodził” (*Anioł wychodzi z wnętrza ziemi*). Ziemia, jej materia, wnętrza, jej ciemność, wilgoć, nieprzenikliwość, bezkształt, ciętar, jej rodząca życie tajemnica, a jednocześnie grób wszystkich istnień – w świecie Ogrodowczyka okazuje się żywiołem elementarnym i zarazem nieprzemianliwym księga tajemnic. Taką samą księgą, materia elementarna i nieprzemianliwa, rodząca życie i śmierć, jest albo ziemia albo ciało:

Wszystko co widzę, oblok,

Czarna wstępa, pąpek w głowie,

Wszystko co dymię, lili,

Idzie z włosów porażona przeobrażeniem kabery.

Słotki i ogień me mnie zasnuwone,

Spójrzcie wiewiórki zdra dzu.

Uniesienie krwi Miłozina,

Gwiazda, która ucał przed zmierzchniem na dzie oka,

Unioł Alpek modlitwy, niołę po niole słysz

Cielom

(Wiersze na walty)

Obok ziemi i ciała trzecią elementarną materią jest w tym świecie słowo, poezja. Portretując ją w *Nie wszysko zostało składowane*, Ogrodowczyk pisze: „Poezja ma konieć w grzeziej mój wosaz skłoty jest jak sepić śiętego drzewa kwi” (*Poezja*). Ale to tylko jeden z wielu „anotematycznych” wierszy autora *Nieprzewidywalnego* i prawie wszędzie spotykamy bliskie związki „słowa”, „ciała” i „ziemi” (albo „poezji”, „skłoty” i „drzewa”), często zawiązujące się we wspólnej przestrzeni, jak jest świat bólu. Powiedziałbym nawet, że najciekawsze pod tym względem wiersze zbudowane są naślad podwójnego znaczenia ziemi, ciała i słowa: duchystycznego i trauistycznego. Kiedyś znaczenia te ze sobą walczą, a w *Nieprzewidywalnym* dialogowały. Teraz znaczą. Sens „przeobrażania murek”, dołbany się w głębi wspólnej duchystycznej i sensu trauistycznej przestrzeni słowa, ciała, ziemi jak z przyłoją do sacha mistycznej murek. Tego nie będę jut opowiadał, oddaję głos poecie:

Po szlaskach, obłokach,

Po mionie łowu złamany,

Płystym jak polska wiośl

Po mojej głowie ciemnej,

Co przysłała w oczach demonów,

W kółku niołoci, pod oznamia iłonej płazę,

Po młotki do kopyta, wierzby,

Jedwabia opamiętujące nagoli kobitay

Oto teraz stoisz naciata.

Przykładem muszki do uszu:
 To sama przeobrażona muszka,
 W której uszuś się Duch
 Nad wodami.
 (Przykładem muszki do uszu)

Niektórzy powiadają, że słowo, poezja, sztuka są tylko kreacjami. Lecz czy odważylibyśmy się twierdzić, że kreacjami tylko są ziemia i ciało? Według tego, kto jakie pojmuje jako przypowieść, a człowieka jako dzieło sztuki — słowo jest jeszcze czymś innym.

Andrzej Goprowski: *Zachęta. Zami. Niekładem Stawieckiego Płotyński, Pionier 1982, nr. 45, str. 3.*

TADEUSZ SZKOLUT

SZTUKA I WARTOŚCI ESTETYCZNE

Dynamiczny rozwój ruchu neowangardowego w okresie połowy lat pięćdziesiątych do końca lat osiemdziesiątych awangardy klasycznej i lat 1965–1970), to przewidywany zaskak owość sztuki podważał po prostu estetykę jej przedmiotu badań. Wraz z radykalnym zakwestionowaniem przez twórców nowo estetyki tzw. paradygmatu estetycznego, obowiązującego jeszcze na początku naszego stulecia i częściowo podważonego przez twórców wielkiej awangardy, uniemożliwiano miaby użyć wszystkie zastane kategorie estetyczne: dzieło sztuki, piękno (resp. wartość estetyczna), mimesis, katarsis, ekspresja, indywidualność twórcy, przeżywanie estetyczne, postawa estetyczna, forma artystyczna, mistrzostwo wykonania (techna) itp.

Z drugiej wolało stracić, rzeczywiście samokwestionując estetykę ukłowił się w tradycję tego samego rodzaju, co neowangardowi, którzy pragnęli unicestwić sztukę, zachowując zarazem dla siebie zaszczytnie miano artysty-twórcy. Postulując zatracenie uprawiania estetyki, pojmowanej jako filozoficzne dociekania o sztuce i pięknie, zamierzali jednocześnie skonkretyzować owe wyniki na budowaniu zębów własności artystycznej, która różniłaby się od spontanicznej artystycznej impetu, koncepcjonalistów itp., jedynie wielokim dystansem krytycznym wobec prądu neowangardowistowskiego (według wytychawanie antynomii i paradoksów oceniających działalność twórców nowej awangardy) oraz pogłębioną refleksją nad sytuacją kultury dzisiejszej (twórczość neowangardowa jako symptom kryzysowych sytuacji zachodzących w całej współczesnej formacji cywilizacyjnej).

Najbardziej przekonawczą przedstawicielką myśli tendencji tej był S. Morawski, którego wykonalność analizy, twórczość neowangardową interpretował jako wyraz nędzy, rozdarcie wewnętrznych konfliktami epoki kulturowej i zarzekał raczej na dramatycznej dylematy, że praca cywilizacji naukowo-technicznej, pozostała trwałym wkładem w rozwój... estetyki polskiej i światowej. Sądzi, że dzięki sam autor Na zakręcie od sztuki do postulatów zgodyby się zapewne z tym, iż podobnie jak nowa awangarda wbrew swym bułgarskim hasłom nie zmierzała sztukę (doprowadzając jedynie do niechętnego rozszerzenia jej obszaru), tak też filozoficzna antyestetyka faktycznie dostarczała impulsów do dalszego rozwoju estetyki; do intensyfikacji dyskusji nad statusem sztuki w kulturze, nad istotą sztuki, naturą wartości estetycznych (i estetycznych), rolę przeżyć wywołanych przez sztukę w życiu psychicznym jednostki i w życiu społeczeństwa itp.

Najlepszym dowodem aktualności tej problematyki oraz żywości głównych

pojęć estetyki jest właśnie najnowsza książka B. Dziemiadka *Sztuka — wartości — emocje*. Już we wstępie autor ustosunkowuje się do poruszonych wyżej kwestii rzekomo śmierci sztuki i estetyki, zauważając, iż nie nie wskazuje na to, by sztuka mimo ogromnych przeobrażeń kulturowo-cywilizacyjnych przetrwała być ludzom potrzebna. Apologuje sztukę towarzyszy w omawianej książce również również obrona estetyki, rozumianej jako dziedzina wiedzy filozoficznej, podejmująca rozważania nad twórczością artystyczną, nad właściwymi siłami wartościowania, nad wzbieraniem przez nią prętyczami. W przekrobie B. Dziemiadka owe dociekania winny prowadzić do ogólniejszej refleksji nad sensem współczesnych przemian kulturowo-cywilizacyjnych. Siedem sekcji teoretycznych, składających się na książkę (orzeczono, że wszystkie artykuły z zakresu historii estetyki współczesnej, prezentujące poglądy R. Ingardena i W. Tatarukiewicza), poświęconych jest omówieniu tradycyjnych kategorii estetycznych, z uwzględnieniem tych przekształceń, którym owe kategorie uległy pod wpływem zaburzających działań neowangardystów, a pośrodku — w wyniku burzliwych zmian dokonujących się w całym obecnym układzie socjokulturowym.

Dwa początkowe rozdziały książki wprowadzają w samo sedno kwestii teoretycznej, z jakimi boryka się dzisiejsza estetyka, usiłująca przemleć doświadczenia nowej awangardy. Jedną z głównych kontrowersji, która zrodziła się na sprawa praktyki twórczej awangardy powojennej, można by określić jako spór o estetyczną istotę sztuki. Otóż co najmniej od połowy XVIII wieku aż do przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych naszego stulecia dominował w estetyce pogląd, iż sztuka ma naturę estetyczną. Owa „estetyczna koncepcja sztuki” — jak nazywa ją B. Dziemiadka — głosi, że wytwórkiem dzieła sztuki i zarazem jego czynnikiem konstytuującym jest piękno w szerokim znaczeniu tego słowa (wartości estetycznej), a główną funkcją sztuki, decydującą o jej niezbędności w kulturze, jest dostarczanie odbiorcom swoich przeżyć, domaganych w trakcie obcowania z dziełem sztuki wyposażonym w owe szczególne jakości estetyczne (formalno-strukturalno-ekspresyjne własności estetyczne).

Rzeczniczy teorii estetycznej natury sztuki nie przeczy, oczywiście, że dzieło sztuki zawiera w sobie także inne wartości kulturowe (moralne, religijne, polityczne, itp.) i w związku z tym sztuka spełnia również rolę szerzej funkcji pozanestetycznych — poznawczą, wychowawczą, ideologiczną itp. Zwykle dodawali jednak, że koniecznym warunkiem skutecznego realizowania przez sztukę jej zadań społeczno-kulturowych jest jednocześnie ucrzewianie wartości estetycznych i wzbudzanie specyficznych doznań (przeżyć estetycznych).

Sprawa niezwykle skomplikuje się wraz z wystąpieniem twórców neowangardowych, którzy podważali w wątpliwie przewidywanie o estetycznej naturze sztuki. Co więcej — przedstawiciele najbardziej radykalnych odmian nowej awangardy będącymi się wyeliminowania ze sztuki wartości estetycznych właśnie w imię zwiększenia emancypacyjnego i dezalienacyjnego potencjału sztuki (resp. post-sztuki). Wartość estetyczną sztuki obwiniano się stąd o to, że tworzą barierę między sztuką i rzeczywistością („Lyczenie”), zaś przeżycia estetyczne, opierające się na fikcyjnym „świecie własnym” dzieła sztuki, oskarżane jest o narzucany wpływ na świadomość odbiorców. Innymi słowy, sztuka nacelowanej na krótkotrwale automatyzację struktur formalno-ekspresyjnych i wzbudzanie beinteryornych przeżyć (odmiennych od przeżyć poznawczych, religijnych, erotycznych itp.), zarzuca się, iż dostarcza odbiorcom zastępczych spełnień zamiast pobudzić ich do rzeczywistego przekształcania świata (kwestia kompensacyjnego odlatywania sztuki B. Dziemiadka wyszczególnia omawia w rozdziale pt. *Katarsis jako kategoria estetyczna*).

Wobec owej argumentacji, popartej dokonaniem twórczym w wielu wypadkach istotnie daleko wykraczającymi poza to, co europejskim kręgiem kulturowym zwykło zaliczać się do sfery sztuki, estetyki zaczęły różne stanowiska. Jedni starali się wykazać, że wytwory i działania neowangardowe, awaryjne za paradygmatem estetycznym, stymulują się całkowicie w sposób właściwy obecnemu sztuce, bądź też ich status artystyczny jest nader wątpliwy (S. Morawski). Drudzy obrali strategię badawczą mającą wykazać, iż rewolta neowangardowa doprowadziła nie tyle do unicestwienia sztuki wartości estetycznych, lecz do stworzenia wartości estetycznych nowego typu (T. Paskowski, M. Golaszewska). Jeszcze inni zaproponowali nową, rozszerzoną definicję sztuki, głoszącą, iż o przynależności danego dzieła do sfery sztuki nie decydują jego właściwości estetyczne, lecz wyłącznie siła w funkcjonowanie instytucji

„świata sztuki” (tzw. instytucjonalna koncepcja sztuki, reprezentowana przez G. Dickiego i T. Binkleya).

B. Dziemidok dokonuje wyczerpującego przeglądu różnorakich stanowisk w kwestii estetycznej natury sztuki (w innym sformułowaniu problem ten przybiera postać pytania o charakter i zakresy jej powstania między artystycznymi i estetycznymi wartościami sztuki). Wyodrębnienie głównych opcji w tych sprawach i sporządzenie ich typologii, klarownie przedstawienie argumentów zwolenników poszczególnych rozwiązań teoretycznych — stanowią niezaprzeczalną wartość recenzowanych prac. Sam autor opowiada się za wąskim rozumieniem wartości estetycznych sztuki i przyjęcia estetycznego. Oznacza to, iż wartości estetyczne (to, co bezpośrednio dane w dziele sztuki — estetyce barw, kształtów, dźwięków, wykład przedmiotów przedstawieniowych itp.) nie tylko nie są swoistymi wartościami sztuki (bowiem wystrąpiłyby również poza sztuką) przysługującą twórcy, ciążu ludzkiemu, produktowi techniki), lecz nie zawsze są także jedynymi i istotnymi wartościami dzieła, przebiegającymi o zaliczeniu go do dzieł sztuki. *Praktyka sztuki najpewniej wskazuje, że możliwe są dzieła sztuki całkowicie lub niemal całkowicie pozbawione wartości estetycznych* (str. 35), posiadające wszakże wartości artystyczne — nowości i oryginalności pomysłu, zdolność ewokowania emocji, świadomości psychologicznych, odkrywczość poznawczą, doniosłość moralną, bogactwo skojarzeń itp.

Nie zawsze jednak — dodaje B. Dziemidok — związek wartości artystycznych z wartościami estetycznymi sztuki bywał aż tak rozbudowany, jak w twórczości neowanguardowej. Nie też nie przemawia za tym, że ten stan rzeczy musi trwać wiecznie. Sztuka jest skomplikowanym fenomenem społecznym, w znacznej mierze determinowanym przez aktualny kontekst kulturowo-cywilizacyjny. Owo obecnie socjokulturowe w dużym stopniu decyduje o tym, czy wartości estetyczne są nieodzownym komponentem twórcy artystycznego, jak układa się relacja między wartościami artystycznymi i estetycznymi sztuki, jaki charakter mają te ostatnie (czy np. przeważają wartości estetyczne otre czy łagodnie) itp. Mimo wszystko jednak autor uważa, że każda teoria ignorująca społecznie i kulturowo określony związek wartości artystycznej ze sferą jej wartości estetycznych byłaby teorią niepełną czy wręcz fałszywą. Sztuka od wieków była jednym z głównych źródeł wartości i prądu estetycznych i w pewności posiadanie ich mań, nawet jeśli dzisiaj idąca się przeważa tendencja deestetyzacyjna.

Porwało to — jak sądzi — zaliczyć stanowisko B. Dziemidoka do tej grupy teorii estetycznej natury sztuki (T. Binkley, T. Brunius, G. Hermeren, M. Kagan), które metody na nazwót artystyczny, bowiem podkreślały historyczne i kulturowe uwarunkowania aktywności artystycznej (s.24-26, 54-57). Sądzę też nieprzebieżnie, że — adiem B. Dziemidoka — ocenianie wartości dzieła sztuki najpewniej wyłącznie według kryterium estetycznego, chociaż powołując prawdę, że historycznie rzecz biorąc, sztuka była zawsze jedną z najważniejszych rezerwuarów dóbr: roznosi i dlatego w toku dzieł tak właśnie ją wartościowano (por. rozdz. III: O wartościowaniu i przetrwaniu dzieł sztuki). Podobne owarunkowania i zamierzenia cechują również rozstrzygnięcia przez B. Dziemidoka problemu, czy postawa estetyczna jest koniecznym warunkiem przeżycia estetycznego (rozdz. IV).

Interesujące upamiętnienie dociekań o estetycznej naturze sztuki, o współzależności artystycznych i estetycznych wartości sztuki, o kahalernego-kompensacyjno-ludyczny oddziaływaniu sztuki czynnik oddziałuje w studiach *Emocjonalizacja i ludzkie sztuki* oraz *Spółczesne znaczenie emocjonalnego oddziaływania sztuki*. W tej ostatniej pracy B. Dziemidok porusza wątek negatywnego wpływu sztuki na psychikę jednostki (s.166-167, por. też s.137-138), który nie doznał się wywaru na życie, co pozostawia pewien niedosyt, zwłaszcza w obliczu oskarżeń wysławianych pod adresem sztuki przez ideologów nowej awangardy.

Reasumując, książka B. Dziemidoka to praca z zakresu estetyki „akademickiej” w najpełniejszą stopnia znaczeniu. Cechuje ją bowiem troska o ścisłość terminologii, o poprawność dyktando, o poprawne ujęcie, rzetelne przedstawienie cudzych poglądów, przejrzyste kwalifikowanie różnych stanowisk teoretycznych. „Akademickie” nastawienie autora nie oznacza wcale komercyjny artystyczny: B. Dziemidok przejawia wrażliwość na to wszystko, co nowe i obiecujące w sztuce dzisiejszej. Otwarłoci i tolerancyjności wobec różnorodnych prądów sztuki współczesnej nie wyklucza jednak ich wartościowania i autor bynajmniej nie stroni od wypowiadania

sądów oceniających, nie starając się wszakże narzucać sztyku jakichkolwiek bezwzględnych norm i reguł. Można zatem powiedzieć, że jest to estetyka wartościująca, choć nie normatywna.

Nie będzie zapewne przesadą w twierdzeniu, że prace estetyczne B. Dziemidoka stanowią z jednej strony kontynuację najwłaściwszych dociekań polskiej „akademickiej” estetyki W. Tatarukiewicza, R. Ingardena, M. Wallisa, S. Ossowskiego i innych, z drugiej — nawiązując równocześnie dialog z czołowymi przedstawicielami współczesnej estetyki światowej o różnych orientacjach metodologicznych (na podkreślenie zasługuje imponująca studycja autora, który z równą swobodą porusza się po terenie estetyki rosyjskiej, jak i angielskiej).

Bohdan Dziemidok: *Sztuka — emocje* — napisany Wydziałem Fundacji dla Instytutu Kultury, Warszawa 1992, s.216.

ZYGMUNT MAŃKOWSKI

POLONIA AMERYKAŃSKA WOBEC WOJNY W 1939 ROKU

Po I wojnie światowej Polacy w Ameryce „zaczęli się przekształcać w Amerykanów polskiego pochodzenia”. Stwierdzenie na pierwszym miejscu leżące wobec wyżej drugiej opinii przynajmniej rozstrzyga w sposobach reagowania na zagrożenia wojny niemiecko-polskiej, wobec której rząd USA ogłosił pełną neutralność. Zagrożenia Polacy oraz jej klęska we wrześniu 1939 roku wywoływały proces integracji Polonii w większym niż dotychczas stopniu. Nastąpił również wśród Polonii „nawrót zwrotu narodowych”. Ambasador Polacy w USA w 1939 roku „miał treść namietności: kobiety, gołi i polowanie. To ostatnie głównie par force konno za linem”, a więc mial „Szamant z domu Illegalski, pochodzący ze starego i bogatego rodu Banków przewoźników”. 30 września 1939 roku amerykański sekretarz stanu Cornel Hall stwierdził, że *samo zajęcie terytoriów nie stanowi końca legalnego istnienia rządu. Wobec tego Siano Zjednoczone nadal uznaje rząd polski za istniejący, nadal uznają go Jerzego Potockiego za ambasadora Polacy w Waszyngtonie*.

O tych i innych sprawach związanych ze stosunkami Polonii amerykańskiej do kraju, w przedśladu i w czasie kampanii wrześniowej, a szerzej — o sprawie polskiej w 1939 roku w USA, obszernie traktuje wydane w Chicago książka pisma Wojciecha Bolesławskiego pt. *Pomocny dla polskiej a serce polskie. Polonia amerykańska we wrześniu 1939*. Jej autor, obecnie redaktor chicagowski „Dziennika Związkuwogo”, jest postacią głęboko wrośniętą w historię i kulturę. Wychowany w Zwierzyńcu na Zamojszczyźnie, o wzniosłych ukończeniu, przez wiele lat był ruchliwym i płodnym dziennikarzem w prasie katolickiej, a następnie w „Tygodniku Zamojskim”. Pisał o wielu sprawach, ale jego szczególnie polon obserwacji, badań i raporty były wyjątkowo II wojny światowej (otrzymał mian w powstaniu Warszawskim), kampania wrześniowa oraz przez partyzantki na ziemiach polskich. Przed adresem się na obczyźnie wyraz w Lublinie nieskrytą interesującą książeczkę o „afierze Vismana”, której skutkiem była rozbicie polskiego podziemia przez niemieckie siły bezpieczeństwa na Zamojszczyźnie. Wcześniej obezwał na Uniwersytecie Warszawskim rozprawy doktorską nt. *Kampania wrześniowa i początki ruchu oporu na Zamojszczyźnie*. Jako aneks do niej zamieścił „stan groźbowości z września 1939 roku na Zamojszczyźnie”, w którym ustalił setki groźb kryjących szkatki „niemych” dotąd z nazwiska ofiarom i żołnierzom. Owe ustalenia, sukcesywnie drukowane we „Wrocławskim Tygodniku Katolickim”, odkryły wielu rodnym, po latach beznadziejnych poszukiwaniach, przy ich najbliższych poległych na zamojskiej ziemi.

Na wyłożeniu (bo przecież nie na emigracji) zdecydował się pod wpływem swego

wym życzeniem pochowany został na cmentarzu w Zwettzie. Wojciech objął po jego ścisłą współpracę redakcyjną, trwał pamięć o jego zasługach oraz życiowe wskazania. Po zdumowieniu w Słonach, Wojciech, z wyłączenia historii, podjął natychmiast badania nad stosunkami Polonii amerykańskiej do romskiego w końcu lat trzydziestych zagrożenia Polski i później do trwającej wojny niemiecko-polskiej. Temat to bardzo ważny (do dziś nie posiadamy dogłębnej wiedzy o stosunku świata do tej wojny) i... trudny do realizacji. Rzecz w tym, ile traktuję go naukowo (a do tego Białusiwek wyrażała niezmierną łatwo wywołać w środowisku polonijnym dyskusję, kontrowersję czy protesty (pamiętamy jaką burzę wywołał przed laty krytyczny obraz Polonii amerykańskiej pisma Bronzarki), popasyły się protesty, inwestycje, a nawet żądania ukarania sprawy przez sąd). Sprawa należała więc potraktować poważnie, obiektywnie, ale i... ostrożnie. Pierwsze wyniki swych badań pociągnął sondażowy publikowany na łamach pism emigracyjnych, by w 1949 roku podjąć całość w liczącej ponad 150 stron swięconego formatu książki, bogato ilustrowanej i starannie opracowanej pod względem językowym i graficznym (zawiodły tylko reprodukcje dokumentów).

Podjęty problem Białusiwek starał się ukazać w możliwie dogłębny i obiektywny sposób. Nie uciekał więc cytować, przypisywał kłopotliwych na wykorzystany materiał źródłowy czy prasowy. Problem był o tyle złożony, że Polonia amerykańska po I wojnie światowej zmalała się na krzyżach swych dzieł. Oto jak wynika z badań historyków (W. Galusz, M. Drondowski, T. Radzicki) Polacy w Ameryce zaczęli się przekształcać w Amerykanów polskiego pochodzenia. Dla większości przywódców Polonii, ze względu na postępowy i spadek zainteresowania sprawami Polski oraz ze względu na fakt, iż często czuli się sami wykorzystywani dla większych, partykularnych celów w ojczyźnie, zmiana orientacji wydawała się nie tylko pożądaną, ale i sprawną. Nie udało im się jednak osiągnąć swoich przedsięwzięć pomocy na cele obywatelskie i humanitarne, ale ich stosunek do tego kraju stał się coraz bardziej racjonalny. Przywódcy Polonii amerykańskiej uważali, że spełnili swój obowiązek wobec Polski, nowe patetowo było mówić w stanie dużej o sobie, a Polonia amerykańska mogła zajęć się sobą (ojciec Williama Galusza).

Dodajmy do tego gorzką konstatację: Polonia doznała po odkryciu niespodziewanego głębokiego zawodu w kontaktach z krajem. Wiedzieli, że ich status jest niepokojąco nieukończony tam kapitały, nie po przejędło do ojczyzny na stałe, na skutek kryzysu inflacji, zanętu utraciły większość i powrócił do USA wydłubał krajowi fatalną opinię. Ponad tym wszystkim utrzymywało się przekonanie, że „obywateli amerykańskich winna bezwzględnie ochować lojalność wobec kraju, którego są obywatelami”. Reorientacja w tym względzie przyspieszała nastroje krytycznego wobec rządów sanacyjnych, Józefa Piłsudskiego, polskiej polityki i zagranicznej itp. Poddały w środowisku Polonii amerykańskiej były głębokie nie tylko na skutek przeciwności czy proflubudystycznych orientacji, ale także, jak to bywa na emigracjach, antymozjone politycznych, regionalnych itp. W roku wydawnictwa wzmiankowanej – pisał Białusiwek – „rydychli „Polonia” i „Przewodnik” wydawane przez ks. pralata Lucjana Błogoskiego, znanie ze swego fantastycznego wojennego stosunku do rządu pomajowego w Polsce, rozpatrzyły natychmiast kampanię propagandową przeciwko sanacji czyniąc ją odpowiedzialną za katastrofę, jako spławia na Polskę [...] Do niedawna, śladem zbiorczych dzieł Hitlera – pisał na łamach „Polonii” Paweł Dział-Walkiewicz – podlegała skartakowaniu wielu niekierujących seniorów polsko-amerykańskiej, zwłaszcza tych, którzy w czasie wojny światowej łączący się pod sztandarem Komitatu Obrony Narodowej, zwanoego legendą KONIA, do ona ogłębionych mamy o legendzie [...]”

Na kartach swych interesujących i żywo napisanej książki Białusiwek porusza wiele spraw tamtego czasu: reakcje Polonii na zagrożenie niepodległości, walkę Polonii o zniesienie embarga na broń, kulisy antypolskiej propagandy uprawianej przez wrogie Polsce środowiska emigracyjne (ewentualnie V kolumnę), ukraińskie, niemieckie czy żydowskie (te drugiej strony sektorki z organizacji tych mniejszości przekazywały Polakom słowa solidarności i otuchy). Opisał także wieloletnie Polskiego Czerwonego Krzyża (w tym jego prezena PKC) i kraju gen. Aleksandra Ostafskiego, słowniki ogólników i wskazywał emigracyjnych Polak, weteranów, Związek Narodowy do spraw kraju, reakcje emigracji na polskie niepodległość frontowe oraz wkroczenie Armii Czerwonej. Znajdujemy także wiele o Amerykanach w walczącej Warszawie (losy ambasady, dokumentacyjna działalność filmowa Juliana Bryana), o powodach

flaska wojkowej rekrutacji do polskiej armii czy o ocenie września na łamach prasy polonijnej. Warstwa faktograficzna książki jest bogata, a opady wydawnicze i zobiektywizowane. Podstawowa wiedza faktograficzna Białusiwek zaczął z prasy współczesnej tamtego, ale także z praktycznych źródełowych przechowywanych w Archiwum Akt Nowych w Warszawie oraz w zbiorach amerykańskich.

Niektóre z kart jego książki przejmują swoją wymową. Oto mimo „gorącego patriotyzmu” i „porwy serca” śladem doświadczeń i w dow. gdy Polonia amerykańska udało się uformować aż 30-tysięczną armię pod jej dow. gen. Hallera, która odegrała poważną rolę w umacnianiu niepodległości kraju – „sportwici nie było”; podjęty próby uformowania w 1939 roku Polskiego Legionu Zagrożonego ostatecznie zupełnie innymi rezultat i zakończył się niepowodzeniem. Przyczyną tego były różne: ugruntowane się poczucie lojalności wobec swego ojczyzny, zdecydowana neutralność USA wobec rozpoczynającej wojny, brak entuzjazmu wśród Amerykanów polskiego pochodzenia, niepewność dalszych losów w wypadku powrotu z wojny, doznana ran czy inwalidztwa. Wskazywał na to w Słonach Zwettziecznych zawiado – cytuję Białusiwek jedną z ocen. – Okazało się, jak tylko rzuci w świat, że obrzydliwy historyczny mogą się powtarzać, lecz sama historia się nie powtarza. Druga wojna światowa różniła się od pierwszej, inaczej przebiegała jej działania. W odmiennej sposób kształtowała się fronty. Inne były profile psychiczne głównych aktorów. I inną jej była Polonia amerykańska. Ciężko to później przewidywać gen. Władysław Sikorski, gdy pelen nadziei udał się do Stanów Zwettziecznych, by tam wśród Polonii stworzyć wielotysięczną armię jako część składową Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Sądząc, że książki Białusiwek należy wydzielić w kraju, Polonia amerykańska wciąż oddzielała na kraj, a ten wiąże z nią wielkie nadzieje. Obecnie Polonia została wzmocniona świeżą dawką krwi (emigracja polityczna, ale też i... ekonomiczna). W ojczyźnie traktuje się ją nadal jako społeczność, na którą można liczyć pod każdym względem. Ważne jest więc, aby pomagać jej realizować postawy i możliwości, determinantą jej działań, obsesję i fobie, a przede wszystkim doświadczenia, jakim służy. Wiele z tego odłama książki Wojciecha Białusiwek. Książka ta tworzy prymat, przez której wielkie można dostrzec i wiele się nauczyć. A jesteśmy przecież wciąż, co to dużo mówić, naiwni i sentymentalni. To nie my, ale oni służy „racjonalizacji”.

Wojciech Białusiwek: *Wieloletnia lojalność a nowa przysięga. Polonia amerykańska we wrześniu 1939 r.*, w: *Publikacja Wzrost Chicago 1981 r.*, 136. Książka dedykowana „Pamięci Ojca i matki, Janowi Białusiwekowi, który współ miennie młodzieli się dziełami ojczyzny”.

GRAŻYNA WIŚNIEWSKA

Wojciech Białusiwek: *Wieloletnia lojalność a nowa przysięga. Polonia amerykańska we wrześniu 1939 r.*, w: *Publikacja Wzrost Chicago 1981 r.*, 136. Książka dedykowana „Pamięci Ojca i matki, Janowi Białusiwekowi, który współ miennie młodzieli się dziełami ojczyzny”.

SŁOWO POTRAFI ZAISKRYĆ

Kataryzna Szloch stałami swich wierzy czyni przeżywa estetyczną (w katedrze, Rembrandt i Rembrandt II), wtemniczenie metafizyczne (lektura metafizyki), przemienności myślowe (eroryk I, eroryk II, wiersz dedykowany Czarkow), wzruszenia (nadzwyczajny gość), wstrząsy emocjonalne (brak umiarkowania... zwał jednak odwołanie siebie...).

Seręg z nich przypomniał automatycznie (zapak umiarkowanie, strach myśli, nie doprowadzającym zdani, nie uprzedzającego potoku słów). To próba wykwintu szybko przesuwających się obrazów: płynnych, wciąż zmieniających się, nie skrupuowanych żadnym zamierzaniem umysłu. Goniłaby różnych kształtów wywołanych wspomnieniem o czymś lub o kimś, zapach związane z czymś, co sąby konkretne, ale tak naprawdę nie określone do końca. Takimi punktami spierza świat jest zestawienie niezłatnych składowych cząstek. Defekcja czyż zdania jest niemal regular:

gdy spotkał się po latach
z kłopotliwym urodzoną lekturą
jaki świat po kolana domni nie czekała

jak wroty z gorzka herbata w oltarzu okna
grona umiśchu opadły na przepaść szkieł biel
biel wyprzedza półnokról nieszczęść dorosła
do śmierci

(opiekunowie II)

Licetnia poetica rzadzi takimi wierszami, jak *dom, smutek, łza, Baskeria Singer, kółka, podziw*. Przykładów jest znacznie więcej. Świadczy o tym, że autorka w pełni korzysta z prawa do niecierpienia się z normami składniowymi. W wielu wierszach mimo rozbicia ciągłości wypowiedzi, zachowuje się czułość, przyzwyczajona do struktury między prezentowanymi stanami rzeczy. Można na przykład zobaczyć dom tylko dzięki temu, że wokół tego „przedmiotu” nagromadzone zostały obrazy właśnie z domem związane (*dom*). Klarywny jest smutek „przypłania się sobie” (*smutek*). Czytelne jest oczekiwanie, kiedy nie wiadomo, co ze sobą zrobić (*oczekiwanie*).

Czasem jednak defekcja jest tak dalece posunięta, że wiersz staje się prawdziwym *crux* interpretacji, amorfizującym wiarę jednoznaczne odczytanie. Oto jeden z przykładów:

nierozważne drogi legnące
połknięty omierzał boleśnie
w szadzie topoli szostzana
niemawie pędzą gniazdy
zogniewany umierał amoralnie

(płochy)

Bezczelowe jest doczekanie czy to „nierozważne drogi legnące (...) pędzą” czy „szostzana niemawie” jest „w szadzie topoli”, czy też „szostzana niemawie” jest *znow* strzępami jakości nie dopowiedzialnej frazy.

Taki punkt myśli uprzyjaźnia przypadkowym spotkaniem słów, powstawaniu zastraszających obrazów, czepkowemu doświadczeniu i nieprzełumaczalnym, jak choćby ten:

haust świata także drłak
jak oddech w trawie nadykły się
przerznięty nadykły puste słow
związy ciemności nieświecące
w czarny krater życia

Potrzeba zachęcać się się życiem? Konieczność odczucia... siebie?, wyrwania się z otaczającej ciemności?

Z całą pewnością taki marny tu do czytelnika i minimum. Jest to raczej próba odzwierciedlenia rzeczywistości, czasem tylko dotknięcia jej, czasem dotarcia do jej sedna, do metafizycznego rdzenia bycia poprzez szukanie sposobów określenia wrażeń, uczuć, wyświeślenia świata, które wymykają się jednoznaczności, tworząc tryną do złożenia mozaik elementłów. Słowo okazuje się niedokonywałym znakiem, tym bardziej zdanie, skłóconą myśl. Stąd oprowadzenie ogólnym, niepałko kreskami, jak w szkicu. W tym kontekście wydaje się również niesłowny brak tytułów większości wierszy. (Autorka nawet tytułem nie chce niczego sugerować).

Wydaje się, że ton całego zbioruku nadaje odczucie niezłoczności kogoś bliskiego, kogoś, kto odczuł na zawsze (znow) głęboki odłamek siebie... grzech, najkrzyżniej *łst*). Ten brak jest ciszą, pustką, mrokiem śmierci, „śmieciami umiśchu”, „namarłym papierem listowym”, „zastępnym w bezczas”. To ciągłe wkręcanie wspomnień, oczyszczeni papirusy, odcieranie się o pozostawione przedmioty. To „jednej strony” – wściekanie się wierszami „okruchami aramitu”, „drugiej strony” – stałe podjętą próbą pogodzenia się z odjęciem i wypielanie dotkniętego braku, który jest czymś tak pewnym, oczywistym, że aż boli. Tym zapaleniem pustego miejsca jest, być może, zapominanie się w miłości fizycznej, która nie jest jednak anizotom, ponieważ *znow* wraca się do punktu!

Nie ma tu optymizmu, nie czuje się radości życia: spontanicznego, niczym nie

obciążonego odrzucenia świata. Jest smutek, zaduma, deszcz, ciągłe gubienie i odnajdywanie siebie. Pozostawienie swego miejsca, stałego, mocnego oparcia. Wewnętrzne rozdarcie. Nasuwa się porównanie do rozbitego łosia, w którego kawałki przegłąda się popękany świat poetki.

Wiersze są niepokojące, chwilałami agresywnie stają się wyobraźnię, frapują swoją niewyłącznością. Autorka zał przypomniała trochę *fonie* fatalne, ociekające między żądną milotką zmysłową aż do zapominania a śmiercią, ciemnością, przeraźliwym smutkiem.

Przy całej swej niejednoznaczności każdy niemal wiersz przynosi zaskakujące efekty estetyczne. Słowo potrafi ładnie zaskryć, upewnić nieznane dotąd skojarzenia, wejść w nowy kontekst. Oto kilka przykładów: „olbrze okna” (*podziw*), „migłaż lampy bereszkiniowej”, „beruszek kiedziaka” (*opiekunowie I*), „jaskontnie wyobraźni”, „polewanie pragnień” (*człotkaj*), „biśla marna skóry” (*xxx*), „okruchy aramitu” (*xxx*), „poręcz horyzontu”, „naskokcie cizy” (*xxx*), „popłagne wzgłm dziecinawa” (*xxx*), „dłpe oczy pamięć” (*najkrzyżniej*), „rozchylone wargi śmiat” (*w kaszcie*), „bława bazyliki” (*kupkielka*). Nie trzeba przekonywać, iż te metafory zdradzają niekonwencjonalną wyobraźnię, a tym samym świadczą dostrzeżenia i opisywania świata.

Niektóre sformułowania mogą z powodzeniem pretendować do miana *klifyzów*: „dotępić się tylko na pewnością ostatni gazik” (*rozwoł*), „znowu na nas spadł iście słów nągłych od niewypowiedzenia” (*rozwoł*), „brak smakuje jak pewność nadmierna, owoce gronami cizy” (*xxx*), „mówienie o tobie jest jedytnym grzechem nie do odpuszczenia” (*grzech*), „roztanie jest zmianą miejsca na inne” (*połegnienie*), „bereszkiniowa wrona do władczej rubryki” (*xxx*), „spłoszona istnienie nie mając klucza pędzi Bóg dopuszcza do krzyżówki brakujące słowo” (*to był przypadek*), „ojczyzna ze styropianu lubi takich, co za nią umierają” (*w macierze*).

Forma miśiaterek poetekich to bardzo trudna metoda pisania. Wydaje się jednak, że autorka dobrze się w niej czuje, co więcej – doskonale sobie z nią radzi. Dowodzą tego choćby przytoczone wyżej badania celne sformułowania, wyśkieanie z 4-7 wersów, do akcentu z tytułu składa się większość wierszy zbioru. Czasem mamy do czynienia z dalko powściągniętą orzecznością, oznamieniami, czasem z niewyłączył orzecznością słowa, oszczędną wprost lkonizacją. Czy można dobrać coś jeszcze do takiej na przykład refleksji?

zdarza się chociaż co raz rzadziej
kapokłać na przeplatku niewidzialnego Hoba
jest pogodność i obratna brzoja
jak kade nieszczęście które jest przecięt
zakłame tak bardzo niewymierne
ani barzej ani mowej
bez życia

(o ciemnym ramie)

Kataryna Szlach. Wiersze. Wydawnictwo Lebelkie Nowe, Lublin 1992, s. 46.

ALINA KOCHANOWICZ

Z DANUTĄ MOSTWIN PODRÓŻ DO AMERYKI

Kolęjny tom prozy, miszajkający w Stanach Zjednoczonych Danutę Mostwin, nosi zachęcający tytuł *Odkrywanie Ameryki*. Pomawianie tego kontynentu, choćby tylko za pośrednictwem literatury jest niezmiennie fascynującym przygodą. Przewodnicząc autorki, która czepiłab się krajowy poziom świadomości, ale skądby już otrzymała wiele świadectw historycznej rangi jej pisarstwa, jest w tym przypadku wałorem dodatkowym, gwarantując lekturę nie tylko interesującą, ale także z wielu względów wartościową.

Wydane w 1992 roku przez Norbertinum, jak i 3 tom „Biblioteki Akcentu” *Odkrywanie Ameryki* składa się z kilkunastu opowiadań, z których większość omarta jest wokół realiów amerykańskich i dotyczy problemów środowisk emigracyjnych.

Na koniec warto jeszcze zwrócić uwagę, że D. Mostwiński w liście wędrowca dostrzega także trend porzutywizm. Patrząc na zjawisko emigracji z perspektywy jako otwieranie się dawno sformułowanej prawdy, iż *navigare necesse est*, zobaczyć można, że poza wszystkim innym emigracja jest przynajmniej radością poznawania emocjonującą podróżą, która podjmuje się z bogactwem młodzieńskich marzeń. I nawet jeśli się nie spełnia, podróż przynosi przynajmniej jej korzyść, jaka jest samopoznanie. Wędrowca przed siebie jest bowiem zawsze przygoda wewnętrzna, jednym z sposobów użytkowania samowiedomości i poszukiwania tożsamości.

Danuta Mostwa: Chłopskie Anieli. "Nobertinum". Lublin 1993, ss. 546. Bibliografia: Akcesum? s. 2.



Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej

26-331 Lubin
44-3886-02, 03, 04, 05

Dr. Maria Cuna-Skłodowska, 7
ul. 23 Listopada 336-50 • tel. 044/333 21 21

DIRECTOR

Leblin, 1993-03-24

150

Bogusław WRÓBLEWSKI
Redaktor Naczelny
Kwartalnika "AKCENT"

Spencer Paige Bedektorse

Prasę przyjąć, kierowane za Patakin pośrednictwem, najlepsze
tytuła i gratulacje dla Całego Zespołu Redakcyjnego z okazji ukończenia
nie 50 numeru Waszego Pisma.

Wielki dywagant, który stał się obywatel AKCENTU w naszym regionie, wierzył w doskonałość cywilizacji i kulturalnej. Gdybyś powiedział, że walczył wypracowania przez Zespół w klasie tegoż analfabety, zapewne zredukowałby, przostawiał, asekantował i wzdurczałby potęgi regularnie prezentowanej na łamach AKCENTU przez krajowych i zagranicznych autorów. Nie uważał nabywając całe przedziwiałe Zespoły, takie jakby chociażby *Okno w pomyśle* czy *Przebiegi* przedstawicieli burżuazji. Wzrostu w klasie kulturalnych, marnych. Chciałomby udoświadczania wiesz lampy akademickich, wiesz a z nich wiesz w AKCENTIE ma możliwości zaprezentowania po raz pierwszy własnych tekstów; mógłbyś głosić o naszych nielich filozofów, filozofów i wojowników. Mam nadzieję, że konteksty takich, które dać ci się stronić będą kontrowersyjne.

Mądra, interesująca i inspirująca lekarka, oryginalna i staranna stała graficzna ryłaką AKCENTOWI wiele wiernych czytelników z niecierpliwością oczekujących na dalsze równie dobre tomy.

Z okazji wydania "pół setki" numerów wraz z gratulacjami załączam życzenia wspaniałego naślępszego, dla Całego Zespołu Redakcyjnego, i to zarówno zawodowo jak i prywatnie.

Z wyrazami szacunku

Prof. de lab. Eugénio GASIO

✿ plastyka ✿

LECHOSŁAW LAMENSKI

Twórczość religijna Adama Kossowskiego

Stara fotografia z przełomu 1926/1927 roku. Przed wejściem do gmachu krakowskiej ASP grupa studentów. Wśród nich, wysoki, szczupły młodzieniec o starannie zaczesanych włosach, ubrany z wyszukaną elegancją i zdecydowanym spojrzeniem dużych, myślowych oczu, skierowanych prosto w obiektyw.

London 1977, pięćdziesiąt lat później. Skromny, choć sugestywny rysunek twarzy starszego mężczyzny. Wyrzasta głowa o wysokim sklepionym czole, twarz pokryta drobną siatką zmarszczek, z których wylaniają się szeroko otwarte oczy, pełne nie ukrywanego zdziwienia, a zarazem wyczuwalnego spokoju i wewnętrznego skupienia.

Oto dwa, pomimo różnic portrety Adama Kosowskiego (tur. w 1905 roku w Nowym Sączu – zm. w 1986 roku w Londynie), które łączą sobą, a dzień pół wieku poświadczy o bogatym życiu. Życie pełnego codziennych radości i smutków podczas studiów artystycznych w krakowskiej i warszawskiej ASP (lata 1923–1931), dramatycznej godzin, dni i tygodni spędzonych na zesłaniu (1931–1939) do Łodzi, gdzie przeżył najcięższe chwile życia i listopada 1939 roku przeszedł na emigrację, jak również rzadkich chwil relaksu, a zwłaszcza lat bez pracy wypełnionych sztuką. Jest w sztuce Kosowskiego (ucznia Feliksa Kowarskiego i Wojciecha Weissela) miejsce zarówno na malarstwo sztalugowe (obrazy olejne i akwarele), pełne ekspresyjny rytmu łagrowe, a przede wszystkim miejsce i czas na pociągające artystę najbardziej malarstwo monumentalne, związane ściśle z architekturą, łączące różne techniki, głównie mozaikę i rzeźbę ceramiczną. Ogromna pasja tworzenia, żarliwa wiara (wzmocniona, odkryta jako na nowo w leśnych ostępach i głuszy syberyjskiej tajgi), nieprzerwanie trwały i praktyczny, uczynił z Adama Kosowskiego, jednego z największych, najbardziej wszechstronnych twórców nowoczesnej sztuki sakralnej na terenie Wielkiej Brytanii po 1945 roku.

Artysta, znany i ceniony nie tylko w Anglii (gdzie osiadł na stałe wkrótce po opuszczeniu Rosji), ale także w Stanach Zjednoczonych, kształtował i kształtuje nadal, pozostawiającymi po sobie dziełami, gust i wrażliwość estetyczną miejscowych społeczności. Jego malarstwo ceramiczne, kompozycje wypalające wnętrza kaplic i kościołów, ozdobne fryzy na fasadach domów modlitwy i budynkach użyteczności publicznej, czy wreszcie stacje drogi krzyżowej i kapliczki przydrożne, ustawione starannie wśród zieleni i łak klasztornych pustelni, nadebora się, wzbudzają uzasadnione emocje, zarówno



Adam Kosowski: olej, 1947. Fot. Peter Siedebom.

katolików, jak i protestantów. Poetycki świat znaków plastycznych Kosowskiego trafia do ludzi, ułatwia kontemplację, pozostawia poczucie spełnienia i radości. Sceny ze Starego i Nowego Testamentu podane w prostej i sugestywnej formie nie razią hadmiernym naturalizmem, literackością czy natrętnym moralizatorstwem. Są raczej impulsem, bodźcem do modlitwy, zapewniając tak potrzebną chwilę skupienia i izolacji od świata zewnętrznego.

W Polsce, gdzie Adam Kosowski się urodził i gdzie dojrzewał jego wszechstronny talent, dorobek plastyczny artysty jest niemal nieznamy, a niekiedy nawet pomijany wstydlwym milczeniem. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest kilka. Przede wszystkim, w czasach tzw. radosnego socjalizmu, gdy środki masowego przekazu zmopolizowały partijni decydenci, Kosowski — jako były łagrowiec i żołnierz gen. Andersa — nie miał najmniejszych szans na zaistnienie w mass mediach. Na dodatek, z efektownego, raczej beztroskiego kolorysty — jakim był do września 1939 roku — przekształcił się w artystę zaangażowanego, artystę na wósk religijnego. Jego dziełem jest również sugestywny cykl 14 rysunków tużem i gwaszem, ukazujący wprost, bez zbędnych estetycznych smaczków kosmar ludzkiego upodlenia i bezmyślnego okrucieństwa w realiach natury nad brzegami Peczory. Jeżeli dodamy do tego jeszcze, że jego żoną została Stefania Szurlejówna, wzięta dziennikarka, znana z ciekłego pióra, ostatni redaktor naczelny londyńskich „Wiadomości”, to staje się oczywiste dlaczego polski widz i czytelnik, nie mógł się dowiedzieć nic konkretnego o powojennych etapach twórczości Adama Kosowskiego. Kiedy już pisano o nim, to wspomniano go niemal wyłącznie w kontekście historycznym — jako członka Grupy Artystów Plastyków „Przymat”, skupiającej wychowanków krakowskiej ASP (głównie uczniów Kowarskiego, na czele z Wacławem Karasiewiczem i Karolem Łarjchem), działających na terenie Warszawy (dokąd przenieśli się ich mistrz Kowarski) w latach 1933-1939. Nazwisko artysty wymieniano także wówczas gdy zaistniał on na forum ogólnopolskim. Tak było w kwietniu 1939 roku, gdy zajął I miejsce w konkursie na dekorację wystroju baru w gmachu warszawskiego Dworca Głównego PKP, efektownego dzieła Czesława Przybylskiego, zmierzającego niestety tuż przed ukończeniem, podczas jednego

z bombardowań Warszawy, na początku września. Jednym słowem, Adam Kosowski i uprawiane przez niego malarstwo miało raczej bytu tylko wówczas, o ile nie wychodziło poza bezpieczne ramy estetyzującej sztuki dwudziestolecia międzywojennego.

W rezultacie, artysta nie doczekał się na granic polskim — jak dotychczas — poważnych publikacji omawiających i analizujących fenomen jego sztuki. Co prawda w 1990 roku londyńska oficyna Armelle Press, wydała piękny edytorsko album pt.: *Adam Kosowski. Murals and Paintings*, ze wstępem Benedicta Reada, krótkimi tekstami Tadeusza Chrzanowskiego, Martina Sankey i Tynona Terleckiego oraz — co ważne dla badaczy — pełnym wykazem dzieł artysty. Natomiast w lutym 1992 roku, Stanisław Sławomir Nicija, na łamach emigracyjnego „Tygodnia Polskiego” pokusił się o przybliżenie sylwetki Kosowskiego, bardziej jednak jako człowieka niż artysty (tekst przedrukowany w „Więzi” 1992 nr 6). Mimo pewnego ożywienia wydawniczego, pozostaje uczucie niedosty, głód wiedzy na temat dorobku twórczego kogoś, komu się powiedło, kto zaistniał na europejskim rynku sztuki.



Adam Kosowski: *Madonna z Dzieciątkiem*, ceramika. Fot. Peter Siedebom.

Niewątpliwie najważniejszym — a chyba także i najciekawszym — dziełem sakralnym Kossowskiego są ceramiczne płaskorzeźby (w liczbie 80 sztuk) stanowiące dekorację kapliczek i kaplic, ponad 20 obrazów olejnych i temperowych, sgrafitta oraz liczne wyroby rzemieślnicze w rodzaju kandelabrow, krucyfików i krolepic, stanowiących wyposażenie i wystrój klasztoru karmelitów w podlondyńskim Aylesford.

Aylesford, mała miejscowość w hrabstwie Kent, położona nad rzeką Medway, to cel pielgrzymek angielskich katolików z całego świata. To tutaj karmelci osiedlili się po raz pierwszy, po sprowadzeniu z Palestyny w 1240 roku. To z tego zakładu Anglii nastąpiła ich ekspansja na całą wyspę i na kontynent europejski. Stąd wreszcie wypędził ich despotyczny Henryk VIII, konfiskując w 1538 roku klasztor i przebudowując go na pałac. Dopiero ponad czterysta lat później — w 1947 roku — do zniszczonego i zapomnianego Aylesford powrócili karmelci. Wykupili zniszczone rezydencje murów i przystąpili do ich odbudowy.

Właśnie wówczas przyjechał tam Adam Kossowski, nie jako nikomu nie znany żołnierz tułacz, lecz jako członek prestiżowego Guild of the Catholic Artists (Stowarzyszenia Artystów Katolików). Artysta został nim po odniesieniu — w 1944 roku — spektakularnego sukcesu w ogłoszonym w Londynie konkursie na obraz o tematyce sakralnej. Z ponad stu nadesłanych prac jego płótno, przedstawiające św. Weronikę, zyskało uznanie w oczach jurorów, którzy przyznali mu drugą nagrodę. Fakt ten wyartykułowany umiejętnie przez specjalistyczną prasę brytyjską, otworzył Kossowskiemu drogę do wspomnianego stowarzyszenia. Całe zdarzenie upewniło go również o słuszności obranej drogi twórczej, a tym samym pozwoliło mu na realizację ślubowania, jakie złożył podczas pobytu na Syberii, że jeżeli uratuje życie i wróci do świata żywych, to poświęci się przede wszystkim sztuce sakralnej.

Znajomość, a następnie przyjaźń z wybitnym angielskim rzeźbiarzem — Filipem Lindsay Clarkiem, pozytywne recenzje w „The Catholic Herald”, zbliżyły Kossowskiego do o. Malachy Lyncha, przeora karmelitów w Aylesford. On to powierzył Polakowi odpowiedzialne zadanie dekoracji, wypełnienia nowymi formami, znakami plastycznymi pustych murów odbudowanych cel i kaplic. W ciągu ponad dwudziestu lat wyjącej pracy Adam Kossowski zrealizował dzieło swego życia. Nadał rys indywidualny miejscu, którego bogata przeszłość sprawiała by niedogodny artystę w zakłopotanie, omieśniała, zmuszała do pokory i uległości wobec potęgi tradycji.

Tymczasem Adam Kossowski, pełen szacunku i zrozumienia dla wartości historycznej Aylesford (echo udanej współpracy z Kowarskim przy dekoracji odnowionych wnętrz zamku wawelskiego, na początku lat trzydziestych), zaczął od namalowania tempera cyklu obrazów ukazujących dramatyczne dzieje karmelitów na przestrzeni ostatnich czterystu lat, od ich wygnania po ostateczny powrót do hrabstwa Kent. Jako zwolennik i przedstawiciel malarstwa, w którym o charakterze kompozycji decydują proste, monumentalne kształty, uzupełnienie starannie dobraną gamą kolorystyczną, o wyraźnej dominancie barw lamanych, brązów i czerwieni, osiągnął efekt harmonii i spójności form plastycznych z treścią. Artysta ukształtowany w orbicie malarstwa przedstawiającego (figuratywnego), o wyraznych skłonnościach ku koloryzmowi, szczególnie uniknął nadmiernego gadulstwa, omiadał zwracanie niebezpiecznie rafy natrętnego — zbyt dosłownego — naturalizmu. W efekcie, widz odczytuje bez problemu treść poszczególnych kompozycji, zwraca uwagę na wartości sztuki picturalne, na dojrzałość zastosowanych przez artystę rozwiązań formalnych.

W następnym etapie Adam Kossowski stworzył w Aylesford drodze różańcowej, Złotyło się na nie pięćdziesiąt kapliczek usytuowanych na sztywnym stoku obiegającym budynek klasztorne. Każda kapliczka to rodzaj drewnianego tryptyku gotyckiego, ze sceną w środku, rzeźbioną i wypalaną w glinie, a następnie pokrytą kolorową glazurą. Tak powstałe kapliczki zasiały artysta na tle specjalnie skonstruowanych cokółów, ścielen parawanowych, wykonanych z surowego, polnego kamienia lub przymocował po prostu do ściany pobliskiego drzewa.

Rzeźbione i wypalane w glinie kapliczki cechuje delikatność i lekkość, zarówno przedstawionych postacią jak i zastosowanej gamy kolorystycznej. Te niewielkie kompozycje (średnio ok. 60,0 x 35,0 cm), w formie stojących prostokątów zamkniętych do góry lukiem otwartym lub półokręgiem, urzekają rytmiką kształtów, grą kolorów, uczuciem autentycznej świeżości, oryginalności. Artysta przystąpił na detal, zadbał aby wszystkie elementy kapliczek (płaskorzeźby ceramiczne, oprawa drewniana i kamienny mur tła) tworzyły jedną spójną całość, starannie wkomponowaną w otaczającą je naturę.

Dalsze prace Adama Kossowskiego w Aylesford to przygotowanie wystroju wszystkich kaplic klasztornych. Artysta mając całkowicie wolną rękę, znalazł się przed problemem (oszczędnych, wręcz ascetycznych), oltarzy o prostych geometrycznych kształtach z płaskimi płaskorzeźbami ceramicznymi lub sgrafittami w tle. Dziełem Kossowskiego są także naczynie liturgiczne (do łodek po monstrancje), posadzki (najczęściej całkowicie neutralne, gładkie), brzozy wejściowe oraz kute z żelaza krzyże. Wszystko zrealizowane niezwykle starannie z dbałością o najmniejszy szczegół, przy zastosowaniu oszczędnych — ale nie pozbawionych ciekawych efektów wizualnych — środków wyrazu. Artysta zadbał na wyobraźnię zakonników i wiernych prostą, syntetyczną formą zblokowanych partii figuralnych, dużymi płaszczyznami wymiarkowanego koloru, oddzieleniami od pozostałych mocną, zdecydowaną kreską, najważniejszym obok płamy barwnej środkiem ekspresji.

Do najoryginalniejszych kompozycji przestrzennych Kossowskiego w Aylesford należy zaliczyć bez wątpienia relikiwy kryjące czaszkę św. Szymona Stocka, trzynastowiecznego przeora klasztoru i generała zakonu. Wzorowany (w ogólnym zarysie) na architektonicznych uprządkach relikiwy artysty w klasztorze należy zaliczyć także do kilku bloków betonu, obłożonych następnie płytami ceramicznymi. O charakterze całości decyduje sylwetka strzeżonej iglicy zwężającej się uskokowo ku szczytowi. Jej podstawę stanowi regularny szkielet wsparty na słupie o ściętych narożach, z czterema otworami po bokach, wypełniony orzobionymi kratami z metalu, za którymi spoczywa czaszka świętego.

Do bardziej udanych realizacji artysty w klasztorze należy zaliczyć także postacie aniołów z olbrzymiego głownego (ceramiczne kompozycje na tle gładkiej ściany), polujące tajemniczo ciepłą złością, skonstruowaną starannie z neutralnymi, ciemnymi (czarno-zielonym) podłożem.

Postępujący przez kilkadziesiąt lat wystrój plastyczny klasztoru karmelitów w Aylesford jest i pozostanie jawiskiem na wskroś oryginalnym, niepowtarzalnym w dziejach głównego (ceramiczne kompozycje). Niezbyt często można bowiem do zrywania z tradycją i rzemiosła artystycznego powstawały w tym samym miejscu w ciągu dwudziestu lat, których autorem byłby jeden i ten sam człowiek. Nie więc dziwnie, że Aylesford przyniosła Kossowskiemu znaczną popularność i sławę. Artysta stał się jednym z najbardziej wziętych propagatorów nowych wartości plastycznych w sztuce sakralnej. Równocześnie z pracą twórczą w hrabstwie Kent realizuje

zamówienia w ponad trzydziestu miejscowościach Anglii, Wali, Szkocji, Irlandii, a także w Stanach Zjednoczonych.

Do dzieł artysty wzbudzających największe uznanie i poparcie krytyki należy wykonywana w 1963 roku płaskorzeźba ceramiczna z przedstawieniem Sądu Ostatecznego, nad wejściem do kościoła benedyktyńskiego w Leyland. Siła wyrazu tej dużej kompozycji (ok. 180 cm wysokości i blisko 10 metrów długości) opiera się na nieskomplikowanych podziałach geometrycznych, sugestywnych napięciach kierunkowych i mocnej, utrzymanej w fioletach, czerwieniach i żółciach — kolorystyce.



Adam Kosowski: środkowa część tympanu *Sąd Ostateczny*, 1963.

Za dzieło równie efektowne, choć o znacznie większej sile ekspresji można uznać ogromny fryz obrazujący Apokalipsę św. Jana na Patmos, w *Queen Mary College*, Uniwersytetu Londyńskiego, z 1964 roku. Wykonany w technice sgraffito, składa się z siedmiu prostokątnych scen (o wys. ok. 2,5 m i dł. ok. 3,0 metra każda), połączonych postaciami czterech ewangelistów oraz figurami św. Piotra (autoportret Kosowskiego) i św. Pawła, w jedną spójną całość, obejmującą kolistie wnętrza kaplicy. Harmonia ekspresyjnej, niezwykle dramatycznej treści z oszczędną, wyrazistą formą, plastyczną przyniosła dzieło tyle dekoracyjne, wprost estetyczne, co pobudzające wyobraźnię każdego widze.

Obok wielu realizacji sakralnych, wśród których pierwszeństwo należy się bezspornie stacjom drogi krzyżowej (subiuno) temat Kosowskiego, który realizował ich co najmniej dziewięć), a także licznym tryptykom ceramicznym, tympanom i obrazom, artysta podejmował się również prac o tematyce świeckiej. Dziełem szczególnie znanym, chętnie oglądanym przez wycieczki, jest licząca tysiąc sto kwadratowych płaskorzeźba (kolorowa ceramika), zdobiąca dwie zewnętrzne ściany budynku biblioteki dzielnicy Camberwell w Londynie z 1964 roku. Artysta przedstawił tutaj — jak pisał wspomniany już Stanisław Ślawomir Nicieja — *historię Old Kent Road* — drogi, która pamięta okupację wysp brytyjskich przez Rzymian, pętlęgrzymski do *Canterbury*, burzliwe średniowiecze i wiele wydarzeń przestępczych się tu odbyło między Londynem a portami. Konieczność przekazywania bardzo różnych informacji i zjawisk mających miejsce na przestrzeni wielu wieków, nie wpłynęła negatywnie na charakter plastyczny dzieła. Co prawda jest to przede wszystkim ogromna kompozycja wypełniona tłumem ludzi różniących się skalą, strojem i kolorem, ale artyście udało się zachować równowagę pomiędzy bogatą treścią, a prostą i efektowną oprawą



Adam Kosowski: *Historia Old Kent Road*, (fragment) ceramika kolorowa, biblioteka dzielnicy Camberwell w Londynie, 1964.

plastyczną całości. *Historia Old Kent Road* to rodzaj wzorzystego kobierca rzeźbiarskiego „utkanego” z sepek ceramicznych półwypukłych segmentów, osobno rzeźbionych, wypalanych i potem łączonych na murze.

Zdaje sobie sprawę, że ścienne (ceramiczne, sgraffitowe) realizacje Adama Kosowskiego, podobnie jak witraże, mensy odpruwające kraje autorstwa trudno pokazać polskiemu widzowi w oryginalnej. Jest to na razie niemożliwe, głównie ze względów technicznych. Warto jednak zadać o to, aby dzieła te cennie i podziwiane przez rzesze Anglosasów od wielu już lat, zostały przybliżone i poznane w ojczyźnie artysty. Przynajmniej w postaci reprodukcji. Najlepiej jako materiał ilustracyjny w polskiej monografii Adama Kosowskiego. Nadsejdu już czas likwidacji sztucznego podziału na sztukę krajową i emigracyjną wprowadzonego niedługo przez komunistów ze względów politycznych i propagandowych. Dążymy więc do tego, aby słowo artysta emigracyjny stało się jak najszybciej pustym zwrotem historycznym. W publikowanych opracowaniach sztuki religijnej XX wieku Adam Kosowski zasłużył na trwałe i znaczące miejsce. Nie tylko dlatego, że zrobił na tym polu tak wiele, ale przede wszystkim dlatego, że potrafił uniknąć powtarzania stygmatów schematu, powierzchownej sztafpi się sięganiu korzeni głęboko w XIX wiek, w którą tak łatwo wpadają współcześni twórcy „nowoczesnych” polichromii, witraży czy obrazów, bez reszty zalewających zarówno polski jak i europejski rynek sztuki.

Lechosław Lamenci

ANNA LIPA

LUBELSCY KOLUMBOWIE

„Zamek” — pod tą nieco archaiczną nazwą wystąpili w 1957 roku w Lublinie młodzi malarze i krytycy, którzy zawarli między sobą duchowy i faktyczny układ artystyczny. Na owoce tego związku nie trzeba było długo czekać, gdyż większość jego członków po bezbolesnym przejściu przez postkubistyczną deformację o surrealizmie nalożach, przyszedł z futuryzmem spontanicznym, a następnie intelektualnie zorganizowanym, doszła do własnej wersji malarstwa strukturalnego, niezależnie od prowadzonych w tym samym czasie działań na Zachodzie.

Wystąpienie ówczesnych młodych gniewnych wywołało burzę. Szczególnie raziło w środowisku plastycznym, gdzie słyszało się różne plotki o tych wyjątkach, posądzenia o bluffowanie. Miejscowe gazety — z wyjątkiem „Kamień” — milczały, publiczność obrażać „barbarzyńców” błotem, podczas gdy tacy krytycy jak Ludwiński, Bogucki i Woźniakowski chwalili i propagowali osiągnięcia „młodych ludzi wielkich ambicji”.

Dokonania artystyczne i teoretyczne „Zamku” nie zostały do tej pory w Polsce w pełni docenione i rozpropagowane, nawet w kręgach związanych z ruchem awangardowym.

Choćś „Zamek” nie obchodził dziś żadnego jubileuszu, warto przypomnieć historię grupy, spróbować określić na czym polegał jej fenomen oraz co pozostało z burzliwej i zakłóconej egzystencji tego pokolenia. Ponadto sprzyja temu analogia tamtych czasów „odwilży” z naszymi, w których widać podobne łaknienie wolności i prawdy.

Zaistnienie i sukces artystyczny „Zamku” możliwe były tylko za sprawą ściśle określonego czasu historycznego, który spowodował zmianę układu społeczno-politycznego kraju oraz ważnych wydarzeń, jakie miały miejsce około 1955 roku w sztuce polskiej i światowej. Po latach wrochohgalnego stalinizmu, od 1955 roku zaczynał pękąć jednolity system obejmujący całość życia, a więc i sztuki. Środowiska twórcze i intelektualne ze szczególną siłą odczuwały skutki separacji polskiego życia artystycznego od światowych nurtów. Stało się sprawą oczywistą, że jedynie przy zetknięciu z awangardową sztuką innych krajów może nastąpić dysfuzja i likwidacja periferyjności naszej plastyki.

Podczas gdy na Zachodzie już dawno trwał zwycięski pochód surrealizmu (1954 — powstanie grupy Phases) i sztuki informel czyli abstrakcji bezformennej (1954, wystawa *L'art informel* w Galerie Rine Droite w Paryżu), u nas nastąpiło zjawisko jedynie w swoim rodzaju. Odrzły i nalożyły się na siebie wszystkie teorie awangardy artystycznej XX wieku: futuryzmu, kubizmu, nadrealizmu, konstruktivismu, abstrakcji geometrycznej, niegeometrycznej, nawet — impresjonizmu.

W większości tęsknoty młodych kierowały się w stronę postkubistycznego malarstwa francuskiego, głównie Picassa i Matisse’a,

ponieważ tylko ekspresyjno-deformujące środki mogły najpełniej wyrazić egzystencjalistyczny niepokój. Wizyta Diego Risery w Polsce spowodowała popularność współczesnej grafiki meksykańskiej, lansującej „swójta”, „realistyczną” deformację. Podobnie deformacja w anegdotyce i dysonansach barwnych w malarstwie Grottusa ze szczególną siłą przemawiała do wyobraźni młodych twórców. Ekspresjonizm preferowała również ówczesna prasa, lecz był to pewien określony rodzaj ekspresjonizmu (typu Kollwitz, Brecht, rewolucyjny drzeworyt chiński). Drugim nowoczesnym środkiem wyrazu w sztuce stała się metafora, niewątpliwie pod wpływem ożywienia ruchu surrealistycznego, ale i mająca swe źródła w funkcjonującym od dawna w naszej plastyce romantycznym modelu dzieła metaforycznego o przewadze czynników emocjonalnych. Zarówno ekspresyjna deformacja jak i metafora sprzyjały nie tylko wyrażeniu różnorodnych postaw artystycznych, ale i plastycznych.

Pierwszym symptomem przełamała zalecając „nowość” w plastyce było otwarcie 21 lipca 1955, Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Plastyki urządzonej w budynku warszawskiego Arsenału pod hasłem „Przeciw wojnie — przeciw faszyzmowi”, zorganizowanej z okazji V Światowego Festiwalu Młodzi i Studentów. Arsenał po raz pierwszy publicznie zdemaskował bezideowość i amoralność urzędowego socrealizmu. Nie posiadał spreżowanego programu artystycznego, jednakże występując przeciw estetyce kolorytów i socrealizmu wysunął koncepcję sztuki jako poszukiwania prawdy własnego przeżycia poprzez wolną od wszelkich dyktatów form. Zwątpienie w jedną prawdę artystyczną zrodziło swoisty ekspresjonizm nazywany przez ówczesną prasę przerysowaniem lub barbarzyństwem. Najczęściej powtarzanim zarzutami w stosunku do Arsenału były: zależność od kierunków zachodnioeuropejskich, „formalizm”, antyestetyzm oraz skłonność do nadmiernej publicystyki. Zły młot Arsenału ukwali szczególnie ci, którzy chcieli widzieć w nim jedynie wystąpienie grupy „Żydowski-meksykańskiej”. Arsenał po raz pierwszy publicznie postawił sprawę ratowania moralnego oblicza polskiej sztuki.

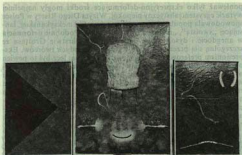
Członkowie Grupy Krakowskiej spodziewając się po Arsenale manifestacji neo-socrealizmu nie wzięli w niej udziału (wyjątek Teodorowski i Tarasin) i w cztery miesiące później zorganizowali własną ekspozycję w Domu Plastyka w Krakowie. Większość artystów tej grupy przyjęła postawę surrealistyczno-ekspresyjną i wystąpiła z problematyką sensu stricte malarska.

W opozycji stanął również artykuł warszawskiej z „Grupy 55” i jeszcze w tym samym roku utworzyli kontropiękację w Salonie „Desy” na Starym Mieście. Przedstawiając swój program ekspresjonistycznej emocjonalności środowiska arsenaleńskogo postulowali związany ze światopoglądem materialistycznym program dążenia do sztuki intelektualnej operującej obrazem metaforycznym, kształtowanym w oparciu o doświadczenia zarówno konstruktivismu jak i nadrealizmu.

Lublin w latach zalegającego stalinizmu był — jak pisał Anna Paszkowska — ziemią przychylną. Wschodnia prowincja chroniła instynktownie zagrożone wartości: artystyczna bezinteresowność lubelskiej inteligencji, respekt dla dzwica i różnorodności, niezdeinowa oko na Kazimierz nad Wisłą, KUL, gdzie sadowili się wyrzuci z państwowych uniwersytetów.

Układ był w lubelskim środowisku plastycznym tego czasu nie był dla przyszłych „zamekowców” zbyt korzystny. Mocne pojęcie, podobnie jak przed wojną, zajmowali ciągle realisci i kolorysty.

¹ A. Paszkowska: *Przełom czasy życia* (w:) Katalog: Galeria „Krywe Kolo”, Muzeum Narodowe w Warszawie Lipiec — wrzesień 1990.



Włodzimierz Borowski: *Trypik*, technika mieszana, plisb.

Awangarda pojawiła się w Lublinie dopiero wraz z powstaniem grupy „Zamek”, chociaż znaną awangardowości nosiły już wcześniej syntetyczne traktowane kompozycje Eugeniusza Waleśkiego oraz inspirowane kubizmem w redakcji Legea obrazy Mariana Tomaszewskiego. Nurt postkubistyczny zapoczątkowany przez Tomaszewskiego podjęty został dopiero w połowie lat pięćdziesiątych przez Jarosława Łukowskiego, Stanisława Brodziaka i Władysława Filipiaka. Wobec braku miejscowej tradycji przyszli „ramkownicy” musieli zaczynać samodzielnie, podejmować od nowa swoje zmagania z tworzeniem malarskim w świeżo otwartych rejonach tzw. sztuki nowoczesnej.

W Lublinie aktywność „nowoczesnych” ujawniła się jeszcze przed powstaniem grupy „Zamek”, kiedy 19 lutego 1956 roku w Miejskim Domu Kultury otwarto Wystawę Plastyków Amatorów i Nikifora. Tak jak przewidywał Jerzy Ludwinski wystawa odegrała poważną rolę w rozwoju ruchu amatorskiego w Lublinie³, gdyż stała się inspiracją do powstania Koła Młodych Plastyków pod przewodnictwem Przemysława Zwolińskiego.

Koło powstało 4 marca 1956 r. przy Miejskim Domu Kultury, a jego członkowie obok działalności wystawieniowej koncentrowali się głównie na organizowaniu prelekcji i dyskusji poświęconych sztuce nowoczesnej. Lista założycieli KMP obejmowała 21 nazwisk głównie historyków sztuki i absolwentów Liceum Sztuk Plastycznych, chociaż pojawił się również na niej student biologii i fryzjer. W składzie trzyosobowej komisji artystycznej znalazł się m. in. Jerzy Ludwinski, a opiekunem KMP z ramienia ZPAF został Wiktor Zieliński. Rozmowy członków koła toczyły się często z udziałem Jacka Woźniakowskiego, wykładającego na sekcji historii sztuki KUL, z którą wywodził się również grono młodych krytyków, takich jak: Jerzy Ludwinski, Maria May, Hanna Piaszkowska i Janina Stasiakówna, patrolujących poczynania tej organizacji. Już w kwietniu KMP brało udział w powołaniu Klubu Młodej Inteligencji, stając się jego sekcją. Jedyną organizacją, która z nie ukrywana niechęcią traktowała KMP, okazał się ZPAF. Efektem współpracy z innymi środowiskami młodej awangardy — postulowaną przez J. Ludwńskiego — była wystawa „Grupy 55” otwarta we wrześniu 1956 r. w klubie PKiST.

³ J. Ludwinski, *Wstęp do katalogu: Wystawa Plastyków Amatorów i Nikifora*, Lublin 1956.

KMP zorganizowało trzy wystawy, z których ostatnia w lutym 1957 r. w salach CBWA okazała się ostatnim faktycznym (i publicznym) przejawem działalności tego stowarzyszenia.

Zaraz po lutowej wystawie, prawdopodobnie w marcu 1957 r. ukonstytuowała się grupa „Zamek”. Utworzył ją co prawda były członek KMP, ale była to już zupełnie inna organizacja o czysto artystycznym profilu. W skład grupy weszli: Włodzimierz Borowski, Jerzy Durakiewicz (ps. Jerzy Marek), Tytus Dzieduszycki (ps. Sas), Ewa Jaroszyńska (ps. Jarawa), Ryszard Kiwerski, Mirosław Komendecki, Leszek Kosiński, Krzysztof Kurzątkowski, Stanisław Michalcuk, Lucjan Ocieja, Józef Tarłowski, Jan Ziemiński i Przemysław Zwoliński (ps. Michał Sadził). Najstarszym i zawodowym plastykiem w grupie okazał się Ziemiński (ur. 1920), a najmłodszym: Jaroszyńska (ur. 1936) oraz Dzieduszycki i Durakiewicz (oba ur. 1934). Geniza nazwy „Zamek” była prozaiczna. Grupa Młodych Plastyków przybrała ją po otrzymaniu od ówczesnego kierownika MDK, pani Aliny Szczepkowskiej, pracowni na Zamku Lubelskim. Charakterystyczną cechą grupy była nieustanna cyrkulacja: wystawy, zjazdy, sympozja, plenery — słowem wszystko, co dawało okazję do spotkań i dyskusji.

Pierwsza wystawa grupy odbyła się w warszawskiej galerii „Krzywe Koło” w maju 1957 r. i była powtórzeniem wystawy z lutego. Z okazji tej wystawy J. Ludwinski chwalił lubelskich autorów za różnorodność postaw artystycznych oraz brak buntu (kojarzonego głównie z ekspresjonistyczną deformacją), a także za dążenie do precyzji „sformułowań plastycznych”.

Po warszawskiej wystawie „Zamek” zmalał do kilku osób, które podjęły fascynującą, choć ryzykowną wyprawę w kierunku sztuki strukturalnej. Trzon grupy w tym czasie stanowili Borowski, Dzieduszycki i Ziemiński. W 1957 r. młodzi artyści eksponowali swoje prace jeszcze w Białymostku i Lublinie.

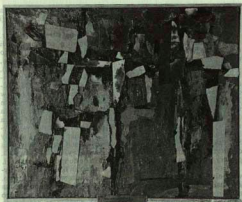
Kolejną ważną wystawą miała miejsce we wrześniu 1958 r. ponownie w galerii „Krzywe Koło” na zaproszenie warszawskich przyjaciół z „Grupy 55”. Wkładkę petycką do katalogu stanowił wiersz Mirona Białoszewskiego jako wyraz sympatii dla osiągnięć tego poety, zarówno ze strony Galerii Sztuki Nowoczesnej, jak i ze strony grupy „Zamek”.

W grudniu 1958 r. prace młodych twórców lubelskich zaprezentowane zostały publiczności krakowskiej w Pałacu Sztuki, by w listopadzie 1959 r. ponownie powrócić do Warszawy na III Ogólnopolską Wystawę Sztuki Nowoczesnej w „Zachęcie” (wystawa ta dzięki inicjatywie J. Ludwńskiego sprowadzona została w styczniu 1960 r. do Lublina). Janusz Bogucki uził obraz-y-przedmioty eksponowane na tej wystawie za trykownię i dyskutował, za zbyt wczesną ocenę, czy tworzą jakieś wartości odrębne i samodzielne w stosunku do rzeczy analogicznych za granicą. Ponadto dodał, że prace ich wskazują jedynie na formowanie się czegoś w rodzaju ideologii artystycznej.⁴ Dzieki pomocy związanej z grupą „Phases” krytyka Eduarda Jaguera, Borowski, Dzieduszycki (pod pseudonimem Sas) i Ziemiński reprezentowali grupę „Zamek” na dwóch wystawach w Paryżu, z których pierwsza odbyła się w listopadzie 1959 r. w galerii Georges Full. Drugą wystawę otwarto w czerwcu 1960 r. w galerii Le Ranelagh Cinema D'art et D'essai przy Rue des Vignes, którą anonosowały artykuły Jean Clarens-Lamberta i Aleksandra Hanisza we „France Observateur” z 2 VI 1960 r. oraz artykuły Eduarda Jaguera w majowym numerze „Cahiers du Musée de Poche” z 1960 r. pt. *Polska awangarda: struktura i dynamika*. Duże znaczenie wstywy

⁴ Ten sam. *Wystawa grupy „Zamek”*, „Życie Literackie” 1957, nr 21, s. 7.

⁵ Katalog *Grupa „Zamek”*. Galeria Sztuki Nowoczesnej „Krzywe Koło”, Warszawa 1958.

⁶ Bogucki — „Życie Literackie” — za: „Struktury” 1959, nr 6, s. 16.



Jerzy Durakiewicz: *Kompozycja*, 1958

trzej krytycy przypisywali grupie „Zamek” widząc w niej odważnych eksperymentatorów, którzy wkroczyli na drogę sztuki abstrakcyjnej. Jaguier pisał ponadto: *Waga, jaką przywiązuje, zwłaszcza Borowski, do ruchu (...), dążenie u Sasa by obaląc przegrody oddzielające malarstwo od rzeźby, troska uczestniczą, u Ziemińskiego, by podpartać sekrety, tajemną siłę cięgien materii malarskiej (...)* wszystko to sprawia, że ci trzej malarze działają jako parzycał w tych sferach sztuki nieprzewidywalnej, które w znacznej mierze pokrywa (...) cien Dada i które ożywia przykład Marcela Duchamp⁶.

Wystawa ta była faktycznie ostatnim wspólnym wystąpieniem grupy „Zamek”, chociaż oficjalnie nigdy jej nie rozwiązano. Członkowie rozproszyli się po różnych miastach wnieśli w nowe środowiska twórczy wkład i ferment przyspieszający tempo zmian. Co było przyczyną rozpadu dokładnie nie wiadomo. Nieporozumienia na tle organizacyjnym czy niedowiadania powstałe w związku z zaproszeniem niektórych tylko członków „Zamku” do wzięcia udziału w wystawach we Francji wydają się być tylko pretekstem do naturalnego zakończenia działalności grupy. Być może młodym twórcom potrzebny był okres oddechu, rozważań, przewartościowań i refleksji. Moment ku temu był właściwy, gdyż zbiegł się z ogólnym okresem stagnacji w polskiej sztuce tego czasu.

Jeszcze w 1957 r. grupę opuścili Tarłowski, Kurzakowski i Ocias, aby prowadzić samodzielnie poszukiwania twórcze, oraz Michalczuk, który zajął się pracą badawczą. Komendecki, Zwoliński i Kiwerski opuścili Lublin w 1959 r. W tym samym roku Dziadoszyczki zamieszkał w Paryżu, gdzie miał wystawy indywidualne oraz uczestniczył w wystawach grupy „Phase”. Zgiął tragicznie w wypadku samochodowym w 1973 r. Borowski przeniósł się do Warszawy, gdzie do dzisiaj aktywnie uczestniczy w stołecznym życiu artystycznym. Z dawnych członków grupy „Zamek” w Lublinie pozostali jedynie Ziemiński (zm. 1988), Durakiewicz i Kurzakowski.

W ciągu trzech lat działalności grupa „Zamek” nie sformułowała

programu artystycznego na piśmie, chociażby w formie manifestu. Nie znaczy to jednak, że takiego programu nie wypracowała.

Już na początku swojego istnienia w jednym z katalogów wystaw młodzi twórcy przedstawili swoje credo:

Grupa młodych artystów nie posiada ściśle sprecyzowanego programu artystycznego. Jej geneza wiąże się z chęcią podjęcia walki przeciwko u nas uznawanej sztuce akademickiej; przede wszystkim XIX-wiecznemu naturalizmowi i postimpresjonizmowi. Ogólną tendencją jest dążenie do nowoczesności, rozumianej jako duża różnorodność postaw artystycznych. Młodzi artyści korzystają z doświadczeń różnych kierunków: kubizmu, abstrakcjonizmu, naturalizmu, lasizmu itp.⁷

Tak ogólnikowo postulowana nowoczesność przetrwała się około 1958 r. w wyraźny program artystyczny. Chodziło o to — jak pisał Jerzy Ludwiński — by stworzyć plastyczny ekwiwalent świata, dlatego (...) trzeba skończyć ze wszystkimi sztucznymi kopiowaniami świata widzialnego, z całą iluzją i ekwilibrystyką wynikającą ze złego dopasowania skomplikowanej rzeczywistości do prostokąta płaszczyzny. Dzieła sztuki miały być organizmami żyjącymi po swojemu jak twory natury i tkwiącymi w świecie jak inne przedmioty. Wobec malarstwa informel i wszelkich odmian abstrakcji lirycznej grupa określiła się jako nowa awangarda postulując autonomię dzieła sztuki.

W ówczesnych rozważaniach teoretycznych lubelskich artystów pojawiły się różne i zaskakujące propozycje. Ziemiński myślał o zbudowaniu obrazu, którego nie można zobaczyć. Mogłoby to być np. tryptyk o zamykających się skrzydłach w miarę zbliżania się widza. Proponował też obrazy zmieniające barwy — wykorzystujące zjawiska chemiczne — obrazy oddychające, swego rodzaju płuć. Ludwiński marzył o obrazie zbudowanym wyłącznie z samych cząstek materii (zn. takim, który byłby równocześnie rzeczywisty i czysty, takim, którym z elementów rzeczywistości materialnej, Borowski stworzył projekt reagującego na obecność człowieka „organizmu”, którym mogłoby obrosnąć wnętrze galerii. Ponadto myślał o konstruowaniu „komeoastodów” — obrazów mogących samodzielnie się poruszać i „zachowywać” w sposób zupełnie nieprzewidywalny przez autora. Z „Zamkiem” zaprzyjaźniony Olgierd Sztybel, młody malarz warszawski, proponował zaprogramowane manekiny, które tworzyłyby swego rodzaju environment czy też obrazy-rośliny, zmieniające wciąż swoją formę. Wszystkie te propozycje pozostały jedynie w formie zapisów i szkiców, gdyż ich wykonanie przerastało możliwości autorów.

Lublinie stopniem świadomości plastycznej dystansowali swoich kolegów z innych grup awangardowych tego czasu, głównie dzięki współpracującym z grupą młodym krytykom jak Jerzy Ludwiński (główny teoretyk), Urszula Czartoryska, Hanna Ptaszkowska, Wiesław Borowski i Stanisław Michalczuk. W burzliwych dyskusjach obok wymienionych krytyków i artystów często brał udział Jacek Woźniakowski. To właśnie dzięki niemu młodzi artyści mieli kontakt z zachodnią prasą, m.in. z angielskim czasopiśmie „Studio”.

Teoretyczne uzupełnienie działalności grupy stanowiły „Struktury”, plastyczny dodatek do lubelskiej „Kamery”, redagowany przez Ludwińskiego. Obok „Plastyki” i studenckiego miesięcznika „Zebra” wydawanych w Krakowie, „Struktury” były najmłodsza i najkrócej ukazująca się publikacją periodyczną poświęconą plas-

⁶ Cyt. za: J. Ku.: *Te mirabile polonice*, „Życie Literackie” 1960, nr 36, s. 11.

⁷ J. Ludwiński: *Młodzi ludzie widzieć ambicji*, „Polaka” 1961, nr 10, s. 20.

⁸ Relacja wystawy: Włodzisław Borowski, kwiecień 1992.

tyce, wydawaną w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. W latach 1959-1961 wydano 11 numerów „Struktury”, które współredagowali krytycy związani z „Zamkiem”, a artykuly publikowali w nich m.in. J. Bogacki, J. Madajski, A. Wojciechowski i M. Tchorek. Głównym założeniem pisma obok przedstawiania teorii, która starała się urzeczywistniać „Zamek”, była walka z estetycznym konserwatyzmem o swobodny rozwój nowoczesnej sztuki.

Konkretna realizacja założeń grupy doprowadziła jej członków około 1958 roku do tworzenia nowych struktur materii, tymczasem w latach 1957-1959 młodzi artyści zaczęli, od nowa, nie inaczej niż pisma „Grupa R-55” czy warszawska „Grupa 55”. Podobnie jak gdzie indziej, dominowały tu tendencje do ujęć przedmiotowo-metaforycznych. Doskonaliymi przykładami mogą tu być *Kompozycje Ziemięskie*, w których postacie o wydłużonych sztychach i twory będące kombinacją ciał ludzkich i zwierzęcych zróżnicowały razem jak w „zbitych senach” przenikały się ze sobą określonymi strukturami geometrycznymi. Podobne dwa pozostały surrealizm, Komendeki (*Sen pijanej praczki*) i Sadlej (cykl *Potentia otium*), każdy na swój sposób przetwarzał poetycką fantastykę nadrealizmu. Borowski podejmował już wówczas eksperymenty z kręgu malarstwa informel, a Dzieduszycki wykazywał skłonności do geometrycznej przedstawiania wciąż jeszcze przedmiotowych układów kompozycyjnych. Podobnie pozostali członkowie grupy. Durakiewicz – najbardziej „kameralny” i rytmiczny, Jaroszyńska, Kiwerski i Zwoliński, zaczęli od postakubistycznej deformacji o surrealistycznych natolach, by przejść trudem, wieloletnią drogę do tasyzmu. Jedyne Kurzakowski najdłużej pozostawał wierny malarstwu przedstawieniowemu w drobnych temperach o nieregularnych formatach.

Następnie większość młodych twórców szybko i gładko przeszła etap „tasyzmu spontanicznego”, aby zaraz odkryć uroki „tasyzmu intelektualnie zorganizowanego”. Stał poprzez coraz śmielej eksperymenty w dziedzinie faktury wiódł prostą drogą do tworzenia „obrazów-przedmiotów”. Od przełomu 1957-1958 r. grupa „Zamek” grawitowała ku różnym formom malarstwa materii i strukturalizmu, jednakże główny przełom był dziełem Ziemięskiego, Borowskiego i Dzieduszyckiego. Przed przystąpieniem do analizy ewolucji informelu do malarstwa materii u poszczególnych twórców warto przypomnieć ogólną genezę sztuki strukturalnej.

Zdaniem Andrzeja Turowskiego sztuka materializacji obejmuje dzieła, których struktura opiera się na przyjęciu jednego z jej głównych elementów tj. materii (pozostałe elementy to kreacja, forma, idea porządkująca). Ponadto jest skrajną konsekwencją „systemu nachylenego na obraz”, gdzie nowy przedmiot wykonany przez artystę po raz ostatni może jeszcze o sobie samym. Wybór materiału jako fragmentu natury jest podporządkowany estetycznemu lub ideowemu walorowi konstytucyjnej rzeczywistości. Przedmioty tego typu poszukiwać dopatrywać się możemy w formule malarzkiej Mauricea Denis’a, która częściowo wykorzystana w koncepcji „sztuki konkretnej” kręgu Doesburga doprowadziła w końcu lat pięćdziesiątych naszego wieku do obrazów Dubuffeta, Fautiera, Burriego, a w Polsce do poszukiwań artystycznych lubelskiego „Zamku”.¹⁰

Malarz dążący do uzyskania autonomii przedmiotu sztuki musi przezwyciężyć parę istotnych problemów. Po pierwsze powinien zerwać z koncepcją dwuwymiarowości i płaskości obrazu jako „jedności w wielości”, jako zestroju barw i kształtów (realnych czy fikcyjnych). Po drugie musi wyeliminować iluzję głębi przestrzeni, której ostatnią formą jest głębia w obrazie abstrakcyjnym.

¹⁰ A. Turowski: *Propozycje systematycznej sztuki aktualnej*, (w:) *Katalog: Przestrzeń — kształt — światło*, Wrocław 1968.

Następnie, aby stworzyć przestrzeń konkretną powinien na jej miejsce wprowadzić elementy wypukłe, motywy płaskorzeźby, faktury. W najbardziej oryginalny sposób uporali się z tym problemem Ziemiński i Borowski.

Pierwszy etap pracy Borowskiego polegał na ewolucji od mocnych kontrastów barwnych do monochromatycznych pulsacji materii w ciemnych obrazach, w których zróżnicowanie kolorów zastąpienie zostało przez zróżnicowanie faktur. W drugim etapie artysta stopniowo likwidował kompozycje obrazu, dlatego eliminował z niego wszystkie mocniejsze akcenty formalne, symetryjnie wprowadzał do prostego podziału płaszczyzny płótna na dwie równe części i dążąc do całkowitego zaniku złudzenia dla akcentował brzozy (czasem przy pomocy tzw. żąbków). W ten sposób przeobrażony obraz stawał się autonomicznym wobec otaczającego świata przedmiotem wykonanym z materiału.

Ziemiński w początkowej fazie rozbijał powierzchnię swoich kompozycyjnych obrazów setkami plamek analitycznych i nieregularnie ułożonych tkanek dzieła, tak że znikały granice pomiędzy częściami, a obraz osłagał jednolicie prawie uniwersalny. Artysta uchronił się jednak przed niewiadomą wyprawy w bezkształtne i anonimowe przestrzenie materii poprzez eliminację głębi w obrazach „unistycznych”. W zamian wprowadził imitację chropowatości zastąpioną z czasem chropowatością prawdziwą — strukturalną.

Długo poszukiwania w kręgu malarstwa materii wcielenie zostały sukcesem w postaci *Artionów* Borowskiego i *Form* Ziemięskiego. Powstałe w 1958 roku *Artiony* to pulsujące światłem elektrycznym obrazy w kształcie kół, które za pomocą wypiętych się dzięki wprowadzonemu ruchowi, przez co jeszcze bardziej upodabniały się do żywych organizmów. W następnym etapie *Artiony* w formie nieregularnych struktur z tworzyw sztucznych stanowią rodzaj „quasi-rzeźb” możliwe najbardziej zdekomponowanych i odsłachetnionych w sensie malarzkim, a ich zdeorganizowana materia pulsowała wewnątrz cyrkulacji światła.

Hanna Ptaszkowska stwierdziła, że Borowski „agresywnie świadomości”. W pewnym okresie zrozumieli kierunek dalszego rozwoju sztuki, a może nie tylko sztuki i tę świadomość zademontrował w swoim malarstwie. Jego obrazy, to pod plastikową siatką rozwijającego się punkty, które odkrywają właściwości warsztatu technicznego — mechanizm elektronicznych połączeń bliski jest niebezpiecznej wiji uniwersalnych art-organizmów z pogranicza science fiction, czy raczej art fiction.

Na przełomie 1958 i 1959 r. Ziemiński rozpoczął cykl kilkunastu *Form* — obrazów-płaskorzeźb. W *Formach* pulsująca energia tworzyła nieoczekiwane, zastępy w bezruchu, ekspresyjne w swojej hierarchiczności pasma materii. Analogicznie powtarzane, rozczłonkowane formy, które wyrażały z płaskości tak kompozycji tworzyły początkowo podziału zbliżone do geometrycznych, w czym zainspirowała się inspiracją twórczością Mondriana. W późniejszych kompozycjach one w formie reliefu o organicznej, materialnej, swobodnej kompozycji przybierały czasem postać glazurowanych cacek, w które artysta wtapiał kolorowe kamyki. Innym razem były to tablice o łagodnym labiryncie gipsowych spirali.¹¹

Formy eksponowane na III Wystawie Sztuki Nowoczesnej w Warszawie w 1959 r. — zdaniem Jan. W. Wodniakowskiego — miały wyraz bardzo odrobny, był w nich monotonią trochę sardonizacji, trochę melancholijny humor.¹²

¹¹ H. Ptaszkowska: *Dobre malarstwo i art fiction*, „Struktury” 1959, nr 6, s. 15.

¹² J. Ładewski: *Jan Ziemiński. Przeciw abstrakcji beformowej*, „Struktury” 1959, nr 7, s. 10.

¹³ J. Wodniakowski: *O III Wystawie Sztuki Nowoczesnej*, „Typodruk Powszechny” 1959, nr 39, s. 6.

Te same obrazy ustawione na pokazie w CBWA w Lublinie (10 XI 1959 r.) po prostu na podłodze, przypomniały J. Ludwiskiemu raczej jakieś prehistoryczne pomniki, stare tablice nagrobne, mumie egipskie i kokony gigantycznych owadów niż obrazy w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.¹⁴

Warto tu przypomnieć także eksperymenty w dziedzinie faktury prowadzone przez Dzieduszyckiego, trzeciego członka „Zamku” dążącego do uzyskania autonomii obrazu. Poziom jego prac był najmniej wyrównany. Często wkładał w płótno żużel, kawaleczki deszczek czy płyty pilśniowe, następnie pokrywał je grubą farbą olejną, a na koniec podglądał całokształtem. Od 1958 r. tworzył kreacje ze szkła piankowego — przedmioty posiadające ciekawą formę oraz charakteryzujące się siłą ekspresji.¹⁵

Za rzeczywiste osiągnięcie poszukiwań artystycznych „Zamku” należy jednak uznać *Ariony* Borowskiego i *Formy* Ziemińskiego. W tych dziełach obaj artyści stali się demitującymi podobnymi naturze. Obrazy te przestały powielać ługie otaczającego świata i przeobraziły się w przedmioty konkretne, istniejące tak samo niezależnie jak inne przedmioty i twory natury. Były więc w sposób bezpośredni związane z rzeczywistością i powoływały u jej odbiorców inne, nowe spojrzenie na otaczający świat.

Strukturalizm „Zamku” w późniejszych ocenach był często deprecjonowany jako wtórny w stosunku do prowadzonych w tym samym czasie podobnych poszukiwań na Zachodzie. Już w 1959 r. J. Ludwiski zaznaczył, że... *sztuka Jana Ziemińskiego mimo całej jej odkrywczości, nie jest czymś wyjątkowym. Podobne problemy plastyczne podejmują równolegle artyści na całym świecie: Włosi (Burri, bracia Pandoro), Hiszpanie (Tapiés, Quixart, Turcio), Japonczycy (Soto, Harada), Niemcy (Kallinowski), Polacy (Borowski, Dzieduszycki, Kiwercki, Piasecki, Beksiński, Kierzkowski).*¹⁶

Zdaniem Tadeusza Mroczka poszukiwania strukturalne „Zamku” przebiegały prawie równolegle z poszukiwaniami w Hiszpanii, czego dowodem może być podawana za A. Cerni data przełomu w malarstwie Antonio Tapiésa, twórcy strukturalizmu hiszpańskiego, przypadająca na lata 1953-1955.¹⁷ Środowisko lubelskie poznało z reprodukcji malarstwo Tapiésa dopiero po Biennale Weneckim w 1958 roku, a więc w momencie, w którym strukturalizm grupy „Zamek” został już wypracowany. Jak wspominaliśmy wcześniej młodzi twórcy mogli mieć wcześniej kontakt z zachodnimi czasopismami dzięki Jackowi Wozniakowskiemu, jednakże stopień ewentualnych inspiracji jest trudny do ustalenia i pozostaje w sferze przypuszczeń.¹⁸

W 1968 r. H. Praskowska na łamach „Współczesności” tak zrekapituowała wystąpienie „zamekowiczów” w latach 1958-1959: *Sztuka strukturalna zaistniała w Polsce w dwóch nurtach. Pierwsze próby tego rodzaju robione były przez artystów z lubelskiej grupy „Zamek”, przede wszystkim Włodzimierza Borowskiego i Jana Ziemińskiego. Były to próby samodzielne i równoległe w czasie do analogicznych poszukiwań na Zachodzie. Był to ostatni kierunek, który w Polsce określił się i uczynił tendencją.*¹⁹

Zdaniem Antoniego Dzieduszyckiego polski strukturalizm został sformułowany niezależnie od siebie w kilku ośrodkach (ale pierwszeństwo i to w skali światowej przypada niewątpliwie grupie

„Zamek”).²⁰ Podobnie Alicja Kępińska wymienia jako pierwsze poczynania strukturalne „Zamku” i wskazuje na jego pionierski wysiłek w tworzeniu obrazu rzeczywistości samej w sobie.²¹

Zrozumienie roli strukturalizmu wypracowanego przez „Zamek” może okazać się kluczem do późniejszej działalności artystów z nim związanych. Większość z nich stosunkowo szybko stłumiła swój pierwotny rozmach, z wyjątkiem Borowskiego i Ziemińskiego. Tylko oni podjęli próby przeobrażenia i kontynuacji idei z tego okresu w trwałe wartości decydujące o dalszym charakterze ich teorii.

Włodzimierz Borowski był i jest kluczową postacią wśród „zamekowiczów”. Należy do grona artystów, których postawę wobec sztuki charakteryzowały szczególne niejednoznaczności. Jego metoda jest ustawiczna dekonspiracja reguł gry i próby doprowadzenia tych reguł do absurdu.²²

Od początku nurtował artystę problem granicy między sztuką a rzeczywistością. W swoich kolejnych realizacjach twórczych kontynuował zaszczepioną jeszcze w czasach „Zamku” pasję (dzielną z J. Ludwiskim) do dalszego unicestwiania tradycyjnych sytuacji artystycznych i wprowadzania na ich miejsce procesów ciągłych, opartych na sprzężeniach zwrotnych w schemacie powiązań między twórcą a odbiorcą.²³

Taka postawa we wcześniejszej fazie jego twórczości wiązała się z uślawianiem przeżywczości iluzji w celu uzyskania autonomii przedmiotu sztuki, co zrealizowały ruchowe, pulsujące światła *Arionów*. Później artysta chciał skompromitować uzyskaną już autonomię obrazu-przedmiotu, aby zadzwąć ze swojej roli demurga oraz przyrody. W tym celu poprzez swobodny montaż różnych elementów w ostatniej serii *Arionów* osiągnął zatarcie granicy między tym, co jest, a co nie jest sztuką. Następnym obiektem doświadczeń i zabaw Borowskiego stał się człowiek, którego odbicie zniekształcone i zwiększone w *Maniabus* (1963) zbudowanych z kawalków luster stało się tworzonym manifestacją świadomości twórczej artysty.

Logiczną konsekwencją *Maniabus* były zrealizowane w latach 1967-1968 *Nicotine*, *Zbiory trzepaków* i *Zbiory stojaków*, gdzie miejsce człowieka zajęły przedmioty przez niego wytwarzane. Artysta niszczył funkcjonalność przedmiotów użytkowych przez nadanie im cech organizmych w postaci nicotynosłów.

W końcu Borowski postanowił rozprawić się sam ze sobą. Cechą podstawową jego działań, takich jak *Zdjęcie kapelusza* (Osieki 1966) czy antyhappyend *Wykbił tarb* (Wrocław, Galeria „Pod Moną Lisą” 1968) było przede wszystkim kroczenie *ścinając szczytowanie degradacji roli artysty na korzyść sytuacji, w jakiej on sam siebie postawił i w jakiej postać odbiorcy*.²⁴

W kolejnej fazie twórczości artysty zaczął interesować sposób zapisywania własnych procesów myślowych. Miejsce akcji zdarzeń artystycznych zajmują autoportrety, refleksyjne poematy o sobie, przebiegi drogie i sztuczne, jak w pokazie „Est-Etyka” w Galerii „Labirynt” w Lublinie (1976).

W latach osiemdziesiątych twórcza energia Borowskiego skupia się na efemerycznych obiektach i sytuacjach przestrzennych, które powstały w podziemiach warszawskich kościołów: chusta żałobna poświęcona pamięci Grzegorza Przemyka (*Znak krzyża*) — kościół przy ul. Żytnej (1983), *Wzrost Apokalipsy* (kościół św. Krzyża, 1984) czy *Ścież*, z której wnętrza rozpełzały kawalki kolczastego drzewa.

¹⁴ J. Ludwiski: *Młodzi ludzie wielkich ambicji*, op. cit.

¹⁵ W. Borowski: *Tytuł „Kamena”* 1971, nr 8, s. 3.

¹⁶ J. Ludwiski: *Jan Ziemiński. Próba artystycznej beformacji*, op. cit.

¹⁷ A. Cerni: *Nowa sztuka hiszpańska*. Warszawa 1970, s. 209-214, ze: T. Mroczko: *Zycie artystyczne Lublina w latach 1939-1960*, [Roczniki Humanistyczne] T. XXIV, 1976, z. 3, s. 33.

¹⁸ Relacja ustna Włodzimierza Borowskiego, op. cit.

¹⁹ Cyt. za I.J. Kamiński: *Walka z obrazem „Kamena”* 1968, nr 19, s. 4.

²⁰ A. Dzieduszycki: *Sztuka w procesie kanonizacji*, „Odra” 1971, nr 2, s. 44.

²¹ A. Kępińska: *Nowa sztuka. Sztuka polska w latach 1945-1978*, Warszawa 1981, s. 138.

²² J. Ludwiski: *Wstęp do katalogu „Ariony” i „Manibus” Włodzimierza Borowskiego*, Lublin 1966.

²³ A. Dzieduszycki, op. cit., s. 42.

²⁴ *id.*

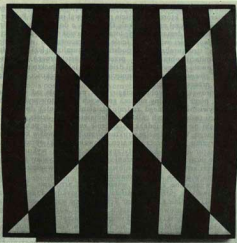
(Lahryny, kościół na Ursynowie, 1989). Jak zauważył J. Bogucki, z dzieł tych emanuje charakterystyczny dla Borowskiego klimat psychiczny, będący wynikiem skoncentrowania energii duchowej autora otwierającej się również w stronę doświadczenia sakralnego. W pracach tych *dziecinia prawie intuicja i radość majsterkowania sprzężona jest z aktami wyobraźni zaskakującymi prostotą i mocą*.²⁵

Ta wypowiedź na temat twórczości Borowskiego potwierdza fakt, że tylko on jeden z całej grupy „Zamek” konsekwentnie realizował w swojej dalszej praktyce artystycznej zamierzenia, które J. Luźwiński dokumentował na polu teoretycznym. Ich kontakty i przyjaźń przetrwały do dzisiaj. Z czasów „Zamku” Borowski zachował bardzo krytyczny stosunek do własnej twórczości oraz ścisły młodzieńczy zapal do ciągłego podejmowania ryzyka. Należy do tych niewielu artystów, którzy nieustannie poszukują nowych form sztuki odpowiadających wrażliwości określonej chwili. Zdaniem artysty — osiemdziesiąt procent estetyki — to etyka, dlatego porzucił malarstwo w imię uczciwości wewnętrznej prawdy. Podczas, gdy w latach osiemdziesiątych wielu twórców powróciło do technik tradycyjnych, on nie uległ modzie, ponieważ uważał, że system kodów w malarstwie został już dokładnie rozpisany.²⁶ W jego realizacjach obecny jest i dziś ów duch eksperymentowania, który ujawnił się jeszcze w czasach „Zamku”, kiedy to na wiele lat przed podobnymi eksperymentami na Zachodzie artysta prowadził doświadczenia z zastosowaniem ruchu, czy jako jeden z pierwszych malarzy w Polsce uprawiał sztukę pojęciową.

Kryterium innowacji artystycznej było również motorem sztuki Jan Ziemiński — drugiego byłego „zamkowicza”, który nadal mieszkając w Lublinie tworzył realizacje stawiające go w szeregach wybitnych polskich przedstawicieli wizualizmu. Jego twórczość jest konsekwentną i logiczną kontynuacją idei powstałych w okresie „Zamku”, głównie mierzona o „obrazach znikających”. Obraz znikający to obraz, którego nie można zobaczyć, lecz przeżyć poprzez jakieś ułotne, nieuchwytnie odczucie. Pierwszym krokiem na drodze do urzeczywistnienia tego marzenia był obraz *Wewnętrzny zaprezentowany* w 1965 r. w Osiękach, o którym J. Przybół pisał: „Jan Ziemiński stworzył obraz do oglądania od wewnątrz. Obraz otoczony jest dwiema chroniącymi go płaszczyznami, jest w środku. To pojęcie. Można dalej w tym kierunku myśleć i tworzyć rzeczy nowe”.²⁷ Jednocześnie artysta szukał sposobu konstrukcji owego obrazu znikającego poprzez eksperymenty: łączenia geometrii z rytmem, rytmu z ruchem, kontrastowanie i nakładanie się na siebie barw w przestrzeni.

Efektom podobnych działań było powstanie dwóch serii obrazów: *Interferencje* i *Pomruki* (1965-1975), stanowiących kontynuację idei z okresu *Formur*. Różny od reliefów strukturalnych do optycznych polegał na odmaterializowaniu tkanki obrazu z niepotrzebnych zwalów mas plastycznych. W kompozycjach optycznych najważniejsze efekty plastyczne ukształtowane zostały przez powtarzające się wielokrotnie formy identycznej krzywej parabolicznej w postaci listewek, które przy dostatecznej ilości mogły utworzyć jednolitą strukturę.

W oku poruszającego się względem reliefu widza powstają iluzje uciekających ciemnych fal tworzonych w wyniku zmian punktów przecięcia krzywych parabolicznych. Formy materialne nie istniejącej stają się w miarę patrzenia formami najjaśniejszymi. Powstaje tak



Jan Ziemiński. *Pomruki*, 1975

silna sugestia pewnej określonej, ale nie istniejącej formy, że przestaje się dostrzegać wszystkie dane nam konkretne elementy.²⁸

Pomimo zmiany techniki, Ziemiński — jak zauważył W. Borowski — zdołał utrzymać bardzo osobisty stosunek do dzieła sztuki: chłodny, intelektualny, mimowolnie perwersyjny i mimowolnie ironiczny.²⁹

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych w kompozycjach *Meta-morfozy* czy *Trzy białe kola* artysta badał za pomocą oszczędnych form geometrycznych problem iluzyjnego ich ruchu na płaszczyźnie.

U schyłku swego życia powrócił jednak do płaskorzeźbowej struktury w ostatnim obrazie *Bez tytułu* (1988). Relief ten ze względu na asymetrię i analogię z materialnością *Formur* stanowi ich kontynuację oraz klamrę spinającą w twórczości Ziemińskiego rozważania nad materialnością i niematerialnością zjawisk artystycznych. Podobnie jak w kompozycjach op-artowych najważniejszy jest tu „obraz wewnętrzny” pulsujący własnym życiem pod powłoką topornej materii.

Model sztuki operujący trzema wymiarami i wrodzony nawiązywał do odbioru w kategoriach konstruktywistycznych skłonił widza krytyków do formalno-estetycznej interpretacji sztuki Ziemińskiego, jednakże zaprzeczył temu sam artysta słowami: *Głównie chodzi mi o oddanie poprzez materię tego czego ona właściwie nie zawiera. Gdy praca jest gotowa, odczuwam i nie doznaj immaterialnych nieuchwytności dopinając moją wyobraźnię do dalszych poszukiwań tych nieuchwytnych wartości*.³⁰

²⁵ J. Bogucki: *Wstęp do katalogu: Włodzisław Borowski*, Galeria Rzeźby SBWA, Wągrowa marzec — kwiecień 1990.

²⁶ Relacja słusna: Włodzisław Borowski, op. cit.

²⁷ J. Przybół: *O sztuce, nowym odbiorze i ogólnych kultur*. (Rozmowa) „Kultura” 1966, nr 5, s. 5.

²⁸ J. Luźwiński: *Wstęp do katalogu: Jan Ziemiński*, BWA, Lublin 1966.

²⁹ BOW (W. Borowski): *Jan Ziemiński „Kierunki”* 1966, nr 23, s. 10.

³⁰ Jan Ziemiński (w katalogu wystawy): *Język geometrii*, „Zachęta”, Warszawa, marzec 1984.

Zarówno w sztuce Borowskiego jak i Ziemińskiego występuje proces dematerializacji, którego nadjęcie przewidywał już Frank Popper, realizację rozpoczął na dużą skalę Duchamp, a dopiero Yves Klein zaprezentował „dematerializację totalną”. Zjawisko dematerializacji w ich twórczości wiąże się ściśle z wypracowaniem w okresie „Zamku” strukturalizmu. U podstaw strukturalizmu leżała zasada kompromisacji obrazu jako przedmiotu estetycznego, co zapoczątkowało proces degradacji dzieła sztuki jako obiektu materialnego, z równoczesnym przesunięciem punktu ciężkości na rolę samego procesu twórczego.

U Borowskiego ewolucja ciągu form przebiegała od struktur materii, przez swobodny montaż gotowych elementów wybranych z rzeczywistości, różnego rodzaju działań (actionne) do zapisu koncepcji twórczej, czyli całkowitej dematerializacji dzieła sztuki.

Ziemiński nie stracił jednak ostatecznie zaufania do przedmiotu estetycznego. Wychodząc ze strukturalizmu postępowal w kierunku geometryzmu, by poprzez dematerializowanie tanki obrazu dojść do struktur świetlnokolorystycznych, w których wykorzystane zjawisko światła i przestrzeni sprawia, że rzeczywisty materiał uiszy przez artystę — płyta płytowa i parabolicznie wygięte listewki — ślepią w oczach widza dematerializacji.

Idee wyrażone z czasów współpracy z artystami „Zamku” zaowocowały w późniejszej działalności krytyków, Ptaszkowska i Borowski wspólnie z Mariuszem Tchorkiem po wyjeździe z Lublina zorganizowali i prowadzili w latach 1966-1970 warszawską Galerię „Fokaal”. Ludwiński powołał do życia i wyznaczył program teoretyczny Galerii „Pod Moną Lisa” we Wrocławiu. Galeria proponowała przede wszystkim rzeczową dyskusję o sztuce (1967-1969), a większość jej pokazów stanowiła znaczące kroki poczynione w kierunku sztuki niemożliwej. Ludwiński chciał stworzyć we Wrocławiu Muzeum Sztuki Aktualnej, które byłoby pierwszym na świecie „muzeum gry” — gry opartej na dialogach artystycznych i popartej gromadzeniem dokumentacji. Muzeum jednakże przyjęło konwencjonalny program działania i jako twór o niesprecyzowanym charakterze przestało istnieć. Nigdy nie kontynuacją założeń programowych „Struktury” były wydawane w latach sześćdziesiątych „Wiadomości Plastyczne” przy studenckim piśmie „I.T.D.” „redagowane” przez Borowskiego, Ludwińskiego i Paszkowską. Wreszcie krytycy stali się propagatorami plastyki paratekstualnej, konceptualnej oraz sztuki opartej wyłącznie na dokumentacji samej idei twórczej.

Ocena dokonań artystycznych „Zamku” oraz kwestia jako role odegrała grupa w dziejach powojennego malarstwa polskiego, są różne. Zdaniem A. Wojciechowskiego: *Mimo krótkiej działalności odegrał „Zamek” istotną rolę w dziejach plastyki współczesnej. Lubliniacy od pierwszego momentu reprezentowali poglądy szerokie, awangardowe. Jeśli w swych dziełach nie zdołali wówczas uzyć w pełni swych ekstremistycznych przekonań — to jednak sam fakt przyjęcia takiej właśnie postawy posiadać będzie w przyszłości zasadnicze znaczenie.*²³

Według A. Dzieduszyckiego dążeniem grupy „Zamek” był zamach na samą sztukę ponieważ: *Młodzi artyści z Lublina po raz pierwszy w Polsce postawili nas przed faktem kompromisacji obrazu jako przedmiotu estetycznego, stwarzającego jakąkolwiek iluzję przedmiotu lub nieprzedmiotu, metaforyczną czy surrealistyczną. Ich prace były podporządkowane wyłącznie idei wewnętrznej struktury, nie odzwierciedlały żadnej z form materii lecz stanowiły „nową materię”.*²⁴ Sytuując działalność „Zamku” w kręgu innych grup awangard-

owych powstałych w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, takich jak „Grupa 55”, „Grupa R-55”, „Grupa St-53” i nowa Grupa Krakowska, można dostrzec wspólne im wszystkim cechy historycznej pasji i...nieodjętoli. Ich działalność miała duże znaczenie nie tylko dla doradnego pobudzenia życia artystycznego w Polsce, ale i procesu krystalizowania się w owym czasie twórczości wielu wybitnych artystów oraz tworzenia artystycznych ideowych związków formalnych. Była to nasza lokalna nowoczesność, „bohaterka”²⁵, gdyż sens aktywności tych grupowań polegał przede wszystkim na uruchomieniu pola poszukiwań artystycznych, realizacji bowiem (wyjaśnij bardziej doświadczoną Grupę Krakowską) zazwyczaj nie dorównywały ambicjom i dążeniu do oceny jako próby, jako wstępne „wstrzygnięcie się” w upragnionym terenie.²⁶

Niezaprzeczalnym osiągnięciem grupy jest stworzenie takiego kodu pewnego jej plastycznego, który w jedynie możliwy i najbardziej adekwatny sposób zrealizował wspólnie wypracowany program. Główny cel — uzyskanie materialnej autonomii dzieła sztuki został osiągnięty — dlatego grupa straciła swoją rację istnienia. Fenomen „Zamku” polegał m.in. i na tym, że młodzi ludzie z bagażem doświadczeń wojennych, po latach indoktrynacji ideologicznej socrealizmu, często bez uprzedniego przygotowania zaczęli tworzyć sztukę rozumianą jako swoboda kreacji, której inspiracją jest badana intelektualnie kultura. Tylko oni i całego lubelskiego środowiska plastycznego potrafili wykonać ok. 1957 r. gwałtownie w stronę nowoczesności, egemplifikując tym samym awangardowe tendencje w sztuce polskiej. Idee „Zamku” przetrwały i zmieniły się w twórczość artystyczną w późniejszej twórczości jego członków, głównie Borowskiego i Ziemińskiego. Dziś, już wiemy, że nie zrealizowane i fantastyczne marzenia „zamekowców” konceptowały na pola teoretyczny idee, które dzięki rozwojowi nauki i techniki ucrzyściwały potem sztukę kinetyczną, efemeryczną i konceptualną.

Najczęściej powtarzanym zarzutem i największym grzechem „zamekowców” była amatorszczyzna. Prawda, większość członków „Zamku” nie posiadała wykształcenia mogącego nobilitować ich do rangi zawodowych artystów. Było to powodem nieporadności, a często i błędów w technice warsztatowej. Czy można jednak nazwać młodych artystów lubelskich „nawinnymi”, „prymitywnymi”, „malazami niedzielnymi”? Czy można zarzucić im brak kształtowania krytyczności artystycznej, chęć nakładowania lub wręcz plagiatowania? Amatorzy — to nie koniecznie ci, którzy „robią” ale nie staranno, czego przykładem może być twórczość takich artystów jak Celnik Rousseau, Jose Gaudelupe Posada czy nasz Nikifor.

Powstanie grupy „Zamek” należy uznać za wydarzenie bez precedensu w lubelskim środowisku plastycznym, zwłaszcza, że nie brało ono udziału w ruchu awangardowym ani w dwudziestolecie międzywojennym, ani w pierwszym okresie po wojnie. Naż zankiet „Struktury” dotyczącej realnej pozycji artystów w środowisku kulturalnym miasta, przeprowadzonej w 1959 r. wynikało, że z największą uwagą obserwowano i najwyżej oceniano twórczość młodego „Zamek”. Później niektórzy krytycy lubelscy rozpatrywali zjawisko artystyczne, jakim był „Zamek”, nie w kategoriach sztuki lecz nawiązków próbach socjologicznej interpretacji. I jeszcze długo po rozwiązaniu grupy w Lublinie o charakterze twórczości artystów miejscowych decydowały przede wszystkim prace pokolenia „Zamku”. W 1966 r. powstała „Grupa Lubelska”, w skład której weszli m.in. Durakiewicz, Kurzakowski i Ziemiński, lecz jej członkowie nie

²³ A. Wojciechowski: *Młode malarstwo polskie 1944-1974*, Wrocław 1983, s. 88.

²⁴ A. Dzieduszycki, op. cit.

²⁵ B. Kowalski: *Polska awangarda malarstwa 1945-1980*, Warszawa 1988, s. 102.

²⁶ A. Kepińska, op. cit., s. 33.

reprezentowali już wspólnie orientacji artystycznej. W historii powojennej plastyki lubelskiej „Zamek” pozostaje nadal zjawiskiem odrębnym, nie posiadającym żadnych analogii.

Na koniec warto przypomnieć, że dzieła niektórych członków ugrupowania znalazły dobre miejsca w stałych galeriach naszych muzeów narodowych. W swoich zmaganiach z oporem materii doszli bez niczyjej pomocy do pożądaných wyników technicznych i estetycznych, co może budzić tylko szacunek.

Anna Luga



Henryk Zwołakiewicz, kompozycja, technika mieszana, ok. 1948.

teatr

MARIAN LEWKO

ARNOLD SZYFMAN I JEGO TEATR

O Teatrze Polskim Arnolda Szyfmana napisano już wiele. Mimo to najnowsza książka Edwarda Krasieńskiego, ukazująca historię i rozwój tej placówki w latach 1913-1939, czyta się niemal jednym tchem. Autor dał się już poznać jako znakomity historyk teatru, skupiający swoją uwagę głównie na scenach warszawskich.

Można dyskutować z niektórymi tezami zawartymi w pracy, w całości jednak publikacja zrobiona jest przejrzysto i zajmująco. Wpływa na to także podział tomu na dwie części: zarys dziejów tej czołowej w dwudziestolecia międzywojennym stołecznej sceny, zakończony próbą syntezy, oraz naszkicowana z dużym wyprzedzeniem trafności doboru faktów kronika pracy. Przyjęta metoda prezentacji jest niewątpliwie zaletą książki. Dobry historyk wie, że nie wystarczy sama profesjonalna rzetelność i kompetencja, potrzebne jest też sprawne pióro i trafna konstrukcja tematu, obok głębi sądów i ocen, a tego nie brak omawianemu dziełu.

Krasieński nie usiuguje mówić o tym, co już zostało szczegółowo przeanalizowane i dowiedzione, jak np. dzieje budynku¹, historia narodzin teatru i zabiegi wokół jego uruchomienia² czy choćby biografia fundatora³, sięga po fakty najistotniejsze, konieczne do prezentacji określonych tendencji i postaw stanowiących o życiu znaczeniowym tej instytucji. Uczony przypomina, że Szyfman, podejmując śmiało i zdawałoby się mało realną decyzję wzniesienia nowoczesnego budynku i zorganizowania postawionego na najwyższym poziomie zespołu oraz warsztatu pracy, zdolnego konkurować z teatrami rządowymi, był do tego przygotowany. Wszedł w środowisko znanych krytyków i notabli, był autorem sztuk i sprawozdań teatralnych, miał poza sobą krótki staż w Solskiego i doświadczenia wyniesione z dyktacji we własnym teatryku, poznał grę wielu znakomitych artystów i był świadomy nowatorskich przemian, jakie niosła ze sobą Wielka Reforma Teatru. Jego wystąpienie przeciwko artystycznemu zacofaniu, powierzchowności francuskiej farsy i wiedeńskich operetek w repertuarze scen rządowych, dekoracyjnej sztampie i marazmowi organizacyjnemu było głęboko przemysłane.

O ile te wszystkie sprawy na ogół są wiadome, dotąd nie mamy pełnej odpowiedzi, jaką rolę odegrała w powstaniu Teatru Polskiego Maria Przybytko-Potocka. To dla niej Szyfman opuszcza Kraków

¹ Barbara Król-Kaczorowska: *Teatr Polski w Warszawie. Dzieje budynku*, Warszawa 1988.

² Arnold Szyfman: *Labyrint teatru*, Warszawa 1964.

³ „Pamiętniki Teatralny” 1982 nr 1-4, w całości poświęcony Szyfmanowi, plan wieloletnich badań E. Krasieńskiego. Warto też wspomnieć odnotowane w pracy wydawnictwa jubileuszowe: *Teatr Polski w Warszawie 1913-1923*, Warszawa 1923, pisma zbiorowe: J. Lorentowicz: *Teatr Polski w Warszawie 1913-1938*, Warszawa 1938. W ankie podano repertuar teatru za dany okres wraz z indeksami osób, obejmujący także Teatr Mały: *Teatr Polski 1913-1948*, Arnold Szyfman 1908-1948, Warszawa 1948.

udając się do Warszawy. Znany jest jej wpływ na warszawskie środowisko aktorskie. Myślała też w niemalym stopniu oddziaływać na budowanie idei artystycznej sceny, którą pozostawiła wierna do końca swego życia. Teraz aktorka była współzałożycielką Teatru Polskiego, wydając się słuszną i interesującą, choć wymaga głębszego rozwinięcia i udokumentowania.

Szyfman nie tai — zauważa Krasiniński — że ogólną koncepcję swego teatru wyniósł z Krakowa, szło o stworzenie wielkiego teatru prywatnego, który byłby własnością społeczeństwa polskiego (...), poświęconego polskiej poezji dramatycznej, dziełom wielkiego repertuaru i sztuce współczesnej umiatale na istotnych zagadnieniach epoki (...), teatru integralnego (...), którego wszystkie walory — zespół, wykonanie, dekoracja i reżyseria — grają równorzędnie, podane idei kompozycyjnej wpływającej z utwora scenicznego (s. 21).

Jako uczeń gimnazjum Szyfman miał szerokie oglądanie większości widowisk granych za dyrekcji Pawłowskiego, potem za czasów Kotarbińskiego i Solskiego, był obyty z grą wielkich gwiazd występujących w krakowskim Teatrze Miejskim. Wiele się tutaj nauczył. Z Krakowa przejął też ideę urządzenia prywatnej szkoły dramatycznej (mogła go inspirować klasa M. Przybyłowicza), konkursów na rodziną twórców dramaturgicznych i objazdów większych miast. Przede wszystkim pragnął stworzenia własnego stylu przedstawień, integracji słowa, muzyki, plastyki i architektury sceniczonej, symbiozy indywidualności reżysera z charakterem dzieła. Nie stawia na teatr awangardowy, eksperymentatorstwo, ale chce wytworzyć odrębną styl sztuki narodowej, oderwać się od obcych wzorów, przyspieszyć rozwój nowoczesnej reżyserii, opartej o świętą scenografię, dobry repertuar. Te odrębne fuzjonizm zdobył, przygotował grunt pod monumentalny teatr narodowy, choć nie na miarę własnych oczekiwań. Upór! Wola działania sprawiły, że Teatr Polski stał się pierwszym teatrem totalnym. Postawiony na europejskim poziomie — oddziaływał na cały kraj, był kuznią myśli twórczej dla wielu występujących tu artystów.

Co na to się złożyło? Chęć dać konkretną odpowiedź Krasiniński sięga po wypróbowaną w teatrolologii metodę opisu. Idąc śladami Leona Schillera rozpatruje dorobek teatru w pięciu aspektach: kierownictwo artystyczne, inscenizacja i reżyseria, scenografia, muzyka, sztuka aktorska, osobno ustosunkowuje się do repertuaru, aby na koniec w oszczędnej syntezie przekazać swój stosunek do twórcy i dzieła.

Szyfman był dyrektorem i kierownikiem artystycznym w jednej osobie, co pozwalało mu ogarnąć całokształt pracy i działać ze spójnością. W ścisłym kontakcie z kierownikiem literackim, przyciągał do siebie wybitnych pisarzy i krytyków, m.in. Iwaszkiewicza, Horzyce, Lechonia, Tuwima, Lorentowicza. Pozyskał do współpracy świętych tłumaczy i wykładowców z katedr profesorskich. Sam dobierał reżyserów, kierowników działów. W niektórych latach powoływał radę artystyczną, ale zawsze był niezależny i samorządny. System ścisłej współpracy kierownictwa literackiego z kierownictwem teatru utrzymał do końca. Stanowisko kierownika literackiego pełnił u niego: Bolesław Górczyński, Leon Schiller, Adam Zagórski, Tadeusz Żeleński-Bój, Juliusz Kaden-Bandrowski. Takim sztabem znanych doradców — podkreśla Krasiniński — nie dysponował wówczas żaden teatr w Polsce.

Najwięcej uwagi poświęca uczonej inscenizacji i reżyserii. Tu widzi główne źródło osiągnięć i chwały teatru: zharmonizowane widowiska z duchem utworu poprzez harmonijną współpracę wszystkich wykonawców: reżysera, scenografa, muzyków, aktorów. Było to możliwe dzięki stworzeniu nowoczesnego warsztatu pracy. Budynki otrzymał scenę rotacyjną, nowoczesną aparaturę techniczną, dla

każdego działu założone zostały pracownie dające możliwość przygotowania oryginalnej oprawy sceniczonej do każdej sztuki z osobna, zerwano tym samym z gromadzeniem dekoracji kompletowych.

Pracom inscenizatorów, przynajmniej w pierwszym dziesięcioleciu istnienia teatru — jak słusznie spostrzegła Krasiniński — patronowali dwaj wybitni europejscy reformatorzy: Reinhardt i Stanisławski. Działalność oba Szyfman znał z doświadczenia. Jeden przyciągał uwagę inscenizacją widowiskową, na bazie rozbudowanej maszynery teatralnej, drugi połączonym artystycznie i psychologicznie realizmem scenicznym. Obie orientacje, choć nie bezkrytycznie przyjmowane, dochodziły na przemian do głosu, zależnie od materii dramatu i indywidualności reżysera. Zresztą reagowano także na inne okryzanczone kierunki inscenizacji, dotrzymując kroku europejskim prądom.

Jakolwiek inscenizacji najbardziej zasłużyli się: Leon Schiller, Aleksander Zelwerowicz, Karol Borowski, Aleksander Węgiekro. Najwybitniejszy z nich, Leon Schiller, stawiał na teatr monumentalny. Zelwerowicz był mistrzem karykatury, bufonady, wolał teatr realistyczny. Borowski, najbardziej czynny z nich wszystkich, uprawiał teatr aktorski. Węgiekro to mistrz teatru kameralnego. Przez krótki czas działał też u Szyfmana Osterwa, ale podobnie jak Schiller nie związał się ściśle z jego sceną. Panorama nazwisk głównych reżyserów, którzy przeszli się przez teatr Szyfmana, jest obszerna, wspomniemy choćby reżyserów-aktorów: Jaracza, Kamińskiego, Wysoka, Wiercińskiego, Warneckiego, Bończę-Stępińskiego. Reżyserował również sam dyrektor.

Nie zawrze współpraca z Szyfmanem układała się najlepiej. Do dziś nie do końca jest wyjaśnione odejście z Teatru Polskiego Ryszarda Bolesławskiego, wychowanka moskiewskiego MCHAT-u. Krasiniński próbuje bronić Szyfmana, obwinionego o wyjazd Bolesławskiego z Polski, tłumacząc, że nie mógł spełnić wszystkich życzeń tego uzdolnionego, świetnego reżysera, na co składała się m.in. sytuacja w kraju (wojna z Rosją). Jednak rację mają chyba ci, którzy twierdzą, iż Bolesławski, urzeczony w swę ambicji i widząc autorytet, jak Bolesławski od razu pozyskał u młodszych kolegów sięgając twórczy ferment i rozbudzając plany reformatorskie, obawiał się, że zechce on przeciąć na siebie cały splendor kierownictwa artystycznego w teatrze. Wolał po prostu zostać się z nim.

Wysoki poziom inscenizacji był możliwy do osiągnięcia dzięki wprowadzeniu nowoczesnej scenografii podporządkowanej myśli i wizji inscenizatora-reżysera, zintegrowanej harmonijnie z pozostałymi elementami przedstawienia. Przełom dokonany w tej dziedzinie — na ile ogólnie stosowanych praktyk — był równie wielki, a nawet przewyższał zdobycze reżyserów. Własne malowne, nowoczesne urządzenia techniczne i oświetleniowe, dobrze wyposażone warsztaty, przyciągnęły do pracy w Teatrze Polskim znakomitych scenografów, twórców polskiej szkoły scenograficznej: Frycza i Drabikę, później Daszewskiego i Pronarskiego, nie mówię o szeregu innych artystów tej miary, co Ferdynand Ruszczyce, Teresa Roszkowska, Tadeusz Gronowski, Zofia Węgiekrowska.

Najbardziej pracowitym scenografem i najdłużej związanym z Teatrem Polskim okazał się Stanisław Siwczak. Mówi się o nim, że był solidnym wykonawcą, ale brakowało mu inscenizacyjnej koncepcji. Może dlatego, że zajął się głównie oprawą realistyczną, że przyszło mu pracować obok takich sław jak Frycz i Drabik. Jednak — jak słusznie przypomniała Krasiniński — wprowadzone przez niego na większą skalę pomysły konstrukcyjne były czymś nowym i bardzo indywidualnym. Jego dorobek warty jest, moim zdaniem, rewizji sądów o szereglowego opracowania.

Swoje znaczące miejsce w teatrze Szyfmana miała oprawa muzyczna. Dopasowana do nastroju i akcji sztuki muzyka stała się integralnym składnikiem widowiska. Odrzucono przygodne wstawki. Dział muzyczny objęli zawodowi muzykolodzy (Opieński, Schiller). Specjalnie dla potrzeb spektakli komponowali wybitni muzycy: Ludomir Różycki, Jan Maklakiewicz, Karol Szymanowski, Tadeusz Sygietyński. Wprowadzono eksperymenty muzyczno-plastyczne, przy współpracy z inscenizatorami. Zaangażowano znakomych choreografów i baletmistów (Jadwiga Hryniewicka, Feliks Parnelli, Tajanna Wysocka).

Równie wielkie zasługi położył Teatr Polski dla rozwoju sztuki aktorskiej — pisze Krasinski. Złożyła się na to rezygnacja z systemu gwiazd na korzyść gry zespołowej, zlikwidowanie empolis, budki suflera, wielokrotne próby analityczne — czytane i syntetyczne, ale też podniesienie statusu i rangi społecznej aktora. To przez wszystkich aktorzy byli chlubą teatru Szyfmana. Udało się mwa osiągnąć do siebie najwybitniejszych sili. Już na inaugurację teatru zabrał z Krakowa najlepszych. Tu grali Kamiński i Solski, Jaracz, Zelwerowicz i Junosza-Stępowski, Brydziński, Leszczyński i Węgierko, Mazyski, Fertner, Grabowski, Samborski, Solska, Wysocka, Cwiklińska, Przybyłko-Potocka. Tu rozdził się wielkie talenty Janiny Romanówny, Elżbiety Baraszczyckiej, Ireny Eichlerówny, Karłowicza, Kreczmara, Woszczerowicza. Nie inscenizacja — jak chce autor — bo jej osiągnięcia można rozłożyć na kilka scen (Reduta, Teatr im. Bogusława), ani repertuar, ale poziom aktorski zdecydował o randze i wielkości teatru. Żaden teatr w Polsce nie miał wówczas przez tak długi okres równie świetnego zespołu, choć Szyfman nigdy nie uważał, że zdoła stworzyć idealny skład.

Prezentowany repertuar był wielostronny, jednak z przewagą sztuk średniego lub niskiego lotu. Ambitne plany dyrektora korygowało życie. Total nad doбором sztuk najwięcej toczono polemik i sporów, zarzucając niedojrzałość i eklektyzm. Ale tak było w całej Europie — stwierdza Krasinski. Mimo to widać wyraźną aspirację penetrowania nieznanych terenów, sięganie po dzieła wielkiej poezji i dramaty uważane dotąd za niesceniczne. Osobne miejsce uzyskał tu Szekspir i Moliere, ze współczesnych Pirandello, a już enwementem okazał się kult Bernarda Shaw (aż 21 premier 18 sztuk).

Mimo niektórych zastrzeżeń możemy dziś śmiało powiedzieć, że był to teatr w pełni europejski, o dużych zasługach dla polskiej kultury teatralnej, poszukujący nowych form scenicznych, nowego języka i nowych metod pracy. Był kolebką aktorów, punktem odniesienia i porównania dla innych scen, choć trudno zgodzić się ze stanowiskiem autora, że tu dojrzał talent Ostertwy (s. 84) i, być może, gdyby nie Teatr Polski, nie byłoby Reduty. To raczej okres kłopotów sprzeczący wiąż przyszłych działań Ostertwy. Z Szyfmanem dzieliło go zbyt wiele, by mógł dłużej z niego zostać.

Kim był ten „polski Reinhardt”, jak nie bez podstaw nazywa Szyfmana Krasinski? Z literatury pisanej i wspomnień — mówi autor — wyłania się jego podwójne oblicze: z jednej strony to zrzęzny przedsiębiorca, urzędnik, łowca synekur, człowiek interesu, człowiek trudny, samochwał. Z drugiej jawi się w samych pozytywach jako człowiek obłąkany teatrem, aktywny, rozumny, sprawiedliwy dyrektor. Wiemy już, że powstanie tej placówki stanowiło przełom w dziejach polskiego teatru, było czynem patriotycznym i politycznym zarazem. Nie przyszło łatwo. Aby przełamać uprzedzenia endeckiej prasy, wytykającej żydowskie pochodzenie jego rodu, dla dobra sprawy Szyfman zdecydował się przyjąć chrześcijan.

To wszystko, co powiedziano, ma swoje odzwierciedlenie w kronice teatru. Ta część książki wydaje się być najciekawsza, przynosi wiele

interesujących, barwnych szczegółów. Składa się na nią, jak pisze sam autor: *wybrany repertuar, sprawy organizacyjne, skład dyrektora, kierownictwa literacko-artystycznego i zespołów, konflikty dyrektora z artystami, strajki, demonstracje i protesty za kultuami oraz na widowni, nierozważalne więzy sztuki i polityki (...) jubileusze, zgony, występy za granicą i gościnie teatrów obcych, krytyczne bilanse sezonowe i rocznicowe, wreszcie liczne i namiętne polemiki oraz batalie prasowe...* (s. 91), opatrzone oszczędnym komentarzem badacza. Można tu znaleźć opisy wielkich ról, ale i antysympatycznych napadów na dyrektora, obok odnotowanych akcji odzwotowych propagujących sztukę teatru, działalność wydawniczą, tak mało znane fakty, jak propozycja powierzenia reżyserii Tadeuszowi Ritternowi, bojkot sztuk Witkacego czy moment „załamania się” dyrektora zamierzającego sprzedać swój teatr...

Dodatkowego smaku dodaje książkę bogata dokumentacja ikonograficzna. Warto sięgnąć po tę ciekawą i mądrą pozycję.

Edward Krasinski: *Teatr Polski Amadea Szyfmana 1912-1939*. PWN, Warszawa 1991, ss. 335.



Adam Kosowski: Św. Jan od Krzyża (fragment) z Kaplicy Karmelitańskich Męczenników w Ayleford.

noty

KRZYSZTOF PACZULSKI

ARKUSZ — TO NIE TAK MAŁO

Nie tylko pieniądze szczęścia nie dają. Uznane wartości też są dzisiaj w tarapatkach (mówi się, że przeżywają kryzys), sukcesu nie gwarantuje nawet sztuka. Na przykład literatura, choć piękna, od jakiegoś czasu nie ma powodzenia. Książki prozatorskie i poetyckie solidarnie leżą na półkach, budząc w senach księgarzy (niecierpliwych co prawdy) mieszane uczucia — zawoła i litość.

Żeby kupić (nie zdobyć) bibliofilskie wydania Herberta czy Różewicza, nie trzeba się teraz spieszyć. Same i za darmo nie trafają jeszcze do rąk czytelnika, nie niedługo... być może. Jeśli nawet jeszcze minieja tacy (chyba tak), którzy od lat mają swój wydawca co miesiąc pewną ilość pieniędzy (coraz mniejszą) zapewne na książki, przy półkach i literaturę wspaniałą zatrzymują się chętnie i upodają tam sporo czasu. Jednak najczęściej nie kupują. Kupuje się to, co od lat chciało się mieć, czego w domu brakuje, co jest niezbędne. Oszczędza się na książkach autorów współczesnych.

Podobnie dzieje się z prasą. Dla wspaniałych odbiorców jej recepta ogranicza się do weekendowego wydania miejscowego dziennika. Poważne periodyki literackie i kulturalne jak np. „Odra”, „Twój”, „Więceńskie”, „Literatura na Świecie” nie znajdują dziś ani godziny, ukazują się ze znaczącym opóźnieniem, a redakcje i wydawcy czarno widzą najbliższą ich przyszłość.

Dlatego też otucha napawiająca wszelkie inicjatywy, które stawiają sobie za cel przedłużenie życia literackiego, tych środowisk, gdzie życie to jeszcze się kołata. Jedną z takich inicjatyw jest poznański „Arkusz”, miesięcznik kulturalny oficyny wydawniczej „Głos Wielkopolski”, ukazujący się jako dodatek do tego właśnie dziennika od 23 listopada 1991 roku.

Pismo redaguje kolegią, pod przewodnictwem Bogusława Łatawiec. Wśród twórców dodatku wymienia się: Bogusława Bakulę, Włodzimierza Bruźnickiego, Mariana Marka Przybylskiego, Ryszarda K. Przybylskiego, Józefa Ratajczaka, Witolda Tkaczyka, a ze stałych współpracowników odnotować należy takich postaci jak: Edward Balcerzan, Stanisław Barańczak, Elżbieta Kałeba-Kasprzak, Jerzy Kozłak, Egon Nagawski.

Przeważa, co zrozumiale, tematyka literacka, ale w każdym numerze odnalazł można dość polioscący nurt i teatrowi (wspomnienie o T. Lomnickim, wywiad z A. Wanatem), prezentacje i omówienia ważniejszych wystaw, a także reprodukcje prac plastycznych, najciekawsze graficznych (Galeria Arkusza) i innych twórców nie tylko z Poznania. Marek Hendrykowski uzupełnia to rubrykami „U brzości film” oraz „Alfabet liter”, które się są, jak by było, recenzjami kinowych premier, ale głębia analizy gwiźnie z kręgu M. Mury.

W „Arkuszu” też się niegdyś na reportaż i publicystykę kulturalną. W numerze trzecim Zofia Trojanowska zamieszcza tekst pt. *W iścieckiej książce telefonowej* aż roi się od polskich nazwisk, a w słownym Krytyka S. Ołtarz omawia system amerykańskich uprzedzeń rasowych i nierówności w świetle światowych wydatków w nowojimskim college'u — na krótko przed tragicznymi rozrachunkami na d. rasowym w Los Angeles, San Francisco i Allandale (*Chasmy nagode amerykańskie*).

Istotny jest także dział zarytutowany „O czym piszą sąsiadzi” a tu ciekawie tekst Bogusława Bakulę *Powrót Solżenitsyna*. Solżenitsyn nigdy nie pogodził się z banieją. Nawet nie próbował zbliżyć się do amerykańskiej cywilizacji. Nigdy jej nie lubił i przy każdej okazji krytykował. Odrzucał oferty amerykańskich uniwersytetów. Zbawiał dom polski ogromnych ilości rżniętą Fremont, polichlorowiny, plastiku, grzybieli. Żył tam z czystą radością w otoczeniu pracy, jak twierdzi niektórzy, odosobnieniu. Wiele pracował, ale od Kilka lat nie wydał nowego utworu literackiego. Publikuje za to broszury polityczne odwołujące się głównie echem na świecie, także w Rosji, do której głównie się skierowane.

Wśród materiałów autorówk zwraca uwagę seria felietonów literackich Edwarda Balcerzana „Przypady człowieka książkowego”, szczególnie wspomnienie i Mirosława Balcerzan (iśnak męsko). W cyklu „nie tylko dla szkoły” między innymi Egon Nagawski w czwartym numerze „Arkusza” tak pisze o Preczka Kalfi: *Proces pojęcia jako powieści o „niejnym bez kary”* (Herling-Grudziński), *powieść, w której „kara szuka zbrodni”* (Kandara) i sama w sobie jest jak dowodem winy, gdyż żadną się nie myli i myśle nie może, ma pod interesującą nam względem domu znaczącą wymowę i zdaniem wręcz niebywałą dalekowzroczność Franta Kalfi. Błęd latu, zwłaszcza na Zachodzie, za takich czasów, nawet do niedawna, nie rozwijało mechanizmów genetycznych wpływających na ich pojawienie się przez autora „Kolejny karnej” i „Zanka” (...).

Do wyróżniających się materiałów poznanińskiego dodatku zaliczyć można dwa wydawnicze przeprowadzone przez B. Łatawiec. Pierwszy z Julia Hartwig, nastąpił zaś z Uta Przybysz przeprowadzony w Chicago w kwietniu 1992 r., na Międzynarodowej Konferencji poświęconej J. Przybyszowi. W ciekawie i żywo prowadzonej rozmowie ujawnia się cechy twórczości osobowości ciotki poety.

B.L.: Czy Borka i malowanie to dla ciebie choć takie same dręgi jak Absolu? Uta: Nie. Dobra poezja jest jak sama w sobie od razu aktem metafizycznym, tym po prostu jest, co przetrzymam. A obraz to dla autora tylko opis — wypowiedź na lewym.

Dajęmu o odbiorcy może wyrok: przeżył wyższego rzędu. Poematem jest materiał, w którym się przeżywa. (...) Ojciec musiał płakać. To dla niego było istną trybą. Ja nie mam matki malować. To, że gdzieś tam byłoby wolał mój obraz nie jest dla mnie aż tak ważne. Obrazy mogą się, aby były w zamkniętej przestrzeni, stworzonej przez człowieka, dla człowieka. Są tylko dodatkami do... Właściwie dochodzić całych ziem, gdyż to się ogląda bezpośrednio na naturze, na przykład wśród drzew.

Sprawa zabiegająca na osobie omówienie jest poezja i proza zamieszczona w „Arkuszu”. Skłame ramy dodatku nie pozwalają zapewne szerzej przedstawić nawet dokonani twórców związanych z poznańskim środowiskiem, jak choćby W. Osmęcy. Prezentacja poezji, a szczególnie prozy wydaje się zbyt przypadkowa. Wzrost A. Międzyrzeczkiego i przekłady R. Krynickiego były w niewielkiej części rekompensują się braki. Mimo to wśród dwunastu numerów „Arkusza” można odnaleźć prawdziwy mądra literatury — mam tu na myśli dwa wiersze Wisławy Szymborskiej zamieszczone w dwunastym numerze wraz z jej kolatem pt. *An*, a także prozę Krzysztofa Nowickiego pt. *Herod i Andrzej* Brana *Powrót cywilizacji*.

Niezwykle interesującym cyklem „Arkusza” jest „Rytm epoki” zawierający wypowiedzi, dotyczące sytuacji współczesnej kultury. Znaczący publikuje tu swoje diagnozy i prognozy odnoszące się do aktualnych (i innych) bieżących zmian w kulturze europejskiej — ogólnie z perspektywą polską. W szkicu D. Wojtaczka (nr 10) pt. *Niedługo przeminie — czytamy. Powstrzymawia nawet obserwacja okoliczności, nie brania dyskusji do nieprzejawionej kontingencji, iż latownia pojawienie się w naszym czasie wszelkiego rodzaju prokreacji i wszelkich zastępujących nieuchronnie koniec świata nie jest efektem i tym narastającej psychiki całego społeczeństwa, a w istocie rzeczywisty wókol na krzyż się z dnia na dzień i grozi ostatecznym rozpędem (...). Jest także znakomite opowiadanie Larry Nivena, które rozgrywa się w zamkniętej przestrzeni, niedługo przed końcem pewnej cywilizacji, gdzie dochodzi do walki między barbarzyńcą a cywilizacją, do której wyczuwa natężenie światła i światła. Wiersze takie — dół ciemności — przeważnie wyryłyśmy czarodziei i brachy powiem brzości inteligencji podobał się w słomce procenta. W naszych czasach prawdziwi czarodzieje zostali wypisani na ziemi z niedowidziałym grzybli.*

Z drabniejszych, choć istotnych w „Arkuszu” miejsce odnotować należy „Jaskółkę” czy lindarę, reklamowe wspan, okiemko prezentujące nowości wydawnicze, jak choćby *Ocalenie* w tłumaczeniu St. Barańczaka, czy *Oblicza automatyzmu* Bogusława

Bakulę. Do nabycia tej ostatniej pozycji zachęca przytoczona w „Jaskółce” notatka z okładi: *Książka „Oblicza awangardyzmu” przedstawia w syntetycznym ujęciu historię awangardyzmu nurtu nawiązującego do roku 1956, czyli zwieńczenia i przewrotnościach zachodzących w kulturze polskiej między 1956 a 1981 oraz z różnymi kierunkami przeobrażeń przez historię w XX wieku, od awangardy począwszy, a na postmodernizmie kończąc.*

W ciągu rocznej działalności redakcji pozostającego dodatku sukcesem z pewnością jest ogłoszenie i rozstrzygnięcie konkursu prozatorskiego. Ilość prac, które wpłynęły na konkurs świadczy o pozytywności i popularności gazety, a także o intensywnym rozwoju literatury, na które „Arkusz” oddziałuje i które tworzy się wokół tego pisma.

Przykład „Arkusza” jest wskazówką dla wszystkich, którzy zajmują się literaturą i jej wydawaniem. Środowisko twórców mieszczań stałoby bez wątpienia na wydawanie dużej, oddzielnej gazety. Istnieje jednak realne niebezpieczeństwo, że taki periodyk przetrwałby zaledwie kilka miesięcy (podobnych spekulacji doświadczył w tym względzie „Przegląd Północny”). Rozpamiętanie z ambicji formy regularnego, wielostronowego miesięcznika, poliwocznego kultury i literatury jest zatem jak najbardziej świadoma i wynika z konieczności i poczucia rzeczywistości. Ten jeden arkusz ukazuje się przecież bez opóźnienia, w weekendowym wydaniu początkującego dziennika jest za węższych miast w Polsce. Wiersze, opowiadania, eseje, reportaże i recenzje docierają do ogromnej rzeszy czytelników i są przyjmowane. W dwunastu numerach pozostającego dodatku widać też niezależność od wydawcy i redakcji dziennika, co jest na pewno ogromnym sukcesem zarówno twórców, jak i całej redakcji „Głosu Wielkopolskiego”.

W trudnych dla kultury czasach trzeba szukać sposobów, aby przetrwać i wbrew wszystkim być obecnym. Twórcy i odbiorcy sztuki i literatury chcą mieć nadal swoje miejsce choćby tylko w przestrzeni jednego arkusza. A swoją drogą „Arkusz” — to wcale nie tak mało...

Krzysztof Pazdzicki

WŁADYSŁAW KUCHARSKI

JÓZEF FRANCISZEK BIAŁASIEWICZ (1912-1986)

Dnia 27 września 1912 r. minęło 6 lat od śmierci, a 3 grudnia 1992 r. 80 lat od urodzin Józefa Franciszka Białasiewicza, jednego z najbardziej zasłużonych dziennikarzy polskiego oraz organizatorów życia polonijnego w Niemczech Zachodnich i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Józef F. Białasiewicz urodził się w Zwierzycu koło Zamościa. W miejscowej rodzinie ukończył szkołę podstawową. Do gimnazjum im. Jana Zamojskiego uczęszczał w Zamościu. Będąc uczniem nawiązał współpracę ze „Słowem Zamojskim”, publikując na jego łamach krótkie opowiadania.

Po zdaniu matury udał się w 1930 roku do Warszawy, gdzie na miejscowym uniwersytecie ukończył studia prawnicze. W czasie studiów podjął pracę w „Gazecie Warszawskiej”. Współpracował też z tygodnikiem „Szerokie”. Od maja 1938 r. aż do wybuchu drugiej wojny światowej był kierownikiem działu zagranicznego w „Kurierze Porannym”. Działalność aktywną w Syndykacie Dziennikarzy Polskich i Związku Pięści Katolickich piastując godność sekretarza sekcji dziennikarskiej.

W drugiej połowie lat trzydziestych zawarł związek małżeński. Niedługo ciężarzą się małżonkowie ogromną gniazda i synem Wojciechem¹. Wojna beztętnie zgniewała

życie milionów Polaków. Redaktor Józef F. Białasiewicz wraz z rodziną skazany był na nieciągłość. Mimo trudności wojny, nie zabrał się za stałą się efektywnym korespondentem. Od stycznia 1941 r., pod pseudonimem „Tadeusz”, prowadził ożywioną działalność publicystyczną na łamach warszawskiego „Słowa Polskiego”.²

Wiosną 1942 r. zaczął się ukazywać w Warszawie „Przegląd Polityczny”. W składzie trzyosobowej redakcji pisma nie zabrakło „Tadeusza”. Od jesieni 1942 r. redaguje on dwutygodnik „Państwo Polskie” oraz „Agencję Polski Wschodniej”. W tym czasie wykonywać nadto wiele zadań bojowych wymierzonych przeciwko okupantom hitlerowskim.

Getapow padło na trop pracującego redaktora i konspiratora. 11 marca 1943 r. aresztowało go i odesłało na warszawskim Powiatku. Po dwóch miesiącach tortur został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie otrzymał numer 121378. W czasie zbitania się końca wojny hitlerowskiej przyspiał do likwidacji obozu zagłady w Oświęcimiu. Znaczną ilość więźniów ewakuowano w styczniu 1945 r. do obozu koncentracyjnego w Flossenbürgu we wschodniej Bawarii. Wśród ewakuowanych znalazł się też redaktor J.F. Białasiewicz. Z obozu został uwolniony 25 kwietnia 1945 r. przez oddział 3 Armii Amerykańskiej. Żony, której historię aresztowania po powstaniu warszawskim i odesłaniu także w obozie, nigdy już nie zobaczył.

Po zakończeniu II wojny światowej na terenie Niemiec znalazło się około 2 mln Polaków, głównie byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych i osób wywiezionych na przymusowe roboty. Redaktor J.F. Białasiewicz stał się wśród nich inicjatorem, organizatorem a następnie prezesem Komitetu Polskiego w miejscowości Stawiers (Bawaria). Rozpoczął także wydawanie pisma „Wiadomości Polskie”, informującego o sytuacji politycznej oraz wojennej krajów i na świecie. W czerwcu 1945 r. opuścił Stawiers i przeniósł się do polskiego ośrodka wojskowego w Hamburgu, a następnie do obozu Langenwiese koło Norymbergi, gdzie zaczął publikować od czerwca 1945 r. mały, cotygodniowy pt. „Pismo Żołnierza”. W grudniu 1946 r., po likwidacji czasopisma, przeniósł się do Epstein koło Frankfurtu nad Menem, aby wzmocnić zespół dziennikarzy polskich, którzy otrzymali zezwolenie amerykańskich władz okupacyjnych na wydawanie nowego tygodnika „Kronika”. Baza dziennikarzy był hotel „Benberg” w Epstein, zwany Domes Dziennikarzy Polskich. Domes był nie tylko miejscem zakwaterowania grup dziennikarzy, ale jednocześnie ważnym ośrodkiem życia społecznego kulturalnego Polaków. Odbywały się w nim zjazdy i konferencje z udziałem wybitnych przedstawicieli nie tylko polskiego życia kulturalnego, naukowego i politycznego.

Dziennikarz w Epstein powierzył J.F. Białasiewiczowi funkcję prezesa Syndykatu Dziennikarzy Polskich oraz prezesa Międzynarodowego Związku Pras D.P. w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Obie te funkcje piastował przez kilka lat. W 1949 r. pełnił także godność prezesa Zjednoczenia Polskiego w kraju Wielka Brytania. Ekip niemiecki był bardzo ważny w życiu tego ułamekowego dziennikarstwa. Znalazł jako energiczny i rożnowy organizator życia społecznego Polaków. Dzięki jego taktyce, dyplomacji zażegnane zostało wiele sporów wewnętrznoorganizacyjnych. Często rozbrajał oponentów jednym dowcipem.

Lata 1946-1949 charakteryzowały się odpychaniem Polaków z Niemiec. Dni wracali w ojczyznę strony, inni udawali się w poszukiwaniu pracy czy chłoba, a także za węzłów politycznych, głównie do USA i Australii. Niemcy opowiedzieli też redaktor Józef F. Białasiewicz. W komunikacie nr 3 Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech czytamy m.in.: *Na posiedzeniu odbytym w dniu 1 X br. (1949 r.) — przyp. W.K.) zarząd postanowił wyrazić ironiczny Syndykatu wyraz szeregowego zaniepokojenia i podziękować byłego prezesowi Syndykatu red. Józefowi Białasiewiczowi, którego nieposłuszeństwo i energia i trudności organizacyjne przyczyniły Syndykatu, a przede wszystkim im sprawie polskich, wielkie niekorzystne polityczne szkody — zarówno na terenie wewnętrznopolskim jak i międzynarodowym.*

¹ „Słowo Polskie” ukazywało się w Warszawie od stycznia 1940 r. do stycznia 1941 r. Ujęło ono likwidację ze względu na dokonane przez hitlerowskie nastawienie pracowników redakcji.

² Zob. J. Korwicki: *Prasa polska w Niemczech w latach 1945-1991. Dokumentacja z archiwum redakcji „Testamentu”*. Warszawa 1978, s. 14.

³ Ibid., s. 44. „Pismo Żołnierza”, będąc jednym z najwybitniejszych tygodników polskich w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, ukazywało się kilkakrotnie niżej; likwidowane zostało w wyniku decyzji UNRRA.

⁴ „DP” („Dziennik”) to skróty od niemieckiego *Deutscher Presse* — „niemieckiego dziennika”.

⁵ Zbiory własne autora. Testa 1 — USA (Dziękuję ci, Testa 1 — USA).

Do Chicago J.F. Białosiewicz przybył 24 września 1949 r., licząc na otrzymanie pracy w swoim zawodzie. W liście wysłanym do Pietera Voltera — prezesa Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Nowym Yorku z ubolewaniem pisał: *Na terenie USA jestem trzeci tydzień. Na razie jeszcze nie pracuję, bo strąki w przeszłości stanowiły trudną znajomość pracy. Oczywiście, najchętniej pracowałbym w dziennikarstwie, lecz po pierwszych wstąpiach i rozmowach w Chicago doszedłem do wniosku, że raczej trudno oczekiwać pomocy ze strony pracujących kolegów. Kiedy odwiedziłem dziennikarstwo, dało dobre rady, aby stworzyć się tyle czego, ile praca w piśmie polonijnych nie pozwala (p. Zastanawiające jednak, że ci sami kolecyści tak sprężyście reagują na wstąpienie pracy w piśmie).*¹

Do znajomych poznańskich znalazł pracę jako robotnik w tołarni przemysłowej polonijnego Polarskiego (Poray i Starck Co. — Chicago), współpracując jednocześnie z wieloma polonijnymi pismami w Europie i Kanadzie. Brał też żywy udział w organizowaniu życia społecznego polonijnych emigrantów. W listopadzie 1949 r. był współorganizatorem wiecu polonijnego zwołanego w Polskie Park w Chicago. Uczestnicy wiecu postanowili utworzyć Stowarzyszenie Stowarzyszony Nowej Emigracji. Utworzone Stowarzyszenie funkcję prezesa powierzył J.F. Białosiewiczowi — wówczas robotnikowi zatrudnionemu w stolarni. Z jego inicjatywy urządzano raz w miesiącu przez kilka lat, w ramach Stowarzyszenia Nowej Emigracji, tzw. żywe dzienniki, w czasie których występowali twórcy, głównie pisarze, dziennikarze, uczeni, muzycy, prezentując historię i kulturę polską. Białosiewicz brał też czynny udział w pracach Muzeum Polskiego w Ameryce. Często podkładał w swoich wystąpieniach, ile instytucja ta, podobnie jak stowarzyszenia i prasa, winna młodemu pokoleniu polonijnemu pomóc w odnalezieniu tożsamości narodowej. Zastępował również z aktywności w Towarzystwie sw. Krzyża Zgromadzenia Polskiego Rzymo-Katolickiego. W październiku 1950 r. odszedł z fabryki i założył male biuro, tzw. public relations, zajmując się wyszkoleniem, co wchodziło w zakres propagandy, reklamy i informacji prasowej. Płocówka ta w czasie przekształcała się w jedną z największych księgarni polskich w Ameryce — Polish American Books Company.² Dzięki wplywom fachowcoi od stycznia 1951 r. zostaje zaangażowany do pracy w „Dzienniku Chicagowskim”. Aby brze reszty oddać się pracy dziennikarskiej zrezygnował w lutym tego roku z funkcji prezesa Stowarzyszenia Stowarzyszony Nowej Fundacji.

W maju 1952 r. uczestniczył w zjeździe Związku Dziennikarzy Polskich w Ameryce (w Atlantic City, N.J.), gdzie w wygłoszonego referacie omówił sprawę etyki zawodowej dziennikarstwa. Zasadnicze treść tego wystąpienia warto przytoczyć, ponieważ stanowiły zawodowe credo autora: *wszyscy zgadzają się — dowodzi — że celem pracy jest spełnienie posłannictwa. Jest to posłannictwo o szczególnym charakterze gatunkowym, ponieważ kształtuje na podstawie faktów opinii środowisk ludzkich, wskazuje przyczyny, wynikające ze stanu faktycznego, wyzyskuje kierunek myślenia, czy oświeca, informuje i wyjaśnia. Wypływa z tego, że dziennikarstwo jest nie tylko w wielu zagadnieniach niezręcznością, choć niekiedy może zawodzić.*

*Jest więc taka jest rola pracy — kontynuował — jakie należy mieć być ona wypracowa-
cia obywateli celów. I nie dochodzi do kwestii prawdy w informowaniu poprzez pracę i wiążącej się z tym sprawę etyki dziennikarskiej. Prawa bowiem, czyniąc wiele dobrego, co jest przecież bezdyskusyjne, może też wyrządzić straty i krzywdy społecznej ludzkiej, dla której jest przetrasowana.³*

W 1958 r. Białosiewicz został redaktorem naczelnym „Dziennika Chicagowskiego”⁴. Ktośemu kieruje aż do momentu likwidacji gazety, to jest do 1971 r. W swych odnośnych się do pracy w redakcji „Dziennika Chicagowskiego” pisał: *Patrzę na pismo, jako nie tylko na warsztat pracy, dający mi podstawę utrzymania, ale też jako na instrument wyrażający pilnowany przecież zadanie. Chodzi nie tylko o zarobek, ale też o wewnętrzne zadowolenie z wykonanej pracy, o okazję wyrażania umiędzielnia zawodowych, o poczucie współdziałania w zespole, w dobrym dziele.⁵*

„Dziennik Chicagowski” pod jego redakcją stał się żywym piśmem, nie straconym od polonij. Wiele widać w swych publikacjach polonijscy Polacy, a szczególnie stowarzyszeniem i instytucjom polonijnym zrzeszającym Polaków i osoby polskiego pochodzenia. W okresie pracy w „Dzienniku Chicagowskim” J.F. Białosiewicz znalazł także towarzyszy życia — Danutę, która była mu przyjacielen i opiekunką domowego ogniska.

W dniu 30 września 1960 r. na zjeździe dziennikarzy polskich i pochodzenia polonijnych, odbywającym się w Chicago, powołano do życia Związek Dziennikarzy Polsko-Amerykańskich (Guild of Polish-American Journalists), którego wiceprezsem został J.F. Białosiewicz, a w grudniu 1968 r., po wznowieniu działalności przez Syndykat Dziennikarzy Polskich w Ameryce, zostaje prezesem tego Syndykatu. W marcu 1969 r. Kongres Polonijni Amerykańscy (KPA) powołał na przewodniczącym Komitetu Prasy Polskiej. W tym miejscu jeszcze na gorąco się podkreśli, że redaktora J.F. Białosiewicza zamianował rozdziałem żywo i jednolite narodowo, potrafił tak bronić swoich poglądów. Między innymi a liderami KPA dochodziło często do ostrej polemiki na tle stosunku do ojczystego kraju. Mimo że KPA nie utrzymywał oficjalnych kontaktów z instytucjami i stowarzyszeniami krajowymi mającymi na celu współdziałanie z Polską, to jednak J.F. Białosiewicz w czasie pobytu w Polsce nie utracił kontaktu z przedstawicielami Towarzystwa Łączności i Polonią Zagraniczną „Polonia” w Warszawie i Polonijnym Centrum Kulturalno-Oświatowego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, m.in. w maju 1964 r.

W sierpniu 1974 r. w liście do prezesa Kongresu Polonijni Amerykańscy Białosiewicz pisał: *Rozwijałem granitowo i na zimno mój udział w pracach organizacyjnych i społecznych i ideowo-politycznych w interesie naszego społeczeństwa. Dostrzedłem, że praktycznie, że dotyczy mój udział w tych pracach nie jest możliwy. Nie udało mi się układać czasu, energii, myśli i wysiłków w przedziale, ale 25 lat wystarczy, gdy nie chce już dalej zierać swoich złych przyzwyczajeń. Dlatego też praca o przyjęciu mojej rezygnacji z funkcji i obowiązków w ramach KPA, a mianowicie rezygnację z: Komitetu Prasy Polskiej, Komitetu Współpracy Polsko-Zydowskiej, Komitetu Światowej Polonii, Dyrekcji KPA.⁶*

W dniu 26 września 1976 r. Komitet Prasy Polskiej przedłożył Konwencji KPA projekt rezolucji, która została podjęta większością głosów. O treść tej rezolucji, Komitet Prasy Polskiej pragnie poinformować, że wyraża podziękowanie zwrócić przewodniczącemu red. Józefowi Białosiewiczowi za jego długoletnią pracę na stanowisku przewodniczącego Komitetu. Komitet stwierdza, że w swojej pracy red. Józef Białosiewicz kierując się dobrem społeczności polsko-amerykańskiej i spraw polskiej, oddając jej usługi na najróżnorodnym polu czynnym i zawodowym.⁷

Rok 1971 był szczególnie trudny w karierze dziennikarskiej J.F. Białosiewicza. Z uwagi na szybko postępujący deficyt wydawnictwa „Polonia” — niezadowolony owoce zamierzających zmuszeni byli zaprzestać wydawania tej gazety, Likwidacja „Dziennika Chicagowskiego” i tygodnika „Ameryka — Echo”, który był od 1961 r. drukowany w drukarni „Dziennika Chicagowskiego”, korzystając z gotowych materiałów redakcyjnych tej gazety, zmusił J.F. Białosiewicza do skłaniania nowych dróg na polu wydawnictwa. Wraz z grupą działaczy polonijnych założył korporację, która 4 lipca 1971 r. rozpoczęła wydawanie „Polonii” — niezależnego tygodnika Amerykanów polskiego pochodzenia. Redaktorem naczelnym pisma został J.F. Białosiewicz.⁸ W artykule wstępnym pisał: *Czy wobec trudności wydawnictwa, które doświadczyło się na nas nakład likwidację trzech polskich pism i polskiej księgarni w Chicago byłabyż tak warte jako społeczność, gdybyśmy nie podjęli samodzielnego inicjatywy wydawnictwa? [...] Nie wzięliśmy poważnie rezygnacji czy bierności i nie zaprzestaliśmy [...] Nie wolno dopuszczać, aby w tych barłach czasu Polska była stała pochłonięta podstawowych instrumentów walki o jej celów ideowe, o jej duchowe wartości polskiej dziedzictwa, o jej umiarkowanie, aspiracje i interesy zbiorowe. Zbyt dółkawe straty Polska poniosła w ostatnich latach w swoim stanie prawnego porządku, aby mogła przetrwać nie tylko gorzko, ale wręcz napoleonicznie trującą się pigułkę. I dlatego wydaliśmy to pismo.⁹*

¹ Ibid.

² Polish American Books Company otrzymała tytuł do końca lat 50. Kontynuacją działalności J.F. Białosiewicza stała się chiogowska księgarnia „Polonia”, należąca polonijnej rodzinie w USA.

³ Tęcza 1, USA — m. ot.

⁴ Zob. J. Kowalski: *Biłbografia znaczących polskich wydawnictw prasowych granicami kraju od września 1939 r. do 1. X 1945*, KUL, Lublin 1976, s. 145.

⁵ Tęcza 1, USA — m. ot.

⁶ Ibid.

⁷ Ibid.

⁸ Zob. J. Kowalski: *Biłbografia* — m. ot., s. 180.

⁹ Zob. J. Kowalski: *Biłbografia znaczących polskich wydawnictw prasowych granicami kraju od września 1939 r. do 1. X 1945*, KUL, Lublin 1976, s. 1.

Dr Jan Skarbek: *Profesor Janusz Tazbir napisał książkę: „Polaka przedmurzem chrześcijaństwa”. Po jej przeczytaniu miałem wątpliwości, czy tak rzeczywiście było. Czy tylko istniał jeden z nich: mianowicie u Polak jako przedmurze chrześcijaństwa? Czy był to spekulacyjny, wiatrakwie funkcję spójność? Działaj, po zaledwie Kamieńca Podolskiego i Chocimów wierzę, że jednak byłby przedmurzem chrześcijaństwa. Są na to materiały, widoczne gołym okiem dźwiny. Znajomość geografii historycznej, topografii jest bardzo ważna nie tylko dla historyka, ale i dla przeciętnego obywatela dzisiaj.*

W tym momencie przychodzi na myśl słowa Jana Kłoczkowskiego, ze spotkania pt. Ogród granicy w Teatrze Proscenium w Lublinie.

*Larwo się zbawia! Akropol,
Larwo zabij, Larwo zapamięć!
Nie obrażaj panowie,
Nie wyganaj jej za drzewo.
Kiedy odleżał, jej pat nie powie ci kim jestel,
ani co znaczą obca mowa grzybi.
Proście słowa zarząba swój sen,
Książkę, zeszyt i półno pokryje kurz,
a Hermes zgabi swój sandał.
Wtedy tyjko się sen.*

Z tą ziemią bory nas nie tylko historia, ale i współczesne spotkanie z ludźmi.

Spotkania z ludźmi:

W ciągu pięciu dni pobytu na Ukrainie było ich wiele. Spotykaliśmy się podczas sympozjum, podczas posiłków w sali hotelu „Smotacz”. Były też kontakty mniej oficjalne, prywatne, okazje. O tych ostatnich warto powiedzieć parę słów.

Wielkie wrażenie wywarła na nas mazaż w, w katedrze kamiennej, wypełnionej w znaczący mierze mieszkańcami Kamienka, a dokładniej mieszkańcami. Widzieliśmy je w chustach na głowach, śpiące po polsku, śiadające w ławkach jeszcze po masy i modlące się i rzęcznie przepisywanych i bardzo zarytualizowanych do nabożeństwa.

Symbolizowało to przesłanie i trwanie stałości na fenomen granicy z cudem, który świadcy o tym że nie można zniszczyć wiary człowieka i podania na lepszą przyszłość. Wychodząc z hotelu natknęliśmy się na człowieka z wielkimi rabinem papierów pod pachą. Przedstawił się po rosyjsku. Jest polskiego pochodzenia, ale nie mówi po polsku, bo nie miał się gdzie nauczyć. Urodził się w 1961 roku, ukończył architekturę na uniwersytecie w Charkowie. Pracował w różnych instytucjach, m.in. w muzeum historycznym w Kamieńcu. Wędrował go wyrażano. Utrzymuje się z robienia portretów na zamówienie. Jest zachowany w Kamieńcu Podolskim. Świadczy, że miasto to nie jest polskie, ani ukraińskie, to jest miasto europejskie. Oferuje nam pokazanie Kamienka od „kuchni”. Żwieje rabinem, na których widniej rysunki poszczególnych zabytłoci i plan miasta, bierze je pod pachę. Idziemy razem. Odkatery, na skraj kanionu oglądamy dobrane zachowane pomniki z XVI wieku z oryginalnymi sklepieniami. W jednej z nich było małe źródło. Wzrappając

związkiem wywołuje zwiedzenie dawnego klasztoru franciszkańskiego: odbicie wrażeń i rabinem, zachowane sklepienie w otchłań, a przy okazji do jednej z nich wykuty w kamieniu herb franciszkański: krzyż ze skrzyżstwowymi dłońmi. Do niedawna mieściło się tu jatki. Stojący obok kościół franciszkański zamieniony na magazyn, zabity domami, zamknięty na wielką kłódkę. Oglądamy jeszcze drewniana cerkiewkę, a z daleka widzimy odbudowywaną ze zniszczonych kościoł dominikański. Za kilka lat, po remoncie, znów będzie rozbudowana w inną modlitwę.

Płynący o Polaków. Są nieliczni, żyją skromnie. Pani Kotowicz jest w domu i rozmawiam z nią po polsku. Urodziła się tutaj w 1913 r. Mają był dyrektorem szkoły od 1918 r. Do szkoły tej uczęszczał Moniekowiczowie (rodzice Krystyna Kłoczkowskiej, żony prof. Jerzego Kłoczkowskiego). Dyrektora Kotowicz wywieziono na Sybir w 1939 roku. Żyje teraz sama, schorowana, nie opuszcza swojej domu w dolinie Smotacz. Zeje nie pozwoliły by kontynuować rozmowy i odsłodził słuchawkę.

Oddajmy głos historykom. Wypowiadali się w Kamieńcu na różne tematy. Wybrałem niektóre osoby i wątki, aby przybliżyć charakter i częściowo zakres dyskusji.

Wielobóg historyków:

Mamy poczucie, że historycy w czasach wyjątkowo ważnych dla naszych narodów. Tworzymy nową Europę, nową rzeczywistość tej części świata. Nawładzają drobne zastrzeżenia, co było należytym w rzeczywistości historii naszych krajów i stworzyli im miejsce w nowej, wielkiej Europie, w której będą współniawołni wolni i niepodlegli państwa: Białoruś, Litwa, Polska i Ukraina. Jest to wielkie, historyczne wezwanie i zadanie dla historyków, dla naszego pokolenia, dla młodych w naszych krajach. Mam nadzieję, że podczas konferencji w najbliższym tygodniu Kamienka, osiągniętych postępków, do podjęcia ważnego porozumienia, tak niezwykle potrzebnej w tej chwili, jak woda i powietrze. Po spotkaniach w Rzymie i Lublinie to bliższe nasze porozumienie i współdziałanie zyskujemy się we wszystkich historycznych sprawach (z przemienienia) tego Jerzego Kłoczkowskiego, przewodniczącego Komitetu Rzymskiego, wyłożonego podczas otwartej konferencji w Kamieńcu).

Profesor Henryk Samsonowicz — Warszawa — przypomniał: *Od średnich wieków istniały tu różne grupy społeczne, wspólnoty narodowe, religijne, które miały ze sobą kontakty, powiązania, stosunki handlowe i kulturalne. Byli to na pewno: Ukraińcy, Polacy, Litwini, Ormianie, Szweci, Niemcy, Żydzi, Włosi. Porozumiewano się z kilku językami. Pomysłowość tej części Europy załatwiała od umietymolei użytkownicy tych grup etnicznych, od istnienia wspólnoty, która miała określone prawa i przywileje, poczucie własnej wspólnoty i poczucie bezpieczeństwa. Współdziałanie grup było zaobserwowane. Przykładem może być Kamieniec. Podzielił się brzoza wspólnotami: polską z żywym mądrostwem, ukraińską i ormiańską. Do dzisiaj jest to widoczne w architekturze miasta. We Lwowie natomiast istniała jedna wspólnota miejska, ale wśród społeczeństwa były trzy grupy: ukraińska, polska i ormiańska. Zjawisko pokazuje koegzystencję różnych grup etnicznych i religijnych istniało podobny czynnik świadomości naszych narodów.*

Zdaniem profesora Daniela Beazova z uniwersytetu w Lille historia Europy Środkowej nie stanowi historii Rusi. Ta część Europy ma swoją historię, tradycję i kulturę. Mówi się tu niezmierzonymi językami: po łowu sk, niemiecku, po polsku. Jestem Francuzem, ale uważam się za honorowego obywatela tej wspólnoty: Ukrainy, Litwy, Białoruś i Polski. Zajął tu nardu w granicach starożytności przez Hłota i Słaba. Te rzeczywistości nie są dla pokoleń zmian i torze w niej żyje. Istnieje Polska rzeczywistość i Polska mazaż. Nie historycy mazaż w rzeczywistości. Gdy idę o ziemie dawnej Rzeczypospolitej, to polskość wypierała w nich kulturę ukraińską, litewską i białoruską. Te właśnie kultury przeżyły dzięki językowi wst, chłopu i kłeru. Tożsamość Polaków na Litwie i Ukrainie miała dwa aspekty: polski i lokalny, ale polski przeważał. Dawne znaczenie pojęcia: obywatelstwo i obywatelskość było inne. Uważaliśmy się z narodem i obywatelstwem szlachetnym. Wykluczano z tego pojęcia człowieka ubogiego. Koncepcja obywatelskości szlachetnej nie uległa zmianie od schyłku aż do końca XIX wieku. Wpływało obywatelskość jest tolerancją i progresem współdziałania. Nie opiera się ono na deklarowanej wyłączeniu jednej grupy społecznej, idąc, nie miał bym. Takie obywatelstwo stanie się etapem widokowy do uznania wartości i życia w naszych stosunkach. Wówczas obywatelstwo będzie miało znaczenie dla życia po prostu człowiekiem. W mentalności Polaków na Wschodzie funkcjonowało wiele innych, jeszcze w XIX wieku. Jednym z nich był był przedmurze chrześcijańskiego i cywilizacyjnego.

Dr Piotr Paweł Guch — Lublin: *Bardzo interesującą zarysując się społeczeństwo obywatelskie na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej w okresie pozytywizmu w kwestii grafiki, malarstwa i publikacji zamieszczanych na łamach warszawskich czasopiśm ilustracyjnych końca XIX wieku. Korespondencja i dziennikarstwo pozytywizmu dostarczały i ukazowały orientowania etniczne (grupy Litwinów, Białorusinów, Ukraińców), wyznawstwo (w kościołach, obrazach, cerkwiach, synagogach i poza nimi), obywatelskość. Poglądywały też różnorodność architektur tych ziem, przybliżały codziennie koegzystencję różnych grup społecznych. W ten sposób uwarunkowały obywatelskość i budowały poczucie obywatelskości.*

Społeczeństwo obywatelskie a społeczeństwo poddanych. Co to znaczy w XIX wieku? Dr Jan Skarbek — Lublin: *Społeczeństwo obywatelskie jest świadome swoich praw i obowiązków. Proces uobywatelenia poddanych przebiegał przez wiele lat, w różnym stopniu na obszarach Rzeczypospolitej, zamierzając przez kilka narodów. Społeczeństwo obywatelskie w końcu XVIII wieku to szlachta, stanowiąca ok. 10%*

ludności Rzeczypospolitej. W tym samym czasie we Francji szlachta stanowiła ok. 1,5%, w Wielkiej Brytanii 3%. Duży wpływ na proces uobywatelnienia chłopów wywarła w XIX wieku emigracja.

Zdaniem profesora H. Samsonowicza kwestię mitów trzeba wyjaśniać. Znamy są 64 definicje mitu. Jedną z cech mitu jest to, że wypływa z pragnienia wyposiedzenia prawdy. Nie lekerowaćbym mitów. Pokazują one czego dana grupa pragnie. Mł. Piłsudskiego funkcjonuje teraz w Polce, co najmniej z dwóch powodów: bo wygrał wojnę z bolszewikami i był człowiekiem sukcesu.

Profesor Jarosław Pełenski — Iowa University, USA: *Mity trzeba konfrontować z faktami. Ekorwika o niepodległości obejmował także mity walki o tę sprawę i dlatego Piłsudski jest popularyzowany do dzisiaj. Ukraińcy mieli własną walkę o niepodległość, ale istniały wpływy ze strony polskich kręgów. Od nich zapożyczono wzór: pierś legionistów i styl słowa hymnu narodowego: „Szczęść nie umiera Ukraini”. Kait i mity niepodległości były podsyłane. Uważano bowiem, że gdy zdobędziemy wolność, to staną się już wszyscy państwami. Siłach pokaźna statystyczna mniejszość, ale jej wpływ na potęgę kraju zwiększyć nie będzie wielki.*

[illegible]

Redaktor Jakub Karpinski — Pury: Społeczeństwo obywatelskie to obszar życia między jednostką a państwem. Istnieje opór do społeczeństwa. Mówi się o nim nie wzmianki niż w XVIII wieku. Termin „opozycji demokratycznej” odbiście mi odpowiada. W pierwszym okresie był to formany by wolności, że to my jesteśmy demokratyczni, a państwo nie, chociaż wchodzą z nami do opozycji. Te opozycje opierały się głównie na stronnactwach przyświecających „Solidarności” i „Solidarności” i rozwijały się pod ciśnieniem jednostki lub grup przeciwnych ich komunistom. Medalsi mówią wówczas demokracja w wątkach krajowych, ale mało było różnorodności zróżnicowania. Społeczeństwo obywatelskie powstało też w wyniku gospodarki, handlu walutą, który tworzy się powoli. O naiwności na przykład zwyczaj myśli politycznej z myślą ekonomiczną, z życiem gospodarczym. Więcej było rozważań politycznych niż przemysłów ekonomicznych.

270

☼ polemiki ☼ i wypowiedzenia

Dyskuje na temat wzajemnego stosunku Polaków i Żydów co jakici czas się nasilają. Można sądzić, że są to przejawy trudnego procesu docierania do prawdy, można w tym widzieć kolejne próby „wkładania kija” w mrowisko wzajemnych uprzedzeń. Wiele zażył od sposobu prowadzenia dyskusji; równie wiele od tego, jak korzysta się z jej efektów. Jedną z ostatnich była wymiana zdań w miesięczniku „Więź” zainicjowana przed kilkanastoma miesiącami artykułem ks. prof. Zygmunta Zielińskiego. Ponieważ kilka wątków tej dyskusji nie zostało w „Więzi” rozwiniętych zgodziłmy się udostępnić lampy „Akcentu” dla uzupełniającego głosu Z. Zielińskiego, niezależnie od tego, czy podzielamy poglądy zarówno poszczególnych uczestników dyskusji, jak autorów wypowiedzi cytowanych w poniższym tekście. (red.)

ZYGMUNT ZIELIŃSKI

Dialog pod nożycami

Uzupełnienie dyskusji w „Więzi” – „Polska w oczach Żydów amerykańskich” po lekturze listu R. Tyndorfa

W sobotę, 24 listopada 1992 r. odbyły się w Berlinie uroczystości pogrzebowe Heinza Galinskiego, przewodniczącego Centralnej Rady Żydów w Niemczech (Zentralrat der Juden in Deutschland). Telewizja niemiecka informowała o tym wydarzeniu we wszystkich dziennikach telewizyjnych, przysyłając wyjątki przemówień kanclerza Helmuta Kohla i, jak podkreślono, nieoczekiwane wystąpienie prezydenta Richarda von Weizsäckera. Obaj mówcy w czarnych jarmulkach na głowach akcentowali patriotyzm niemiecki zmarłego przywódcy, a także „współzależność Galinskiego i społeczności żydowskiej w budowie Republiki Federalnej Niemiec”. Kanclerz Kohl nie wahał się powiedzieć, iż Żydzi niemieccy przyczynili się waleśnie do unania Niemiec jako pełnoprawnego partnera wspólnoty wolnych narodów („Rheinische Post” nr 171 z 25 VII 92 r.).

Fakt, że stosunki żydowsko-niemieckie po II wojnie światowej stworzyły podstawę dla tego rodzaju wystąpienia napawa utuchą. Świadczy to o pewnych próbach wyrównania, może nawet daleko idących, ogromnego przebiegu rachunku holocaustu. Czy historia tej rzadkiej w dziejach ludzkości zbrodni popełnionej w imię interesów jednego narodu wobec drugiego stanowi już zamknięty rozdział? Na pewno nie. Cieszy jednak, że ludzie, którzy tę tragedię przeżyli nie

po tej samej stronie muru czy drutu kolczastego podają sobie ręce niejako ponad mogiłami ich dziadków. Pytanie zresztą, czy dzisiaj te mogły naprawdę drzeć? Czy naród niemiecki żyjący dziś między Renem i Odrą jest faktycznie spadkobiercą tej zbrodni? Symbolizmy zaś spadek, trudny do zanegowania, to raczej memento adresowane do wszystkich, którym totalitaryzm w jakiegokolwiek postaci jest jeszcze bliski. Słowa, które padły 24 lipca w Berlinie są więc przede wszystkim jeszcze jednym przekreśleniem idei, które zrodziły holocaust i które wcale nie umarły, tylko w inny sposób pomagają jej spełnienia. Holocaust – posługujemy się tym umownym pojęciem bez względu na jego rzeczywiste znaczenie – była dzisiaj często i chętnie przenoszona z rasowo-narodowej na płaszczyznę religijno-moralną. Chętniej odgrzebuje się „chrześcijańskie” korzenie holocaustu. Nawiasem mówiąc, ma to też pewien związek z coraz większym stawianiem kwestii racjonalnej odpowiedzialności za holocaust. Jest to, co prawda, możliwe tylko w publicystyce i to nie każdej, ale właśnie ona, ta nie każda, karmi wieść gminną, matkę wszystkich legend.

Pomijając to wszystko, trudno wszakże zanegować fakt, iż holocaust dokonał się w chrześcijańskiej Europie, w której Żydzi stanowili na przestrzeni stuleci element obcy, często przekladowany, z różnych przestępstw. Wyjątkowa odporność Żydów na procesy asymilacyjne nie ma tu nic do rzeczy, bowiem nie może ona usprawiedliwiać aktów przemocy, choć może ułatwiać zrozumienie genocy tego zjawiska. Holocaust jest więc jednym z rozdziałów dziejów chrześcijańskiej Europy. Ma on swoją prehistorię, ma również coś w rodzaju epilogu, w którego obliczu właśnie się znajdujemy. Czy jednak można przycisnąć tę, że holocaust jest dziełem chrześcijan, że jest konsekwencją ideologii i zasad moralnych będących fundamentem chrześcijaństwa? Właściwie wokół tego toczy się cała dyskusja. Niezależnie od tego, jak absurdalnie brzmi pozytywna odpowiedź na to pytanie, można je postawić choćby ze względu na sam fakt i okoliczności zagłady Żydów w Europie.

Wiele na ten temat napisano i z pewnością przysłałoby się jakiś bilans historiograficzny, który wyeliminowałby bezpłodne powtarzanie pewnych wątków faktograficznych a także interpretacyjnych. Chodzi tu bowiem nie o postęp wiedzy, ale o manipulację służącą określonym celom, czy będąc na oskarżeniu, czy też próby apologii. Niektóre płaszczyzny tematyczne mają tu swoje preferencje. Wymienić wypada choćby Stółce Apostolskie i osobę Piusa XII. Sybilizacja, tw. prawdy historycznej pro i contra jest tu wyjątkowo rażąca. Chodzi tu bowiem nie o postęp wiedzy, ale o manipulację służącą określonym celom, czy będąc na oskarżeniu, czy też próby apologii. Niektóre płaszczyzny tematyczne mają tu swoje preferencje. Wymienić wypada choćby Stółce Apostolskie i osobę Piusa XII. Sybilizacja, tw. prawdy historycznej pro i contra jest tu wyjątkowo rażąca. Chodzi tu bowiem nie o postęp wiedzy, ale o manipulację służącą określonym celom, czy będąc na oskarżeniu, czy też próby apologii.

Niektóre płaszczyzny tematyczne mają tu swoje preferencje. Wymienić wypada choćby Stółce Apostolskie i osobę Piusa XII. Sybilizacja, tw. prawdy historycznej pro i contra jest tu wyjątkowo rażąca. Chodzi tu bowiem nie o postęp wiedzy, ale o manipulację służącą określonym celom, czy będąc na oskarżeniu, czy też próby apologii.

rzecz Żydów w chrześcijaństwie i w miejsce hitlerowskiego „Endlösung” wprowadził „racjonalistyczny” „endgültige Lösung” (ostateczne rozwiązanie i decydujące rozwiązanie), samozwańczeniście się chrześcijaństwem od antychrześcijańskiego antysemityzmu (powróć Kościoła do od dawna zanikającego dziedzictwa żydowskiego) (s.344).

Te słowa, podobnie jak cała książka, zawierająca nie uszmiękaną bolesną prawdę, porzabawione są demagogii, a pojęcie „antysemityzm” ma tu swoje właściwe znaczenie, zarówno w odniesieniu do dzieł Kościelnych i dzieł Jana XXIII. Od jego czasów Kościół czyni pozytywne wysiłki, by antysemityzm pojawiający się na przestrzeni dziejów pod różnymi postaciami wyeliminować poprzez dialog. Ku temu zmierzają wypowiedzi papieża, a także aktywność organizowana pod egidą najwyższych władz kościelnych (Por. *Żydzi i judaizm w dokumentach Kościoła i nauczaniu Jana Pawła II*, Warszawa 1999). Niezależnie od tego, na ile się tak bardzo przez Kościół animowany dialog angażuje każdą ze stron, jak głęboko przenika on do zainteresowanej środowiska, sam fakt jego istnienia rodzi wiele nadziei, ale trzeba zarazem otwarcie powiedzieć, że również obaw. Zwłaszcza propozycje dialogu globalnego obejmującego relacje między chrześcijaństwem i światem żydowskim, tak z jednego jak i drugiego punktu widzenia nie wzbudziły entuzjazmu nawet u wielu chrześcijańskich uczestników dialogu.

Trudno mówić o jednej, lub choćby głównej przyczynie tego zjawiska. Jedną z przyczyn jest na pewno obawa, iż próba analizowania stosunków żydowsko-chrześcijańskich zniechęci stronę żydowską. To samo jest zresztą w przypadku rozważań stosunków Polacy—Żydzi. Odwrotne postawienie tego zagadnienia często, nie zawsze uważając, kończy dyskusję. W końcu także wielu polskich dyskutantów przyjmuje jako rzecz oczywistą, iż tylko Polacy jako naród zobowiązani są do rachunku sumienia z racji ich stosunku do Żydów. W takim przypadku o dialogu nie może być mowy, zastępuje go bowiem aprioryczny i jednostronny sąd, nawet nie kompromis. Zresztą tak w jednym, jak i w drugim przypadku nie można oczekiwać niczego więcej poza utrwalaniem stereotypów. Chodzi, rzecz jasna, o oba punkty widzenia: żydowski i polski. Tymczasem niezbędnym wstępem do dialogu jest twierdza sądzić oczywiście irracjonalnych. Po obu stronach jest ich sporo, bowiem emocje rodzą emocje. Stereotypem jest np. pojęcie „żydokomuna”, dziś już mocno spłowiałe, ale czerpiące z różnych źródeł, m.in. z dzieł PRL. Dojście do obiektywnego sądu w tej i w wielu innych sprawach rozbija się przeciwko stereotypu o wiele skuteczniej niż odbicie płaskim innym stereotypem, jak choćby oskarżeniem o antysemityzm.

Trzeba zgodzić się z tym, że propaganda antyżydowska w Polsce międzywojennej miała skutki społecznie destrukcyjne, chociaż kreślony przez nią obraz potrafił wiele przekonać, a często zawierał elementy prawdy. Nie znaczy to jednak wcale, iż globalnie był prawdziwy, iż porzabawiony był demagogii. Jeśli dzisiaj w analogiczny, często jeszcze o wiele bardziej drastyczny sposób, w dodatku w wymiarze światowym, niektórzy konstruują propagandowy wizerunek Polski i Polaków naznaczony piętnem najprymitywniejszego antysemityzmu, zasługuje to z całą pewnością przynajmniej na zdemaskowanie. Należy to z całą mocą podkreślić: na zdemaskowanie, nie na komentowanie, bowiem wtedy trzeba by dowodzić, że się „nie jest wielbłądem”. Ta myśl leży u podłoża mojego artykułu pt. *Polaka w oczach Żydów amerykańskich* („Więź” nr 6/1991). Chodziło, rzecz jasna, nie o to, jak wszyscy Żydzi za Oceanem myśla o Polsce. Rzecz ta jest nie do zbadania. Stosunkowo łatwo jednak można przekonać się jakimi treściami i sposobami to myślenie zapłodniło. I o tym artykuł mój mówi wiele, choć z pewnością nie wystarczy.

Na ile opinie kolportowane drukami — a tylko do nich w artykule się odniosłem — odzwierciedlają opinie publiczną? Odpowiedź ścisła jest niemożliwa, hipoteza z pewnością ryzykowna. Zrzęzygnąłem z jednego i drugiego. Ustawałem z pewnym dystansem podpatrzył twórczo mojące kształtować opinie Żydów amerykańskich o Polsce i Polakach. Atakujący mnie polemisci, zwłaszcza Michał Horoszewicz, udają, że tego nie zauważyli. Przeto usługą mi mówię, iż to ja manipuluję materiałem, by tak a nie inaczej zaprezentować stosunek Żydów do Polaków. Tymczasem prawda jest inna i wynika ona z obfitej przeze mnie cytowanej literatury. Chodzi o to, że w świetle tych źródeł, trudnych przecież do zakwestionowania, na powierzchnię wypływa nie tyle polski antysemityzm, ale antypolonizm niektórych kół żydowskich. To jest właśnie najświeższy cios dla dialogu, który w ten sposób przeczącej prawdzie okazał fałszą rozmów na wysokich szczeblach, spala się w istocie w ogniu irracjonalnych najęźniejszych oskarżeń. Innymi słowy — stereotyp działa na pełnych obrotach. W towarzyszący eufemizmem zastępujących otwarte i szczerą dyskusję, ułatwiających ucieczkę od realów zarówno historycznych jak i aktualnych, kroczy się z upodobaniem w kierunku rozważań teoretycznych, które wprowadzić dialogu nie zakłóca, ale zakotwiczą go na mieliznie. W artykule jednak ukazano, w miarę wczelbstronnie, możliwości dialogu. Zrehabilitowano nie tylko opinie antypolskie czyli podłyce emocje i zakreślono schemat, ale także te zarzuty, które aczkolwiek gorzkie i bolesne, mają potwierdzenie w rzeczywistości wczorajszej i dzisiejszej. Odwołano się również do wypowiedzi z kręgów żydowskich, nacechowanych dobrą wolą szukania prawdy, obejmując ją by ona była. Ten fakt jak gdyby w ogóle nie zainteresował polemistów, chociaż z kolei sami cały swój wysiłek skoncentrowali na wyekspozowaniu opinii żydowskich o Polsce sprawujących dobre wrażenie.

Zatem trudno w polemikach deformujących sam problem dopatrzeć się mój prawdziwego dialogu. Odnosi się to zwłaszcza do artykułu Michała Horoszewicza („Więź” nr 4/1992) Pan Horoszewicz wykorzystał mój artykuł, by dać wyraz pewnym swojemu poglądom. Utraktując go, ich polega na próbie wykazania, iż materiały przeze mnie przytaczane nie mówią wcale tego, co mówią. Innymi słowy, jest to zaprzeczenie zasady: contra factum nullum argumentum. Ten argument to właśnie tłumaczenie faktu po swojemu. To jednak jest już sprawa poglądów p. Horoszewicza a nie rzeczywistej kwalifikacji źródeł przeze mnie wykorzystanych, które licznym dostępnym. Podwójnie istotę mojego artykułu można by tylko udowadniając kłamliwość tych źródeł względnie manipulowanie nimi. Pierwsze jest absurdem, drugie nie wchodzi w rachubę, skoro zaprzeczowałem te źródła prawie w surowej postaci.

Odmienne niż p. Horoszewicz zareagował na mój artykuł p. Tadeusz Dębski z Chicago („Więź” nr 11-12/1991). Jego wypowiedź spowodowała mnie po części do ponownego zabrania głosu, to dlatego, iż „Więź” nie dopuściła na swoich łamach do głosu innego polemisty zważającego, msc. Ryszarda Tyndorfa, przewodniczącego Referatu Informacji przy ZG Kongresu Polonii Kanadyjskiej, którego wypowiedź stanowi swoisty aneks do opinii p. Dębskiego, dowodzi też, jak zawodne jest kwestionowanie jednych źródeł przy pomocy drugich. To ostatnie powinno dać też wiele do myślenia p. Horoszewiczowi.

Intencją Tadeusza Dębskiego jest osłabienie, czy zredukowanie ciężaru gatunkowego przytaczanych przeze mnie publikacji na temat Polski. Próbuje on wykazać, iż wskazane przeze niego publikacje żydowskie kreślą zupełnie inni, pozytywny, obraz Polski i Polaków. Nadto usiłuje on podważyć, zbagatelizować, czy wręcz zdezwaiować

pewne wątki mego artykułu, oddające wszakże tylko treść uwzględnionych przeze mnie materiałów. Zatem pośrednio postawiono znowu kwestię wartości merytorycznej źródła. Dwa jest to, że pretensje kieruje autor nie w stosunku do twórców tych materiałów, a więc do autorów czy publicystów żydowskich, ale do tego, który je ustatystykował i ukazał niejako się ich wymowy poprzez koncentrację rozproszonych po czasopiśmiach wypowiedzi. Jest to sposób polemiki typowy dla apologii. O to zresztą do p. Debskiego nie można mieć pretensji, apologia bowiem z reguły bywa motywowana względami osobistymi. Jeśli jednak podważa się wymowę jednoznacznych wypowiedzi, jak te, na które powołuje się w moim artykule, to trzeba opierać argumenty nie do obalenia. Czy tak jest w przypadku p. Debskiego? By uniknąć głołosłowności, względnie zarzutów, iż nie sięgam poza argumentację własnego artykułu, powołam się tu na tekst dostarczony zaraz po ukazaniu się artykułu p. Debskiego, pisma p. Tyndorfa. Ponowne zabieranie przez mnie głosu byłoby zbyt czyste, gdyby wtedy „Wiedź” zdecydowała się na zamieszczenie tego tekstu. Po dłuższym załocę jednak z tego zrezygnowano. Uważam, że tekst p. Tyndorfa w międzyczasie uzupełniony przez autora dzięki wglęwu rzeczowoci w opieraniu miarodajnymi źródłami, powinien znaleźć się w toczącej się dyskusji nie tylko jako tekst kontroli dla argumentacji p. Debskiego, ale jeszcze bardziej jako antydotum dla dyalektyki p. Horowitza. Pod warunkiem oczywiście, że takie p. Tyndorfa nie spotka to samo co mnie oskarżenie o celowe wypaczenie kreślonego obrazu. Oddajmy jednak głos autorowi z Kanady.*

Seznamy Panie Redaktorze!

(*) Jako dowód aktualności artykułu ks. prof. Zielińskiego, wobec zastrzeżeń wysuniętych przez ks. M. Czajkowskiego „Wiedź” (nr 1991) porzuciło sobie przytoczyć przykładowo fragment listu Jerzego P. Kato, który odwołując się na cydowim miejscu w „The New York Times” (z dn. 15 sierpnia 1991 r.)

Poland has always been a despotic state lacking even a modicum of civil rights or tolerance towards its minorities. Its history is filled with acts of violence towards its minorities: Jews, gypsies and others.

Polska zawsze była państwem despotycznym, którym brakowało choćby odrobiny praw obywatelskich tak dla własnych obywateli, jak i dla innych, opierająca się aktami przemocy wobec mniejszości, jakich jest mnóstwo: Żydów, Cyganów i innych.

Również wrzucam uwagę na niektóre dalsze wypowiedzi o św. Maksymilianie Kolbie i temat, który takuś pokusił się Zieliński. Wskazuję na to, że nie są to wypowiedzi osób należących do marginesu społeczności żydowskiej. W głośnej książce pt. *A Season For Healing: Reflections on the Holocaust* (New York, 1988), Anne Ruppke postarła opinie wygłoszone poprzednio przez Elie Wiesel, laureata Pokojowej Nagrody Nobla, tuż po pierwszej wizycie papiejskiej w kraju.

Father Kolbe was a martyr of great fervor. His objection to the Nazis was not only moral, and even to the intention he was the victim of a Jewish anti-Semitism. He had a wide vision of a human and Jewish past and was the martyr in all the Jewish. He was a candidate to sainthood as well as in Jews. In making a pilgrimage to the camp and marking the death of Father Kolbe, the Pope came to the camp to witness the death of all the unrepentant Jews who died there. It is 1988.

Ojciec Kolbe był męczennikiem, a wielkim świętym. Jego sprzeciw wobec nazistów był typem niepodległości i nie podległości, a przede wszystkim był wyrazem odwołania głosu antyżydowskiego o szerokim zasięgu. Znamy antyżydów, choć sam wpał w masywny antysemizm Żydów, a trójką

* W liście p. Tyndorfa, w związku z ich rozmarzaniem (zostawiam weryfikację), dokonałem następujących poprawek. Obaż one dotyczą w parti tekstu, w których przytoczone są wypowiedzi o Polsce i Polakach z kolumny przytoczonej takich wypowiedzi zachowane (tytuł reprezentujący przykład). Zamieszczam cytaty, które p. Tyndorfa podaje w organie polskiej odnośnej (tytuł reprezentujący przykład).

może być swobodny na kandydaturę na świętego, zwłaszcza dla Żydów. Uważam, że polscy Żydzi, którzy nie uważają, że kolba nie był męczennikiem, nie powinni być traktowani jako Żydzi, którzy nie uważają.

Znany adwokat rabina A. Weissa, Alan M. Dershowitz, profesor prawa w Harvard University, często występujący w prasie i TV północnoamerykańskiej, wydał ostatnio książkę pt. *Chutzpah* (New York, 1991). Książka ta, o której ukazały się liczne podobne recenzje, stała się bestsellerem na rodzimym rynku. Sporo w niej miejsca Dershowitz poświęca właśnie swym poglądom na temat Polski i Polaków. Typowym przykładem jest następujący komentarz:

[...] not only that Kolbe never saved a single Jew, but also that he was a martyr and Jew who almost certainly would never have sacrificed his life for a condemned Jewish inmate. (In fact, it is unlikely that Kolbe ever even met a Jew at Auschwitz, since the Polish prisoners were kept entirely separate from the Jews). (s. 143)

[...] Kolbe nie tylko nie uratował żadnego Żyda, ale w dodatku był męczennikiem antysemity, który przysięgał poświęcić swoje życie za skazanego żydowskiego współwięźnia. (Odkrycie jest niespodziewane, by Kolbe kiedykolwiek spotkał Żyda w Oświęcimiu, ponieważ polscy więźniowie byli trzymani całkowicie oddzielnie od Żydów).

Widomo jednak, że było inaczej. Sigmund Gorson (obecnie zamieszkuje w stanie Delaware, USA), który jako 13-letni chłopiec znalazł się w Oświęcimiu, stwierdził publicznie o Ojcu Kolbie przed kilkoma laty:

He knew I was a Jewish boy. That made no difference... His heart was bigger than persons — that is whether Jewish, Catholic or whatever. He loved everyone. (...)

On wiedział, że jestem żydowskim chłopcem. To nie robiło różnicy... Jego serce było większe niż ludzkie serce, czy to Żyd, katolik, czy kogośkolwiek. On kochał każdego. (...)

Ostatnio, o Kościele polskim i Polakach, Alfred Lipson, badacz w Queensborough College Holocaust Research Center i redaktor czasopisma „Together”, wystąpił z niezamierzonym artykułem w „Midstream” (*Antisemitism Beyond The Yarns*, czerwiec/lipiec 1991, s. 30-32). Również w tymże czasopiśmie znany autor Henryk Grynsberg postawił miedzy mówiący AK, a stalnowską bezpieczką („Midstream”, *The Other Side of Dialogue* kwiecień 1991, s. 22-26).

Jakże inaczej o owych latach stalnowskich wypowiedział się Simon Wiesenthal, zamieszkały w Wiedniu, w audycji polskiej RWE w styczniu 1989. Nadszedła wojna. W takich okolicznościach wypływają na powierzchnię szatańskie, którzy gotowi byli wydać Żydów (...). Z drugiej jednak strony, niektórzy mówili na ten temat, zapewne podkreślali, że wiem, jaką rolę Żydzi w komunikacji odegrali w Polsce po wojnie. I tak jak ja, czy Żyd, nie chciał być na siebie odpowiedzialności za żydowskich komunistów, nie mogę tak samo obciążać 30 milionów Polaków odpowiedzialnością za owe kilka tysięcy zdrajców. (tłumaczenie z angielskiego) (...)

Należy przypuszczać, że gdyby ten temat włączył przedstawienia stalnowskich do polsko-żydowskich (zwłaszcza w czasie drugiej wojny światowej) przyczynił się do tego, że podaż wiedzy ks. Prymasa w USA została o feryście zastawianą przez dwójkę żydowską przed rezydencją ks. kard. Józefa O'Connor w Nowym Jorku w dn. 7 października br. Skierowano do ks. Prymasa słowa: „Ty naziste”, „Ty katolicki bękart”.

W swojej odpowiedzi ks. Czajkowski również twierdził: Gdyby nie było polskiego antysemizmu, nie byłoby żydowskiego antypolskiego. Niemniej to słowo, że to, że antypolskim żydowski i bez polskiego antysemizmu się obchodzi. (...) Czyżby rozdykować — tak jak zdaje się sugerować ks. Czajkowski — stosunki polsko-żydowskie stanowiły w światowych dziejach stosunków etnicznych przykład całkowitego zła? Nie ma tu wątpliwości, że zachowanie się jednej strony? Jeśli nie, czy krytyka nie powinna być obustronna? Czyżby fragmentaryczne zestawienie tych niezliczonych wypowiedzi strony żydowskiej sporządzone przez ks. Zielińskiego, nie miało stanowienia się nad ich przyczyną oraz ich skłótnością dla drugiej strony i dla stosunków polsko-żydowskich w ogóle, zabiegając na miano „antysemityzmu”? Zapewne dają na takowy nurt adekwatną odpowiedź racjonalny wyżej komentarz S. Wiesenthala.

P. Horowitz twierdzi również, że w „Encyclopedia Judaica” w hasle „Holocaust and the Christian Churches”, angażując (...) nie dostrzegając się jakiegokolwiek antysemityzmu koliczono, w przypadku Polski stwierdzono jedynie brak sformułowanej linii postępowania, nie wyistotnego jakichkolwiek oskarżeń pod adresem Kościoła polskiego”. Wbrew zarzutom postawionemu przez P. Horowitza, że popołniono „skrajność i deprymujące przesłanie”, przytoczenie fragmentów wyimowanego hasła wykazuje słuszność komentarzy ks. Zielińskiego:

[...] Throughout Western Europe numerous priests and members of the monastic clergy organized the rescue of Jews, and hid them in monasteries, parish houses and private homes. Many lay Catholics in France, Holland, Belgium and Italy acted similarly, thus saving thousands of Jewish lives. [...] In Eastern Europe anti-Semitism had deeper roots and the record of the Catholic churches there is more ambiguous. [...] Large numbers of Jews, nevertheless, owed their lives to the courageous rescue activities of lesser clerics, monks, and Catholic laymen. (t. 8, kolumna 914)

W Zachodniej Europie księża i członkowie klasztorów organizowali pomoc dla Żydów i ukrywali ich w klasztorach, parafiach i domach prywatnych. Liczni księża katolicki we Francji, Holandii, Belgii i Włoszech działali podobnie, tak również laycy Żydów (...). W Europie Wschodniej antysemityzm miał głębsze korzenie, a historia Kościoła katolickiego była tam bardziej dwuznaczna (...). Duża liczba Żydów mimo wszystko została uratowana przez tychże duchownych, księży, zakonników i świeckich.

Twierdzenie, że „nie wysunęto jakichkolwiek oskarżeń pod adresem Kościoła polskiego” jest po prostu nieprawdą. Oskarżenia są jak najbardziej wyraźne. W stosunku do Polski wyraźnie pominięto rolę zakonnic oraz wyższego kleru (arcybiskupów i biskupów takich jak np. krakowski – Świecha, wileński – Jalt-ryzkowski, bawski – Baziak, piński – Niemira, warszawski – Gali). Ostatecznie pominięto okoliczności, które najbardziej wskazywały, że nie panowały w innych okupowanych krajach (zwłaszcza zachodnich), a które jednak wyraźnie wymienia historyk John S. Conway:

The initial territorial separation and later annihilation of the Jews on the one hand, and the destruction of the Catholic clergy and suppression of Catholic organizations on the other, precluded any public protest. („Christian Churches: General Survey”, „Encyclopedia of the Holocaust”, tom 1, s. 293)

Przebiegła terytorialna separacja i późniejsza eliminacja Żydów z jednej strony, a niszczenie kleru katolickiego i niszczenie organizacji katolickich z drugiej, uniemożliwiły jakichkolwiek protesty publicznych. („Christian Churches”).

Wybitny naukowiec i znawca przedmiotu Walter Laqueur (żydowskiego pochodzenia) stwierdza:

The Polish case is very briefly that they did what they could, usually at the great risk and in difficult conditions. If the news about the mass murders was not believed abroad this was not the fault of the Poles. It was, at least in part, the fault of the Polish Jews who, in the beginning refused to believe it; it was also the responsibility of the Jewish leaders abroad who were initially quite sceptical. (...) [The Terrible Secret: Suppression of the Truth about Hitler's Final Solution, Warendorf and Nicolson, UK, 1980, na s. 174-75, w późniejszej edycji Penguin, 1983]

Jeli chodzi o Polaków, to krótko mówiąc, robili co mogli, najczęściej w warunkach trudnych i w trudnych warunkach, jeśli chodzi o monochromatyzm nie miałyśmy wtedy na granicy to nie było to wina Polaków. W końcu było to winą częściowo także polskich Żydów, którzy z początku nie wierzyli w to, co się wydarzyło. To była także odpowiedzialność liderów żydowskich na granicy, którzy początkowo byli dość sceptyczni. („The Terrible Secret”).

Prawda jest i nikogo tego nie kwestionuje, że ze strony żydowskiej pojawiają się coraz częściej opinie, które są sprawiedliwe i (nawet bardzo) pozytywne wobec Polaków, i że nastąpiła w ostatnich latach pewna ewolucja w tym kierunku. Chodzi naturalnie o przeprosiny i o zaznaczenie należytego, tak jak to całkiem słusznie zrobił ks. Zieliński, że przytłaczająca ilość wypowiedzi ma charakter antypolski i to często skrajny. (Nie pretenduję bynajmniej w tym liście do jakichś definitywnych poglądów na celów skomplikowanych stosunków polsko-żydowskich podczas II wojny światowej.)

Z wielką przykrością zanotowałem, że M. Horowitz propaguje „ojciec trójdzień: pomoc — obojętność — wrogość”, jako trzy postawy ówczesnego społeczeństwa polskiego wobec Żydów. Chodzi naturalnie o paśwność, a nie obojętność. Są to pojęcia odmienne. Strach może spowodować paśwność, lecz niekoniecznie musi to być połączone z obojętnością. Paśwność przecież ochwalała zachowania się ohydliwej większości Żydów podczas okupacji. Czy należałoby więc przypisywać im obojętność wobec losu współpatriotów, tak żydowskich jak i chrześcijańskich?

Zachęcam wyżej szacunku

R. Tyndorf

Przewodniczący Referatu Informacji
Zbi Kongresu Polonii Kanadyjskiej

Zdecydowałem się na ponowne wrzucenie głosu nie dlatego, bym zachęcał do przeciągania dyskusji, która chyba już nie mogłaby wnieść wiele nowego. Po prostu prezentując stanowisko polemistów z Kanady (znacznie osłabione poprzez dokonane skróty) pragnę okazać istnienie sporego jeszcze zasobu argumentów, które raczej zagościłyby spór, niż przyczyniły się do rozwiązania problemu. Dlatego ze swej strony uważam tę dyskusję za definitywnie zamkniętą.

Zygmunt Zieliński

W poprzednim numerze:

Ryszard Kapuściński: ● wiersze Danuta Mostwin: Quinte Des Almas (opowiadanie) ● Międzynarodowa konferencja poświęcona Julianowi Przybosiowi w Chicago ● Uta Przybos: Mój ojciec ● Bogusław Kiern: Juliana Przybosia zlemia gwiazdę pojeźdź ● György Gömböri: Zmiany w organizacji literackiej przestrzeni Przybosia ● Róclawski Skrót: Wiersze poetki Juliana Przybosia w świetle autorografów poetki ● Bogusław Wróblewski: „Jaskółka” Przybosia — autodyfensja metody twórczej ● Andrzej Wierciński: wiersze ● Izabela Filipiak: Piramida ● Aneta Pierzchała: „Piasek” (...) wydzień Wielkiej Tajemnicy swój drobny okruch” (O poetce opowiadał Gustawa Herling-Grudziński) ● Wojciech Ławski: wiersze ● Ischoch Warszawski (Isaac Bashevis Singer): Książka polsko-żydowskiego piarusa po angielsku ● Chone Shmeruk: Isaac Bashevis Singer o Brannonie Schulzu ● Bogusław Wróblewski: Jan Kowalik — wybitny bibliograf polskiej diaspory ● Jan Kowalik: wiersze ● Cz. Milos: I.S.A. Biegawo o Poloni w Ameryce — dyskusja ● Bogusław Wróblewski: „Wakacje” i amerykański Matysławowie Zofii Mierzyńskiej ● Zofia Mierzyńska: Jackowo Siory ● Wojciech Kawiński: wiersze ● Jacek Łukasiewicz: Warszawa z jany i snu ● Wojciech Prochiewicz: Śpiewak ● Michał Wardęckiewicz: wiersze ● Zdzisław Cackowski: Ból i cierpienie a świadomości ludzka ● Krystyna Wilkoszewska: O wymiarach i niewymiarach sztuki ● Lechosław Łamerski: „Człowiek z popiołu i światła” ● Mirosława Zapła-Parosińska: Urbanowicz ● Andrzej Urbanowicz o sobie. ● Irena Sławińska: Dramaty biblijne Oskara Miłozina ● Krzysztof Karpiński: Jaz w Paryżu ● Listy z Nowego Jorku — Urszula M. Benka: Bezzelesta wojna światów ● Polemiki i dopowiedzenia ● Recenzje ● Noty.

Z gorącym podziękowaniem potwierdzamy odbiór kolejnych wpłat na Fundusz Wydawniczy Przyjaciół „Akcentu”.
Dotychczas otrzymano następujące wpłaty od następujących osób:

Wacław Iwański, Kanada	1 mln zł
Zbigniew Kaczorowski, Wiedeń	200 dol. USA
Marek Gacka, Lublin	100 dol. USA
Lucjan Ojczak, Lublin	1 mln zł
Edward Zyma, Kanada	100 dol. kanad.
Wojciech Prochniewicz, Lublin	1 mln zł
Włodzisław Klubu Towarzystwa „Hades”	1 mln zł
Szczepan Sadurski („Superpress”)	1 mln zł
Danuta Hasiak, Baltimore	100 dol. USA
F. H. Chicago	100 dol. USA
Kazimierz Zacharski, USA	100 dol. USA
Stanisław Bask-Mostowiński, USA	100 dol. USA
Jack Lech Mostowiński, USA	200 dol. USA
Wydawnictwo „Norbertinum”	1 mln zł

Wszystkie wpłaty na Fundusz Wydawniczy „Akcentu” traktujemy jako roczną subskrypcję naszego kwartalnika.

Równocześnie informujemy, że lista Przyjaciół – Mecenasów „Akcentu” jest ciągle otwarta. Będziemy na łamach „Akcentu” odnotowywać każdą kolejną wpłatę. Peniężne można wpłacać bezpośrednio w redakcję lub na następujące konto:

„Edytor-Press” Ltd.
Lublin, ul. Żemo 38 C
Lódzki Bank Rozwoju
Odział Lublin
44201-390-136-1

z zamieszczeniem: dla „Akcentu”

Ponadto w latach 1992–1993 znacznego wsparcia udzieliły nam: Fundacja Kultury, Fundacja im. Stefana Batorego, Fundacja Wł. I. N. Turaszkich z Toronto, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Rada Mijska Lublin, Rada Mijska Lubartowa, Rada Miasta i Gminy Zielonogóra oraz Attache Prasowy Ambasady Węgierskiej. Serdecznie dziękujemy.

Dziękujemy także naszym autorom, którzy przyczynili się do honorarów na publikację w „Akencie”, przekazując je na Fundusz Wydawniczy Przyjaciół „Akcentu”:

Wacław Iwański, Kanada
Adam Pula, Australia
Tomáš Venclová, USA
Tadeusz Konwicki, Warszawa
Wojciech Prochniewicz, Lublin
Ryszard Kapuściński, Warszawa
Zofia Mijska, USA
Tadeusz Gromada, USA

Sprowstowanie

Redakcja kwartalnika literackiego „Akcent” gorąco przeprasza Fundację Kultury za niedokładne podanie jej nazwy jako instytucji współfinansującej druk „Akcentu” nr 2-3/1992 i 4/1992. Jesteśmy za dziękujemy Zarządowi Fundacji, a szczególnie p. Izabelli Cywińskiej i p. Stefanowi Szczęściwskiemu za szczerość i skuteczną pomoc.

Redakcja „Akcentu”

Informujemy Czytelników, że sprzedaż bieżących i dawnych numerów AKCENTU prowadzi księgarnia:

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa tel. 26-18-35, 26-64-49

PP „Dom Książki” – Księgarnia Literacka
Rynek Starożytny 22/24
00-272 Warszawa tel. 31-37-44

Księgarnia Akademicka
ul. Gołębia 18
31-007 Kraków tel. 22-10-33 w. 167

Księgarnia Wydawnictw Naukowych „Ełfani”
ul. Podwale 6
31-118 Kraków tel. 22-37-17

Księgarnia ORPAN
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań tel. 52-45-16

Księgarnia „Jedynka”
Al. Marcinkowskiego 21
61-745 Poznań tel. 52-53-05

Księgarnia Naukowa „Book service”
ul. Podgórze 1
61-829 Poznań tel. 52-04-77

Księgarnia Olszka Rozpoznawczak
Wydawnictwo Naukowych PAN
Plac m. Curie-Skłodowskiej 5
20-051 Lublin tel. 37-54-13

Księgarnia „Enop”
ul. Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin tel. 256-15

Księgarnia Medyczna
ul. Krakowskie Przedmieście 29
20-002 Lublin tel. 261-53

Księgarnia Marka Gacki
ul. Peowaków 2
20-007 Lublin tel. 238-14

Tu do nabycia m.in. numer zawierający prezentację twórczości Wacława Iwańskiego i Johna Ashberryego (3/1990), tom dotyczący erotyki w literaturze (4/1990), numer prezentujący sylwetki twórców Stanisława Lema i Jana Lechewskiego oraz otyłkę „Europę” (2-3/1991), m.in. G. Brautena, J. Bret, S. Duxon, W. Młynarski, B. Olszówka, A. Olszówka, J. Olszówka, M. Wolski, numer 4/1991 zawierający m.in. wiersze W. Olszówki, literatury amerykańskiej, numer 1/1992 z mianymi tekstami Włodzisława Gromadzińskiego, pogranicza narodów i kultur” (Białorusini, Litwini, Łużyccy, pod hasłem „In Utero”, Węgrzy, Żydzi) oraz numer 4/1992 z nowymi wierszami Ryszarda Kapuścińskiego, motywami amerykańskimi (m.in. wiersze z Międzynarodowej Konferencji nt. Juliana Przybosa w Chicago), tekstem E. B. Singera o Brunonie Schulcu oraz polskimi: S. Błejwas – Cz. Miłoz.

Księgarnia ORPAN w Lublinie realizuje wszystkie zamówienia numerów AKCENTU za pośrednictwem pocztowym. Osoby zainteresowane mogą w tym celu bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

Biblioteka Akcentu tomy 2 i 3

Tadeusz Chabrowski: *Panny z wosku*, Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin 1992, ss. 55 + 1 alb.



Rewelacyjny „come back” Tadeusza Chabrowskiego, poety nieobecnego w kraju w ostatnich piętnastolecu, a popularnego tutaj w latach siedemdziesiątych i dziś wysoko cenionego w USA, gdzie przeżywa na stałe od trzydziestu lat. Od debiutu w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy (w 1963 r.) widoczna jest w tej twórczości fascynacja obecnością pierwiastka żeńskiego w kosmosie. Po latach znawcowa ona wyraźnie wykrystalizowanym nurtem liryki młkowej. Należące doń wiersze zostały zebrane w tomie, który trafia właśnie do rąk czytelnika. Książka odnacza się znakomitą oprawą graficzną, którą stanowią subtelne rysunki Zofii Kropu-Szulc. Autor jest dwukrotnym laureatem „Nagrody Fundacji Kościelskich” w Żewogartu, za tom *Lato w Penesylwanii* i za *Wpływawierstwo. Słów na pozostawienie*.

Danuta Mostwin: *Odkrywanie Ameryki*, Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin 1992, ss. 544 + 2 alb.



Tom stanowi wybór opowiadań zawierający zarówno utwory znane z londyńskiej edycji *Asteroidów* (1965), jak i najnowsze, publikowane m.in. w paryskiej „Kulturze” i w „Akencie”. Tematem tych opowiadań są m.in. losy polskich emigrantów w Ameryce, ich tęsknota za krajem, poszukiwanie korzeni i tożsamości. Tom zawiera kilka opowiadań dotyczących okupacji niemieckiej, walki w konspiracji, powstania warszawskiego a także czasu tuż po zakończeniu II wojny światowej.

Danuta Mostwin, ur. w 1921 r. w Lublinie, powieściopisarka, socjolog, profesor uniwersytetu amerykańskich pozostaje na emigracji od 1945 r. Jest autorką m.in. następujących powieści zawierających najsilniejszy w naszej literaturze obraz polskiej emigracji: *Dom w starym Londynie* (1958), *Ameroko! Ameryko!* (Paryż 1964, Warszawa 1981), *Ja za wodę, ty za wodę* (Paryż 1972), *Odkładam mój zryw* (Londyn 1977, Warszawa 1989) oraz tryptyku bliskiego konwencji sagi rodzinnej, sięgającego czasów powstania styczniowego: *Cień księżdy Piotra* (Warszawa 1985), *Smucardowa zjawia* (Warszawa 1988) i *Tajemnica zwyciężonych* (Londyn 1992), w którym kontynuuje najgłębsze tradycje wielkiej opki E. Orzeszkowej i M. Dobrowolskiej. W Polsce okazały się także, naładem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, dwa tomy szkiców socjologicznych: *Trzecia warstwa* (Lublin 1985) i *Emigranci polacy w USA* (Lublin 1991).

Wymienione książki hurtownie i księgarnie zamówić mogą w Wydawnictwie „Norbertinum” (20-850 Lublin, ul. Dębówka 60, tel. i fax 338-95) lub w redakcji „Akcentu”.

Kwartalnik „Akcent” jest od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany przez Lubelskie Zakłady Graficzne. Ta firma istnieje już 48 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej zawiądzamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tych Zakładów. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu”

LUBELSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE W LUBLINIE

UL. UNICKA 4,
TEL: 77-14-37, 77-35-00,
FAX: 71-15-21

OFERUJĄ USŁUGI POLIGRAFICZNE w zakresie druku

- KSIĄŻEK
- KALENDARZY
- FOLDERÓW
- PLAKATÓW
- ETYKIET

(w tym na materiałach samoprzylepnych) oraz inne według życzeń zamawiającego

1992-1993

Na pierwszej stronie okładki
Adam Kosowski: Fragment typografu
w Leyland (Sąd Ostateczny)

Na czwartej stronie okładki
Adam Kosowski: *Archaniol Michał*

Adres redakcji
20-023 Lublin
ul. Okopowa 7
tel. 27-469

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe i oddziały „RUCH” S.A.

Ponadto sprzedaż „Akcentu” prowadzi i prenumeratę przyjmuje „LIBELLA”
— Księgarnia Polska w Paryżu (12, Rue St-Louis-en-l'Île, 75004 Paris 43265109).
Koszt prenumeraty wynosi 160 franków. Cena pojedynczego numeru 40 franków.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” — Polish American Daily News;
21 West 38th Street, New York, Ny 10018.

Pauline Farber, National Shrine of Our Lady of Częstochowa Bookstore;
P.O. Box 2049, Doylestown, PA 18901.

Szwede Slavic Books; 2233 El Camino Way, Palo Alto, CA 94306.

Mira Puzar, „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave; Chicago, IL 60618.

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.
20-601 Lublin, ul. T. Żana 38 c

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, ul. Unicka 4
Druk zakończono w czerwcu 1993 r.
Cena zł 24.000,-